

**MARY JO PUTNEY**

**Z DAŁA OD WRZOSOWISK**

## PROLOG

*Wyspa Muli, Szkocja, 1799*

Młody mężczyzna siedzący w rogu zadymionej sali pił sam. Jego samotność nie wynikała jedynie z faktu, że był pozbawiony towarzystwa: od mieszkańców wyspy oddzielała go niemal namacalna ściana. Minęło już ponad pięćdziesiąt lat od dnia, w którym księżę Karol Edward dowodzący klanami szkockimi został pobity pod Culloden, lecz Szkoci długo przechowują wspomnienia. Chociaż słyną z gościnności, żaden nie czuł potrzeby dołączenia do mężczyzny, który ponad wszelką wątpliwość był bogatym Anglikiem, a w dodatku jego stalowe spojrzenie nie zachęcało do nawiązania kontaktu.

Wicehrabia Gerwazy Brandelin wcale się tym nie przejmował. W gruncie rzeczy samotność bardzo mu odpowiadała. Dopił mocną szkocką whisky, czując, jak pali mu trzewia, mimo że już wcześniej pociągnął kilka łyków. Zarówno trunek, jak i wywołany przezeń efekt trudno byłoby określić mianem delikatnych, a jednak po spędzeniu ponad miesiąca na Pogórze i wyspach szkockich zaczynał go lubić.

W gospodzie unosił się charakterystyczny zapach farmerów i rybaków, lecz dominowała nad nim ostra, gryząca woń palonego torfu. Rozejrzawszy się po niskim pomieszczeniu, Gerwazy zauważył spojrzenie barmanki i dał jej znak, by przyniosła następną szklaneczkę whisky. Pił zdecydowanie za dużo, ale po całym dniu jazdy po Mull w nieustannie padającym deszczu chciał się odprężyć i rozgrzać. Spodobała mu się ta gospoda. Jej właścicielom, Anglikom, udało się stworzyć odmienną od szkockiej atmosferę wesołości.

Podeszła barmanka. Powinna była od razu zostawić mu całą butelkę, ale wtedy nie miałyby okazji do prezentowania swoich wdzięków. Za każdym razem, gdy nalewała kolejne porcje whisky, coraz niżej obciągała stanik sukni i mocniej kołysała biodrami.

- Czy jego lordowska mość życzy sobie coś jeszcze? - zapytała, dając do zrozumienia, że oferuje całe bogactwo różnych możliwości.

Gerwazy odpowiedział półuśmiechem, ciesząc się miłym ciepłem rozchodzącym się po łądzwiach. Te zaloty, jeśli tak można było to nazwać, trwały już od ponad dwóch godzin. Bez wątpienia barmanka wiedziała, że Gerwazy jest bogatym angielskim arystokratą. Wprawdzie nie był jeszcze lordem, ale jego kamerdyner, Bonner, na pewno zdążył już wszystkim rozpowiedzieć, że jego pan jest dziedzicem wicehrabiego St. Aubyn. Taka wiadomość natychmiast zapewniała szacunek i wysoką jakość usług i nawet jeśli oznaczała też kilka dodatkowych koron za nocleg, to i tak wszystko wydawało się tu tanie w porównaniu z cenami w Londynie.

- A co jeszcze możesz mi zaproponować? - zapytał leniwie i przeczesał ciemne włosy, zadowolony, że nareszcie wyschły. Zaczynał się zastanawiać, czy na Hebrydach można znaleźć coś, co zawsze jest suche.

Nalewając ciemnobursztynową whisky do szklanki, dziewczyna pochyliła się nad nim i otarła się pełnymi piersiami o jego policzek i ramię. Poczul piżmowy, nie najświeższy zapach jej ciała. Wolał znacznie bardziej wyrafinowane kochanki, jednak już od dawna nie miał kobiety, a ta dziewczyna była pod ręką i najwyraźniej miała chęć na to samo co on. Była też przyjemnie pulchna. Z zadowoleniem przesunął dłonią po jej krągłym biodrze.

Widząc, że Gerwazy nie pozostaje obojętny na jej wdzięki, uśmiechnęła się prowokująco.

- Wszystko, na co pan będzie miał ochotę.

Popatrzył na stanik z dużym dekoltem, z którego wyłaniały się okazałe piersi, jakby czekające na pieszczoty.

- Wszystko?

- Wszystko. - Barmance najwyraźniej nie brakowało doświadczenia ani entuzjazmu dla cielesnych uciech, co zapowiadało miłą noc.

- Wiesz, który pokój zajmuję? - zapytał cicho pośród szczyku kufli i gwaru rozmów.

- Tak.

- O której kończysz pracę?

- Za godzinę, milordzie. Czy zostanę odpowiednio wynagrodzona, jeśli do pana przyjdę? - Ton jej głosu zdradzał, że chociaż wysocy i przystojni mężczyźni, tacy jak on, bardzo jej się podobali, zdawała sobie sprawę, że jako biedna pracująca dziewczyna musi być praktyczna.

Spodiewając się tego, Gerwazy miał już przygotowaną złotą monetę. Rzucił ją teraz barmance. Złapała ją zręcznie i błyskawicznie schowała, zanim ktokolwiek z obecnych na sali zdołał to zauważyć.

- Czy to wystarczy jako... dowód mojego szacunku? Uśmiechnęła się szeroko, ukazując mocne, krzywe zęby.

- Wystarczy... na początek.

Cena barmanki była zawyżona jeszcze bardziej niż opłata za whisky i pokój, ale Gerwazy miał dziś ochotę na wydawanie pieniędzy. Z uśmiechem uniósł szklaneczkę.

- W takim razie do zobaczenia później.

Odeszła, leniwie kołysząc biodrami. Gerwazy z przyjemnością odprowadził ją wzrokiem, zastanawiając się, czy dziewczyna potrafiłaby powtórzyć ten ruch w łóżku.

Odstawił opróżnioną do połowy szklanę. Postanowił, że to będzie jego ostatnia porcja tego wieczoru; inaczej nie będzie w stanie cieszyć się swoim zakupem.

Barmanka z wyrazem zadowolenia na twarzy nalewała za ladą piwo. Betsy MacLean, jej kuzynka i pomoc kuchenna w gospodzie, rozpoznała to pełne satysfakcji spojrzenie.

- Umówiłaś się z tym angielskim lordem, Maggie?

Maggie MacLean uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Tak, później pójdę do niego. Przystojniaczek, co? Jest bardzo hojny.

Betsy popatrzyła na Anglika. Rzeczywiście był przystojny; zgrabny, o szerokich ramionach i dobrze zarysowanych mięśniach, które wydawały się pozostawać w ciągłym napięciu. Jego lordowska mość miał najwyżej dwadzieścia kilka lat. Ubierał się z niewyszukaną elegancją, rzadko spotykaną w tej odległej części Wielkiej Brytanii. Chociaż miał regularne rysy, zdaniem Betsy były one zbyt surowe, by mogła nazwać je pięknymi. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. W tłumie pijących wyróżniał się chłodem i opanowaniem.

- Nie wiem, Maggie... Przyjrzałam mu się wcześniej, ale nie spodobały mi się te jego szare oczy. Kiedy na mnie popatrzył, poczułam zimne ciarki na plecach. O wiele bardziej przypadł mi do gustu jego służący.

- A zrobiłaś coś w tym kierunku, Betsy? - zapytała Maggie, nie odrywając wzroku od swej zdobyczy.

- Tak. Spotkamy się. Może nie zapłaci mi aż tyle, ale kiedy na mnie patrzy, robi mi się ciepło, a nie zimno.

Maggie prychnęła.

- Jego przystojna lordowska mość jest tylko mężczyzną, no nie? Dobrze wiem, czego chce, i będzie musiał mnie zadowolić, żeby to dostać.

- Rób, jak chcesz. - Betsy wzruszyła ramionami i wróciła do kuchni.

Gerwazy dopił whisky i postanowił wyjść na dwór, zaczerpnąć świeżego powietrza. Kiedy wstał, zakręciło mu się w głowie. Przestał pić w samą porę; jeszcze dwie szklaneczki i znalazłby się pod stołem.

Deszcz przestał padać, lecz mimo że była połowa maja, wieczorne powietrze przesycone było wilgocią przeszywającą do szpiku kości. Idąc powoli w stronę brzegu odległego o jakieś sto jardów, Gerwazy słuchał miękkich uderzeń fal o wąski skrawek kamienistej plaży. Oparł się o wielki głaz i leniwie zaczął rzucać kamyki do ciemnej wody. Gwar podochoconych głosów oddalał się - miejscowi pomału wracali do swych ponurych kamiennych chat.

Obecny stan melancholii był dla niego prawdziwym wytchnieniem po silnym wzburzeniu, które spowodowało jego wyjazd od ojca z Edynburga. Po pewnym czasie Gerwazy zrozumiał, że nie powinien był od razu powiadamiać lorda St. Aubyn, iż jego jedyny syn i dziedzic został oficerem i wkrótce ma wyjechać do Indii. Zbyt pośpieszywszy się z tą wiadomością, zafundował sobie trzy tygodnie nieustannych awantur w czasie objazdu odległych posiadłości St. Aubynów. Wicehrabia uważał, że wojsko jest odpowiednią instytucją dla dających się zastąpić młodszych synów, ale na pewno nie dla dziedzica ogromnego majątku i zobowiązań rodziny St. Aubyn.

Ponieważ Gerwazy odziedziczył po matce wystarczającą ilość pieniędzy, by móc postępować według swojej woli, lord St. Aubyn nie był w stanie wpłynąć na zmianę jego decyzji. Tych dwóch mężczyzn łączyły tylko więzy krwi i poczucie obowiązku, uczucia nie miały znaczenia dla żadnej ze stron. Wprawdzie byłoby miło, gdyby starszy pan okazał bardziej osobiste zainteresowanie losami syna, lecz nigdy do tego nie doszło.

Gerwazy pochylił się po kolejną porcję kamyków, omal nie tracąc przy tym równowagi. Wyprostowując się, zaklął cicho, zdawszy sobie sprawę, że znów nie docenił mocy miejscowej whisky. Od najmłodszych lat wpajano mu konieczność zachowania samodyscypliny i nie lubił uczucia braku kontroli spowodowanego zbyt dużą ilością alkoholu. Wprawdzie w odległym zakątku Hebrydów nie czyhało nań wiele zagrożeń, wolał jednak nie pozwalać sobie na chwilę słabości.

Jak długo mógł już być na dworze... jakieś trzy kwadransy? Zrobiło się późno, w barze panowała cisza. Pomyślał, że powinien wrócić do pokoju, gdzie zapewne czeka już barmanka o bujnych kształtach.

Po powrocie ze świeżego nocnego powietrza miał wrażenie, że się dusi w ciasnej zadymionej gospodzie. Wstępując na schody, poczuł zawroty głowy. Nie pamiętał drogi do swego pokoju. Przeklęta whisky! Kamienny budynek, wielokrotnie rozbudowywany w ciągu wieków, był teraz jak królikarnia z przypadkowymi zaułkami i nierównymi podłogami. Gospodarz zostawił dla niego w korytarzu olejną lampkę; kiedy Gerwazy niósł ją na górę, na ścianach pojawiły się dziwne światłocienie.

Korytarz na piętrze rozchodził się w dwie strony; przystanął, nie wiedząc, w którą powinien się udać. W czasie podróży po Szkocji wielokrotnie zatrzymywał się w podobnych gospodach; teraz wydało mu się, że wszystkie są takie same. Po chwili namysłu skręcił w prawo i z trudem włożył żelazny klucz do zamka ostatnich drzwi w końcu korytarza. Otwarcie okazało się trudnym zadaniem - może z powodu niedopasowania klucza, a może zadanie utrudnił mu nadmiar trunku.

Jednak niepokój, że whisky mogła pozbawić go władzy nad własnym ciałem, zniknął na widok zaokrąglonej figurki w łóżku. Podekscytowany Gerwazy postawił lampkę na stoliku i szybko zdjął ubranie. Kiedy wśliznął się pod kołdrę, zauważył, że barmanka śpi. Musiał przebywać na dworze dłużej, niż sądził. Miała na sobie tylko cienką płócienną koszulę. Gdy przesunął dłonią po jej ciele, stwierdził z niejakim zadziwieniem, że dziewczyna nie ma tak bujnych kształtów, jak się spodziewał. Była jednak czystsza, a jej świeży kobiecy zapach wzmógł jego podniecenie.

Pożądanie i whisky niemal całkowicie przesłoniły mu rozum. Miał nadzieję, że barmanka zaraz się obudzi, jako że bardzo mu się śpieszyło do rozkoszy łoża. Po zapłacie, jaką wręczył dziewczynie, miał prawo oczekiwać jej aktywnego udziału; w barze wydawała się odpowiednio ciepła i chętna. Pomyślał, że pierwszy raz nie potrwa długo, ale przed nimi cała noc - miał nadzieję, że ta kobieta nie będzie leżeć obok niego jak kłoda.

Uniósłszy koszulę z zadowoleniem stwierdził, że dziewczyna otwiera oczy. Pochylił się, by ją pocałować. Miękkie usta łatwo rozwarły się pod jego wargami, chociaż jej reakcja była senna i trochę nieudolna. Wsunął dłoń pomiędzy jej uda, a wtedy nagle drobne ciało napięło się i poruszyło, rozpalając go tak, że nie był w stanie myśleć. Zaczął całować szyję dziewczyny, która niespodziewanie wykręciła się gwałtownie i krzyknęła przerażona, a po chwili zaczerpnęła tchu i pisnęła dziko z ustami tuż przy jego uchu, tak że miał wrażenie, że pękną mu bębenki. Karcąc się w duchu za to, że nie uzbroił się w cierpliwość i nie obudził jej delikatniej, uniósł głowę.

- Spokojnie, moja słodka, to tylko ja. Uspokój się, zanim pobudzisz wszystkich w gospodzie.

Chciał zamknąć jej usta kolejnym pocałunkiem, lecz szarpnęła głową i krzyknęła jeszcze raz. Ciało, które przykrywał swoim, było szczupłe, nie tak dorodne jak barmanki. Zaczynało do niego docierać, że zaszła jakaś straszliwa pomyłka, kiedy drzwi otworzyły się, a w pokoju rozległ się szorstki, gniewny głos.

- Ach, wy wstrętne świnię!

Gerwazy natychmiast odsunął się od dziewczyny. W drzwiach stał wysoki, ubrany na czarno szczupły mężczyzna w średnim wieku. Gdy oniemiały Gerwazy patrzył na niego z przerażeniem, w korytarzu pojawili się właściciel gospody i jego żona. Zaniepokojeni krzykami, narzucili tylko coś na siebie w wielkim pośpiechu.

Przez chwilę w pokoju słychać było jedynie chrapliwy oddech mężczyzny w czerni, który w lewej ręce trzymał świecę, a w prawej pistolet o dwóch lufach. Już sam widok broni stanowił wystarczające ostrzeżenie, lecz uwagę Gerwazego zwróciły przede wszystkim

ciemne oczy nieznajomego, które płonęły niezdrowym ogniem znamionującym fanatyka doprowadzonego do białej gorączki.

Przez chwilę te rozplamione oczy nie bez satysfakcji omiały pokój. Krzyki leżącej obok Gerwazego dziewczyny przeszły w szloch. Szczelnie otuliła się kołdrą, twarz zakryła ciemnymi włosami.

- A więc uległeś jej niecnym zakusom. Bóg mnie nią pokarał. Tak, Mary jest przekleństwem mego życia. - Mężczyzna w czerni sztywnym krokiem podszedł do łóżka. Mocny szkocki akcent nadawał jego słowom jeszcze bardziej złowrogie brzmienie. - Nazywam się Hamilton i zostałem wybrany sługą bożym. Robiłem, co tylko w mojej mocy, żeby moja córka zachowała czystość, ale nawet moje żarliwe modlitwy nie były w stanie uratować kobiety, która jeszcze przed narodzeniem została skazana na potępienie. Widziałem, w jaki sposób patrzy na mężczyzn, zdawałem sobie sprawę, że kręcą się wokół niej. Jest jak rujna suka. Została tu posłana, żeby wodzić mężczyzn na pokuszenie. Bóg mi świadkiem, że starałem się uchronić ją przed jej występłą naturą, ale moja rola już się skończyła. Teraz Mary jest twoja.

Zniżył głos do szeptu.

- Tak, jest twoja - powtórzył z dziką satysfakcją. Zatrzymał się przy łóżku, tak blisko, że gorący wosk z jego świecy kapnął na tors Gerwazego. Co dziwne, ubranie Hamiltona, pomimo prostego kroju i czarnej barwy, zdradzało człowieka szlachetnie urodzonego.

Po raz pierwszy w życiu Gerwazy nie był w stanie poruszyć się ze strachu. Czuł zakłopotanie, zmęczenie po whisky i fizyczne niespełnienie. Przez ostatnie dziesięć lat nieustannie dręczyły go koszmary senne, tak że przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest to jeden z nich. Lecz zaraz potem pastor szturchnął go lufą pistoletu. Chłód i twardość metalu były zbyt wyraźne jak na sen.

- Tak, jest twoja, milordzie - powiedział łagodnym tonem, by po chwili wybuchnąć: - Ty przeklęty arystokrato! Skoro nie potrafisz panować nad swoją chucią, moja córka jest odtąd twoja na całe życie, ona i cała jej zgnilizna moralna. - Pastor stał tak blisko, że Gerwazy widział kropelki śliny pryskające z jego ust. - Jesteście siebie warci, a ja nareszcie znowu będę mógł prowadzić godne życie.

Uczucie strachu rozjaśniło umysł Gerwazego. Czuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

- Na litość boską, człowieku, nie wiem, jak to się stało, że ta dziewczyna trafiła do mojego łóżka, ale nie mam z tym nic wspólnego.

Jest nietknięta, tak jak w chwili, kiedy ją tu znalazłem. Jeśli to pańska córka, to proszę ją stąd zabrać.

Oczy mężczyzny pałały; mierzył pistoletem prosto w serce Gerwazego.

- O, nie, sukinsynu - powiedział chrapliwym, nienaturalnym głosem. - Ożenisz się z nią. Może mieć duszę ladacznicy, ale w ludzkich oczach jest niewinna.

Szaleniec zrobił pauzę na zaczerpnięcie tchu. Potem w jego głosie pojawiła się nuta sarkazmu.

- Nawet szlachetnie urodzeni, tacy jak ty, nie mają prawa psuć dziewcząt z dobrych domów. To nie moja wina, że sprowokowała cię swoim zachowaniem. Ożenisz się z nią, i to zaraz, za chwilę. A ja wreszcie się od niej uwolnię.

W scenie jak z najgorszego sennego koszmaru Gerwazy zdał sobie sprawę z dwóch faktów. Po pierwsze, Hamilton był szaleńcem, fanatykiem owładniętym obsesją seksu i poczucia winy. A po drugie, przy całym swoim szaleństwie, niezwykle przebiegle wmanipulował go w kompromitującą sytuację.

Gerwazy przeklinał swą własną głupotę. Ojciec dał mu tylko jedną wskazówkę: nie dać się złapać w pułapkę. Bogaci młodzieńcy, którym krew zbyt szybko krążyła w żyłach i osłabiała rozum, stanowili łatwy łup dla tych, którzy pragnęli udziału w ich bogactwie. To między innymi dlatego Gerwazy zadawał się głównie z łatwymi dziewczynami, takimi jak barmanka; szlachetnie urodzone niewiasty były niebezpieczne.

Barmanka musiała wziąć udział w spisku. Zachowywała się bardzo prowokująco, a gdy połknął haczyk, po prostu zeszła ze sceny. Bez wątpienia otrzymała za to więcej pieniędzy niż za usługę cielesną. Ponieważ wiedział, że w jego łóżku ktoś będzie na niego czekał, nie wyrzucił tej dziewczyny. Coś podobnego przytrafiło mu się kiedyś w wiejskiej rezydencji, ale był wtedy trzeźwy, nie spodziewał się towarzystwa i szybko pozbył się przebiegłej suki, zanim jej matka zdążyła ich „nakryć”.

Gerwazy popatrzył na dziewczynę, której krzyki spowodowały zatrzaśnięcie się pułapki. Doskonale odegrała rolę przerażonej dziewicy. Twarz miała wciąż zasłoniętą włosami, spod których od czasu do czasu dochodził artystyczny cichy szloch. Z pewnością to jej ojciec wszystko zaplanował. Widok perwersyjnego zadowolenia z własnego sprytu na twarzy pastora sprawił, że Gerwazy przestał się kontrolować. Próby dominacji zawsze doprowadzały go do szaleństwa. Nie zważając na konsekwencje, chwycił pistolet obiema rękami i usiłował wyrwać go Hamiltonowi.

Zaskoczony pastor nie stawiał większego oporu, więc Gerwazy zdołał wykręcić mu broń. Jednakże w czasie szamotaniny pastor musiał nacisnąć spust. Rozległ się strzał; broń gwałtownie podskoczyła w rękach Gerwazego, a naboje trafiły w łóżko tuż przy jego boku. Wystarczyłaby drobna różnica w nachyleniu luf, a kule rozerwałyby mu pierś. Jedna z nich



osmaliła mu ramię, nie powodując krwawienia.

Wykorzystując chwilę zaskoczenia i swą szybkość, Gerwazy zerwał się na nogi, zadowolony, że nie zdjął bielizny. Znalazł się w wystarczająco upokarzającej sytuacji; brakowało już tylko tego, żeby musiał paradować nago na oczach publiczności. Pistolet, który trzymał w ręku, był kosztowny, elegancki i śmiertelny, z rodzaju tych, jakie noszą szlachetnie urodzeni, wybierając się do gorszych dzielnic Londynu. To dziwne, że właśnie taką broń miał przy sobie szaleniec z Hebrydów. Skoro pistolet nie przedstawiał już żadnego zagrożenia, Gerwazy rzucił go w kąt.

Mimo że został rozbrojony, a jego ofiara stała przed nim, śmiało spoglądając mu w oczy, Hamilton nie stracił opanowania.

- Nie uda ci się tak łatwo mnie pozbyć - powiedział szorstkim, zdyszczonym głosem. - Skompromitowałeś moją córkę, a ja mam na to świadków. Teraz należy do ciebie.

Gerwazy gotów byłby oddać połowę majątku za zdolność jasnego myślenia. Popatrzył na właściciela gospody.

- Na litość boską, proszę stąd zabrać tego szaleńca. Nie wiem, co sobie ubzdurał, ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Tak, Hayes, chodźcie tutaj - odezwał się na to Hamilton z niezdrową wesołością w głosie. - Ty i twoja żona będziecie świadkami zawarcia związku małżeńskiego.

Gospodarz i jego małżonka dotąd stali w korytarzu, lecz teraz weszli do środka, sztywni i zmartwieni nieszczęściem, jakie spadło na ich gospodę. Za nimi pojawili się inni goście, dyskretnie trzymający się z tyłu.

Gerwazy głęboko zaczerpnął tchu.

- Porozmawiamy o wszystkim rano - powiedział, przybierając wyniosły, arystokratyczny ton. - Środek nocy to nie jest najwłaściwsza pora na zawieranie małżeństw.

- O, nie, mój chłopcze, ożenisz się z nią teraz. - Dzikie oczy były nieubłagane i kryła się w nich dziwna pewność. Najprawdopodobniej chodziło o pieniądze, lecz pastor najwyraźniej miał także poczucie misji. Zapewne sądził, że karanie występnych należy do jego obowiązków, a może po prostu chciał pozbyć się córki, którą jawnie gardził.

- Jeśli chodzi panu o zadośćuczynienie materialne za zdenerwowanie córki, to gotów jestem uścić odpowiednią kwotę - warknął Gerwazy. Nie znosił, kiedy go do czegoś zmuszano, lecz uznał, iż taka reakcja na jawny szantaż jest całkiem rozsądna.

- Zatrzymaj sobie swoje śmierdzące pieniądze - odpowiedział jadowitym tonem Hamilton. - Tylko twoje nazwisko może odkupić twoją podłość. - Wychudzona twarz wykrzywiła się w grymasie mściwej satysfakcji. - Nie mógłbyś poślubić jej tak szybko w

Anglii, gdzie kościół państwowy jest tylko inną nazwą rzymskiej nierządniczy, ale jesteśmy w Szkocji. Nie ma tu żadnej klątwy, nie potrzeba żadnych zezwoleń arcybiskupa. Ci bogobojni ludzie mnie znają i będą świadkami. Oni wiedzą, jak bardzo starałem się, by zachowała czystość. Zdają sobie sprawę, iż nie ponoszę winy za to, że mi się nie udało.

Koszmar pogarszał się. Łatwość zawierania ślubów w Szkocji spowodowała, że Gretna Green, wysunięty najbardziej na południe zakątek kraju, od lat stanowił cel uciekających z domu par. Zgodnie z długą tradycją mężczyzna i kobieta mogli tu wziąć ślub, składając przysięgę w przytomności świadków, tak że małżeństwo zawarte w obecności duchownego z pewnością zyskiwało moc prawną.

Jednak za problemami prawniczymi kryła się prawda, na myśl o której Gerwazy poczuł ścisnienie w żołądku. Duchowny należał do grona szlachetnie urodzonych, a pochodzące z wyższych sfer kobiety, nadające się do małżeństwa, były nietykalne. Niezależnie od tego, czy zastawiono na niego pułapkę, czy nie, został przyłapany z dziewczyną w łóżku i zgodnie z kodeksem obowiązującym wśród ludzi z jego sfery istniało tylko jedno honorowe wyjście.

W gwałtownej walce pomiędzy zmieszaniem, wściekłością i wpojonym weń jeszcze w dzieciństwie poczuciem obowiązku, zwyciężył obowiązek.

Gerwazy nigdy potem nie potrafił odtworzyć w pamięci wszystkich szczegółów ceremonii. Trzymający świecę Hamilton wyrecytował słowa przysięgi małżeńskiej, zatrzymując się tylko na chwilę, by ustalić nazwisko pana młodego. Panna młoda pozostała w łóżku, znieruchomiała ze wstydu lub wskutek doznanego szoku. Gerwazy stał sztywno o kilka stóp od niej, z gołym torsem, oparty plecami o ścianę.

Mary Hamilton niemal niedosłyszalnie bełkotała odpowiedzi, a właściciel gospody i jego żona niepewnie kręcili się w tle, nie mogąc się doczekać końca podejranej ceremonii i zastanawiając się, czy wydarzenia tej nocy nie zrujnują dobrej opinii, jaką cieszyła się dotąd ich gospoda. Po wszystkim Hamilton wyjął pióro, atrament i tak szybko sporządził akt zaślubin, że potwierdziło to podejrzenia Gerwazego, iż został schwytyany w pułapkę i oskubany jak tłusty ptak.

Gdy pastor opuszczał pokój, w jego oczach malował się wyraz triumfu.

- Życzę ci pociechy z tej sukki, Brandelin. - Oblizał wargi czubkiem języka, po czym zachichotał i wyszedł.

Zanim zamknęły się za nim drzwi, Gerwazy zdążył jeszcze polecić Hayesowi:

- Obudź mojego kamerdynera i każ mu przygotować konie i bagaże. Za godzinę wyjeżdżamy.

Właściciel gospody popatrzył na niego tak, jakby ten rozkaz utwierdził go w przekonaniu, że to Gerwazy jest szaleńcem, lecz posłusznie skinął głową i pośpiesznie opuścił pokój. Drzwi się zamknęły i Gerwazy został sam na sam ze swą świeżo poślubioną żoną.

Z wściekłością przekręcił klucz w zamku, co powinien był uczynić od razu po wejściu do pokoju. Gdyby miał na tyle rozumu, żeby zamknąć drzwi, zanim zdjął spodnie, zapewne uniknąłby tej przeklętej farsy. Pokój oświetlała jedynie lampa, którą sam tu przyniósł. Migocący płomyk świadczył o tym, że kończy się olej.

Stanął nad panną młodą i przyjrzał się jej z nieskrywaną pogardą. Była odwrócona do niego plecami i szczelnie otulona kołdrą, która miała skrywać ją jak zbroja. Chwycił ją za ramię i odwrócił tak, by móc jej się przyjrzeć. Była czerwona, napuchnięta, z oczami mokrymi od łez. Nic dziwnego, że ojciec zdecydował się wydać ją za mąż w ten sposób - w normalnych okolicznościach nikt by jej nie chciał. I tylko mężczyzna taki jak Hamilton, mający obsesję na punkcie seksu i grzechu, mógł podejrzewać, że ta nieatrakcyjna dziewczyna może wodzić mężczyzn na pokuszenie.

Gerwazy został wystrychnięty na dudka, a ta mała suka brała w tym udział; inaczej nie byłoby jej w jego pokoju. Ciekawe, ile łóżek odwiedziła w swojej karierze, by wymusić pieniądze? Ile razy krzyczała, udając cnotliwą? Doskonale odegrała swoją rolę, najwyraźniej zleconą jej przez ojca. Gerwazy był z pewnością najbogatszą ofiarą, jaką spotkali na swej drodze, więc przypadł mu wątpliwy zaszczyt poślubienia jej. Chyba że taka scena została odegrana już wcześniej, a mała Mary Hamilton była bigamistką.

Okazało się, że granica pomiędzy złością i namiętnością może być bardzo cienka. Przyglądając się dziewczynie, Gerwazy znów poczuł pożądanie, które osłabło w czasie groteskowego ślubu. Wypita whisky złagodziła poczucie niekonsekwencji i wzmogła podniecenie.

- No cóż, Mary Hamilton - powiedział ostrym tonem. – Chciałaś bogatego męża i udało ci się go złapać. Jeśli nie popełniłaś bigamii, pewnego dnia zostaniesz wicehrabiną St. Aubyn. Czy było to warte tej podłej gry? A może tylko spełniłaś prośbę swego ojca?

Ciemne oczy przyglądały mu się uważnie zza zasłony włosów, lecz dziewczyna nie odpowiedziała. Jej milczenie zdenerwowało go, podobnie jak wszystko inne tej upiornej nocy. Zerwał z niej kołdrę, odkrywając chude ciało w nocnej koszuli. Gwałtownie zaczerpnęła tchu i usiłowała zakryć się kołdrą, lecz chwycił ją za nadgarstek; wyczuł delikatne kostki.

Nie mieściło mu się w głowie, że ta młoda dziewczyna może być tak dwulicowa, jednakże nawet nie starała się zaprzeczyć oskarżeniom. W migocącym świetle dostrzegł

niepewny uśmiezek za splątanymi włosami. Jej zadowolenie z siebie wzmogło jego gniew i pogardę.

- O, nie, moja droga - powiedział cicho tonem pogróżki. - Już za późno na odgrywanie niewiniątka. Masz, czego chciałaś... a nawet więcej. Dobrze wiesz, co to znaczy być dziwką. Teraz pokażę ci, co to znaczy być żoną.

Dziewczyna skuliła się. Jej ciemne oczy rozszerzyły się ze strachu, lecz nie próbowała uciekać, kiedy zwałił się na wysokie łóżko. Uwolniwszy jej nadgarstek, położył się na niej, mając wrażenie, że miażdży jej kruchą figurkę swym mocnym, muskularnym ciałem. Przygwoździł ją do materaca i uniósł nocną koszulę. Miała figurkę dziecka i była zupełnie niepodobna do bujnych, rozłożystych kobiet, jakie mu się podobały, ale w obecnym stanie umysłu, owładnięty ślełą furją, nie zwracał na to uwagi. Wystarczyło mu, że była kobietą, a on miał ochotę wziąć tradycyjny odwet za zdradę. Suka będzie musiała zapłacić za to, co zrobiła mu wraz z ojcem. W końcu była teraz jego żoną i ten jeden jedyny raz zamierzał skorzystać ze swoich mężowskich praw.

Z początku była bierna. Bez oporu rozłożyła nogi i poruszyła się pod nim, mówiąc coś, czego nie był w stanie zrozumieć. Być może była podniecona. Gerwazy wcale się nad tym nie zastanawiał i w ogóle go to nie interesowało; trudno byłoby znaleźć chwilę, kiedy mniej zależało mu na zadowoleniu partnerki. Cała złość skupiła się w tym mściwym pożądaniu. Pogrzyżył się w niej jednym mocnym pchnięciem.

Jej suche, ciasne wnętrze stawiało mu opór; poczuł ból, który jednak był niewielki w porównaniu z jej bólem. Mary Hamilton szarpnęła się gwałtownie i krzyknęła. Jej ostry udręczony głos rozległ się tuż przy jego uchu. Bezwiednie nakrył jej usta dłonią, a wściekłość ustąpiła miejsca przerażeniu, gdy uświadomił sobie, co się stało. Ugryzła go w rękę, ale było już za późno, by się wycofać. Nie panował nad swoim ciałem; po kilku gwałtownych ruchach osiągnął spełnienie.

Gdy wlał w nią swe nasienie, gniew ustąpił. Gerwazy nigdy dotąd nie był z dziewczyną, ale wiedział wystarczająco wiele, by zdać sobie sprawę z tego, co się stało. Kiedy się wycofał, był umazany krwią. Zmieszany, pomyślał, że niezależnie od tego, jakie były winy Mary Hamilton, z pewnością nigdy dotąd nie spała z mężczyzną.

Żona nie spoglądała już na niego apatycznym wzrokiem; odwróciła się od swego prześladowcy, podkuliła drobne kończyny i zaniósła się szlochem.

Kręciło mu się w głowie. Położył się na plecach, nakrył oczy ręką i starał się uregulować oddech. Odzyskawszy zdolność myślenia, zrozumiał swą winę i poczuł straszliwy niesmak. Zachował się jak zwierzę i wykorzystał bezbronną kobietę. Dziewczyna brała udział

w spisku mającym na celu złapanie go w pułapkę i bez wątpienia miała wiele na sumieniu, ale nie zasłużyła na takie potraktowanie.

Kiedy oszołomienie ustąpiło, usiadł i ukrył twarz w dłoniach, walcząc z uczuciem pogardy do samego siebie. W końcu, potwornie zmęczony, uniósł głowę i przyjrzał się świeżo poślubionej żonie.

Chociaż nie miał doświadczenia z dziewczycami, zorientował się, że powinien jej pomóc, więc wstał i sięgnął po płócienną ścierkę wiszącą przy taborecie z miednicą, złożył ją i podał dziewczynie.

- Włóż to pomiędzy nogi i mocno zaciśnij uda.

Popatrzyła na niego zza zasłony włosów, a po chwili drżącą ręką sięgnęła po ścierkę i zrobiła, co jej polecił.

Okrył ją kołdrą i zdał sobie sprawę, że dziewczyna jest bardzo młoda. Prawdopodobnie miała najwyżej czternaście lat. Czy kiedy ojciec objaśniał jej swój plan, wiedziała, co to jest małżeństwo? A może po prostu myślała, że to tylko zabawa, dzięki której będzie miała klejnoty i modne stroje?

- Popatrz na mnie. - Chociaż Gerwazy odezwał się łagodnym tonem, drgnęła i skurczyła się. Ujął jej podbródek i zwrócił twarz do siebie. Dziewczyna była zupełnie załamana; wydawało się, że nie ma siły na niego patrzeć. - Nie płacz - powiedział zmęczonym głosem. - Nic ci już nie zrobię. Posłuchaj uważnie, bo nie mam zamiaru powtarzać tego, co powiem. Nie chcę cię więcej widzieć. Moim prawnikiem jest John Barnstable. Możesz do niego pisać na adres Inner Tempie w Londynie. Powiadomię go o tym przekłętym „małżeństwie”, a on zadba o to, żebyś dostała odpowiednie uposażenie. Będzie całkiem pokaźne, tak że dzięki moim pieniądzom ty i twój ojciec będziecie mogli żyć wygodnie do końca swoich dni. Ale pod jednym warunkiem.

Dziewczyna patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Zaniepokoił się.

- Rozumiesz, co do ciebie mówię? Chyba znasz angielski? – Wielu Szkotów mieszkających na wyspach posługiwało się jedynie celtyckim, miał jednak nadzieję, że córka pastora została odpowiednio wykształcona. Kiedy pokiwała głową, ciągnął lodowatym tonem: - Nie chcę cię już więcej widzieć i nie chcę mieć o tobie żadnych wiadomości. Jeśli kiedykolwiek zbliżysz się do Londynu albo do którejś z posiadłości St. Aubynów, odetnę ci dopływ pieniędzy. Czy wyrażam się jasno?

Znów nieznacznie pokiwała głową. Gerwazy przyjrzał się jej spod zmrużonych powiek i z przerażeniem zdał sobie sprawę, że jej twarz jest bardzo dziwna. Dziewczyna nie była normalna, miała przygaszone spojrzenie, w ogóle z jej oczami coś było nie tak.

Zgwałcone dziecko było niewinną istotą, zbyt ociążałą umysłowo, by zrozumieć, co zaplanował dla niej ojciec.

Uwolnił jej podbródek, jakby go parzył, i wstał, walcząc z uczuciem mdłości. Zrozumiał ogrom swojej winy. Wymuszenie współżycia na knującej coś młodej dziewicy było czynem godnym najwyższej pogardy, mimo że prawnie była ona jego żoną, lecz zgwałcenie istoty zbyt upośledzonej, by mogła zrozumieć, dlaczego została wykorzystana, było grzechem równie niewybaczalnym jak ten, który popełnił w wieku trzynastu lat.

Zimnymi, drżącymi dłońmi wciągnął ubranie, myśląc jedynie o tym, by jak najszybciej wydostać się z tego potwornego miejsca. Dziewczyna skuliła się na łóżku i tylko spojrzenie dziwnych, szklanych oczu dowodziło, że żyje. Jako że najwyraźniej była ociążałą umysłowo i zapewne niezdolna zapamiętać jego słów, Gerwazy sięgnął po pióro i atrament, które zostały wykorzystane do sporządzenia aktu małżeństwa. Na odwrocie jednej ze swoich wizytówek drukowanymi literami napisał nazwisko i adres swego prawnika, po czym dopisał:

*Hamilton: Proszę nigdy jej do mnie nie przywozić. Nie wolno jej posługiwać się moim nazwiskiem. Po chwili dopisał: Proszę o nią dbać; jeśli dowiem się, że nie żyje, nic Pan ode mnie nie otrzyma.*

To powinno zapewnić należyte traktowanie jej przez ojca, gdyż w jego interesie będzie leżało to, by była zdrowa i bezpieczna. Pachniała świeżością - prawdopodobnie ojciec zapewnił jej już jakąś opiekunkę. Na tym odludziu wynagrodzenie stałej służącej zapewne zbytnio nie obciążało kieszeni.

Gerwazy wstał i położył wizytówkę na stole. Dziewczyna trzęsła się na całym ciele. Wyjął koc z szafy. Kiedy ją nim okrywał, dostrzegł w jej oczach strach. Zacisnął wargi. Musiał pogodzić się z faktem, że zasłużył sobie na taką reakcję.

Odprowadziła go wzrokiem. Przystanął w drzwiach i popatrzył na nią. Jego żona przypominała zwierzę zastygłe z przerażenia przed drapieżnikiem.

- Przepraszam - wydusił przez ściśnięte gardło.

Te słowa były potrzebne bardziej jemu niż nieszczęsnej dziewczynie, która zapewne nie miała pojęcia, co się dzieje. Gerwazy miał nadzieję, że biedaczka niedługo zapomni o tym, co się stało. Nawet nie próbował sobie wmawiać, że on także o tym zapomni.

Pięć godzin później Gerwazy i jego służący Bonner płynęli łodzią rybacką w stronę kontynentu. Małomówny Bonner był niegdyś ordynansem w wojsku, więc otrzymawszy polecenie milczenia na temat wydarzeń minionej nocy tylko skinął głową i szybko zajął się pakowaniem dobytku pana. Gerwazy czekał na zewnątrz, nie chcąc przebywać w tym samym pokoju co żona ani chwili dłużej, niż było to konieczne.

Gerwazy siedział w łodzi z nieruchomą twarzą, rozpaczliwie usiłując walczyć z ogarniającym go uczuciem nienawiści do samego siebie. Zdawał sobie sprawę, że to, co się wydarzyło, praktycznie nie będzie miało większego znaczenia. Tysiąc funtów rocznie, które zamierzał przekazywać dziewczynie, zapewni dostatnie życie jej i odrażającemu ojcu, nie powodując większego uszczerbku w budżecie. Choć większość mężczyzn przeklinałaby utratę prawa wyboru małżonki, ten fakt wcale go nie zasmucił. Już od dziesięciu lat był pewien, że nigdy nie będzie w stanie się ożenić.

Jednakże nic nie było w stanie wymazać jego winy i z przerażeniem myślał o nieszczęśliwej zgwałconej dziewczynie. Ani słuszny gniew, ani whisky nie mogły usprawiedliwić jego przemocy i gwałtowności. To wydarzenie było kolejnym krzyżem, który będzie musiał dźwigać na swych barkach. Dręczony przez poczucie winy z politowaniem pomyślał o swoim postanowieniu udania się do Indii i uwolnienia się od przeszłości przez rozpoczęcie nowego życia. Być może Hamilton miał rację, a niektórzy ludzie skazywani są na potępienie jeszcze przed swymi narodzinami.

Gerwazy nigdy nie ufał intuicji, lecz patrząc na oddalający się brzeg wyspy Mull, ledwie widoczny w porannej mgle, czuł, że jest skazany na zgubę i że kiedyś w przyszłości zapłaci wysoką cenę za swą głupotę i niewybaczalną utratę panowania nad sobą.

*Yorkshire, styczeń 1806*

Wysoko położone wrzosowiska w Yorkshire są nieustannie chłostane wiatrem, wiosną łagodnym i pełnym nadziei jak obietnica, latem czułym jak pieśczoła kochanka, jesienią przykrym, jakby dręczonym wyrzutami sumienia. Teraz, w środku zimy, wiatr był lodowaty i przenikliwy, trzaskał okiennicami, zagrażał drzewom i dowodził nietrwałości ludzkich budowli. Lecz High Tor Cottage przez stulecia dzielnie opierała się jego atakom i była ciepłą przystanią dla jej mieszkańców.

Gdy synek zamknął swe niebieskie oczy, Diana Lindsay delikatnie pogładziła go po ciemnych jedwabistych włosach, a potem usiadła na krześle przy łóżku, czekając, aż mocno zaśnie. Pięcioletni Geoffrey był bardzo żywym, wymagającym i niekiedy denerwującym chłopcem. Przez większość czasu nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo go kocha, lecz w chwilach takich jak ta, po silnym napadzie epilepsji, przepełniała ją czułość i świadomość tego, jak cenne i kruche jest życie jej dziecka. Mimo rozmaitych kłopotów, które niekiedy doprowadzały ją na skraj rozpacz, myśląc o chorobie syna, Diana szczególnie cieszyła się cudowną obecnością dziecka w jej życiu.

Kiedy oddech Geoffreya stał się równy i spokojny, wstała i wyszła z pokoju. Mogłaby spędzić całą noc obserwując synka, lecz byłoby to zwykłe folgowanie swoim zachciankom. Już teraz, na wiele lat przed dniem, w którym syn podejmie samodzielne życie, Diana wiedziała, jak trudno będzie jej pozwolić mu odejść, kiedy przyjdzie na to czas. Wyjście z pokoju tej nocy było więc po prostu jednym z tysięcy małych kroczków, jakie już teraz podejmowała, by przygotować się na dzień, w którym Geoffrey będzie należał bardziej do siebie niż do niej.

Wychodząc z niewielkiej sypialni syna na korytarz, usłyszała, że wiatr przybiera na sile, a okiennice stukają, jakby protestując przeciwko nadchodzącemu sztormowi. Choć była dopiero czwarta po południu, ściemniło się na tyle, że nie widziała zabudowań gospodarskich po drugiej stronie podwórza.

Zazwyczaj Diana z radością witała zimowe sztormy, ciesząc się samotnością i spokojem wśród wysokich pagórków porośniętych wrzosem, kiedy pogoda uniemożliwiała wyprawy do wioski. Czowała się wtedy bezpiecznie, bo skoro mieszkańcy chaty nie mogli z niej wyjść, to z pewnością nie groziło im też żadne zagrożenie z zewnątrz. Właśnie poczucie bezpieczeństwa było nagrodą za monotonię życia w odległym zakątku Yorkshire. Lecz tego popołudnia w chacie było zbyt cicho niezależnie od wiatru, i z jakichś niejasnych powodów



Diana odczuwała niepokój.

W kuchni naląła sobie filiżankę herbaty i usiadła, by rozkoszować się samotnością. Trzecią osobą mieszkającą w chacie była Edith Brown, która silnie się przeziębila i Diana doradziła jej położenie się do łóżka jeszcze przed kolacją. Edith oficjalnie była najętą gospodynią, ale stała się również przyjaciółką i nauczycielką Diany. Obie kobiety dzieliły się obowiązkami związanymi z prowadzeniem gospodarstwa, poczynając od gotowania i dojenia krów, po wychowywanie dziecka.

Diana nie musiała śpieszyć się z dojeniem. Oprócz tego miała tylko kilka ubrań do zacerowania. Mogła spędzić wieczór na czytaniu lub cichym graniu na pianinie. Ta perspektywa powinna ją ucieszyć, lecz tego wieczoru czuła dziwny niepokój, choć zupełnie nie wiedziała, z jakiego powodu. Mocne mury chaty z szarego kamienia od ponad dwustu lat dzielnie opierały się sztormom; był też zapas jedzenia i opału na kilka tygodni.

A jednak cały czas podchodziła do okna, za każdym razem dostrzegając za nim jedynie wirujące płatki śniegu. Bezwiednie odgarnęła kasztanowe pasma włosów z twarzy i zastanowiła się nad przyczyną swego niepokoju. Już niejednokrotnie przekonała się, że nie należy lekceważyć takich uczuć. Ostatnim razem poczuła takie ostrzeżenie, kiedy Geoffrey miał dwa latka. Diana myślała, że mały śpi, lecz nagle, ogarnięta panicznym lękiem, wybiegła z domu akurat w porę, by wyciągnąć synka ze strumienia, do którego wszedł, by się pobawić, potknął się, upadł i o mały włos nie utonął.

Na wspomnienie tego wydarzenia serce zaczęło walić jej w piersi jak oszalałe. Usiadła w fotelu przy kominku. Zamknęła oczy i usiłowała się odprężyć, by bez reszty wsłuchać się w swoje odczucia. Starła się choć przez chwilę nie niepokoić się o Edith i Geoffreya i inne codzienne problemy. Pozostało jej wtedy mgliste, nieznanne dotąd uczucie, którego nie potrafiła nazwać. Nie chodziło o nadchodzące niebezpieczeństwo; była pewna, że nic nie zagraża jej niewielkiemu gospodarstwu.

Czuła jednak, że wraz ze sztormem zbliża się coś albo ktoś. Splotła palce i jeszcze raz zmusiła się do tego, by się odprężyć. W przebłysku intuicji zrozumiała, że zbliża się coś, czego się boi, lecz i oczekuje zarazem. Tak, teraz była już pewna - nadchodziła zmiana w jej życiu.

Madeline Gainford urodziła się i wychowała w tej północnej części Anglii, ale zdążyła już zapomnieć, jak mocno wieje tu wiatr. Miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy stąd wyjechała, a wtedy w jej żyłach płynęła młoda, gorąca krew. Teraz przekroczyła już czterdziestkę i kiedy powóz zatrzymał się w Cleveden, wioska, w której spędziła dzieciństwo, wydała jej się dziwnie obca. Tymczasem Cleveden prawie w ogóle się nie zmieniło; to ona

była zupełnie inną osobą.

Powóz był prawie pełny, tak że stangret pozwolił jej tylko na zabranie niewielkiej miękkiej torby na ramię. Zostawiła kufer podróży w gospodzie w Leyburn, nie chcąc czekać na inny środek transportu, jako że nadchodzący sztorm mógł uwięzić ją na wiele dni wśród obcych. Tymczasem Madeline nade wszystko pragnęła umrzeć wśród przyjaciół.

Szczelnie otuliła się okoloną futrem peleryną, usiłując wymazać z pamięci nieprzyjemną rozmowę, którą odbyła ze swą owdowiałą siostrą. Były sobie kiedyś bardzo bliskie, dopóki Madeline nie opuściła domu w nielasce. Listy, które potem rzadko wymieniały, były związane i rzeczowe, lecz Madeline sądziła, że w ciągu minionych lat przesłała siostrze tyle pieniędzy, że powinna zostać życzliwie przyjęta w domu rodzinnym. Isabel młodo owdowiała i gdyby nie finansowe wsparcie ze strony Madeline, żyłaby z czworgiem dzieci w biedzie.

Kiedy Isabel Wolfe otworzyła drzwi, znieruchomiała na widok starszej siostry, jednak zaskoczenie nie trwało długo, wyparte przez gniew i oburzenie. W kilku gwałtownych zdaniach oświadczyła, że chociaż wspinałomyślnie przyjmowała pieniądze, którymi siostra starała się okupić swą winę, to z pewnością nie dopuści do tego, by jej dzieci zamieszkały pod jednym dachem z dziwką. Ostatnie gorzkie słowa do tej pory dźwięczały w uszach Madeline: „Jak człowiek sobie pościele, tak się wyśpi, a przez twoje łóżko przeszła cała armia mężczyzn”.

Madeline nie przypuszczała, że słowa mogą sprawić aż taki ból, ale też nigdy dotąd nie została nazwana dziwką przez własną siostrę. Dopiero utraciwszy nadzieję, zdała sobie sprawę, jak bardzo liczyła na to, że znajdzie ciepłą przystań u siostry. Jej rozpacz i ból były tak silne, że omal nie osunęła się na ziemię, jednak chęć ucieczki okazała się silniejsza. Mogła sobie zapewnić schronienie niemal w każdej z pozostałych chat, czyż jednak miało sens kupowanie sobie kilku miesięcy życia przepełnionego cierpieniem, spędzonego wśród niechętnych jej obcych?

Zarzuciwszy pasek torby na ramię, Madeline wspięła się wyboistą ścieżką obok strumienia. Jako mała dziewczynka często tu przychodziła, kiedy udało jej się uwolnić od obowiązków, i w pustej dolinie marzyła o świecie roztaczającym się poza Cleveden. Teraz dostrzegła ukryte znaczenie w tym, że po raz ostatni ucieka tą ścieżką.

Na otwartym terenie wiatr był jeszcze silniejszy. Lodowate płatki śniegu siekły jej twarz, a potem opadały na ziemię, tworząc biały kobierzec. Chociaż było już prawie zupełnie ciemno, słabe światło rozproszone na śniegu pozwalało jej posuwać się naprzód. Mimo że nie było jej tu przez wiele lat, bezbłędnie rozpoznała ciężkie, wilgotne powietrze, zwiastujące

potężną śnieżycę, która mogła odciąć wioskę od świata na wiele dni, a nawet tygodni.

Madeline wiedziała o tym, że śmierć przez zamarznięcie jest bezbolesna, chociaż zastanowiło ją, któż to taki powrócił z krainy umarłych, by polecić ten rodzaj rozstania się ze światem. Uśmiechnęła się na tę myśl, zadowolona, że zostały jej resztki poczucia humoru.

Była naiwna, spodziewając się, że Isabel okaże się inna, zresztą Madeline nie miała siły, by żywić urazę do siostry.

Zaskoczyło ją, jak daleko zdołała dojść, zanim zmęczenie sprawiło, że przystanąła pod osłoną karłowatych drzew. Miała ochotę usiąść. Powinna była wybrać drzewo rosnące bliżej wioski, ale zawsze wolała działać, niż biernie czekać, i potwierdziło się to nawet teraz.

Śnieg sypał coraz gęściej. Dookoła panowała cisza, jaką zapamiętała z dzieciństwa. Była w świecie samotna zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Ciepłe, ciężkie poły peleryny odgradzały ją od twardej ziemi. Stęskniła się za śniegiem; w Londynie było go bardzo niewiele, a jeśli już spadł, to niedługo pozostawał biały. No i oczywiście Londyn nigdy nie był cichy i spokojny.

Oparłszy się o pień drzewa, Madeline zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać, jak długo będzie musiała czekać, aż zapadnie w wieczny sen. Podobno umierającemu przesuwają się przed oczami sceny z całego życia, lecz myślała przede wszystkim o Nicholasie. Oczami wyobraźni widziała ból i gniew wykrzywający jego pociągłą twarz na wieść o tym, że odeszła. Być może nawet będzie próbował jej szukać, ale o tym, dokąd się udaje, powiedziała tylko swojemu adwokatowi i w ogóle tylko on wiedział, skąd pochodziła. Kurtyzany nigdy nie zanudzają swych protektorów opowieściami na temat swojego dzieciństwa.

Po raz pierwszy poczuła łzy spływające po policzkach, zimne w lodowatym wietrze. Z Nicholasem łączyło ją coś więcej niż wzajemne usługi; w przeciwnym razie nie uciekłyby od niego. Gdyby została w Londynie, nie pozwoliliby jej zrezygnować ze swego towarzystwa. Lecz miała swoją dumę i nie mogła znieść myśli, że Nicholas będzie patrzył, jak marnieje, bezpowrotnie tracąc resztki urody. Poza tym mimo wszystko Nicholas mógł ją porzucić, co sprawiłoby jej tym większy ból. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że zostałyby z nią aż do końca. Jego ból pogłębiałby jej męczarnie, a świadomość, że cierpi, obserwując umierającą kochankę, byłaby dla niej nie do zniesienia. Kochała go i chciała oszczędzić mu tych przeżyć.

Westchnęła głęboko i przyłożyła rękę do piersi, nie wiedząc, czy ból jest fizycznej, czy psychicznej natury. Wyczuła twardy guz pod palcami. Szybko cofnęła rękę, nie chcąc mieć kontaktu z obcym tworem, który odbierał jej życie; wkrótce to, czy źródłem bólu jest jej ciało, czy dusza, przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Ciszę mąciło tylko zawodzenie wiatru. Dookoła panował spokój, o jakim marzyła. Jej ciemnoniebieska peleryna była teraz przyprószona bielą. Madeline zastanawiała się, czy ktoś znajdzie woreczek z klejnotami i złotem pod suknią, czy też zwierzęta najpierw rozwloką jej kości. Wolałaby, aby jej skarby odnalazł ktoś będący w potrzebie, niż żeby miały przypaść Isabel. Z goryczą pomyślała, że nie chciałyby już więcej psuć swojej siostry jakimkolwiek bogactwem.

Myślenie o przemijającej piękności, spokojnie gasnącej pośród śnieżnej zadymki, wprawiło Madeline w poetyczny nastrój. Minęło sporo czasu i zdołała odzyskać trochę sił. I wtedy nastąpił jeden z wielu nieoczekiwanych zwrotów w jej życiu. Doszła do wniosku, że nie ma jeszcze ochoty umierać. Nigdy nie poddawała się łatwo. Gdyby było inaczej, umarłaby w jakimś przytułku jeszcze przed ukończeniem dwudziestu lat. Czekanie na śmierć okazało się bardzo nudne, a Madeline ponad wszystko nie cierpiała nudy.

Miała jeszcze tyle sił, że zdołała się roześmiać. Chwyciwszy się najniższej gałęzi drzewa, wstała i rozprostowała swe zziębnięte ciało. Miała zupełnie sztywne stopy. Zdała sobie sprawę, że za późno podjęła decyzję o zmianie planów. Nie miała już szans na to, by wrócić do wioski, a w pobliżu było bardzo niewiele domostw. Postanowiła jednak spróbować. Mglisto przypominała sobie starą chatę, w której za czasów jej dzieciństwa mieszkała sędziwa staruszka. Po jej śmierci High Tor Cottage stała pusta. Prawdopodobnie wciąż była niezamieszkała, chociaż zapewne i tak stała za daleko.

Nie było jednak żadnej innej możliwości schronienia, więc Madeline ruszyła ścieżką, niemal już niewidoczną pod śniegiem. Z trudem odnajdywała drogę, bo kierunek wyznaczały jedynie nagie drzewa. Zdażyła już zwątpić, czy znajdzie jakieś schronienie, prawdę mówiąc przestało ją też to obchodzić. Pomyślała jednak, że przynajmniej śmierć będzie musiała trochę się namęczyć, zanim zamachnie się swą kosą. Niech ją diabli, jeśli ułatwi pracę kostusze.

Oczywiście Isabel powiedziałyby, że już dawno wzięli ją diabli.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Diana wyszła do obory. Gwałtowny podmuch wiatru rzucił ją o drzwi, tak że nie mogła złapać tchu. Kurczowo chwyciła klamkę i próbowała coś dojrzeć przez wściekle wirujący śnieg. Widoczność nie była większa niż na wyciągnięcie ręki. Dzięki Bogu Edith dopilnowała, by na czas zimy rozciągnęli sznur pomiędzy domem i oborą. Dzisiaj okazał się niezbędny. Diana powoli posuwała się naprzód, przesuając po nim lewą dłońią; w prawej trzymała latarnię. Napadało już śniegu po kostki i nie od razu udało się jej otworzyć drzwi.

W oborze było względnie ciepło. Kiedy Diana weszła do środka, usłyszała ciche popiskiwanie kurcząt. Zawiesiła latarnię u powały, zdjęła rękawice i zaczęła przygotowywać

się do dojenia. Roztarła zziębnięte dłonie i rozejrzała się, sprawdzając, czy wszystko znajduje się na swym miejscu. Nawet w tym niewielkim gospodarstwie każda rzecz była z początku dla niej obca i Edith musiała ją wszystkiego uczyć, jakby była dzieckiem. Pokazywała Dianie krowy, zapewniając ją, że zwierzęta nie zrobią jej krzywdy, mimo iż są takie duże. Teraz Diana z zadowoleniem wciągała w nozdrza ostry zapach zdrowego bydła, zmieszany ze słodkawą wonią siana.

Kiedy doła krowy, wiatr przybrał na sile, i gdy wyszła z obory, zachwiała się pod nagłym podmuchem, omal nie wylewając mleka. Powoli posuwała się wzdłuż sznura, trzymając w jednym ręku wiadro z mlekiem, a w drugim latarnię. Doszła już do drzwi, kiedy pośród wichury usłyszała jakieś wołanie. Niewiele brakowało, a uznałaby je za jeszcze jeden odgłos upiornej nocy, lecz kiedy otwierała drzwi, krzyk się powtórzył.

Uważnie rozejrzała się dookoła, dostrzegając tylko płatki śniegu. Pomyślała, iż zapewne usłyszała tylko odgłos wiatru wśród budynków, lecz gdy przestąpiła próg, znów rozległo się wołanie, tym razem tak przejmująco ludzkie, że przystanęła. Wyjście naprzeciw wołającemu groziło zgubieniem drogi, lecz nie mogła przecież zostawić człowieka w potrzebie na pastwę losu.

Po chwili zastanowienia Diana postawiła wiadro z mlekiem w sieni i wróciła do obory. Podobnie jak większość mieszkańców wsi, miała spory zapas sznura i mogła związać linę o długości co najmniej stu jardów. Znów wyszła na zewnątrz i trzymając sznur w lewej dłoni, wysoko uniosła latarnię.

- Jest tam kto?

Ponownie usłyszała krzyk przedzierający się przez wiatr, więc ruszyła w stronę, z której dobiegał. Oświetlanie zwałów śniegu pod stopami nie miało sensu, więc uniosła latarnię wysoko nad głowę w nadziei, że ktoś nadchodzący ją zauważy. Mimo iż była na swoim terenie, z trudem znajdowała drogę wśród śniegu, a raz osunęła się na kolana, w ostatniej chwili ratując latarnię przed roztrzaskaniem się.

Gdy rozwinęła już całą długość sznura, zamachała latarnią i zaczęła nawoływać tak głośno, że wkrótce ochrypła. Kiedy była już bliska poddania się, z ciemności wyłoniła się ciemna sylwetka w pelerynie z kapturem. Diana otoczyła ramieniem kruchą kobietę, wyraźnie znajdującą się u kresu sił.

- Da pani radę dojść? To niedaleko! - zawołała, starając się przekrzyczeć wiatr.

Kobieta pokiwała głową, po czym z widocznym wysiłkiem wyprostowała się i chwyciła ramię wybawicielki. W przenikliwym zimnie droga wydawała się nie mieć końca. Zanim dotarli do obory, Diana zdążyła przemarznąć do szpiku kości. Bóg jeden wie, jakim

cudem ta kobieta zdołała tutaj dotrzeć. Jak długą drogę mogła przebyć tej potwornej nocy?

Ostatnie sto stóp przemierzyły w ślimaczym tempie. Kiedy wreszcie znalazły się w kuchni, Diana była bliska omdlenia. Zaniepokojona dziwnymi odgłosami Edith zeszła do kuchni, pośpiesznie zawiązując szlafrok.

- Diano, co tu się...?

- Usłyszałam, jak wołała, kiedy skończyłam dojenie. Musiała zobaczyć latarnię - wydyszała Diana, prowadząc kobietę na fotel przy kominku. Mimo że peleryna była obsypana śniegiem, nieznajoma i tak prezentowała się nadzwyczaj okazale. Co też ta dama robiła tu w środku takiej nocy?

Diana zsunęła kaptur z głowy i oparła się o ścianę obok szerokiego kominka, starając się spokojnie oddychać. Chyba nigdy dotąd w pełni nie doceniła ciepła swej obszernej kuchni, błyszczącej miedzianymi garnkami i przepelnionej zapachem splecionej w warkocze cebuli i pęków ziół wiszących u sufitu.

Edith była jak zwykle nieoceniona w potrzebie; szybko postawiła garnek z wodą na ogniu, zsunęła oszronioną pelerynę z ramion nieznajomej i zaczęła łagodnie rozcierać jej zbliałe dłonie. Kiedy woda zagotowała się, Edith zaparzyła herbatę, a potem dodała do niej cukru i wlała sporą ilość brandy. Gospodyni zbliżała się do pięćdziesiątki, splatała siwe włosy w warkocz, przerzucony przez ramię i opadający na ciemnozielony szlafrok. Surowe rysy twarzy szpeciła sina blizna biegnąca wzdłuż lewego policzka. Była to kobieta małowówna, lecz nieliczne wypowiedane przez nią słowa kryły głęboką mądrość, a pozorna oschłość skrywała złote serce.

Diana chwyciła podany przez Edith kubek w zgrabiałe ręce, ciesząc się jego ciepłem. Gospodyni wlała łyżeczkę mikstury w usta nieznajomej, która zakrztusiła się, lecz już po chwili piła z kubka, który Edith przystawiła jej do warg.

Diana z zaciekawieniem przyglądała się kobiecie, patrząc na smugi pary unoszące się z przemoczonej peleryny. Nieznajoma była niezwykle chuda, ale w młodości musiała być bardzo piękna. Owalna twarz nosiła ślady dużej urody nawet teraz, w średnim wieku, a ciemnobrązowe włosy jedynie nieznacznie były przyprószone siwizną. Była prawie nieprzytomna, a duże orzechowe oczy wyrażały dezorientację.

- Połóż ją w moim łóżku - powiedziała Diana głosem tak słabym, że dziwnie brzmiał nawet w jej uszach. - Będę spała z Geoffreyem.

Dopiła herbatę i weszła na górę, wiedząc, że Edith wszystkim się zajmie. Drząc na całym ciele, przebrała się w koszulę nocną i położyła obok Geoffreya. Sześćioletni już prawie chłopiec przytulił się do niej i wkrótce zasnął.

Jeśli Madeline nie przesunęły się przed oczami sceny z całego życia, kiedy siedziała pod drzewem, czekając na śmierć, to miała ich pod dostatkiem w czasie koszmarnych snów w gorączce. Te męczące sny przeplatały się z okresami półświadomości, w czasie których mgliście zdawała sobie sprawę, że słyszy jakieś kobiece głosy. Czyjeś łagodne ręce podawały jej lekarstwa, ocierały zroszone potem czoło i okrywały kocem, kiedy trzęsła się w gorączce.

Potem odzyskała przytomność, ale była tak słaba, że ledwie mogła unieść dłoń. Stwierdziła jednak, że ustąpiły bóle w piersiach. Znajdowała się w niewielkim pokoju o pobielanych ścianach. Była noc, a ciemność rozpraszało jedynie światło świecy stojącej na stoliku przy łóżku. Najpierw popatrzyła na migocący płomyk, a potem powoli uniosła wzrok na szyjącą kobietę.

Pomyślała, że nadal śni, a może nawet już umarła. Czy po śmierci budzimy się w niebie ze swym Aniołem Stróżem u boku? Uznała to za bardzo prawdopodobne, jako że kobieta siedząca przy łóżku była najpiękniejszym stworzeniem, jakie Madeline kiedykolwiek widziała. Jednakże trudno było spodziewać się, że niebiańska istota będzie tak emanować erotyzmem; najwyraźniej Madeline udała się w innym kierunku.

Usłyszawszy poruszenie pacjentki, młoda kobieta uniosła wzrok. Miała niesamowicie niebieskie oczy. Madeline podziwiała piękne rysy twarzy w kształcie serca i gęste, błyszczące kasztanowe włosy. Praktyczna granatowa sukienka z wełny nie była w stanie zamaskować drobnokościstej figurki, łączącej szczupłość ze wspaniałością kobiecych kształtów, które w Londynie przyniosłyby ich posiadaczce ogromną fortunę. Madeline skarciła się w duchu za swe nieprzyzwoite myśli; wprawdzie dziewczyna była piękna i kusząca tak, że mogła śmiało stawić czoło uznanym pięknościom angielskiego półświatka, lecz urodziwa twarz emanowała naturalną słodyczą i niewinnością Madonny.

Zauważywszy, że pacjentka otworzyła oczy, młoda kobieta uśmiechnęła się i odłożyła robótkę. Przyłożyła dłoń do czoła Madeline.

- Najgorsze już minęło. Bardzo się o panią martwiłyśmy.

Jej głos był równie miły jak cała jej postać, a chociaż ciemna sukienka zapięta pod szyją miała w sobie kwakerską surowość, sposób mówienia i akcent pasowały do londyńskich salonów.

- Napije się pani czegoś?

Madeline pokiwała głową, gdyż zaschło jej w gardle. Kobieta pomogła jej się podnieść i przystawiła do jej warg szklanekę herbaty z cytryną. Słodki smak miodu miał kojącą moc.

- Dziękuję, teraz jest dużo lepiej - wyszeptała Madeline po kilku łykach.

Młoda kobieta poprawiła poduszki i odstawiła szklanę.

- Jestem Diana Lindsay - powiedziała, jakby przewidując pytanie Madeline. - Znajduje się pani w High Tor Cottage, niedaleko od Cleveden. Miała pani gorączkę przez trzy dni.

- Ostatnią rzeczą, jaka pamiętam, było światło, które zobaczyłam w śniegu, i to, że starałam się do niego dojść. Czy to była pani?

Diana przytaknęła.

- Tak, dołam krowy. Kiedy wyszłam z obory, usłyszałam pani wołanie i wyszłam zobaczyć, co się dzieje.

Trudno było sobie wyobrazić tak śliczną istotę dojącą krowy, ale dłoń, która na chwilę spoczęła na czole Madeline, nie miała jedwabistej miękkości ręki nienawykłej do pracy fizycznej.

- Chyba nie mieszka tu pani sama?

- Nie, mieszkam z gospodynią i moim synem.

Madeline była zaskoczona tym, że na takim pustkowiu znajduje się dom bez mężczyzny, ale nie miała sił na zadawanie pytań, które zaspokoilyby jej ciekawość.

- Nazywam się Madeline Gainford i wychowałam się w Cleveden. Wróciłam... - wyszeptała, lecz po chwili głos jej się załamał. Nie starczyło jej sił, by wyjaśnić, co tu robiła w środku zawieruchy.

Na ślicznej twarzy Diany odmalowało się zatroskanie.

- Proszę nic nie mówić. Musi pani odpocząć. Później będziemy miały dużo czasu na rozmowę.

Madeline posłusznie zamknęła oczy i zasnęła. Tym razem nie miała koszmarnych snów.

Gdy następnego ranka Diana weszła do pokoju, Madeline Gainford właśnie się budziła. O tej porze dnia słońce wypełniło pomieszczenie światłem i ciepłem, a pobielane ściany aż lśniły. Madeline popatrzyła na dębową komodę i szafę, owalny dywanik na ścianie i ładną akwarelę przedstawiającą kwiaty. Chociaż otoczenie musiało jej się wydać skromne po tym, do jakiego przywykła, na jej twarzy nie odmalował się wyraz rozczarowania ani pogardy.

- Zje pani coś? - zapytała Diana. Gdy Madeline skinęła głową, wyszła do kuchni i powróciła z wazą aromatycznej zupy, w której pływały smakowite kawałki kurczaka i pory. Uniósłszy swą pacjentkę, Diana nakarmiła ją łyżką jak dziecko.

- Dziękuję, pani Lindsay - powiedziała Madeline, kiedy talerz był już pusty. - Jest pani dla mnie bardzo dobra. - Mówiła teraz dużo silniejszym głosem, a jej twarz nabrała



rumieńców. Edith splotła jej ciemne włosy w warkocz i przebrała ją w białą flanelową koszulę. Duże orzechowe oczy były spokojne, chociaż krył się w nich smutek. - Nie wiem, jak mam pani dziękować. O mały włos nie zginęłam w czasie tej strasznej burzy śnieżnej.

- Cieszę się, że znalazłam panią teraz, a nie przy wiosennych roztopach - powiedziała Diana.

Madeline uśmiechnęła się w odpowiedzi. Diana nie myliła się co do tego, że ta kobieta musiała kiedyś być bardzo piękna; kiedy się uśmiechnęła, wciąż emanowała urodą. Madeline popatrzyła Dianie prosto w oczy.

- Jeśli sprowadzi pani wóz ze wsi, wyjadę. Nie powinnam tu zostać. - Westchnęła i odwróciła wzrok. - Nigdy nie chciałam być dla nikogo ciężarem.

- Przez jakiś czas drogi będą jeszcze nieprzejezdne, więc nie ma sensu się śpieszyć. Proszę się nie martwić tym, że sprawia nam pani kłopot... Pani przybycie to dla nas najciekawsze wydarzenie od lat. - Diana zastanowiła się chwilę, lecz postanowiła dać upust ciekawości. - Jak to się stało, że się pani zgubiła w tej zadymce?

Madeline zamknęła oczy. Sprawiała wrażenie smutnej i zmęczonej.

- Nie zgubiłam się - odpowiedziała prawie szeptem. - Chciałam umrzeć. - Otworzyła oczy, ale uciekła ze wzrokiem. - A potem doszłam do wniosku, że to jeszcze za wcześnie... że jeszcze nie jestem gotowa.

Musiała zebrać siły, zanim znów podjęła słabym głosem:

- Jak pani widzi, umieram. Wróciłam do Cleveden, żeby zamieszkać z rodziną, ale moja siostra nie chciała wpuścić mnie za próg. - Przyłożyła dłoń do piersi gestem, który wszedł jej już w nawyk. - To nie jest żadna zakaźna choroba. Mieszkańcom tego domu nie grozi z mojej strony żadne niebezpieczeństwo.

Jej słowa i gest pozwoliły Dianie domyślić się wszystkiego na temat choroby.

- Dlaczego siostra nie chciała pani przyjąć?

Madeline nie odzywała się tak długo, jakby chciała uniknąć odpowiedzi, aby nie musiała skłamać. Na jej wychudzonej twarzy odmalowały się wszystkie rozterki i żal. W końcu odezwała się tak zdecydowanym tonem, że Diana zyskała pewność, iż prawda zwyciężyła. Madeline nie odpowiedziała jednak wprost.

- Musiała pani znaleźć woreczek, który miałam pod suknią - powiedziała, a gdy Diana skinęła głową, zapytała: - Otworzyła go pani?

- Nie. Czy mam go pani podać? - Madeline przytaknęła, więc Diana podeszła do dębowej komody i wyjęła z niej niewielki, lecz ciężki skórzany woreczek. Zastanawiała się wraz z Edith, czy go nie otworzyć, lecz postanowiły tego nie robić, dopóki gość cierpiał na

zapalenie płuc.

- Proszę go teraz otworzyć - poleciała Madeline, czekając, aż Diana rozsupła skórzany rzemyk. Po chwili ich oczom ukazały się przedmioty różnych kształtów owinięte w aksamit. Popatrzawszy pytająco na Madeline, Diana odwinęła pierwszy z brzegu pakunek, po czym wydała okrzyk zachwytu na widok wspaniałego naszyjnika - splecionych złotych ogniw łańcucha wysadzanych rubinami, krwiście mieniącymi się w słońcu.

W następnym zawiniątku znajdowały się brylantowe kolczyki o lekko niebieskawym połysku. Z rozszerzonymi oczami, zdumiona Diana odsłaniała kolejne klejnoty, aż spódnica jej sukni zrobiła się ciężka od wspaniałych błyszczących klejnotów - brylantów, szmaragdów, opali i innych kamieni w misternej oprawie, których nazw nie знаła. Takich klejnotów nie powstydzilaby się królowa. Diana popatrzyła na swego gościa.

Usta Madeline wygięły się w uśmiechu, w którym nie było wesołości.

- Nie są kradzione. Mam na sumieniu różne grzechy, ale nie jestem złodziejką.

- Nie przyszło mi do głowy, żeby panią o to podejrzewać - powiedziała cicho Diana, przyglądając się uważnie Madeline i czekając na wyjaśnienia.

Madeline popatrzyła na plamę słońca na ścianie.

- Zdobyłam je w jedyny sposób, w jaki może je zdobyć kobieta, chociaż większość ludzi powiedzialaby, że nie jest to uczciwa praca. Moja siostra nie chciała, żebym siała zgorzenie w jej domu - powiedziała głucho, starając się nie okazać emocji.

Diana nie od razu zrozumiała Madeline, a gdy już domyśliła się wszystkiego, nie potrafiła połączyć tego, co wiedziała na temat prostytutki, z tą kruchą kobietą z chudymi dłońmi zaciśniętymi na kołdrze, w milczeniu czekającą na potępienie. Myśl o tym, że można sprzedawać własne ciało, była dla Diany obca i wstrętna, lecz nie mogłaby określić tymi słowami Madeline. Milczała, dopóki nie zyskała pewności, że odezwie się opanowanym, spokojnym głosem.

- Jak się nazywa pani siostra?

- Isabel Wolfe.

- Naprawdę? - Diana znała to nazwisko, chociaż osobiście nie poznała siostry Madeline. Wdowa Wolfe zapewne przeszłaby przez ulicę, widząc nadchodzącą Dianę, tak jakby samo zbliżenie się do niej mogło zbrukać jej czystą duszę. Przyglądając się Madeline, Diana pokiwała głową. - Teraz widzę pewne podobieństwo. Czy jest dużo starsza od pani?

Madeline przyjrzała się Dianie, zaskoczona tak zwykłym pytaniem.

- Tylko o trzy lata. - Westchnęła. - Trudno to sobie teraz wyobrazić, ale była kiedyś bardzo ładna. Zawsze była bardzo... zasadnicza, chociaż nie aż tak fanatycznie jak teraz. Ale

trudno mi ją winić za to, że nie chce mieszkać pod jednym dachem z dziwką.

Mimo iż Madeline wypowiedziała te słowa rzeczowym tonem, Diana była pewna, że musiały ją one wiele kosztować. Madeline była bardzo spięta. Czyżby myślała, że jej gospodyni nie rozumiała wcześniejszych aluzji, i chciała wyjaśnić ewentualne nieporozumienia? Był to w każdym razie akt odwagi i szczerości, a obie te cechy potrafiły zmiękczyć serce Diany. Nie dostrzegała podłości w Madeline, pomimo jej niechlubnej przeszłości. Co więcej, była nią zafascynowana jako osobą, która prowadziła życie wręcz niewyobrażalne.

Chętnie zadałaby więcej pytań, lecz dostrzegła zmęczenie na twarzy Madeline. Zaczęła owijać klejnoty kawałkami aksamitu.

- Może pani nie chce jej obwiniać, ale ja mogę - odezwała się cierpkim tonem. - Jak na kobietę, która szczyli się swoją cnotą, pani siostra nie zdała egzaminu z chrześcijańskiego miłosierdzia. Ktoś powinien przypomnieć jej Jezusa i Marię Magdalenę.

Napięta twarz Madeline rozpogodziła się, pojawił się na niej blady uśmiech.

- Jest pani bardzo miła, że mnie nie potępia. - Westchnęła. - Wyjadę stąd, kiedy tylko drogi staną się przejezdne.

Diana zmarszczyła czoło. Madeline Gainford nie była w stanie odbyć długiej podróży, a poza tym Diana czuła do niej dziwnie przywiązanie i chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat jej życia w tajemniczym świecie, z którego tu przybyła.

- Dokąd pani pojedzie?

- Nie wiem. Prawdopodobnie wynajmę dom w jakiejś wiosce na południowym wybrzeżu, gdzie jest łagodniejszy klimat. Nie będzie mi potrzebny na długo.

Diana poczuła silny impuls, którego nawet nie starała się opanować.

- Nie musi pani stąd wyjeżdżać.

Madeline popatrzyła na nią z niedowierzaniem; ściągnęła brwi.

- Chce pani, żebym ja... upadła kobieta, zamieszkała pod jednym dachem z pani dzieckiem? Przecież nic nas nie łączy.

- Och, ale mamy ze sobą coś wspólnego. Pani siostra przeszłaby na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć spotkania ze mną. - Diana uśmiechnęła się i serdecznie pogładziła dłoń Madeline. - Jesteśmy tu wyrzutkami. Może pani zostać tak długo, jak będzie pani miała ochotę.

Madeline mocno zacisnęła powieki, czując ukłucie piekących łez. Nie wiedziała, czy może przyjąć tę propozycję. Została odrzucona przez osobę, z którą łączyły ją więzy krwi; czy to możliwe, żeby miała znaleźć poszukiwane schronienie w obcym domu?

W końcu nie znalazła w sobie siły, by wyrzec się tego, czego tak bardzo pragnęła.  
Chwyciwszy dłoń Diany, jakby było to koło ratunkowe, wyszeptała:

- Niech Bóg zachowa cię w opiece.

Diana zrobiła sobie przerwę od pracy w ogrodzie, przysiadła na piętach i z dumą popatrzyła na swoją byłą pacjentkę. Minał już ponad rok od czasu, gdy Madeline zjawiała się tutaj w czasie śnieżnej nawałnicy. Stan jej zdrowia zasadniczo się poprawił, odzyskała siły i radość życia. Maddy była teraz promienną, atrakcyjną kobietą w kwiecie wieku i pełnoprawnym domownikiem, z radością włączającym się do wszystkich prac związanych z prowadzeniem gospodarstwa. Tego dnia klęczała na kawałku zniszczonego dywanu i pomagała Dianie sadzić młode rośliny. Diana miała dziwne wrażenie, że Madeline również została przeszczepiona jak sadzonka z niezdrowego dla niej miejsca w warunki, w których mogła rozkwitnąć.

Madeline była teraz traktowana przez mieszkańców High Tor Cottage jak członek rodziny i trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś tu nie mieszkała. Geoffrey natychmiast ją zaakceptował i uznał za swą ciotkę, zesłaną na ziemię, by wariować na jego punkcie. Edith z początku była ostrożna, ale z Madeline łączyło ją wychowanie w wiejskiej okolicy Yorkshire, więc wkrótce stały się przyjaciółkami pomimo wielu różnic.

Diana czuła, jak wiosenne słońce przyprawia ją o żywsze krążenie krwi, i pod wpływem nagłego impulsu uznała, że nadszedł już czas, by zapytać Madeline o jej przeszłość. Geoffrey spał, a Edith była w Cleveden, miały więc warunki do szczerej rozmowy. W ciągu minionego roku Maddy często opowiadała o niebezpieczeństwach i urokach Londynu, rozprawiała o modzie i polityce, o panujących tam obyczajach, jednak ani słowem nie napomknęła o swej karierze kobiety podejrzanej konduity.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, może opowiedziałabyś mi, jak to jest być... kurtyzaną? Nie potrafię sobie nawet wyobrazić... - Nagle Diana zawstydzona się, pochyliła i zajęła sadzeniem brukselki.

Rozbawiona Madeline uniosła wzrok.

- Zastanawiałam się, kiedy mnie o to zapytasz. Zaraz po moim przybyciu, kiedy powiedziałam ci, kim jestem, nie tylko mnie nie potępiłaś, ale sprawiałaś wrażenie zafascynowanej mną, tak jakbym była... różową żyrafą.

Diana zaczerwieniła się, wbijając łopatkę głębiej, niż było to konieczne.

- Bardzo mi przykro, nie miałam zamiaru wprawiać cię w zakłopotanie. - Nie powinna była się odzywać; kolejny raz zdradziła się z tym, że nie wie, jak żyją inni ludzie.

- Na pewno zdążyłaś się już zorientować, że wcale nie jest łatwo wprawić mnie w zakłopotanie. - Madeline zachichotała. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby ci o wszystkim

opowiedzieć, jeśli naprawdę chcesz mnie wysłuchać, ale myślałam, że powinnam poczekać, aż sama się do mnie z tym zwrócisz. - Zastanowiła się, od czego zacząć swą opowieść. - Nie mogę narzekać na swoje życie. Miałam szczęście i nigdy nie musiałam wyjść na ulicę. Byłam jedną z grona Pań Swawolnych, modnych luksusowych kurtyzan, i zazwyczaj w danym okresie utrzymywał mnie tylko jeden mężczyzna.

Przesunęła dywanik o kilka stóp w lewo i zajęła się kopaniem nowego rzędu dołków.

- Prawdę mówiąc, miałam mniej mężczyzn niż większość dam z towarzystwa, ale one cieszą się powszechnym szacunkiem, a ja nie, ponieważ wcześniej składały przysięgę w obecności księdza.

- Jak doszło do tego, że stałaś się jedną z... Pań Swawolnych? - Ciekawość Diany była silniejsza niż zakłopotanie. Miała bezcenną możliwość dowiedzenia się czegoś o tajemniczej połowie ludzkości, która nie należała do płci pięknej, a ta kobieta musiała być prawdziwym znawcą męskiej natury.

- Całkiem zwyczajnie - odpowiedziała kwaśno Madeline. - W wieku szesnastu lat zaprzyjaźniłam się z chłopakiem z sąsiedniej wioski. Nie przyszłoby mi do głowy, że może mnie zdradzić, ale miał tylko siedemnaście lat i chciał jeszcze nacieszyć się różnymi urokami życia, nie w głowie było mu małżeństwo. Kiedy powiedziałam mu o tym, że jestem w ciąży, wstąpił do wojska. - Wzruszyła ramionami. - Poza tym moja rodzina mnie nie lubiła. Powiedzieli, że to wszystko moja wina, że nosiłam zbyt obcisłe sukienki i uganiałam się za chłopakami.

- Bo to zawsze jest wina kobiety, prawda? - Głos Diany przepelniony był goryczą. Pieczołowicie umieściła sadzonkę w dołku, usunęła zbite grudki i kamyki, a potem delikatnie ugniotła ziemię wokół niej.

Madeline uniosła wzrok, zaskoczona tonem głosu Diany.

- Tak, moja droga, to zawsze jest wina kobiety... - powiedziała - przynajmniej w oczach świata. Moja matka zawsze mówiła, że mam skłonność do grzechu... że wystarczyło tylko czegoś zabronić, a już chciałam to mieć. Kiedy powiedziałam jej, że spodziewam się dziecka, wyrzuciła mnie z domu, by zajęła się mną parafia. Moja siostra Isabel była wściekła i mnie ganiła, ale dała mi trochę pieniędzy, które zaoszczędziła na swoje zbliżające się wesele. - Westchnęła. - Mimo iż teraz mnie potępia, pamiętam, że okazała mi serce, kiedy najbardziej tego potrzebowałam.

Milczała dłuższą chwilę.

- Jak to się często zdarza - ciągnęła silniejszym już głosem - parafia wcale nie chciała łożyć na kolejnego bękarta. Zostałam wysłana do Londynu najtańszym, najwolniejszym

środkiem transportu. W Londynie wozami przybywającymi z całego kraju zajmują się „mamy”. - Uniosła wzrok i dodała: - „Mama” to kobieta prowadząca dom publiczny.

Diana pokiwała głową, nie patrząc na Madeline. Zetknęła się już z tym określeniem w jakiejś książce i domyślała się jego znaczenia.

- Byłam naiwna i niedoświadczona, jak to młoda dziewczyna, a Londyn był bardziej hałaśliwy i przerażający, niż to sobie dawniej wyobrażałam. Kiedy elegancko ubrana kobieta zaproponowała mi miejsce w swoim domu, zgodziłam się z radością. Nie wiedziałam, jaki dom ma na myśli... - Głos Madeline załamał się na wspomnienie własnej naiwności i szoku, jaki przeżyła, dowiedziawszy się, jakie są oczekiwania względem niej.

Przykucnęła, zapominając o sadzonkach.

- I tak miałam więcej szczęścia niż większość dziewczyn. Madame Clothilde prowadziła bardzo przyzwoity dom publiczny, do którego przychodzili bogaci mężczyźni. Dbiała o zdrowie i ubranie dziewcząt, ponieważ gwarantowało to większe dochody. Mogłam dostać się w gorsze ręce. Tylko że... - Gwałtownie urwała.

- Nie musisz nic więcej mówić - natychmiast powiedziała łagodnie Diana.

- Nie, nie, wszystko w porządku - zapewniła ją już opanowana Madeline. - To było dawno temu. Po prostu... oczywiście... madame Clothilde nie chciała żadnych ciężarnych. Zawołała aptekarza i... i zabrali mi dziecko. Nie rozumiałam, co się dzieje, aż było za późno. - Spochmurniała na wspomnienie bolesnych przeżyć. - Potem ciężko zachorowałam i byłam bliska śmierci. A kiedy wyzdrowiałam... dowiedziałam się, że już nigdy nie będę mogła mieć dzieci.

Diana delikatnie dotknęła dłoni Madeline w geście pocieszenia.

- Bardzo ci współczuję, nie powinnam była cię o nic pytać.

Madeline uśmiechnęła się i splotła palce z palcami przyjaciółki.

- Nie, kochanie, to dobrze, że ci to powiedziałam, teraz jest mi lżej. Wtedy był to dla mnie straszliwy cios, ale jak w większości przypadków, były też dobre strony takiej sytuacji. Nie musiałam martwić się o dziecko, a to było bardzo korzystne w moim zawodzie.

Diana patrzyła na Madeline badawczym wzrokiem, dopóki nie upewniła się, że przyjaciółka uspokoiła się po swych wyznaniach. Chociaż przeciwności losu nie zawsze korzystnie wpływają na charakter, w przypadku Madeline było inaczej. Maddy była bardzo mądra i wyrozumiała. Jak na ironię, te chrześcijańskie cnoty były obce jej wyniosłej siostrze.

- Pozostała część mojej historii nie jest już tak dramatyczna - ciągnęła Madeline. - Clothilde była bardzo niezadowolona, że nie mogłam pracować przez kilka tygodni, ale nie wyrzuciła mnie, a inne dziewczęta bardzo o mnie dbały. Gdybym znalazła się na ulicy, nie

miałabym szans na przeżycie. Te z nas, które muszą wyjść na ulice, mają najcięższe życie. Każdego roku starzeją się o dziesięć lat, jeśli w ogóle udaje im się przeżyć. Ale, jak już powiedziałam, szczęśliwie ominął mnie ich los. Kiedy doszłam do siebie, dano mi nowe imię. Clothilde miała snobistyczne upodobanie do imion francuskich i nadawała je wszystkim swoim dziewczynom. Pochodziła z Greenwich i nigdy nie była we Francji, ale to nie miało żadnego znaczenia... w tym światku jest się tym, kim się chce być. Nazywałam się Margaret, ale ponieważ w tym domu była już Marguerite, zostałam Madeline. Spodobało mi się to imię, a potem zdałam sobie sprawę, że jest bardzo trafne. Madeline to francuska Magdalena, doskonałe imię dla osoby mojej profesji. - Uśmiechnęła się. - Po kilku miesiącach pracy dla Clothilde potwierdziłam swą wartość w jej oczach i słuszność jej oceny mojej urody, kiedy zainteresował się mną pewien starszawy bankier i kupił mnie do swojej wyłącznej dyspozycji.

- Kupił cię?! - Diana gwałtownie zaczerpnęła tchu. Nie spodziewała się takiej wiadomości.

- W gruncie rzeczy na to wychodziło. - Madeline wzruszyła ramionami. - Nie było to wcale takie złe, jak by się mogło wydawać. Byłam bardzo zadowolona, że z nim jestem, ponieważ miałam łatwiejsze życie. Wynajął dla mnie apartament, kupował stroje, wszystko, czego potrzebowałam. Chociaż na pewno skojarzyło ci się to z niewolnictwem, zapłata dla madame Clothilde była jedynie rekompensatą za utratę pracownicy. Nie było w tym nic dziwnego. Był bardzo tolerancyjny i przez większość czasu traktował mnie jak córkę, z wyjątkiem chwil, kiedy był... - Madeline urwała, nie potrafiąc dokończyć zdania tak, by nie zgorszyć Diany. Po chwili kontynuowała: - Utrzymywał mnie przez trzy lata, a na końcu zabezpieczył mnie finansowo. Ze względów zdrowotnych zamierzał przeprowadzić się do Brighton i uznał, że jest już zbyt sędziwy na to, by mieć kochankę. Bardzo za nim tęskniłam.

Zamyśliła się na chwilę, a na jej twarzy pojawił się uśmiech pełen zadowolenia.

- Po tych kilku latach zyskałam bardzo wysoką pozycję w zawodzie. Mogłam wybierać sobie kochanków. Ostrożnie dokonywałam wyboru, a mając zabezpieczenie finansowe nie musiałam zadawać się z mężczyznami, którzy mi się nie podobali.

Spokojna, rzeczowa opowieść Madeline sprawiała, że jej niechlubna przeszłość wydała się Dianie czymś naturalnym, a nawet pożądanym.

- Czy jeszcze raz wybrałabyś sobie takie życie, gdyby dano ci prawo wyboru?

Madeline ściągnęła brwi.

- A wiesz, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam? Robiłam, co musiałam robić, żeby przeżyć. Kiedy wypadłam z łask, miałam bardzo ograniczony wybór. - Zamyśliła się na chwilę. - Status upadłej kobiety dał mi możliwość ucieczki... ucieczki z Yorkshire, od nędzy,



od nudnego życia, które nigdy mi nie odpowiadało. Wielkie kurtyzany muszą wyróżniać się nie tylko urodą, ale również osobowością i dowcipem. Zyskałam możliwość rozwoju, wykorzystania swej inteligencji. Spotykałam bardzo ciekawych mężczyzn, których nie miałabym szansy poznać w innych okolicznościach, i prowadziłam życie luksusowe, pełne blasku.

Madeline zamilkła, a Diana powtarzała w myślach słowo, które szczególnie zapadło jej w pamięć. Ucieczka. Ucieczka. Ucieczka z Yorkshire. Miało dla niej szczególne znaczenie, z którym na razie nie była gotowa się zmierzyć. Jeszcze nie teraz, ale już wkrótce, niedługo...

Przestała się nad tym zastanawiać, gdyż Madeline podjęła swą opowieść.

- Pierwsze miesiące w domu publicznym były... trudne, ale udało mi się zachować zdrowe ciało i umysł. Potem byłam już femme entretenue, utrzymanką, i zaczęło mi się dobrze powodzić. Czułam się, jakbym miała kilku mężów po kolei. Prawdopodobieństwo złapania jakiejś brzydkiej choroby było bardzo niewielkie, a cieszyłam się większą wolnością niż szanowane kobiety. Jeśli mężczyzna stawał się niemiły, mogłam go odprawić. Cóż, gdybym jeszcze raz mogła przeżyć swoje życie, zmieniłabym w nim bardzo niewiele. Nie wstydzę się tego, co robiłam. Przykro było mi tylko z powodu tego, jak postrzegają mnie inni.

Niespodziewanie roześmiała się i na jej twarzy odmalował się urok, który zapewniał jej sukcesy w zawodzie.

- Większość Pań Swawolnych miała przydomki, na przykład Wenus Żebracza, Biała Łania czy Ognista Bellona. Z powodu moich ciemnych oczu i włosów zostałam nazwana Czarną Różą. Banalnie, ale bardzo przyjemnie. To zastanawiające, jak wielki był nasz wpływ na mężczyzn. Panowie, którzy traktowali swoje żony jak idiotki, z kochankami rozmawiali o polityce. Mój salon cieszył się większym powodzeniem niż salony szanowanych dam, gdyż mężczyźni mogli czuć się w nim swobodniej.

Uniosła dłoń.

- Ponieważ wolałam mieć tylko jednego protektora, przetrwałam w zawodzie dłużej niż większość Pań Swawolnych. Oczywiście w okresach pomiędzy kolejnymi protektorami trochę... rozglądałam się na boki, dopóki nie znajdowałam kogoś, kto mnie zadowalał. Doświadczałam najlepszych stron romansu i małżeństwa, nie mając problemów, z jakimi muszą zmagać się żony.

Następne, niezmiernie dla niej istotne pytanie Diana zadała niemal szeptem.

- Czy naprawdę podobała ci się... fizyczna strona współżycia?

Słyszac napięcie w głosie Diany, Madeline domyśliła się, że dziewczyna musiała mieć

niezbyt miłe doświadczenia, które zniechęciły do seksu tak wiele kobiet.

- Pożycie fizyczne może być bardzo przyjemne – odpowiedziała ostrożnie. - Najlepiej udaje się wtedy, kiedy partnerzy bardzo się lubią, ale może być również udane, jeśli mężczyzna podoba się kobiecie i dobrze ją traktuje. Oczywiście większość kobiet nigdy tego nie doświadcza. Uczą nas bronięcia się przed męskimi zakusami i w rezultacie się ich boimy. Potem trudno jest się rozluźnić i rozkoszować fizycznym aktem.

Cały czas przyglądając się Dianie, by się upewnić, że nie sprawia jej bólu, Madeline kontynuowała:

- Dobrze jest znać i lubić swoje ciało jako źródło przyjemności. Doświadczone kurtyzany od Clothilde poradziły mi, żebym nauczyła się siebie poprzez dotyk. Radziły mi, żebym dotykała się różnymi tkaninami i przedmiotami... jedwabiem, aksamitem, szorstkim płótnem, zimną porcelaną... i poznawała swoje reakcje. Posłuchałam ich rad i przekonałam się, że jestem bardzo wrażliwa na dotyk. Często też przyglądałam się sobie w lustrze, starając się zrozumieć, co sprawia, że ciało kobiety jest ponętne dla mężczyzny. Z czasem nauczyłam się, w jaki sposób kobieta może zawładnąć mężczyzną.

Temat rozmowy z Madeline już od dłuższego czasu nie wydawał się Dianie dziwny, jednak wciąż nie starczało jej śmiałości, by spojrzeć przyjaciółce w oczy. Czuła, że jej słowa są bardzo cenne, bo pomagają zrozumieć zupełnie obce zjawiska. Intuicyjnie wyczuwała, że Madeline mówi bardzo rozsądnie. Diana uwielbiała dotyk, często przytulała się do ciepłego ciała syna, lubiła wyrażać uczucia delikatnym pogładzeniem dłoni, oceniała dotykiem zakupiony materiał, a nawet chleb. Jeśli te formy dotyku były tak przyjemne, to zapewne tak samo powinny cieszyć te najbardziej intymne doznania.

Madeline jeszcze nie skończyła swej wypowiedzi.

- Seks jest jednym z najwspanialszych darów Boga dla ludzi. Jest jednak obosieczną bronią. Może stać się dla kobiety źródłem bólu, a nawet przyczyną śmierci, chociaż jest także źródłem życia. W swej najszlachetniejszej postaci wyraża najgłębszą miłość pomiędzy kobietą a mężczyzną. - Zamyśliła się. - Nic dziwnego, że to właśnie z powodu seksu Adam i Ewa zostali wygnani z raju. Przynajmniej tak kiedyś powiedział ksiądz, który mnie odwiedził. - Uśmiechnęła się przewrotnie. - Był to zresztą duchowny nie mający nic przeciwko ziemskim uciechom.

Spoważniała, starając się podać definicję czegoś, o czym jeszcze nigdy dotąd głośno nie mówiła.

- Seks może stać się okrutną bronią, dzięki której jedna osoba zaczyna dominować nad drugą. To działa w obie strony... zarówno kobieta, jak i mężczyzna może zyskać wtedy

władzę nad swoim partnerem. Jest to zresztą jedna z niewielu dziedzin, w której kobieta może zdominować mężczyznę, chociaż zawsze łączy się to z ryzykiem i niebezpieczeństwem. Niektórzy ludzie są zbyt chłodni na to, by dać się owładnąć zmysłom. Inni potrafią klęczeć w błagalnej pozycji, a ich duma i honor łatwo mogą zostać złamane przez tych, których kochają. - Zastanawiała się przez chwilę i dodała:

- Oczywiście nie zawsze dzieje się to w ten sposób. Najczęściej pożycie fizyczne jest daniem sobie przyjemności i potwierdzeniem akceptacji. Ale... - ostrzegła, patrząc na Dianę spod zmrużonych powiek - kobieta tak piękna jak ty może mieć ogromny wpływ na mężczyznę, jeśli taka będzie jej wola.

Diana popatrzyła na Madeline. Otarła spocone czoło, zostawiając na nim smugę ziemi.

- Naprawdę myślisz, że jestem ładna? - zapytała bez cienia kokieterii w głosie.

Madeline przytaknęła.

- Tak. Jesteś chyba najpiękniejszą kobietą, jaką widziałam, a mówię ci to jako osoba, która widziała większość sławnych angielskich piękności. Gdybyś tylko chciała, mogłabyś stać się księżną albo największą z kurtyzan. A ty nie uważasz, że jesteś piękna?

Diana pokręciła głową.

- Nie. Ale zauważyłam, jak patrzą na mnie mężczyźni, i czasami zastanawiałam się, co takiego we mnie widzą. Nie patrzą w ten sposób na inne kobiety. Czasami mężczyźni... starają się mnie dotknąć, udając, że to przypadek. - Gwałtownie wykopała z ziemi kamień. - Czasami zastanawiałam się też, czy to dlatego wiele kobiet patrzy na mnie tak, jakbym była ich największym wrogiem. Madeline westchnęła.

- Uroda, podobnie jak seks, to obosieczna broń. Może uczynić z ciebie ofiarę albo pomóc ci osiągnąć cel w życiu, niezależnie od tego, czy jest to miłość, pieniądze czy władza.

Diana uniosła wzrok, świadoma tego, że to, co usłyszała od przyjaciółki, może zmienić jej życie.

- Mówisz mi to wszystko, żebym umiała spojrzeć na siebie oczami innych.

- Tak, moja droga, właśnie dlatego. - Madeline z czułością popatrzyła na Dianę. - Uratowałam ci życie i to pod wieloma względami, i chciałabym ci się za to odwdzięczyć czymś cenniejszym niż klejnoty, chociaż te także mogę ci ofiarować. Wiem, że znalazłaś spokój tutaj, na końcu świata, ale zauważyłam, że czasami dręczy cię jakiś niepokój, tak jak kiedyś mnie. Gdybyś kiedykolwiek zdecydowała się stąd wyjechać, musisz wiedzieć, jaką moc ma twoja uroda, jak uczynić z niej broń i jak się chronić. W przeciwnym razie ryzykujesz, że zostaniesz wykorzystana i zniszczona przez tych, którzy będą cię pożądać.

Skrzywiła się.

- Ja również zostałam wyróżniona i zarazem pokarana urodą, jaka podoba się mężczyznom. W pewien sposób zdecydowało to o moim losie. - Spowaźniała. - Nie ma nic wstydliwego w tym, co dzieje się między mężczyzną a kobietą, a większość przeżyć jest wspaniała. Więc nie wstydź się zadawać pytań.

Diana pokiwała głową.

- Dziękuję. Na pewno będę miała jeszcze jakieś pytania, kiedy przemyślę sobie to, co mi powiedziałaś. Masz rację; jestem zadowolona z życia, jakie tu prowadzę, ale nie chciałabym do śmierci mieszkać w Yorkshire, tak ze względu na siebie, jak i na mojego synka. Wszystko było w porządku, kiedy był mały, ale teraz Geoffrey powinien spotykać się z innymi dziećmi, uczyć się z chłopcami dorównującymi mu inteligencją i zyskać możliwość przekonania się, jak daleko potrafi zajść w tym świecie. - Posmutniała. - Powinien także poznać smak uprzedzeń i odrzucenia, chociaż ciężko jest mi o tym myśleć.

Bezradnie rozłożyła ręce.

- Zanim się tu pojawiłaś, nawet nie wyobrażałam sobie innego życia. Czasami - wyznała nieśmiało - czuję, że to jakiś dobry duch cię tu zesłał, żebyś została moją nauczycielką i przyjaciółką.

Madeline uśmiechnęła się w odpowiedzi. Na jej twarzy malowało się zmęczenie, ale gościł na niej również wyraz wdzięczności i zakłopotania.

- To możliwe... W każdym razie mam taką nadzieję. Chciałabym jakoś odwdziżyć ci się za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Och, to ja tak wiele tobie zawdzięczam - powiedziała wzruszona Diana, a jej niebieskie oczy zaszkliły się podejrzanie. Madeline trudno było porównać z Madonną, przywołała raczej na myśl boginkę czarodziejkę, Kirke. - Dałaś mi o wiele więcej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Kapryśna wiosenna pogoda zmieniła się tej nocy, przynosząc chłód i wilgoć. Silny wiatr pędził blade chmury po nocnym niebie, to zasłaniając, to znów odkrywając jasną, beznamietną twarz księżycy w pełni. Wszyscy domownicy już spali. Diana bezszelestnie włożyła pelerynę i wyszła na dwór. Madeline miała rację, wyczuwając jej zdenerwowanie. Nie pierwszy raz zdarzyło jej się samotnie przemierzać wrzosowiska, ciesząc się porywami wiatru chłozzącymi jej ciało, i usiłując pozbyć się niepokoju, który nie dawał jej spać. Ten niepokój stał się w ciągu minionych siedmiu lat częścią jej życia równie nieodłączną jak wiatr.

Słowa Madeline już dawno trąciły czułą strunę w duszy Diany, a teraz, pokonując przestrzeń szybkimi krokami, cały czas o nich myślała. „Status upadłej kobiety dał mi

możliwość ucieczki... ucieczki z Yorkshire, od nędzy, od nudnego życia, które nigdy mi nie odpowiadało”. Myślenie o tym, by choć na chwilę zasmakować takiego życia, było szaleństwem. Madeline nie miała wyboru. Diana nie potrafiłaby dobrowolnie podążyć jej drogą. Było to nie do pomyślenia - a jednak nie mogła myśleć o niczym innym.

Toczyła wewnętrzną walkę. Przede wszystkim istniało więcej możliwości niż życie na pustkowiu albo bycie modną kurtyzaną. Diana nieraz rozważała możliwość przeniesienia się do jakiegoś większego miasta i prowadzenia tam życia skromnie uposażonej wdowy o nienagannej reputacji. Jednak ta możliwość jej nie pociągała, i to nie tylko dlatego, że nie cierpiała kłamstwa.

Dotarła na najwyższe wzniesienie w okolicy. W dole, po stronie południowej, rozciągało się Yorkshire. Posrebrzona światłem księżyca mgła spowijała doliny, a ciemne wzgórza wyłaniały się z niej jak unoszące się w powietrzu czarodziejskie wyspy. Diana zawsze odnajdywała tu spokój, leczyła duchowe rany, które mogły doprowadzić ją do zguby, gdyby nie dziecko, które kochała i którym musiała się opiekować. Miłość do Geoffreya i Edith zawsze pozwalała jej zapomnieć o bólu i rozpacz tak wielkiej, że niekiedy doprowadzającej ją na skraj obłędu; później w ich życiu pojawiła się Madeline. Lecz w czasie nocy, tak niespokojnych jak ta, Diana pragnęła czegoś więcej.

Madeline powiedziała, że uroda Diany mogła doprowadzić ją do tego, by stała się księżną lub największą z kurtyzan. Ze swoją przeszłością nigdy nie zostanie księżną, a nawet zwyczajne szanowane małżeństwo leżało poza jej zasięgiem. Nigdy nie będzie szacowną damą, więc czemu nie miałyby zostać kurtyzaną, kobietą pozbawioną wstydu i nie odczuwającą konieczności tłumaczenia się ze swego życia. Chciała, by w jej życiu był obecny mężczyzna. Skoro nie mogła mieć męża, musiałby to być kochanek.

Ta myśl była bardzo kusząca. Kochanek nie musi wiedzieć o jej przeszłości, zupełnie nie miałoby to dla niego znaczenia. A skoro mogła mieć nadzieję jedynie na zakazaną miłość, to dlaczego nie miałyby poszukać najlepszego i najkorzystniejszego dla siebie związku? Taka myśl powinna być wstrętą dla porządnej, szanującej się kobiety. Cóż jednak wyniknęło dla niej z szacunku poza bólem i samotnością?

„Uroda, podobnie jak seks, to obosieczna broń. Może uczynić z ciebie ofiarę albo pomóc ci osiągnąć cel w życiu, niezależnie od tego, czy jest to miłość, pieniądze czy władza”. Niestety, ofiarą najczęściej staje się kobieta. Przez całe swoje życie była ofiarą mężczyzn; niemal udało im się ją zniszczyć. Nie słyszała nawet słodkich kłamstw i zarliwych obietnic, które sprawiły Madeline dużo przyjemności, zanim zrujnowały jej życie. Diana doświadczyła jedynie siły zniszczenia, tak że myśl o tym, że mogłaby teraz sama działać z pozycji siły, była

dla niej bardzo kusząca. Miała nadzieję, że władza da jej wolność.

Nie pragnęła władzy nad mężczyznami, by ich karać; jej złość minęła z czasem. Jej serce było przepełnione miłością do synka i nie było w nim miejsca na gorycz czy mściwość. Gdyby urodziła dziewczynkę, prawdopodobnie już na zawsze odwróciłaby się od mężczyzn. Lecz Geoffrey był chłopcem, a nie było w nim podłości. Diana poznała parę małżeństw, które łączyła czułość i wzajemna życzliwość. Widocznie gdzieś musieli istnieć mężczyźni, którzy kochali i szanowali kobiety i nie zamierzali ich wykorzystywać.

Nie, nie pragnęła wcale wielu mężczyzn; marzyła o jednym, który kochałby ją i chronił, nie zważając na jej przeszłość, i otworzył przed nią świat ziemskich rozkoszy, o których mówiła Madeline. Na tę myśl Diana uśmiechnęła się kwaśno, zdawszy sobie sprawę, że jest niepoprawną romantyczną marzycielką. Był to jednak także sygnał, że otrząsnęła się już ze swoich przeżyć i znów jest w stanie marzyć.

Poły peleryny wyduły się na wietrze, ciężka tkanina zatrzepotała. Diana miała wrażenie, że wystarczyłoby rozłożyć ramiona, a pofrunęłaby daleko na południe, do miasta, które było żywym, choć chorym sercem Wielkiej Brytanii. Jak zwykle wiatr rozpraszał jej wątpliwości i wahania. Uwielbiała jego oczyszczającą moc.

Kiedy chmury na dłużej zasłoniły księżyc, postanowiła wrócić do domu. Pomimo ciemności bezbłędnie odnajdywała drogę przez wzgórza, podobnie jak wszystkie rdzenne mieszkanki Yorkshire, chociaż ona sama wychowała się daleko od tych wrzosowisk.

Największym niebezpieczeństwem związanym z zostaniem kurtyzaną był fakt, że jej wybór może niekorzystnie wpłynąć na Geoffreya, a zostawienie go u kogoś w ogóle nie wchodziło w rachubę. Musiałaby prowadzić w Londynie podwójne życie, co jednak wydawało się zupełnie możliwe. Zresztą życie w Londynie powinno rozszerzyć również i horyzonty małego.

Wędrujące po niebie chmury znów odsłoniły księżyc. Diana była już przy Cleveden Tarn, ciemnym błyszczącym jezioru. Tafla wody znajdowała się na wysokości ziemi, jakby jezioro było zwierciadłem pozostawionym wśród ostrych traw przez jakąś boginię. Gwałtownie przykłękała na brzegu i wpatrzyła się w wodę posrebrzoną światłem księżyca. Chociaż była staranniej wykształcona niż większość kobiet, zawsze działała pod wpływem emocji i intuicji, a nie rozumu. Rozsądek podpowiadał, żeby zostać tu, gdzie jest bezpiecznie, lecz przecucia mówiły, że powinna wyjechać, poznać niebezpieczny tajemniczy świat, który odkryła przed nią Madeline. Świat, w którym piękna kobieta mogła cieszyć się władzą.

Gdy patrzyła w ciemną taflę jeziora, spłynął na nią nagły spokój i pozbyła się wątpliwości. To nie przypadek, że Madeline pojawiła się w jej życiu. Starsza i bardziej

doświadczona kobieta była dla niej nie tylko przyjaciółką, ale również ogniwem łączącym ją z przyszłością. Gdzieś przecież żył mężczyzna, który był przeznaczony Dianie, złączony z nią łańcuchem losu, człowiek, którego miała szansę poznać tylko w przypadku porwania się na to, co wydawało się nie do pomyślenia.

Poddając się nastrojowi nocy przy pełni księżyca, wyszeptała:

- Wielka bogini, czy pokażesz mi twarz mojego kochanka? - Po czym wybuchnęła śmiechem. To nie do pomyślenia, by ona, wychowana w aż nazbyt bogobojnym domu, oddawała się przesądom!

Śmiech zamarł jej na ustach. Zrozumiała, że woli nie wiedzieć, jakie niespodzianki szykuje dla niej los. Gdyby poznała przyszłość, mogłaby zrezygnować ze swoich planów. Musi iść przed siebie jak z zawiązanymi oczami, ufając, że przecucie i z trudem zdobyta wiara w siebie, którymi kierowała się w życiu, pomogą jej ominąć przeszkody.

Wstała, otuliła się peleryną i powoli ruszyła w stronę chaty. Lata spokojnego, bezpiecznego życia należały już do przeszłości. Zamierzała wyjść naprzeciw swemu przeznaczeniu, którym była miłość.

Diana robiła makijaż drżącymi rękami. Madeline poświęciła wiele godzin, ucząc ją, jak uczynić się dyskretnie prowokującą, tak że potrafiła nałożyć kosmetyki niemal z zamkniętymi oczami, lecz tym razem nadeszła godzina próby. Tego wieczoru wybierały się na przyjęcie do Harriette Wilson, królowej londyńskich kurtyzan, i po raz pierwszy Diana miała zaprezentować się publicznie.

Odłożywszy zajęczką łapkę, którą nakładała delikatny róż na pobladłe ze zdenerwowania policzki, Diana z satysfakcją przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Zobaczyła w nim twarz urodziwej światowej kobiety, a nie młodej dziewczyny, która mieszkała na wrzosowiskach, piekła chleb i bawiła się z synem w błotnistym potoku.

Minęło już pół roku od dnia, w którym z wahaniem oznajmiła przyjaciółkom, że zamierza udać się do Londynu i zostać kurtyzaną. Nie była wcale zdziwiona tym, że jej oświadczenie wywołało istną burzę protestów. Lecz to nie Edith, przedstawicielka konserwatywnej społeczności wiejskiej, sprzeciwiła się jej zamierzeniom. Gospodyni stwierdziła jedynie rzeczowym tonem, że plan Diany ma wszelkie szanse powodzenia.

Natomiast gwałtownie zaprotestowała Madeline, która przecież sama była kurtyzaną, nie odczuwając z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia ani potrzeby usprawiedliwień. Uważała jednak, że sprzedanie się w sytuacji bez wyjścia to nie to samo, co dobrowolne podjęcie tej decyzji. Maddy chwyciła się każdego argumentu, by odwieść Dianę od jej zamiaru, podkreślając, że nie brakuje im pieniędzy, że zmiana życia może niekorzystnie wpłynąć na Geoffreya i ostrzegając, że Diana nie zdaje sobie sprawy, w co się pakuje. Diana rozważyła wszystkie uwagi przyjaciółki i choć zająknęła się, kiedy rozmawiały o Geoffreju, postanowiła nie zmieniać decyzji.

W końcu Madeline uniosła ręce na znak, że się poddaje, i obiecała zrobić, co tylko w jej mocy, by pomóc Dianie. Bez jej kurateli, niekończących się lekcji na temat mężczyzn, londyńskiego towarzystwa i tego, jak stać się ponętą, Diana nie zaszłaby tak daleko. Mimo że nie wiedziała jeszcze, czy odniesie sukces w nowym zawodzie, była zadowolona ze swego wyglądu.

Jedwabna niebieska suknia z głębokim dekoltem doskonale komponowała się z błękitem oczu. Lśniące kasztanowe włosy zostały wysoko upięte i kaskadą loków opadały na plecy. Taka fryzura miała sugerować, że kiedy mężczyzna wsunie dłoń we włosy, gęste pukle spłyną na nagie ramiona.

Poprawiała uczesanie, kiedy Madeline delikatnie zapukała do drzwi. Po przybyciu do



Londynu przyjaciółka ufarbowała siwe włosy i znów była ognistą brunetką, a w świetle świec wyglądała tak, że trudno byłoby uwierzyć, iż już dość dawno przekroczyła trzydzistkę. Tego wieczoru Maddy miała na sobie wspaniałą suknię w kolorze burgunda i znakomicie pełniła rolę opiekunki i strażniczki Diany.

Skoro w końcu zgodziła się poprzeć dążenia młodej przyjaciółki, podzieliła się ze swą przybraną rodziną wszystkim, co posiadała - dochodem, eleganckim domem w modnej dzielnicy Mayfair, w którym zamieszkali, a także wiedzą na temat Londynu i zwyczajów panujących w tym mieście. Znalazła niewielką szkołę, w której Geoffrey czuł się doskonale, i przedstawiła Dianę swej przyjaciółce, Harriette Wilson, co zaowocowało dzisiejszym zaproszeniem.

Diana odwróciła się z uśmiechem, zadowolona, że odrywa się od niespokojnych myśli. Wstała, powoli obróciła się, by przyjaciółka mogła się jej przyjrzeć, i uniosła podbródek tak, by prezentować się dumnie, lecz nie wyniośle. Ten kąt nachylenia podbródka również został starannie wystudiowany.

Madeline przyjrzała się jej szacującym wzrokiem i pokiwała głową na znak aprobaty.

- Znakomicie. Doskonale udało ci się wyważyć proporcje pomiędzy damą a ładacznicą.

Diana uśmiechnęła się niepewnie.

- Pomimo wszystkich twoich wspaniałych lekcji czuję się jak owieczka, która zamierza udawać lwicę.

- Nie musimy dzisiaj iść na przyjęcie, jeśli nie masz na to ochoty - stwierdziła Madeline.

- Ale ja naprawdę chcę tam iść, Maddy - odpowiedziała Diana zdecydowanym tonem.

- Oczywiście bardzo się denerwuję, ale mam wielką ochotę spróbować. Dzisiaj poznam świat, który do tej pory był dla mnie zamknięty. Zapewne mi się nie spodoba i jutro rano będę miała ochotę uciec do Yorkshire. Wtedy będziesz mogła mi powiedzieć: „A nie mówiłam?”, a ja pokornie pokiwiem głową, haftując coś przy kominku.

Madeline roześmiała się serdecznie, z zadowoleniem przyglądając się swej protegowanej. Diana nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Chociaż miała już dwadzieścia cztery lata i była starsza od większości początkujących kurtyzan, zachowała świeżość siedemnastolatki. Z początku, po wielu latach życia wśród wrzosowisk, tłumy i zgielek przerażały Dianę, lecz po trzech miesiącach pobytu w Londynie skompletowała wspaniałą garderobę i z łatwością poruszała się po ruchliwej metropolii.

Madeline z podziwem pokręciła głową. Znała się na mężczyznach i czuła, że tego

wieczoru zlecają się do Diany jak pszczoły do miodu. Zapewne Dianie nie spodoba się szum wokół jej osoby i zdąży się wycofać, zanim będzie za późno.

- Poradzisz sobie, kochanie - powiedziała z przekonaniem. – Poradzisz sobie doskonale.

W domu Harriette Wilson skupiło się liczne grono szanowanych mężczyzn oraz kobiet pozbawionych jakiegokolwiek szacunku. Wszyscy obecni na przyjęciu panowie byli bogaci, utytułowani albo cieszyli się uznaniem towarzyskim, a często łączyli wszystkie te zalety, podczas gdy panie należały do *crème de la crème* półświatka. Kiedy nadeszły Diana i Madeline, Harriette od niechcenia pomachała im ręką na powitanie i natychmiast zajęła się swoim adoratorem. W przeciwieństwie do większości kurtyzan, „Mała” była w pełni świadoma swoich uroków, tak że nawet niezwykła uroda Diany nie wzbudziła jej niechęci.

Kiedy przystały na progu salonu Harriette, Diana nagle poczuła paniczny lęk. Już od kilku miesięcy przygotowywała się na tę chwilę, zadając Madeline niezliczone pytania i starając się zapamiętać nawet najbardziej szokujące odpowiedzi. Poznawała swoje ciało, wykonywała dziwne ćwiczenia wzmacniające wewnętrzne mięśnie i uczyła się, jak rzucać nożem w obronie własnej. Lecz mimo iż była pilną uczennicą, cel wydawał się jej odległy, należący do świata marzeń.

Teraz musiała zmierzyć się z rzeczywistością. Aż do tej chwili mogła się wycofać i zachować dobre imię. Lecz przestąpiwszy próg tego domu, stała się upadłą kobietą. Kości zostały rzucone - od tej pory będzie uznawana za prostytutkę, nawet jeśli nigdy nie przyjmie ani pensa od mężczyzny. Przez chwilę zastanawiała się nad możliwością ucieczki. Madeline zabrałaby ją stąd, a Diana porzuciłaby swe chorobliwe ambicje.

Spowodowana lękiem przerwa wywołała równie wielkie wrażenie jak planowane wielkie wejście. Wszyscy mężczyźni odwrócili się, by na nią spojrzeć, a na ich twarzach odmalowała się cała gama emocji - od zwykłego podziwu po nieskrywane pożądanie. Patrzyło na nią co najmniej dwudziestu mężczyzn, a wszyscy byli od niej bogatsi, silniejsi i bardziej wpływowi. Diana znieruchomiała z przerażenia.

I wtedy Madeline delikatnie chwyciła ją za łokieć, ofiarowując swe wsparcie, i wszystkie obawy Diany się rozwiały. Odetchnęła z ulgą, a serce powróciło do normalnego rytmu. Wprawdzie jej wejście do tego pokoju równało się otrzymaniu etykiety prostytutki, ale przecież żaden mężczyzna nie mógł posiąść jej bez jej zgody. Uniósłszy podbródek weszła do salonu, a Madeline pół kroku za nią. Już po chwili mężczyźni podeszli do Diany z łakomymi uśmiechami na ustach, rywalizując o to, kto pierwszy się przedstawi. Ich głosy rozbrzmiały równocześnie: „Clinton..., Ridgleigh, do pani usług..., major Connaught, czy mogę

zapropionować pani kieliszek szampana?”

Rozejrzawszy się po rozplamionych twarzach, na których malowało się czyste uwielbienie, Diana pomyślała, że czeka ją łatwy, przyjemny wieczór. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze tak niedawno była przerażona. Roześmiewszy się perliście, podała dłoń najbliższemu stojącemu mężczyźnie, niskiemu rudzielcowi z krzaczastymi faworytami.

- Dobry wieczór, panowie. Jestem Diana Lindsay i z przyjemnością napiję się szampana.

Rudzielec z uszanowaniem ucałował jej dłoń, a łysiejący adorator pośpieszył po szampana, zachwycony, że może coś dla niej zrobić. Trzeci mężczyzna, ciemnowłosa, o wyglądzie poety i bardzo młody, tylko się jej przyglądał z lekko rozchylonymi ustami. Wszyscy naprawdę uważali, że jest piękna. Po raz pierwszy w życiu Diana poczuła, jaką siłę może dawać kobiecie uroda.

Następna godzina minęła niemal niezauważalnie. Diana wraz z Madeline siedziały pod ścianą, otoczone wianuszkami adoratorów, starających się zwrócić na siebie uwagę. Diana nie musiała wiele mówić, ale i tak każda jej wypowiedź była uznawana za niezwykle błyskotliwą. Było to cudowne i przyprawiało ją o miły szum w głowie, podobny do tego, jaki czuła po wypiciu szampana, lecz nie groziło jej zapomnienie o tym, gdzie się znajduje. Po drugiej stronie pokoju ciemnowłosa kobieta i mężczyzna w wojskowym mundurze oddawali się tak zaskakująco intymnym pieszczotom, że Diana musiała bardzo się pilnować, by nie przyglądać się im zbyt natargywie.

Zauważywszy, gdzie Diana kieruje swe spojrzenia, Madeline szepnęła, że ciemnowłosa kobieta to jedna z sióstr Harriette; „Mała” była najbardziej znana ze słynnej rodziny, w której kobiety od pokoleń wykonywały najstarszy zawód świata. W końcu para wymknęła się z pokoju w ciasnych objęciach. Pół godziny później wrócili na salę, każde osobno. Kobieta sprawiała wrażenie zmęczonej, ale zadowolonej z siebie. Diana z trudem oderwała się od myślenia o tym, co się wydarzyło. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek też tak wyjdzie z sali z mężczyzną i czy stanie się to już po kwadransie znajomości.

- Miła pani Lindsay... - Usłyszała ochryply i trochę niepewny głos. Zwróciwszy się w stronę mówiącego, zobaczyła łysiejącego mężczyznę, który nie odstępował jej ani na krok od chwili, gdy pojawiła się na sali. Przypomniała sobie, że przedstawił się jako Ridgleigh. Przywołała na twarz uśmiech, w którym kryła się obietnica - nauczyła ją tego Madeline.

- Tak, panie Ridgleigh?

Uśmiechnął się rozanielony. Nie chciało się jej wierzyć, że już sama jej obecność wywoływała takie reakcje.

- Właściwie: lord Ridleigh - powiedział odzyskawszy mowę. Odchrząknął i dodał z nadzieją w głosie: - Czy szuka pani protektora, moje dziecko?

Przyjrzała mu się w zamyśleniu. Zażywny, w średnim wieku, nie był odpychający, ale z pewnością trudno byłoby go nazwać Adoniszem. Miał jednak łagodne spojrzenie dobrego człowieka. Przemknęło jej przez głowę, że kiedy przyjdzie czas, by wziąć sobie kochanka, być może trafi gorzej, ale na razie była daleka od podjęcia takiej decyzji. Delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Niewykluczone, że wkrótce będę go szukać.

Ridleigh przełknął z trudem.

- Proszę wtedy pomyśleć o mnie.

Biedak wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpląnąć ze szczęścia. Diana ponownie obdarzyła go uśmiechem.

- Czy mógłby mi pan przynieść jeszcze jeden kieliszek szampana?

Pośpiesznie spełnił jej prośbę, chcąc się jej przypodobać. W tej samej chwili w drugim końcu sali rozległy się dźwięki cygańskich skrzypiec i zachęcające okrzyki. Krągła czarnowłosa piękność wskoczyła na stół i zaczęła tańczyć. Jej spódnica owijała się wokół nóg, a piersi groziły wypadnięciem zza dekoltu. Młody mężczyzna, który chciał wejść na stół i do niej dołączyć, został w ostatniej chwili powstrzymany przez swoich przyjaciół, którzy woleli oglądać popisy tancerki niż jej ewentualnego partnera.

W chwili gdy uwaga ogółu była skupiona na tancerce, Madeline nachyliła się do ucha Diany.

- Doskonale sobie radzisz, moja droga. Możesz przebierać wśród tych wszystkich mężczyzn. Czy lord Ridleigh zaproponował ci carte blanche? - Gdy Diana kiwnęła głową, Madeline stwierdziła: - Mogłaś trafić dużo gorzej. To miły człowiek. I bardzo hojny.

- Czy to on był jednym z twoich protektorów, kiedy mieszkałaś w Londynie? - zapytała zaskoczona Diana.

- Powiedzmy, że nie jesteśmy sobie obcy. - Maddy rozłożyła wachlarz i zachichotała. - Mam wrażenie, że podoba ci się odbieranie hołdów składanych twojej urodzie.

- Czy to źle? - zapytała Diana takim tonem, jakby poczuła się skrzytkowana.

- Nie, ale pamiętaj, że to tylko niewielka część gry. Ci mężczyźni nie zadowolają się samym podziwianiem, większość z nich chce zaciągnąć cię do łóżka, a twoja obecność w tym gronie daje im prawo do myślenia, że jesteś chętna - ostrzegła Madeline. - Uważaj. Nie dopuść do tego, by zostać z którymś z nich sam na sam, dopóki nie jesteś pewna, że tego właśnie pragniesz. Większość z nich nie będzie cię do niczego zmuszać, ale zrobią, co tylko

w ich mocy, żeby cię uwieść. Diana uśmiechnęła się.

- Nigdy nie zostanę dobrą kurtyzaną, jeśli będę bała się podjąć ryzyko.

Madeline lekko ściągnęła brwi, a na jej czole pojawiła się pionowa kreska. Diana domyślała się, że przyjaciółka wciąż miała wątpliwości co do słuszności jej wyboru. Jednak Maddy nie miała zamiaru teraz o tym dyskutować. Wstała.

- Czy mogę zostawić cię samą na chwilę? Chciałabym porozmawiać z przyjacielem, który właśnie nadszedł.

- Dam sobie radę, Maddy. - Diana uśmiechnęła się - Jestem już dużą dziewczynką, doskonale wyszkoloną przez ciebie, jak dawać sobie radę z tajemniczymi istotami rodzaju męskiego.

Po wyjściu Madeline Diana rozejrzała się po sali. Na przyjęciu bawiło około trzydziestu mężczyzn i kilkanaście kobiet. Koło niej kręciło się kilkunastu mężczyzn, a czterech wciąż jej asystowali, pomimo popisów tanecznych Cyganki. Lord Ridgleigh przyniósł jej kieliszek szampana, obdarzył ją komplementem i usiadł na stojącym obok krześle, zadowolony, że może ją podziwiać.

Jej uwagę zwrócił tymczasem młody bajroniczny pan Clinton. Zwrócony tyłem do tancerki, patrzył cielecym wzrokiem na Dianę. Do tej pory prawie się do niej nie odzywał, ale teraz wyjąkał:

- Jest pani... boginią.

- Ma pan rację - odpowiedziała z uśmiechem. - Diana była boginią łowów i księżycą.

- Słusznie dano pani takie imię, gdyż złowiła pani moje serce. Będę nazywał panią Piękną Luną.

Clinton wyglądał tak młodzieńczo, że przywodził Dianie na myśl Geoffreya. Mimo że miał urodziwą twarz, prędzej mogła wyobrazić sobie, że karmi go słodkimi pierniczkami, niż bierze za kochanka. Zastanawiała się właśnie nad odpowiedzią, która wyrażałaby podziękowanie za miłe słowa, a jednocześnie delikatnie zniechęcała do kolejnych awansów, kiedy poczuła dziwny niepokój.

Uniósłszy wzrok, zobaczyła stojącego w progu ciemnowłosego mężczyznę, który przyglądał się jej stalowym wzrokiem. Miał około trzydziestu lat, był barczysty i wysoki, o władczym wyglądzie. Nawet z tak dużej odległości dostrzegła w jego oczach nieprzeciętną inteligencję. Stał nieruchomo i przypatrywał się jej z powagą nie pasującą do tego zgromadzenia płochych motyli.

Diana wstrzymała oddech, czując się nieswojo wobec tych wpatrzonych w nią szarych oczu. Od chwili wejścia na salę była obiektem zainteresowania, ale żaden mężczyzna nie

przyglądał się jej tak, jakby chciał wydrzeć z niej duszę. Jego spojrzenie było jak uderzenie młotem, wznecającym w niej snop iskier.

Potem przyjrzała mu się jeszcze uważniej i odniosła wrażenie, że czas się zatrzymał. Serce biło jej w piersi jak oszalałe, czuła się tak, jakby istnieli tylko oni dwoje. Nawet w raju zauważyłaby tylko tego ciemnowłosego mężczyznę. Ta urodziwa, surowa twarz była jej tak znajoma jak koszmary senne. Zdumiona i przejęta strachem zrozumiała, dlaczego przecucie mówiło jej, że lepiej jest nie znać swego losu.

Była teraz pewna, że ma przed sobą mężczyznę, dla którego przyjechała do Londynu.

Siódmy wicehrabia St. Aubyn znalazł się na tym przyjęciu w dużej mierze wbrew własnej woli. Gdy dojeżdżali do domu Harriette Wilson, powiedział nagle:

- Zmieniłem zdanie. Zawiozę cię i zostawię tu, a potem poślę po ciebie mój powóz.

Jego kuzyn Francis Brandelin uśmiechnął się.

- Nie ma mowy, Gerwazy. Kilka tygodni walczyłem o to, żeby cię tu zaciągnąć, i nie wymkniesz mi się tak łatwo. Poświęcasz stanowczo zbyt wiele czasu swojej pracy w ministerstwie spraw zagranicznych. Rząd nie upadnie z powodu tego, że zabawisz się dzisiaj wieczorem, a poza tym Harriette ma jedną z najlepiej zaopatrzonych piwniczek w Londynie.

- Nie wątpię... przecież między innymi tego oczekuje się od kurtyzany o jej pozycji - zauważył cierpko Gerwazy. - Zresztą gdyby chodziło mi o napięcie się dobrego wina, mógłbym z powodzeniem zrobić to u siebie w domu.

Francis roześmiał się serdecznie, niezrażony uwagami jego lordowskiej mości.

- Może i mógłbyś napić się wina w domu, ale jeśli chcesz znaleźć zastępczynię tej twojej baletnicy, lepszym miejscem dla ciebie będzie salon Harriette.

Chociaż Gerwazy nie był pewny, czy Francis ma rację, nie zaszczycił jego uwag odpowiedzią. Odejście tancerki operowej, Colette, nie było dla niego wielką stratą. Wyraźnie dała mu do zrozumienia, że pragnie mieć więcej rozrywek w życiu, a potem była szczerze zdumiona, kiedy lord Aubyn natychmiast przyznał, że faktycznie haniebnie ją zaniedbuje i że powinna poszukać sobie lepszego protektora.

Był jednak przekonany, że jakakolwiek kobieta z półświatka spotkana u Harriette Wilson będzie miała te same wady co Colette, będzie płocha i zachłanna. Najmodniejsze kurtyzany przewyższały temperamentem i wymaganiami szanowane damy z towarzystwa, a taka kochanka absolutnie nie była mu potrzebna. Dobrze wiedział, jakiej kobiety poszukiwał: powinna być dość atrakcyjna, niewymagająca i nierozkapryszona. Chętnie poznałby kobietę z dziećmi, która miałaby jakieś zajęcie i nie wymagała, żeby protektor stale dotrzymywał jej

towarzystwa. Nie miał nic przeciwko dzieciom pod warunkiem, że nie musiał ich oglądać.

Pomyślał, że nic mu się nie stanie, jeśli spędzi wieczór u Harriette popijając wino. Był to winien Francisowi, swemu dziedzicowi. Młody inteligentny kuzyn lubił towarzystwo i łatwo nawiązywał kontakty, a Gerwazy zamierzał zadbać o to, by młodzieniec nie wyrósł na pustelnika. Francis odziedziczył jasnobrązowe włosy i szczupłą sylwetkę po przodkach ze strony matki, a nie po ciemnowłosych, onieśmiałających posturą Brandelinach. Jako dziecko Francis chciał we wszystkim naśladować swego starszego kuzyna; kiedy Gerwazy był w wojsku w Indiach, prowadzili ożywioną korespondencję.

Gdy nowy wicehrabia powrócił do Anglii po śmierci ojca, czuł się bardzo samotny, więc serdeczne przyjęcie go przez Francisa było dlań jak promyk słońca w deszczowy dzień. Było mu bardzo miło, że znalazł się ktoś, komu nie jest obojętne, czy Gerwazy jeszcze chodzi po tym świecie. Chociaż bardzo się różnili, nawiązała się między nimi przyjaźń nie wynikająca jedynie z więzów krwi.

- Myślałeś kiedyś o tym, żeby się ożenić? - spytał Gerwazy jakby od niechcenia.

W migocącym świetle lampy dostrzegł zdumione oblicze kuzyna.

- Dlaczego o to pytasz, kuzynie? - odpowiedział pytaniem Francis, siląc się na lekki ton.

- Cóż, jesteś moim dziedzicem i pewnego dnia przypadnie ci cały mój majątek. Różnie w życiu bywa, a chciałbym zyskać pewność, że nasze dobra będą służyły następnym pokoleniom - odpowiedział rzeczowo wicehrabia.

- A czyż zapewnienie spadkobierców nie należy do twoich obowiązków? - zapytał z rozbawieniem Francis, przyglądając się Gerwazemu spod zmrużonych powiek.

Powóz zatrzymał się przed domem Harriette. Gerwazy był zadowolony, że porzucili ten niewygodny temat. Odniósł wrażenie, że Francis nie ma ochoty się żenić. Zapewne była to jakaś skaza rodzinna. Pomyślał, że pewnego dnia wicehrabia będzie musiał dokładnie mu wyjaśnić, dlaczego on sam nigdy nie będzie miał prawowitych dziedziców, lecz wolał omijać ten temat tak długo, jak tylko było to możliwe.

Ochmistrz wpuścił ich bez żadnych pytań, jako że Francis regularnie odwiedzał salon Harriette. Po całym domu niósł się śmiech i dźwięki muzyki. Gerwazy udał się za kuzynem po schodach do głównego salonu.

- Czy mam cię przedstawić, czy wolałbyś uniknąć formalności? - zapytał Francis tuż przed wejściem.

- Nie musisz się wysilać - odpowiedział Gerwazy. - Na pewno znam większość obecnych tu mężczyzn i więcej niż kilka kobiet.

Po wejściu do obszernego salonu Francis natychmiast podszedł do gospodyni, której głowa tonąca w ciemnych lokach była ledwie widoczna w tłumie adoratorów. Gerwazy przystanął w drzwiach, rozglądając się dookoła, jak zwykł to czynić jako żołnierz walczący na terytorium wroga.

Spotkał już wcześniej Harriette Wilson i uważał, że ma maniery nieokrzesanego uczniaka, chociaż jej witalność i spontaniczność nie była pozbawiona uroku. W drugim końcu sali ciemnowłosa Cyganka wirowała i przytupywała wraz z młodym oficerem pułku szkockich górali. Chłopak powinien był postukać się w głowę, zanim zaczął tańczyć na stole w szkockiej spódniczce. A może on też chciał zaprezentować swoje wdzięki tak jak kobiety?

Po chwili wzrok Gerwazego padł na grupkę po przeciwległej stronie sali. Znieruchomiał, a serce zamarło mu w piersi. Dziewczyna w środku grupy, odwrócona do niego bokiem, miała profil tak nieskazitelnie piękny, że mogła zaspokoić najśmielsze męskie marzenia o niewinności. Wyglądała jak Ewa w obliczu węża, jak dziewica, u której stóp kładł się jednorożec, jak niewinna żona po raz pierwszy wstępująca do małżeńskiego łóżka...

Łączyła w sobie wszystkie te postacie, nie będąc żadną z nich. Wpatrując się w nią z niemym podziwem, pomyślał cierpko: „Jaka szkoda, że jest prostytutką”.

Poczuł smutek i zarazem złość, że ta wspaniała niewinność jest jedynie złudzeniem i oszustwem. Jakim prawem ta dziewczyna z burzą kasztanowych włosów ośmielała się sugerować, że marzenia mogą się ziścić? Przecież była jedynie prostytutką; skoro przebywała w takim towarzystwie, inna możliwość nie wchodziła w rachubę. Nie było ani cienia niewinności w jej wspaniałym ciele w obcisłej niebieskiej sukni z jedwabiu, kusząco odsłaniającej i kryjącej urocze krągłości, ani w jej sposobie bycia, dowodzącym, że gotowa jest na wiele za odpowiednią cenę.

Zmusił się do opanowania, przypomniawszy sobie, że nie przyszedł tu szukać spełnienia snów, dziewicy ani żony, i że chodzi mu o kochankę. Obecność tej kobiety w takim miejscu oznaczała, że może ją mieć bez żadnych problemów i rozczarowań związanych z marzeniami. Odwieczny męski instynkt, niezwykle mocno pobudzony jej widokiem, nakazywał uprowadzić ją, tak jak Rzymianie czynili to z Sabinkami. Tylko odrobinę bardziej cywilizowany impuls radził mu jednak przejść przez pokój i zapytać: „Jaka jest twoja cena?”

Lecz największe kurtyzany słynęły z przewrotności i gardziły mężczyznami, którzy uważali, że można zjednać sobie ich przychylność tylko za pomocą pieniędzy. Tak jak piękna kobieta była nagrodą, którą mężczyzna mógł chętnie się przed swoimi kompanami, tak i kurtyzany chwaliły się przed sobą swoimi podbojami. Gerwazy nigdy nie zawracał sobie głowy takimi kobietami, nie mając zamiaru bawić się w zwyczajowe flirtowanie, lecz gdy



zobaczył, że dziewczyna wdzięcznie kładzie dłoń na ramieniu młodego adoratora, postanowił uczynić dla niej wyjątek.

I wtedy odwróciła się, ich spojrzenia się spotkały, a widok jej intensywnie niebieskich oczu podziałał na niego jak afrodyzjak. Była piękną kurtyzaną i wielką zagadką. Nie namyślając się już dłużej, przeszedł przez salon. Patrzyła na niego. Jej niewiarygodnie niebieskie oczy przykuwały jego wzrok tak, jakby w pokoju byli tylko oni dwoje.

Gerwazy niemal nie zauważył mężczyzn skupionych wokół niej. Kiedy podszedł, dziewczyna wdzięcznie wstała. Dumnie wyprostowana, podała mu szczupłą dłoń. Przytrzymał ją przez chwilę, czując chłód jej palców, a potem skłonił się i delikatnie musnął je ustami. Jej dłoń nieznacznie zadrżała. Zastanawiał się, czy ona również czuje się ogarnięta gorącą falą. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że jej milczenie stanowiło jedynie element strategii, że zachowywała się jak królowa, czekająca, aż poddany odezwie się pierwszy.

Nie wypuszczając jej dłoni, wyprostował się i popatrzył jej prosto w oczy. Była wzrostu mniej niż średniego - czubek jej głowy nie dotykał jego brody, miała szczupłą talię, podkreślającą dorodne piersi i krągłe biodra. Z bliska jej uroda była równie nieskazitelna jak z pewnej odległości. Drobne rysy jej twarzy były pięknie wyrzeźbione, aksamitna skóra aż prosiła się, by ją dotknąć. Dziewczyna popatrzyła na niego poważnym wzrokiem. Jej pełne usta kryły obietnicę, chociaż żadne z nich nie odezwało się ani słowem, nie uśmiechnęli się też do siebie.

Miała wyraźnie zarysowane kości policzkowe pod dużymi, lekko skośnymi oczami. Błyszczący pukiel włosów opadający na ramię podkreślał jego nagość, a głęboki dekolt ukazywał delikatną krągłość piersi. Nigdy dotąd nie widział włosów takiej barwy; ich głęboki odcień przywodził na myśl stary wypolerowany mahoń. Nie miała biżuterii i wcale jej nie potrzebowała; podobnie jak piękna lilia nie musiała dbać o pozłotę.

Przez dłuższą chwilę zastygli jak posągi. Gerwazy zauważył puls bijący pod mleczną skórą w zagłębieniu szyi. Dziewczyna uniosła wzrok. Jej niebieskie oczy kryły w sobie głębię emocji, których nie potrafił rozpoznać. Delikatnie ścisnąwszy jej dłoń, wyprowadził ją z kręgu adoratorów.

- Chodź - powiedział tylko.

Dookoła nich rozległy się na wpół rozbawione, na wpół oburzone głosy protestu. Nie odwracając od niej wzroku, rzucił:

- Niedługo ją zwrócę.

Poprowadził ją ku wykuszowemu oknu, gdzie byli widziani, lecz nikt nie mógł słyszeć

ich rozmowy. Poruszała się z naturalną gracją, stanowiącą doskonałą oprawę jej urody.

Gerwazy wciąż trzymał ją za rękę. Bliskość tej dziewczyny ograniczała mu zdolność trzeźwego myślenia.

- Jestem St. Aubyn. - Postanowił zacząć od podstawowej informacji. - A pani?

- Mrs. Diana Lindsay.

Jej głos był równie miły jak jej twarz, dźwięczny i pozbawiony prowincjonalnego akcentu. Mogłaby być księżniczką, lecz księżniczki nigdy nie były tak piękne. Otaczał ją delikatny zapach bzu, potęgujący złudzenie niewinności, którą tak doskonale udawała. W jej obecności był prawie niezdolny do myślenia, ale zdobył się na cyniczne spostrzeżenie, że dziewczyna będzie bardzo, ale to bardzo kosztowna. Nie miało to jednak dla niego żadnego znaczenia. Zdecydował się na nieco zmodyfikowaną wersję pytania, które wcześniej przyszło mu do głowy.

- Co należy uczynić, żeby panią zdobyć?

Miał głęboki, donośny głos, który musiał równie melodyjnie brzmieć przy pieszczotach, jak i przy wydawaniu rozkazów. Serce w piersi Diany waliło jak oszalałe. Głęboko zaczerpnęła tchu, ze wszystkich sił starając się opanować. Czego się po nim spodziewała? Że ją porwie? Oskarży ją o uprawianie nierządu? Wyzna jej dozgonną miłość? Chociaż od razu wiedziała, że ten mężczyzna jest jej przeznaczeniem, najwyraźniej on nie miał o tym pojęcia.

Pomyślała, że tak jest lepiej. Niespiesznie wysunęła dłoń z jego ręki.

- Może pan o mnie zabiegać i się przekonać.

Uniósł mocne, ciemne brwi.

- Mam o panią zabiegać? Nie przyszedłem tu szukać żony.

- Ani ja męża - odparła śmiało. - Oboje mamy inne, łatwiejsze cele. Jeśli nie podoba się panu słowo „zabiegać”, proszę wybrać inne. Dobór słów nie ma znaczenia. Istotne jest tylko to, że jeśli chce mnie pan mieć, musi mnie pan zadowolić.

Lord St. Aubyn zmrugał szare oczy, a na twarzy o wydatnych kościach policzkowych pojawił się wyraz napięcia. Poczula, że rozmówca ma ochotę się wycofać.

- Widzę, że lubi pani zabawiać się obserwowaniem, jak zalotnicy stają na głowie, żeby panią zadowolić, a pani napuszcza jednych na drugich, by walczyli jak koguty. Dziękuję, madame, ale nie mam ochoty brać udziału w tej grze.

Miał swoją dumę. Nie była tym specjalnie zaskoczona, jako że była ona wypisana w każdym calu zgrabnego ciała, które poruszało się z gibkością łownego kocura. Nie miał ani jednej zbędnej uncji od szerokich ramion, przez płaski brzuch do muskularnych nóg, i

emanował męską siłą.

Zastanawiała się, czy jego lordowska mość potrafi się uśmiechać, a jeśli tak, to czy rozbawienie potrafi ożywić chłodne, regularne rysy i uczynić je pięknymi. Walcząc z uczuciem onieśmienia, wywołanym bliską obecnością tego mężczyzny, powiedziała chłodnym tonem:

- Dzisiejszego wieczoru poznałam wielu mężczyzn, ale jedynie panu pozwoliłam zbliżyć się do mnie.

Widząc, że trochę się rozluźnił, dodała:

- Mogę coś panu obiecać, milordzie. Jeśli poznamy się lepiej, być może zadecyduję, że pan mi nie odpowiada, ale nigdy nie stanie się pan dla mnie zabawką.

Uśmiechnął się nieznacznie, a rozpogodzona twarz natychmiast dodała mu uroku.

- Mam nadzieję, że mówi pani prawdę. Jest bardzo wiele rzeczy, których nie zamierzam tolerować nawet u kobiety o tak niezwykłej urodzie.

- Jest też wiele rzeczy, których nie zamierzam zaakceptować nawet u mężczyzny bez wątplenia niezwykle majątnego.

Przez jego twarz przemknął cień zdziwienia, a potem uśmiechnął się szerzej.

- Jest pani bardzo wymagająca, pani Lindsay.

- To jedynie kwestia ustalenia rozsądnych warunków, milordzie - powiedziała, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Ten ruch spowodował nieznaczne zmarszczenie jedwabnej sukni na jej ciele. Z napięcia widocznego na jego twarzy domyśliła się, że zauważył ten mały pokaz.

Czując ogromną potrzebę wprawienia go w jeszcze większe zakłopotanie, Diana postanowiła przenieść rozmowę na wyższy poziom.

- Podobnie jak każdy kupiec, usiłuję sprzedać to, czego poszukują klienci. A ponieważ łączy się to z osiąganiem pewnych zysków, staram się wynegocjować najlepsze warunki sprzedaży.

Wargi jego lordowskiej mości wygięły się w lekkim uśmiechu.

- Obawiam się jednak, że pani cena jest zagrożona z powodu dużej podaży. Podobno w Londynie jedna kobieta na dziesięć sprzedaje ten sam produkt co pani, nie licząc tych, które udostępniają ten sam towar za darmo albo za pośrednictwem kontraktu na całe życie.

Diana roześmiała się.

- Myli pan dwa różne artykuły. Większość z nas sprzedaje swoją kobiecość, podczas gdy kobiety niezwykłej piękności sprzedają marzenia.

Przez chwilę sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

- Nie dość, że zuchwała, to jeszcze próżna - mruknął pod nosem.

Diana uniosła brwi.

- Czy świadomość własnej wartości to próżność? Jestem kupcem mającym przed sobą jedynie kilka krótkich lat na sprzedanie swoich towarów, zanim stracą na wartości. Dlaczegoż nie miałabym walczyć o zapewnienie im jak najwyższej ceny? - St. Aubyn przestraszył ją na początku, ale rozmowa zaczynała jej się coraz bardziej podobać. Jeszcze nigdy nie rozmawiała z mężczyzną w ten sposób, a połączenie intelektualnych przekomarzań z erotycznymi podtekstami było niezmiernie ciekawe. - Pieniądze są ważne, ale większość obecnych tu mężczyzn dobrze płaci, więc dlaczego nie miałabym próbować zadowolić się w inny sposób?

- To poważny argument - powiedział sucho lord St. Aubyn - ale skoro pani warunki są tak wygórowane, istnieje obawa, że nie będę mógł im sprostać. Będzie mi bardzo przykro z tego powodu.

Mimo pozornie beztroskiego tonu tej wypowiedzi, wyczuła w jego słowach jakieś napięcie, które niosło za sobą zagrożenie. Wprawdzie Diana w dużej mierze wierzyła w przeznaczenie, ale teraz miała do czynienia ze zwykłą umową handlową i kolejny ruch należał do niej.

- W takim razie proszę postarać się spełnić moje wymagania, lordzie St. Aubyn - powiedziała przybierając równie obojętny ton. - Proszę mnie oczarować i sprawić, żebym poczuła się piękna i pożądana. A może nie rozwijał pan należycie umiejętności czarowania?

Dotknął jej policzka mocnymi, ciepłymi palcami. Diana była pod wrażeniem jego męskości. Czowała dziwne ciepło przyprowadzające ją o słabość, rozchodzące się po całym ciele. Miała ochotę otworzyć ramiona i ulec jego zachciankom. Wszystkie te przeżycia były dla niej zupełnie nowe i nagle zaczęła się bać... nie tego ciemnowłosego mężczyzny o stalowym spojrzeniu i ciepłych dłoniach, lecz siebie samej.

- Nikt jeszcze nie oskarżył mnie o praktykowanie czarów, ale mam inne walory - powiedział cicho St. Aubyn, po czym uniósł jednym palcem jej podbródek i pochylił się, by ją pocałować. Jego usta były ciepłe i niosły obietnicę rozkoszy. Ich ciała nie zetknęły się; wzajemna fascynacja z siłą ognia skupiła się na wargach.

Diana obawiała się pierwszego pocałunku, między innymi ze względu na możliwość zdradzenia się ze swoim niedoświadczeniem. Serce biło w jej piersi w przyspieszonym rytmie. Nie miała pojęcia, że pocałunek może tak smakować, och, nie, z pewnością się tego nie spodziewała. Jego oczy były tak blisko i wpatrywały się w nią z tak napiętą uwagą, że musiał dostrzec jej zmieszanie, musiał domyślić się, że marzy o tym, żeby się do niego

przytulić, poznać jego ciało, tak ciepłe i kuszące.

Nie bała się, a kiedy uniósł głowę i opuścił rękę, poczuła ulgę i żal. Cofnęła się o krok, chcąc zwiększyć dystans między nimi. Zadowolona, że udało jej się opanować, uśmiechnęła się nieznacznie, jakby pocałunki były dla niej czymś równie naturalnym jak oddychanie.

- Zapiszę to na pański rachunek. Powinno to nieco zrekompensować inne braki.

Zauważyła błysk w jego oczach i pomyślała, że być może go rozzłościła, jednak po chwili zachichotał.

- Kiedy wycofa się pani z zawodu, zostanie pani urzędniczką, księgową.

Wciąż rozbawiony, przyjrzał się jej szacującym wzrokiem.

- Widzę, że doskonale radzi sobie pani z rachunkami. - I zanim zdążyła odpowiedzieć, zapytał: - Umie pani jeździć konno?

Diana zawahała się.

- Tak, ale nie jeździłam od kilku lat, a w dodatku tu, w Londynie, nie mam konia.

- Jest na to rada. Z przyjemnością znajdę wierzchowca, którego będzie pani mogła dosiąść, jeśli wybierze się pani ze mną na przejażdżkę.

Znowu gra słów. Diana zarumieniała się nieznacznie, ale nie straciła opanowania.

- W takim razie z przyjemnością z panem pojedę.

- Czy może być jutro, o siódmej?

Zazwyczaj o tej porze Diana jadła śniadanie z Geoffreyem przed jego wyjściem do szkoły, ale zdawała sobie sprawę, że jej nowe zajęcie spowoduje zmiany w rozkładzie dnia. Postanowiła wynagrodzić to synowi, spędzając z nim potem więcej czasu.

- Dobrze, milordzie, w takim razie czekam jutro o siódmej, Charles Street siedemnaście.

Z zadowoleniem skinął głową.

- Przyprawdę konia odpowiedniego dla damy, która nie jeździła konno od paru lat.

- Dziękuję, milordzie. - Uśmiechnęła się zalotnie i dodała: - Nie musi być zupełnie niedołączny.

- Zapamiętam: jeden koń, łagodny, ale nie niedołączny. A teraz pozwoli pani, że zwrócę ją adoratorom.

St. Aubyn podał jej ramię okryte ciemnoniebieskim rękawem fraka. Nawet przez gruby materiał poczuła twarde mięśnie i lekko zadrżała. Madeline powiedziała jej, że pożądanie potrafi rzucić na kolana nawet najsilniejszego mężczyznę, lecz z pewnością nie dotyczyło to człowieka takiego jak on. Jego siła była nie tylko fizycznej natury, za przenikliwym spojrzeniem szarych oczu kryło się zdecydowanie i opanowanie. Mógł jej

pożądać, lecz trudno było wyobrazić sobie, że pozwoli, by jakakolwiek kobieta miała nad nim władzę.

Z niepokojem przypomniała sobie, że Madeline powiedziała również, iż pożądanie może także przywiązać kobietę do mężczyzny. Diana nie wierzyła, że może się to przydarzyć jej, która przez tyle lat nie odczuwała fizycznych namiętności, lecz teraz nie była już tego taka pewna. Patrząc na surowy profil St. Aubyna, pomyślała o lordzie Ridleighu, o jego łagodnym spojrzeniu i ogromnej chęci sprawiania jej przyjemności.

St. Aubyn odprowadził ją do zajmowanego wcześniej przez nią krzesła, skłonił się i odszedł. Pozornie mogła wybrać sobie kochanka według swego upodobania, a w rzeczywistości nie miała żadnego wyboru. Jej zachowanie wobec ciemnowłosego lorda nie było podyktowane mądrością ani kalkulacją; wiedziała jedynie, że złączył ich los.

Niektórzy adoratorzy Diany patrzyli na nią z przyganą, niezadowoleni, że pozwoliła się pocałować innemu mężczyźnie, większość jednak starała się namówić ją na udanie się w jakieś spokojne miejsce, gdzie mogliby oddać się podobnym przyjemnościom. Odparłszy ich ataki, wprowadziła ich żartami w dobry humor. Znacznie trudniejsza okazała się próba udobruchania Madeline później tego wieczoru. Przyjaciółka widziała scenkę z lordem St. Aubyn i ledwie znalazły się w powozie, dała upust swoim uczuciom.

- Na litość boską, Diano, dlaczego dałaś mu odciągnąć się na bok?!

- Nie jestem już siedemnastoletnią panienką o nienagannej reputacji, której muszę strzec, a wprost przeciwnie - odpowiedziała łagodnie Diana. - Poza tym przez cały czas byłam na widoku.

- Tak, i na oczach wszystkich pozwoliłaś mu się pocałować.

- Niezupełnie „pозwołałam”.

Latarnia na zewnątrz powozu na chwilę oświetliła stroskaną twarz Madeline.

- Tym gorzej. Jeśli chcesz odnieść sukces jako kurtyzana, musisz w pełni kontrolować to, co się dzieje, a nie przystawać na każdą propozycję.

- Zgodziłam się tylko na jedną.

- Ale że też musiał to być St. Aubyn!

- Czy coś jest z nim nie tak? - zapytała z zaciekawieniem Diana. - Czy znałaś go, kiedy wcześniej mieszkałaś w Londynie?

- Nie. - W powozie było ciemno, ale Diana domyśliła się, że Madeline potrząsnęła głową. - Ale zaraz po jego wyjściu wypytałam o niego. Spędził kilka lat w wojsku w Indiach, ale wrócił tu parę lat temu, kiedy odziedziczył tytuł.

- Tak? - ponagliła ją Diana. - No i czego się dowiedziałaś? Czy jest hazardzistą, który przehulał rodzinny majątek, a może jest łajdakiem, którym gardzą szanowani mieszkańcy Londynu?

- Nieee - odpowiedziała wolno Madeline. - Nic aż tak oczywistego.

- Jutro rano wybieram się z nim na przejażdżkę, więc jeśli chcesz mnie przekonać, że muszę go unikać, powinnaś wyrażać się jaśniej - stwierdziła Diana z niespotykaną u niej ironią w głosie.

Madeline westchnęła.

- Ludzie dziwnie reagują na wzmiankę o nim. Ma opinię człowieka chłodnego, jest szanowany, ale chyba nie za bardzo lubiany. - Po dłuższej chwili dodała: - Podobno jest asem

wywiadu, a poza tym ludzie mówią, że doprowadził swoją żonę do obłądu i trzyma ją teraz zamkniętą w jakimś zamku w Szkocji.

- Boże! - zawołała Diana, unosząc brwi. - Jakie to niesamowite! Czy są podstawy do takich oskarżeń?

- Niezupełnie - przyznała - Madeline. - Wypytałam wszystkich, których mogłam, i nikt nie ma nawet pewności co do tego, czy w ogóle jest żonaty, ale ponieważ plotka się powtarza, musi być w niej coś z prawdy. St. Aubyn rzadko bywa w towarzystwie, więc szeroko komentowano jego pojawienie się u Harriette. - Po chwili zastanowienia dodała: - Jest bardzo bogaty.

- A która z podanych mi przed chwilą przez ciebie wiadomości czyni go nieodpowiednim kandydatem na protektora? Chyba nie bogactwo.

Powóz zatrzymał się przed domem. Madeline nie odpowiedziała. Wstąpiły na schody i weszły do jej apartamentu. Na drugim piętrze znajdowały się dwa osobne mieszkania; w każdym była sypialnia, salon, garderoba i łazienka z wygodną wanną. Dawniej Maddy zajmowała frontowy apartament, ale teraz wolała mieszkanie w tylnej części budynku, jako że było w nim ciszej. Geoffrey i Edith mieszkali na trzecim piętrze, a służące na strychu.

Diana poczuła wyrzuty sumienia, widząc zmęczenie na twarzy przyjaciółki. Mimo że Maddy wyzdrowiała, nie była już młoda, niedawno ciężko chorowała, a powrót do dawnego życia musiał ją wiele kosztować nawet i bez konieczności martwienia się o protegowaną. Gdy Madeline opadła na fotel, Diana nalała kieliszek sherry, a potem wyjęła szpilki z ciemnych włosów przyjaciółki i zaczęła je rozczesywać.

- Dlaczego lord St. Aubyn nie nadaje się na kochanka? - zapytała ponownie Diana, gdy Madeline nieco się odprężyła.

- Z powodu jego charakteru. Jest chłodny i niezdolny do czułości. Nawet jeśli nie jest szpiegiem i nigdy nie był żonaty, nie uczyni cię szczęśliwą. - Madeline westchnęła i zamknęła oczy. - Chyba przyznasz, że mam większe pojęcie o mężczyznach i miłości niż ty?

- Oczywiście. - Diana rozpięła suknię przyjaciółki i pomogła jej włożyć miękki czerwony szlafrok. Z błogim westchnieniem Madeline podkuliła nogi w fotelu. Diana nalała dla siebie kieliszek sherry, po czym usiadła na szeslongu naprzeciwko Madeline i zaczęła wyjmować szpilki z włosów. - Ale powiedz mi, dlaczego St. Aubyn tak cię niepokoi?

Maddy w zamyśleniu obracała w palcach nóżkę kieliszka.

- Uważam, że jesteś zbyt delikatna, zbyt mocno kierujesz się emocjami, żeby prowadzić takie życie. Wątpię, czy uda ci się zadbać o to, by rozsądek wziął górę nad uczuciem, kiedy znajdziesz sobie kochanka. Kurtyzana musi zawsze zachowywać pewien



dystans. Nie ma dla niej nic gorszego, niż zakochać się w swoim protektorze. - Uśmiechnęła się z goryczą. - Właśnie to mi się zdarzyło. Absolutnie tego nie polecam.

Diana wpatrzyła się w bursztynowe wino.

- Czy miłość kiedykolwiek może być czymś nagannym?

Madeline wzruszyła ramionami.

- Nie tyle nagannym, co bolesnym. Nie uszczęśliwi cię w późniejszych latach, jeśli twój kochanek porzuci cię dla młodszej kobiety albo powróci na łono rodziny do swojej szlachetnie urodzonej żony.

Diana zawsze podejrzewała, że nie tylko choroba wyгнаła Madeline z Londynu przed dwoma laty.

- Bardzo mi przykro. Czy to właśnie cię spotkało? - zapytała ze współczuciem.

Madeline milczała tak długo, że Diana pomyślała, iż nie doczeka się odpowiedzi.

- Niezupełnie - odezwała się w końcu. - Niezupełnie. Nicholas był moim ostatnim protektorem, utrzymywał mnie przez siedem lat. Jego żona sekutnica mieszkała na wsi, tak że mieliśmy w Londynie mnóstwo czasu dla siebie. To on kupił mi ten dom i bywał w nim częściej niż u siebie.

Zatopiona we wspomnieniach, sączyła sherry.

- Chciał się ze mną ożenić - powiedziała nagle słabym głosem. - Trudno w to uwierzyć, prawda?

- Wcale nie - odpowiedziała cicho Diana, przeczesując palcami gęste loki. - Jesteś urodziwa i miła, każdy mężczyzna byłby szczęśliwy mając taką żonę.

W oczach Madeline rozbłysły łzy.

- Zdarzało się już, że mężczyzna taki jak on żenił się z kobietą taką jak ja. W końcu Emma Harte została brytyjską ambasadorką na Sycylii poprzez małżeństwo z sir Williamem Hamiltonem, a nie była szlachetniej urodzona niż ja i nie prowadziła się lepiej. Wprawdzie niektóre osoby z towarzystwa, wysoko zadzierające nosy, zapewne zerwałyby kontakty z Nicholasem i ze mną, ale wcale byśmy się tym nie przejęli.

Jej twarz stężała.

- Ale Nicholas nie był człowiekiem wolnym. Jego żona była zbyt oziębła na to, by źle się prowadzić, więc nie miał podstaw do starania się o rozwód. Mimo to byliśmy szczęśliwi, dopóki jego żona nie zdecydowała, że powinien zakończyć znajomość ze mną, grożąc, że skompromituje go wraz z rodziną i dziećmi. Był potwornie rozdarty. Nie chciał mnie opuścić, ale brał też pod uwagę dobro rodziny. - Nerwowo obracała nóżkę kieliszka w sztywnych palcach. - Zastanawiałam się, czy moje zmartwienia z tego okresu nie przyczyniły się czasem

do powstania choroby. Spotkałam się już z przypadkami, kiedy nieszczęścia prowadziły do zapadnięcia na zdrowiu.

Uniosła kieliszek i dopiła sherry. Diana natychmiast wstała i dołała Madeline wina.

- Wyjechałam z Londynu między innymi dlatego, że nie chciałam, by Nicholas był zmuszony ciągle wybierać pomiędzy mną a rodziną - ciągnęła Madeline silniejszym już głosem - ale też i dlatego, że nie chciałam, by widział, jak umieram. Resztę już znasz.

- Teraz wszystko rozumiem. - Diana milczała przez chwilę. - Czy ten twój Nicholas wciąż jest w Londynie?

Madeline pokręciła głową.

- Nie, to była pierwsza rzecz, o którą zapytałam, kiedy tu przyjechałyśmy. Mieszka teraz wyłącznie w swoim wiejskim majątku. Nie pokazałabym się publicznie, gdyby istniała możliwość, że zobaczę go na przyjęciu. Takie spotkanie przekracza moje siły - wyszeptła ze smutkiem. - Nic się nie zmieniło... przynajmniej dla mnie. Być może on się zmienił. Mam taką nadzieję. Będzie mu łatwiej, jeśli już mnie nie kocha.

Twarz Diany wyrażała serdeczne współczucie. To było bardzo typowe dla Madeline. Nie chciała, by jej kochanek cierpiał, mimo że sama wciąż przeżywała katusze.

Maddy westchnęła.

- Rozumiesz już teraz, dlaczego kurtyzana nie powinna zakochiwać się w swoim protektorze? Daje to wiele chwil radości, ale są one nieliczne w porównaniu z godzinami cierpienia. Wielka namiętność zbyt często prowadzi do zguby, a bardzo rzadko daje prawdziwe szczęście. Lepiej jest mieć protektora, który jest przyjacielem albo którego kocha się tylko odrobinę.

- Jeśli St. Aubyn jest taki zimny, jak myślisz, to dlaczego się obawiasz, że mogę się w nim zakochać?

- Myślę, że zakochasz się w każdym mężczyźnie, którego wybierzesz na kochanka - powiedziała bez ogródek Madeline. - To taki kobiecy zwyczaj, a ty jesteś bardziej wrażliwa niż większość kobiet. Sama jeszcze nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo pragniesz kochać i być kochaną.

- Ale przecież mam już w życiu wiele miłości. Kocham Geoffreya, ciebie, Edith - stwierdziła spokojnie Diana. - Dlaczego jesteś taka pewna, że stracę głowę dla mężczyzny tylko dlatego, że zostaniemy kochankami?

- Miłość fizyczna bardzo różni się od miłości, którą odczuwamy w stosunku do dziecka czy sympatii dla przyjaciółki. Niezależnie od tego, jak silne są te inne uczucia, nie są w stanie zaspokoić kobiecej potrzeby posiadania mężczyzny. - Madeline nieznacznie

wychyliła się w fotelu, poważniejąc. - Wierz mi, możesz mi zaufać w tym względzie. Nie angażuj się w związek z St. Aubynem. Wybierz raczej mężczyznę takiego jak lord Ridgleigh. Wiem, że nawet w połowie nie jest tak przystojny, ale za to będzie cię naprawdę szanował i adorował. Albo ten ładny chłopak, Clinton, który będzie pisał poezje na temat błękitu twoich oczu. Nawet jeśli na końcu znajomości poczujesz ból, to nie będzie on niszczący i zachowasz wspomnienia miłych chwil.

Pokręciła głową, zmęczona.

- Dobrze znam mężczyzn takich jak St. Aubyn. Na pewno jest atrakcyjny i jest gotów hojnie płacić za przywilej posiadania cię dla siebie. Być może nawet dostarczy ci przyjemności w łóżku. Ale da ci niewiele czułości, nie mówiąc już o miłości.

Diana podciągnęła nogi pod brodę i objęła je ramionami.

- Przykro mi, Madeline - powiedziała cicho. - Być może masz rację, ale... jest coś, co muszę zrobić.

- Na litość boską, Dian, dlaczego?! - wykrzyknęła Madeline. - Mówimy o czymś niezmiernie istotnym, a ty przybierasz tajemniczy wyraz twarzy i mówisz, że musisz coś zrobić. Jesteśmy przyjaciółkami, ale nie mam pojęcia, co knujesz i jesteś zagadkowa jak Chińczyk. Przecież wyróżniasz się inteligencją... więc dlaczego nie chcesz z niej skorzystać?

Diana pobladła.

- Przepraszam - powiedziała drżącym głosem. - Wiem, że to jest dla ciebie trudne i zdaję sobie sprawę, że robisz, co możesz, żeby uchronić mnie przed niepotrzebnymi zmartwieniami.

Urwała, starając się znaleźć sposób wyjaśnienia wszystkiego Madeline. W końcu odpowiedziała, starannie dobierając słowa.

- To nie jest kwestia inteligencji. Potrafię zrozumieć dzieła poetów i filozofów i mądrze rozmawiać na ich temat, ale to tylko kwestia umysłu, a najczęściej kieruję się uczuciami i instynktem. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego istnieją rzeczy, które muszę zrobić, tak jak nie potrafię wyjaśnić, dlaczego wieje wiatr. Wiedziałam, że muszę przyjechać do Londynu i zakosztować życia kurtyzany, a teraz wiem, że muszę widywać się z lordem St. Aubyn. Bardzo mi przykro... przepraszam. Gdybym mogła, byłabym inna - dokończyła prawie szeptem.

Madeline przeżywała rozterki Diany jak własne. Traktowała ją trochę jak córkę, którą zawsze pragnęła mieć, i odczuwała smutek rodziców starających się uchronić swoje dzieci przed cierpieniem. Westchnęła. Diana była wrażliwa, delikatna, lecz jednocześnie silna, i potrafiła kierować się swoją głęboką mądrością. Doświadczyła już smutku i utraty, i z

pewnością będzie potrafiła przeżyć inną nieszczęśliwą miłość. Większość kobiet ma serce złamane niejednym razem.

- Przepraszam, moja złota. Staram się za wszelką cenę nauczyć cię życiowej mądrości, a przecież sama nie potrafiłam kierować się rozsądkiem. No cóż, skoro musisz, to znaczy, że musisz. - Uśmiechnęła się na wspomnienie reakcji wicehrabiego St. Aubyn na Dianę. - Czasami mężczyźni tacy jak St. Aubyn pod lodem kryją ogień. Jeśli jakiegokolwiek kobiecie jest dane go znaleźć, to tylko tobie.

- Możliwe - powiedziała cicho Diana. - Zobaczymy. - Mocniej zacisnąwszy rękę wokół kolan, zapatrzyła się w przestrzeń. Maddy miała rację, oskarżając ją, że ma jakieś tajemnicze plany. Diana nigdy nie potrafiła szczerze i otwarcie rozmawiać o tym, co najbardziej leżało jej na sercu. Umiała o tym mówić dopiero po rozstrzygnięciu problemu. Lecz mogła wtajemniczyć przyjaciółkę przynajmniej w niektóre sprawy. - Teraz, po miesiącach zastanawiania się, wydaje mi się, że wiem już, dlaczego tak bardzo chciałam zakosztować życia kurtyzany.

Madeline rozsiadła się wygodniej.

- Dlaczego? - zapytała, by zachęcić Dianę do zwierzeń.

- Sama podsunęłaś mi ten pomysł. Kiedy mówiłaś o swoim życiu, wydawało mi się... pełne wolności w sposób, jakiego nie znałam - powiedziała Diana. - A poza tym... nie chciałam spędzić reszty życia bez mężczyzny. Sama wiesz, jakie ograniczone szanse daje Cleveden. W Londynie jest wiele możliwości wyboru, zarówno jeśli chodzi o mężczyzn, jak i o sposób życia, i to mi się bardzo spodobało. - Uśmiechnęła się figlarnie. - Podobały mi się też twoje opowieści o seksie i o tym, że uroda daje kobiecie władzę. To było najbardziej ekscytujące.

- Tak bardzo, że uważasz, iż warto było narażać syna na zmianę życia?

- Dobrze znasz odpowiedź na to pytanie, Maddy - odezwała się Diana ostrym tonem, lecz zaraz głos jej się załamał. - To przede wszystkim dotyczyło mnie. Mój sukces w roli kurtyzany zapewniłby mi stabilną finansowo przyszłość, a być może też i dobrą pozycję w świecie, gdybym spotkała wpływowych mężczyzn. Geoffrey jest bardzo zadowolony ze szkoły, a jeśli będę miała szczęście, to zrezygnuję z zawodu i stanę się szanowaną osobą, zanim dorośnie na tyle, by zrozumieć, co robię.

Sama czuła, że obrona niezbyt jej wychodzi. Pochyliła głowę, by ukryć łzy. Gdyby nie Geoffrey, decyzja o zostaniu kurtyzaną nie byłaby dla niej taka trudna. Codziennie martwiła się, że będzie ona miała w przyszłości przykre konsekwencje dla syna.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała Madeline tonem usprawiedliwienia. - Nie

powinnam była cię o to pytać, ale nie potrafię nic poradzić na to, że martwię się, jak to wszystko wpłynie na ciebie i Geoffreya. Jednak niezależnie od tego, co się zdarzy, wiedz, że zawsze możesz na mnie liczyć, że jestem tu, żeby ci pomóc.

Diana opadła na oparcie szezlonga, czując nagle zmęczenie wydarzeniami tego wieczoru. Nie było już możliwości odwrotu i mogła tylko mieć nadzieję, że intuicja nie prowadzi jej na manowce.

Zostawiwszy powóz kuzynowi, Gerwazy postanowił wrócić pieszo do swojego domu przy Curzon Street. Nocą w Londynie nie było zbyt bezpiecznie, ale weterani wojen z państwem Marathów nie dawali się łatwo zastraszyć. Idąc ulicami i rozkoszując się rześkim nocnym powietrzem, zastanawiał się, dlaczego tak mocno reagował na widok urodziwej buzi. Francis miał rację: powinien znaleźć sobie nową kochankę.

Gerwazy żałował, że nie potrafił całkowicie uwolnić się od kobiet, ale prawdę mówiąc potrzebował ich stałej obecności w swoim życiu. Bez problemu potrafił ograniczyć jedzenie i picie, lecz nie potrafił opanować silnych, gwałtownie dających o sobie znać potrzeb cielesnych. Niektórzy mężczyźni zupełnie naturalnie prowadzili życie mnichów, a chociaż wicehrabia im zazdrościł, nie był w stanie ich naśladować. Bóstwo, które nie poskapiło mu ziemskich dóbr, obdarzyło go też dużym temperamentem seksualnym.

W Indiach utrzymywał miejscową szczupłą dziewczynę o ciemnych oczach w kształcie migdałów i zdumiewającym repertuarze seksualnych umiejętności. Sananda rzadko się odzywała, czekała na niego jak służąca i nie prosiła o nic dla siebie. Wicehrabia przez kilka lat utrzymywał ją wraz z całą rodziną i zostawił im sumę wystarczającą na kupno dwóch dobrze prosperujących sklepów. Dziewczyna należycie odwdzięczała się za jego hojność, a jeśli nawet odczuwała żal z powodu jego wyjazdu, to doskonale potrafiła go ukryć.

Pod wieloma względami utrzymywanie kobiety takiej jak Sananda było bliskie ideału, jako że nie miała ona uczuciowych wymagań Angielek. W Londynie łatwo było nawiązać romans z rozczarowaną, znudzoną żoną z jego środowiska, lecz takie kobiety wymagały czasu i wysiłku na zaloty, a poza tym oczekiwały miłosnych kłamstw, których nie miał ochoty wypowiadać. Z kolei nie cierpiał zwykłych prostytutek, bojąc się choroby i ich szklanych spojrzeń pełnych rezygnacji i bólu, przypominających mu o nieszczęsnej dziewczynie, którą poślubił.

Rozum podpowiadał mu, by szukać kochanki spoza grona najmodniejszych kurtyzan; takiej, która byłaby mu wdzięczna za finansową pomoc. Byłby głupcem, gdyby tracił czas na egzotycznego cennego motyla, takiego jak Diana Lindsay. Jednak kiedy przypominał sobie jej zmysłowe ciało, piękną twarz, oczy, od których nie mógł oderwać wzroku, doszedł do

wniosku, że czasami warto postąpić wbrew rozsądkowi. Jakiż sens miało posiadanie pieniędzy, jeśli nie zamierzał sobie od czasu do czasu pozwolić za nie na rozrywki? A nigdy jeszcze nie widział atrakcyjniejszej błyskotki niż Diana Lindsay.

St. Aubyn House był ponurym, lecz potężnym budynkiem, zdecydowanie zbyt dużym dla jednego mieszkańca. Gerwazy wszedł do środka, posługując się własnym kluczem. Wiele miesięcy musiał tłumaczyć swoim służącym, że często woli być sam, lecz w końcu udało mu się ich przekonać. Na stoliku między oknami w westybulu stała lampa. Uniósł ją.

Dręczył go jakiś niepokój. Nie chciało mu się jeszcze spać, więc nie wszedł na piętro, tylko zatrzymał się w salonie. Był to wysoki, bogato zdobiony pokój, zaprojektowany jak dla bogów albo olbrzymów. Kasetonowy malowany sufit w stylu włoskim wznosił się wysoko nad olbrzymim kobiercem utkany na zamówienie, by pasował konkretnie do tego miejsca, a w obu końcach pomieszczenia znajdowały się rzeźbione marmurowe kominki. W pokoju stały zgrabne meble, wykonane według projektów Roberta Adama.

Przeszedł przez salon i znalazł się w wypełnionym książkami gabinecie. Było to królestwo jego ojca. Kiedy Gerwazy wrócił z Indii, wciąż unosił się tu aromat tytoniu z fajki zmarłego wicehrabiego. Nie czuł tu jednak obecności samego ojca. Nie było to wcale dziwne, zważywszy na to, że nawet za życia ojciec i syn stykali się jedynie przelotnie, a ich spotkania miały zazwyczaj oficjalny charakter.

Odczuł nagłą potrzebę zwiedzenia odziedziczonego domu. O tej porze służący przebywali już w swojej części budynku, więc niekończące się korytarze i pokoje były puste. Wysoko sklepione sufity i posadzki odbijały echem odgłos jego niespokojnych kroków. Musiał przyznać, że ten dom z sufitami dekorowanymi sztukaterią i z licznymi klasycznymi ozdobami może imponować. Ogromna sala balowa była nie używana od śmierci matki przed czternastoma laty. Schody, ponoć najokazalsze w Londynie, prowadziły na parter dwoma szerokimi łukami. Matka prezentowała się wspaniale, zstępując z tych schodów, z klejnotami połyskującymi w jej złocistych włosach i na mlecznobiałych ramionach.

Chociaż Gerwazy był właścicielem tego domu i wszystkiego, co się w nim znajdowało, nie odczuwał z tego powodu radości ani dumy. Jeśli to okazałe mauzoleum rzeczywiście do kogoś należało, to chyba tylko do anonimowych posługaczek, które polerowały meble, czyściły piaskiem podłogi oraz utrzymywały wnętrze w stanie sterylnej czystości.

Nawet teraz, po dwóch latach zamieszkiwania w tym budynku, czuł się tu obco. Przygnębił go powrót do zimnego domostwa pod wilgotnym angielskim niebem. Czasami zdarzało mu się myśleć, że Wielka Brytania zdobyła swe kolonie, by jej mieszkańcy mogli

żyć w cieplejszym klimacie, pozostając cały czas pod brytyjską flagą.

W czasie trwającej pięć miesięcy podróży do domu Gerwazy rozważał możliwość sprzedania St. Aubyn House i poszukania skromniejszego domu, lecz w końcu z żalem doszedł do wniosku, że nie powinien tego robić. Dom stanowił część dziedzictwa rodziny St. Aubyn i musiał w odpowiednim czasie przejść na własność Francisa albo jego potomków. Kuzyn był pogodnym, nieskomplikowanym człowiekiem - na pewno za jakiś czas się ożeni i założy rodzinę, która wniesie miłą ciepłą atmosferę do tych zimnych wnętrz.

A były one zimne; pomimo rzeźbionych marmurowych kominków, wionęły chłodem bardziej dokuczliwym niż odczuwany fizycznie. Gerwazy zastanawiał się, kto zbudował ten dom i w nim mieszkał i czy ktokolwiek kiedyś czuł się tu szczęśliwy.

Sam wicehrabia nie spodziewał się znaleźć tu ani ciepła, ani szczęścia. W Indiach nauczył się pokutować za grzechy, dobrze wykonując swe prace i czyniąc zadość honorowi i obowiązkom, i to musiało mu wystarczyć. Zapewnił sobie odpowiadające mu życie, dbając o dobrobyt podległych mu osób i zajmując się sprawami kraju. Otrzymał bardzo wiele i spoczywał na nim obowiązek rozsądnego dysponowania swym majątkiem.

Dopiero po pewnym czasie Gerwazy zdał sobie sprawę z prawdziwego celu swojej nocnej wędrówki po St. Aubyn House. Chodziło o pokoje matki znajdujące się za apartamentem pana domu. Prawdopodobnie dlatego, że myślał o kobietach, uznał, iż nadszedł czas, by stanąć oko w oko z duchem matki. W ciągu minionych ośmiu lat robił bardzo wiele, by zebrać siły i nie bać się zmierzyć ze swoją przeszłością.

Medora, wicehrabina St. Aubyn, córka księcia, kobieta czarująca i pełna wdzięku, była równie piękna jak zepsuta. Ostatni raz widział ją osiemnaście lat temu. Przez tyle lat nie przestąpił też progu jej apartamentu, a mimo to nawet teraz zdawało mu się, że widzi ją przemierzającą ten pokój, że słyszy jej perlisty, pusty śmiech.

Jako mały chłopiec szczerze podziwiał swoją matkę, był jej wdzięczny za rzadkie czułe gesty i rozpaczał, kiedy wydawała się zagniewana lub traktowała go opryskliwie. Był za mały, by zrozumieć, jak niewielki miał wpływ na jej nastroje, i obwiniał się, ilekroć nie udało mu się jej zadowolić.

W salonie matki, wciąż obitym wyblakłym jedwabiem w kolorze różu, który tak lubiła, wisiał portret naturalnej wielkości. Gerwazy zatrzymał się w progu i z dłonią wspartą o framugę drzwi przyjrzał się obrazowi. Namalował go sir Joshua Reynolds. Udało mu się tak doskonale uchwycić podobieństwo, że Gerwazy miał wrażenie, iż Medora za chwilę zstąpi ze ściany. Wicehrabina była ubrana w białą jedwabną suknię, a jej nieupudrowane tym razem złociste włosy spływały w lokach na ramiona.

Portret przedstawiał również sześciolatniego Gerwazego spoglądającego na matkę, z ciemną główką uchwyconą z profilu. Obecność dziecka mogła sugerować ciepłe macierzyńskie uczucia, tymczasem prawdziwym powodem, dla którego Medora pragnęła uwiecznić synka na portrecie, był wyraz uwielbienia malujący się na jego twarzy. Była bowiem kobietą, która pragnęła być nieustannie podziwiana.

Nawet teraz, po dwudziestu pięciu latach wyraźnie pamiętał rozmaite przyjęcia, kiedy to śmiała się i żartowała z przyjaciółmi, co wprawiało Reynoldsa w fatalny humor. Gerwazy nie odzywał się wtedy, szczęśliwy, że może spędzić tak wiele godzin w jej obecności. Bardzo się pilnował, by nie zrobić niczego, co mogłoby narazić go na odesłanie. Raz któryś z przyjaciół skomplementował lady Medorę za znakomite ułożenie syna. Odpowiedziała wtedy żartobliwie, że chłopiec urodził się od razu w średnim wieku. Wielokrotnie zastanawiał się, czy miał to być komplement czy złośliwość, i nawet teraz nie był tego pewien. Zapewne było to tylko takie sobie powiedzenie, bez głębszego znaczenia.

Pomimo pozorów złocisto - białej niewinności lady St. Aubyn była bardzo swawolna i z lubością zaspokajała swój ogromny apetyt na rozmaite zbytki akceptowane wśród uprzywilejowanych sfer. Spełniła swój obowiązek i dała mężowi dwóch męskich potomków. Starszy syn zmarł w dzieciństwie, a młodszy stał teraz przed portretem matki, studiując jej wizerunek i starając się zrozumieć, co sprawiło, że była taka a nie inna.

Medora Brandelin była jedyną osobą, którą Gerwazy naprawdę kochał, co zresztą nie miało dla niej żadnego znaczenia. Zastanawiając się teraz nad tym, doszedł do wniosku, że jej przestępstwo wobec syna było nieprzemyślane i pozbawione złośliwości, a wyniknęło ze znudzenia i niezdrowego zaciekawienia. Wątpił nawet, czy zdała sobie sprawę albo żałowała tego, co wyrządziła synowi.

Cieszył się, że nareszcie może przyglądać się jej podobiznie bez zbędnych emocji, że rany zagoiły się tak dobrze, iż czuje tylko tępy ból. Mógł już teraz pogrzebać wspomnienie matki w tym samym ciemnym zakamarku pamięci, w którym znajdowało się wspomnienie groteskowego małżeństwa. Ta inna tragedia również dręczyła go przez całe lata, lecz uczynił wszystko, co w jego mocy, by złagodzić konsekwencje wyrządzonej przez siebie krzywdy. Jego prawnik donosił, że nieszczęsna dziewczyna, którą Gerwazy poślubił, żyje i miewa się dobrze.

Nawet teraz nie mógł spokojnie myśleć o tym, jakim okazał się głupcem, dając się złapać w pułapkę i godząc na tę parodię małżeństwa. Gdyby się nie upił, nigdy by do tego nie dopuścił. Jednak z upływem czasu doszedł do wniosku, że całe to wydarzenie nie było aż tak tragiczne, jak myślał na początku. Mary Hamilton miała całkiem przyzwoite uposażenie i



prawdopodobnie była traktowana lepiej niż w dzieciństwie, a Gerwazy raz na zawsze nauczył się panować nad sobą. Od tego czasu wyćwiczył siłę woli i ani razu nie przesadził z piciem czy innymi wybrykami, po których człowiek nie całkiem jest sobą.

Małżeństwo stało się także doskonałą wymówką, pozwalającą mu trzymać się z dala od uciech seksualnych, modnych wśród ludzi z jego sfery. Gdyby był samotny, uznano by go za kawalera do wzięcia i czekałyby go rozmaite kłopoty, których w obecnej sytuacji los mu oszczędził. Mimo że nikomu nie ujawnił prawdy o swym małżeństwie, kilka dyskretnych uwag o obłąkanej żonie mieszkającej w Szkocji odstraszyło panny szukające bogatego męża.

Był zmęczony i chciało mu się spać, lecz jeszcze raz popatrzył na portret matki. Spoglądała z góry tak, jakby szydziła z dorosłego syna. Jej pełne wargi były lekko rozchylone, jakby chciała ujawnić swe najskrytsze myśli, których wcale nie chciał słuchać.

Gwałtownie odwrócił się tyłem do portretu. Jutro rozkaże zapakować go i przewieźć do Aubynwood. Niech zarządzający majątkiem powiesi obraz, gdzie tylko przyjdzie mu ochota, żeby tylko Gerwazy nigdy już nie musiał go oglądać.

Sen poprawił Gerwazemu humor, toteż jadąc przez Mayfair, prowadził siwą klacz w nastroju radosnego oczekiwania. Przede wszystkim ciekawiło go, czy tajemnicza pani Lindsay nie zmieniła zdania; poranne przejażdżki nie były popularnym sposobem spędzania czasu wśród pań z jej otoczenia, które zazwyczaj wołały o tej porze wylegiwać się w łóżku.

Pod wskazanym adresem na Charles Street zobaczył zgrabny budynek, otoczony domostwami osób szlachetnie urodzonych. Zaledwie kilka kwartałów stąd znajdowała się jego rezydencja. Na zewnątrz nie dostrzegł żadnych przedmiotów sugerujących profesję jego mieszkanki. Pani Lindsay musiała być znakomita w swoim fachu, jeśli stać ją było na taki luksus, chyba że ten dom został dla niej wynajęty przez jakiegoś mężczyznę. Ta ostatnia myśl dziwnie Gerwazego rozdrażniła.

Zeskoczył z wałacha i zaczepił wodze o żelazne ogrodzenie. Po chwili otworzyły się drzwi i Diana zstąpiła z kilku marmurowych schodów. Wcześniej Gerwazy zastanawiał się, czy to możliwe, że istotnie jest tak piękna, jak w jego wspomnieniach z wczorajszego wieczoru, lecz teraz, wczesnie rano, wyglądała jeszcze bardziej ponętnie.

Sprawiała wrażenie doskonale wyspanej. Jej niebieskie oczy błyszczały, ciemne włosy były upięte w kok. Miała na sobie granatowy strój do konnej jazdy z kapelusikiem tej samej barwy ozdobionym nieco frywolnym kremowym piórem. Prostota stroju podkreślała urodę twarzy kobiety i zmysłowość figury. Gerwazy poczuł, jak jego mięśnie napinają się na jej widok.

- Dzień dobry, pani Lindsay - odezwał się, z trudem panując nad głosem. - Jest pani

bardzo punktualna.

Uniosła wzrok.

- Odniosłam wrażenie, że jedną z wielu rzeczy, których nie toleruje pan u swoich podwładnych, jest opieszałość.

Przystanąła w pewnej odległości od niego. Oddychał z trudem. Nawet gdyby zażyczyła sobie tysiąca gwinei za noc, była ich warta.

- Ma pani rację, pani Lindsay, rzeczywiście nie lubię, kiedy każe mi się czekać. - Wskazał siwą klacz. - To pani koń.

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, tak jak się tego spodziewał. Koń był piękny, czystej krwi.

- Och, jaka śliczna. Jak ma na imię?

- Fedra, ale może pani ją nazwać inaczej. Popatrzyła na niego pytająco.

- Co pan ma na myśli?

- Że koń należy do pani. - Gerwazy poczuł pewną satysfakcję, widząc, że jest zaskoczona. Jej zakłopotanie w pewnym stopniu stanowiło zadośćuczynienie za niepokój, jakiego doświadczał w jej obecności.

Diana cofnęła dłoń, którą położyła na szyi klaczy.

- Nie mogę jej przyjąć. Nie zawarliśmy żadnego porozumienia, a nie chcę mieć zobowiązań wobec pana, zanim podejmę decyzję.

Gerwazy był rozbawiony tym, że Diana usiłuje odgrywać cnotliwą panienkę; najwyraźniej zapomniała o pierwszej zasadzie kurtyzan, mówiącej, że należy przyjmować wszystkie prezenty.

- Klacz jest prezentem dla pani, a nie formą zapłaty. Nie wiążą się z tym żadne zobowiązania.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Zobaczymy. Proszę pomóc mi wsiąść.

Gerwazy pochylił się i splótł dłonie. Diana chwyciła się kuli u siodła, uniosła spódnicę do kostek, po czym postawiła lewą stopę na jego rękach. Unosząc ją, zauważył, że jej stopy i kostki są równie kształtne jak inne części ciała.

Mężczyźni zwyczajowo pomagali kobietom wygładzić spódnicę, kiedy siedziały już w siodle, lecz tym razem to proste zadanie pobudziło wyobraźnię Gerwazego. Diana znieruchomiała, zastanawiając się, czy jej towarzysz dotknie jej nogi czy kolana. Zawahał się, choć była pewna, że nie może się doczekać tej chwili. Zastanawiała się, jak odczuje dotyk jego śniadych dłoni, lecz jedynie poprawił spódnicę, nawet nie muskając przy tym nogi.

Poczuła ulgę, lecz i pewne rozczarowanie.

St. Aubyn skrócił dla niej strzemiona, po czym wskoczył na swego wierzchowca. Być może był tak chłodny, jak mówiła Madeline, ale trzeba było przyznać, że wykazywał się nienaganną uprzejmością, a jeździł konno z wprawą centaury. Diana postanowiła skupić się na obserwowaniu reakcji swojej klaczy, lecz nie potrafiła przestać myśleć o tym, że jadący obok mężczyzna na razie zachowuje się bez zarzutu.

O tej porze dnia słynne ulice Mayfair były prawie puste, co jej bardzo odpowiadało, jako że nie siedziała w siodle od lat. Klacz spisywała się tak wspaniale, że jazda na niej była prawdziwą przyjemnością. Kiedy przebyli niewielką odległość dzielącą ich od zielonych terenów Hyde Parku, Diana odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się radośnie. Towarzyszący jej ciemnowłosy mężczyzna był tyleż przerażający, co atrakcyjny, a ona była wiejską dziewczyną, która ośmieliła się wypłynąć na głębokie wody, niemniej bardzo ją to cieszyło.

Zmusiwszy klacz do krótkiego galopu, poddała twarz podmuchom wiatru. Po przejechaniu połowy mili zwolniła do kłusa. St. Aubyn dopasował krok swego konia do wybranego przez nią tempa.

- Fedra ma doskonale dobrane imię. To znaczy „bystra”, nieprawdaż?

Ciemne brwi uniosły się nieznacznie.

- Zna pani grekę?

Diana zawahała się, zastanawiając się, czy aby nie popełniła błędu, ale po chwili doszła do wniosku, że jednak nie. Im bardziej wyda mu się zagadkowa, tym lepiej. Uśmiechnęła się figlarnie.

- Trochę znam łacinę, a grekę - jeszcze mniej.

- Jest pani bardzo utalentowana, pani Lindsay.

- Nawet kobiety z półświatka nie spędzają całego życia leżąc na plecach, milordzie - zauważyła z odcieniem gorczy w głosie.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie. Muszą spędzać czas w operze, gdzie są zauważane, i na przejażdżkach w parku, gdzie są ignorowane przez szacowne damy. Muszą również mieć czas na pielęgnację swoich bezcennych twarzy oraz na plotki z innymi kurtyzanami i zastanawianie się, kto jest godny ich uwagi, a kto nie.

Zarumieniła się nieznacznie, zdumiona trafnością jego spostrzeżeń.

- Ma pan rozległą wiedzę na temat kobiet.

- Wprost przeciwnie, nie mam o nich pojęcia. - W jego głosie pojawił się chłodniejszy ton.

Zdumiona nagłą zmianą jego nastroju, Diana przyjrzała mu się uważnie. Jechali szeroką alejką, która o późniejszej porze zapełniała się końmi i powozami. Jego twarz z profilu była surowa i urodziwa, jakby była wyrzeźbiona w marmurze. Madeline miała rację - lepiej było wybrać mniej skomplikowanego mężczyznę. Jaka szkoda, że Diana nie była rozsądna.

Był koniec września i liście przybierały piękne barwy jesieni.

- Ile pani ma lat, pani Lindsay? - zapytał nagle St. Aubyn, kiedy zawrócili.

- Dlaczego pan o to pyta? - zdziwiła się. - Nie jestem pewna, czy powinnam panu odpowiedzieć. Wiek kurtyzany to zawodowa tajemnica - odrzekła po chwili wahania.

- Nie interesuje mnie jako taki - odpowiedział z pewnym zniecierpliwieniem. - Chcę się tylko upewnić, że ma pani więcej niż szesnaście lat. Wolałbym nie mieć w łóżku do czynienia z dziećmi.

Nie zamierzał uwodzić dzieci. Z pewnością należało to zaliczyć na jego korzyść, jako że było aż nazbyt wielu mężczyzn, którzy nie mieli takich skrupułów; pewien lord uwiódł jedną z sióstr Harriette Wilson, kiedy dziewczynka miała zaledwie trzynaście lat.

- Przed chwilą powiedział mi pan komplement. Nie musi się pan niczego obawiać. Dwudziestego czwartego czerwca skończyłam dwadzieścia cztery lata.

- Urodziła się pani w noc świętojańską? To wiele wyjaśnia. Musiała pani zostać zamieniona przez wróżki, bo jest pani piękniejsza niż jakikolwiek śmiertelnik.

Diana zaczerwieniła się. Rzeczowy ton tego stwierdzenia znaczył więcej niż słodkie słówka szeptane jej do ucha poprzedniego dnia.

- Dziękuję, milordzie, ale zapewniam pana, że jestem istotą śmiertelną, a nawet bardzo mocno związaną z tym światem. Jeśli zajrzy pan pod zewnętrzną powłokę, nie znajdzie pan niczego niezwykłego.

- Ależ interesuje mnie właśnie ta powłoka - powiedział cicho, przypatrując się jej leniwie i zatrzymując wzrok na dłużej na piersiach i w talii. Były to najdokładniejsze oględziny, jakim kiedykolwiek została poddana. Szkarłatny rumieniec zabarwił jej policzki. Cóż, takie spojrzenia stały się teraz nieodłączną częścią jej nowego życia. Decydując się na nie, zrezygnowała z prawa do oburzania się na męską zuchwałość, choć, prawdę mówiąc, spojrzenie St. Aubyna było nie tyle bezczelne, co szczerze. I to nawet bardzo, bardzo szczerze.

- Tak, ale żeby otrzymać powłokę, milordzie, musi pan również zaakceptować pozostałą część - zwróciła się do niego tonem balansującym na krawędzi ostrzeżenia i rozbawienia.

Wyjechali z parku. Na ulicach panował teraz większy ruch, coraz więcej ludzi

rozpoczęło dzień.

- Wie pani, mam też imię i nazwisko... Ilekroć słyszę „lord St. Aubyn”, mam wrażenie, że chodzi o mojego ojca.

- A jak ma pan na imię, milordzie? - zapytała Diana, choć Madeline już jej to powiedziała.

- Gerwazy Brandelin. Wolałbym, żeby tak się pani do mnie zwracała... Diano.

- Nie udzieliłam panu pozwolenia na zwracanie się do mnie po imieniu, milordzie, nie dojrzałam też jeszcze do tego, by zwracać się tak do pana. - Diana wypowiedziała te słowa stanowczym głosem, lecz zastanowiła się nad brzmieniem imienia „Gerwazy”. Miało w sobie coś romantycznego, nie pasującego do surowego mężczyzny, który jechał teraz obok niej. A może była w nim i wrażliwa natura, którą odsłaniał tylko przy najbliższych? Kiedy wjechali na teren stajni za domem, doszła do wniosku, że istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Nie była jednak jeszcze na to gotowa.

O wczesnej porze niewielkie podwórze było jeszcze puste, a stajenny jadł śniadanie. St. Aubyn zsiadł z konia i podszedł do Fedry, by pomóc Dianie. Mocno chwycił ją w pasie i puścił dopiero, gdy się upewnił, że mocno stoi na ziemi.

- Dałabym sobie radę bez pomocy - zauważyła.

- Nie wątpię - odpowiedział łagodnym, intrygująco głębokim głosem. - Ale czyżby pani nie wiedziała, dlaczego mężczyźni pomagają kobietom zsiadać z konia? Bo to stwarza... różne możliwości.

Z zafascynowaniem patrzyła na dziwne błyski w jego oczach. Stał tuż obok niej i czuła ciepło promieniujące od jego ciała, przebijające się przez chłód poranka. Pochylił się i pocałował ją. Pozwoliła mu na to, gotowa do kolejnej lekcji w wybranym przez siebie fachu.

Jego pocałunek był łagodny, podobnie jak poprzedniego wieczoru, ale i tak przyprawił ją o drżenie. Na początek dowiedziała się, że mężczyzna też może mieć miękkie wargi. Zamknęła oczy, upajając się nowym doznaniem i smakiem jego ust, które po chwili zaczęła obwodzić koniuszkiem języka.

Podziałało to na St. Aubyna tak mocno, że natychmiast otoczył ją ramionami i mocno przyciągnął do siebie, co przyprawiło ją o zawrót głowy. Przywarła do niego, poddając się jego pieszczotom. Przekonała się, że pozostawanie z nim w mocnym uścisku jest bardzo podniecające, choć niepokojące zarazem. Czuła dziwne mrowienie piersi ocierających się o jego tors i miała ochotę uwolnić je z ciężkiego stroju do konnej jazdy.

Przesunął dłoń w dół jej pleców, a potem zaczął niecierpliwie ugniatać pośladki, jeszcze mocniej przyciągając ją do siebie. To nowe doznanie sprawiło, że nagle poczuła się

jak w pułapce, bezradna w obliczu jego pożądania. Usiłowała się uwolnić, lecz trzymał ją mocno. Ogarnięta panicznym lękiem, gwałtownie, z całej siły go odepchnęła.

Natychmiast ją puścił i cofnął się o krok, po czym odwrócił się i położył ręce na siodle swego wierzchowca. Pochylił głowę i ciężko oddychał. Sama też walczyła o złapanie tchu, czując się tak, jak po długim biegu przez wrzosowiska.

W końcu odwrócił się w jej stronę, już opanowany.

- Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. - Wziął głęboki oddech. - Przy pani... nie wiem, co się ze mną dzieje.

Potwierdziła przyjęcie jego przeprosin szybkim skinieniem głowy. Otrzymała wspaniałą lekcję na temat siły męskiego pożądania. Warte zapamiętania było też to, jak łatwo jej niewielka reakcja wyzwoliła w nim tak gwałtowne emocje. Miała już jednak dość lekcji na ten dzień.

- Proszę mi wierzyć, że nie staram się pana kokietować. Nie przypuszczałam, że wydarzenia potoczą się tak szybko – powiedziała cicho, ściskając w ręku szpicrutę.

St. Aubyn ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

- A może już teraz doszlibyśmy do porozumienia? Dobrze pani wie, że jej pragnę, a ja też nie jestem pani zupełnie obojętny. Proszę podać mi swoją cenę. Jeśli chce pani otrzymać uposażenie, proszę podać mi jego wysokość. Albo, jeśli pani woli, jednorazowo odpowiednio wysoką sumę. Ale nie traćmy już czasu na wstępy.

Patrzył na nią zuchwale. Mógł służyć za wzorzec męskiej siły i arogancji. Zareagowała oburzeniem.

- To, co uważa pan za zbyt wiele wstępy, ma dla mnie ogromne znaczenie - odparła. - Jeśli to jest dla pana nie do przyjęcia, proszę znaleźć sobie inną kobietę. Jak sam pan powiedział, co najmniej dziesięć procent kobiet w Londynie jest na sprzedaż. – Uniósłszy spódnicę amazonki, ruszyła przed siebie, ale rzuciła jeszcze przez ramię: - I proszę zabrać ze sobą swoją klacz.

Doszła już prawie do drzwi, kiedy usłyszała za sobą jego głos.

- Proszę zaczekać.

Odwróciwszy się zobaczyła, że przywiązał konie i skierował się w jej stronę. Miał kwaśną minę, lecz Diana czuła, że jest zły raczej na siebie samego niż na nią. Zatrzymał się przed nią w odległości wyciągniętego ramienia.

- Przepraszam - powiedział niepewnie. - Mówiłem pani, że nic nie wiem o kobietach.

Jego szare oczy wyrażały skruchę.

- Aż do tej pory nie miałem specjalnego powodu, żeby chcieć się dowiedzieć.

Diana złagodniała. Z pewnością nie było mu łatwo dwukrotnie przeprosić ją w ciągu tak krótkiego czasu. Chociaż chciała się nauczyć, jak zdobywać władzę nad mężczyznami, nagle poczuła się nieswojo.

- Kiedy zostaniemy kochankami - ciągnął wicehrabia, ośmielony wyrazem jej twarzy - obiecuję, że nie będę już taki niecierpliwy. Nawet jeśli mógłbym mieć dziesięć procent kobiet w Londynie, wcale ich nie chcę. Pragnę ciebie - dodał z uśmiechem. - I to wcale nie tylko z powodu twojej urody.

Jeśli zamiarem St. Aubyna było rozbrojenie Diany, to doskonale mu się to udało. Wypuściła powietrze, choć wcale nie zdawała sobie sprawy, że wcześniej wstrzymała oddech, i odwzajemniła uśmiech.

- Myślę, że z czasem dojdziemy do porozumienia, milordzie. Ale proszę mnie tak nie ponaglać. Nie jestem kobietą z ulicy, która może zarobić sto gwinei w ciągu dnia, biorąc po gwinei od klienta.

Przez jego twarz przemknął cień. Jako mężczyzna subtelny wolał nie myśleć o takich rzeczach.

- Proszę nie okazywać pogardy moim siostram, które miały w życiu mniej szczęścia. Proszę pamiętać, że kiedy cesarzowa Messalina rzuciła wyzwanie największej rzymskiej ladacznicy, chcąc się przekonać, która obsłuży większą liczbę mężczyzn w ciągu jednej nocy, to właśnie cesarzowa wygrała.

Zachichotał.

- Jeszcze nigdy nie kochałem się z kobietą znającą literaturę starożytną. Czy nauczyła się pani czegoś nowego od Owidiusza i Safony?

Diana zdała sobie sprawę, że wkraczają na bardzo niebezpieczny teren.

- Nie sądzę, żeby w tych sprawach można było wymyślić wiele nowego - odpowiedziała sztywno.

- Jest pani tego pewna, pani Lindsay? - W jego oczach pojawiły się figlarne iskierki. - Byłem w Indiach. Naprawdę pod tym względem mają tam wielką fantazję. Być może nawet mógłbym panią czegoś nauczyć, przy całym szacunku dla pani fachowości.

Gdyby tylko wiedział, jak niewielkie jest jej doświadczenie! Trochę zaniepokoiła ją ta wypowiedź.

- Nie wątpię, że mogę wiele się od pana nauczyć, milordzie - powiedziała i wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie. - Przepraszam, ale...

Spoważniał. Ujął jej dłoń i przytrzymał.

- Kiedy znów będę mógł się z panią zobaczyć? Jutro?

Zawahała się, próbując sobie przypomnieć, czy powinna się zgodzić, czy udawać niedostępną. Och, do diabła z tym!

- Dobrze. Możemy się spotkać jutro. Czy miał pan na myśli kolejną poranną przejażdżkę?

- Myślałem o trochę dłuższej wyprawie, na przykład do Richmond. Moglibyśmy tam pojechać na cały dzień.

- Muszę wrócić przed czwartą po południu, milordzie. - O tej porze Geoffrey wracał ze szkoły i Diana zawsze spędzała z nim wieczór.

- Dobrze, pani Lindsay. W takim razie przyjadę tu o dziesiątej. - Wciąż trzymając ją za rękę uniósł brwi. - Czy ma pani miejsce dla darowanego konia w swoich stajniach?

Najwyraźniej starał się wyrzeć na nią nacisk.

- Skoro jutro wybieramy się na przejażdżkę, mogę przyjąć go na noc. Ale tylko jako pożyczonego, a nie darowanego konia – odpowiedziała z wdzięcznością.

St. Aubyn postarał się nie okazać zadowolenia z odniesionego sukcesu. Pochylił się nad jej dłonią.

- W takim razie do zobaczenia jutro.

Dotyk jego warg przyprawił ją o ciarki w prawym ramieniu, pozostawiając wrażenie ciepła. Wchodząc do domu, zdała sobie sprawę, że jego lordowska mość zachowywał się zupełnie inaczej, niż oczekiwała. Pod niepokojąco chłodnym obliczem odkryła zdumiewającą czułość, delikatność i wrażliwość. Czy wciąż by jej na nim zależało, gdyby cały czas prezentował tylko szorstkość i gruboskórność? Zapewne nie; była jednak zadowolona, że jest znacznie bardziej pociągający, niż mogłoby to sugerować pierwsze niepokojące wrażenie.

Cóż, pomyślała z przekąsem, zdejmując kapelusz, chciałam mieć życie ciekawsze niż w Yorkshire i wszystko wskazuje na to, że moje marzenia się spełnią.



Kiedy Diana weszła do zalanej słońcem jadalni, Madeline i Edith popatrzyły na nią tak, jakby była marnotrawnym dzieckiem. Jednakże powstrzymały się od zadawania pytań. Diana przywitała się z nimi, po czym zaczęła pałaszować jajka, tosty i herbatę, czekając na nią na mahoniowym stoliku. Jednak kiedy skończyła jedzenie, okres ochronny się skończył.

- Jak ci się udała poranna jazda? - zapytała Madeline z godnym podziwu opanowaniem.

- Było wspaniale. - Na twarzy Diany pojawił się błogi uśmiech. - Cudownie jest wstać tak wcześnie, zanim miasto zbudzi się do życia. Poczułam się znowu jak na wsi.

Wiedząc, że jej odpowiedź nie zadowoliła Madeline, Diana naląła herbatę do trzech filiżanek i udzieliła bardziej konkretnej odpowiedzi.

- Lord St. Aubyn był bardzo szarmancki.

Edith, która mimo ponurego wyglądu miała duże poczucie humoru, zachichotała, a Madeline nie kryła zaniepokojenia.

- To oczywiste, że musiał taki być na tym etapie znajomości. Ale co się wydarzyło? Czy złożył ci jakąś propozycję?

- Owszem, ale powiedziałam mu, że jest przedwczesna. - Diana dolała mleka, po czym zamieszała herbatę. - Przyprowadził też wspaniałą klacz, którą zamierzał dać mi w prezencie. Powiedziałam, że to również jest przedwczesne.

Edith, która znała się na koniach równie dobrze jak mężczyźni, była rozczarowana.

- Odmówiłaś przyjęcia klaczy? To wielka szkoda, chętnie bym ją zobaczyła.

Diana chciała wypić łyk herbaty, ale napój wciąż był za gorący.

- Klacz jest teraz w stajni, ale tylko na jedną noc, ponieważ jutro jedziemy do Richmond.

- Mam wrażenie, że towarzystwo lorda St. Aubyn bardzo ci odpowiada - zauważyła Madeline pozornie obojętnym tonem.

Diana wiedziała, że pytania Madeline są podyktowane szczerą troską. Wpatrzyła się w parujący napój i spoważniała, starając się podsumować swe wrażenia.

- Jest pozornie ponury, ale chyba nie aż tak nieczuły, jak się początkowo wydaje. Myślę, że jest bardzo nieszczęśliwy.

Madeline westchnęła ze smutkiem.

- W takim razie jest już za późno.

Diana wypila duży łyk herbaty, po czym uniosła wzrok.

- Co masz na myśli?

- Kiedy kobiecie takiej jak ty zaczyna być żal mężczyzny, znaczy to, że jest na najlepszej drodze do tego, żeby się w nim zakochać.

- Naprawdę aż tak łatwo to przewidzieć? - Diana uniosła brwi. - Myślałam, że szukam kochanka, a nie jeszcze jednego dziecka do opieki.

- Współczucie to początek zainteresowania. Następnie przychodzi chęć wyleczenia ran, które zadał mu okrutny los. - Madeline uśmiechnęła się gorzko. - A stąd niedaleko już do stwierdzenia, że nikt inny nie będzie kochał go tak jak ty. I już jesteś stracona.

Diana miała ochotę zaprzeczyć, ale uniemożliwiła jej to Edith.

- Skończ herbatę, a powrózę ci z fusów - zaproponowała.

Diana posłusznie dopiła herbatę dwoma dużymi łykami, po czym zamknęła oczy i delikatnie obróciła filiżankę, myśląc o Gerwazym, lordzie St. Aubyn. Bez trudu przywołała w pamięci obraz napiętej twarzy, szarych oczu, które zazwyczaj miały surowy wyraz, lecz czasem pojawiały się w nich isierki humoru, wysokiego, muskularnego ciała... Gwałtownie otworzyła oczy i podała filiżankę Edith, pewna, że nadała herbacianym liściom odpowiednią ilość energii.

Edith wpatrzyła się w kruchą porcelanową filiżankę. Z poważną miną, lekko zezując, przywołała ducha cygańskiej prababki, by zapytać go o przyszłość. Chociaż wszyscy zarzekali się, że te wróżby traktują jedynie jak rozrywkę, zawsze wysłuchiwano ich z najwyższą uwagą.

- Przeznaczenie - powiedziała niższym niż zazwyczaj głosem. Zrobiła przerwę, która niepokojąco się przedłużała, po czym wypowiedziała słowa pozornie bez związku. - Gniew, zasłonięta twarz, tajemnice, które łączą i dzielą. Kłamstwa i zdrady. - Potem szeptem powtórzyła: - Kłamstwa i zdrady... i miłość.

Diana poczuła ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Chociaż starała się nie przejmować słowami Edith, musiała przyznać, że te dotyczące przeszłości niepokojąco pasowały.

- Wciąż jesteś pewna, że chcesz związać się z St. Aubynem?

Zanim Diana zdążyła odpowiedzieć, Edith oznajmiła dziwnym głosem:

- Kłamstwa i tajemnice nie tylko z jednej strony. - Potrząsnęła głową i dodała z szerokim akcentem z Yorkshire: - Ciekawe, co to może znaczyć?

- Wątpię, czy to znaczy cokolwiek - powiedziała chłodno Diana, wstając. - Jeśli nie macie już dla mnie żadnych złowróźbnych przepowiedni i ostrzeżeń, pójdę porzucać nożem.

Szukała pretekstu do wyjścia, ale miała też ochotę na ćwiczenia. Kiedy Madeline uczyła Dianę wszystkiego, o czym powinna wiedzieć kurtyzana, lekcje obejmowały wiele

tematów, a jednym z nich była sztuka samoobrony. Maddy zawsze miała nóż w torebce lub w pokrowcu przymocowanym do nogi. Trzykrotnie broń uratowała ją od wielkich nieprzyjemności, a raz najprawdopodobniej ocaliła jej życie. Mężczyzna, który jej groził, później udusił inną kochankę i popełnił samobójstwo.

W czasie lekcji uczyła się, jak trzymać nóż i jak zadawać nim ciosy. „Trzymaj go od dołu i dźgaj w górę. Jeśli będziesz próbowała zadać cios z góry, łatwo będzie go zablokować, a ostrze draśnie tylko ramię albo żebra i nie wyrządzi krzywdy”. Lekcje rzucania nożem miały na celu oswojenie Diany z bronią. Maddy nie polecała rzutu nożem w akcie obrony, gdyż rzucający pozostawał wtedy bez broni, a jeśli odległość była zbyt duża, nóż tracił prędkość i mógł uderzyć zbyt słabo lub nawet nie dolecieć do celu.

Mimo że Diana nienawidziła przemocy i bardzo się jej bała, rzucanie nożem ogromnie ją zafascynowało. Wymagało skupienia uwagi i koło skołatanę nerwy. Tego ranka czuła, że bardzo jej się przyda.

Jeszcze przed wyjazdem do Yorkshire Madeline zamieniła długi wąski pokój na trzecim piętrze w salę ćwiczeń. Ściana w końcu sali była wyłożona miękkimi sosnowymi deskami, do których były przymocowane tarcze różnego kształtu i wysokości. Kilka innych tarcz strzelniczych zwisało przed nimi z sufitu. Pomieszczenie było wykorzystywane jedynie do rzucania nożem. Znajdowały się w nim stare meble i zniszczony dywan, lecz ogromne okno sprawiało, że było tu jasno i przyjemnie. Diana i Madeline regularnie odbywały ćwiczenia, a przez resztę czasu pokój był zamknięty. Edith również spróbowała nauczyć się rzucać nożem, lecz doszła do wniosku, że ten sport zupełnie jej nie interesuje.

Specjalne noże były wykonane przez starego Syryjczyka mieszkającego we wschodniej części Londynu. Chociaż miały wygląd tradycyjnych sztyletów, zrobione były z jednego kawałka mocnej stali, włącznie z rękojeścią. Dzięki temu miały tak wyważony środek ciężkości, że można było nimi rzucać, trzymając je zarówno za ostrze, jak i za rękojeść. Obie kobiety posiadały zestawy sześciu noży w trzech różnych rozmiarach. Lżejszymi łatwiej było się posługiwać i łatwiej było je ukryć, cięższe były bardziej niebezpieczne.

Diana z rozbawieniem pomyślała, jak niestosownie wyglądałaby w oczach przypadkowego widza. Przebrała się w białą muślinową suknię poranną i upięła włosy w kok; wyglądała bardzo kobieco. Podeszła na odległość sześciu kroków do tarczy, lekko zakołysała nożem i rzuciła nim do celu. Ciach! Wbił się w sam środek.

Diana nosiła przy nodze haftowany pokrowiec, który dała jej Madeline. Odwróciwszy się tyłem do tarczy, wykonała gwałtowny zwrot, wyciągając jednocześnie nóż, i rzuciła nim

bez celowania. Wbił się w tarczę pół cala od pierwszego noża. Przez następny kwadrans rzucała nożami z różnych pozycji tak szybko, jak tylko było to możliwe, wiedząc, że jeśli kiedyś zostanie naprawdę zmuszona do wykonania rzutu, nie będzie miała idealnych warunków.

Noże wirowały w powietrzu i należało rzucać nimi w taki sposób, by trafiły w cel ostrzem, a nie rękojeścią czy krawędzią. Ćwiczenia rzutów z różnych odległości od celu pozwalały poznać wszystkie rodzaje rotacji; nóż, który idealnie trafiał w cel, jeśli był wyrzucony z odległości pięciu czy ośmiu kroków, odbiłby się od celu, gdyby rzucono go z odległości sześciu lub dziewięciu. Z czasem nauczyła się, jak dostosować rodzaj wyrzutu do odległości, tak by za każdym razem trafiać w cel. Diana Lindsay, pomimo swojego anielskiego wyglądu, była bardzo wprawna.

Po rozgrzewce zaczęła rzucać nożem do ruchomych tarcz, które kołysały się jak wahadła i stanowiły prawdziwe wyzwanie. Niemniej jednak na dziesięć rzutów dziewięć razy trafiła w sam środek tarczy. Kiedy drzwi się otworzyły, nie odwróciła się, dopóki nie usłyszała rozbawionego głosu Madeline.

- Czyżbyś wyobrażała sobie, że to ja jestem celem?

- Na litość boską, Maddy, nawet nie żartuj na ten temat! - Diana podeszła do tarcz i wyjęła sześć noży. Nie od razu udało jej się wyciągnąć dwa największe; im były cięższe, tym mocniej wbijały się w cel. - Doskonale się przy tym relaksuję - stwierdziła, podszedłszy do Madeline - chociaż nie jestem pewna, czy kiedykolwiek będę zdolna rzucić w kogoś nożem, nawet w obronie własnej.

- A mogłabyś rzucić w obronie życia Geoffrey'a?

- Tak - odpowiedziała Diana bez chwili zastanowienia.

- Więc jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w sytuacji zagrożenia życia... co, mam nadzieję, nigdy nie nastąpi, po prostu pamiętaj, jak bardzo Geoffrey i my rozpaczalibyśmy po twojej stracie. - Chociaż Madeline wypowiedziała te słowa rzeczowym tonem, nie udało jej się ukryć uczuć. - Najpierw myśl o obronie, a potem będziesz miała czas na pojednanie się z twoim Stwórcą.

Wziąwszy nóż od Diany, zważyła go w dłoni, po czym rzuciła do największej z tarcz, w którą uderzył trzy cale od środka. Nie był to idealny rzut, niemniej jednak mógł być uznany za skuteczny.

Uśmiechnąwszy się figlarnie, Diana sięgnęła po drugi nóż i rzuciła nim do tej samej tarczy, trafiając w sam środek. Madeline zachichotała.

- Stworzyłam potwora. Masz doskonale oko. - Wzięła kolejny nóż i trafiła nim w

tarczę pół cala od noża Diany.

Diana roześmiała się. Napięcie, które wcześniej zapanowało między nimi, minęło.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak to się stało, że zaczęłaś się tym zajmować. Rozumiem, że czasami носи się przy sobie broń, ale dlaczego wybrałaś rzucanie nożem? To taka dziwna, barbarzyńska umiejętność.

Madeline uśmiechnęła się chytrze i rzuciła do ruchomego celu, który kołysał się w przód i w tył. Nie trafiła w środek i tarcza zawirowała na sznurze, ale nóż nie wypadł.

- Pomyślałam, że to jest historia zbyt nieprzyzwoita dla twoich niewinnych uszu, ale teraz, skoro zdecydowałaś się na ten zawód, myślę, że powinnam ci to powiedzieć.

- Czy to możliwe, że ta historia może okazać się bardziej nieprzyzwoita, niż niektóre twoje lekcje? - zapytała z rozbawieniem Diana, siadając na jednym ze zniszczonych krzeseł stojących w końcu salki naprzeciwko tarcz. - Wciąż nie mogę spokojnie patrzeć na pasternak.

Roześmiały się serdecznie. Madeline użyła pasternaku jako pomocy naukowej, tłumacząc Dianie to, co powinna wiedzieć kurtyzana. Te ćwiczenia z warzywem o wydłużonym korzeniu przyprawiły Dianę i Madeline o historyczne chichoty. Lekcje były bardzo pouczające, chociaż Diana czasem nie wierzyła w to, co mówiła jej Madeline.

- Dawniej opowiadałam ci głównie o tym, co uchodzi za normalne. - Ciach! Kolejny nóż rzucony przez Maddy trafił w nieruchomą tarczę. Chociaż Madeline nie mogła się nachwalić niezwykłych umiejętności Diany, sama również zręcznie posługiwała się nożem. - Jednakże czasami mężczyźni mają bardzo... niezwykle gusta. - Ciach!

Podeszła do tarczy, by wyciągnąć noże.

- Znałam kiedyś pewnego pana, który nie mógł odbyć stosunku w normalny sposób, ale bardzo podniecał go widok noży. Za pierwszym razem, kiedy mnie odwiedził, przyniósł ze sobą dwa indiańskie kukri i zaczął nimi wymachiwać. To są wielkie, zakrzywione noże i bałam się, że zamierza mnie zamordować.

Diana gwałtownie zaczerpnęła tchu. Chociaż Madeline opowiadała tę historię jak dowcip, w swoim czasie musiała być śmiertelnie przerażona, więc nic dziwnego, że tak się starała, by jej protegowana umiała się bronić.

Podszedłszy do Diany, Madeline odłożyła noże na stół i usiadła.

- Kiedy ten dżentelmen rzucił nożami w mój stojak z miednicą, co bardzo zaszkodziło taboretowi, był już w stanie odbyć normalny stosunek. Za pierwszym razem, kiedy się to zdarzyło, byłam przerażona, ale wkrótce okazało się, że jest to bardzo sympatyczny mężczyzna, pomimo swoich dziwactw. - Odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów. - Zasugerował, że gdyby mógł popatrzeć, jak rzucam nożami, podnieciłby się jeszcze bardziej.

Jestem z natury uprzejma, więc nauczyłam się tego. Tak mi się to spodobało, że nie zaprzestałam nauki nawet po tym, jak się rozstaliśmy.

Diana miała oczy okrągłe jak spodki.

- Nie miałam pojęcia, jak daleko należy czasem się posunąć, żeby zadowolić klienta.

Madeline skrzywiła się.

- Możesz mi wierzyć, to dziwactwo było zupełnie nieszkodliwe w porównaniu z innymi. Są takie rzeczy, na które nie zdecyduje się nawet otepiała prostytutka z ulicy. Kiedyś opowiem ci o tym wszystkim, ale bądź przygotowana na to, że możesz być proszona o różne usługi. Nigdy nie daj się namówić na coś, co napełnia cię odrazą. To nie jest tego warte. - Niespodziewanie zachichotała. - Jedyne niebezpieczeństwo wynikające z rzucania nożami dla sprawienia przyjemności mojemu przyjacielowi wiązało się z ryzykiem złapania zapalenia płuc w środku zimy. Lubił, żebym robiła to nago, więc zawsze kazałam rozpalać mocniejszy ogień, kiedy spodziewałam się jego wizyty.

- To wszystko brzmi bardzo... interesująco - powiedziała cicho Diana. Czasami w chwilach takich jak ta zastanawiała się, czy rzeczywiście będzie w stanie podjąć obowiązki kurtyzany. W głębi duszy miała bardzo tradycyjne poglądy.

Madeline spoważniała.

- Oczywiście nieczęsto spotyka się takich mężczyzn i wkrótce nauczysz się z nimi postępować. Najtrudniejszy będzie pierwszy raz. Żadne nauki nie zastąpią doświadczenia.

- Myślałam dużo na ten temat i mam już pomysł, jak ukryć brak doświadczenia - powiedziała ostrożnie Diana i w paru zdaniach opisała, co przyszło jej do głowy.

Madeline z uznaniem pokiwała głową. Słowa Diany zrobiły na niej duże wrażenie.

- Wspaniały pomysł. A poza tym może się okazać, że masz wrodzone zdolności do tego zawodu. - Wstała i przeciągnęła się. - Idę na Oxford Street kupić parę piór. Pójdiesz ze mną?

- Z wielką chęcią - odpowiedziała Diana. - Tylko wezmę szal.

Reszta dnia upłynęła spokojnie na szyciu, ustalaniu menu na cały tydzień i rozmowach z Geoffreyem o tym, czego nauczył się w szkole. Lecz tego wieczoru, po położeniu syna do łóżka, Diana kolejny raz wkroczyła w świat kurtyzan. Kilka dawnych przyjaciółek Madeline wspólnie wynajmowało łożę w operze, płacąc dwieście funtów rocznie za przywilej posiadania tego jedyne w swoim rodzaju okna wystawowego dla swych wdzięków, i Maddy otrzymała zaproszenie.

Kiedy weszły do łoża na pierwszym piętrze, Diana zauważyła, że wiele głów obróciło się w ich stronę. Tego wieczoru miała na sobie suknię z błyszczącego złotego jedwabiu, która

doskonale komponowała się z ciemnymi włosami i brzoskwińską skórą. Strój został zaprojektowany tak, żeby podkreślał urodę i przykuwał wzrok, i doskonale spełnił to zadanie. Damy z towarzystwa ostentacyjnie odwróciły głowy, chociaż niektóre rzuciły przedtem Diane ukradkowe spojrzenia, chcąc się przekonać, jak wyglądają kobiety, które wyciągają ich mężów z domów.

Mężczyźni zachowywali się znacznie śmieiej, wpatrując się w nią lub podnosząc lornetki do oczu i otwarcie dając wyraz swemu uznaniu. Kiedy Diana zajęła miejsce w obitym aksamitem fotelu, jej uwagę przyciągnął mężczyzna siedzący w łożu naprzeciwko. Wpatrywał się w nią z napiętą uwagą, która przypominała jej spojrzenie St. Aubyna, lecz przyjrząwszy mu się bliżej, upewniła się, że go nie zna. Mężczyzna zauważył jej spojrzenie i obdarzył ją porozumiewawczym uśmiechem. Zarumieniła się i odwróciła wzrok, ponieważ przypomniał sobie, że kurtyzana powinna zachęcać do takich spojrzeń.

Ludzie siedzący w jej łożu stanowili wesołą kompanię. Stała bywalczyni, Juliette, przysłała tu ze swoim protektorem, starzejącym się dandysem, który trzymał rękę na jej nagim ramieniu. Juliette miała krąg stałych adoratorów, co wyraźnie sprawiało mu satysfakcję.

Niektórzy mężczyźni, których Diana poznała u Harriette Wilson, przyszli złożyć wyrazy uszanowania, przyprowadzając z sobą przyjaciół. Tłoczyli się wokół niej, aż Diane zabrakło tchu. To zainteresowanie pochlebiali jej, ale też przyprawiało o niepokój. Uczyła się, jak się uśmiechać, jednocześnie rozmawiając z kilkoma mężczyznami, lecz wymagało to wiele wysiłku i niepokoiła się, że może wydać się niegrzeczna, jeśli kogoś pominie. Na przykład młody Clinton był tak nieśmiały, że postanowiła koniecznie wciągnąć go do rozmowy.

Była bliska omdlenia z gorąca i braku powietrza, kiedy przez tłum przedarł się donośny, dźwięczny głos z wyraźnym francuskim akcentem.

- Tak piękny kwiat gotów zwiędnąć, jeśli nie będzie miał dostępu powietrza. Czy nie miałaby pani ochoty wyjść na korytarz, ma belle?

Uniósłszy wzrok, Diana zobaczyła przystojnego mężczyznę z przeciwległej łoża, który już wcześniej przyciągnął jej uwagę. Był postawny, szeroki w barach, ciemnowłosy, czarnooki i egzotyczny. Miał nieskazitelnie białą koszulę i laskę ze złotą główką, ale poza tym był ubrany na czarno z elegancją niebezpiecznie ocierającą się o fircykowość.

Diana pochyliła głowę.

- Nie znam pana.

- Ridleigh, przedstaw nas - polecił, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

Lord Ridleigh, mężczyzna w średnim wieku, adorujący Dianę poprzedniego

wieczoru, niechętnie dokonał prezentacji.

- Pani Diana Lindsay, hrabia de Veseul.

- A teraz wyjdiesz ze mną, kwiatuszku? - zapytał leniwie hrabia, podając jej ramię.

Odczuwając potrzebę wydostania się z tłumu, Diana wstała i przyjęła zaproszenie.

- Przepraszam, niedługo wrócę - zwróciła się z uśmiechem do swych adoratorów. Ridleigh i pozostali natychmiast trochę posmutnieli, lecz po chwili zaczęli rozmawiać o koniach, temacie nieustannie fascynującym mężczyzn.

Zaczynało się przedstawienie i korytarze były prawie puste. Diana głęboko zaczerpnęła tchu.

- Jestem panu bardzo wdzięczna za pańską propozycję, milordzie. Tu jest dużo chłodniej.

- Jak się pani podoba pierwsza wizyta w operze, ma fleur? - Wymawiał niektóre spółgłoski ze świstem i jak na tak wysokiego mężczyznę, poruszał się ze zdumiewającą lekkością. Był potężnej postury, ale odnosiło się wrażenie, że doskonale skrojony strój skrywa jedynie mięśnie, nie tłuszcz.

Diana uniosła głowę, napotykając jego wzrok wpatrzony w nią z najwyższą uwagą.

- Skąd pan wiedział, że to moja pierwsza wizyta w operze, milordzie?

- Często tu bywam - odpowiedział, spoglądając przed siebie na korytarz. Po kilkunastu krokach dodał, nie patrząc na nią: - Jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem. Na pewno bym panią zapamiętał.

- Jest pan dla mnie nazbyt łaskawy, monsieur le comte.

Doszli do zakrętu korytarza. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Przypomniawszy sobie uwagi Madeline o tym, by nie pozostawać sam na sam z mężczyzną, Diana poczuła się nieswojo. Chociaż Francuz wydał jej się bardzo atrakcyjny, było w nim coś, co ją niepokoiło. Odwróciła się, chcąc wrócić i dołączyć do towarzystwa, lecz Veseul jej to uniemożliwił, osaczając ją w rogu.

- Zaczekaj chwilę, ma fleur - powiedział łagodnie, świdrując ją czarnymi oczami. - Chciałbym z panią omówić pewien interes.

Jego potężna, czarno odziana sylwetka wydała jej się nagle ogromna. Diana opanowała drżenie rąk, przekonując się w myślach, że nie powinna reagować jak dziecko. Veseul był przecież bardzo uprzejmy, a poza tym wydawało się mało prawdopodobne, by chciał zaatakować ją w miejscu publicznym. Chociaż, prawdę mówiąc, gdyby tak się stało, muzyka była tak głośna, że nikt by nie usłyszał krzyku...

Opanowała się na siłę i uśmiechnęła uprzejmie.



- Tak, milordzie? Zamierza mi pan złożyć jakąś propozycję? - W ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin bycia kurtyzaną otrzymała już wiele takich propozycji i mogła sobie pozwolić na pewną nonszalancję.

Szybko przesunawszy dłoń na środek hebanowej laski, uniósł ją i Z niepokojącą gracją kota igrającego z myszką pogładził twarz Diany złotą gałką. Metal był wciąż ciepły od jego dłoni. Poczowała paniczny lęk. Usiłowała się wycofać, lecz za plecami miała ścianę. Stała sztywna z przerażenia, gdy tymczasem Veseul przesunął złotą gałką po jej policzku, obwodził zarys szczęki, po czym dotknął szyi, uciskając ją na tyle mocno, żeby poczuła, co może się stać, jeśli będzie chciał, by przestała oddychać.

- Jeśli chce pan uzyskać moją zgodę, proszę natychmiast przestać - wydyszała. Nie zważając na jej słowa, przeciągnął laską wzdłuż głębokiego dekoltu sukni, a potem mocno ucisnął pierś. Główkę laski, której błysk dorównał połyskowi jedwabnej sukni, była misternie wyrzeźbiona w kształcie głowy węża. Diana gwałtownie zaczerpnęła tchu i skurczyła się, czując większe upokorzenie i zbrukanie, niż gdyby Veseul dotykał jej dłońmi. Chwyciwszy laskę obiema rękami, odepchnęła ją z całej siły, lecz jego dłoń nie poruszyła się.

Hrabia wpatrzony był w główkę laski, którą obwodził lewą pierś, lecz po gniewnym proteście Diany uniósł wzrok. Nie odrywając laski od jej ciała, mruknął:

- Naprawdę muszę cię mieć. Jaka jest twoja cena?

Wściekła, przepelniona odrazą, warknęła:

- Niech się pan przygotuje na rozczarowanie. Właśnie stracił pan szansę na jakiegokolwiek interesy między nami. Nie oddaję się mężczyznom, którym brak dobrych manier. - Rzuciła się w bok i starała się go ominąć, lecz natychmiast wysunął laskę, która uderzyła w ścianę i zagroziła Dianie drogę na wysokości piersi.

- Nie udzieliłem ci pozwolenia na odejście - odezwał się świszczącym głosem, w którym kryła się groźba.

Diana uniosła podbródek.

- Nie muszę spełniać pańskich zachcianek. Proszę pozwolić mi przejść.

Na jego twarzy pojawił się wesoły uśmiech. To szczere rozbawienie przeraziło ją nie na żarty.

- Jeśli naprawdę tak bardzo mnie nie lubisz, to lepiej oddaj mi się jak najszybciej. Kiedy zostałem ci przedstawiony, myślałem, że wystarczy mi godzina w twoim towarzystwie, ale po tej małej wymianie zdań będę potrzebował całej nocy, żeby się tobą nacieszyć.

Uniósłszy laskę, Veseul przycisnął główkę tuż nad sercem Diany. Wstrzymała oddech, starając się odsunąć jak najdalej. Potem przesunął złotym węzłem wzdłuż jej brzucha, po czym

wepchnął go pomiędzy jej nogi krótkim, obscenicznym gestem. Czują chłód ściany na nagich ramionach. Zaciśnęła dłonie w pięści, by opanować ich drżenie.

- Im dłużej będziesz mi się opierać, tym więcej będę od ciebie oczekiwał. To bardzo proste - powiedział z miłym w normalnych warunkach dla ucha francuskim akcentem. - Więc chodź ze mną już teraz. Rano będziesz bogatsza, a ja zaspokoję swoje żądze.

Diana oddychała z trudem. Była idiotką, dopuszczając do tego, by znaleźć się w sytuacji, w której musiała znosić te potworności, nie mając przy sobie ani jednego z noży, którymi tak wprawnie się posługiwała. Ostrzeżenia Madeline wydawały jej się przesadzone, lecz teraz po raz pierwszy bez trudu mogła sobie wyobrazić, że używa przemocy w stosunku do drugiej osoby. Myśl o oszpececiu zadowolonej z siebie, złej twarzy Veseula była dla niej łatwiejsza do zniesienia niż wyobrażenie tego, że musi mu się oddać.

Starła się nie okazać lęku, lecz nie udało jej się opanować drżenia w głosie.

- Nie. Ani dzisiaj, ani kiedykolwiek w przyszłości. Nigdy. Nigdy nie oddam się mężczyźnie, którym gardzę.

Roześmiał się cicho, świdrując ją wzrokiem. Była przyszpilona laską do ściany jak motyl u kolekcjonera.

- Twoje zdanie w ogóle się tu nie liczy. Obiecuję ci, że będę cię miał. A im bardziej będziesz mną pogardzać, tym lepiej.

Diana zaczerpnęła tchu, chcąc krzyknąć, lecz zanim zdążyła wydobyć głos, opuścił laskę i cofnął się. Był tak opanowany, jakby przed chwilą wcale jej nie groził. Skłonił się z galanterią.

- Bardzo dziękuję za towarzystwo, ma fleur. Z radością myślę o naszym następnym spotkaniu.

Diana minęła go szybko i popędziła przed siebie korytarzem. Francuz odprowadził ją wzrokiem, a gdy zniknęła za zakrętem, uśmiechnął się z satysfakcją. Był zadowolony, że mu się opierała; im dłużej będzie musiał czekać, tym wspanialsze będzie spełnienie.

Była rzeczywiście niezwykle piękna; miała twarz madonny i wspaniałą, zmysłową figurę. Z rozkoszą myślał o tym, jak będzie smakował to jej jedwabiste, opierające się ciało.

Ludzie zaczęli wychodzić z łóż na przerwę. Diana zwolniła, starając się opanować wzburzenie. Wmieszała się w roześmiany, flirtujący tłum. Incydent z hrabią de Veseul wydał jej się tak cudaczny, że przez chwilę zastanawiała się, czy jej strach nie jest przesadną reakcją na to, co się stało. W końcu jedynie złożył propozycję kurtyzanie i dotykał jej swą laską. I to niby miało być takie okropne?

Potrząsnęła głową, odrzucając wątpliwości. Spotkanie wprawiło ją w przerażenie, a w ciągu ostatnich dziesięciu minut dowiedziała się na temat perwersyjnych żądz więcej niż z wszystkich lekcji Madeline. Na chwilę przystanąła przed lożą, przyłożywszy dłoń do splotu słonecznego, by opanować mdłości. Nawet teraz, wiedząc, że znalazła się w sytuacji, w której największe koszmary senne mogą stać się rzeczywistością, nie mogła zawrócić z obranej drogi. Przeczucia, które rządziły jej emocjami, nadal mówiły jej, że jedyna nadzieja na pełne, szczęśliwe życie jest w Londynie i wiąże się z zostaniem kurtyzaną.

Adoratorzy entuzjastycznie powitali ją w łoży. Uśmiechnęła się z wysiłkiem, próbując udawać, że nic się nie stało. Ci mężczyźni wydawali się cudownie prości i naturalni w porównaniu ze zdeprawowanym francuskim hrabią. Clinton patrzył na nią ze swym szczenięcym uwielbieniem, a Ridgleigh nieśmiało zapytał, czy może przynieść jej coś do picia.

Zanim Diana zdążyła odpowiedzieć, usłyszała donośny głos Madeline.

- Diano, kochanie, czy byłabyś na mnie bardzo zła, gdybyśmy teraz wyszły? Rozbolą mnie głowa.

Madeline wyglądała doskonale, lecz jej bystre oko musiało dostrzec zdenerwowanie Diany, która chętnie skorzystała z pretekstu do wyjścia. Cały komplet adoratorów udał się z nimi na dół i dotrzymał towarzystwa aż do przyjazdu powozu.

W drodze do domu Diana łamiącym się głosem opisała, co wyprawiał Veseul. Przez dłuższy czas nie była w stanie kontynuować wypowiedzi opisawszy to, co wyczyniał z laską. Madeline tuliła ją, dopóki Diana się nie uspokoiła i nie dokończyła opowiadania w krótkich, przepełnionych bólem słowach.

- Zachowuję się dziecinnie, prawda? Nie powinnam była aż tak się przestraszyć - powiedziała, kończąc relację. Szukając oparcia i pocieszenia, chętnie przyjęłaby próbę zbagatelizowania incydentu.

Jednakże Madeline odpowiedziała bardzo poważnie.

- Bardzo mi przykro, że to ci się przydarzyło tak wcześnie, kochanie. Za pół roku

byłabyś lepiej przygotowana na odparcie tak odrażającego ataku. - Ścisnęła ramię Diany w geście pocieszenia. - Tak jak ci mówiłam, seks może wzbudzać mroczne i niebezpieczne emocje. Veseul zapewne jest podłym człowiekiem. Tacy jak on są przekleństwem kurtyzan.

Westchnęła, po czym kontynuowała już lżejszym tonem:

- Mimo to, niezależnie od pogroźek, sądzę, że Veseul prawdopodobnie szybko zapomni o twoim istnieniu, szczególnie jeśli będziesz unikać publicznych miejsc, gdzie mógłby cię zobaczyć i zyskać nadzieję. Kurtyzany często chodzą do opery, by wzbudzić podziw i zdobyć nowych klientów, a w twoim przypadku nie ma sensu dalej się reklamować, skoro zdecydowałaś się na St. Aubyna - dodała z odcieniem złośliwości w głosie.

- Nie jestem jeszcze pewna, czy zaakceptuję St. Aubyna - powiedziała ostrożnie Diana. - W tej chwili mam ochotę wstąpić do klasztoru.

Madeline wzruszyła ramionami i jej wspaniała suknia z kaszmiru cicho zaszeleściła.

- Nie polecałabym ci klasztoru, ale nie jest jeszcze za późno, żebyś zmieniła zdanie na temat zostania kurtyzaną.

Przyjmując milczenie Diany za znak zgody, ciągnęła z rosnącym entuzjazmem:

- Jak wiesz, w grę wchodzi nie tylko powrót na wrzosowiska. Mogłybyśmy kupić dom w jakimś sporym mieście, gdzie nikt nigdy by się nie dowiedział o wstydlivych epizodach z twego życia. Znalazłybyśmy dla Geoffreya inną szkołę równie dobrą jak szkoła pana Hardy'ego. Zawarłabyś nowe przyjaźnie, zaczęła bywać w towarzystwie mniej arystokratycznym, ale za to uczciwszym. Nawet ja mogłabym tam uchodzić za szanowaną osobę.

- Nie, Maddy - powiedziała Diana, przerywając plany przyjaciółki. - Mam zamiar kontynuować to, co zaczęłam, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Veseul jest podły, ale to tylko jeden człowiek i będę go unikać. Wszyscy pozostali mężczyźni, których spotkałam, byli bardzo mili, nie przerażali mnie tak jak on. - Urwała na chwilę. - Wiesz, bardzo mi się spodobało to, że jestem podziwiana - dodała zaskoczona.

Madeline roześmiała się.

- To bardzo przyjemne, dopóki nie traktuje się tego zbyt poważnie.

- Nie ma obawy - powiedziała sucho Diana. - Wysłuchałam w życiu zbyt wielu kazań na temat próżności i tego, że fizyczne piękno nieuchronnie gaśnie wraz z upływem czasu, żeby dać sobie zawrócić w głowie.

Madeline uśmiechnęła się do siebie pod osłoną ciemności panującej w powozie. Ta wypowiedź Diany wyjaśniała zdumiewający u tak urodziwej kobiety brak próżności i zarozumiałości. Gdyby dziewczyna zawsze była podziwiana tak jak teraz, nie byłaby taka

skromna i szczodra. Madeline była trochę próżna i lubiła być podziwiana, dobrze też wiedziała, że brakuje jej wdzięku i łagodności Diany. Lecz chociaż z pewnością nie mogłaby zostać uznana za świętą, była zdecydowana uchronić swą protegowaną przed niegodziwością mężczyzn takich jak Veseul.

Chociaż po przespanej nocy Diana poczuła się lepiej, nie miała wielkiej ochoty na wyprawę z St. Aubynem. Doszła jednak do wniosku, że jeśli chce odkryć, co kryje się w tym człowieku pod maską oschłości i surowości, spędzenie z nim prawie całego dnia powinno być bardzo pouczające.

Kiedy Gerwazy przyjechał po nią punktualnie o dziesiątej, czekała już na niego w salonie wraz z Madeline. Pomyślała, że wicehrabia wygląda bardzo ponuro jak na człowieka, który zamierza poświęcić dzień na przyjemności. Zbiło ją to nieco z tropu, ale przypomniała sobie, że poprzedniego dnia dopiero po pewnym czasie się rozluźnił, a jego groźne spojrzenie złagodniało. Skoro zdarzyło się to raz, mogło zdarzyć się ponownie.

Wstała i uśmiechnęła się do niego serdecznie. Stalowe spojrzenie złagodniało, kiedy pochylał się nad jej dłoń. Jego lordowska mość najwyraźniej był czuły na jej wdzięki, chociaż prawdopodobnie spodobał mu się krój jej stroju do konnej jazdy, a nie jej uśmiech.

- Jest pan bardzo punktualny - powiedziała. - Chyba nie miał pan dotąd przyjemności poznania mojej przyjaciółki panny Gainford. Madeline, lord St. Aubyn.

Wicehrabia i Madeline przyjrzeni się sobie uważnie i wymienili uprzejme pozdrowienia. Zanosilo się na to, że St. Aubyn będzie tu bywał, więc dobrze, że się poznali. Diana liczyła też na to, że jeśli Madeline trochę go polubi, przestanie jej radzić, by wycofała się i powróciła do dawnego życia.

Gdy wyszli na dwór, wicehrabia pomógł Dianie wsiąść na Fedrę.

- Czy nie czuje pani żadnych dolegliwości po wczorajszej jeździe, pani Lindsay? - zapytał, stojąc przy strzemieniu.

Diana uśmiechnęła się do niego z nutą żalu.

- Pewne części mojego ciała, których nie wymienię, przypominają mi, że dawno już nie jeździłam konno.

Napięte mięśnie jego twarzy nieco się rozluźniły, szare oczy rozbłyły.

- Nie jestem tym zaskoczony. Po tym, jak spędziłem pięć miesięcy na statku, czułem to samo. - W jego oczach pojawiły się całkiem już figlarne iskierki. - Jeśli sądzi pani, że mógłby pani pomóc masaż, z rozkoszą oferuję swą pomoc - dodał z komiczną powagą.

- To bardzo szlachetna i wspaniałomyślna propozycja, milordzie, ale wolę radzić sobie bez pomocy - odpowiedziała tym samym tonem.

Zachichotał i dosiadł swego konia.

- W mojej propozycji nie było nic szlachetnego i wspaniałomyślnego. Myślę, że dobrze sobie pani z tego zdaje sprawę.

Zbliżył swego konia do niej, tak że niemal stykali się kolanami.

- Powinienem był przewidzieć, że będzie pani dzisiaj obolała. Jeśli pani woli, możemy zmienić plany. Na przykład możemy wynająć łódkę i sobie popływać.

Diana poczuła wzruszenie. Nie spodziewała się, że St. Aubyn będzie taki troskliwy i uprzejmy.

- To bardzo miłe z pana strony, ale myślę, że sobie poradzę, kiedy trochę się rozgrzeję. Aż do wczoraj nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo stęskniłam się za jazdą. Będę się musiała znów do niej przyzwyczaić.

- Czy to znaczy, że pożyczony koń stał się darowanym? - zapytał, wyjeżdżając na Charles Street.

- Nie, ale im dłużej jeżdżę, tym słabsze jest moje postanowienie - przyznała, kiedy skierowali się w stronę Richmond. - Fedra jest najwspanialszym koniem, z jakim miałam do czynienia. Jestem zaskoczona, że pozwolił pan, by dosiadł jej jeździec, którego umiejętności pan nie znał.

- Ja też - przyznał Gerwazy szczerze, lecz trochę mało taktownie. Prawdę mówiąc zastanawiał się, czy ma oddać Fedrę pięknej nieznajomej. Zbyt późno zorientował się, że jego towarzyszka mogła poczuć się urażona tym, że powątpiewał w jej umiejętności. Popatrzył na nią pytająco.

Jej niebieskie oczy błyszczały rozbawieniem.

- Widzę, że nie lubi pan miłych kłamstw.

- To prawda, chociaż staram się nie być niegrzeczny. - Zastanawiał się przez chwilę. - W każdym razie, jeśli już jestem niegrzeczny, to wolę taki być celowo, a nie mimowolnie.

Roześmiała się tak perliście i radośnie, że miał ochotę się przyłączyć.

- Ta szczerść ma w sobie coś z zemsty, milordzie. Czy często jest pan celowo niegrzeczny?

Uśmiechnął się do niej.

- Nie, niezbyt często. Tylko wtedy, gdy mam w tym swój cel.

Przejeżdżali przez rynek, więc przerwali rozmowę, uważnie torując sobie drogę przez tłum. Chociaż pani Lindsay sprawiała wrażenie zadowolonej z jego towarzystwa, Gerwazy czuł się zbity z tropu i niepewny siebie. Żadna z jego poprzednich kochanek nie wymagała wstępnych zalotów, ale też nigdy dotąd nie zetknął się z tak wspaniałą kurtyzaną. Nie miał

pojęcia, czego może od niego oczekiwać. Po raz pierwszy w życiu wicehrabia żałował, że nie doskonalił się w sztuce flirtowania. Czy ta kobieta oczekiwała dowcipnych, ciętych odpowiedzi? Kwiecistych komplementów? Zapewnień o niegasnącej namiętności? Miał nadzieję, że nie. Chociaż z pewnością wyzwalała w nim pożądanie, nie miał zamiaru prawić jej miłosnych kłamstw. Głównym powodem, dla którego zadawał się z kobietami lekkich obyczajów, była chęć uniknięcia nadmiaru uczuć.

Poza dzielnicami handlowymi ulice były mniej zatłoczone. Gerwazy często ukradkiem popatrywał na swą towarzyszkę. Była tak niewiarygodnie piękna, że przyprawiała go o zawrót głowy. W czasie jazdy miał okazję obserwować przede wszystkim jej profil; klasyczną symetrię brody i czoła oraz mniej klasyczny, lecz uroczy nosek. Błyszczące włosy Diany o barwie mahoni zczesane do tyłu opadały kaskadą loków na granatowy strój do konnej jazdy, w którym wyglądała niezwykle młodo i niewinnie. Jej pełne usta wydawały się zawsze skore do uśmiechu.

Gerwazy przypomniał sobie dotyk i smak tych ust, po czym skupił swą uwagę na drodze. Postanowił, że musi powściągnąć swe lubieżne myśli. Ta kobieta bez wysiłku pozbawiała go opanowania, z którego był tak dumny, i wcale mu się to nie podobało. Z najwyższym trudem i tylko dzięki temu, że przez całe życie doskonalił sztukę dyscypliny, zdołał skierować myśli na inne tory. Na szczęście Diana podjęła temat, który pozwolił mu oderwać się od rozpamiętywania jej uroków.

- Dokąd pan płynął przez pięć miesięcy? - zapytała, kiedy zwolnili przed niewielkim stadem owiec.

- Do Indii. Pięć miesięcy w jedną i pięć miesięcy w drugą stronę. Zajęło mi to prawie rok życia.

- Indie! - powiedziała z rozmarzeniem. - Zawsze fascynował mnie ten kraj. Długo pan tam był?

- Spędziłem tam prawie pięć lat. Służyłem w wojsku pod dowództwem Wellesleya. - Na ulicy zrobiło się spokojniej. Okrążyli owce i ruszyli kłusem. - Wróciłem dwa lata temu, po śmierci mojego ojca.

- Podobały się panu Indie?

Zawahał się.

- Trudno jest mówić o Indiach w kategoriach tego, czy nam się coś podoba, czy nie. Wszystko jest tam tak bardzo odmienne. Nawet światło słoneczne jest inne, ostre i żółte, a nie takie łagodne jak w Anglii. - Urwał, pomyślawszy o tym, jak bardzo się zmienił przez te lata. Jechał do Indii przepełniony gniewem, pogrążony w depresji, narażał się na

niebezpieczeństwo i cierpiał niewygodę, aż w końcu powrócił do Anglii jako dojrzały mężczyzna, pogodzony ze sobą.

Kiedy Diana swoim miłym głosem poprosiła go, żeby opowiedział jej o Indiach, spełnił jej prośbę i przez pozostałą część drogi do Richmond mówił jej o cudach Indii, o morderczym upale i ubóstwie, o gwarnych i przeludnionych miastach, o odmiennych religiach z ich wzruszającymi, ale też czasem i przerażającymi rytuałami. Żaden z jego znajomych, nawet kuzyn Francis, nie okazał większego niż Diana zainteresowania Indiami. Jej szczerzy entuzjazm sprawił, że opowiedział jej więcej, niż miał zamiar. Opowiadając o wyprawie na północ, gdzie zobaczył góry zwane Dachem Świata, zdał sobie sprawę, że prowadzi bardzo nietypową rozmowę z kurtyzaną.

Mimo iż takie właśnie określenie przyszło mu do głowy, natychmiast się wzdrygnął. Choć było trafne jako nazwa profesji, uznał je za zbyt dosadne na określenie Diany, która prezentowała elegancję i erudycję wielkiej damy. W głębi duszy była zapewne równie prymitywna i chciwa jak cała reszta jej koleżanek, ale potrafiła doskonale to ukryć.

Kiedy zakończył opowieść, westchnęła radośnie.

- Przypomniało mi się królestwo Jana Prezbitera.

Gerwazy był zaskoczony, że Diana zna tę średniowieczną legendę.

Jan Prezbiter był mitycznym królem bajecznej krainy w głębi Azji, pełnej złota i innych cudowności, chrześcijańskim władcą otoczonym przez barbarzyńców. Historia prawdopodobnie dotyczyła Etiopii, lecz obrosła legendą i wykroczyła poza zasięg ziemskiego królestwa.

- Tak, Indie są tak egzotyczne jak średniowieczne legendy - zgodził się. - Kiedy byłem chłopcem, bardzo fascynowały mnie takie opowiadania. Miałem książkę o Janie Prezbiterze, często miewałem sny na temat Jana i jego złotego tronu. Być może był to jeden z powodów, dla których pojechałem do Indii.

Diana słuchała go w milczeniu. A więc ten twardy światowiec był chłopcem, któremu śniły się cuda? Wzruszona, natychmiast pomyślała o Geoffreju.

Wjechali do Richmond Park. Kiedyś stał tu wielki pałac, a zalesiony obszar służył za teren łowiecki. Teraz ludzie przychodzili tu na spacery albo przyjeżdżali konno, ciesząc się swobodą, jakiej nie mieli w miejskich parkach. Drzewa przybierały jesienne barwy, pierwsze żółte liście złociły się w południowym słońcu.

- Skąd pani pochodzi, pani Lindsay? - zapytał nagle Gerwazy. - W pani głosie słyszę nieznacznym akcent z północy.

Diana popatrzyła na niego figlarnie.



- Kobiety takie jak ja nie mają ani przeszłości, ani przyszłości, milordzie. Żyjemy chwilą. Przekonamy się, czy Fedra prześcignie pańskiego konia na tej ścieżce?

Nie czekając na odpowiedź, zmusiła klacz do galopu. Zaskoczony Gerwazy ruszył w pościg, dopiero gdy była już o dobre pięćdziesiąt stóp przed nim. Pogalopował za nią lekko poirytowany tym, w jaki sposób uniknęła odpowiedzi na jego pytanie. W przeszłości nigdy nie był ciekaw szczegółów z życia kochanek, ale Diana Lindsay zaintrygowała go na tyle, że zaczął się zastanawiać, gdzie mogła urodzić się kobieta tak piękna i subtelna i co sprawiło, że wybrała najstarszy zawód świata.

Skupił się na tym, by ją doścignąć. Długie kasztanowe włosy Diany powiewały jak proporzec. Udało jej się zmusić Fedrę do szybkiego biegu bez pomocy szpicruty. Mimo że trudno było się spodziewać, by mogła z nim wygrać, radziła sobie zaskakująco dobrze, tak że wyprzedził ją dopiero w ostatniej chwili.

Nie zmartwiła się przegraną.

- Wygrał pan, milordzie. Co chciałby pan otrzymać w nagrodę?

- Coś wymyślę - odpowiedział z roztargnieniem, podziwiając wywołane wiatrem rumieńce na jej policzkach. - Minęło południe - odezwał się po chwili, popatrzawszy na słońce. - Jeśli skręcimy teraz w prawo na tym rozwidleniu, dojedziemy do gospody, w której zamówiłem posiłek.

Zgodnie pokłusowali w stronę gospody nad rzeką. Dianie spodobało się to, że Gerwazy doskonale wszystko zaplanował - od zarezerwowanej tylko dla nich sali z widokiem na Tamizę po wspaniałe jedzenie i wino, znakomicie dobrane, by zaspokoić apetyt, nie obciążając zbytnio żołądków, skoro mieli zamiar wrócić konno do miasta.

Kończąc podany na deser aromatyczny mus malinowy, zastanawiała się, czy Gerwazy skorzysta z tego, że są sam na sam, by wzmóc zaloty. Ta myśl bardziej ją pociągała, niż niepokoiła; ukradkiem przyglądała mu się w czasie porannej jazdy, podziwiając grację i siłę jego muskularnego ciała.

Uśmiechnąwszy się po jednej z jego uwag, Diana wypła łyk wina i dopiero potem pośpieszyła z odpowiedzią. Z uwagą przyglądała się Gerwazemu siedzącemu po przeciwnej stronie stołu. Skoro uznała, że to on jest jej przeznaczeniem, należało korzystać z tego, co przynosił los. Gerwazy miał przystojną twarz z szerokimi kośćmi policzkowymi. Przejrzyste szare oczy spoglądały przenikliwym wzrokiem spod czarnych brwi, ciemne włosy były zbyt gęste, by można było utrzymać je w idealnym porządku. Pomimo całej jego powagi i nierzadko groźnej miny, dostrzegła w nim dobroć, a czasami nawet przebłyski humoru.

Gerwazy Brandelin fascynował ją. Wyobrażała sobie jego głęboki głos szepczący

czułe słówka, jego mocne ciało wtulone w nią, jego pożądanie rozbudzające jej zmysły. Wprawdzie myślała o tym wszystkim z pewnym niepokojem, ale zwiększało to jedynie podekscytowanie na myśl o tym, że mu się odda. Nie zastanawiała się już nad tym, czy tak się stanie, ale kiedy.

Odezwał się do niej tonem, który byłby stosowny również wobec dziewięćdziesięcioletniej babki.

- Czy miałyby pani ochotę na przechadzkę wśród dębów, zanim wrócimy do Londynu? To jedno z najstarszych i najokazalszych drzew w Anglii.

Diana nagle zdała sobie sprawę, że jest trochę podchmielona. To właśnie te trzy kieliszki wina musiały pobudzić jej wyobraźnię. Jakie to dziwne: podczas gdy ona doświadczała istnej burzy zmysłów, ten niegodziwiec siedział opanowany i niepokojąco trzeźwy, tak jakby rzeczywiście zależało mu na zobaczeniu dębów.

Jej marzenia ustąpiły miejsca zaniepokojeniu, a ręce drżały, gdy odstawiała na stół kieliszek po winie. Była pewna, że popełniła jakiś błąd i St. Aubyn już jej nie pożąda. Chociaż Madeline wszystko jej wyjaśniła, istota tego, co czyniło kobietę istotą pożądaną, musiała leżeć poza zasięgiem Diany. Myśl o tym, że Gerwazy już jej nie pragnie, bardzo ją zabolala. Z trudem zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

- Chętnie je zobaczę. Nigdy jeszcze nie byłam w Richmond Park.

Ciemny las był tak wspaniały, jak przedstawił go Gerwazy. Znaleźli się wśród gęstwiny dębów, gdzie przebiegały daniele, a promienie słońca oświetlały wirujące drobiny kurzu. Diana pochyliła się, by podnieść żółty liść, czując, że jej oszołomienie winem wzmaga się.

- Mam wrażenie, że zaraz spotkamy tu druidów - odezwała się z rozmarzeniem.

- Być może są tu duchy druidów, ale bardziej prawdopodobne jest to, że znajdują się tu duchy Plantagenetów i Tudorów polujących na daniele.

Gerwazy powiedział to spokojnym tonem, ale zauważyła, że jego twarz wyraża nieskrywane pożądanie. Z ulgą stwierdziła, że jej obawy były bezpodstawne, że wciąż nie jest mu obojętna.

- Czy polowano tu tylko na daniele?

- Och, nie - odpowiedział cicho. - Jest tu i szlachetniejsza zwierzyna. - Wyciągnął do niej rękę, lecz szybko uskoczyła za potężny pień dębu, po czym wyjrzała zza drzewa, śmiejąc się i zastanawiając, skąd wzięła się nagle ta nieoczekiwana ochota do flirtowania.

- A jak się poluje na tę zwierzynę? - kokietowała. Nie poznawała siebie, lecz z radością zrezygnowała z dotychczasowej powagi.

St. Aubynowi wyraźnie spodobał się jej wesoły nastrój. Przyglądał się jej z upodobaniem, a na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Gdybym to wiedział, już dawno bym to zrobił - powiedział, podchodząc do drzewa.

Wyciągnął do niej rękę i spoważniał. Stali po dwóch stronach sękatego pnia, częściowo zasłonięci. Pogłaskał ją po policzku, po czym wsunął dłoń w jej włosy.

- Czy wie pani, że mówią na panią Piękna Luna? - Kiedy popatrzyła na niego pytająco, wyjaśnił: - Ponieważ ma pani najpiękniejszą figurę, jaką kiedykolwiek widziano w Londynie.

Diana szeroko otworzyła oczy i roześmiała się.

- To mi wygląda na fantazję poetycką młodego Clintona. Niemniej uznaję to za komplement.

- Bo to jest komplement. - W oczach Gerwazego pojawiły się dziwne błyski. Diana domyśliła się, że on też odczuwa napięcie. Delikatnie pieścił jej policzki kolistymi ruchami palców. Czując fale ciepła rozchodzące się po całym ciele, bezwiednie rozchyliła wargi w niemym zaproszeniu.

- Jak długo będę musiał jeszcze czekać, Dianko? - zapytał, zniżając głos do szeptu. Wpatrywał się w nią uporczywie.

Przez chwilę obwodził palcami jej ucho. Nie miała pojęcia, że ta część ciała może być tak wrażliwa. Oparła się ręką o drzewo, by nie zachwiać się pod natłokiem doznań. Gładził jej szyję tak delikatnie, że miała wrażenie, iż czuje jego linie papilarne albo że to motyl muska ją skrzydłem. Kto by pomyślał, że mężczyzna o tak silnych dłoniach może być taki delikatny?

- Rozumiem, że chce pani poznać mnie lepiej - powiedział niskim głosem - ale im więcej czasu spędzamy razem, tym trudniej jest mi utrzymać ręce przy sobie. Prawdę mówiąc, jest to zupełnie niemożliwe. - Obszedł pień, złapał ją, otoczył ramionami w pasie i pocałował.

Oszołomiona Diana pomyślała, że z każdym kolejnym pocałunkiem stają się sobie bliżsi. Zamknęła oczy i całkowicie poddała się słodkiej grze warg i języka.

Mocno przytuleni, opadli na kolana. Całował jej policzki, a potem znalazł niezwykle wrażliwe miejsce pod lewym uchem. Przesunawszy dłońmi wzdłuż jej pleców, pieścił jej pośladki, biodra i uda, przyciskając ją do siebie. Zaskoczona swoją reakcją, zaczęła rytmicznie poruszać biodrami.

Nie powinnam była pić tyle wina, pomyślała. Zdała sobie sprawę, że jeśli będzie miał ochotę pojąć ją tu, w publicznym parku, nie znajdzie w sobie sił, by mu się oprzeć. Kusilo ją, żeby mieć już za sobą ten pierwszy raz, żeby zdarzyło się to już teraz, by nie miała czasu

na zamartwianie się brakiem doświadczenia i mizernymi umiejętnościami. Lecz nawet w stanie odurzenia winem i pożądaniem zrozumiała, że nie o takim początku marzyła. Gerwazy Brandelin stał się już dla niej zbyt ważny, by chciała odbyć z nim szybki stosunek w lesie. Musi okazać rozsądek, zmusić się do opanowania, tak jak uczyła ją Madeline, a nie oddawać się jak zadurzona dziewczyna od krów.

Poza tym nie była zabezpieczona przed ciążą. Bardzo kochała Geoffreya, ale nie chciała, by miał młodszego brata albo siostrę wskutek jej lekkomyślności.

Wydostała się z objęć Gerwazego i przysiadła na piętach dotykając go kolanami. Oddychała z trudem.

- Czego pan ode mnie oczekuje, milordzie? - zapytała cichym, urywanym głosem.

Zawahał się. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Oprócz tego, co jest oczywiste - dodała.

Czując, że zostaje poddany kolejnemu egzaminowi, Gerwazy również przysiadł na piętach i położył dłonie na udach, zastanawiając się nad jej pytaniem. Musiał jednak najpierw ochłoniąć, co było niezwykle trudne do osiągnięcia, zważywszy na żar, jaki w nim wzbudzała. Czego chciał od Diany Lindsay oprócz możliwości zatopienia się w niej, zatracenia, zapomnienia o wszystkich smutkach w obliczu namiętności?

Było to dobrze postawione pytanie, zasługujące na szczerą odpowiedź.

- Lubię uporządkowane życie, więc poszukuję stałej kochanki - powiedział, szukając właściwych słów, uspokoiwszy oddech. - Chciał bym mieć pewność, że będzie pani dostępna, kiedy będę jej potrzebował, i nie będzie robić mi scen, że ją zaniedbuję.

Spokojnie pokiwała głową. Nie sposób było wyczytać z jej twarzy, czy to, co powiedział, spodobało jej się czy nie.

- Ale czego konkretnie oczekuje pan ode mnie? Dłuższe związki bywają bardzo skomplikowane... musi pan o tym wiedzieć. Jak wyobraża sobie pan nasz związek?

Miała talent do zadawania trudnych pytań. Nigdy dotąd nie zastanawiał się, jak to wszystko może wyglądać z punktu widzenia kobiety. Przygryzł dolną wargę i zastanowił się nad odpowiedzią. Chociaż ich związek byłby pewnego rodzaju transakcją handlową, jeśli Diana zostanie jego kochanką, zacznie ich łączyć coś więcej niż zwykły interes. Pozostawało pytanie, jak wiele będzie ich łączyć.

- Chcę, żeby nie miała pani trosk finansowych. I mam nadzieję, że nasze współzycie da pani wiele satysfakcji.

- A jeśli mnie pan nie zadowoli, czy mam udawać, że jestem usatysfakcjonowana? - zapytała jakby od niechcienia.

- Jeśli zechce pani kłamać, będzie pani mogła obwiniać tylko siebie za brak satysfakcji. Nawet najzręczniejsi kochankowie nie potrafią czytać w myślach - powiedział, urażony w swej męskiej dumie.

Z upodobaniem objął wzrokiem rozkoszne krągłości, dyskretnie uwypuklone przez skromny strój do konnej jazdy, po czym przeniósł wzrok na urodziwą pogodną twarzyczkę w kształcie serca. Ciało Diany było zbyt zmysłowe, by mógł sobie wyobrazić, że nie będzie w stanie jej zadowolić. Miał w końcu duże doświadczenie. Jej reakcja na pocałunki dowodziła, że w tej damie kryje się namiętna natura.

- Wiem, że do zadań kurtyzany należy przekonanie mężczyzny, że jest najlepszym kochankiem w historii ludzkości, ale wolałbym, żeby nie musiała pani być aktorką w mojej obecności - powiedział pewniejszym już tonem.

Spodobała mu się ta gra w pytania i odpowiedzi.

- A czego pani ode mnie oczekuje? - zapytał. - Dała mi pani do zrozumienia, że bardzo wielu mężczyzn jest gotowych zapłacić podaną przez panią cenę. Co więc muszę zrobić, żeby zyskać szczególne prawa?

- Nigdy nie powiedziałam, że tak pana wyróżnię.

Jej melodyjny głos przybrał teraz tak rzeczowy ton, że dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, o co jej chodzi. Krew nabiegła mu do głowy.

- Ma pani zamiar prowadzić wesoły domek? Absolutnie nie mogę się na to zgodzić. Chcę mieć panią do swojej wyłącznej dyspozycji i gotów jestem hojnie zapłacić za ten przywilej.

W jej pogodnym wzroku pojawiły się stalowe błyski.

- Nie mam zamiaru przyjmować wszystkich propozycji, niemniej nie mogę dać panu prawa wyłączności. - A po chwili dodała: - Nie składam obietnic, których nie mam zamiaru dotrzymać.

Gerwazy wstał i otrzepał spodnie z liści.

- Jeśli takie są pani plany, to nie mamy o czym rozmawiać. Nie będę stać w kolejce przed pani sypialnią. - Chcąc okazać uprzejmość nawet w gniewie, podał jej rękę i pomógł wstać. Jego usta zacisnęły się w wąską kreskę. Nie miał zamiaru dzielić się swoją kobietą z każdym łotrem czy lokajem, który wpadł jej w oko. Ta myśl była nie do zniesienia... A jednak jego niezłomne postanowienie zaczęło się chwiać, kiedy Diana wsunęła dłoń w jego rękę. Była cudownie lekka i uniosła się z ziemi z gracją leśnej boginki, driady. Dotyk jej szczupłych palców ukoił jego gniew.

Stała tak blisko, że prawie dotykała piersiami jego torsu. Poczul delikatny zapach bzu.

Popatrzyła na niego niewinnie.

- Czy jest pan tak uparty, że wszystko musi odbywać się na pańskich warunkach? Jeśli zawsze będę przy panu, kiedy będzie mnie pan potrzebował, dlaczego miałoby mieć to jakieś znaczenie, co bym na przykład... tylko na przykład... robiła w pozostałych godzinach? Co by pan na tym stracił?

Miał ochotę odpowiedzieć, że jest właśnie aż tak uparty. Musiał znajdować kompromisowe rozwiązania w swojej pracy, ale nie widział potrzeby stosowania ich w prywatnym życiu. Przynajmniej tak było do tej pory. Niestety, bardzo pragnął tej kobiety o pięknej twarzy, figurze przyprawiającej o zawrót głowy i manierach damy. O wiele za bardzo.

Odpowiedział jej spokojnym tonem.

- Nie mogę zgodzić się na to, żeby kpiała pani ze mnie, zadając się z innymi za moimi plecami.

Pokręciła głową.

- Albo zaufa mi pan, że jestem dyskretna i mam poczucie honoru, albo nie... Nie ma to nic wspólnego z tym, ilu mogę mieć kochanków. Obiecuję, że nasze sprawy pozostaną między nami, ale jeśli nie mam poczucia honoru, to ta obietnica i tak nic nie oznacza.

Trudno było odmówić jej racji: jedynie czas mógł pokazać, czy warto było jej zaufać. Chciał powtórzyć, że nigdy nie przystanie na takie warunki, ale jakby wbrew sobie udzielił zupełnie innej odpowiedzi.

- Zastanowię się nad tym, co pani powiedziała.

Pomimo to w głębi serca czuł, że kapitulacja jest tylko kwestią czasu, a sądząc po uśmiechu błakającym się na wargach Diany Lindsay, wiedziała o tym także ona. Gdyby w jej oczach pojawił się najmniejszy nawet błysk triumfu, puściłby jej dłoń i odwrócił się od niej na zawsze. Nie miał zamiaru składać swej dumy w niepewne ręce.

Tymczasem ona uniosła jego dłoń i pocałowała. Był to gest pełen czułości, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył. Włosy opadły jej tak, że odsłoniły szyję. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Fascynowała go tak, że czuł niemal fizyczny ból.

Mocniej ścisnął jej dłoń, uniósł ją i przyłożył do swego policzka, ocierając się o nią twarzą. Diana uniosła wzrok i popatrzyła na niego swymi cudownymi niebieskimi oczami. W tej chwili zgodziłby się na wszystko, o co by go poprosiła. Zastanawiał się, dokąd doprowadzi go ta słabość.

Dzwony kościelne wybiły czwartą po południu, kiedy dojechali do stajni za domem Diany. Drogę powrotną do Londynu przebyli w prawie całkowitym milczeniu. Gerwazy wątpił w to, że jakakolwiek kurtyzana, czy w ogóle jakakolwiek kobieta, może być tak szczerą i prostolinijną, jak próbowała mu to udowodnić Diana Lindsay, więc podejrzewał, że choć jest bardzo miła, to po prostu sobie z niego drwi.

Diana była bardzo małomówna w drodze powrotnej. Kiedy pomógł jej zsiąść z konia, zauważył wyraz napięcia na jej twarzy. Zapewne obawiała się, że posunęła się zbyt daleko w swoich wymaganiach i że go utraciła. Ta myśl sprawiła mu wielką satysfakcję.

Stała przed nim, delikatnie ściskając jego dłoń, którą chwyciła dla zachowania równowagi po zejściu z Fedry, i patrzyła mu prosto w oczy.

- Pytał pan, kiedy to nastąpi. Jeśli wciąż mnie pan pożąda, może pan do mnie przyjść jutro wieczorem. Przyjmę pana prywatnie.

Gerwazy poczuł ogromną ulgę, widząc, że inicjatywa ponownie należy do niego. Złożyła mu wyraźne zaproszenie, a nie istniało żadne lepsze lekarstwo na wyleczenie się z seksualnych fascynacji niż odkrycie tajemnicy. W końcu znalazł wiele pięknych kobiet, a pozbawiona stroju do konnej jazdy i aury niewinności Diana Lindsay stanie się tylko jedną z nich. Po kilku intymnych spotkaniach nie powinien mieć trudności z odejściem od niej, jeśli będzie sprawiała jakieś kłopoty.

Pochylił się nad jej dłonią.

- Doskonale. Czy dziewiąta wieczorem będzie odpowiednią porą?

- Bardzo odpowiednią, milordzie. Będę na pana czekać.

Odprowadził ją do tylnego wejścia do domu, po czym wskoczył na konia i odjechał. Diana odprowadzała go wzrokiem, czekając, aż lokaj otworzy drzwi. Lord St. Aubyn był przyzwyczajony do tego, że wszystko musi się odbywać tak, jak on sobie życzy. Ale w końcu nie należało się temu dziwić. Jako bogaty arystokrata mógł robić prawie wszystko, na co miał ochotę.

Pomyślała, że istnieją pewne podobieństwa pomiędzy nim a hrabią de Veseul. Obaj byli otoczeni aurą władzy, mieli duży temperament i obaj jej pożądali. Różnica polegała na tym, że Francuz chciał jedynie ją posiadać, a to, czy ona się na to zgodzi, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Natomiast St. Aubyn, chociaż zapewne nie był przyzwyczajony do liczenia się z kimkolwiek, chętnie się uczył. Miał... duże możliwości. Bardzo ją to cieszyło.

Kiedy lokaj otworzył drzwi, parsknęła śmiechem w sposób nieprzystający damie i

uniosła spódnicę, by przejść przez próg. To nie „możliwości” St. Aubyna tak ją fascynowały. Nie, pociągała ją w nim przede wszystkim silna osobowość i zdecydowanie. No i oczywiście piękne ciało, gibkie jak u pantery. Chciała poznać tajemnice miłości, a jego lordowska mość St. Aubyn wydawał się jej doskonałym, choć bardzo wymagającym nauczycielem.

Wziąwszy dzień wolny na osobiste przyjemności, Gerwazy spędził jednak wieczór w gabinecie w St. Aubyn House. W ciągu ostatnich kilku lat stał się jedną z kluczowych postaci angielskiego rządu, chociaż bardzo niewiele osób wiedziało, czym się zajmuje. Oficjalnie piastował podrzędne stanowisko w ministerstwie spraw zagranicznych. Była to prawdziwa synekura - pracował w wybranych przez siebie godzinach i zajmował się ekspediowaniem przesyłek i przekazywaniem wiadomości.

W rzeczywistości był koordynatorem różnych komórek brytyjskiego wywiadu. Na kilka tygodni przed śmiercią premier William Pitt osobiście poprosił Gerwazego, by podjął się tego niewdzięcznego zadania. Zarekomendował go Pittowi generał, sir Arthur Wellesley, dowódca wicehrabiego w Indiach. W ciągu lat spędzonych na Wschodzie Gerwazy ujawnił niezwykle talent do łączenia fragmentów informacji tak, by dawały obraz całości, a teraz wykorzystywał swe zdolności w związku z europejską wojną, w której Anglia już od zbyt wielu lat walczyła z Napoleonem.

Jako że istniejące komórki wywiadowcze zazdrośnie strzegły swoich informacji, była to żmudna praca, której efekty można było ocenić dopiero po dłuższym czasie. Musiał wykazywać się taktem i stanowczością, by przekonać pracowników do podzielenia się z nim posiadanymi informacjami. Miał również do czynienia z agentami i informatorami na kontynencie. Oceniał napływające wiadomości i podejmował decyzje, czy warto finansować dane działania. Wywiadowcy z reguły mieli wspaniałe pomysły, których realizacja wymagała ogromnej ilości angielskich pieniędzy.

Mniej nużące, lecz zdecydowanie bardziej niebezpieczne były jego rzadkie wyprawy na kontynent, gdzie mógł polegać tylko na sobie. Ponieważ Napoleon zamknął dla Anglików wszystkie porty, Gerwazy przekradał się z przemytnikami. Podobnie jak większość ludzi z jego sfery, władał językiem francuskim równie dobrze jak angielskim i z powodzeniem mógł uchodzić za Francuza. Mimo to zawsze istniało niebezpieczeństwo, że jego kuzyn Francis odziedziczy tytuł znacznie wcześniej, niż się tego spodziewał.

Praca Gerwazego była mało efektowna, ale niezmiernie ważna. Dawała mu satysfakcję i bardzo go absorbowała. Jednakże tego dnia nie potrafił się skupić i wszystko zabierało mu dwa razy więcej czasu niż zazwyczaj. Ostatni raport nadszedł z działu szyfrów, założonego przez wykładowcę z Oksfordu przed ponad stu laty i prowadzonego przez



niewielkie grono ściśle wtajemniczonych. Z namysłem przeczytał odszyfrowane tłumaczenie tajnej depezy do francuskiego agenta w Londynie, po czym westchnął z irytacją. Był bardzo podekscytowany, kiedy depeza została przechwycona, ale wiadomość dla tajemniczego Feniksa nie pozwalała się domyślić, kim może być adresat wiadomości. Przebiegły szpieg od lat sprawiał im wiele kłopotu i nawet przechwytyjąc skierowaną do niego depezę, nie potrafili go zdemaskować.

Gerwazy sporządził listę potencjalnych Feniksów. Każdy z wyszczególnionych piastował ważne stanowisko i po to, żeby stawić im czoło, trzeba było dysponować żelaznymi dowodami zdrady. Nakazał ich obserwować; byli śledzeni już od kilku miesięcy, lecz wcale nie zbliżyło go to do rozszyfrowania tajemnicy.

Niestety, kiedy patrzył na kartki papieru, miał przed oczami nie szpiegów, lecz Dianę Lindsay w całej krasie jej urody i zmysłowości. Nazajutrz o tej porze jego ciekawość zostanie zaspokojona i nie będzie już musiał zastanawiać się, co ta kobieta kryje pod eleganckim ubraniem. Na swoje nieszczęście tego dnia nie potrafił myśleć o niczym innym. Samo wspomnienie Diany pobudzało go tak, że rozum stawał się zupełnie nieprzydatny. Było coś przewrotnego i niewłaściwego w tym, że luksusowa kurtyzana stanęła między nim a jego pracą, która dotąd stanowiła dla niego sens życia.

W końcu zmiął kartkę z nazwiskami i cisnął ją w ogień, jako że nie potrafił ani na jotę zbliżyć się do rozwiązania zagadki Feniksa. Pomyślał, że w takiej sytuacji lepiej będzie, jeśli się zastanowi, jaki prezent powinien wręczyć Dianie jutrzejszego wieczoru jako zapłatę za jej łaskawość. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ogień w kominku. Skrzywił się. Kiedy już wreszcie będzie miał za sobą noc z tą diabolicą, jego życie powinno powrócić do normy.

Późną nocą Diana została obudzona przez piastunkę, która powiadomiła ją, że Geoffrey ma kolejny atak. Gdy włożyła zielony szlafrok i wbiegła na schody, atak już minął. Geoffrey leżał spokojnie na łóżku, tylko na jego twarzy widniały kropelki potu. Obok łóżka siedziała Edith, która również w domu Madeline pełniła obowiązki gospodyni, ale ogłosiła się także opiekunką Geoffreya i spała w pokoju przylegającym do jego sypialni, zawsze gotowa do pomocy, jeśli usłyszy niepokojące odgłosy. Chociaż nie można było powstrzymać ataku, rodzona i przybrana matka Geoffreya czuwały, by nie zrobił sobie krzywdy, wijąc się w konwulsjach.

Geoffrey był blady, ale na widok matki usiadł z widocznym wysiłkiem.

- Nie musiałaś wstawać, mamó - powiedział rzeczowym tonem. - To tylko kolejny atak.

Diana uśmiechnęła się. Usiadła na łóżku, oparła się o wezgłowie i otoczyła syna

ramieniem. Mimo początkowych protestów chętnie się do niej przytulił.

- I tak nie mogłam zasnąć, a poza tym mamy teraz pretekst do napicia się kakao.

- To świetny pomysł - stwierdziła Edith z charakterystycznym akcentem mieszkanki Północy. - Zaraz je przyrządzę. - Udała się na dół do kuchni.

Diana dotknęła czoła Geoffreya. Tak jak przypuszczała, było rozpalone. Ataki najczęściej zdarzały się, kiedy miał gorączkę. Teraz, w wieku siedmiu lat, napady epilepsji zdarzały się rzadziej, ale za to były gwałtowniejsze.

- Lepiej, żebyś jutro nie szedł do szkoły.

- Mamo - powiedział z oburzeniem. - Ja bardzo lubię szkołę. Nie chcę zostać w domu.

- Cieszę się, że lubisz szkołę, ale jestem pewna, że jeden dzień dadzą tam sobie radę bez ciebie - powiedziała, starając się nie okazać zaniepokojenia. - Poza tym, jeśli masz gorączkę, mógłbyś mieć kolejny atak w szkole, a to byłoby bardzo kłopotliwe.

Wzruszył wątlymi ramionami z udawaną obojętnością.

- Och, miałem już jeden atak w szkole. Na lekcji łaciny. Pan Hardy kazał mi potem leżeć, ale po jakimś czasie wróciłem do klasy.

- Tak? - Diana uniosła brwi, nieco podenerwowana, że kierownik szkoły jej o tym nie powiadomił.

Przeczuwając reakcję matki, Geoffrey uśmiechnął się figlarnie.

- Zrobiło to wielkie wrażenie na chłopakach z mojej klasy. Chcieli, żebym ich nauczył, jak się to robi.

Po chwili zaskoczenia Diana roześmiała się serdecznie. Wciąż zaskakiwało ją to, jak beztroscy są mali chłopcy.

- I co im powiedziałaś?

- Że nie mają tyle szczęścia co ja, bo żeby to dobrze zrobić, trzeba urodzić się epileptykiem - powiedział z wyższością.

Diana uśmiechnęła się i pogładziła go po jedwabistych ciemnobrązowych włosach. Wprawdzie nie była obiektywna, ale każdy musiał przyznać, że Geoffrey jest ślicznym dzieckiem. Chociaż niski jak na swój wiek, był mocno zbudowany, miał pogodne usposobienie i wyróżniał się inteligencją. Miała nadzieję, że te zalety zrównoważą jego ułomność w oczach ludzi, których spotka w dorosłym życiu.

Po chwili jednak straciła to przekonanie, widząc, że jego niebieskie oczy, tak podobne do jej oczu, przez chwilę wyglądały jak szklane.

Te zaburzenia występowały teraz dość często od czasu, kiedy po raz pierwszy miał napad grand mai. Na parę sekund tracił przytomność i nie był tego świadomy. Jeśli akurat

wtedy coś mówił, po chwili przerwy kontynuował wypowiedź, jakby nic się nie stało.

Mieli dużo szczęścia, że udało im się znaleźć niewielką szkołę pana Hardy'ego, gdzie dzieci uczyły się w atmosferze większej wolności i zrozumienia, niż było to przyjęte gdzie indziej. Dyrektor miał bardzo rzeczowe podejście do problemu Geoffreya - nie był ani zniecierpliwiony, ani nadmiernie zatroskany. Sądząc po tym, jak bardzo syn lubił szkołę, było to właściwe podejście.

Wróciła Edith z tacą, na której stał parujący dzbanek i cztery kubki. Za nią szła Madeline, zawiązując pasek swego szlafroka. Ziewnęła, zakrywając usta dłonią.

- Urządzacie przyjęcie, a mnie nie zapraszacie – powiedziała tonem lekkiej wymówki.

Geoffrey zachichotał, Diana mu zawtórowała. Edith naląła kakao. Następne pół godziny przebiegło rzeczywiście jak na przyjęciu, chociaż niewiele się odzywano. Już nie po raz pierwszy w pokoju dzieciennym odbywało się takie nocne zebranie i bez wątpienia nie było ono ostatnie. Diana nie odrywała wzroku od Geoffreya, który mógł rozlać kakao, gdyby miał dłużej trwający napad, lecz radził sobie doskonale. Czasami ośmielała się mieć nadzieję, że ataki miną mu z wiekiem, ale prawdę mówiąc, byłaby szczęśliwa, gdyby choroba choćby tylko się nie rozwijała.

Gdy skończyli pić kakao, Geoffrey już prawie spał, więc Diana otuliła go kołdrą, pogłaskała po głowie i pocałowała, czując łaskotanie jego rzes na policzku. W takich chwilach kochała go tak bardzo, że czuła niemal ból serca. Popatrzyła na przyjaciółki.

- Dobranoc, Edith. Bardzo ci dziękuję.

Edith obdarzyła ją ciepłym uśmiechem, po czym wróciła do swego pokoju. Już na dole Diana z wahaniem zapytała Madeline:

- Czy mogłabyś zajrzeć do mnie na chwilę, jeśli nie jesteś zbyt senna?

Madeline przyjrzała jej się badawczo.

- Oczywiście. Czy coś się stało?

- Nic takiego, ale chciałabym chwilę porozmawiać.

W salonie Diana zapaliła kilka świec w świeczniku i podeszła do okna. Odchyliwszy zasłony, spojrzała na Charles Street.

- Zaprosiłam St. Aubyna na jutrzejszy wieczór... to już chyba jest dzisiaj.

Madeline usiadła na szezlongu i podkurczyła nogi, wsuwając poły szlafroka pod stopy.

- Jesteś pewna, że już do tego dojrzałaś? Nie sprawiasz wrażenia uszczęśliwionej tym faktem.

Diana odwróciła się od okna, zasłony opadły.

- Nie jestem nieszczęśliwa... tylko zdenerwowana.

Madeline przyjrzała się jej uważnie.

- Nie musisz tego robić, jeśli myśl o tym cię przeraża. Nie miałaś przecież czasu, by dobrze poznać St. Aubyna.

Diana wzruszyła ramionami i rozłożyła ramiona.

- Znam go tak, jak wiele dziewcząt zna swoich mężów w czasie nocy poślubnej, a mam tę przewagę, że nie jestem niedoświadczoną dziewczicą. Wprawdzie moje doświadczenie jest bardzo niewielkie, ale przynajmniej nie boję się nieznanego.

- W takim razie co cię gryzie?

Diana usiadła w fotelu; podciągnęła nogi pod brodę i objęła je ramionami.

- Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że chodzi o... - zawahała się, szukając odpowiednich słów - mój melancholijny nastrój. To wszystko wydaje się takie... mało romantyczne, bardzo dalekie od dziewczęcych marzeń. - Uśmiechnęła się z goryczą. - Pewnie to znasz: piękny księżę i miłość aż po grób. Wszystkie jesteśmy wychowywane tak, że tego oczekujemy, a prawie żadna z nas tego nie otrzymuje.

- Jesteś bardzo romantyczna, Diana - odpowiedziała łagodnie Madeline. - Chciałabyś kochać St. Aubyna, a go nie kochasz. Ale skoro tak jest, to dlaczego chcesz, by znalazł się w twoim łóżku? Nie musisz tego robić dla pieniędzy.

Diana uśmiechnęła się przekornie.

- Mimo że go nie kocham, uważam, że jest atrakcyjny. Bardzo atrakcyjny.

- No cóż, jeśli chcesz koniecznie uczynić postęp w tej sprawie, dokonałaś dobrego wyboru - przyznała Madeline. - Sprawia wrażenie człowieka, który wie, co należy robić w sypialni.

Diana zaczerwieniła się, a Madeline przypomniała sobie, że mimo swej dojrzałości dziewczyna jest praktycznie niewinna. Cóż, to się zmieni, i to zapewne już wkrótce. Przeciągnęła się sennie.

- No, czas, żebym położyła się do łóżka. Osiągnęłam już taki wiek, że najlepiej lubię spać sama.

Diana zachichotała, a Madeline ruszyła do wyjścia. Trzymając już dłoń na gałce, odwróciła się.

- Naprawdę jesteś pewna, że podjęłaś właściwą decyzję?

Trudno było dostrzec wyraz twarzy Diany w świetle świec, ale w jej głosie słychać było determinację.

- Och, to jedyna rzecz, jakiej naprawdę jestem pewna. Zawsze mam mnóstwo

wątpliwości, ale jestem przekonana, że wybierając Gerwazego Brandelina na swego kochanka, dokonuję najlepszego wyboru pod słońcem.

Diana zmusiła się do tego, by nie stać w oknie jak podekscytowany dzieciak. Była za pięć dziesiątą, a zdążyła się już przekonać, że lord St. Aubyn jest bardzo punktualny. Kiedy nadjedzie, lokaj zaprowadzi go do jej pokoi, a potem... a potem...

Bezwiednie zaciskała ręce w pięści i była tak zdenerwowana jak siedemnastoletnia dziewczica w noc poślubną. Włożyła już gąbkę nasączoną octem, co, jak uczyła ją Madeline, było najlepszą metodą zapobiegania ciąży. Miała na sobie delikatnie prowokującą suknię z przezroczystego jedwabiu, mieniającą się błękitem i doskonale komponującą się z kolorem jej oczu. Jej włosy były luźno upięte na karku, tak że rozsypywały się na ramiona już po wyjęciu zaledwie dwóch szpilek. Przygotowała też pokój tak, żeby stwarzał erotyczną atmosferę, nie przekraczając jednak granic dobrego smaku. Noc była chłodna; ogień tryskał wesoło w kominkach w salonie i przylegającej do niego sypialni, w której z trudem można było dostrzec masywne łoże z baldachimem. Madeline pomogła jej we wszystkim, po czym wycofała się, zadowolona, że jej podopieczna jest należycie przygotowana.

Dianie udało się przekonać Maddy, że jej niepokój nie przekracza normy, lecz teraz musiała przyznać przed samą sobą, że jest przerażona. Chociaż przeczucia mówiły jej, że należy działać, choć St. Aubyn traktował ją bardzo uprzejmie, myśl o tym, że ma mu zaufać, przyprawiała ją o drżenie i gwałtowne bicie serca.

Powróciła myślami do nocy na wrzosowiskach, kiedy to zdecydowała się zostać kurtyzaną. Prawdę mówiąc, gdyby wtedy wiedziała, że przyszłość wiąże się z poznaniem Gerwazego Brandelina, nigdy nie wyjechałaby z Yorkshire. Lecz było już za późno, by się wycofać; łącząca ich więź była silniejsza niż jej wola.

I gdy powróciły lęki z przeszłości, ciszę panującą w domu przerwało pukanie do drzwi. Jej nerwy były napięte jak świeżo nastrojone struny fortepianu. Wzdrygnęła się, po czym popatrzyła na złożony zegar na kominku. Była za dwie dziesiątą... albo zegar się późnił, albo jego lordowska mość był niecierpliwy.

Nie minęła minuta, kiedy rozległo się pukanie do drzwi jej pokoju. Teraz, kiedy nadeszła ta chwila, wszystkie obawy nagle się rozwiały. Otworzyła drzwi. Przez chwilę jedynie patrzyli na siebie, powietrze wydawało się wibrować od napięcia pomiędzy nimi.

Gerwazy miał na sobie granatowy frak i dopasowane spodnie, ubranie obowiązujące przedstawicieli jego sfery, lecz doskonały krój, zgrabna sylwetka i intrygująca osobowość składały się na niepowtarzalną wytworność, którą prezentował z wielką naturalnością. Ze swą poważną, urodziwą twarzą był jak dumny, piękny sokół, budził lęk męską siłą.

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. Nagle wszystko stało się proste. Przyjęła podaną dłoń i zaprosiła go do środka. Zamknęła drzwi. Zanim zdążyła się odwrócić, Gerwazy mocno przyciągnął ją do siebie i nakrył jej usta w gwałtownym pocałunku. Sądząc po jego napiętych mięśniach, nie potrzebował wstępnych pieszczot. Na chwilę znów ogarnęła ją panika. Pod wieloma względami wciąż był dla niej obcy, a chociaż nie pozostawała obojętna na jego pożądanie, potrzebowała więcej czasu. Wiedziała, że jeśli wszystko stanie się zbyt szybko, będzie zbyt onieśmielona i spięta, by przekonać go, że jest doświadczoną kurtyzaną.

Odsunęła się, kładąc palec na ustach.

- Nie musimy się tak śpieszyć, milordzie - powiedziała łagodnie.

Uśmiechnął się, mrużąc oczy.

- Przepraszam. Wiem, że jestem zbyt niecierpliwy, ale myślałem o pani cały dzień. I całą ostatnią noc. - Położył ręce na jej ramionach i zaczął je delikatnie ugniatać. Czowała, że opuszcza ją zdenerwowanie, lecz zaraz pojawił się inny rodzaj napięcia.

- Prawdę mówiąc, odkąd panią spotkałem, rzadko udawało mi się myśleć o czymś innym. - Przesunął dłońmi po szyi i wsunął ręce w jej włosy. Natychmiast odnalazł szpilki i wyjął je. Gęste kasztanowe pukle swobodnie opadły na ramiona.

- Tak... tak właśnie cię sobie wyobrażałem. - Pochylił się i zaczął całować jej szyję przez pasma włosów. Diana rozkoszowała się tym doznaniem, zdumiona, że tak mocno reaguje na ten delikatny dotyk.

Nadszedł czas na wprowadzenie w życie swego planu. Poglądziła jego ciemne włosy.

- Gerwazy, chciałabym pana o coś poprosić.

Znieruchomiał; przemknęło mu przez myśl, że wybrała wyjątkowo nieodpowiedni moment na omówienie spraw finansowych. Mogła jednak poruszyć ten temat, jako że ich znajomość miała przecież charakter wymiany usług. Trudno było mu jednak myśleć o czymś innym niż jej uroda. Prezentowała się wspaniale w sukni z przezroczystego jedwabiu, pod którą dostrzegał urocze krągłości jej ciała. Cofnął się o krok, wyjął z kieszeni aksamitne pudełko i wręczył Dianie. Otworzyła je i głęboko zaczerpnęła tchu, tak jak sobie wyobrażał, kiedy o tym marzył. Wisior z szafirów był wspaniały, klejnoty mieniły się w misternej oprawie. Poświęcił sporo czasu na wybór prezentu, który musiał być na tyle kosztowny, by gotowa była poświęcić Gerwazemu swój czas.

- Mają barwę twoich oczu, chociaż są mniej błyszczące.

- Jaki piękny! Nigdy nie miałam takiego... - Nieśmiało uniosła wzrok. - Czy mogę go włożyć?

Wyjął wisior z pudełka i zapiął łańcuszek z tyłu jej szyi, uważając, by nie szarpnąć

delikatnych włosków. Podeszła do dużego lustra między oknami, pieszczotliwie dotykając ręką klejnotów. Gerwazy stanął za nią, ich spojrzenia spotkały się w zwierciadle.

- Dziękuję. Jest bardzo piękny. Dokonał pan dobrego wyboru.

Miała pieszczotliwy, intrygujący głos. Pomyślał z przekąsem, że kosztowne prezenty mają magiczny wpływ na kobiety.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedział i odgarnął jej włosy, by zdjąć wisior. Kiedy popatrzyła na niego pytająco, uśmiechnął się. - Będzie przeszkadzał... to może boleć.

Skinęła głową. Włożył wisior do pudełka i położył na stoliku. W świetle świec jego oczy wydawały się prawie czarne.

- Ale, prawdę mówiąc, nie o tym chciałam z panem rozmawiać.

Mimo że była opanowana, wypowiedziała te słowa z wahaniem, a splecione dłonie zdradzały napięcie. Zdziwił się, że kobieta jej profesji podlega takim emocjom.

- Może pomyśli pan, że to głupie, ale... kochankowie mają tylko jeden pierwszy raz. - Kiedy patrzyła na niego, na jej dziewczęcej buzi malowało się skupienie. - Chciałabym, żeby dzisiejsza noc była wyjątkowa.

Objął jej szczupłą talię.

- Obiecuję, że taka będzie.

Uśmiechnęła się, lecz jej wzrok pozostał poważny.

- Jest tyle sposobów kochania się... ale najważniejsze jest to, co się dzieje tutaj - przyłożyła dłoń do czoła - i tutaj - położyła rękę na sercu.

Starannie dobierając słowa, tak jakby wypowiadała wcześniej przygotowaną kwestię, ciągnęła:

- Chciałabym, żebyśmy dzisiejszego wieczoru udawali, że jesteśmy młodymi kochankami, którzy mają zamiar kochać się po raz pierwszy. Będę grała rolę dziewicy, a pan - mężczyzny, który wprowadza ją w tajniki gry miłosnej.

Pogładziła go po policzku.

- W pewien sposób jest to prawda, ponieważ to jest nasz pierwszy raz, więc dlaczego nie mielibyśmy oddać się tej fantazji? Wyobraźmy sobie, przez godzinę lub dwie, że świat to bardzo miłe miejsce, gdzie możemy na nowo odkryć urok pierwszej miłości i budzenia się namiętności.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech niosący obietnicę.

- A najlepsze w tym wszystkim będzie to, że przeżyjemy te cudowne chwile bez obaw i niezręczności, które tak krępują prawdziwie niewinnych.

Gerwazy zawahał się. Chociaż niespieszne przeżywanie namiętności zwiększało

przyjemność, udawanie wydawało mu się zbędne. Diana była tak wspaniała, że nie potrzebował dodatkowych podnieć, by zwiększyć pożądanie. Lecz przyjrząwszy się jej zaniepokojonej twarzyczce, na której malowała się nadzieja, doszedł do wniosku, że przyjęcie takiej roli nie będzie zbyt trudne. Kobiety różnią się od mężczyzn i jeśli taka zabawa miała sprawić jej radość, bez przykrości spełni jej prośbę. Patrząc na jej twarz madonny i podziwiając jej subtelność, łatwo mógł ją sobie wyobrazić jako dziewicę wkraczającą do królestwa miłości, a ponieważ była już kobietą doświadczoną, nie musiał się obawiać, że ją zrani.

Nagle jej pomysł wydał mu się doskonały i podzielał pobudzająco. Uśmiechnął się.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Ponieważ nie mam tak romantycznych doświadczeń, będę musiał się chwilę zastanowić, od czego mam zacząć. - Położył ręce na jej ramionach i zaczął pieścić je delikatnie. - Myślę, że powinniśmy zacząć od rozmowy - powiedział po chwili namysłu - najlepiej przy kieliszku wina. Ma pani wino?

Popatrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem.

- Czy może być brandy, milordzie?

- Doskonale. - Kiedy podeszła do stolika, na którym stały karafka i kieliszki, dodał: - Przede wszystkim chciałbym, żebyśmy zaczęli mówić sobie po imieniu. Tytułowanie stwarza niepotrzebny dystans.

Uważnie nalała brandy na wysokość trzech palców.

- Dobrze... Gerwazy.

Nie zdawał sobie sprawy, jak dźwięcznie może brzmieć jego imię. Nie zdążyła jeszcze nalać brandy do drugiego kieliszka, kiedy wyjął z jej ręki karafkę, włożył zatyczkę i odstawił na stolik.

- Potrzebny nam będzie tylko jeden. Czas już chyba na to, żebyśmy poczuli się swobodniej. - Zdjął frak i krawat i przewiesił je przez poręcz fotela. Pod białą koszulą, którą miał na sobie, rysowały się jego szerokie ramiona kontrastujące z wąskimi biodrami i talią. Tam, gdzie koszula była rozchylona, przy szyi, widać było kręcone ciemne włosy.

Uniósłszy kieliszek, poprowadził ją ku kanapie, delikatnie obejmując dłonią plecy. Usiedli blisko siebie, nie dotykając się jednak. Podał jej brandy. Wypiła łyk, nie spuszczać oczu z Gerwazego, po czym oddała mu kieliszek. Obrócił go tak, by pić z miejsca, gdzie dotykała go ustami.

- Zaczniemy powoli.

Nie od razu połknął brandy, smakując alkohol dłuższą chwilę, a następnie przystawił kieliszek do warg Diany, przechylając go tak, by mogła z niego pić.



- Radzę ci wypić tyle, żebyś się odprężyła, ale nie aż tyle, żeby poczuć się źle lub nie wiedzieć, co robisz.

Patrzył, jak przełyka. Nigdy nie zauważał ruchu szyi przy połykaniu, który teraz podziałał tak silnie na jego zmysły. Wypił jeszcze odrobinę brandy, wyciągnął rękę i zaczął bawić się jej włosami, przeczesując ciemne błyszczące pasma.

- Wtedy ci powiem, jaka jesteś piękna.

- A mam ci uwierzyć? - zapytała z uśmiechem.

- Gotów jestem przysiąc na wszystkie Biblie świata. - Wsunął kieliszek w jej dłoń i zaczął obwodzić palcem opisywane części jej ciała. - Będę wysławiał twoje oczy w kolorze wieczornego nieba, twoją aksamitną skórę, twoje rubinowe wargi.

Diana uśmiechnęła się przekornie.

- Czy kochankowie nigdy nie używają bardziej oryginalnych przenośni?

Zachichotał.

- Wątpię. Gdyby tak robili, byliby poetami. Kochankowie zwykle bardziej są zajęci sobą niż wymyślaniem oryginalnych określeń. - Wypił znów łyk, nie wiedząc już, czy ogień, który w nim płonął, zawdzięczał brandy czy swemu pożądaniu. - Ponieważ jesteś młoda i niewinna, chciałbym uniknąć mówienia o twoich wspaniałych piersiach, szczupłej talii, przyprawiającej o zawrót głowy, i krągłych, zapraszających biodrach.

Wodził palcem po wzmiankowanych częściach ciała. Diana czuła, że jej rumieniec przybiera na sile.

- To dobrze, że o tym nie wspominasz. Skromna dziewczyna uznałaby takie słowa za zbyt dosadne.

- Myślę, że nadszedł już czas, żeby wykorzystać brandy w inny sposób. - Odsunął szal narzucony na suknię, odsłaniając tym samym głęboki dekolt i wyłaniające się z niego krągłości. Zanurzył palec w kieliszku i przesunął nim od zagłębienia szyi ku urocemu przedziałkowi między piersiami, po czym pochylił się i całował oznaczoną brandy ścieżkę gorącymi, mocnymi wargami.

Kiedy dotarł do dekoltu, Diana zadrżała i gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Niewinna dziewczyna byłaby tym bardzo zaskoczona. - Urwała, lecz zaraz dodała: - Ale nie byłoby to nieprzyjemne zaskoczenie. Wprost przeciwnie.

Uniósł głowę i uśmiechnął się. Jego usta znajdowały się blisko jej ust, oczy patrzyły na nią z rozbawieniem. Głęboki ton jego głosu brzmiał jak pieszczota.

- W takim razie wycofam się na chwilkę, żebyś mogła się oswoić. Ale nie będę długo czekał.

Pochylił się nad nią. Tym razem pocałunek nie był tak gwałtowny jak tuż po wejściu do pokoju, lecz niespieszny i nastawiony na smakowanie jej ust i ich ciepłego wnętrza.

Mając tak wiele do nauczenia się tylko w dziedzinie pocałunków, Diana zastanawiała się, czy starczy jej życia na poznanie wszystkich pozostałych subtelności miłosnej sztuki. Nie musiała już dłużej walczyć o zachowanie równowagi, jako że dotykała plecami oparcia kanapy. Wsunęła dłonie w gęste włosy Gerwazego.

Po długo trwającym uścisku Gerwazy odchylił się i uśmiechnął, odgarniając figlarny lok z jej policzka.

- Niewinna dziewczyna nie umiałaby tak doskonale się całować.

Jak dotąd radziła sobie całkiem nieźle. Była przekonująca w swojej roli i nawet jeśli miała jakieś wątpliwości, to ciało wydawało się wiedzieć, co ma robić. Roześmiała się cicho.

- Myślę, że nawet jako niewinni kochankowie całowanie mielibyśmy już za sobą.

- Mmm, masz rację. - Zdjął z jej sukni szal, który spłynął na poduszki. Stanik sukni skrywał jej piersi, lecz jedwab był tak cienki, że dostrzegł ciemniejsze aureole sutków.

Oddychając chrapliwie, pochylił się i objął wargami jej prawą pierś. Pocałunek był tak gorący, że czuła go przez cienki materiał sukni. Prawą ręką objął lewą pierś i delikatnie ją pieścił. Ten podwójny atak dostarczył jej mocnych i niezwykle przyjemnych wrażeń. Zesztywniała, mając wrażenie, że płonie w niej ogień. Kiedy pochylił się jeszcze niżej, jęknęła głucho.

Ciężko dysząc, Gerwazy wstał, chwycił ją w ramiona i uniósł, mocno przyciskając ją do siebie.

- Od tej pory to ja będę decydował, czy jesteś gotowa do następnego etapu. - Jego głos drżał. Gdy zarzuciła mu ręce na szyję, pochylił się, by sam ją pocałować. Mocno, bez wysiłku trzymał ją w muskularnych ramionach, a pocałunek trwał przez całą drogę do drzwi i do łóżka.

Położył ją i przysiadł na krawędzi. Gładził krągłości jej rozgrzanego ciała przez chłodny materiał sukni. Diana leżała, opierając się o poduszki. Trzymała go za rękę; biel jej skóry kontrastowała z jego ciemną karnacją. Mogłaby być pasterką oddającą się ukochanemu na Polach Elizejskich, gdzie nieznane były lęk i zdrada. W jej niebieskich oczach krył się jednak pewien niepokój, który zapewne czułaby niewinna dziewczyna, pragnąca, ale i obawiająca się aktu całkowitej bliskości.

Na stoliku przy łóżku płonął pięcioramienny świecznik. Lekko drżącą ręką Gerwazy zaczął po kolei gasić świece.

- A teraz - powiedział dziwnie nieswoim głosem - musimy je zgasić, żeby nie urazić

twojej dziewiczej skromności. – Zgasiwszy cztery, zawahał się. - Ale myślę, że w tym momencie odejdę od scenariusza. Przystępstwem byłoby ukrywanie twojej urody w całkowitych ciemnościach.

Paląca się świeca wystarczała, by oświetlić pokój. Niebieskie oczy Diany wyrażały bezbronność i oddanie, wydawały się zachęcać do wkroczenia w nieznaną mu sferę ciepła i przychylności. Rozchyliła usta, a szybkie opadanie i unoszenie się piersi świadczyło o jej podnieceniu. Podciągnęła jedną nogę. Pod spódnicą dostrzegł intrygujące światłocienie.

Wpatrując się w jej oczy, Gerwazy doświadczył nagle nieznanego mu dotąd uczucia. Nigdy jeszcze nie był zakochany, a jego jedyne doświadczenie z dziewczicą śniło mu się w najkoszmarniejszych snach, lecz bardzo silnie reagował na fantazje Diany. Jej delikatne zmysłowe piękno trącało w nim romantyczną stronę duszy, ukrytą tak głęboko, że nikt nie wiedział o jej istnieniu, i gwałtownie zapragnął, by również w życiu wszystko można było zacząć od nowa.

Chwycił jej głowę w dłonie i wpił się w usta z namiętnością wykraczającą poza sferę fizyczności. Pierwszy raz w życiu miał ochotę odrzucić pęta winy i wyobrazić sobie, że jest godny miłości. Było to niemożliwe, lecz miał ochotę przez chwilę oddać się marzeniom.

- Boże, Diano, nie pozwól, żebym kiedykolwiek cię zranił - wyszeptał namiętnie i czule. - Jesteś taka piękna.

Objęła go, a on pochylił się do pocałunku, który rozpałił ich oboje, i jedynie myśl o tym, że mają na sobie za dużo ubrań, sprawiła, że uwolnił ją i wyprostował się. Rozpiął rękawy mankietów, a ona zaczęła rozpinać mu koszulę.

- Czy nie zachowuję się zbyt śmiało w swojej roli? - zapytała szeptem, gładząc jego obnażoną pierś pokrytą sprężystym czarnym owłosieniem.

- To możliwe - szepnął Gerwazy - ale proszę cię, nie przerywaj. - Był zdumiony, że tak delikatne pieścizny potrafią tak go podniecić.

Na jej twarzy odmalowało się zadowolenie z jego reakcji. Z najwyższym trudem zmusił się do tego, by wstać i zdjąć z siebie resztę ubrania, zostawiając je w bezładnej stercie na podłodze.

Wsunął dłoń pod jej uda, by unieść ją i zdjąć z niej suknię. Nareszcie mógł ją podziwiać w całej krasie nagości. Była tak piękna, że poczuł zadowolenie, iż nie zgasił świecy. Taki widok zasługiwał na to, by go podziwiać.

Usiadł obok niej, położył nogę na jej nodze, i zaczął pieścić jej uwolnione piersi. Twardość jej brodawki mile drażniła jego język. Upewniwszy się, że nie będzie w stanie pobudzić jej bardziej, uniósł głowę.

- Nie chcę, żeby jakakolwiek część twojego ciała czuła się zaniedbana - mruknął i skupił uwagę na drugiej piersi.

- Ty też jesteś bardzo przystojny - powiedziała Diana prawie szeptem, gładząc go po szerokim torsie, badając przez skórę mięśnie i kości oraz dotykając wypukłych blizn wojennych. Nie miał w sobie ani odrobiny zbędnego ciała, był zgrabny i silny. Przesuwając dłonią po jego głowie i ramionach, zaczęła bezwiednie poruszać biodrami.

Niecierpliwie ugniatał i pieścił jej talię i brzuch, a potem dotknął jedwabistego trójkąta włosów na podbrzuszu. Pocałował ją w usta i w tej samej chwili delikatnie wsunął palce we wrażliwe, ukryte miejsce. Znieruchomiała, a jej przyspieszony oddech podziałał na niego tak, że był bliski uwierzenia w to, że Diana jest tak niewinna jak dziewczica z jej wyobrażeń.

- Rozluźnij się - powiedział szeptem, przejęty swoją rolą. – Nie będziemy się śpieszyć. Zaczekam tak długo, jak będziesz chciała.

Cofnął rękę i zaczął pieścić wewnętrzną stronę ud, czekając, aż otworzy się, by go przyjąć.

Przywołał na pamięć wszystkie swoje umiejętności, by ją przygotować, a kiedy była już gorąca i wilgotna, wsunął się pomiędzy jej nogi i wszedł w nią bardzo wolno i delikatnie. Udawała dziewicę tak przekonująco, że był niemal zaskoczony, iż nic nie hamowało mu wstępu.

Diana gwałtownie zaczerpnęła tchu i zacisnęła się wokół niego z tak cudowną słodyczą, że musiał użyć całej siły woli, by natychmiast nie osiągnąć spełnienia. Znieruchomiał, wsparty na łokciach, by nie przygniatać jej swym ciężarem. Przypomniawszy sobie, że odgrywają określone role, opanował się z wysiłkiem.

- A teraz pozostanmy tak nieruchomo, żebyś przyzwyczała się do tego, że jest w tobie mężczyzna - powiedział z uśmiechem - i żebym się uspokoił.

Diana zadrżała z rozkoszy i uniosła biodra, chcąc jak najpełniej się z nim zespolić. Po chwili zaczęła nimi poruszać, by zwiększyć siłę doznań. Pomyślała, że zanim wypełnił ją sobą, była w niej jakaś straszliwa pustka. Teraz nie mogła nasycić się nowymi wrażeniami. Gerwazy gwałtownie wciągnął powietrze.

- Ostrzegam cię, nie rób tego, chyba że chcesz, żeby zaraz było po wszystkim.

Diana znieruchomiała.

- Och, nie, jeszcze nie, nie chcę, żeby to się skończyło - wyszeptala, ciemne włosy opadły Gerwazemu na czoło. Dostrzegła pot na jego twarzy i torsie. Nie przypuszczała, że jego surowa twarz może przybrać tak szczery wyraz. Pogłaskała go po policzku i szyi.

Dotyk jej dłoni wzmógł jego podniecenie tak, że potrzebował czasu, by się opanować.

Dopiero zyskawszy pewność, że jest w stanie się kontrolować, zaczął się w niej poruszać, zagłębiając się coraz mocniej. Starał się robić to jak najdelikatniej.

- A teraz proszę cię, żebyś poruszała się razem ze mną, napierała na mnie, byśmy mogli odnaleźć wspólny rytm.

Spełniła jego prośbę. Pograżał się w niej coraz to głębszymi i mocniejszymi pchnięciami, cały czas się jej przyglądając, by nie przeoczyć żadnego z uczuć malujących się na jej twarzy.

Jęknęła i zamknęła oczy, chcąc całkowicie oddać się ogarniającej ją rozkoszy. Mimo iż wysłuchiwała wielu opowieści Madeline, nigdy nie wyobrażała sobie, że miłość fizyczna może być tak wspaniała. Przytuliła go do siebie tak mocno, jak tylko było to możliwe, wpiła paznokcie w jego plecy i idealnie dopasowała się do jego rytmu mocnymi pchnięciami bioder.

- Proszę, Gerwazy, proszę... - powtarzała, gdy rozkosz stała się tak wielka, że aż nie do zniesienia. Nie umiałyby powiedzieć, o co prosi. I kiedy nie była już w stanie dłużej czekać, jej ciało ogarnęła fala spazmatycznych skurczów. Krzyknęła równocześnie z nim, gdy pograżył się w niej głęboko, osiągnął spełnienie i stali się jednością.

Leżeli ciasno spleceni, a ciszę przerywały jedynie ich głębokie, nieregularne oddechy. Diana mocno obejmowała Gerwazego, nawet teraz nie chcąc go puścić. Czowała lzy spływające jej po policzkach.

Uniósł głowę i wsparł się na łokciu. Poczwała, że ociera jej lzy.

- Bolało?

Pokręciła głową i otworzyła oczy. Uśmiechnęła się do niego.

- Nie, ani trochę. Tylko że to było takie... takie wspaniałe. Płacę za każdym razem, kiedy mnie coś głęboko porusza, niezależnie od tego, czy jestem szczęśliwa czy smutna.

Położył się na boku i przytulił ją mocno do siebie, by pozostali złączeni. Pogłaskał ją po głowie.

- Jeszcze nigdy nie przeżyłem czegoś takiego. Twoja propozycja była wspaniała. Nadała zupełnie nowy wymiar temu, co robiliśmy. - Zachichotał. - Byłaś bardzo przekonująca. Nietrudno było mi uwierzyć, że jesteś niewinna... aż do samego końca.

- Och! - Zastanawiała się, czy coś ją zdradziło. - Czyżbym źle odgrywała swą rolę?

- Powiedziałbym raczej, że zapomniałaś ją odegrać i zareagowałaś zupełnie nie tak jak dziewczyna. - Złożył delikatny pocałunek na jej czole. - Myślisz, że będziesz musiała udawać, że jest ci ze mną dobrze?

Diana roześmiała się i wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia. Madeline straciła dużo czasu na wyjaśnianie jej cech męskiej natury, dużo uwagi poświęcając próżności i

pewności siebie.

- Widzę, Gerwazy, że jesteś bardzo zadowolony ze swoich poczynań - droczyła się.

Rozbawiony, zmrużył oczy.

- Dobrze to ujęłaś.

Diana roześmiała się tak serdecznie, że ich ciała rozdzieliły się, pozostawiając ją z poczuciem utraty.

- Trzeba mieć duży talent, żeby umieć prawić złościwości w żartach.

Uśmiechnął się i okrył ją kołdrą. Ogień w kominku dogasał, więc zrobiło się chłodno, czego wcześniej zupełnie nie zauważyli. Diana była zachwycona, że leży obok Gerwazego z głową wtuloną w jego ramię, obejmując go w pasie. Gerwazy... jej kochanek. Jakiego cudownego znaczenia nabrało dla niej to słowo. Raz jeszcze intuicja jej nie zawiodła. Wcześniej przerażała ją myśl o współżyciu i tylko wiara w to, że są sobie przeznaczeni, spowodowała, że jakoś zdołała go zaakceptować.

Teraz jej obawy rozwiały się jak mgła na wrzosowiskach, i to nie tylko dlatego, że zostały wyparte przez namiętność. Oprócz pożądania zauważyła w Gerwazym cechy, które sprawiały, że czuła się przy nim spokojnie i bezpiecznie. Była w nim jakaś dobroć, która rozbrajała jej gniew. Otarła się o niego z westchnieniem. Wciąż dzieliły ich mroczne tajemnice, lecz tej nocy rozpoczęli wspólną podróż, która z czasem z pewnością zaprowadzi ich ku światłu.

- Wciąż jeszcze nie ustaliliśmy, jak mam cię wynagrodzić - powiedział, gdy leżeli nieruchomo. - Jeśli ofiarowując mi ten raz, chciałaś podnieść cenę, to muszę powiedzieć, że to ci się udało. - Położył się na boku, uniósł na łokciu i zaczął bawić się jej długimi włosami. W słabym świetle sprawiały wrażenie czarnych i tylko gdzieś tam mieniły się kasztanowo. - Czy chcesz, żeby wszystkie twoje rachunki były kierowane na mój adres? A może wolisz otrzymywać regularne uposażenie, na przykład trzysta funtów miesięcznie? - Układał jej włosy na poduszce, tworząc z nich różne wzory.

Dianę zirytowała jego pewność siebie. Złożył jej szczodłą propozycję, ale... czy naprawdę przypuszczał, że po udanej nocy natychmiast będzie spełniać wszystkie jego życzenia? Co dziwne, gotowa była uznać jego pewność siebie za uzasadnioną, ale nie miała zamiaru go o tym powiadamiać. Postanowiła trochę się z nim podroczyć.

- Czy musimy traktować to tak formalnie? Wolałabym, żebyś robił mi prezenty. Zaskakiwał mnie. Jeśli uda mi się ciebie zadowolić, a ty zapłacisz uczciwą cenę, to wszystko będzie w jak najlepszym porządku.

Zmarszczył czoło, a jego ciemne brwi ściągnęły się w wąską kreskę. Popatrzył na nią.

Uczucie bliskości ulatywało.

- Wolałbym, żeby wszystkie sprawy zostały ustalone.

- Nie jestem „sprawą do ustalenia”, milordzie. - Diana zatrzepotała rękami, jakby to, co powiedział, nie mieściło jej się w głowie. – Czy nie zdążyłeś się nauczyć, że z ludźmi należy postępować bardzo umiejętnie, bo inaczej będą doprowadzać cię do szału?

Parsknął, odczuwając poirytowanie i rozbawienie.

- Chcę mieć kochankę, a nie filozofkę.

- Masz obie oraz tysiąc innych rzeczy. Jeśli to cię nie zadowala, możesz znaleźć sobie inną.

- Pewnie z czasem tak zrobię, Dianio. Ale jeszcze nie teraz. - Objął dłonią jej pierś i kolistymi ruchami zaczął drażnić sutek. Pocałował ją w usta. - Zdecydowanie jeszcze nie teraz.

Diana wstrzymała oddech, ze zdumieniem uświadamiając sobie, że znów jest pobudzona, tak jakby jeszcze było jej mało na jedną noc. Po chwili, czując zwiększający się nacisk na swoje udo, upewniła się, że wcale nie ma dosyć i że to samo najwyraźniej można powiedzieć o Gerwazym.

- Jeszcze raz odejdę od scenariusza - wyszeptał. - Gdybyś rzeczywiście była dziewicą, dżentelmen powstrzymałby się od ponownego współżycia w tak krótkim czasie. Na szczęście nie jesteś nią, więc nie muszę zachowywać się jak dżentelmen.

Diana przekonała się, że przyjemność może być jeszcze większa, gdy wiadomo już, czego należy oczekiwać. Tym razem kochali się dłużej i nie tak gwałtownie jak za pierwszym razem. Gerwazy doprowadzał ich oboje na krawędź rozkoszy, po czym się wycofywał. Przedłużające się napięcie doprowadziło w końcu do długiego szczytowania, trochę różniące się od poprzedniego, lecz równie intensywne.

Już po wszystkim Diana leżała z głową na piersi Gerwazego, powoli wracając do rzeczywistości. Jej włosy nakrywały ich jak welon. Pomyślała, że jeśli sprawy dalej potoczą się w takim tempie, wkrótce nie będzie mogła narzekać na brak doświadczenia. Gerwazy obejmował ją za szyję, lecz leżał tak nieruchomo, że zastanawiała się, czy przypadkiem nie zasnął. Z chęcią oddałaby się marzeniom, jednak wolała tego nie robić. Z wysiłkiem uniosła się tak, że mogła mu się przyjrzeć.

- Gerwazy?

- Tak? - Otworzył oczy. Patrzył na nią dziwnie, lecz nie była w stanie powiedzieć, co kryło się w jego wzroku. Zadowolenie? Satysfakcja? Wątpliwości, a może nawet strach? Diana zazwyczaj doskonale wyczuwała nastroje innych, ale tym razem nagromadzenie uczuć

było tak wielkie, że nie była w stanie ich określić. Pomyślała, że chociaż seks pod wieloma względami jest bardzo prosty, to natura Gerwazego jest bardzo złożona.

- Myślę, że powinieneś już iść. Jest bardzo późno.

Poczuła, że zeszytywniał. Czyżby spodziewał się, że pozwoli mu tu zostać? Madeline mówiła, że niektórzy mężczyźni lubią spać ze swoimi kochankami, inni znów nie; była to kwestia indywidualnych upodobań.

- Dobrze, że mi o tym przypomniałaś - odezwał się chłodnym, bezosobowym tonem, dziwnie kontrastującym z bliskością ich nagich ciał. - Ja też wolę spać sam.

Jeśli była to prawda, to dlaczego odniosła wrażenie, że jest zły, iż poprosiła go o opuszczenie domu? Chociaż nigdy jeszcze nie spędziła nocy z mężczyzną, nie miała wątpliwości, że cieszyłaby ją bliska obecność Gerwazego, możliwość leżenia obok jego ciepłego, silnego ciała. Lecz czasami Geoffrey przychodził do niej wcześniej rano i nie chciała ryzykować, że zostanie w jej łóżku mężczyzną.

- Jakie są inne twoje reguły? - zapytał Gerwazy, wkładając spodnie.

Chociaż martwił ją jego nastrój, nic nie mogła na to poradzić.

Nieznacznie uniosła podbródek.

- Zawsze powiadamiaj mnie wcześniej, że zamierzasz przyjść.

- Żebyś mogła wygonić z łóżka innych kochanków? - zapytał nieprzyjemnym tonem, wkładając pomietą koszulę.

- Jeśli koniecznie tak chcesz to ująć. - Diana wstydziła się wyjść nago z beładnie porozrzucanej pościeli, lecz skromność wydawała się nie na miejscu po tym, co zaszło między nimi. Szybko wstała i przyniosła z salonu jedwabny szlafrok. Miała odprowadzić Gerwazego na dół.

Staął naprzeciwko niej. Stalowe spojrzenie szarych oczu, jego wzrost i szerokie bary podziały na nią onieśmielająco. Nie mogła uwierzyć, że tak niedawno byli sobie tak bliscy. Choć była przerażona, nie dała tego po sobie poznać i nie opuściła wzroku.

- Postaraj się zrozumieć, że mam swoje życie poza... pracą. Mogę być poza domem, mogę też być zajęta czymś ważnym i woleć, żeby mi wtedy nie przeszkadzano. Myślę, że będzie wygodniej dla nas obojga, jeżeli będę na ciebie czekać.

Jej logiczna odpowiedź wydawała się go zadowalać. Przeszedł przez pokój, włożył frak i schował krawat do kieszeni. O tej porze miał niewielkie szanse spotkania kogoś, kto krytycznie oceniłby jego ubiór.

Diana uniosła świecznik, zeszła na dół i odryglowała drzwi. Pozostali domownicy już od dawna byli pogrążeni we śnie. Gdzieś w oddali zegar wybił trzecią. Była najgłębsza,



najciemniejsza godzina nocy.

Zanim zdążyła otworzyć drzwi, wyjął z jej ręki świecznik i odstawił na stolik, po czym objął ją i pożegnał pocałunkiem równie namiętym jak poprzednie. Objęła go za szyję, a on mocno ją przytulił, obwodząc rękoma urocze krągłości. Poczowała, że pomimo zmęczenia z radością zgodziłaby się kochać z nim jeszcze raz, gdyby tylko wyraził na to ochotę.

Całując ją, Gerwazy zdawał sobie sprawę, że naiwnością byłoby sądzić, iż uda mu się tak głęboko ją poruszyć, że nie przyjmie innych mężczyzn, którzy jej pożądata. Wprawdzie miała rozanieloną twarz, ale przecież była tylko prostytutką.

Mimo że wmawiał sobie, iż Diana nie jest warta jego starań, odczuwał wielką potrzebę posiadania jej. Rozchylił jej szlafrok, wsunął dłoń pomiędzy jedwabiste poły i dotknął jej w miejscu złączenia ud.

- Chcę, żebyś była moja, Dian - powiedział szeptem, pieszcząc jej najszybsze miejsce. - Tylko moja.

Pokręciła głową. Jej piękna twarz pozostała tajemnicza i zagadkowa, pomimo że jej ciało reagowało ciepłem i wilgocią. Miał ochotę posiąść ją jeszcze raz, na zimnej marmurowej posadzce przykrytej jedynie orientalnym kobiercem. Ponieważ Diana najwyraźniej także tego pragnęła, uznał, że chwilowe niezaspokajanie wzajemnych pragnień lepiej posłuży jego zamierzeniom. Gerwazy wypuścił ją z objęć, odwrócił się, otworzył drzwi i wyszedł w noc.

Zaryglowując drzwi, Diana drżała na całym ciele; zdawała sobie sprawę z mrocznych aspektów tego, co ich łączyło. W sypialni przebrała się w zapinaną pod samą szyję flanelową koszulę nocną z długimi rękawami, zaprzeczenie erotyzmu, i weszła do łóżka. Spała w nim już od trzech miesięcy, ale nigdy jeszcze nie wydało jej się tak wielkie i puste.

Mimo że była bardzo zmęczona, nie mogła zasnąć. „Seks to obosieczna broń”. Te dawno już wypowiedziane słowa Madeline rozchodziły się echem w jej głowie. Dianie wydawało się wtedy, że je rozumie, ale dopiero teraz ich znaczenie stało się dla niej oczywiste. Nigdy przedtem nie doświadczyła namiętności i była nieprzygotowana na zetknięcie się z jej siłą. Ta noc była dla niej nowym, niezwykle intensywnym doświadczeniem. Ujawniła istnienie nowych światów, nieznanych uczuć i emocji. Wzajemnie dawali sobie przyjemność, a ta cudowna wymiana tworzyła bliskość zupełnie inną od tej, która łączyła ją z synem czy przyjaciółkami.

Bez wątpienia wicehrabia jej pożądata, lecz i ona go pragnęła. Miała ochotę poddać się jego oczekiwaniom i życzeniom, obiecać, że będzie tylko jego, rozmawiać, śmiać się i kochać z nim tak, aż mocne rysy jego twarzy złagodnieją, ujawniając czułość, jaką okazał jej tej

nocy. Jeśli chciała mieć nad nim jakąkolwiek władzę, to tylko taką, by móc uczynić go szczęśliwym.

Byłoby jej niezwykle łatwo skupić swoje życie wokół niego i jego potrzeb, lecz przecież nie w tym celu przyjechała do Londynu. Diana poznała już pewne prawa rządzące ich związkiem, pozostawało jednak wciąż jeszcze wiele innych, których istoty nie potrafiłaby wyjaśnić. Podobnie jak ona Gerwazy został ciężko doświadczony przez życie i nie udało mu się uleczyć w tym stopniu co jej. Dopóki nie zrozumie przyczyn oraz istoty jego bólu, nie może planować z nim żadnej wspólnej przyszłości. Skuliła się na łóżku i objęła się ramionami, chcąc znów poczuć ciepło, którego doświadczyła wcześniej. Postanowiła zwalczyć pokusę poddania się, mimo że wiedziała, iż będzie to dla niej bardzo trudne.

Jeśli Bóg pozwoli, pewnego dnia będzie mogła bezpiecznie poddać się lordowi St. Aubyn, lecz najpierw wiele musi się zmienić. Chciała, żeby byli sobie równi w uczuciach, by nikt nie pełnił roli pana lub niewolnika.

Zadrżała, uświadomiwszy sobie, że połączył ich nie zwykły los, lecz sama Nemezis, bogini nieubłaganej sprawiedliwości. Gdyby Diana wiedziała, co ją czeka, nigdy nie ruszyłaby się z High Tor Cottage, lecz teraz było już za późno na wycofanie się. Wiąz łącząca ją z Gerwazym była już zbyt mocna, by mogła ją zlekceważyć.

W najbliższych dniach będzie odgrywać rolę niezależnej kobiety, a on może to zaakceptować albo nie. Mimo iż złożyła sobie tę cichą obietnicę, zastanawiała się, czy będzie w stanie jej dotrzymać. Tak jak powiedziała Gerwazemu, łzy łatwo napływały jej do oczu, i kiedy wtuliła twarz w poduszkę, nie była pewna, czy płacze ze szczęścia, czy z żalu.

Była już późna pora i Whitehall niemal całkiem opustoszało, kiedy brytyjski minister spraw zagranicznych złożył wizytę lordowi St. Aubynowi. George Canning był błyskotliwy, nieprzewidywalny i bardzo, bardzo ambitny. Od śmierci Williama Pitta, półtora roku temu, w partii torysów ostro walczono o to, kto spośród jej członków jest najbardziej godny przejęcia stanowiska przywódcy po tym wielkim człowieku. Torysi byli zresztą jednomyślni tylko co do tego, że należy pokonać Francuzów, lecz większość energii spożytkowywali na wzajemne zwalczanie się. Gerwazy nie miał upodobania ani cierpliwości do tych waśni.

Był zajęty studiowaniem raportów z Portugalii, kiedy wszedł Canning. Gerwazy uniósł głowę. Pomyślał, że polityka jest grą osobowości, a jego służba wojskowa i przyjaźń z sir Arthurem Wellesleyem w Indiach sprawiła, że stał się zaufanym ministra wojny, Castlereagha, jednego z najbliższych przyjaciół Wellesleya. Interesy ministerstwa spraw zagranicznych i ministerstwa wojny często się zazębiały, czego rezultatem była zawzięta, ukryta rywalizacja, tak więc Canning był podejrzliwy w stosunku do Gerwazego. Zazwyczaj nie kontaktowali się osobiście - po raz pierwszy to Canning go odszukał.

Gerwazy wstał, korzystając z okazji rozprostowania kości, i wyciągnął rękę na powitanie.

- Dobry wieczór, Canning. Widzę, że pracuje pan do późna.

Po chwili znieruchomiał. Za ministrem spraw zagranicznych stał Francuz, którego Gerwazy podejrzewał o to, że może być szpiegiem o pseudonimie Feniks.

Po wymianie uścisków dłoni Canning dał znak swemu towarzyszowi.

- Zapewne panowie się znają.

Hrabia de Veseul, nadzwyczaj elegancki w czerni, uśmiechnął się pogodnie.

- Oczywiście, chociaż ubolewam nad tym, że lord St. Aubyn tak mało udziela się towarzysko.

Gerwazy bez entuzjazmu podał dłoń Francuzowi. Oczywiście byli też inni podejrzani, ale Gerwazy był dziwnie przekonany, że to Veseul jest Feniksem. Nie cierpiał tego egzaltowanego człowieka z jego wymuszonym wdziękiem i skrywanym rozbawieniem. Hrabia swobodnie poruszał się wśród najwyższych kręgów brytyjskiego społeczeństwa, podobnie zresztą jak i cały emigracyjny dwór francuskiego monarchy, rozlokowany w takich miejscach, by słyszeć rzeczy, których słyszeć nie powinien. Gerwazy podejrzewał, że Francuzowi nie brak zuchwałości, inteligencji i podłości, by odważyć się na wszystko.

- Czy został pan zatrudniony w Whitehall, Veseul? – zapytał śmiało Gerwazy, nie

zdradzając żadnych emocji. - Dotkliwie odczuwamy brak personelu.

Francuz wdzięcznie pomachał laską ze złotą gałką.

- Miałbym tu pracować? Moi? Jestem jak lilia polna, nie sieję ani nie orzę. Zostawiam takie sprawy ludziom pracowitym, takim jak pan.

- Jest pan zbyt skromny w ocenie własnych dokonań. Takie zawiązanie krawata z pewnością wymaga wielkiej pracy - powiedział Gerwazy, unosząc brwi.

- Och, to nie praca, to sztuka - rzekł z rozmarzeniem Veseul. - Jestem mistrzem wielu dziwnych form artystycznych.

Ciemne oczy hrabiego rozbłysły rozbawieniem, co potwierdziło przypuszczenia Gerwazego, że rozmowa toczy się na dwóch poziomach. Francuz dobrze wiedział, na czym polega praca Gerwazego, prawdopodobnie domyślił się też, że jest podejrzewany o szpiegostwo, i z upodobaniem prowadził tę szermierkę słowną.

- Veseul i ja mamy zamiar zjeść kolację w White's. Może pan do nas dołączyć? - zapytał Canning.

Gerwazy pokręcił głową z udawanym żalem.

- Bardzo mi przykro, ale mam jeszcze przed sobą kilka godzin pracy.

- W takim razie chciałbym przed wyjściem poruszyć jeszcze jedną sprawę.

Kiedy Gerwazy spojrzał wymownie na francuskiego hrabiego, Canning powiedział ze zniecierpliwieniem:

- Możemy rozmawiać zupełnie swobodnie w obecności Veseula. Nie ma chyba drugiej osoby, która nienawidziłaby Bonapartego tak jak ten wygnany rojalista.

Gerwazy nie odezwał się, nie przestawał jednak przyglądać się hrabiemu. Nie zbity tym wcale z tropu, Veseul uśmiechnął się szeroko.

- Zaczekam na ciebie na dole, George. Podejrzliwość to zawodowy obowiązek w pracy St. Aubyna. - Przyłożywszy palec do czoła w kpiącym salucie, wyszedł.

Kiedy zostali sami, minister spraw zagranicznych popatrzył z przyganą na Gerwazego.

- Był pan bardzo nieuprzejmy w stosunku do Veseula.

Gerwazy usiadł za biurkiem.

- Jestem niemal pewny, że ten człowiek jest francuskim agentem. Zupełnie prywatnie radzę panu uważać, co pan mówi w jego obecności.

Canning sprawiał wrażenie zaskoczonego. Usiadł na jednym z krzeseł dla gości.

- To bardzo poważne oskarżenie. Czy jest pan w stanie je udowodnić?

- Gdybym mógł, Veseul nie przechadzałby się teraz swobodnie - odpowiedział sucho wicehrabia. - Być może nigdy nie uda mi się zdobyć niezbitego dowodu. Sugeruję jedynie, by

pan zważał na to, co mówi w jego obecności.

Po chwili minister w zamyśleniu skinął głową, po czym przystąpił do omawiania sprawy, z którą tu przyszedł.

- Dostarczone przez pana informacje przyniosły nam sukces w kampanii kopenhaskiej. Gerwazy uniósł brwi, zaskoczony.

- Ja tylko byłem koordynatorem... informacje pochodziły z wielu źródeł. Ale to nie wywiad wojskowy wygrywa bitwy, tylko żołnierze.

- Tak, ale brak wywiadu wojskowego może doprowadzić do Przegranej.

- To prawda - zgodził się Gerwazy, ciekaw, dokąd prowadzi ta rozmowa.

- Jest pan doskonałym pracownikiem w swoim fachu. Przydzielenie panu tego stanowiska to jedna z najlepszych rzeczy, jaką zrobił Pitt. - Canning mówił dość nieprzyjemnym tonem, a jego komplement był podszyty niechęcią.

- Byłbym zaskoczony, gdyby miało się okazać, że przyszedł pan do mnie tylko po to, by mi to powiedzieć.

- Ma pan rację. - Canning rozejrzał się, po czym nagle wpatrzył się w Gerwazego. - Podobno ma pan najlepsze kartoteki w całym kraju. Czy dysponuje pan informacjami na temat Anglików?

- Nie - odpowiedział stanowczo Gerwazy. - Jeśli chce pan znaleźć amunicję przeciwko swym przeciwnikom politycznym, musi pan szukać gdzie indziej.

Canning skrzywił się.

- Interesuję się raczej kimś, kto posiada broń przeciwko mnie. - Uważnie przyglądał się Gerwazemu swoimi bladoniebieskimi oczami, usiłując się domyślić, czy wicehrabia mówi prawdę.

Gerwazy odsunął się od biurka i rozprostował długie nogi.

- Panie Canning, jestem tu tylko z jednego powodu: by pomóc wysłać korsykańskiego bękarta do wszystkich diabłów, na co od dawna zasługuje. Nie jestem politykiem i nie interesuje mnie ministerialna teka ani zdobycie władzy. To dlatego przetrwałem na swym stanowisku po upadku rządu Addingtona ubiegłej wiosny i zamierzam przeżyć upadek administracji Portlanda, podobnie jak wielu innych rządów, jakie będziemy mieli do czasu pokonania Napoleona.

Canning uśmiechnął się krzywo.

- Portland przyjmuje codziennie takie ilości laudanum, że wątpię, czy zauważy upadek swego rządu.

Gerwazy uważnie przyjrzał się rozmówcy, zastanawiając się, czy Canning próbuje go

sprowokować do popełnienia jakiejś niedyskrecji. Pomyślał, że to mało prawdopodobne; Canning zawsze mówił otwarcie i był spowinowacony ze starzejącym się księciem Portland poprzez małżeństwo.

- Przyszedłem tu, żeby panu podziękować, St. Aubyn. Byłem bardzo krytykowany za kampanię w Danii. Opinia publiczna była po stronie Duńczyków, a my wyszliśmy na złodziei i awanturników. Gdyby nie pan, moglibyśmy również okazać się przegrani, co byłoby dużo gorsze.

Gerwazy westchnął. Odczuwał pewien niesmak po kampanii kopenhaskiej.

- Też mi się to nie podobało, ale miał pan rację, atakując Danię. Gdyby pan tego nie zrobił, Bonaparte przejąłby duńską flotę i użył jej przeciwko nam. A gdybyśmy zostali pozbawieni przewagi na morzu... - Wymownie wzruszył ramionami.

Jego ostatnie stwierdzenie nie wymagało żadnych komentarzy. Potęgi kontynentu upadały jedna po drugiej, oparła się tylko Anglia. Doszło do sytuacji patowej: Francuzi nie potrafili pokonać Anglii na morzu, a Anglia nie była w stanie przeciwstawić się Napoleonowi na lądzie. Gdyby Anglicy utracili przewagę na morzu, Bonaparte napadłby ich i długa wojna dobiegłaby końca, Wielka Brytania zaś stałaby się jeszcze jednym krajem podległym cesarzowi.

Przebieg rozmowy skłonił Gerwazego do podzielenia się swoją opinią na temat, który zaprzętał go od dłuższego czasu.

- Podjęte przez pana działania mające na celu zabezpieczenie floty szwedzkiej powinny doprowadzić do tego, że Morze Bałtyckie stanie się brytyjskim jeziorem, ale jeszcze jedna flota narażona jest na niebezpieczeństwo. Mam na myśli Portugalczyków.

Canning przytaknął ponuro, jakby przytłoczony wagą problemów.

- Zastanawiałem się nad tym. Czy ma pan jakieś szczególne powody, by sądzić, że Francuzi będą usiłowali zaanektować tę flotę?

Gerwazy wskazał stos papierów na biurku.

- Właśnie pracuję nad informacjami z Portugalii. Pełny raport będzie gotowy za dwa lub trzy dni, ale wydaje mi się, że jeśli w ciągu najbliższych tygodni Portugalczycy nie zostaną namówieni na przemieszczenie swojej floty, padnie ona łupem Bonapartego.

Canning wydał wargi i cicho gwizdnął.

- Aż tak szybko?

- Obawiam się, że tak.

Minister spraw zagranicznych zastanawiał się przez chwilę, po czym uśmiechnął się kwaśno.

- Cóż, mam wrażenie, że tym razem stanę się jeszcze mniej popularny. Dobrze chociaż, że istnieje szansa, iż Portugalczycy odniosą się do nas przychylniej niż Duńczycy. - Wstał. - Dziękuję. Ostrzegano mnie, że bym uważał na pana, ale myślę, że to tylko polityczna intryga. Nie mam panu nic do zarzucenia, a pańskie rady zawsze okazywały się trafne. Gerwazy również wstał.

- Dziękuję za zaufanie. Miło mi słyszeć, że docenia pan moje wysiłki.

Nie zważając na ironiczny ton Gerwazego, Canning przyjrzał mu się badawczo.

- Mógłbym panu pomóc wykorzystać pańskie zdolności. Gdyby zechciał pan ze mną współpracować, zaszedłby pan bardzo daleko.

- W zupełności wystarcza mi moje dziedziczne miejsce w Izbie Lordów - powiedział chłodno Gerwazy. - Powinna pana pocieszyć wiadomość, że nie pozwolę, by ktokolwiek inny wykorzystał moje źródła informacji dla własnych celów politycznych.

- Przypuszczam, że będę musiał się tym zadowolić.

Gerwazy po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Tak myślę.

Canning skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Gerwazy usiadł za biurkiem. Czuł się bardzo zmęczony. Canning nie był pierwszym i z pewnością nie ostatnim politykiem, który próbował go skorumpować.

Wyjął swój złoty zegarek i zobaczył, że jest po dziewiątej wieczorem. Minęły już trzy dni od niewiarygodnej nocy z Dianą Lindsay i nie było ranka, by o niej nie myślał. Dzielnie opierał się chęci natychmiastowego zobaczenia się z nią. Chociaż niechętnie, musiał przyznać, że kobiety są mu potrzebne, z pewnością nie była mu niezbędna jakaś szczególna kobieta. Udowodniwszy sobie siłę woli, odczuwał teraz ogromną potrzebę zobaczenia się z Dianą, pławienia się w jej ciepłej, cudownej zmysłowości.

Szybko napisał liścik i dał gwineę jednemu z pracujących jeszcze portierów z prośbą o zanieśenie wiadomości na Charles Street 17 i poczekanie na odpowiedź. Potem powrócił do niezliczonych raportów, zastanawiając się, który z agentów i informatorów jest bardziej uczciwy i wiarygodny. Jego rady mogły potem decydować o życiu lub śmierci setek nieznanym mu osób. Praca tak go pochłonęła, że był niemal zaskoczony, kiedy portier wszedł do niewielkiego biura i wręczył mu jego własny list, który został opieczętowany stemplem przedstawiającym kupidyna przykładającego palec do pełnych warg.

Pomimo zabawnej pieczęci, Gerwazy posmutniał, gdyż przez chwilę wydawało mu się, że na pewno go odrzuciła, będąc zajęta przez innego mężczyznę lub z jakiegoś niejasnego kobiecego powodu. Zmusiwszy się do opanowania, złamał pieczęć i rozpostarł kartkę.

Uśmiechnął się.

Na dole, eleganckim pismem, Diana przekazywała: *Przyjdź i czuj się jak u siebie w domu.*

Diana szykowała się już do snu, kiedy nadeszła wiadomość od St. Aubyna. Na myśl o jego wizycie ogarnęła ją wielka radość. Przez trzy dni zastanawiała się, co takiego zrobiła, że nabrał do niej niechęci.

Myślała, że mogła to spowodować odmowa przyznania mu prawa wyłączności albo zniechęciła go nieudolnością w łóżku, chociaż wychodząc od niej, nie miał żadnych zażaleń.

Kolejna próba uwodzenia wydawała się jej niewłaściwa, więc szybko ubrała się w morelową suknię i szesała włosy do tyłu, przewiązując je odpowiednio dobraną kolorystycznie aksamitną wstążką. Była świadoma tego, że jeśli Gerwazy postanowił składać jej regularne wizyty, już tego wieczoru będzie musiała ustalić ich reguły.

Służba poszła już spać, więc wpuściła go osobiście. Na widok Gerwazego na chwilę zabrakło jej tchu. Od początku uważała go za atrakcyjnego mężczyznę, ale teraz, kiedy dobrze już wiedziała, jak wspaniała muskulatura kryje się pod ubraniem, odczuwała ogromną chęć dotknięcia go. Może nawet powinna pozwolić sobie na odrobinę śmiałości... Madeline mówiła, że mężczyźni lubią, jeśli od czasu do czasu kobieta przejmuje inicjatywę.

Nieśmiało postąpiła o krok, położyła ręce na ramionach Gerwazego i uniosła twarz do pocałunku. Niespodziewanie ciepły uśmiech rozjaśnił jego twarz. Namiętnie odwzajemnił pocałunek, przytulając ją do siebie tak mocno, że omal nie pogruchotał jej żeber.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale czasami muszę zaczerpnąć tchu - powiedziała, wybuchając perlistym śmiechem.

- Ja też - odpowiedział. Uwolnił ją i sięgnął do kieszeni. - Powiedziałaś mi, że lubisz niespodzianki. - Wręczył jej małą mosiężną figurkę.

Diana z zafascynowaniem wpatrywała się w misterne orientalne cacko. Czterocalowa figurka przedstawiała wdzięczną kobiecą postać, trzymającą kwiat.

- Jest bardzo piękna, Gerwazy. Czy to jakaś hinduska bogini?

Przytaknął.

- Tak, to Lakszmi, hinduska bogini szczęścia i bogactwa, małżonka Wisznu. W ręku trzyma kwiat lotosu. Miałem ją w swoim gabinecie w Whitehall w nadziei, że przyniesie mi szczęście. Było późno i nie miałem już szans na znalezienie innego prezentu dla ciebie. Przepraszam... figurka nie ma wielkiej wartości, ale ponieważ interesowałaś się Indiami, pomyślałem, że może ci się spodobać.

Popatrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem.



- Bardzo mi się podoba, ale nie chciałabym okradać cię z czegoś, co lubisz.

Próbowała oddać mu figurkę, ale zacisnął na niej jej dłoń. Czuła ciepło jego palców.

- Lakszmi to także bogini wdzięku i kobiecego piękna. Z pewnością jej miejsce jest u ciebie.

Diana pomyślała, że Gerwazy ma talent do prawienia komplementów. Uśmiechnęła się do niego promiennie. Odwzajemnił uśmiech, ukazując jej oblicze, którego prawie nigdy nie ujawniał publicznie. Była bliska pocałowania go jeszcze raz, lecz zwyciężył rozsądek, którego uczyła się słuchać przez wszystkie lata macierzyństwa.

- Powiedziałeś, że przyjechałeś prosto z Whitehall. Jadłeś kolację?

Wicehrabia przeżył zaskoczenie.

- Jadłem śniadanie - odpowiedział.

Diana uniosła oczy ku niebu, po czym wzięła go za rękę i zaprowadziła na dół do kuchni.

- Nie masz żadnego obowiązku mnie karmić - powiedział łagodnie, siadając przy długim, wyszorowanym do czysta stole.

- Chyba rzeczywiście nie mam takiego obowiązku, Gerwazy - powiedziała obrzucając go kokieteryjnym spojrzeniem. - Ale to, żebyś miał siły, leży także w moim interesie. - Otworzyła spiżarnię, rozejrzała się po niej i powiedziała: - Jest tu trochę krojonej szynki, chleba i sera, a gdybyś chciał jakieś ciepłe danie, to mogę zrobić omlet.

Gerwazy zawahał się. Nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, że jest głodny, ale teraz poczuł ogromny apetyt na myśl o ciepłym omlecie.

- Jeśli to nie sprawi ci zbyt wielkiego kłopotu, chętnie zjadłbym omlet.

- To żaden kłopot. - Chcąc, by Gerwazy zaspokoił pierwszy głód, Diana postawiła na stole chleb i ser, po czym naląła dwa pucharki orzeźwiającego zimnego piwa.

Gerwazy doświadczył dziwnego uczucia zadowolenia, przyglądając się Dianie, która wdzięcznie krzątała się po kuchni. Rozpaliwszy ogień w nowoczesnym piecu, uszczknęła odrobinę szczypiorku rosnącego w doniczce pod wysokim, wąskim oknem i zmieszała go z ubitymi jajkami z dodatkiem szynki i sera. Nie miał pojęcia, że kurtyzany potrafią gotować.

Podziwiał skupienie malujące się na jej twarzy, gdy przyrządzała omlet. Niesforne pasma ciemnych kasztanowych włosów opadły jej na szyję. Wyglądała uroczo. Chciałby móc zatrzymać ten fragment wieczoru. Diana była niezwykle kusząca, a on rozkoszował się domową atmosferą. Czy tak wygląda życie większości ludzi, zastanawiał się. Jeśli tak, to w takim razie pozycja lorda wymagająca wielkiej odpowiedzialności nie była wielkim wyróżnieniem. Lecz przeciętni mężczyźni nie mieli Diany Lindsay, strzegącej ich domowego

ogniska, nie stać ich było na jej usługi.

Przypomniawszy sobie, jaki charakter ma ich związek, wyraźnie posmutniał, tak jakby została mu odjęta część przyjemności. Oczywiście w jej interesie leżało wprowadzenie go w dobry nastrój i najwyraźniej została starannie przeszkolona w zaspokajaniu wielu rodzajów męskiego apetytu.

Kiedy postawiła przed nim parujący omlet, nie potrafił dłużej oddawać się cynicznym myślom. Zapach szczypiorku wypełnił kuchnię.

- Nie chciałabyś trochę mi pomóc? Jest ogromny - powiedział.

Zawahała się.

- Pachnie bardzo ładnie. Jesteś pewien, że wystarczy dla ciebie?

- Myślę, że już połowa tego omletu na długo zaspokoiłaby mój głód - stwierdził z powagą.

Zachichotała, przyniosła drugi talerz i odkroiła sobie kawałek, po czym usiadła po drugiej stronie stołu. Miała mniejszą porcję, więc pierwsza skończyła jedzenie i w zamyśleniu popijała piwo, spoglądając na swego gościa. Z zadowoleniem stwierdziła, że z jego twarzy stopniowo ustępuje zmęczenie.

- Co robisz w Whitehall?

Wzruszył ramionami i ukroił sobie grubą pajdę chleba.

- Głównie przekładam papiery z jednego stosu na drugi.

- To niezbyt fascynujące.

- Zgadza się.

- Naprawdę jesteś asem wywiadu brytyjskiego rządu? - zapytała, nie potrafiąc opanować ciekawości.

Gdyby nie przyglądała mu się tak uważnie, być może nie zauważyłaby niewielkiego wahania i tego, że ręka z widelcem znieruchomiała na chwilę. Odkroiwszy kolejną porcję omletu, zapytał jakby od niechcienia:

- Kto ci to powiedział?

- Madeline. Usłyszała to, kiedy o ciebie pytała. Chyba po prostu ludzie tak mówią.

Gerwazy przyjrzał się jej spod zmrużonych powiek.

- Ludzie mówią wiele rzeczy, a większość z nich to nieprawda. Dlaczego cię to tak interesuje?

Wzruszyła ramionami.

- Nie jestem zainteresowana akurat tym, po prostu interesuję się tobą.

Uniósł wzrok znad szklanki z piwem.

- Wykonuję różne prace papierkowe. Ludzie mogą to sobie interpretować, jak chcą. Co jeszcze Madeline powiedziała ci o mnie?

Diana zmarszczyła czoło, udając, że się zastanawia.

- Że jesteś bardzo bogaty. Że jesteś skryty i chodzisz własnymi ścieżkami, mimo że mógłbyś swobodnie obracać się we wszystkich kręgach społeczeństwa. I że masz obłąkaną żonę w Szkocji. – Wymieniła te wiadomości jednym tchem, tak jakby wszystkie były równie ważne.

Gerwazy nie odpowiedział od razu. Ironicznie uniósł brwi.

- I mając taką siatkę szpiegowską, podejrzewa mnie o to, że jestem asem wywiadu?

Diana pokręciła głową.

- Ona cię o nic nie podejrzewa. Tylko podobnie jak dobrzy kupcy, byliśmy zainteresowane zgromadzeniem faktów potrzebnych do podjęcia decyzji.

- Bardzo rozsądnie - skomentował z przekąsem.

Uśmiechnęła się.

- Niezupełnie. W końcu i tak podejmuję decyzje pod wpływem emocji. Nie potrafię kierować się wyłącznie rozsądkiem.

- To dobrze - powiedział cicho, wstając. Podszedł do Diany i przytulił ją. - Dziwnym zbiegiem okoliczności ja też nie potrafię teraz myśleć rozsądnie.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, kiedy pocałował jej szyję, po czym na chwilę powróciła do roli dobrej gospodyni.

- Czy po posiłku masz ochotę na coś słodkiego, milordzie?

- Jak najbardziej.

Uniosła twarz do pocałunku, myśląc, że bardzo łatwo się przyzwyczajają do pieszczot Gerwazego. Po chwili nie była w stanie myśleć, nieprzygotowana na gwałtowną falę rozkoszy, jaka ogarnęła ją, gdy ich usta się spotkały. Przytuliła się do niego, czując, że również jest niezwykle podniecony i zaskoczony siłą namiętności. Nie mieli jednak ochoty się wycofywać, zostawiając wątpliwości i ostrożność na później.

Gerwazy wyszedł bardzo późno. Diana zasnęła. Szczelnie okrył ją kołdrą, naciągając ją aż pod brodę, a potem stał, rozkoszując się jej widokiem, i dopiero po dłuższym czasie był w stanie zmusić się do wyjścia. Nigdy jeszcze nie spotkał pięknej kobiety, która byłaby pozbawiona próżności i wyniosłości, łączących się z urodą. Choć Diana była najpiękniejsza z wszystkich znanych mu kobiet, wydawała się pozbawiona tych wad. Była bardzo szczodra w łóżku, jej cudowne reakcje stanowiły spełnienie męskich marzeń, a sam jej widok przyprawiał go o dreszcz pożądania nawet wtedy, gdy był zmęczony i wyczerpany tak jak tego wieczoru.

Powrócił do rzeczywistości na parterze, gdzie czekała na niego Madeline. Była zajęta jakąś robótką, lecz odstawiła koszyczek z przyborami do szycia i podeszła do Gerwazego w westybulu. Znieruchomiał przestraszony, a rozluźnił się bardzo nieznacznie po tym, gdy ją poznał. Czego też mogła chcieć od niego ta kobieta o czwartej rano?

Jeśli nawet zdawała sobie sprawę z jego podejrzeń, zignorowała je.

- Czy mógłby mi pan poświęcić chwilkę, milordzie? Chciałabym zamienić z panem kilka słów.

- Oczywiście.

Wszedł za nią do salonu; usiedli. Zmęczony Gerwazy rozprostował nogi. Nie zwrócił na Madeline większej uwagi, kiedy Diana ich sobie przedstawiła, ale teraz zauważył, że jest bardzo atrakcyjna i ma spokojną twarz osoby, która wiele przeżyła. Gdyby nie to, że znalazł już kochankę, zastanowiłby się, czy jest dostępna, lecz w tej chwili nie był w stanie interesować się nikim poza Dianą.

Przyglądała mu się dużymi piwnymi oczami równie badawczo jak on jej, a ten pojedynk na spojrzenia mógłby trwać zdecydowanie dłużej, gdyby Gerwazy nie był tak zmęczony.

- Nie chcę wydać się niecierpliwy, ale chciałbym się dowiedzieć, jaki temat chce pani poruszyć. Jest już trochę późno na spotkanie towarzyskie.

Sięgnęła do koszyczka po tamborek i uniosła wzrok.

- Chodzi mi o interes, a nie o towarzystwo, milordzie. Diana powiedziała mi, że odrzuciła pańską propozycję otrzymywania miesięcznego uposażenia na korzyść doraźnych prezentów.

- Tak, ale przecież to nie powinno pani interesować - powiedział, z trudem opanowując gniew.

- Diana jak najbardziej mnie interesuje, lordzie St. Aubyn. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym, żeby zapewnił jej pan regularne dochody.

Przeciągnęła igłę z nitką przez materiał napięty na obręczach i zamierzała kontynuować wypowiedź, lecz Gerwazy przerwał jej ostrym tonem.

- A więc zajmuje się pani rajfurzeniem i chce mieć jak największy zysk z jej dochodów. To bardzo sprytne. Rzeczywiście nieprędko znajdzie pani tak cenną ofiarę.

Madeline wzdrygnęła się nieznacznie, lecz nie straciła opanowania.

- Myli się pan. Chciałam z panem porozmawiać, ponieważ kocham Dianę, a nie dlatego, że jestem stręczycielką.

To było jeszcze gorsze. Gerwazy wiedział, że są kurtyzany, które wołają własną płęć.

Niektórych mężczyzn bardzo to podniecało, ale myśl o Dianie kochającej się z kobietą wydała mu się odrażająca.

- Rozumiem. Nie chce pani zyskać więcej pieniędzy, tylko pragnie się mnie pozbyć z zazdrości.

Roześmiała się, zbijając go z tropu.

- Najwyraźniej źle się wysławiam. Kocham Dianę jak córkę, której nigdy nie miałam, jako przyjaciółkę i jako kobietę, która uratowała mi życie, a nie tak, jak pan to sobie śmiało wyobraża – oznajmiła z błyskiem w oku. - Wzruszyła ramionami. - Diana jest zbyt niedoświadczona, żeby wiedzieć, co robi. To bardzo piękne... być romantyczną i szaloną, kiedy ma się dwadzieścia lat, ale za kolejne dwadzieścia będzie zadowolona, mając oszczędności, które zabezpieczą ją na starość.

Wykonała kolejny ścieg.

- Dla kurtyzany zasoby finansowe są bezcennym skarbem. Dianie może nie podobać się to, co odrzuciła, ale ja jestem innego zdania, chciałabym, żeby zapewniła sobie odpowiednie środki na przyszłość.

Gerwazy na chwilę zamknął oczy, żałując, że przyszło mu prowadzić tę rozmowę, kiedy jego umysł nie funkcjonuje zbyt sprawnie.

Czy Madeline rzeczywiście starała się chronić swą młodszą przyjaciółkę, czy też po prostu była chytra? Pomyślał, że zapewne to drugie, chyba że to Diana prosiła Madeline o przeprowadzenie tej rozmowy. Otworzył oczy.

- Każdego miesiąca, w którym Diana będzie moją kochanką, złożę dwieście funtów na jej imiennym koncie. Może jej pani o tym powiedzieć lub nie, według swego uznania, ale nie będzie pani miała możliwości skorzystania z choćby jednego pensa. Czy to panią zadowala?

Spodziewał się, że będzie wściekła, iż pieniądze znalazły się poza jej zasięgiem, tymczasem uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Jak najbardziej, milordzie. Zachował się pan bardzo szlachetnie.

Wstał.

- Czyżby chciała mi pani powiedzieć coś jeszcze, panno Gainford? - pytał ironicznie.

- Tak. Proszę nie wspominać o tym Dianie.

Skrzywił się.

- Czy naprawdę myśli pani, że uwierzę w to, iż ona nie wie, co pani robi?

Wykonała wdzięczny ruch ręką, światło świecy zamigotało w igle, którą trzymała w dłoni.

- Powinien pan w to uwierzyć, bo to prawda.

- Tak, tak - powiedział, nie potrafiąc ukryć goryczy w głosie. Przypomnił sobie niewinność malującą się na twarzy śpiącej Diany, Diany, urodzonej aktorki. - Wszyscy wiedzą, jak prawdopodobne są prostytutki.

Widok rumieńca na jej policzkach sprawił mu pewną satysfakcję, lecz nic nie potrafiło rozwiać ponurego nastroju, w jakim wracał do domu.

Następne go ranka łatwiej przyszło mu pogodzić się z dwulicowością Diany i z tym, że nasłała na niego przyjaciółkę, by ta zażądała pieniędzy. Bez wątplenia nowa kochanka nie była pozbawiona płochości, wykazywała też kobiecy brak logiki. Przypuszczał, że najpierw efektownie odmówiła przyjęcia regularnego uposażenia, a potem zmieniła zdanie. Ponieważ nie chciała się przyznać do zmiany frontu, postanowił wynagradzać ją tak, jak proponował to od początku, dać jej nie więcej i nie mniej. Kiedy następnego dnia rano przyszedł do niej w celu udania się na przejażdżkę, był już pogodzony z sytuacją.

Diana czekała w salonie, gdzie powitała go rozkosznym pocałunkiem. Słońce wspaniale oświetlało jej kasztanowe włosy. Czyż kiedyś wyglądała mniej wspaniale? Pochyliwszy się nad jej dłonią w rękawiczce, Gerwazy wręczył jej filigranowy złoty przedmiot.

Przyjrzała się prezentowi, po czym uśmiechnęła się rozkosznie.

- Czy powinnam go rozpoznać? Chyba jest jeszcze za wcześnie i mam kłopoty z myśleniem.

Kiedy uśmiechała się do niego tak promiennie, oczarowany nie był w stanie dłużej żywić do niej urazy.

- To jest początek długiej serii płatności.

- Och, czy to znaczy, że będę opłacana złotymi cackami? - zapytała z zainteresowaniem.

- To zapięcie naszyjnika z pereł - wyjaśnił. - Bardzo pięknego, podwójnego sznura pereł. Poprosiłem złotnika, żeby go rozłożył. - Wyjął z kieszeni inny mały przedmiot owinięty w aksamit. - Ilekroć będę cię odwiedzał, będę ci przynosił jedną perłę. A kiedy skompletujesz już naszyjnik, poproszę jubilera, żeby wszystko złożył.

Wpatrywała się w błyszczącą kulkę bez skazy. Jej srebrzysty błysk zdradzał, że to perła najwyższej jakości.

- To naprawdę jest bardzo pomysłowe, milordzie - powiedziała z podziwem i rozbawieniem w głosie. - Udało ci się jednocześnie mnie zaskoczyć i oszczędzić sobie konieczności wymyślania coraz to nowych prezentów na całe miesiące.

Tym razem wicehrabia dopiłnował, by nie okazać żadnych emocji, lecz w

dźwięcznym śmiechu Diany nie było ani cienia kpiny czy krytycyzmu. Położyła rękę na jego ramieniu i wspięła się na palce, by pocałować go w policzek.

- Dziękuję, Gerwazy. Jesteś bardzo miły.

Już ten delikatny dotyk wystarczył, by Gerwazy zaczął się zastanawiać nad rezygnacją z przejażdżki na korzyść zajęć pod dachem, lecz poranek był tak słoneczny, że żał byłoby go nie wykorzystać, jako że zbliżała się zima. Udali się do stajni, gdzie przebywała Fedra. Skoro Diana została kochanką Gerwazego, pożyczony koń stał się koniem darowanym.

Kiedy pokonywali niewielki dystans do Hyde Parku, Gerwazy czuł wyrzuty sumienia z powodu naszyjnika pereł. Jego nocna rozmowa z Madeline zaowocowała zobowiązaniem się do wpłacania dwustu funtów miesięcznie na konto bankowe. Zważywszy na cenę naszyjnika, jeśli będzie odwiedzał Dianę przeciętnie trzy razy w tygodniu, każdego miesiąca otrzyma ona perły wartości stu funtów, co zrównoważy jego początkową propozycję wypłacania jej trzystu funtów miesięcznie. Gratulował sobie sprytu, lecz przyjęła podarunek z taką wdzięcznością, że zawstydził się swoich skrupulatnych wyliczeń. Skoro dostarczała usług na tak wysokim poziomie, powinien okazać hojność, a nie zastanawiać się nad każdym pensum.

Postanowił nie zadrećcać się tym i oddał się podziwianiu uroków rześkiego jesiennego dnia i żartobliwej rozmowie z kochanką. Diana była zdumiewająco odczytana, więc wciągnęli się w dyskusję o dramatopisarzach okresu Restauracji, doskonałą w rześki poranek. Trzy razy okrążyli park, kiedy Diana gwałtownie urwała swą wypowiedź na temat dramatopisarki Aphry Behn.

Koń Gerwazego znajdował się o krok przed nią. Wicehrabia obejrzał się, kiedy Diana zamilkła w pół słowa. Bezwiednie szarpnęła lejce, co zmusiło Fedrę do zatrzymania się. Ze zbiełałą twarzą w udręczeniu wpatrywała się w niewielką przecznicę.

- Czy coś się stało? - zapytał szybko, opanowany instynktem opiekuńczym.

Przełknęła z trudem i pokręciła głową, dając klaczy znak, by ruszyła.

- Nie... - powiedziała nieswoim głosem. - Po prostu zobaczyłam mężczyznę, który... - szukała odpowiedniego określenia, po czym skończyła łagodnie - był kiedyś dla mnie bardzo nieprzyjemny.

Gerwazy poczuł, że jego twarz tężeje. A więc zobaczyła dawnego kochanka; bez wątplenia cały Londyn był ich pełen.

- Gdybyś oddała się całkowicie pod moją opiekę, miałbym prawo zająć się każdym mężczyzną, który cię niepokoi, lecz twoja obecna pozycja naraża cię na różne nieprzyjemności.

Uniosła głowę, czując, że oblewa się szkarłatnym rumieńcem.

- Nie prosiłam cię o pomoc, milordzie.

- Bez wątpienia ten smok, który cię strzeże, odstrasza niechcianych zalotników - stwierdził kwaśno.

- Smok...?

- Twoja przyjaciółka, panna Gainford.

Diana roześmiała się.

- Nigdy nie przysłoby mi do głowy tak ją nazwać, ale byłaby wspaniałym smokiem.

A może raczej smoczycą?

Gerwazy uśmiechnął się, zapominając o swym rozdrażnieniu. Diana miała magiczną moc rozbijania go i kiedy jechali, rozmawiając o wartości dzieł Aphry Behn, zastanawiał się, ile czasu może jeszcze z nią spędzić, zanim będzie musiał udać się do Whitehall.

Gdy dojechali do stajni i pomógł jej zsiąść z Fedry, podtrzymując szczupłą kibić, postanowił, że Whitehall może poczekać.

Hrabia de Veseul bezpiecznie śledził Dianę Lindsay i lorda St. Aubyn do Charles Street. Hrabia zobaczył ją zupełnie przypadkowo, kiedy wracał do domu po całej nocy spędzonej na załatwianiu tajnych interesów. Często myślał o tej kurtyzanie od czasu spotkania jej w operze i przeprowadził dyskretny wywiad na jej temat, lecz zniknęła po swym krótkim występie wśród Pań Swawolnych. Był już gotów rozpocząć poważne poszukiwania, kiedy szczęśliwy los postawił ją na jego drodze; no, ale w końcu zawsze dopisywało mu szczęście. Rozbawiło go to, że tak natychmiast go poznała i że krew odpłynęła jej z twarzy. Mimo iż była przerażona, w jego oczach wcale nie prezentowała się mniej urodziwie; wprost przeciwnie.

I pomyśleć, że St. Aubyn był jednym z jej aktualnych kochanków. Już sam ten fakt dowodził, że hrabia jest w czepku urodzony. Miał mnóstwo wiadomości na temat St. Aubyna i szanował chłodny, analityczny, a przy tym błyskotliwy umysł tego Anglika. W gruncie rzeczy St. Aubyn był jedynym człowiekiem w Wielkiej Brytanii, który mógł go zdemaskować, toteż Veseul był zachwycony, widząc, że jego przeciwnik wygląda jak zadurzony uczeń ze swą pierwszą kobietą. Z satysfakcją stwierdził, że Anglik podlega pospolitym słabościom, które jego nie dotyczyły.

Kiedy śledzona para weszła do okazałego domu, Veseul pozostał jeszcze w wąskiej uliczce naprzeciwko, wyobrażając sobie, co ci dwoje robią na piętrze za elegancką fasadą pasującą do dzielnicy Mayfair. Sprośne obrazy przebiegały mu przez głowę jak w nieprzyzwoitym śnie. Myśl o tym, że inny mężczyzna jest teraz z tą piękną kobietą, bardzo go



ekscytowała, a świadomość, że ów mężczyzna jest angielskim szpiegiem, zapewniała dreszczyk niezdrowego podniecenia. Hrabia czuł, że kiedy w końcu posiadzie Dianę Lindsay, nieprędko zaspokoi narastające pożądanie.

Nieplanowane zejście z trasy sprawiło, że Veseul spóźnił się na umówione spotkanie w apartamencie, który wynajmował w dużej, ruchliwej kamienicy, gdzie wychodzenie z domu i powroty o najdziwniejszych porach uchodziły uwagi mieszkańców. Niecierpliwie oczekiwał go wspólnik Biron, mężczyzna o twarzy łasicy, pozbawiony określonego stylu i elegancji, lecz niezmiernie przydatny.

Po omówieniu interesów Veseul wyjął z biurka cygaro i obciął jego koniec.

- Chciałbym umieścić kogoś w domu przy Charles Street 17 - powiedział pozornie obojętnym tonem.

Biron przyjrzał mu się podejrzliwie.

- A kto zasłużył sobie na tak intensywne śledztwo? Mamy ograniczone środki finansowe.

Veseul zapalił cygaro, po czym wolno wypuścił powietrze, patrząc, jak Biron uchyla się przed smugą dymu.

- To tylko prostytutka, ale ma bardzo interesujących klientów. Twój człowiek ma być spostrzegawczy, godny zaufania i absolutnie lojalny. Biron podejrzewał, że przełożony ma swoje osobiste powody umieszczenia obserwatora w domu przy Charles Street, lecz sztywno skinął głową.

- Załatwione.

Biron był ortodoksyjnym rewolucjonistą ograniczonym dogmatami i często irytowało go to, że musi słuchać arystokraty ancien regime'u. Veseul odczuwał złośliwe rozbawienie na myśl o tym, że zdaniem Birona, powinien być zostać zgilotynowany w szczytowych dniach rewolucyjnego terroru. Ten człowieczek o twarzy łasicy miał mały umysł pozbawiony wyobraźni i mimo swej rewolucyjnej gorączki zrobił dla Francji mniej niż arystokrata, którym gardził.

Po wyjściu Birona Veseul na pewien czas pogrążył się w rozmyślaniach; był zadowolony, że sidła zaczynają się zaciskać wokół Diany Lindsay, a wszystko odbywa się tak wolno, że nie będzie nawet przeczuwała, co ją czeka. Hrabia nie był taki jak inni mężczyźni, nie odczuwał gwałtownego pożądania, które musiało być natychmiast zaspokojone. Był koneserem, który wiedział, jak czekać i delektować się zdobyczą. Wyobrażał sobie, jak będzie wyglądała przywiązana do łóżka, gdy jej piękna twarz zostanie zniekształcona świadomością, że nie ma już ucieczki.

Jednakże miał teraz ważniejsze sprawy na głowie niż rozważanie, co będzie robił z prostytutką, nawet tak piękną jak ona. Veseul zabrał się za spisywanie informacji dostarczonych przez Birona, dodając swoje komentarze na temat możliwych konsekwencji, po czym zaszyfrował i przepisał swe sprawozdanie.

Kiedy skończył, starannie złożył papier i sięgnął po ciężką mosiężną pieczęć z herbem Veseulów. Odkręciwszy trzonek, wyjął z niej drugą, sekretną pieczęć z wizerunkiem ptaka powstającego z płomieni - Feniksa.

Diana wykonywała swoje codzienne prace z miną kota, który natrafił na garnek ze śmietanką. Żadne wcześniejsze wyobrażenia na temat miłości nie dorównywały temu, co teraz przeżywała. Nieustannie myślała o Gerwazym, i to nie tylko z powodu łączącej ich namiętności. Chociaż już na samą myśl o kochaniu się z nim zaczynała szybciej oddychać, najbardziej pociągała ją jego nieoczekiwana łagodność i czułość. Był serdecznym, dowcipnym kompanem. Wprawdzie rzadko śmiał się od ucha do ucha, ale trudno było się oprzeć jego krzywemu, samokrytycznemu uśmieszkowi. W jej obecności zmieniał się nie do poznania i przestawał być chłodnym, władczyim człowiekiem. Świadomość, że to ona była przyczyną tej przemiany, napawała ją dumą.

Zaczynało jej zależeć na obecności Gerwazego równie mocno jak na obecności syna. Chciała być oficjalnie kobietą St. Aubyna, w nocy zasypiać w jego ramionach i być uznawaną przez jego przyjaciół. Doszło do swoistego paradoksu - fakt bycia kurtyzaną wymuszał pewne rozwiązania i obciążał ją na całe życie, a przecież nigdy by się nie spotkali, gdyby nie zdecydowała się wkroczyć do świata Pań Swawolnych.

Czasami z niepokojem przypominała sobie, co mówiła jej Maddy: że doprowadził swoją żonę do obłędu i trzyma ją teraz zamkniętą w jakimś zamku w Szkocji. Za tymi słowami kryła się łamigłówka, której nie była w stanie rozwiązać. Wiedziała, że Gerwazy jej pragnie, przynajmniej na razie, lecz wobec kochanek odczuwa się pożądanie, nie miłość. Więc mimo iż zajmowała jakieś miejsce w jego życiu, było ono bardzo niewielkie i niehonorowe. Czy właśnie po to przybyła do Londynu? Miała nadzieję, że kiedyś znajdzie się jakieś rozwiązanie.

Ilekcroć dochodziła myślami do tego problemu, natychmiast kierowała swą uwagę ku innym sprawom, żartowała z synem i przyjaciółkami, doskonaliła się w sztuce rzucania nożem czy zajmowała się pracami domowymi. Przyjęła do pracy francuską kucharkę, która miała bardzo smutne życie, i staczała walkę z Geoffreyem na temat lekcji konnej jazdy.

Nie był to nowy problem. Syn zawsze uwielbiał konie, a odkąd w stajni pojawiła się Fedra, wzmógł swoje prośby o kucyka. Diana miała mieszane uczucia na ten temat. Wprawdzie życie, jakiego pragnęła dla syna, wymagało, by pewnego dnia nauczył się jeździć - mężczyzna, który tego nie potrafił, uchodził za słabeusza i dziwoląga, a w żadnym razie nie życzyła synowi takiej etykiety. Jednakże jazda konna była niebezpieczna nawet dla wytrawnych jeźdźców, a gdyby w czasie jazdy Geoffreyowi przytrafił się atak grand mai albo petit mai, mógłby odnieść poważne obrażenia lub nawet zabić się przy upadku z konia.

Przez ostatnie trzy lata tchórzliwie uciekała od tematu kupna kucyka, mówiąc, że zastanowi się nad tym, kiedy Geoffrey podrośnie, ale teraz czuła, że nie może go już dłużej zwodzić. Chcąc choć trochę zrekompensować chłopcu brak zgody na jazdę konną, pozwoliła mu zatrzymać wychudłego kota, którego uratował przed bandą uliczników. Lecz małe dzieci są bardzo wytrwałe w swej natarczywości i Diana wiedziała, że temat jazdy konnej powróci lada chwila.

Wspominając po latach jesień 1807 roku, Gerwazy przypominał sobie, że musiał wtedy padać deszcz, że niebo londyńskie było szare i zasłane mgłą, że na pewno miał różne problemy i doświadczał życiowych przykrości, ale nie potrafiłby powiedzieć niczego konkretnego na ten temat; pamiętał tylko cudowne dni i ogniste noce. Sprawy państwowe nie kwitły wprawdzie, ale przynajmniej nie miały się gorzej. Udało się przekonać Portugalczyków, by zabezpieczyli swą flotę w Brazylii. Jego sprawy zawodowe układały się pomyślnie, siatka informatorów rozrastała się, a przedstawiciele rządu o różnych orientacjach politycznych musieli przyznać, że w swej pracy kieruje się obiektywizmem.

Lecz to Diana rzuciła na niego czar i opromieniała jego życie. Ciepła i serdeczna, była zawsze przy nim, gdy jej potrzebował. Doskonale wyczuwała jego nastroje, wiedziała, kiedy mówić, a kiedy milczeć, kiedy omdlewać w jego ramionach, a kiedy przejmować inicjatywę, co bardzo go pobudzało. Była tak wspaniała, że czasami nie wierzył, iż to wszystko, co mu się przydarza, nie jest tylko snem. Chyba jedynie płatna kochanka ze zdolnościami aktorskimi mogła tak doskonale dostosować się do jego potrzeb. Gerwazy czasami zastanawiał się, ile w tym wszystkim jest jej własnej natury, a ile udawania. Serdeczność i zmysłowość nie mogły być udawane, w takim wypadku nie byłaby tak przekonująca; miała jednak przyprawiającą o zawrót głowy, wymykającą się wszelkim definicjom aurę tajemniczości, która nie pozwalała domyślić się, jaka jest jej prawdziwa osobowość.

Rzadko zaprzętał sobie głowę podobnymi rozważaniami. Łatwiej było mu zaakceptować ją taką, jaka była. Poddawał się uczuciom i emocjom, których nie rozpoznawał ani nie potrafił określić, i tak upływały mu dni i noce. Dopiero później, gdy te chwile należały już do przeszłości, zdał sobie sprawę, że te dziwne uczucia należało określić mianem szczęścia.

Każdego tygodnia przynosił jej co najmniej trzy perły. Powinien był kupić potrójny, a nie podwójny sznur. Diana przechowywała perły w kryształowym kielichu na toaletce, a wraz z upływem tygodni kielich wyraźnie się wypełniał.

Sam kielich również był prezentem od niego. Należał do rodowego kompletu ciężkich naczyń z weneckiego szkła. Obdarowywanie Diany sprawiało mu wielką przyjemność, a ona

wydawała się tak samo cieszyć z naręcza kwiatów, które pod wpływem impulsu kupił od ulicznego sprzedawcy, jak z cennego misternie kutego zegara kominkowego, który ponoć należał do Marii Antoniny. Prawdę mówiąc, kwiaty spodobały się jej chyba bardziej, sądząc po tym, jak zagłębiła w nie twarz, a potem obdarzyła go słodkim pocałunkiem, zostawiając Pylek na jego policzku.

Wkrótce wytworzył się już pewien zwyczaj. Kilka razy w tygodniu Gerwazy przychodził późnym wieczorem prosto z pracy, jedli razem kolację, rozmawiając i śmiejąc się, a potem się kochali. Czasami wcześniej rano wybierali się na przejażdżkę, kiedy Rotten Row była jeszcze tak cicha jak aleja w wiejskiej posiadłości wicehrabiego. Gerwazy chciał zabierać ją na różne imprezy, na przykład do teatru, ale zawsze odmawiała, z czego w głębi duszy był bardzo zadowolony. Wiedział, że większość mężczyzn chciałaby się taką kobietą jak Diana, on jednak wolał magiczne chwile we dwoje. Ich odosobnienie oszczędzało mu też konieczności zastanawiania się nad tym, którzy ze spotkanych mężczyzn mogą z bliska podziwiać jej niezliczone uroki.

A potem ten cudowny okres dobiegł końca. Zmiany były niemal niezauważalne, chociaż wydarzenie, które je zapoczątkowało, wcale do takich nie należało.

Gerwazy przez sześć dni przebywał w hrabstwie Kent, kontaktując się z przemytnikami, i bardzo, aż do bólu brakowało mu Diany. Usiłował porównywać swój stan do uczuć, jakich doświadczają ludzie z amputowaną kończyną, która długo daje im o sobie znać. Wrócił o dzień wcześniej, nie mogąc doczekać się spotkania, i natychmiast po powrocie wysłał lokaja do jej domu, chcąc się upewnić, że może go przyjąć. Nie wiedział, co zrobi, jeśli Diana odmówi albo odpisze, że jest zajęta, ale gotów był i tak tam pójść i wyrzucić jej kochanka z łóżka.

Dochodziła dwudziesta druga, kiedy go przyjęła. Nie tracił czasu - od razu pocałował ją, jednocześnie wodząc dłońmi po znajomych krągłościach, jakby chcąc sprawdzić, czy wszystko jest takie, jak zapamiętał. Chociaż wyzwalając się z jego uścisku, Diana śmiała się, sprawiała wrażenie zmęczonej. Wyglądała pięknie, ale nie tak nieskazitelnie świeżo jak dotychczas.

- Nie powinienem był cię opuszczać - powiedział żartobliwie, gładząc kciukiem delikatne podkówki pod oczami. - Mam wrażenie, że do mnie tęskniłaś.

- To prawda. - Chwyciła go w pasie i potwierdziła te słowa długim, serdecznym uściskiem, jednocześnie wtulając twarz w zagłębienie jego ramienia. Była to niema prośba o pocieszenie, bez podtekstów seksualnych, i Gerwazego ogarnęło dziwne wzruszenie. Czuł, że jej napięcie mija pod wpływem jego czułości.

- Czy coś się stało? - zapytał po długiej chwili milczenia.

Zawahala się, po czym cofnęła się o krok i pokręciła głową.

- Nic takiego. Zawsze jestem trochę smutna o tej porze roku. Wszystko dookoła jest takie ponure. Przed nami cała zima, a wiosna wydaje się bardzo odległa.

Położył rękę na jej ramionach i poprowadził ją na dół, gdzie zawsze razem jedli kolację. Lubił domową atmosferę kuchni, tak odmienną od śmiertelnej powagi oficjalnych jadalni St. Aubyn House, gdzie sześćdziesiąt osób uroczyście spożywało zimne dania.

- Angielskie zimy rzeczywiście są przygnębiające. Ale nie przeszkadzają mi aż tak bardzo, może dlatego, że urodziłem się w zimie. To moja pora roku.

- Naprawdę? - Diana sięgnęła po grube rękawice kuchenne i podeszła do piekarnika, by wyjąć pieczonego bażanta, którego włożyła tam, gdy lokaj przyniósł wiadomość, że Gerwazy wrócił do Londynu. Postawiła półmisek z bażantem na sosnowym stole, na którym znajdowały się już dwa talerze, otwarta butelka czerwonego wina i duży wybór domowych marynat. - Kiedy są twoje urodziny? Wstyd mi, że wcześniej o to nie zapytałam.

- Na litość boską, Diano, a jakież to ma znaczenie? - parsknął. Nalał wina do kieliszków i nałożył porcje bażanta na talerze. - Ale dla porządku powiem ci, że urodziłem się dwudziestego czwartego grudnia.

- W Wigilię! Jaki wspaniały prezent miała twoja mama! - Zapomniawszy o swoim talerzu, Diana usiadła na ławie obok Gerwazego i przycisnęła się do jego uda.

- Wprost przeciwnie, powiedziała, że połóg zepsuł jej święta. - Rzeczowy ton głosu Gerwazego nie był w stanie ukryć bólu. Matka powiedziała to w charakterystyczny dla siebie sposób, szpila złośliwości była ukryta w gęstym, lepkim miodzie obłudy. Jak zwykle przyciągała i odpychała jednocześnie. Szybko odezwał się znowu, zanim Diana zdążyła zadać kolejne pytanie. - To ciekawe, że nasze urodziny przypadają w dni, które są sobie jakby przeciwstawne, w momentach największego odchylenia Słońca od równika. Twoje urodziny są w okresie przesilenia letniego, kiedy Słońce znajduje się najbliżej bieguna północnego, a moje - zimowego, kiedy znajduje się przy biegunie południowym.

Pokiwała głową.

- Kiedy byłam małą dziewczynką, myślałam, że to wielkie wyróżnienie być urodzoną w noc świętojańską. Momenty przesilenia słonecznego były uroczyście obchodzone we wszystkich pogańskich kulturach. Czym zresztą jest Gwiazdka, jak nie naszą wersją Saturnaliów, wyobrażania sobie, że Słońce powróci, a życie będzie trwać i nie zginie w mrokach wiecznej nocy?

Gerwazy uniósł wzrok znad bażanta i marynowanych cebulek, i popatrzył na nią z

rozbawieniem.

- Skąd się tego wszystkiego dowiedziałas? - Diana ciągle zaskakiwała go swoją wiedzą.

Zarumieniła się nieznacznie.

- Och, gdzieś to wyczytałam. Czy to, że mamy „przeciwstawne” urodziny, oznacza także, że jesteśmy przeciwieństwami?

- Oczywiście - powiedział miękko, spoglądając na nią z dobrze już jej znanym błyskiem w oku. Odłożył widelec i obrócił się tak, by patrzeć na nią. - Jestem mężczyzną, a ty kobietą. Czy może istnieć większe przeciwieństwo?

Ujął jej podbródek i złożył na wargach pocałunek.

- Nigdy nie słyszałaś, że przeciwieństwa się przyciągają?

- Co przyciągają? - zapytała nieswoim głosem. Rozpięła guzik jego koszuli i wsunęła pod nią dłoń; poczuła przyspieszony rytm jego serca.

- Skoro tak szybko zapomniawsz, będę musiał ci przypomnieć. - Otoczył ją ramionami i delikatnie napierał na nią swym ciężarem, aż położyła się na ławie na plecach, śmiejąc się serdecznie.

Ława była wąska i twarda, a kamienna posadzka z pewnością okazałaby się dokuczliwie zimna, więc szybko przenieśli się do sypialni, zanim sprawy nie zdążyły zajść za daleko. Sześć dni rozłąki rozpałiło niezwykle ogień tęsknoty. Kochali się namiętnie i gwałtownie. Gerwazy nie mógł nasycić się Dianą, pragnął się w niej zatopić, poznać każdą tajemnicę jej ciała i umysłu. Odwzajemniała mu się żarliwymi pocałunkami, przywierając do niego z siłą znamionującą wielkie pożądanie.

Po gwałtownym szczytowaniu przez chwilę odpoczywali. Diana przyniosła z kuchni zimną kolację, którą dokończyli w łóżku. Potem znów poczuli ochotę na miłość, lecz tym razem kochali się niespiesznie. Diana leżała na Gerwazym, nadając tempo delikatnymi ruchami bioder.

Później leżeli przytuleni do siebie. Była odwrócona do niego tyłem, czuła jego oddech na włosach, a on obejmował jej piersi. Na ulicach Mayfair gwizdał silny wiatr, lecz Gerwazy nigdy jeszcze nie czuł się bardziej zadowolony i szczęśliwy. Jeśli sześciodniowa rozłąka zaowocowała tak wspaniałymi przeżyciami, to należało zadać sobie pytanie, co by się stało, gdyby nie było go przez dwa tygodnie. Prawdopodobnie nie byłby w stanie znieść tak długiej rozłąki. Trudno jednak było sobie wyobrazić szczęśliwsze zakończenie tego okresu... Miał nadzieję, że Diana zapadnie w tak głęboki sen, że zapomni odesłać go do domu. W tej chwili szczytem jego ambicji było spędzenie z nią całej nocy.

Zdrzemnął się, a kiedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi, był tak rozluźniony, że nie poruszył się, mimo że Diana natychmiast zeszywniała i stała się czujna, a po chwili wyslizgnęła się z jego objęć. Usłyszał cichy szelest, gdy wkładała szlafrok i pantofle, ale nie był w stanie rozróżnić słów rozmowy przy drzwiach prowadzonej ściszymi głosami.

Uczucie zadowolenia zniknęło, ledwie zamknęła za sobą drzwi. Zdenerwowany usiadł na łóżku. Boże, czy to możliwe, że ma innego kochanka, odwiedzającego ją o tej porze? Jeśli tak, to zapewne był nim jakiś zapalony hazardzista, który odszedł od stolika i zajrzał tu, żeby dopełnić wieczornej rozrywki. Dzika furia, która ogarnęła Gerwazego, nie pozostawiła w jego umyśle miejsca na rozsądek. Ubrał się pośpiesznie, szarpiąc koszulę i spodnie przy czerwonym blasku ognia.

Na korytarzu usłyszał odległe kroki Diany i służącej. Udał się za nimi kierowany chorobliwą potrzebą dowiedzenia się, kto ma prawo budzenia jej o tej porze. Mimo ciemności bez trudu odnalazł schody, na które wstąpiła, i wspiał się po nich, pokonując po dwa naraz, cicho jak polujący kot. Wprawdzie dziwiło go, że zamierzała spotkać się z kimś tutaj, ale przecież nie mogła przyprowadzić innego mężczyzny do sypialni, w której spał Gerwazy. Z goryczą zastanawiał się, ile łóżek zawsze trzymała w gotowości. Z uchylonych drzwi pokoju w połowie korytarza na wyższym piętrze sączyło się słabe światło. Na palcach podszedł, by tam zajrzeć, chociaż karcił się w duchu za to, że podjął działanie, które mogło mu przynieść ból.

To, co zobaczył, istotnie wprawiło go w osłupienie, chociaż nie z powodu, jakiego się spodziewał. Konwulsje zawsze są przerażające, szczególnie u tak małego dziecka. Ciało chłopca wyginało się w łuk, całe łóżko się trzęsło, a pokój wypełniały odgłosy rozpaczliwego bełkotania. Diana stała obok z udręczoną twarzą, zręcznie i delikatnie powstrzymując dziecko przed zsunięciem się na podłogę. Gerwazy zauważył, że w pokoju jest także starsza kobieta o surowej twarzy i młoda służąca, lecz jego uwagę przyciągał przede wszystkim dramat rozgrywający się na łóżku.

Wreszcie atak ustał. Zapadła głęboka cisza. Ciało dziecka rozluźniło się, ustały rozpaczliwe oddechy. Diana pochyliła się nad chłopcem i przytuliła go z wielką czułością.

Gerwazy nie był w stanie się poruszyć, rozdarty pomiędzy uczuciem ulgi, że nie poszła spotkać się z innym kochankiem, a chłopcę zazdrością. Ujrzawszy ją tak czule tulącą kogoś innego, poczuł się nagle mało ważny. Zdawał sobie sprawę, że zazdrość o chore dziecko jest godna pogardy, lecz w nim samym również krzyczał mały, zraniony chłopiec.

Niezauważony przez nikogo w ciemnym korytarzu, mógł zabrać ze sobą poczucie własnej krzywdy i odejść, ukrywając je głęboko i nie przyznając się do niego przed samym



sobą. Tymczasem, ku własnemu zdumieniu, zdecydował się wejść do pokoju.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę, lecz on dostrzegł tylko dwie osoby na łóżku, patrzące na niego niebieskimi oczami o tym samym odcieniu. Twarz chłopca wyrażała zaciekawienie, lecz Diana, łagodna Diana, zawsze tak gościnna i nieczyniąca wymówek, patrzyła na swego kochanka z taką furią jak tygrysica, której małe jest zagrożone. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, Francis Brandelin w tej chwili zostałby wicehrabią. Jej nagła wrogość wstrząsnęła Gerwazym. Zastanawiał się, dlaczego jego nadejście spowodowało tak gniewną reakcję. Czy ta Herod - baba ukazywała prawdziwe oblicze Diany, a łagodna kochanka była tylko rolą, doskonale opanowaną przez kurtyzanę?

Mimo natłoku myśli Gerwazy szedł w stronę łóżka. Napięcie panujące w pokoju lada chwila groziło wybuchem i tylko chłopiec wydawał się tego nieświadomy.

- Kim pan jest? - zapytał, bezpieczny w ramionach Diany.

Gerwazy przysiadł na łóżku obok swej kochanki. Łóżko było tak niskie, że musiało zostać wykonane na zamówienie, prawdopodobnie po to, by uchronić chłopca przed skutkami ewentualnego upadku w czasie ataku.

- Nazywam się St. Aubyn. Jestem przyjacielem twojej mamy.

Dziecko z powagą wyciągnęło rękę. Miało tak niebieskie oczy, że Gerwazy nie musiał słyszeć jego słów: „Dobry wieczór. Jestem Geoffrey Lindsay”, żeby zyskać pewność, że ma przed sobą syna Diany.

Chłopiec mocno uściśnął dłoń Gerwazego i przyjrzał mu się uważnie.

- Dlaczego przyszedł pan tak późno? - zapytał.

Gerwazy zauważył, że Diana zeszywniała. Czyżby obawiała się, że nazwie ją prostytutką w obecności dziecka? To tłumaczyłoby jej zaniepokojenie i gniew.

- Wiem, że jest już zbyt późna pora na odwiedziny, ale przebywałem poza miastem i wstąpiłem tu, mając nadzieję, że twoja mama mnie nakarmi - powiedział, kierując swe słowa do Geoffrey a.

Chłopiec uśmiechnął się.

- Mama uwielbia karmić.

- Robi to bardzo dobrze. - Tak jak można było spodziewać się po synu Diany, chłopiec był urodziwy, miał ciemne włosy i niezwykłą u tak małego dziecka dojrzałość we wzroku. Sądząc po uśmiechu, dziedziczył po Dianie również urok i wdzięk. Geoffrey nagle spochmurniał.

- Widział... widział pan, co się działo?

Gerwazy skinął głową.

- Tak. Miałeś mocny atak. To okropnie kłopotliwe, prawda?

Wyraziste oczy rozszerzyły się.

- To pan też miewa ataki?

- Teraz już nie, ale miewałem je, kiedy byłem chłopcem.

Teraz już dwie pary oczu przyglądały mu się w skupieniu. Mimo że Diana wciąż chroniła chłopca ramieniem, Gerwazy był pewien, że jej wrogie nastawienie mija. Przeniosła wzrok z Gerwazego na kogoś stojącego za nim, po czym skinęła głową w odpowiedzi na nieme Pytanie. Usłyszał, jak dwie kobiety wychodzą z pokoju, zostawiając Dianę z synem i kochankiem.

- To znaczy... naprawdę nie tylko ja mam takie ataki? - zapytał Geoffrey z ożywieniem.

- Oczywiście, że nie, kochanie, przecież dobrze o tym wiesz - odezwała się po raz pierwszy matka.

Geoffrey uparcie kręcił głową.

- To ty mi powiedziałaś, że tak jest, ale jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto ma ataki.

A więc chłopiec myślał, że tylko on ma epilepsję, że jest dziwolągiem albo potworem. Gerwazy aż nazbyt dobrze znał takie uczucie.

- Nie jest to wcale tak rzadko spotykane. Kiedy byłem w wojsku, miałem kaprała, który od czasu do czasu miewał ataki. Kiedyś lekarz powiedział mi, że w odpowiednich... a raczej złych okolicznościach każdy z nas może mieć napad. Ja miałem je, kiedy gorączkowałem.

Geoffrey prawie podskoczył na łóżku, wyraźnie zafascynowany.

- Tak samo ja! Mama nie cierpi, kiedy jestem chory, bo mam wtedy więcej ataków.

Gerwazy popatrzył na Dianę, lecz unikała jego wzroku. Choroba syna wyjaśniałaby zmęczenie i napięcie, jakie dostrzegł na jej twarzy zaraz po wejściu do domu.

- Dobrze to rozumiem - powiedział rzeczowym tonem. – Podobno moja mama nie zbliżała się do pokoju dziecinnego, kiedy miałem najłżejszy nawet katar.

Geoffrey wychylał się w stronę gościa, opatulony skłębionymi kocami.

- A jak się pan wtedy czuł?

Gerwazy cofnął się pamięcią o dwadzieścia lat.

- Nigdy nic nie czułem w czasie samego napadu... jakbym spał. Ale pamiętam, że kiedy zaczynał się atak, czułem się jak... jakby ktoś obwiązał moje czoło paskiem i ciągnął do tyłu.

- Właśnie tak! - wykrzyknął chłopiec. - Jakby ciągnął mnie jakiś olbrzym. Czasami udaje mi się go zwalczyć i wtedy nie mam ataku.

- Co? - Diana popatrzyła na syna, zaskoczona. - Czasami udaje ci się powstrzymać atak? Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

Poruszył się niespokojnie i opuścił wzrok.

- Prawdę mówiąc, rzadko mi się to udaje.

- Widzę, że matka dowiaduje się o wszystkim ostatnia - powiedziała, kręcąc głową. Wciąż nie patrzyła na Gerwazego.

- Najgorsze w tym wszystkim były oczy - wtrącił wicehrabia, nagle coś sobie przypomniawszy. - Traciłem świadomość, a kiedy ją odzyskiwałem, leżałem na podłodze, dookoła mnie stali ludzie i przyglądali mi się. Te oczy... - Urwał, zauważywszy, że twarz Geoffreya znieruchomiała. Ten malec wiedział o wiele więcej, niż powinien w swoim wieku. Każdy epileptyk znał te spojrzenia, oczy błyszczące zaciekawieniem, przepełnione strachem lub osłupieniem albo, co najgorsze z możliwych, współczuciem. Geoffrey dobrze o tym wiedział, ale nie chciał o tym rozmawiać w obecności matki.

- A czy nauczył się pan jeździć konno, mimo że miał pan ataki? - zapytał po dłuższym namyśle.

- Oczywiście.

Geoffrey popatrzył pytająco na matkę. Diana uprzedziła nieuchronnie: „A nie mówiłem?”, które syn miał na końcu języka, mówiąc szybko:

- Czy przypadkiem nie powinieneś próbować zasnąć, młody człowieku?

- Nie! W ogóle nie jestem zmęczony. - Zaraz po tych słowach potężnie ziewnął. Jakby ziewnięcie było sygnałem, na łóżko wskoczył młody bury kot. Geoffrey uniósł zwierzątko. - Kiedy miałem atak, Tygryśka przestraszyła się i zeskoczyła na podłogę. Mam ją dopiero od paru tygodni, a już nauczyła się spać na moim łóżku.

- Bystra kotka - powiedział wicehrabia, powstrzymując się od uśmiechu.

- Myślę, że nie byłoby złym pomysłem, gdybyś również postarał się zasnąć na łóżku - powiedziała stanowczym tonem Diana, otulając chłopca i kota kołdrą. - To nie jest pora na długie rozmowy. Poza tym lord St. Aubyn musi już iść do domu.

Niebieskie oczy rozwarły się szeroko.

- To prawdziwy lord?

Gerwazy omal się głośno nie roześmiał. Nie przypominał sobie, kiedy udało mu się zrobić na kimś tak wielkie wrażenie, wcale się przy tym nie wysilając.

- Tak, jestem prawdziwym lordem. Dokładnie wicehrabią.

Chłopiec przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

- A gdzie jest pańska purpurowa szata?

- Noszę ją tylko przy szczególnych okazjach, kiedy nie mogę tego uniknąć. Mam z nią mnóstwo kłopotu, zawsze na nią następuję albo strącam nią naczynia ze stołów - powiedział z powagą Gerwazy. Wstał i wyciągnął dłoń. - Było mi bardzo miło pana poznać, panie Lindsay.

Tym razem uścisk Geoffreya był znacznie słabszy, ale chłopiec i tak znalazł w sobie dość sił, by wyciągnąć na pożegnanie łapkę kotki.

Gerwazy afektownie ujął chudą pręgowaną łapkę. Kotka nie protestowała. Wicehrabia uważniej przyjrzał się zwierzęciu i na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Boże, ten kot ma kciuki! - Tygryś miała długi dodatkowy palec, który wystawał prawie tak samo jak ludzki kciuk, chociaż nie był tak ruchomy.

Geoffrey uśmiechnął się szelmowsko, choć wyraźnie przegrywał walkę o utrzymanie uniesionych powiek.

- Mama mówi, że aż strach pomyśleć, co będą mogły zrobić koty, kiedy wyrosną im kciuki.

Gerwazy popatrzył na Dianę z rozbawieniem, lecz przyglądała się synowi i nie był w stanie dociec, co myśli. Geoffrey zamknął oczy, ale nie chciał jeszcze zasnąć.

- Opowie mi pan kiedyś o wojsku? - zapytał cicho, wyraźnie zmęczony.

- Jeśli tylko będziesz chciał.

Diana gwałtownie uniosła wzrok, lecz powstrzymała się od zrobienia uwagi. Gdy pochyliła się, by pocałować syna w policzek, Gerwazy wyszedł z pokoju i poczekał na nią na korytarzu. Mimo późnej pory chciał omówić z kochanką jeszcze wiele spraw.

Diana czuła, jak twarde wypukłości zamkniętych drzwi wbijają się jej w sztywne plecy. Jej spojrzenie wyrażało gniew, który powstrzymywała w obecności Geoffreya. Błysk rozbawienia w oku Gerwazego nie wpłynął na poprawę jej nastroju.

- Przekonałam się, że pogłoski o tym, że jesteś szpiegiem, nie były bezpodstawne - powiedziała niskim, karcącym głosem.

Wicehrabia nie przejął się jej przyganą.

- Przyznaję, że byłem ciekaw, dokąd idziesz o tak późnej porze. Skoro twój syn jest chory, rozumiem też, dlaczego wyglądałaś na zmęczoną.

- Czas na ciebie.

- Rzeczywiście jest bardzo późno - przyznał - ale nie powinienem jeszcze wychodzić. Jeśli zamierzasz ze mną walczyć, proponuję, byśmy przenieśli się na dół. W korytarzu jest lodowato i mam wrażenie, że trzęsiesz się z zimna.

Piekielnik miał rację, ale trzęsła się nie tylko z zimna, lecz również ze złości. Wyjął świecznik z jej dłoni, otoczył ją ciepłym ramieniem i poprowadził do sypialni. Parę minut później siedziała w fotelu przy kominku, otulona kaszmirową chustą, z kieliszkiem brandy w rękę. Taka troska była dla niej czymś zupełnie nowym i miłym, ale postanowiła, że nie da się łatwo udobruchać.

Gerwazy przykłęknął przy kominku i dodał węgla, by wzniecić żywszy ogień. Wcześniej nalał sobie brandy, a teraz usiadł w fotelu naprzeciwko Diany. Odchylił się do tyłu i skrzyżował nogi w kostkach.

W słabym świetle trudno było wyczytać coś z jego twarzy. Diana nie chciała poddać się jego urokowi, wołała też nie myśleć o tym, co sprawiło im tak wielką radość wcześniej tego wieczoru, więc wpatrzyła się w ogień. Uważała, że jeśli Gerwazy chce z nią porozmawiać, powinien odezwać się pierwszy. Przyjrzał się jej uważnie.

- Dlaczego jesteś taka zła?

- Jeszcze o to pytasz? - zdziwiła się. - Stało się coś niewybaczalnego. Nie wolno ci było wtrącać się w moje sprawy i wchodzić za mną na górę. Bardzo się starałam, żeby Geoffrey nie wiedział o tym, co robię, i aż do dzisiaj to mi się udawało. A teraz...

Najłatwiej byłoby mu odpowiedzieć złością na złość, ale po namyśle przyznał:

- Masz rację. Zawsze miałem w sobie więcej ciekawości, niż potrzeba. Nie przyszło mi do głowy, że mogę postawić cię w trudnej sytuacji i bardzo przepraszam, jeśli do tego doszło. Ale, prawdę mówiąc, wątpię, czy stało się coś złego. Twój syn jest jeszcze bardzo

młody i na pewno bez zastrzeżeń przyjmie to, co mu powiedziałem.

- Teraz będzie w to wierzył, ale kiedy dorośnie, przypomni sobie pewne fakty i zacznie się nad nimi zastanawiać. - Usiadła na podwiniętych nogach, wciąż sztywna i spięta. - Jak będzie się czuł, kiedy domyśli się, że jego matka była prostytutką?

- Dobrze wiem, co poczuje, ponieważ miałem taką właśnie matkę. - Powiedział to z taką goryczą w głosie, że popatrzyła na niego zaskoczona. Gerwazy nigdy nic jej nie mówił na temat swojego życia przed wyjazdem do Indii. - Należałoby raczej powiedzieć, że taki miała charakter, nie zawód - dodał, z trudem przybierając łagodniejszy ton. - Nie, nie sądzę, żeby Geoffrey był zadowolony, gdyby tego się domyślił. Chłopcy stawiają wysokie wymagania swoim matkom... ale na pewno wiesz, że w końcu musi dowiedzieć się prawdy, chyba że go odeślesz.

- Nie mam zamiaru tego robić - powiedziała rzeczowym tonem. - Za kilka lat moja... cena rynkowa znacznie się zmniejszy. Zanim Geoffrey dorośnie na tyle, by zacząć się zastanawiać, będę miała ten okres życia za sobą. Między innymi dlatego wolę prowadzić spokojne życie, bo potem niewiele osób będzie mnie łączyło z niechlubną przeszłością.

Doznał poczucia utraty na myśl o tym, że w przyszłości może jej tu nie być. Byłoby cudownie, gdyby wiecznie mogło go z nią łączyć to co teraz. Chociaż jej uroda z czasem przyblednie, zawsze pozostanie im czułość i namiętność.

Lecz nie był to odpowiedni czas na rozmowy o jej przyszłości.

- Wątpię, czy to jednorazowe spotkanie sprawi, że Geoffrey nabierze podejrzeń i zacznie o tobie źle myśleć. Jeśli nie chcesz, żebym się z nim widywał, wystarczy, że mi to teraz powiesz.

Roześmiała się nieprzyjemnie.

- Coś mi się zdaje, że nie masz pojęcia o dzieciach, prawda? - powiedziała i zamilkła.

- Rzeczywiście, niewiele wiem na ten temat. Proszę, oświeć mnie.

Wypiła łyk brandy i wolno złożyła głowę na oparciu fotela.

- Pierwszą rzeczą, którą zrobi rano, będzie zapytanie mnie, kiedy znów nas odwiedzisz. Potem będzie mi opowiadał o tym, że ty także miałeś ataki. To wielkie przeżycie spotkać kogoś, kto cierpiał na tę samą chorobę. Będzie również szczegółowo wyliczał wszystkie pytania, jakie zamierza ci zadać na temat wojska, a na koniec opowie wszystkim o tym, jak ścisłałeś łapę Tygryski.

Gerwazy roześmiał się głośno.

- Aż tak źle?

Po chwili Diana także się uśmiechnęła. Niezależnie od matczynych obaw. sytuacja nie

pozbawiona była akcentów humorystycznych.

- Może tobie wydaje się to zabawne, ale to nie ty poniesiesz konsekwencje - powiedziała karcącym tonem, starając się zachować pozory oburzenia. - Puszka Pandory została otwarta.

- Masz rację, niewiele wiem na temat dzieci - przyznał - ale to świetny chłopak. Musisz być z niego bardzo dumna.

Znalazł doskonały sposób na rozbrojenie jej, a jak na mężczyznę, który nie miał do czynienia z dziećmi, świetnie sobie radził w rozmowie z Geoffreyem. Coraz trudniej było jej grać urażoną, więc postanowiła zmienić temat.

- Mówiłeś o tym, że miałeś ataki... zrozumiałam, że już ich nie miewasz?

- Skończyły się, kiedy miałem dwanaście albo trzynaście lat. - Wzruszył szerokimi ramionami. - Chociaż te napady uprzykrzały mi dzieciństwo, występowały rzadko. Większość z nich miałem, zanim skończyłem sześć lat. Kiedyś lekarz powiedział mojemu ojcu, że takie ataki często zdarzają się u małych dzieci, a potem ustępują w miarę dorastania, i tak właśnie było w moim przypadku. Ale u twojego syna choroba chyba ma poważniejszy przebieg. Pokiwała głową, wpatrzona w płonące kawałki węgla.

- Tak. Ma teraz mniej napadów *grand mal* niż wtedy, gdy był małym dzieckiem, najwyżej raz w tygodniu, chyba że jest chory, ale za to trwają dłużej. Ma też ataki *petit mal* i zaburzenia świadomości, i te występują częściej. Trwają tylko parę sekund i zazwyczaj nie stanowią problemu, ale gdyby w tym czasie robił coś niebezpiecznego... - Głos jej się załamał. Opanowawszy się, kontynuowała: - Wypytywałam lekarzy, ale żaden nie potrafi powiedzieć, co może przydarzyć mu się w przyszłości.

Niemal wbrew swojej woli poruszyła temat, który spędzał jej sen z powiek.

- A jeśli mu się pogorszy... - Przełknęła z trudem i dokończyła niemal niedosłyszalnie: - Epileptycy umieszczani są w domach dla obłąkanych.

- Geoffrey na pewno nie trafi do zakładu dla obłąkanych. - Jego spokój i pewność podziałały na nią jak balsam. - Jest całkowicie normalny. Chociaż istnieje możliwość, że jego stan się pogorszy, równie prawdopodobne jest to, że będzie taki sam albo nawet się polepszy. Na pewno życie w niepewności nie jest łatwe, ale w końcu na tym świecie nikt nie może być niczego pewien. Wypadek w jednej chwili może zamienić najzdrowszego człowieka w inwalidę. Geoffrey będzie musiał poddać się pewnym ograniczeniom, ale nie aż takim, żeby trudno było je znieść.

Gerwazy pokręcił kieliszkiem z brandy.

- Pamiętam, jakie okropne było uczucie, że własny umysł mnie zawodzi - powiedział

jakby do siebie - ale Geoffrey sprawia wrażenie pogodzonego ze swoją chorobą. Nie ma powodu przypuszczać, że nie będzie mógł prowadzić satysfakcjonującego życia, jakie prowadzą inni epileptycy. Podobno sam Napoleon ma takie ataki.

- Nie jestem pewna, czy uznałabym życie Napoleona za satysfakcjonujące. Niemniej jednak podzielam twój punkt widzenia. - Westchnęła. Słowa Gerwazego były jakby echem jej myśli, ale dobrze było usłyszeć je od kogoś stojącego z boku. Bystrość i pogodne usposobienie syna sprawiły, że został zaakceptowany w szkole. Zapewne da też sobie radę w świecie, gdy podrośnie. - Wiem, że za bardzo się o niego martwię. Staram się nie trząść nad Geoffreyem, ale nie zawsze mi się to udaje. To wielkie szczęście, że ma Madeline i Edith.

- Edith?

- To ta starsza kobieta, która była w pokoju, kiedy tam wszedłeś. Opiekuje się Geoffreyem, domem i wszystkimi jego mieszkańcami. Myślę, że Geoffrey traktuje ją jak babcię, a Madeline jak ulubioną ciocię. - Wpatrzyła się w bursztynowy napój w kieliszku i wyjawiała jedną ze swoich największych tajemnic. - Bardzo go kochamy, ale obawiam się, że w jego życiu jest za mało mężczyzn. To właśnie między innymi dlatego tak bardzo się tobą zainteresował.

- Czy jego ojciec żyje?

Natychmiast zorientował się, że nie powinien był zadawać tego pytania.

- Nie chcę rozmawiać o ojcu Geoffreya - odpowiedziała Diana tonem, który mógłby przeciąć szkło.

Gerwazy miał swoje tajemnice, musiał więc przyznać Dianie prawo do jej sekretów, jednak bardzo ciekawił go ojciec chłopca. Diana mogła być wdową, lecz bardziej prawdopodobne było to, że Geoffrey był nieślubnym synem, co wyjaśniałoby, dlaczego Diana została przedstawicielką najstarszego zawodu świata, a nie szanowaną małżonką. Gerwazy niechętnie myślał o wszystkich anonimowych mężczyznach w jej życiu, lecz poznanie Geoffreya wzbudziło w nim szczególnie rodzaj zazdrości. Chłopiec łączył matkę z jej wcześniejszym kochankiem. Ilekroć spoglądała na syna, musiała myśleć o mężczyźnie, który ją uwiódł. Musiała wtedy być jeszcze prawie dzieckiem.

Gerwazy doskonale umiał łączyć luźne informacje w spójną całość. Jego wcześniejsze obserwacje, a także to, czego dowiedział się tej nocy, sugerowało, że Diana była starannie wychowaną córką dobrze prosperującego kupca albo nawet pomniejszego ziemianina. Potem zakochała się w jakimś przystojnym lekkoduchu, który zapłodnił ją i porzucił, a rodzina wyrzuciła ją z domu.

Nie był w stanie myśleć o tym spokojnie. Nagle poczuł, że zacisnął dłoń na kieliszku



tak mocno, iż złobienia boleśnie wpiły mu się w skórę. Zrozumiał, dlaczego Diana chciała tak wyraźnie oddzielić różne sfery swego życia. Bezbłędnie odgrywała rolę doskonałej kochanki pozbawionej przeszłości czy innych powinności, a on przyjął te nieskomplikowane warunki, by móc się nią nacieszyć.

Teraz nie było to już dłużej możliwe. Wpatrywała się w płonące węgielki, smutna i nieobecna duchem. Jej piękny profil rysował się na tle ognia. Wymykała się etykietom „kochanki”, „ prostytutki” i wszelkim innym określeniom, które można by jej pochopnie przypisać. Była po prostu Dianą, która cieszyła i zadowalała go bardziej niż jakakolwiek inna znana mu kobieta. Jej złość i wrogość tego wieczoru wzbudziły w nim dziwną czułość. Przestała być ideałem z marzeń, stała się rzeczywistą kobietą, która martwiła się o ukochane dziecko i musiała przeżyć bardzo trudne chwile, zanim osiągnęła swój cudowny spokój.

Mimo iż Gerwazy siedział w pewnej odległości od niej, czuł, że jest mu bliższa niż wcześniej, gdy ich ciała były ciasno splecione.

- Przyjedź do Aubynwood na Boże Narodzenie – powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie.

Uniosła głowę, zaskoczona, i odwróciła się w jego stronę. W słabym świetle nie widział wyrazu jej twarzy.

- Chcesz, żebym zatrzymała się w twoim domu?

- Oczywiście. Zapewne wywoła to różne komentarze w Londynie, ale „panowie” mogą robić na swoich włościach, co chcą.

Jego cyniczne słowa wywołały cień uśmiechu na jej ustach. Pokręciła głową.

- To bardzo kusząca propozycja, ale nie mogę jej przyjąć.

- Rozumiem. - Dopił brandy i głośno odstawił kieliszek na stół. - Zapomniałem, że inni klienci będą zawiedzeni, nie mogąc korzystać z twoich usług przez dwa tygodnie. - Był zaskoczony gorzką ironią, z jaką wypowiedział te słowa.

- To nie o to chodzi - powiedziała. Jego poirytowanie wydawało się ją uspokajać. - Większość ludzi z eleganckiego świata będzie w tym czasie poza Londynem, więc mogę wyjechać i nikt tu nie będzie za mną tęsknił. Ale nie mam zamiaru zostawiać syna samego na Boże Narodzenie. On, a także Edith i Madeline są moją rodziną.

- Przyjedź z nim - zaproponował natychmiast. - Przywieź Madeline. Przywieź Edith. Przywieź też francuską kucharkę, jeśli tylko chcesz. Aubynwood jest wystarczająco pojemne, żeby pomieścić całe twoje gospodarstwo.

- Mówisz poważnie?

- Zawsze mówię poważnie - oznajmił, dziwnie zadowolony z tego, że udało mu się ją

zaskoczyć. - To mój nałóg.

Roześmiała się ciepłym, serdecznym śmiechem, który tak bardzo mu się podobał. Podeszła do niego, przysiadła na oparciu fotela i wsunęła rękę w ciemne włosy Gerwazego.

- Będę musiała porozmawiać o tym z Madeline i Edith, ale jeśli się zgodzą, z radością do ciebie przyjadę.

- Czy Geoffrey też ma prawo głosu? - Uniósł rękę i przyłożył dłoń do jej policzka.

- Wiem, że byłby zachwycony, gdyby znów mógł być na wsi.

A więc mieszkali na wsi. Dodał w myślach tę wiadomość do bardzo szczupłego zasobu informacji na temat Diany, przyciągnął ją i pocałował. Miała cudownie miękkie usta, poddające się pieszczotom jego warg i języka. Jej gniew całkowicie się już ulotnił, lecz po chwili uniosła głowę, starając się powstrzymać ziewnięcie.

- Już za późno na kolejny raz, milordzie. Jestem pełna uznania dla twoich sił, ale czuję się tak zmęczona, że mogę zasnąć na stojąco.

Uśmiechnął się i wsunął dłoń w aksamitny rękaw jej szlafroka, by pogłodzić ją po ramieniu. Nie chciał jeszcze wychodzić.

- Mam swój powód, żeby zaprosić cię do Aubynwood. Mam nadzieję, że będziemy tam mogli spędzić całą noc razem. - Kiedy zawahała się, dodał: - Przypuszczam, że tutaj wolisz tego nie robić ze względu na Geoffreya.

Przytaknęła.

- Tak. Geoffrey być może jakoś uwierzy w twoją bajkę o tym, że o drugiej w nocy przyszedłeś tu coś przekąsić, ale trudno byłoby mu wytłumaczyć twoją obecność w moim łóżku. - Po chwili dodała pytającym tonem: - A poza tym mówiłeś, że wolisz spać sam.

- Skłamałem - przyznał. - Zresztą im chłodniej robi się na dworze, tym trudniejsze stają się dla mnie dziesięciominutowe powroty do domu w środku nocy. - Wstał i otoczył ją ramionami. - Rozumiem, że nie możesz zdecydować się na to tutaj, ale w Aubynwood będziemy mogli spędzić ze sobą całą noc. Dom jest tak duży, że jeśli nawet Geoffrey postanowi rano cię odwiedzić, zanim pokona drogę z pokoju dziecinnego do apartamentu gospodarza, będzie już pora lunchu.

Jej cichy śmiech mile łaskotał go w ucho, kiedy niósł ją do łóżka, w którym ją położył, w aksamitnym szlafroku i pantofelkach. Wyglądała na niewiele starszą od swego syna. Popatrzyła na niego spod półprzymkniętych powiek.

- Wiesz. Gerwazy, naprawdę miły z ciebie człowiek.

Uśmiechnął się do niej i złożył delikatny pocałunek na jej czole.

- Nie musisz być tym taka zdziwiona.

Wychodząc z pokoju, słyszał jeszcze jej senny śmiech.

Zaproszenie do wiejskiej rezydencji lorda St. Aubyn stało się tematem ożywionej dyskusji przy śniadaniu następnego ranka. Z początku Edith sprzeciwiła się pomysłowi, twierdząc, że prosta kobieta z Yorkshire będzie w domu lorda jak prosię udające, że jest gościem przy niedzielnym stole, a nie głównym daniem. Jednak pod naburmuszoną miną Diana dostrzegła u Edith zaciekawienie wielkim domem lorda i nietrudno było potem ją przekonać do wyjazdu, obiecując, że jeśli tylko sobie zażyczy, będzie mogła przez cały czas przebywać z Geoffreyem w pokojach dzieciennych.

Geoffrey był zachwycony perspektywą wyjazdu i rozprawiał na ten temat z takim entuzjazmem i siłą, że jego kochające opiekunki zastanawiały się tylko, kiedy wreszcie będzie na tyle zdrowy, żeby móc pójść do szkoły. Madeline, z początku zaskoczona, łatwo zgodziła się na wyjazd, lecz wymowne spojrzenia rzucane Dianie świadczyły o tym, że przy najbliższej okazji zamierzała zadać jej parę pytań.

Taka okazja nadarzyła się kilka dni później, kiedy wybrały się do sklepu tekstylnego, by dokonać wyboru tkanin i ozdób. Diana postanowiła w bożonarodzeniowym prezencie dać Edith suknię w kolorze żywszym niż brązowy i granatowy, w których chodziła na co dzień, więc z uwagą przyglądała się belom materiału sięgającym sufitu sklepu przy Bond Street.

- Maddy, co sądzisz o tej czerwonej welence dla Edith?

Madeline przyjrzała się tkaninie.

- To nie jest odpowiedni odcień. Poszukaj czegoś bardziej szkarłatnego, a mniej karmazynowego.

Jako że Madeline miała doskonale wycucie koloru. Diana posłusznie kontynuowała poszukiwania. Było spokojne popołudnie i sprzedawca odszedł, by mogły w spokoju dokonać odpowiedniego wyboru. Teraz więc same, otoczone belami materiałów i zwojami wstążek, próbowały dokonać zakupu nie tylko dla Edith, ale także i dla siebie.

- Muszę przyznać, że miałas rację co do St. Aubyna - powiedziała jakby od niechcenia Madeline, przykładając szmaragdowy błyszczący jedwab do ciemnozielonej welny. - Myślałam, że to beznadziejnie zimna ryba, ale musi być zakochany, bo inaczej nie zaprosiłby cię, z całą rodziną i bagażami, do swojej wiejskiej posiadłości.

- Mmm, naprawdę tak myślisz? - zapytała ostrożnie Diana. - Powinien zająć się swoim majątkiem, więc pewnie chciał tylko zapewnić sobie towarzystwo na święta, bo i tak musiałby tam pojechać.

Madeline, wyraźnie rozdrażniona, popatrzyła na Dianę i zauważyła w lekko skośnych oczach przyjaciółki dobrze znany wyraz pozornej obojętności. Postanowiła bronić swego

zdania.

- Bardziej prawdopodobne jest to, że St. Aubyn doszedł do wniosku, iż nie wytrzyma tych dwóch tygodni bez ciebie. Widuje cię pięć razy w tygodniu, a gdyby nie musiał tak długo pracować w Whitehall, założyłby obozowisko na naszym progu.

- Jak sądzisz, czy ta wełna nadaje się na poranną suknię dla mnie? - zapytała Diana, unosząc szarą tkaninę do twarzy.

- Nigdy nie powinnaś nosić tego odcienia szarości... i nie próbuj zmieniać tematu.

- Ale jest taka ładna i miękka. Nie chcę z niej zrezygnować. - Diana uśmiechnęła się szelmowsko. - A poza tym, dlaczego nie miałabym zmienić tematu? To ty go podjęłaś, nie ja, i wcale nie chcę o tym rozmawiać.

- Wyrażasz się bardzo dosadnie - stwierdziła kwaśno Madeline. Popatrzyła na szarą wełenkę i pokręciła głową. - Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która kupuje materiały, kierując się dotykiem, a nie wyglądem. - Przyjrzała się Dianie spod zmrużonych powiek. - Nie byłabym zaskoczona, gdyby St. Aubyn ci się oświadczył - powiedziała bez zastanowienia, jakby ta myśl właśnie przyszła jej do głowy.

- A dlaczego nie miałabym wybierać materiałów, kierując się dotykiem? - odparła Diana, ignorując ostatnią wypowiedź Madeline. - Przecież materiał bezpośrednio dotyka mojej skóry, a jeśli miałabym wybierać pomiędzy wygodą a oszałamiającym wyglądem, wybrałabym wygodę.

- Tajemnica dobrego zakupu polega na tym, żeby szukać tak długo, aż znajdzie się coś, co jest równie ładne jak miłe w dotyku, a ta szara wełna nie spełnia obu tych warunków. - Madeline wyjęła materiał z rąk Diany i nawinęła na belę, po czym wyciągnęła tkaninę o głębokim niebieskim odcieniu i przyłożyła do policzka przyjaciółki. - O, ten. Jest równie miękki, a do tego przy nim pięknie błyszczy twoja skóra, a oczy lśnią jak szafiry.

Diana dotknęła materiału - ucieszyła ją jego miękkość.

- Masz rację. Jest równie przyjemny w dotyku i ma wspaniały kolor. - Odłożyła belę na stos innych „do kupienia”.

- Nie chcę cię zadreć gadaniem, ale naprawdę musisz pomyśleć o przyszłości - powiedziała Madeline po chwili wahania. - Wydaje mi się, że bardzo lubisz St. Aubyna. On traktuje cię bardzo dobrze, a ty mruczysz jak kotka, odkąd zaczęłaś z nim sypiać. - Zauważyła, że policzki Diany zabarwił lekki rumieniec. - Zgodzisz się, jeśli poprosi cię o rękę?

Diana w końcu spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

- Dobrze, jeśli tak nalegasz, to powiem ci co myślę - odezwała się ostrym tonem. -

Chociaż podoba mu się moje ciało, jest zbyt szlachetnie urodzony, żeby ożenić się z prostytutką, nawet taką, która zgłasza pretensje do wyższego stanu. Tak, jest dla mnie bardzo dobry, ale jest też bardzo dumny, a ja nie spełniam jego ambicji. Może mieć ochotę na utrzymywanie mnie w roli kochanki w nieskończoność, ponieważ oszczędza mi to wysiłku szukania następcy, ale od tego jeszcze bardzo długa droga do zaproponowania małżeństwa.

Madeline zastanowiła ta niezwykła gwałtowność Diany.

- Nawet najbardziej dumni mężczyźni mogą zaskakiwać swym zachowaniem, kiedy ktoś zamieszka w ich sercu.

Diana parsknęła.

- Jeśli jakaś część lorda St. Aubyn jest naprawdę zaangażowana, to na pewno nie jest to serce.

Madeline uśmiechnęła się. Słuchanie Diany, która próbowała być wulgarna, przypominało jej obserwowanie kotki Geoffreya udającej tygrysięcę.

- Nie liczyłam na to. Ta część męskiej anatomii, o której mówisz, często ma magiczne połączenie z sercem.

Diana starannie zrolowała czerwony aksamit.

- Chyba już zapomniałaś o tej jego obłąkanej żonie w Szkocji - powiedziała chłodno.

- Nie zapomniałam, ale wcale nie jestem przekonana, że taka osoba istnieje. - Madeline uniosła szpulę belgijskiej koronki i przyłożyła kawałek do aksamitu. - Przeprowadziłam dalszy wywiad. Chociaż czasem mglście napomyka się o żonie, nikt nie potrafi powiedzieć niczego konkretnego. Nie byłabym zdziwiona, gdyby to sam St. Aubyn rozpowszechnił tę plotkę, żeby mu się nie naprzykrzano. Czy kiedykolwiek napomknął ci coś o żonie?

- Kiedyś poruszyłam ten temat - przyznała Diana.

- I...?

- Nic nie odpowiedział.

Madeline z trudem powstrzymała się od uśmiechu. Diana miała okazję się przekonać, jak to przyjemnie, kiedy ktoś unika niewygodnych pytań.

- Ciekawe, że nie potwierdził tej plotki. Gdyby była jakaś żona, raczej by cię o tym powiadomił, bojąc się, że możesz zacząć namawiać go na małżeństwo.

- Mówisz o gruszkach na wierzbie! - stwierdziła gniewnie Diana. - Kiedy udaje mu się znaleźć dla mnie czas po wypełnieniu swoich obowiązków zawodowych i załatwieniu spraw majątkowych, wpada do mnie na parę godzin. Pewnie lubi być karmiony i obsłużony pod tym samym dachem, i to wszystko. Pamiętaj, że łączy nas czysto handlowy układ.

Głos Diany załamał się przy tym ostatnim zdaniu, ręka oparta o kontuar zaczęła drżeć. Madeline nakryła ją dłonią.

- Kochasz go? - zapytała cicho.

Diana wbiła wzrok w kontuar, unikając wzroku Madeline.

- Myślisz, że mogłabym popełnić taki błąd, mimo że tak dokładnie wyjaśniłaś mi, dlaczego kurtyzana nigdy nie powinna zakochiwać się w swoim protektorze? - zapytała niepewnym głosem.

- To nie jest odpowiedź.

- A co ja mogę wiedzieć na temat miłości? - próbowała zażartować Diana. - Dopiero niedawno odkryłam pożądanie.

Madeline ścisnęła szczupłą dłoń przyjaciółki.

- Te dwa uczucia się łączą. Seks wiąże z sobą dwoje ludzi, a ponieważ nie spotykasz się z nikim innym, jestem pewna, że musisz znajdować się na najlepszej drodze do zakochania się w St. Aubynie. jeżeli jeszcze się w nim nie zakochałaś. Gdyby się okazało, że kocha cię na tyle, iż gotów jest się z tobą ożenić, przyjąłabyś jego oświadczenia?

Po długim milczeniu Diana odpowiedziała głosem zduszonym od wstrzymywanych łez.

- Może to wszystko jakoś się wyjaśni. Mam taką nadzieję. - Pokręciła głową z nieskrywanym żalem. - Ale naprawdę nie wiem jak.

W grudniu było niezwykle sucho jak na tę porę roku i podróż do Warwickshire przebiegła szybko i bez kłopotów. Lord St. Aubyn udostępnił swój luksusowy powóz z gorącymi ceglami i koszem z delikatesami dla zaspokojenia apetytu. Sam udał się do Aubynwood trzy dni wcześniej, jak twierdził po to, by załatwić parę spraw, ale Diana podejrzewała, że była to tylko wymówka, by uniknąć podróżowania z trzema kobietami i dzieckiem.

Wcale go za to nie winiła. Dziesięć godzin w szybkim, podskakującym na wybojach powozie z Geoffreyem stanowiło trudną próbę nerwów dla każdego, nie wspominając już o tym, że pojazd byłby zatłoczony przy pięciu podróżnych. Służący dostali wolne, by mogli spędzić święta z rodzinami. Francuska kucharka, która nie miała żadnych krewnych, zaproponowała pomoc przy Geoffreyu, jednakże Gerwazy stwierdził, że ma wystarczającą liczbę służących, by zajęli się gośćmi, więc Diana nie wzięła z sobą swojej służby.

Geoffrey był w doskonałym humorze, cieszyły go przesuwające się za oknem widoki. Zazdrościł stangretom, którzy na postojach przy zajazdach wchodzili do stajni. Zapadł wczesny zimowy zmierzch i Diana zdrzemnęła się w rogu powozu, a potem zastanawiała się, czy powinna była zabierać syna do Aubynwood. Na chwilę jej przecucia zostały zagłuszone przez zaniepokojenie kochającej matki. Czy aby nie popełniała wielkiego błędu, pozwalając na to, by syn lepiej poznał jej kochanka? Doznawszy w swym życiu jedynie miłości, Geoffrey będzie spodziewał się tego samego od gospodarza.

Wprawdzie nie zamierzała pozwolić synowi zdręzczać Gerwazego, ale w czasie wizyty ich ścieżki będą musiały się kilkakrotnie przeciąć. Gerwazy okazał dużo cierpliwości w czasie spotkania z Geoffreyem i Diana nie podejrzewała, by celowo był dla niego niemiły, ale trudno było jej sobie wyobrazić, że wicehrabia szczególnie zajmie się dzieckiem.

W pewien sposób byłoby nawet gorzej, gdyby Gerwazy zainteresował się chłopcem. Geoffreyowi bardzo brakowało ojca i z radością przyznałby tę rolę każdemu mężczyźnie, który okazałby mu zainteresowanie. A potem, gdyby bariery odgradzające Dianę od kochanka okazały się nie do przebycia, Geoffrey przeżyłby załamanie po jego zniknięciu. Diana westchnęła i chwyciła się uchwyty przy drzwiach, gdyż powóz gwałtownie podskoczył. Podjęła świadomą decyzję o pozostawieniu spraw ich własnemu biegowi, lecz potem cały tydzień zamartwiała się, czy aby na pewno ma rację. Jak powiedziałyby Madeline, jedynym efektem takiego zachowania są zmarszczki. Błogosławiła Maddy za jej zdrowy rozsądek.

Kiedy powóz zatrzymał się przed Aubynwood. Diana pomyślała, że teraz już rozumie,

co Gerwazy miał na myśli, mówiąc, że jego dom pomieści całe jej gospodarstwo. Rezydencja wyglądała tak, jakby można było w niej zmieścić większą część dzielnicy Mayfair. W Aubynwood był niegdyś klasztor, a średniowieczne budynki z żółtawego kamienia i krążanki, z których większość przetrwała do czasów obecnych, rozpościerały się we wszystkie strony w gęstniejącym zimmerze, tworząc romantyczną scenerię.

Gdy wysiedli z powozu i rozprostowali zdętwiałe członki, Geoffrey wsunął rączkę w dłoń Diany, co dowodziło szczerego podziwu dla tego, co zobaczył. Madeline i Edith wykazały opanowanie, wygładziły spódnice i przygotowały się do wejścia. Gerwazy zstąpił ze schodów, by powitać gości. Diana nie mogła oderwać od niego wzroku. Otaczająca ich ciemność maskowała detale, pozwalając jej za to skupić się na obserwowaniu, jak pięknie, lekko, a jednocześnie z dużą pewnością siebie stąpa Gerwazy. Wrodzona pewność siebie widoczna była w każdym jego geście. A Madeline wyobrażała sobie, że Gerwazy może uznać Dianę za odpowiednią kandydatkę na żonę? Wolne żarty.

Zatrzymał się przed Dianą i skłonił głowę nad jej dłonią, po czym uśmiechnął się do niej tak serdecznie, że nagle myśl o tym, iż naprawdę mu na niej zależy, nie wydawała się już tak niedorzeczna. Ten przemity uśmiech trwał tylko przez chwilę, jako że zaraz potem Gerwazy nadzwyczaj uprzejmie przywitał się z pozostałymi gośćmi. Nigdy dotąd nie spotkał się z Edith. Diana zauważyła, że gospodyni przygląda mu się równie uważnie jak wtedy, gdy kupowała żywy inwentarz. Była zdumiona tym, że Geoffrey przywitał się bardzo poprawnie i nie narzucił się gospodarzowi. Widocznie właściciel onieśmielił go tak jak sama posiadłość.

Do domu wchodziło się przez olbrzymi hol zbudowany w połowie osiemnastego wieku w stylu odrodzonego gotyku. Z pewnością nie był to prawdziwy gotyk. Mimo to był wspaniały, z rzeźbionymi w drewnie barokowymi figurami świętych w niszach, znajdujących się wysoko w pobielanych ścianach, i ogromnym kominkiem. Gerwazy zaproponował, żeby odpoczęli przed kolacją, a ochmistrzyni, pani Russell, zaprowadziła ich do pokoi. Geoffreyowi i Edith, zgodnie z obietnicą, przydzielono pokoje dziecinne, przytulne i oddalone od głównego apartamentu. Madeline i Diana również otrzymały pokoje w sporej odległości jeden od drugiego. Z pewnością nikt nie mógł narzekać na brak prywatności.

Pokój Diany utrzymany w kolorze różu był wspaniały. W kominku wesoło płonął ogień. Stała przed paleniskiem, ciesząc się ciepłem po dniu spędzonym w powozie, w którym panowała niska temperatura. Była przygnębiona. Aubynwood na każdym kroku przypominało jej o przepaści w statusie społecznym jej i Gerwazego. Zupełnie czym innym była fizyczna odległość; tę można było pokonać bardzo łatwo...

Odwróciła się, słysząc jakiś szelest. To Gerwazy wynurzył się z alkowy w końcu



pokoju. Po chwili zaskoczenia uśmiechnęła się. Mogła się była tego po nim spodziewać.

Stał w sekretnych drzwiach i patrzył na nią bez słowa. Był spokojny, lecz jego oczy płonęły, jakby Diana była miłością jego życia i jakby nie widzieli się przez wiele lat. Potem w kilku szybkich krokach przemierzył pokój, objął ją i w skupieniu wpatrzył się w jej twarz.

- Boże, Diano, jak ja się za tobą stęskniłem.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Ogarnęła ją silna namiętność, tym większa, że paradoksalnie podsycona smutkiem, jaki ją ogarnął, gdy poczuła się obca w jego domu. Objęła jego wąskie biodra, a on przytulił ją z całej siły i wodził dłońmi po jej ciele, jakby chciał przypomnieć sobie wszystkie znane miejsca. Nie czuła już zmęczenia, ożywiona spotkaniem. Z pasją odwzajemniała pocałunki, nie mogąc nasycić się jego dotykiem i smakiem.

- Miałem ochotę kochać się z tobą już na marmurowych schodach, a teraz mam ochotę zamknąć drzwi na klucz i nie wychodzić stąd przez dwa tygodnie. - To mówiąc rozpiął jej pelerynę, która opadła na podłogę przed kominkiem, po czym zaczął rozwiązywać pasek skromnej sukni zapiętej wysoko pod szyją.

- Czy moglibyśmy od razu zamknąć drzwi, a dopiero później pomyśleć o planach na dwa tygodnie? - zapytała zduszonym głosem, cały czas świadoma, że lada chwila ktoś może wejść do środka. Spełnił jej prośbę, przekręcając klucz w zamku, po czym powrócił do niej.

Diana niezdarnie rozpiniała guziki u jego spodni rękami drżącymi z emocji i pośpiechu. Być może jej pożądanie miało jakiś związek z tym, że chciała udowodnić sobie, że i ona ma swoje miejsce w tym wielkim domu, nawet jeśli był to tylko tajemny zakamarek.

Gerwazy rozebrał ją zręcznie i szybciej niż służąca. Całował teraz jej szyję i obnażone piersi. Czuła ciepło ognia na gołych nogach, a po chwili delikatną szorstkość chińskiego dywanu pod plecami. Gerwazy pieścił ją, przygotowując ją na przyjęcie go w siebie.

Kiedy uniosła biodra, ogarnęła ich namiętność domagająca się natychmiastowego spełnienia. Przyciągnęła go do siebie, ciesząc się znajomym ciężarem jego ciała, szybkimi pchnięciami jego bioder w upajającym rytmie, który czynił ją niezdolną do myślenia o domu i obowiązkach... czuła tylko wzbierający w niej ogień pożądania.

Wkrótce targnął nimi gwałtowny spazm rozkoszy. Krzyknęła tak głośno, że z zadowoleniem uzmysłowiła sobie, iż sąsiednie pokoje są puste. Gerwazy wciąż ją obejmował, tak że czuła mocne bicie jego serca. Po chwili obrócił się na bok. Miał zmierzwione włosy, a jego czoło perlił pot.

- Przepraszam, Diano - powiedział, gdy uregulował oddech. - Chciałem być dobrym

gospodarzem i naprawdę miałem zamiar pozwolić ci odpocząć po podróży. Ale kiedy cię tu zobaczyłem... - Położył głowę na jej ramieniu.

Diana obróciła się tak, że jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy.

- Nie masz mnie za co przepraszać. Udało ci się odegnać moje zmęczenie podróżą. -  
Chociaż Gerwazy zdjął tylko spodnie. Diana była całkiem naga. Zadrżała, czując powiew chłodnego powietrza na wilgotnej skórze. Widząc to, Gerwazy okrył ją peleryną.

Mimo iż leżeli tak blisko siebie, wydawał się jej daleki, bo miał surową, ściągniętą twarz. Diana pocałowała go delikatnie.

- Czy coś się stało?

Trudno było coś wyczytać z jego twarzy, ale jego milczenie trwało zbyt długo.

- Jesteś... jak nałóg - powiedział w końcu ostrożnie, jakby mówił coś, do czego wolałby się nie przyznawać. - Im więcej z tobą przebywam, tym bardziej cię pragnę.

- I to cię martwi?

- Nie chcę nikogo potrzebować. Nigdy.

Słyszając takie zdecydowane słowa, Diana zastanawiała się, czy w ogóle powinna podejmować z nim dyskusję. Czowała, że udziela się jej jego nastrój, wypierając miłe uczucie zadowolenia. Usiadła i otuliła się peleryną. Skoro nie byli teraz sobie naprawdę bliscy, czowała się skrępowana swą nagością w jego obecności.

Wpatrzyła się w ogień, zastanawiając się, co można powiedzieć człowiekowi, który woli samotność i chce być samowystarczalny.

- Człowiekowi do życia potrzebne jest powietrze, jedzenie, picie i sen. Ale żeby w pełni być człowiekiem, potrzebujemy także innych ludzi. Dlaczego jest to dla ciebie takie trudne do przyjęcia?

Bał się takich tematów, bo groziły ujawnieniem tego, jak bardzo jest bezbronny. Znowu musiała długo czekać na jego odpowiedź.

- Jeśli ktoś potrzebuje jakichś rzeczy, to jest to całkiem bezpieczne... jeden rodzaj jedzenia łatwo zastąpi inny. Ale jeśli potrzebuje ludzi, naraża się na niebezpieczeństwo, ponieważ... daje im wtedy władzę nad sobą.

Nie odrywając wzroku od ognia, podciągnęła kolana i objęła je dłońmi. Poły peleryny opadły obok niej na dywan.

- Czasami tak bywa, ale dlaczego sądzisz, że inni zawsze będą wykorzystywali swą siłę przeciwko tobie?

Zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie.

- Mam złe doświadczenia.

Obróciła się w jego stronę.

- Naprawdę możesz powiedzieć, że wszyscy, na których ci zależało, nadużyli twojego zaufania?

Znów zapanowała cisza.

- Nie. Ryzyko jest tym większe, im bardziej ci na kimś zależy. Jeśli zależy ci tylko trochę, niebezpieczeństwo jest niewielkie. Prawdziwe ryzyko pojawia się tam, gdzie... zaczyna ci na kimś bardzo zależeć.

Współczuła mu, że nie potrafi nawet użyć słowa: „kochać”. Co też mu się przydarzyło, że sama myśl o miłości tak go przerażała? Wstała.

- W takim razie nie grozi ci z mojej strony żadne niebezpieczeństwo - powiedziała nieco kpiącym tonem. - Rozumiem, że niepokoi cię to, iż twoje pożądanie wymknęło ci się spod kontroli, ale seks to tylko „rzecz”, podobnie jak głód czy pragnienie. Poczuj się tym, że już niedługo ci się znudzę i bez trudu zastąpisz mnie inną kobietą.

Odwróciła się, marząc o tym, by wyszedł, by mogła się wypłakać. Zrozumiała, dlaczego Madeline ostrzegała ją przed Gerwazym. Nie należało zakochać się w mężczyźnie, który nie potrafił odwzajemnić miłości. Nawet jeśli los jej sprzyjał, niewiele mogła zdziałać w pojedynkę. Jeśli Gerwazy nie będzie w stanie wykroczyć poza swoje obawy, nie ma dla nich żadnej przyszłości.

Gerwazy również wstał, podszedł do niej, otoczył ją ramionami w talii i przyciągnął do siebie.

- Czy naprawdę myślisz, że tak łatwo uda mi się ciebie zastąpić, Diano? - zapytał łagodnym, smutnym głosem. - Czy naprawdę uważasz, że łączy nas tylko pożądanie, które wkrótce osłabnie?

Zesztywniała, walcząc z ogarniającym ją podnieceniem.

- Nie potrafię odpowiedzieć ci na to pytanie. Tylko ty możesz to zrobić.

- Ale ja nie znam odpowiedzi, a nawet nie rozumiem pytania.

- Nie płacisz mi za tłumaczenie ci pytań - powiedziała, starając się ukryć, jak bardzo rani ją ta rozmowa.

Odsunął się od niej.

- Dobrze, że przypomniałaś mi, jaki mamy układ – stwierdził z chłodną ironią. - Ponieważ chodzi tylko o zwykłe pieniądze, nie istnieje żadne niebezpieczeństwo.

Odwróciła się w jego stronę. Jej lekko skośne oczy patrzyły na niego ze smutkiem.

- To ty to powiedziałeś, nie ja. Jeśli właśnie w to wolisz wierzyć, w takim razie oczywiście musi to być prawda. W końcu klient ma zawsze rację.

Wzdrygnął się, słysząc te słowa.

- Gdybyż to wszystko było takie proste... - Z jego kochanką z Indii, Sanandą, wszystko rzeczywiście było bardzo proste. Łączyły się tylko ich ciała, nigdy umysły i dusze. Położył ręce na ramionach Diany i przyciągnął ją do siebie. - Ale nawet po tym szalonym stosunku, który zaspokoił fizyczne pożądanie, wciąż cię pragnę. I dlatego się ciebie boję.

Złagodniała. Objęła go w pasie i oparła głowę o jego ramię.

- Naprawdę myślisz, że mogłabym cię kiedyś zranić?

Wtulił twarz w jej gęste włosy pachnące bzem i odpowiedział tak cicho, że ledwie słyszała jego słowa.

- Nie wiem. Naprawdę... po prostu... nie wiem. I właśnie to mnie przeraża.

Słyszała wolne, mocne bicie jego serca. Nie potrafiła gniewać się na Gerwazego, bo rozumiała jego ból i smutek. Rozpaczliwie pragnęła uzdrowić go swą miłością. Była szalona, głupia i beznadziejnie naiwna. Zapewne byłoby lepiej dla nich obojga, gdyby wszystko już teraz się skończyło.

- Czy chcesz, żebym wyjechała z Aubynwood? - zapytała, opanowawszy się z trudem.

Przytulił ją mocniej.

- Absolutnie nie chcę, żebyś wyjechała. Chcę... po prostu chcę ciebie. I to jest w tym wszystkim najgorsze.

Po wyjściu od Diany Gerwazy wyszedł na dwór, nie wstępując po płaszcz. Nienawidził się za to, że pragnie Diany, i za to, że ją rani. Ziemia była zimna i twarda jak kamień. Skręcił na ścieżkę, którą zawsze wybierał w dzieciństwie, kiedy uciekał swoim opiekunom. Prowadziła szpalerem gęstych drzew na wzgórze za domem. Obcy w tym terenie nie dostrzegłby żadnej dróżki, lecz Gerwazy dobrze znał trasę.

Na szczycie wzgórza znajdował się belweder, wdzięczna budowla wzniesiona w czasach jego dziadka, która zapewniała schronienie przed dokuczliwym wiatrem. Gerwazy był zbyt spięty, by usiąść na kamiennej ławce, więc przystanął z ręką wspartą o dorycką kolumnę u wejścia. Rożek księżycy mżył bladym, srebrzystym światłem, a otwarta przestrzeń i nocna cisza rozwiewały obawy. W dole rozpościerały się ciemne bryły budynków i ogrody założone jeszcze w średniowieczu. Jak okiem sięgnąć, wszystkie ziemie należały do niego.

Jego słowo stanowiło prawo w Aubynwood i kilkunastu innych posiadłościach, był żołnierzem wyróżniającym się niezwykłym męstwem i zręcznością, a kiedy przemawiał, słuchały go najtęższe umysły Wielkiej Brytanii. Dlaczego w takim razie obawiał się drobnej, łagodnej kobiety? W dodatku kobiety, która zawsze była dla niego ciepła i serdeczna. Oczywiście znał odpowiedź, ale nawet teraz wolał nie myśleć o swej matce i żonie. Kiedy

powiedział Dianie, że większe zaangażowanie pociąga za sobą większą zdradę, miał na myśli właśnie Medorę Brandelin, która mogła służyć za przykład perfidii.

Od kamiennej kolumny wionęło chłodem i Gerwazy poczuł, że drętwieje mu dłoń. Był grudzień... za kilka dni skończy trzydzieści jeden lat. Pierwsza część jego życia została zdominowana przez uczucia wobec rodziców: gniew, rozpacz i poczucie odrzucenia.

W Indiach nauczył się panować nad gniewem, trzymać się na uboczu i nosić maskę chłodnej obojętności. Do tej pory był z tego zadowolony, ale teraz przekonał się, jak bardzo potworna przeszłość okaleczyła go psychicznie. Łatwo mu było tego nie zauważać, kiedy jego związki z kobietami były tylko natury fizycznej, lecz z Dianą łączyło go nie tylko pożądanie i właśnie świadomość, że bardzo mu na niej zależy, wzbudziła w nim istną burzę wątpliwości. Strach przed własną kochanką był wręcz groteskowy, jednak przeszłość tak mocno dawała o sobie znać, że nie był w stanie przyjąć ciepłych uczuć, jakimi go obdarzała.

Po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że obawia się głównie tego, iż stanie się zależny od Diany, że będzie potrzebował jej czułości tak rozpaczliwie, jak teraz pożąda jej ciała. A wtedy, gdy znajdzie się na jej łasce, Diana go zdradzi. Zdawał sobie sprawę, że ta obawa jest pozbawiona podstaw. Diana nie była niewinną dziewczynką jak jego żona i nigdy nie byłaby w stanie wywołać w nim takiego poczucia winy, jakie nieustannie dręczyło go od tamtego wydarzenia.

Nie byłaby też w stanie zranić go równie mocno jak matka. Lady St. Aubyn popełniła wielkie przestępstwo, zdradzając zaufanie syna; a ponieważ Diana nie zajmowała w jego życiu takiej pozycji jak matka, nigdy nie będzie w stanie wyrządzić mu podobnej krzywdy. Poza tym nie potrafił sobie wyobrazić, że Diana celowo rani jakiegokolwiek stworzenie, nigdy nie słyszał, żeby o kimś źle mówiła. Chociaż była kurtyzaną, okazywała mu więcej ciepła i była bardziej szczerą niż jakakolwiek znana mu kobieta.

Stwarzał nieistniejące problemy. Nie miał powodu, by bać się Diany i unikać jej towarzystwa. Nie powinien ranić siebie dziecinnymi obawami. Oboje dobrze wiedzieli, że nigdy nie będzie mogła zostać jego żoną, i ta świadomość tworzyła ograniczenia, które czyniły ich związek bezpiecznym. Z czasem to niezwykle silne pożądanie osłabnie i wszystko stanie się łatwiejsze, chociaż nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek przestał jej pragnąć. Na razie jednak nie widział powodu rezygnowania z namiętności i czułości, które obojgu sprawiały tak wielką radość.

Gdy to sobie uświadomił, ogarnęła go wielka radość i poczuł się tak lekki, że miał ochotę frunąć w stronę domu. Wybrał drogę przez las i już po dziesięciu minutach dotarł do swej rezydencji, rozgrzany szybkim tempem marszu.

Nie był wcale zdziwiony, że zmęczeni podróżą goście odmówili udziału w oficjalnej kolacji. Ochmistrz powiadomił go, że pani Lindsay postanowiła zjeść lekki posiłek z synem w pokoju dzieciennym, a panna Gainford do nich dołączy. Gerwazy był z tego nawet zadowolony, jako że wolał nie występować w roli gospodarza wobec innych gości, dopóki nie porozmawia z Dianą.

Gdy zjadł kolację, było już po dziewiątej i znów wszedł do pokoju Diany przez sekretne drzwi. Siedziała przy toalecie, miała na sobie zielony aksamitny szlafrok i rozczesywała gęste włosy opadające do połowy pleców. Uniosła wzrok. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze, lecz się nie odezwała. Staął za nią, wyjął z jej ręki szczotkę ze srebrnym trzonkiem i delikatnie przesunął nią po jej włosach. Gęste pukle poddały się czesaniu jak żywe stworzenie. Chwycił je dłonią, ciesząc się ich jedwabistością.

- Nigdy nie widziałem takiego koloru włosów jak twój, ale nie wyobrażam sobie ciebie z innymi włosami. Blond byłby zbyt frywolny, rudy zbyt ognisty, czarny zbyt poważny, a brązowy zbyt pospolity. Masz włosy w kolorze dojrzałych kasztanów albo polerowanego mahoni. W świetle świecy wydają się bardzo ciemne, ale mienią się czerwienią i złotem.

Uśmiechnęła się nieznacznie po tych komplementach, jednak głos miała poważny.

- Nie byłam pewna, czy przyjdiesz.

Powrócił do szczotkowania jej włosów. Natrafił na splątany kosmyk i zaczął delikatnie go rozczesywać.

- Przepraszam cię za to, co mówiłem wcześniej. Nie powinienem był tego robić.

Poruszyła się niecierpliwie.

- Ale opowiadając o tym, że nie chcesz się do nikogo przywiązywać, mówiłeś prawdę?

Gerwazy zawahał się.

- Tak - odpowiedział po chwili.

- W takim razie nie przepraszaj za swoje słowa. Wolę twoją szczerość niż milczenie - odpowiedziała spokojnym tonem, choć jej niebieskie oczy posmutniały.

- Nawet jeżeli szczerość jest bolesna?

Wytrzymała jego wzrok w lustrze.

- Tak. Ból jest nieuchronny, ale przecież w życiu czujemy nie tylko ból. Wolę już czasami cierpieć, niż nic nie czuć. Jeżeli za wszelką cenę staramy się uniknąć cierpień i trudności, omijają nas także i przyjemności... i prawdziwe szczęście.

Zaczął gładzić jej szyję przez gęste pasma kasztanowych włosów.

- Wydajesz się taka krucha, a jednak jesteś silniejsza ode mnie.

Uśmiechnęła się blado.

- Jest wiele rodzajów siły. Mam kobiecą siłę radzenia sobie z uczuciami, poddawania się i cierpliwego znoszenia przeciwności losu. Pod innymi względami nie jestem taka silna.

- Jesteś wystarczająco silna, żeby służyć mi za przykład. - Gerwazy odłożył szczotkę i oparł dłonie na ramionach Diany, chcąc nie tylko obserwować ją w lustrze, ale także czuć, jak reaguje. - Jestem już zmęczony swoimi obawami - powiedział, starannie dobierając słowa. - Zależy mi na tobie i byłbym głupi i dziecinny, gdybym próbował temu zaprzeczać. - Mimo swego postanowienia niełatwo przyszło mu dodać: - Będę się starał, żeby już nigdy od ciebie nie uciekać.

Poczuł, że Diana nieruchomieje. Po chwili położyła rękę na jego dłoni.

- Bardzo się cieszę - powiedziała z prostotą.

Na jej twarzy odmalowało się szczęście, a ciepło jej uśmiechu zaczęło kruszyć powłokę, którą opancerzył swe serce. Gerwazy nie był jeszcze gotów, by o tym mówić, nie potrafił też nazwać swych uczuć, był jednak pewien, że wiele się między nimi zmieniło. Pochylił się, by ucałować jej szczupłe palce.

- Ja też.

Diana uniosła głowę. Złączyli się w długim, słodkim pocałunku. Gerwazy bardzo różnił się od mężczyzny, który dotąd pociągał ją i przerażał jednocześnie. Była zdumiona jego reakcją. Ona sama dobrze radziła sobie ze swymi uczuciami i rozumiała, że w życiu bywają chwile smutku i radości, lecz mężczyzna, który, jak się domyślała, został kiedyś głęboko zraniony, musiał wykazać się wielką odwagą, by się odsłonić.

Od czułości do namiętności był już tylko jeden krok. Kochali się powoli, niespiesznie, wiedząc, że mają dla siebie całą noc. Stali się sobie jeszcze bliżsi, tak że osiągając szczyt rozkoszy, Diana czuła się tak, jakby na chwilę połączyły się ich dusze, jakby przekazał jej część swej energii, i wiedziała, że żadne z nich nie jest już samo. Płakała potem, wzruszona pięknem chwili, a także z żalu, że ta chwila była tak ulotna.

- Kocham cię - wyszeptła w przypiływie odwagi, mając nadzieję, że Gerwazy jej nie usłyszy.

Przez chwilę bała się, że posunęła się za daleko, że odczyta jej wyznanie jako żądanie i znów się wycofa. Tymczasem pocałował ją z niezwykłą czułością, a potem przytulił mocno i złożył głowę na jej piersiach. Pogładziła go po ciemnych włosach, zadowolona, że w pokoju jest wystarczająco jasno, by mogła zobaczyć spokój i szczęście na jego twarzy i cieszyć ich się wzajemnym zaufaniem.

Przecucie mówiło jej, że powinna mu opowiedzieć o sobie, o Yorkshire i o tym, jak się tam znalazła, o Geoffreyu, a także o tym, dlaczego postanowiła zostać kurtyzaną. Chociaż nie okłamywała Gerwazego, nie powiedziała mu też prawdy. Miała wielką ochotę położyć kres wszelkim niedomówieniom, lecz mimo panującej między nimi bliskości, obawiała się jego reakcji na tę opowieść i nie chciała psuć cudownych chwil.

Tak więc czas na powiedzenie prawdy upłynął na uśmiechach, uściskach i głębokiej ciszy. Później Diana gorzko żałowała, że nie posłuchała tego, co podpowiadała jej intuicja, i nie opowiedziała Gerwazemu o swej przeszłości, lecz nie wiedziała, jak wysoką cenę zapłaci za swoją słabość.



Gerwazy słusznie przypuszczał, że spędzenie całej nocy z Dianą będzie wspaniałym doświadczeniem. Niemal nie zdawał sobie sprawy, że w ciągu nocy zmieniali pozycje, dopasowując się do siebie w coraz to inny sposób, a rano obudził się zadowolony jak nigdy dotąd. Leżał na plecach i obejmował Dianę, skuloną pod jego ramieniem. Kiedy się poruszył, wolno przesunęła dłoń ku intymnej części jego ciała. Na jego twarzy pojawił się uśmiech; był to wspaniały sposób na rozpoczęcie dnia.

Był to najkrótszy dzień w roku. Wstał późny, blady świt. Jako że wieczorem zamknął drzwi na klucz, służące nie mogły napalić w kominku, więc wyslizgnął się z ciepłego łóżka, by zrobić to samemu. Diana zaprotestowała sennym głosem, lecz poruszenie się Gerwazego wyraźnie ją rozbudziło. Szesał jej włosy do tyłu, zachwycony tym, jak pięknie wygląda o tak wczesnej porze, z zaspaną twarzą i potargana.

- Nie martw się, zaraz wrócę.

Przez cały czas, kiedy wkładał węgiel do paleniska i rozniecał ogień, na jego twarzy gościł uśmiech zadowolenia.

W pokoju wciąż było bardzo zimno, więc kiedy wrócił do łóżka, spodziewał się, że Diana poczeka, aż temperatura trochę się podniesie, ona jednak natychmiast przytuliła się do niego.

- Mmm, ale zmarzłeś. - Po chwili zachichotała. - O, znalazłam coś, co nie jest takie zimne.

Śmiejąc się, dał nura pod kołdrę i chwycił ustami brodawkę piersi.

- Jeśli mi pomożesz, szybko się rozgrzeję.

Poranna miłość miała specyficzny nastrój powolnego budzenia się, po czym z każdą chwilą oddechy stawały się szybsze, a krew żywiej krążyła z podniecenia. Gerwazy z rozkoszą obserwował Dianę w jasnym świetle poranka. Jej twarz doskonale odzwierciedlała przeżycia. Z zachwytem pomyślał, że za każdym razem kochają się inaczej. Zapewne jego pożądanie nigdy nie osłabnie. Ta myśl po raz pierwszy ucieszyła go, a nie przerażyła - był to dowód na to, jak bardzo zmienił się wewnętrznie od poprzedniej nocy.

Już po wszystkim, kiedy leżeli ciasno objęci, Gerwazy powiedział z żalem:

- Muszę wstać i wrócić do swego pokoju.

Diana roześmiała się.

- Naprawdę myślisz, że w całym domu jest choć jeden służący, który nie domyślił się, dlaczego tu jestem?

Uśmiechnął się do niej.

- Mogą się domyślać, ale niczego nie mogą być pewni. Mogą myśleć, że to Edith jest obiektem mojego zainteresowania.

W jej oczach rozbłyły figlarne iskierki.

- Wolisz kobiety w takim wieku, że mogłyby być twoimi matkami?

Zaniepokojona nagłą zmianą wyrazu twarzy Gerwazego, natychmiast zmieniła temat.

- Czy ten sekretny korytarz, z którego korzystasz, przychodząc do mnie, prowadzi do twojej sypialni?

W pokoju było już cieplej. Gerwazy zsunął kołdrę, obnażając tors.

- Tu był tak zwany apartament dla pań. Nie sędzę, żeby mój ojciec korzystał z sekretnego korytarza... grzeszna miłość nie była w jego stylu. Apartament gospodarza znajduje się pod kątem prostym do tego pokoju i dzieli je niewielka odległość. Ponieważ pokoje są połączone, można niezauważalnie przemieszczać się między nimi.

Wsparła się na łokciu i popatrzyła na Gerwazego z zaciekawieniem.

- Naprawdę zależy ci na tym, co ludzie myślą na twój temat? Sprawiasz zupełnie inne wrażenie.

Złożył ręce pod głowę i zamyślił się.

- W ogóle mnie to nie obchodzi, ale z drugiej strony bardzo cenię sobie prywatność. Być może jest w tym jakaś sprzeczność.

Uśmiechnęła się.

- Jeśli nawet nie sprzeczność, to na pewno spora różnica.

Ze swą niewinną twarzyczką i burzą kasztanowych włosów była tak słodka jak pierwsza wiosenna truskawka. Pochylił się i pocałował Dianę w usta.

- Jeśli zaraz nie wyjdę, to minie dobra godzina, zanim będę w stanie to zrobić, a na swoje nieszczęście zgodziłem się obejrzeć stodołę jednego z moich dzierżawców. Może pojechałabyś ze mną?

Naciągnęła kołdrę pod brodę.

- Czy bardzo ci się narażę, jeśli powiem, że tego ranka wolę wylegiwać się w łóżku?

Roześmiał się i opuścił stopy na podłogę.

- Leniuch.

- Przyznaję się do winy, ale mam za sobą długą podróż. - Uśmiechnęła się wymownie.

- No i nie pozwolono mi wypocząć tej nocy.

- No, już dobrze, tym razem ci wybaczam. - Ubrał się szybko, jako że i tak za chwilę zamierzał się przebrać w strój do konnej jazdy. - Sam powinienem być zmęczony. Jakkolwiek

by było, to ja wykonałem większą pracę... a tymczasem aż rozpiera mnie energia.

Wyciągnęła rękę.

- Jeśli po powrocie wciąż będzie cię rozpierać energia, to możesz tu wstąpić.

Roześmiał się, chwycił jej dłoń i złożył na niej pocałunek, po czym otworzył drzwi i poszedł do swego pokoju. Zaczynał rozumieć, dlaczego ludzie decydują się na małżeństwo. Czuł się tak wspaniale, że nawet ta myśl nie była w stanie go zaniepokoić.

Doskonałe samopoczucie nie opuszczało go przez cały ranek. Przebrał się, zadowolony z faktu, że kamerdyner Bonner zdaje się nie zauważać tego, iż pan nie spał w swoim łóżku. Wypił filiżankę kawy i udał się do stajni. Był smutny, szary dzień, a duszne powietrze zapowiadało opady deszczu lub śniegu. Cała posiadłość wydawała się pogrążona we śnie, tak jakby nikomu nie chciało się wyściubiać nosa z domu.

Osiadł konia i wyprowadzał go właśnie ze stajni, kiedy zauważył małą figurkę obok jednego z boksów. Zatrzymał się, rozpoznawszy syna Diany. Geoffreya. Chłopiec stał na palcach przy zagrodzie i podawał koniowi marchewkę. Zwierzę delikatnie ją wzięło i pozwoliło chłopcu pogłaskać się po pysku.

Geoffrey był tak zajęty koniem, że nie zauważył podchodzącego wicehrabiego i gwałtownie podskoczył, przerażony, na dźwięk wesołego „Dzień dobry”.

Odwrociwszy się błyskawicznie, chłopak wytarł rękę o spodnie i przechylił głowę.

- Dzień dobry, sir. - Po chwili niepewnie zapytał: - A może powinienem powiedzieć: „Dzień dobry, milordzie”?

Gerwazy uśmiechnął się. Tego dnia wszystko go bawiło.

- „Milordzie” jest poprawnie, ale prościej jest mówić „sir”, więc możesz tak się do mnie zwracać. Jak ci się podobają moje stajnie?

- Są wspaniale - powiedział Geoffrey z zachwytem w oczach. - Nigdy takich nie widziałem.

Kiedy Gerwazy po raz pierwszy go zobaczył, zauważył przede wszystkim podobieństwo do matki, lecz teraz dostrzegł i różnice. Szerokie, intensywnie niebieskie oczy chłopak odziedziczył po Dianie, ale miał mocniej zarysowane szczęki i ciemne włosy bez kasztanowego odcienia. Dobry humor wicehrabiego trochę przygasł, gdy pomyślał o nieznanym mu ojcu chłopca, i zastanowiło go, czy Diana wie, kto nim jest. Postanowił jednak nie zadrećcać się tymi myślami.

- Jadę do jednego z moich dzierżawców. Pojedziesz ze mną?

Wyprowadził konia ze stajni. Geoffrey dreptał przy jego boku.

- Bardzo mi przykro, sir - powiedział ze smutkiem chłopiec. - Nie umiem jeździć

konno.

- Bo do tej pory jeszcze nie miałeś okazji. Ale będziesz tu parę tygodni. Chcesz się nauczyć? - Przypomniawszy sobie zachwyty malujący się na twarzy małego, kiedy karmił konia. Gerwazy spodziewał się entuzjastycznej zgody.

Twarzyczka Geoffreya rozbłysła ożywieniem, lecz nagle posmutniała. Pokręcił głową.

- Myślę, że mama mi nie pozwoli, sir.

- Dlaczego? - Wyszli na dziedziniec. Gerwazy dosiadł konia i popatrzył na chłopca.

- Boi się, że mogę spaść i się zabić - stwierdził rzeczowo Geoffrey.

No tak; Gerwazy zapomniał o atakach. Potrafił zrozumieć niepokój Diany, ale rozumiał też tęsknotę dziecka.

- Czy powiedziała, że nie chce, żebyś kiedykolwiek nauczył się jeździć?

Geoffrey pokręcił głową.

- Nie, mówi, że muszę poczekać, aż trochę dorosnę. - Po chwili dodał: - Mama... jest bardzo smutna, kiedy musi mówić o tym... o mojej chorobie.

Geoffrey mówił o tym niezwykle poważnie jak na swój wiek, tak jakby wiedział, że jego matka nie do końca ma rację, ale godził się z tym, że biedna nic nie może na to poradzić. Zapewne konieczność radzenia sobie z chorobą uczyniła go dojrzałym ponad wiek.

Gerwazy zdawał sobie sprawę, że nie powinien się wtrącać, ale gdy uniósł lejce, gotów do drogi, i zobaczył wyraz twarzy chłopca, nie potrafił zachować obojętności i wyciągnął ku niemu rękę.

- Możesz ze mną jechać. Jeśli twoja mama będzie się gniewać, wezmę całą winę na siebie.

Geoffrey natychmiast się rozjaśnił. Podał rękę Gerwazemu, który bez wysiłku uniósł go i posadził przed sobą w siodle. Nie była to wygodna pozycja, ale Geoffrey nie protestował. Niezwykle ożywiony, chwycił konia za grzywę.

Pokłusowali na wschód w stronę farmy dzierżawcy. Gerwazy próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek jechał tak ze swoim ojcem. Zapewne nie. Kiedy miał trzy latka, chłopak stajenny udzielił mu pierwszej lekcji jazdy konnej, a własnego kucyka dostał na czwarte urodziny. Poza tym świętej pamięci lord St. Aubyn nigdy nie jeździł dla przyjemności, nie był też zainteresowany towarzystwem dziecka.

Mimo iż Geoffrey z zaciekawieniem rozglądał się na boki, milczał, jak przystało na dobrze wychowanego chłopca. Dopiero po dłuższym czasie zapytał, czy to, że droga, którą jadą, jest taka prosta, oznacza, iż budowali ją Rzymianie, potem zapytał o owce na pobliskim pastwisku i odtąd słowa płynęły mu z ust nieprzerwaną rzeką.

Diana ani trochę nie przesadziła mówiąc o nadzwyczajnych zdolnościach syna do zadawania pytań. Jednakże Geoffrey z uwagą słuchał odpowiedzi, a przed zadaniem następnych robił inteligentne uwagi. Jego entuzjazm sprawił, że długa droga do Swallow Farm minęła bardzo szybko. Mały okazał się zaskakująco miłym towarzyszem.

Dzierżawca Gerwazego, Robbins, powitał swego gospodarza z szacunkiem, lecz bez zbędnego uniżenia. Robbinsowie zamieszkiwali te ziemie tak długo jak Bradelinowie. Jednakże Gerwazy był poirytowany tym, że Robbins ciągle przenosi wzrok z Geoffreya na niego i z powrotem, zapewne zastanawiając się, czy chłopiec jest bękartem wicehrabiego. Bez wątplenia Robbinsowi udało się znaleźć jakieś podobieństwo. Gerwazy powinien był się domyślić, że coś takiego może się zdarzyć; żadne poczynania pana nie przechodziły niezauważone. Tak jak powiedział Dianie, nie przejmował się opinią innych, ale nie cierpiał wścibstwa i niezdrowej ciekawości.

Zostawiwszy Geoffreya koło stajni, gdzie malec z dumą oprowadzał konia, Gerwazy dokonał inspekcji stodoły, przyznając, że dach wymaga naprawy i że niewielka przybudówka pozwoliłaby na zwiększenie hodowli krów. Ze wszystkich farm w majątku właśnie ta przynosiła największy dochód i warta była dodatkowych nakładów finansowych. Podziękowawszy za zaproszenie na herbatę, Gerwazy wyruszył z Geoffreym w drogę powrotną.

Zastanawiał się, kiedy jego młody towarzysz wyczerpie zasób pytań, ale wkrótce zorientował się, że taka ewentualność nie wchodzi w rachubę.

- Czy ta wieś różni się od tej, którą znasz? - zapytał wicehrabia, korzystając z chwili przerwy.

Wypowiedziawszy te słowa, zdał sobie sprawę, że ma ochotę dowiedzieć się czegoś więcej na temat przeszłości Diany w sposób niegodny dżentelmena. Niemniej jednak był zawiedziony odpowiedzią Geoffreya, który po chwili wahania stwierdził tylko:

- Jest trochę inna, sir.

Mimo że Gerwazy był szpiegiem, nie potrafił zdobyć się na dalsze pytanie.

- Nie musisz powtarzać „sir” przy każdym zdaniu.

- Dobrze, sir - odpowiedział posłusznie Geoffrey, lecz Gerwazy wychwycił żartobliwy ton w jego głosie. Nie ulegało wątpliwości, że chłopiec miał duże poczucie humoru. Wicehrabia zastanawiał się, jak by się czuł, mając własnego syna. Nigdy nie miał zbyt wiele do czynienia z dziećmi i myślał o nich tylko w kategoriach przyszłych dziedziców, nie odczuwając żalu, że nigdy nie będzie miał potomka.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie tylko nie zapewnił spadkobierców majątku St.

Aubynów, lecz również pozbawił się możliwości obcowania z własnym dzieckiem, z jego radością i zaciekawieniem. Nigdy nie będzie jeździł konno z własnym synem tak jak teraz z Geoffreyem, nie będzie też miał małej córeczki, w której uśmiechu zawarta byłaby cała słodycz świata, tak jak w uśmiechu Diany...

Zamiast dzieci miał żonę, która wcale nie była jego żoną i nigdy nie będzie miał szansy wymazania przeszłości i posiadania własnego dziecka, o którym tak marzył we wczesnej młodości. Kiedy opuszczał wyspę Mull, miał poczucie końca świata; czuł się skazany na wieczne potępienie za przestępstwo, jakiego dopuścił się względem ociężałej umysłowo niewinnej dziewczyny, którą poślubił. Teraz dokładnie zrozumiał swoją karę; wtedy, w wieku dwudziestu paru lat, nie wyobrażał sobie, że pozna kobietę, która da mu tyle radości i przyjemności co Diana, albo że boleśnie odczuje brak dzieci. Na wyspie Mull stracił o wiele więcej, niż mu się zdawało, teraz jednak potwornie żałował utraconych możliwości, a stary ból powrócił ze zdwojoną siłą.

Oczywiście mógł mieć nieślubne dzieci, ale podejmowane środki ostrożności do tej pory go nie zawiodły, a nie chciał, żeby jego dziecko doświadczyło losu bękart. Czasami podle zastanawiał się, czy jego żona dożyje sędziwego wieku. Może przeiębi się w zimnej, chłostanej wiatrem szkockiej chacie i uwolni go od siebie? Potrząsnął głową, przerażony swoimi myślami. Dziewczyna była biednym pionkiem, przedmiotem rozgrywki między dwoma mężczyznami, jednym pijanym, a drugim szalonym, i nie zasłużyła sobie na swój zły los.

Czując, że coś dzieje się z wicehrabią, Geoffrey nie zadawał już więcej pytań. Chłodna wilgoć wciskała się wszędzie. Gerwazy był zadowolony, że dojeżdżają do domu.

Gdy znaleźli się w pobliżu stajni, rozpoznali stojącą przy furtce Dianę w ciemnoniebieskiej sutej pelerynie.

- Mama jest zła - stwierdził Geoffrey, spojrzawszy na nią fachowym okiem.

Gerwazy również zauważył, że jest zdenerwowana.

- Porozmawiam z nią. Nie chcę, żebyś miał przeze mnie kłopoty.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział uspokajającym tonem Geoffrey. - Mama mówi, że nie należy się spodziewać, że wszyscy będą cały czas grzeczni.

Ta filozoficzna sentencja tak bardzo pasowała do Diany, że Gerwazy odzyskał dobry humor i z uśmiechem zatrzymał się tuż przed nią.

- Dzień dobry, pani Lindsay - powiedział, jakby nie dzielili łoża trzy godziny wcześniej. - Mam nadzieję, że wybaczy mi pani, że zmusiłem pani syna do przejażdżki. To była długa wyprawa i bardzo chciałem mieć towarzystwo.

Diana pokiwała głową, lecz jej twarz pozostała nieprzenikniona. Gerwazy zeskokczył z konia, po czym pomógł zsiąść Geoffreyowi, który natychmiast podbiegł do matki, chwycił ją za rękę i zaczął opowiadać, jak było cudownie, co widział i o tym, że konie są jeszcze wspanialsze, niż mu się wydawało.

Co ciekawe, mimo że miał świadomość tego, iż rozgniewał swą matkę, Geoffrey zwrócił się do niej z ufnością dziecka, które nigdy nie zostało odrzucone. Gerwazy zdał sobie sprawę, że odczuwa piekącą zazdrość o to, iż chłopiec otrzymał tyle miłości, by nigdy nie zwątpić w jej istnienie; był też zazdrosny o uczucia Diany, myśląc, że jeśli okazuje tyle ciepła swojemu synowi, to będzie miała go mniej dla swego kochanka.

Dla jednego z kochanków. Te słowa rozeszły się niemiłym echem w jego myślach. Gerwazy przypuszczał, że ma uprzywilejowaną pozycję, lecz był tylko jednym z wielu mężczyzn w jej życiu. Oczywiście najbardziej kochała swego syna. Kochankowie przychodzili i odchodzili, a dziecko cały czas było przy niej. Zazdrość o dziecko była oczywiście śmieszna, wręcz groteskowa. Chłopiec najprawdopodobniej był bękartem obciążonym poważną chorobą i czekała go niepewna przyszłość, zwłaszcza że jego matka była tylko luksusową kurtyzaną.

A jednak mimo to był zazdrosny. Jak by się czuł, mogąc w każdej chwili podbiec do Medory Brandelin i wiedząc, że zawsze ciepło go przyjmie, mimo różnych grzeszków i niedociągnięć? Gdyby nie musiał ciągle badać nastrojów matki, zastanawiać się, czy jest tak zaabsorbowana swoim najnowszym kochankiem, że nie będzie miała czasu dla syna, czy też wystąpi u niej jeden z krótkich napadów matczynych uczuć i będzie domagać się od niego hołdu?

Takie myśli nie powinny zaprzętać głowy dorosłego mężczyzny i Gerwazy przeklinał w duchu swoją słabość. Z opanowaną twarzą podał stajennemu lejce.

Geoffrey przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia tchu. Diana uśmiechnęła się.

- Edith cię szuka, kochanie. Pamiętaj o tym, co powiedział pan Hardy. Codziennie musisz odrabiać lekcje, bo inaczej będziesz miał zaległości w szkole.

Geoffrey zmarszczył czoło.

- Dobrze, mamó - powiedział posłusznie.

Czule pogładziła go po włosach.

- W takim razie biegnij. Przyjdę do was na herbatę. A teraz chcę porozmawiać z lordem St. Aubyn.

Szczęśliwie nie domyślając się ukrytego znaczenia jej słów, Geoffrey skłonił się wicehrabiemu i popędził przez dziedziniec w stronę domu. Gerwazy odprowadził go

wzrokiem. Czując się winnym swej niemądrej zazdrości, postanowił pomóc chłopcu w realizacji jego zamierzeń.

Diana popatrzyła na niego poważnym wzrokiem.

- Możemy przejść się po ogrodach? Nawet o tej porze roku jest tam tak pięknie.

Zgodził się i podał jej ramię. Okrążyli dom i weszli do rozległych ogrodów. Chociaż ziemia pod ich stopami była twarda, a na klombach nie było kwiatów, ogrody Aubynwood robiły imponujące wrażenie. Minęli labirynt, potem krzewy przyszczyżone w najprzeróżniejsze ozdobne kształty. Diana czuła, jak ustępuje towarzyszące jej napięcie.

- Przepraszam, że Geoffrey ci się naprzykrzał. Postaram się, żeby nie wchodził ci w drogę.

- Nie musisz mnie przeproszać - powiedział Gerwazy. - Był bardzo miłym towarzyszem. Proszę, nie gniewaj się na niego o tę jazdę. Uprzedził, że będziesz niezadowolona, ale go namówiłem.

Zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Nie gniewam się. - Popatrzyła na niego swymi cudownie niebieskimi oczami o długich rzęsach. - Wiem, że nie powinnam być nadopiekuńcza w stosunku do Geoffreya. To, że jest otoczony i rozpieszczany przez kobiety, wcale nie jest dla niego korzystne. Ale tak się boję, kiedy pomyślę, co się może stać...

Chociaż Gerwazy nie mógł wiedzieć, jakie obawy trapią rodziców, Diana zauważyła wyraz zrozumienia na jego twarzy. Wyszli z ogrodu z małymi labiryntami i przeszli do części z kwietnikami.

- Każdy, kto dosiada konia, czasami spada na ziemię i zawsze istnieje jakieś ryzyko doznania obrażeń. Ale skoro mówisz, że Geoffrey rzadko miewa ataki, niebezpieczeństwo w jego przypadku nie jest większe niż u innych dzieci uczących się jeździć konno. Ja jakoś przeżyłem, mimo napadów epilepsji.

- Wiem, że masz rację. - Diana przełknęła z trudem i wpatrzyła się w zwirową ścieżkę, chrzęszczącą pod ich stopami. - I wiem też, że jeśli nie nauczy się jeździć konno i wielu innych rzeczy, których uczą się chłopcy w jego wieku, nie będzie mógł prowadzić takiego życia, jakiego bym mu życzyła. Nawet... - Urwała, po czym powiedziała: - To nie chodzi tylko o ataki *grand mal*. One występują rzadko, częściej ma chwile zagapienia. Wtedy łatwo może spaść z konia.

- W takim razie musi nauczyć się upadać.

Diana popatrzyła na Gerwazego, niezdecydowana. Zatrzymał się i chwycił jej dłoń.

- Będziecie tu kilka tygodni. Pozwól mu poznać podstawowe zasady obchodzenia się z



końmi. Jeśli chcesz, będę uczył go osobiście. Nie będzie miał lepszej okazji. Jest w odpowiednim wieku na rozpoczęcie nauki, a twoje obawy nie zmniejszą się z wiekiem.

Widząc, że Diana się waha, dodał:

- Oczywiście istnieje pewne ryzyko, ale życie w ogóle pełne jest ryzyka. Nawet jeśli teraz jest posłuszny, skąd wiesz, że kiedyś nie będzie miał do ciebie pretensji, jeśli będziesz trzymać go zbyt krótko? Czy to niebezpieczeństwo nie jest równie wielkie jak ryzyko, że dozna fizycznego urazu?

Pokiwała głową, patrząc na ich złączone dłonie, czując, jak jej zdrętwiałe palce ogrzewają się w jego ręku. Słowa Gerwazego zwróciły jej uwagę na coś, co dotąd starała się ignorować. Czy pozwolenie na to, by najważniejsi mężczyźni w jej życiu lepiej się poznali, okaże się trafną decyzją, czy doprowadzi do klęski? Odwołała się do swojej intuicji, lecz przeżywała zbyt wiele emocji, by wsłuchać się we właściwą odpowiedź. Geoffrey mógł mieć wypadek w czasie jazdy konnej, a z drugiej strony bardzo potrzebował męskiego towarzystwa. Jak mogła mu tego zabronić, skoro Gerwazy był chętny do zajęcia się jego edukacją?

- Nie pozwolę, by stała mu się krzywda. Diana - powiedział Gerwazy, jakby wyczuwając jej wahanie.

- Jesteś taki dobry - powiedziała cicho. - O wiele lepszy, niż zasługuję.

- Wprost przeciwnie - rzekł beznamiętnie. - To ja nie zasługuję na to, co mi dajesz.

Popatrzyła na niego, zastanawiając się, jakie myśli kryją się pod tą surową, urodziwą twarzą. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła go u Harriette Wilson, była nim zafascynowana, a jednocześnie przerażona jego męską siłą. Wkrótce przekonała się, że jest zupełnie inny, niż się spodziewała, że pod maską chłodu kryje się mężczyzna, który potrafi być szczodry, wspaniałomyślny i wrażliwy. Nawet teraz wciąż zaskakiwał ją swą dobrocią, może dlatego, że nigdy nie spodziewała się doznać jej od mężczyzn.

Nie prawił jej pięknych miłosnych słówek, lecz jego postępowanie, opiekuńczość i odpowiedzialność były dla niej znacznie cenniejsze. Była zadowolona, że jest wart miłości, jako że nie mogła nic poradzić na to, że go kocha. Wspięła się na palce i pocałowała go delikatnie. Przez chwilę rozkoszowała się dotykiem jego warg, po czym cofnęła się.

- Dziękuję ci, Gerwazy - wyszeptała.

Miał piękne oczy, czyste jak zimowe niebo. Był szlachetnym człowiekiem, a ona była tak nieuczciwa względem niego. Jeszcze raz zastanowiła się, czy nie wyznać mu teraz prawdy o swojej przeszłości. I kolejny raz, bojąc się, że zepsuje nastrój chwili, nie skorzystała z okazji.

Ponieważ czas uciekał, a nic nie wskazywało na to, by pogoda miała ulec poprawie, lekcje konnej jazdy zaczęły się jeszcze tego popołudnia. Po konsultacjach z masztalerzem wicehrabia wypożyczył dobrze ułożonego, łagodnego kucyka od jednego z dzierżawców, którego dzieci dorosły na tyle, by dosiadać większego zwierzęcia. Geoffrey zaniemówił z przejęcia, lecz Gerwazy nie spodziewał się, by chłopiec mógł długo pozostawać w tym stanie.

Za radą wicehrabiego lekcje odbywały się bez Diany. Zaczęli w stodole, pośród sterty siana, sięgającej kucowi do brzucha. Dapple z zadowoleniem żuł trawę, podczas gdy Geoffrey ćwiczył upadki, ucząc się przybierania bezpiecznych pozycji, rozluźniania mięśni i unikania obrażeń. Chłopiec uznał to za świetną zabawę i raz po raz osuwał się na siano, popiskując z uciechy, dopóki zwijanie się w kłębek nie weszło mu w nawyk.

Następnym etapem była nauka bezpiecznego utrzymywania się w siodle. Gerwazy kazał chłopcu pochylać się, zginać i skręcać we wszystkie strony. Trudność polegała na tym, by pozostać w siodle nie dotykając wodźców. Czasami Geoffrey wychylał się zbyt głęboko, co dawało mu okazję do ćwiczenia dodatkowych upadków.

Po upływie półtorej godziny Gerwazy uznał, że jego wytarzany w sianie uczeń ma dosyć jak na pierwszy raz, i wrócili do domu, by wraz z resztą towarzystwa napić się herbaty. Następnego dnia osiągnęli postęp, okrążając padok częściowo wyścielony sianem. Od czasu do czasu Gerwazy niespodziewanie spychał chłopca z grzbietu kuca.

Warstwa siana na padoku była cieńsza niż ta w stodole, więc i upadek nie tak miękki, lecz Geoffrey nadal przyjmował wszystko z niesłabnącym entuzjazmem.

Z początku wicehrabia zaproponował te lekcje, żeby zagłuszyć w sobie wyrzuty sumienia, lecz wkrótce stwierdził, że podobają mu się niemal tak samo jak Geoffreyowi. Nie sposób było nie podziwiać zręczności i miłego usposobienia dziecka; Gerwazy zaczynał szczerze lubić Geoffreya dla niego samego, nie tylko jako syna Diany. Przestawało go nawet gnębić pytanie o ojca chłopca i o to, co ten człowiek znaczył dla Diany.

Uważnie obserwując swego ucznia, Gerwazy zauważył kilkakrotnie chwile zagapienia, kiedy wzrok Geoffreya stawał się dziwnie nieobecny, a słowa rwały się w pół zdania, jeśli akurat coś mówił. Na szczęście dla przyszłej jeździeckiej kariery jego ciało nie wiotczało; kolana i ręce pozostawały pewnie na swoim miejscu. Jeśli tylko nie poruszał się galopem, ataki zaliczane do *petit mals* mogły nie powodować większych problemów. Może nawet wówczas nie byłyby groźne, choć skoki przez przeszkody stanowiły już osobne zagadnienie.

Z mieszanymi uczuciami radości i zażenowania wicehrabia zdał sobie sprawę z tego, że chłopiec zaczyna traktować swego nauczyciela z czcią należną bohaterowi; starał się go zadowolić, cytował jego słowa, a nawet naśladował gesty i ruchy. Ponieważ Geoffrey nie posiadał ojca, wydawało się całkiem naturalne, że okazywał przywiązanie mężczyźnie, z którym spędzał wiele czasu. Gerwazy uważał wprawdzie, że zupełnie nie nadaje się do stania na piedestale, lecz sądził, że poradzi sobie jakoś przez trzy krótkie tygodnie.

Pierwsze lekcje odbywały się wczesnym popołudniem, kiedy dzień był najcieplejszy, ale przed Bożym Narodzeniem wyszli z domu rano, żeby później Geoffrey miał czas pomagać przy świątecznych dekoracjach. Tym razem Gerwazy otrzymał małą, lecz przerażającą próbkę tego, z czym Diana musiała żyć od lat.

Geoffrey szybko robił postępy, więc tego ranka Gerwazy trzymał kuca na długiej lonży, wodząc go po kole, najpierw w prawą stronę, potem w lewą. Byli w połowie lekcji, kiedy Geoffrey bardzo wyraźnie powiedział:

- Niech to licho! - Następnie ściągnął wodze i gdy kuc się zatrzymał, zsunął się z siodła.

Nim Gerwazy zdążył zapytać, dlaczego przerwał jazdę, ciało Geoffreya wygięło się w łuk w pierwszej fazie ataku. Chłopiec upadł na miękką ziemię, wydając z siebie okropne zdławione dźwięki. Poprzednim razem Gerwazy był obecny przy ataku jedynie jako widz. Teraz był jedyną osobą w pobliżu i odpowiadał za bezpieczeństwo małego.

Głośno wzywając stajennego, puścił wystraszonego kuca i pobiegł na przelaj przez padok do Geoffreya. Choć wiedział, że chłopcu raczej nie grożą urazy, trudno było nie poczuć lęku na widok gwałtownych konwulsji. Nie był w stanie nic zrobić, pozostawało mu jedynie czekać, aż atak minie, pilnując, by Geoffrey nie uderzył się o coś, co mogłoby go zranić.

Po jakiejś minucie Geoffrey rozluźnił się, a jego oddech powrócił do normy. Zmiana nastąpiła tak nagle, że łatwo przychodziło zrozumieć, dlaczego w dawnych czasach tego rodzaju ataki uznawano za diabelskie opętanie. Chłopiec wiedział, co zaszło, choć jego niebieskie oczy miały półprzytomny wyraz.

- Przykro mi, sir - mruknął przepaszająco. Długie, ciemne rzęsy, tak podobne do rzęs Diany, zatrzepotały. - Jeśli pomoże mi pan wsiąść na Dapple'a, to się poprawię.

Był to zaiste imponujący przykład dzielności. Przetykając dziwny ucisk w gardle, Gerwazy otarł twarz chłopca z kurzu, a potem rzekł niedbale, jakby lekcja przerwana atakiem była czymś najzupełniej normalnym:

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy, staruszk. Jeśli teraz nie odpoczniesz, możesz przegapić wigilijną uroczystość.

Wciąż nieco oszołomiony, Geoffrey pokiwał głową. Wicehrabia podniósł go z ziemi i zaniósł do domu. Nim dotarli do dzieciennego pokoju, chłopiec zasnął mu na rękach. Kiedy Gerwazy kładł go na łóżku, zjawiała się Diana, zaalarmowana przez służbę. W jej szeroko otwartych oczach widniało przerażenie.

- Nie ma się czym martwić - rzekł uspokajająco Gerwazy. – To był atak, nie wypadek na koniu. Odpocznie trochę i nic mu nie będzie.

Odetchnąwszy, Diana zajęła się przygotowywaniem syna do snu, a Gerwazy wyszedł, żeby poczekać na nią w sąsiednim pokoju, służącym kiedyś za salę do lekcji. Pojawiła się po dziesięciu minutach, już całkiem spokojna, choć ze śladami troski na twarzy. Wicehrabia wykorzystał fakt, że nikogo nie było w pobliżu, by dodać jej otuchy uściskiem.

- Zdarzyło się coś bardzo ciekawego. Najwyraźniej Geoffrey czuł, że będzie miał atak. Ściągnął wodze, zatrzymując kuca w miejscu, i zsiadł, nim się zaczęło. Jeśli zawsze będzie mógł tak zrobić, jazda konna nie będzie dla niego bardziej niebezpieczna niż dla innych.

- Doprawdy? - Diana uniosła brwi. - Wygląda na to, że mówi ci o swoich atakach to, czego mnie nigdy nie mówił. - W jej melodyjnym głosie pobrzmiwała nuta zawodu.

- Może jest przekonany, że już ci to mówił. - Gerwazy urwał, przypomniał sobie, co Geoffrey mu powiedział, - A może nie poruszał tego tematu, bo wie, że nie lubisz rozmawiać o jego chorobie.

Diana zacisnęła usta, zaskoczona myślą, że synek nie ma ochoty rozmawiać z nią o pewnych sprawach.

- Nie dlatego, że się boi, tylko dlatego, że nie chce ci sprawić przykrości. To normalne, że pragnie się chronić tych, których się kocha.

Wykazał wiele taktu. Diana objęła go w pasie, na moment opierając głowę na jego ramieniu.

- Jesteś niezwykle spostrzegawczy jak na człowieka, który ma niewielkie doświadczenie z dziećmi.

Ramię Gerwazego stężało.

- Mam niewielkie pojęcie o dzieciach jako takich, ale z Geoffreyem chyba rozumiemy się całkiem dobrze.

- Cieszę się. - Nie patrząc na niego, Diana spytała niepewnie: - Myślałeś kiedyś o tym, by mieć własne dzieci?

Zesztywniał, odsuwając się od niej.

- Mam szczerą nadzieję, że to czysto teoretyczne rozważania.

Nie od razu zrozumiała, o co mu chodzi. Ze śmiechem przeszła w drugi kąt pokoju i

przysiadła na zniszczonej brzozowej ławce, używanej przez kilka pokoleń Brandelinów.

- Nie, nie mam powodów sądzić, że jestem w ciąży. Zawsze, kiedy jesteś w pobliżu, zachowuję środki ostrożności. - Spojrzała na niego zalotnie spod długich rzęs. - Doświadczenie mnie nauczyło, że wszystko może się zdarzyć, w każdej chwili, więc lepiej się zawnoczu przygotować.

Odpęrzył się, słysząc jej zapewnienie. Diana wróciła do swego wcześniejszego pytania, bardzo ciekawa odpowiedzi.

- Nigdy nie chciałeś mieć własnych dzieci? Ostatecznie większość mężczyzn w twojej sytuacji chce mieć potomka, który odziedziczy nazwisko. A niektórzy pragną dzieci dla nich samych.

Natychmiast przybrał poważny wyraz twarzy.

- W moim życiu nie ma miejsca na dzieci. - Na moment jego rysy ściągnął dziwny grymas, którego nie potrafiła rozszyfrować - złość, a może żal? - ale głos brzmiał beznamiętnie, kiedy powiedział: - Moja linia jest skażona i powinna wygasnąć. Są inni dziedzice, bardziej wartościowi.

Te surowe słowa zmroziły ją. Co sprawiało, że sama myśl o dzieciach wydawała mu się odpychająca? Czyżby w jego rodzinie zdarzały się przypadki szaleństwa albo jakiejś innej przypadłości, która jego ominęła, lecz mogła się odezwać u następnych pokoleń?

- Jak sam mówiłeś dwa dni temu, ryzyko dotyczy wszystkich żyjących. Czy twoja krew jest aż tak skażona, byś się wyrzekł szansy zobaczenia, jakie będą twoje dzieci? Nigdy nie miałeś ochoty, żeby podzielić się swoim doświadczeniem albo odkrywać świat na nowo przez młode oczy?

Uczucia, których nie był w stanie stłumić, przez moment zagościły na jego twarzy.

- Nie chcę z tobą o tym rozmawiać - powiedział szorstko po chwili milczenia. - Ani teraz, ani nigdy.

Trudno byłoby jaśniej postawić sprawę; wyznaczył granicę, której miała nie przekraczać. Jednak choć próbował się ukryć za swoją dobrze wyćwiczoną powściągliwością, wyczuwała stan jego ducha dzięki niewidzialnym więzom, które ich łączyły. Te więzy drgały od napięcia, niczym zbyt mocno zaciśnięte pęta, i Diana czuła jego ból, spowodowany nie tylko ich konfliktem, ale i starszym, głębszym urazem, którego wciąż nie mogła zrozumieć.

Nie miała nic do zyskania, a wiele do stracenia, gdyby zechciała zgłębiać drażliwy temat, więc ustąpiła, kiwając głową. Ławka, na której siedziała, miała blat pocięty przez liczne pokolenia znudzonych uczniów: przesunęła dłonią po narożniku, gdzie widniał napis: „St. Aubyn”. wyryty równymi, lekko pochyłymi literami. Wyciął je Gerwazy czy może jakiś

inny, dalszy Brandelin? Jakim dzieckiem był Gerwazy? Ponurym, bez wątpienia, i sumiennym.

- Wiedziałaś, że podobno pszczoły w ulu brzęczą setny psalm w wigilię Bożego Narodzenia? - spytała z zadumą. - Mówi się też, że zwierzęta rozmawiają ze sobą o cudownych narodzinach, ale biada człowiekowi, który chciałby ich posłuchać.

Atmosfera zrobiła się nieco lżejsza. Gerwazy także nie chciał dopuścić do rozdźwięku między nimi, więc skwapliwie wykorzystał zmianę tematu.

- Nigdy nie słyszałem o pszczołach. Zawsze sądziłem, że w zimie popadają w stan hibernacji czy czegoś w tym rodzaju. - Podeszedł do okna umieszczonego nisko pod okapem i spoglądał na pochmurny poranek. Szarawe światło nadawało jego twarzy chłodny odcień marmurowej rzeźby. - Tu, w Warwickshire, mówi się, że w wigilijny wieczór zwierzęta o północy zwracają się na wschód i składają hołd nowo narodzonemu królowi.

Diana parsknęła śmiechem.

- Cóż za wspaniałe rzeczy zdarzają się w noc twoich urodzin. Obejrzał się mile zaskoczony.

- Pamiętałaś?

- Oczywiście. - I nieśmiało dodała: - Mam dla ciebie prezenty urodzinowe. Miałam zamiar poczekać do wieczora, ale będzie już późno i w efekcie nie będziesz już miał urodzin.

Gerwazy wyglądał na zaskoczonego, jakby był o wiele bardziej nawykły do dawania niż otrzymywania.

- Chyba teraz jest najlepsza pora.

- Świetnie - zgodziła się Diana, zadowolona, że tak łatwo udało się wybrnąć z napiętej sytuacji. - Zejdziemy do mojego pokoju?

Już na dole upewniła się, że korytarz jest pusty, nim zaprosiła gościa do swojej sypialni. Do tej pory zawsze zakradał się tajemnym wejściem, więc obecne posunięcie wydawało się dość śmiałe. Kiedy byli już w środku, podeszła do szafy i wyjęła elegancki męski szlafrok, uszyty z ciemnoniebieskiego aksamitu, sięgający niemal do samej ziemi, żeby dobrze chronić od przeciągów.

- Wybrałam ten materiał, bo jest cudownie miękki - powiedziała, wręczając mu prezent. - Domyślałam się, że nie bardzo dbasz o to, by ci było ciepło, więc postanowiłam sama o to zadbać.

Podziękował z uśmiechem. Pogładził aksamit, wyczuwając dłonią jego pobudzającą zmysły gładkość. Diana miała rację, sam nigdy by nie wybrał takiego materiału. Miał w sobie zachęcające ciepło, czym przypominał samą Dianę. Sprawiała mu wielką przyjemność, szyjąc

ten szlafrok własnoręcznie.

- Pomyślałam... - ciągnęła trochę zawstydzona - że będzie ci wygodnie trzymać go w moim domu. Bywasz tam tak często.

Przyznawała w ten sposób, że zajmuje stałe miejsce w jej życiu, co sprawiło, że prezent wydał mu się jeszcze lepszy. Podziękował jej pocałunkiem; fałdy szlafroka oddzielały ich od siebie. Z ochotą podała mu usta, ale cofnęła się, nim zdążył się bardziej zapędzić.

- Jest coś jeszcze.

Znowu podeszła do szafy i tym razem wyjęła płaski prostokąt wielkości około dwóch stóp, owinięty srebrnym papierem. Gerwazy ostrożnie rozpakował paczkę i aż wstrzymał oddech, ujrawszy, co jest w środku. Miał w rękach oprawioną w ramy mapę Królestwa Jana Prezbitera, z pięknie wyrysowanymi w najdrobniejszych szczegółach fantastycznymi zwierzętami i innymi cudami świata. Mapa była bardzo stara, narysowana i pokolorowana z wielką starannością; musiała być cenna, ale nie to było najważniejsze. Na chwilę ze wzruszenia odjęło mu mowę. Że też pamiętała ową rozmowę o chłopięcych marzeniach...

Podniósłszy wzrok, napotkał jej niespokojne spojrzenie. Była w nim nadzieja, że sprawiła mu przyjemność.

- Jest piękna, Diano. Nie tylko... - Urwał, po czym dodał wolno: - To są dwa najbardziej osobiste prezenty, jakie w życiu otrzymałem. Dziękuję ci.

Posłała mu uśmiech promienny niczym poranek.

- Tak się cieszę. Chciałam ci podarować coś szczególnego.

Odkładając mapę na stół, przyciągnął Dianę do siebie do kolejnego pocałunku. Trzymając jedną dłoń na jej karku, a drugą obejmując pośladek, jednocześnie czuł delikatność i siłę. Po długiej, wypełnionej pieśczołą przerwą, odezwał się cichym, zmysłowym głosem, jakiego używał tylko w sypialni.

- Istnieje jeszcze inny prezent, także wyjątkowy, który tylko ty możesz mi dać. Mamy prawie godzinę, nim podadzą lunch.

Pokój rozbrzmiał jej perlistym śmiechem.

- Zamknij drzwi, kochanie, a dam ci go z największą radością.

Wigilijny wieczór upływał w rodzinnej atmosferze, zupełnie dotąd nieznaney Gerwazemu. Diana i jej bliscy nawet w domu Gerwazego mogli stanowić zamknięty krąg, a stało się wręcz przeciwnie - delikatnie i bez jakiegokolwiek nachalności zadbano, żeby czuł się jak najlepiej. Kobiety przystroiły salon zielenią, jemiolą i bluszczem oraz kolczastymi gałązkami ostrokrzewu, na których odcinały się jaskrawą czerwienią koraliki jagód. W wielkim kominku płonęły potężne szczapy. Diana zadbała też o tradycyjny wieniec z jemioli,

pod którym wszyscy się całowali, co stanowiło główną atrakcję świątecznej zabawy. Wieniec zwisał z sufitu, opleciony bujną zielenią, przystrojony świeczkami i maleńkimi ozdobami, wyciętymi ze złotej folii.

Geoffrey wykonał świąteczne karty dla wszystkich dorosłych, nie wyłączając wicehrabiego. Były to typowe laurki robione przez dzieci w wieku szkolnym; jaskrawe, kolorowe kartoniki zawierały stosowne życzenia, starannie wykaligrafowane dziecinnym pismem. Gerwazy był podwójnie wzruszony, po pierwsze faktem otrzymania daru, po drugie wyraźną radością ofiarodawcy, że dar został doceniony.

Po uroczystej kolacji służba odeszła do swoich pomieszczeń, żeby świętować we własnym gronie, pozostawiając gospodarza i jego gości przy bożonarodzeniowych zabawach, takich jak lwia paszcza. W czasach swego upływającego w dostatku, lecz samotnego dzieciństwa Gerwazy nie miał okazji poznać radości siedzenia w zaciemnionym pokoju i wyławiania rodzynków z płonącego rumu tak, by nie sparzyć sobie palców. Geoffrey z zachwytem uczył go „pieśni lwiej paszczy”.

*Jęzor mam niebieski,  
trzeba się go strzec.  
Tych, co nie dość zręczni,  
palce będą piec!  
Hej ha, paszcza lwia!*

Większość ludzi dobrze знаła takie proste przyjemności, lecz dla Gerwazego było to zupełnie nowe odkrycie. Siedzieli, śmiali się i opowiadali różne historie, popijając gorący poncz i pogryzając babeczki z leguminą, wonne od przypraw, z ciasta tak kruchego, że łamało się w palcach. Edith ujawniła niespodziewany talent do snucia opowieści; trzymała słuchaczy w napięciu, zręcznie naśladując postaci świętego Jerzego, Tureckiego Rycerza i innych bohaterów starych legend.

W wieczór wigilijny nie obowiązywała codzienna godzina pójścia do łóżka, więc Geoffrey w końcu zasnął z głową na kolanach matki. Gerwazy zaniósł go do dziecinnego pokoju i poczekał, aż chłopiec umości się w pościeli z wyrazem anielskiej błogości na buzi. Nieco później wicehrabia zaniósł do łóżka także Dianę, lecz z nią już pozostał. W radosnym uniesieniu oddali się najstarszym obrzędom świętowania życia.

Dni mijały niepostrzeżenie. Diana jeszcze nigdy nie widziała Gerwazego tak odprężonego. Początkowo, kiedy zostali kochankami, zachowywał dystans, dotykał jej tylko w przyływie namiętności, a teraz stale okazywał jej czułość, gdy byli sami, choć w obecności innych nadal zachowywał stosowną powściągliwość. Lubił, kiedy była w pobliżu;



rankiem, gdy przeglądał przesyłki z Londynu, siadała w drugim końcu biblioteki, w zasięgu jego wzroku, przerabiając lekcje z Geoffreyem. Chociaż wicehrabia oddawał się lekturze ze skupieniem, czasami czuła na sobie jego spojrzenie. Podnosiła wówczas głowę, by popatrzeć w jego czyste szare oczy, w których nie było już wcześniejszego chłodu i ostrożności. Mimo iż dzieliła ich cała długość pokoju, Diana odnosiła wrażenie, że dosięgnęła ją jego pieśczoła. Kiedy indziej, grając na fortepianie w pokoju muzycznym, dostrzegła, że specjalnie ją odnalazł, by czerpać przyjemność zarówno z jej obecności, jak i z muzyki.

Jeśli tylko pogoda na to pozwalała, wybierali się na wspólne przejażdżki konne, a po dwóch tygodniach Geoffrey, pokraśniały z dumy, dołączył do nich na swoim kucyku. Edith cieszyła się, że może znowu być na wsi, a Madeline, traktująca każdą chwilę życia jak podarek od losu, była spokojna i szczęśliwa. Wszyscy, których Diana kochała najbardziej na świecie, przebywali w Aubynwood. Pragnęła, by pozostali tam razem na zawsze i już nigdy nie wracali do londyńskiego fałszu i zobowiązań, lecz pomimo jej życzeń czas płynął nieubłaganie, przybliżając dzień wyjazdu.

Minęło dwanaście dni od Bożego Narodzenia. Codziennie zjadali po babeczce z leguminą, co miało im zapewnić powodzenie w nadchodzącym roku. Potem zielone ozdoby zostały zdjęte i uroczyście spalone, i wkrótce zaczęło się pakowanie. W noc poprzedzającą ich planowany wyjazd zaczął padać śnieg; nie były to pojedyncze, cienkie płatki typowe dla wczesnej zimy, lecz solidny, jednostajny opad. Geoffrey został ułożony do snu, Madeline i Edith również taktownie się wycofały. Diana i Gerwazy nie mogli sobie znaleźć miejsca. Wreszcie Gerwazy zaproponował spacer.

Przechadzali się po ogrodach otoczonych wysokim żywopłotem. Diana trzymała Gerwazego pod rękę. Krzewy odcinały się czernią na białym tle ziemi. Spacerowali wolno, bezszelestnie. Panowała całkowita cisza, w nieruchomym powietrzu nie czuło się ukąszeń mrozu. Byli jak Adam i Ewa północy, tylko we dwoje na początku świata. Gerwazy zawsze lubił cudowną świeżość padającego śniegu, szczególnie nocą, kiedy każdy najmniejszy błysk światła potęgował się, odbity od śnieżnej bieli, rozpraszając mrok łagodną poświatą.

Diana zastanawiała się głośno, czy pogoda nie uniemożliwi im opuszczenia Aubynwood. Gerwazy pokręcił głową.

- Prawdopodobnie nie. Na ziemi leży zaledwie parę cali śniegu, a pada coraz słabiej. Do północy pewnie całkiem przestanie. Wygląda na to, że nadal będzie zimno, więc droga pozostanie twarda i będzie można podróżować z powodzeniem.

Diana westchnęła z żalem, a potem uniosła twarz ku opadającym płatkom, ciesząc się jak dziecko z ich chłodnych muśnięć. Patrząc na nią w rozmytym, słabym świetle, po raz

kolejny zachwycił się jej urodą. Była taka śliczna, że od samego patrzenia na nią ból ścisnął mu serce. Jej kształtną, pociągłą twarz okalał kaptur ciemnoczerwonego aksamitnego płaszcza, który Gerwazy podarował jej na Gwiazdkę. Płaszcz został uszyty na jego specjalne zamówienie, podbity pięknym, kosztownym futrem z rosyjskich soboli, tak ciepłych i wytwornych jak sama Diana.

Przez trzy tygodnie należała wyłącznie do niego. Nagle myśl, że w Londynie będzie musiał się nią dzielić, wydała mu się nie do zniesienia.

Znaleźli się daleko w głębi ogrodu, całkowicie sami. Gerwazy zatrzymał się, odwrócił do niej i gwałtownie porwał ją w ramiona. Wydawało mu się, że w miarę upływu czasu narastająca zażyłość ostudzi pasję, ale stało się wręcz odwrotnie. Po trzech tygodniach przebywania ze swoją kochanką w dzień i w nocy pragnął jej mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Delikatna zachęta jej ust, przecucie rozkoszy ukrytych w jej ciele, pełnia jej oddania, wszystko to było o wiele mocniejszym afrodyzjakiem niż uroki nowości.

Tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy doszło między nimi do zbliżenia, pragnął ją do siebie przywiązać namiętnością, ale zrezygnował z tego, wiedząc, że jako kurtyzana rozdziela swe względy według własnego uznania. Teraz nie chciał się już z tym godzić i gotów był użyć wszelkich dostępnych mu sposobów, żeby ją zatrzymać wyłącznie dla siebie.

Diana przywarła do niego gorącym pocałunkiem, jakby i ona nie mogła znieść zakończenia ich cudownego wiejskiego interludium. Miała zamknięte oczy; na rzęsach skrzyły się drobinki lodu. Noc była chłodna, lecz tam, gdzie ich ciała się stykały, płonął ogień.

Zdjął rękawiczki i objął ją ramionami. Stali tak blisko siebie, że nie mógł się między nich wcisnąć najmniejszy powiew zimnego powietrza. Wsunął rękę w fałdy jej płaszcza, pod miękkie puszyste futro. Pod śliskim jedwabiem sukni ciało Diany promieniowało ciepłem. Objął dłonią jej pełną pierś. Wstrzymała oddech, kiedy brodawka zeszywniała pod dotykiem jego palców. Pieścił ją wolno, czując, jak odpowiada lekkim drżeniem. Przesunął dłoń niżej, przez miękkie linie talii i biodra, aż dotarł do najwrażliwszego miejsca u zbiegu ud.

Poddała mu się bez reszty; jej gotowość rozpałała mu zmysły niemal do szaleństwa. Cienka przeszkoda sukni ustąpiła uniesiona w górę i odnalazł sekretną głębię, gorącą z oczekiwania. Diana rozchyliła usta, wydając z siebie zduszony okrzyk.

- Chcę, żebyś była moja, Diano, tylko moja - szepnął jej do ucha.

Jego objęcia dawały jej oparcie, bez nich nie byłaby w stanie utrzymać się na nogach. Chłód jego palców na rozgrzanym ciele stanowił dodatkową podniecie.

- Obiecuj mi, Diano, że nie będzie nikogo innego - rzekł głosem zduszonym, lecz

natarczywym jak rozkaz.

Resztki świadomości mówiły jej, że Gerwazy wykorzystuje namiętność, by ją nakłonić do złożenia obietnicy, której wcale nie chciała mu dawać. Przez opary pożądania przedarł się gniew. Nie tylko panował nad nią fizycznie i seksualnie, ale chciał jeszcze więcej. Naprawdę sądził, że może ją zniewolić, wykorzystując jej miłość i pragnienia? Jak mówiła Madeline, seks był bronią, ale obosieczną, i ona także mogła się nią posłużyć.

Nie odpowiadając na jego słowa, powiodła dłonią po dobrze znanych i kochanych konturach mocnego męskiego ciała, czując, jak drży pod jej dotykiem. Wprawnie rozpięła guziki płaszcza, a potem uklękła na śniegu, chwytając go za rękę i pociągając za sobą. Przywarła ustami do jego ust w przeciągłym, głębokim pocałunku. A kiedy już brakło mu słów i oddechu, położyła się na plecach, wciągając go na siebie.

Leżeli na śniegu jak na puchowym łożu; fałdy jej futra chroniły ich przed zimnem od spodu, a jego płaszcz okrywał ich z góry. Zbyt podniecony, by oprzeć się jej zachętom, wszedł w nią i na moment ich ciała zespoliły się w jedność. Wciągnął głęboko zimne powietrze i oprzytomniawszy na tyle, by panować nad zmysłami, wycofał się. Poczucie utraty było tak silne, że aż krzyknęła z tęsknoty. Pochylony nad nią, tak że jego ramiona i nogi osłaniały ją przed zimnem, zażądał chrapliwie:

- Obiecaj mi.

Choć pragnęła go rozpaczliwie, nie ustąpiła.

- Kochaj mnie, Gerwazy, tak jak ja cię kocham - szepnęła. Wsunęła ręce pod jego płaszcz, obejmując go, przesuwając dłońmi po smukłych, twardych mięśniach, napiętych do granic możliwości. Przyciągając go mocno do siebie, powtórzyła szeptem:

- Kochaj mnie, proszę.

Kiedy unosząc nieco biodra przyłgnęła do niego, nie był w stanie dłużej się opierać. Wszelkie słowa i żądania wyleciały mu z głowy. Śnieżna noc, ogród, to, że choć w pełni ubrani, byli złączeni tak bardzo, jak tylko może być złączony mężczyzna z kobietą, zawładnęło nimi bez reszty. Całkowicie poddani odwiecznemu instynktowi, poruszali się w dzikim, szaleńczym rytmie.

Intensywność doznań była tak wielka, że szybko doprowadziła ich do szczytu rozkoszy. Diana wydała z siebie krzyk, w którym ekstaza mieszała się z bólem. Gerwazy zaczerpnął powietrza i wszedł w nią ostatni raz, po czym zastygł wstrząsany dreszczem. Znowu zapadła cisza, przerywana jedynie urywanymi oddechami i cichym świstem wiatru w zaroślach osłaniających ich ustronie. Leżeli bez ruchu przez dłuższą chwilę, z twarzą przy twarzy, w miękkim cieple sobolowego futra. Czuła coraz spokojniejsze bicie serca kochanka.

Żadne z nich nie miało ochoty się odezwać, bo oboje wiedzieli, że słowa mogą tylko zakłócić harmonię ich fizycznej bliskości.

W końcu, wciąż leżąc na niej, unióśł głowę i dotknął jej policzka, delikatnie, lecz bez wcześniejszej zmysłowości. Widziała nad sobą jego twarz o niemożliwym do odczytania wyrazie. Kiedy się odezwał, jego głos był chłodny i beznamiętny, tak samo jak dotyk, jakby pytanie nie miało dla niego większego znaczenia.

- Dlaczego musisz się widywać z innymi mężczyznami, Diano? Dla pieniędzy? Jeśli chcesz więcej, wystarczy, że poprosisz.

Gniew, który czuła wcześniej, powrócił, gdy sobie przypomniała, jak próbował wykorzystać chwilę namiętnego uniesienia. Chciał nad nią panować. Próbował posłużyć się tym, co powinno pozostać między nimi najbardziej uczciwe i prawdziwe. Starła się stłumić odruch niechęci, pamiętając, jak bardzo różnił się od niej w poglądach i charakterem. Nadal jednak uważała, że Gerwazy zawiódł jej zaufanie. Nie odzywała się, próbując okiełznać galopujące myśli.

- Skoro nie chodzi o pieniądze, to o co? Czy ja cię nie zaspokajam? - spytał po dłuższej chwili milczenia. Nadal utrzymywał lekki ton, ale fizyczna bliskość pozwalała jej wyczuć napięcie, z jakim wyczekiwał odpowiedzi.

Trudno było rozmawiać o poważnych sprawach, kiedy leżeli spleceni ze sobą, a w dodatku Diana zaczęła odczuwać chłód ciągnący od ziemi mimo warstwy ciepłego płaszcza. Pchnęła go lekko, co natychmiast odebrał jako sygnał, by się odsunąć. Podniósł się i pomógł jej wstać. Poczowała się nagle zziębnięta i opuszczona. Szybkim, bezosobowym gestem otrzepał jej okrycie ze śniegu, a potem ujął dłonie Diany, próbując je ogrzać.

- Musisz mi odpowiedzieć - nie dawał za wygraną.

- Wiem - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem. - Spytałeś, dlaczego chcę być wolna i móc się spotykać z innymi mężczyznami. Sugerowałeś dwa powody, ale żaden z nich nie jest prawdziwy.

- Jeśli nie chodzi ani o pieniądze, ani o żądzę, to co pozostaje? Upodobanie do rozwiązań, bo potrzebujesz odmiany albo lubisz rządzić mężczyznami.

Tym razem jego głos brzmiał raniąco ostro. Uświadomiła sobie z nagłą jasnością, że toczą ze sobą ukrytą walkę i jeśli zgodzi się należeć tylko do niego, on będzie zwycięzcą. Ona pozostanie w roli kochanki, wygodnej i bezpiecznej, a on zachowa wolność, pozwalającą mu się skupić na ważnych męskich sprawach, bez zbędnych starań o względy kobiety.

Być może ich związek miał swe korzenie w seksie i pieniądzu; z innymi, głębszymi przyczynami Diana nie była jeszcze gotowa się mierzyć, ale wiedziała z całą pewnością, że

pragnie od niego miłości. Gdyby ją kochał tak, jak ona jego kochała, wszystkie przeszkody dałoby się pokonać. Gdyby się poddała teraz, oboje by przegrali.

I ona, i Gerwazy nosili w duszy ciemne blizny, które jedynie miłość mogła uleczyć. W języku serca to ona musiała być nauczycielką, ponieważ umiała dawać i brać miłość, podczas gdy Gerwazemu ciężko było się zmusić nawet do wypowiedzenia na głos tego słowa. Jeśli mieli spędzić razem życie, musiała toczyć z nim walkę, musiała go nakłonić, by otworzył serce i wpuścił ją do środka.

Nie chciała żadnego innego mężczyzny, o żadnym nawet nie pomyślała od czasu spotkania Gerwazego, ale nie zamierzała mu składać obietnicy, której się domagał. Dopóki nie był jej pewny, musiał sobie zadawać pytanie, ile ona dla niego znaczy, a z czasem mógł dojrzeć do tego, by jej zaoferować miłość. Dopiero to dałoby im obojgu wolność.

Ścisnęła jego dłonie i szybko pochyliła głowę, opierając czoło na jego mocnym ramieniu. „Kurtyzana nie powinna się nigdy zakochiwać w swoim protektorze”. Wiedziała, że go zrani i sama także będzie cierpieć jego ból. To, co zamierzała zrobić, było niebezpieczne, ponieważ miłość mogła się okazać dla niego uczuciem zbyt obcym i przerażającym, by ją przyjął. Istniała możliwość, że Gerwazy raczej ją opuści, niż przyzna się do uczuć, które by go uczyniły bezbronnym. Mimo to instynkt wciąż jej podpowiadał, że odmowa jest właściwym wyborem. Jeśli teraz stchórzy, na zawsze pozostanie na marginesie jego życia. Myśl, że może go stracić, napawała ją grozą, ale tylko podejmując ryzyko, miała szansę naprawdę zdobyć mężczyznę, którego kochała.

Po chwili dalszego namysłu wiedziała już, co powiedzieć, знаła słowa, które były uczciwe i mogły mu wskazać drogę. Uniósłszy głowę, próbowała spojrzeć w jego przejrzyste szare oczy, ale ciemność na to nie pozwoliła.

- Nie, to nie pieniądze, nie seks. nie władza i nie rozwiązłość. - Odpychane powiewem jej oddechu płatki śniegu odpływały bezszelestnie. - Nade wszystko pragnę mężczyzny, który by mnie szczerze kochał i którego ja mogłabym kochać. - Po zastanowieniu dodała: - Pragnę małżeństwa, dzieci i godnego miejsca na świecie.

Wciąż trzymał ją za ręce, ale jego dłonie były sztywne, nieruchome.

- Nie mogę ci dać żadnej z tych rzeczy.

- Nie proszę cię o nie. - Odetchnęła, po czym spokojnie mówiła dalej: - Nie chcę niczego, czego byś mi nie dał z własnej nieprzymuszonej woli. - Znów lekko go uściśnęła. - Kocham cię, ale nie spędzę reszty życia w twoim cieniu, czekając, aż się mną znudzisz. Pragniesz mnie, ale namiętność bez miłości musi umrzeć. Kiedyś, gdy się zestarzeję, wciąż będę się bała, że więcej do mnie nie przyjdiesz. Nie zgadzam się na takie życie. - Próbował

jej przerwać, lecz położyła mu palec na ustach. - Jesteś najważniejszą mężczyzną w moim życiu, ale nie widzę powodu, żeby ci obiecywać wierność, jaką żona jest winna mężowi.

Miała wilgotne policzki, nie od topniejących płatków śniegu, lecz od łez. O ileż łatwiej byłoby dać mu to, o co prosił.

- Jeśli nie możesz mnie pokochać, to trudno - powiedziała głosem, w którym nie było już poprzedniego spokoju. - Ale nie złożę obietnicy, której nie mam zamiaru dotrzymać. I nie będę ci wierna, jeśli to mnie pozbawi szansy na znalezienie człowieka, który by mnie kochał prawdziwie.

- Innymi słowy, będziesz używać swego ciała każdemu, który ci się spodoba, dopóki nie znajdzie się chętny, by zaproponować ci małżeństwo?

- Nie o to chodzi. - Wzruszyła ramionami, ale jej gest nie został dostrzeżony w ciemności. - Cóż, mężczyźni czasami żenią się ze swymi kochankami. Myślisz, że żaden mnie nie zechce? Że nadaję się tylko na prostytutkę?

Puścił jej rękę i cofnął się.

- Przeciwnie, wszyscy mężczyźni, którzy cię widzą, od razu cię pragną, a ty najwyraźniej masz zamiar im wszystkim się oddawać - rzucił szorstko. - Ale twoja strategia jest godna pożałowania. Bardziej prawdopodobne, że małżeństwo zaproponuje ci jakiś głupiec zmęczony wyczekiwaniem, więc lepiej odmawiaj swych łask, dopóki nie poczujesz obrączki na palcu.

- Nie pragnę małżeństwa dla samego małżeństwa - powiedziała wprost, żeby być dobrze zrozumiana. - Nie jestem skomplikowaną osobą, Gerwazy. I to, czego chcę, także jest proste - chcę miłości. Niestety, choć samo uczucie jest proste, wcale nie jest prosto je znaleźć.

- Więc gdybym ja powiedział to słowo, które chcesz usłyszeć, nie przyjmowałabyś już innych kochanków? - Nie była pewna, czy słyszy w jego głosie gorycz, czy ironię.

- Gdybyś mówił z serca... - Jej słowa padły w próżnię. Po chwili przerwy dodała cicho: - Nawet teraz, choćby tylko mówiąc ogólnie, nie potrafisz powiedzieć „kocham”, prawda?

Jego milczenie było chłodniejsze od nocnego powietrza; zawisło między nimi na długo. Wreszcie Diana wzięła Gerwazego pod ramię i wrócili do domu. Jak zwykle szarmancki, odprowadził ją pod drzwi sypialni. Opuszczając ramię, odsunął się o krok i przyjrzał się jej jak komuś zupełnie obcemu. Miał twarz zastygłą w nieruchomym wyrazie, jakby zamroziła ją zimowa noc. Diana z bólem stwierdziła, że w niczym nie przypominał człowieka, z którym spędziła ostatnie trzy tygodnie.

Stając na palcach, położyła mu ręce na ramionach i dotknęła jego warg ustami.

- Chodź do łóżka, kochanie - szepnęła.

Całując go poczuła w odpowiedzi lekkie drżenie, które natychmiast ustało. Skinął szybko, otwierając usta, jakby chciał coś powiedzieć. Zaraz potem jednak potrząsnął głową przecząco i odszedł. Z rozpaczą odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął jej z oczu za rogiem.

Nie myśląc o tym, co robi, przebrała się, a potem leżała godzinami bezsennie, z nadzieją, że Gerwazy zmieni zdanie i do niej wróci. Nie wrócił. Po raz pierwszy od przyjazdu do Aubynwood spędziła noc samotnie. Była pewna, że postąpiła właściwie, ale ucisk w sercu był tak nieznośny, że gdyby wrócił i znów poprosił ją o wierność, pewnie by się zgodziła.

Pierwszej nocy w Aubynwood Gerwazy unikał jej, dopóki się nie zdecydował na zbliżenie i odtąd nastąpiły trzy tygodnie bliskości i radości. Teraz między nimi zapanowała wojna, cicha ukryta wojna; sama go od siebie odepchnęła. Czy łączące ich więzi były na tyle mocne, żeby wytrzymać jego lęki? Czy może tęsknota zmusi ją do ustąpienia z placu boju, skazując ich oboje na mniej miłości, niż mogli zaznać? Nie wiedziała, a wzburzone emocje zagłuszały w niej słaby głos intuicji.

Przeczekując dłużej się nieznośnie noc, Diana umacniała się w przekonaniu, że jest gotowa zapłacić każdą cenę, byle go tylko nie stracić.

Ranek nastał późny i ciężki. Diana obudziła się zmęczona po niespokojnym śnie. W sypialni panował chłód, bo nie było Gerwazego ani pokojówki, żeby rozpaścić porządny ogień. Trzęsąc się z zimna, dorzuciła węgla do wygasającego żaru. Choć minęła już dziewiąta, w pokoju było szaro. Wyjrząwszy przez okno stwierdziła, że wczorajsze opady zamieniły się w istną burzę śnieżną; silny wschodni wiatr zamiatał śniegiem, usypując zaspę. Ucieszyła się, bo ten widok przypominał jej zawieje w Yorkshire. Jeśli będą zmuszeni pozostać w Aubynwood, będzie miała dość czasu, żeby załagodzić rozdzwięk pomiędzy nią i Gerwazym.

Jednakże czekało ją rozczarowanie: w pokoju śniadaniowym zastała tylko Madeline. Lokaj podał jej wiadomość od Gerwazego, który pisał, że nie może dłużej bawić na wsi, więc wyjeżdża do Londynu konno, ale warunki nie pozwalają na podróż powozem. Ona i towarzyszące jej osoby mogą zostać w Aubynwood tak długo, jak tylko zechcą. Zalecał jej, by zdała się na radę woźnicy co do terminu wyjazdu, ponieważ on najlepiej będzie wiedział, kiedy można bezpiecznie wyruszyć. Była to krótka, bezosobowa notatka, jaką można napisać do każdego. Jedynie ostatnie zdanie stanowiło pewną pociechę: *Odwiedzę Cię, kiedy już wrócisz do Londynu.*

Złożyła list bez pośpiechu. Wicehrabia tak bardzo uważał na słowa, że nie dodałby tej ostatniej linijki, gdyby rzeczywiście nie zamierzał się z nią zobaczyć. Może przywiązywała zbyt dużą wagę do tego, co było między nimi ostatniej nocy, a w ich stosunkach nie zaszła żadna znacząca zmiana. Serce mówiło jej jednak co innego. Ostatniej nocy rozpoczęła się wojna, która mogła się skończyć albo prawdziwym związkiem, albo rozdzieleniem na dobre.

Przez pięć długich dni Diana i jej goście przeczekiwali śnieżycę, wichurę i wreszcie odwilż. Nawet dom tak wielki jak Aubynwood zaczynał się wydawać za mały, więc kiedy wreszcie woźnica stwierdził, że można ruszać w podróż, wszyscy byli gotowi do wyjazdu. Drogi były rozmiękłe, więc posuwali się wolno, zupełnie inaczej niż na północ, a jedną noc musieli spędzić w gospodzie.

Powróciwszy do Londynu, Diana w napięciu czekała na zapowiedziane odwiedziny, stęskniona za Gerwazym, ale spotkał ją zawód. Wreszcie służący przyniósł list. Bała się, że wyczyta w nim, iż wicehrabia ma dość znoszenia jej nastrojów i wymagań i że już zastąpiła ją inna kurtyzana.

Po tych najczarniejszych przeczuciach doznała pewnej ulgi, gdy rozerwawszy kopertę przeczytała, że najgorsze jednak się nie stało, chociaż wiadomość wcale nie była pomyślna. W uprzejmych, beznamiętnych słowach Gerwazy donosił, że musi wyjechać w interesach do



Irlandii, skąd wróci za kilka tygodni.

Patrząc na gruby kremowy papier, zastanawiała się, czy to kolejna potyczka w ich niewypowiedzianej wojnie. Nie wspominał wcześniej ani słowem o wyprawie do Irlandii. Czyżby owe interesy naprawdę były tak pilne, czy też chciał jej pokazać, jak wygląda życie bez niego?

Mógł być spokojny, bo już wiedziała. Nadchodzące tygodnie wydawały jej się bezkresne niczym wieczność.

Zimowa wycieczka do Dublina okazała się trudna i wyczerpująca, ponieważ Gerwazy zatrzymywał się, by wypytywać wielu ludzi o różne sprawy. Drugą, ważniejszą częścią jego zadania była wizyta u dawnego dowódcy z Indii, sir Arthura Wellesleya. obecnie sekretarza do spraw Irlandii. Wellesley był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, z wielkim haczykowatym nosem. Cechowała go milcząca powściągliwość. Zawsze dobrze się rozumieli, a teraz, gdy Gerwazy nie był już młodszym oficerem, mogli się nawet zaprzyjaźnić. Zjedli razem kolację, rozmawiając na rozmaite błahe tematy, dopóki służba się nie oddaliła.

Pili porto, choć żaden z nich nie miał zwyczaju dogadzać sobie trunkami. Gerwazy bezwiednie obracał w palcach nóżkę kieliszka. Gdyby przez całą jesień nie był tak zajęty Dianą, już dawno wybrałby się Jo Wellesleya. Przybył do niego z propozycją; zwykle tego nie robił, ale zmusiły go okoliczności. Zaczął od pytania, na które odpowiedzi mógł się łatwo domyślić.

- W jakim stopniu rządzenie Irlandią przypomina życie w Indiach?

Wellesley skrzywił się wyraźnie.

- Wolałbym codziennie staczać ucziwą bitwę. Irlandia łamie mi serce. Mogę wprowadzić parę łagodnych reform, ale próba większych zmian tylko by pogorszyła sytuację.

- A fakt, że się tu wychowałeś, ułatwia ci zadanie czy utrudnia?

- Chyba utrudnia, bo dostrzegam więcej problemów. Gdybym dorastał w Anglii, miałbym większą pewność, że znam właściwe odpowiedzi - odparł Wellesley z nutą ironii, studiując barwę wina. - Kiedy pomyślę, że mógłbym spędzić resztę życia robiąc takie rzeczy... - Urwał potrząsając głową.

- To tylko chwilowe zajęcie - zauważył wicehrabia. - Kampanie, które prowadziłeś w Indiach, bitwa pod Assaye... Nie ma drugiego człowieka w armii, który mógłby dokonać tyle co ty. To tylko kwestia czasu, kiedy otrzymasz nowe dowództwo.

Wellesley odchylił się w krześle. Nie miał jeszcze czterdziestki, był mężczyzną u szczytu możliwości, ale tego wieczoru wyglądał staro.

- Wiesz, jak rozumują ci z Konnej Gwardii, St. Aubyn. Dowódcy armii podejrzliwie

patrzą na zwycięstwa w Indiach, jakby uznawali człowieka za niezdatnego do walki w Europie. Polityczna działalność mojego brata także mi nie pomaga.

Wicehrabia milczał; nie mógł zaprzeczyć ostatniemu zdaniu. Wellesley był błyskotliwym dowódcą i choć nie posiadał charyzmy Napoleona, jego spokój i wybitne zdolności były nie do pokonania. Jako młodszy oficer Gerwazy był gotów pójść za nim nawet do piekła. Teraz, kiedy francuski cesarz zawładnął prawie całą Europą, Anglia potrzebowała błyskotliwych ludzi w wojsku i marnowanie talentu tej miary było doprawdy szaleństwem. Było też jednak prawdą, że najwyższe dowództwo krzywo patrzyło na doświadczenie zdobyte w Indiach, a zaangażowany w politykę starszy brat sir Arthura swą próżnością i wyniosłym sposobem bycia zyskał sobie wielu wrogów. Ci dwaj mężczyźni bardzo się od siebie różnili, lecz sir Arthur zawsze był lojalny wobec brata, mimo iż to bliskie pokrewieństwo utrudniało mu spełnianie własnych ambicji.

- Masz także poparcie. Na przykład minister wojny Castlereagh robi wszystko, co może, żeby ci dać dowództwo. No i... – Gerwazy pociągnął łyk portu. Doszedł do prawdziwego celu swej wizyty. – Ja także mogę być w stanie ci pomóc. Mam pewne wpływy, choć nie są one jawne.

Wellesley uniósł brwi. Doszły go słuchy o pracy, którą wykonywał obecnie St. Aubyn.

- Chcesz powiedzieć, że mnie poprzesez?

Wicehrabia przytaknął skinieniem.

- Kilku ministrów jest mi winnych przysługi. Czas, żebym się o to upomniał.

Przemknęła mu przez myśl chociażby sprawa pokoju pod Tylżą pomiędzy Francją i Rosją. Gerwazy odkrył, jakie są jego tajemne postanowienia i w jaki sposób wpływają na interesy Anglii. Przekazał informację Canningowi, za co minister spraw zagranicznych był mu bardzo wdzięczny. Były też inne sprawy i inni ministrowie. Wiele można było zdziałać.

Wellesley sprawiał wrażenie zaskoczonego; w jego niebieskich oczach zaświtała nadzieja.

- Zrobiłbyś to dla mnie? Masz reputację człowieka unikającego polityki.

- Bo na ogół rzeczywiście jej unikam - przyznał Gerwazy - ale jakież sens ma posiadanie wpływów, jeśli się z nich nigdy nie korzysta? - Podniósł kieliszek, by dokończyć portu. - Od lat tkwimy w martwym punkcie. Anglia panuje na morzach, Francja na kontynencie. Prędzej czy później w europejskiej twierdzy Napoleona pojawi się szczelina. A kiedy to nastąpi, musisz być na miejscu, żeby ze szczeliny zrobić wyłom. A tak się nie stanie, jeśli nadal będziesz administratorem w Irlandii. - Wstał i podał swemu gościowi rękę. - Więc nie mość sobie tu, w Irlandii, zbyt wygodnego gniazda. To już nie potrwa długo.

Wellesley także podniósł się z miejsca.

- Mam szczerą nadzieję, że się nie mylisz - powiedział, energicznie odwzajemniając uścisk dłoni, i uśmiechnął się czarująco. - Mam szczęście do przyjaciół, St. Aubyn. Niezależnie od tego, czy uda ci się coś wskórać, jestem ci głęboko wdzięczny.

Spotkanie z Wellesleyem było najciekawszym punktem podróży Gerwazego. Na resztę składały się rutynowe działania wywiadowcze, rozmowy z żeglarzami, szmuglerami i łajdakami różnej maści, zbieranie strzępów informacji, przesyłanie pytań za pośrednictwem całego łańcucha informatorów i oczekiwanie w nadziei, że odpowiedzi w końcu nadejdą.

Pracował do późna, jak zwykle podczas tego rodzaju wypraw, ale tym razem trudno mu było skupić się wyłącznie na pracy. Liczył na to, że rozłąka rozluźni więzy łączące go z Dianą, a tymczasem ciągle miał ją przed oczyma. Widząc ładnie poruszającą się kobietę, czuł ucisk w sercu, choć wiedział, że to nie może być ona. Kiedy przepisywał notatki ze swoich wywiadowczych spotkań, widział na papierze zarys jej nieskazitelnej twarzy. Nie opuszczały go jej intensywnie niebieskie oczy i uśmiech, którym witała go zawsze tak, jakby był jedynym mężczyzną na świecie.

Jeszcze gorsze od obrazów było wspomnienie jej dotyku. W nocy budził się z dłonią ułożoną tak, jakby obejmowała jej krągłą pierś; zdawało mu się, że czuje ciepło jedwabistej skóry. Nie mógł się od niej uwolnić i nienawidził tego. Spytał ją, czego chce, a ona mu odpowiedziała... i równie dobrze mogła do niego przemawiać w obcym języku. Dlaczego nie poprosiła o coś zrozumiałego, jak klejnoty czy powozy? Ale nie byłaby przecież Dianą, gdyby pragnęła czegoś oczywistego.

Pogardzając sobą za słabość, próbował przyspieszyć załatwianie interesów, świadomy, że im dłużej potrwa jego nieobecność, tym większe istnieje niebezpieczeństwo, że Diana przyjmie innych mężczyzn i któryś może jej obiecać to, czego szukała. Nie było dnia ani nocy. Był sobie nie wyobrażał, jak ulega awansom jakiegoś zalotnika, zaprasza go do swojej sypialni z tym swoim kuszącym uśmiechem, a potem otwiera przed nim ramiona i... Na myśl o tym, że ktoś inny może posiadać cudowne ciało Diany, Gerwazemu robiło się niedobrze.

Ostatniej nocy w Aubynwood próbował zapanować nad swoją kochanką, a teraz obawiał się, że jego niepowodzenie oddało władzę w jej ręce. Twierdziła wprawdzie, że rządzenie mężczyznami nie jest jej celem, ale wątpił w te zapewnienia. Jej uroda sama w sobie była narzędziem władzy, a nie mógł uwierzyć, że nie lubiła go używać.

Jego wątpliwości pogłębiły się po koszmarnym śnie w Bristolu, kiedy Diana przyśniła mu się pod postacią kota. smukłego, pełnego zmysłowego wdzięku, który się nim bawił. On był bezradną istotą o połamanych skrzydłach; próbował uciec, lecz ilekroć był blisko

wyrwania się na wolność, ona leniwym ruchem wyciągała łapę i przyciągała go z powrotem. Ostre jak igły pazury wbijały się na tyle głęboko, by utoczyć krwi, lecz nie dość, żeby na dobre skrócić jego cierpienia.

Obudził się zlany zimnym potem, z walącym sercem, z głową ciężką od strachu i rozpacz. Kiedy próbował sobie przypomnieć tego kota, jawił mu się jako istota o dwoistej naturze: czasami bardziej przypominał Dianę, czasami jego matkę. Czyżby zupełnie nie wiadomo czemu mylił ze sobą te dwie kobiety, czy też sen był ostrzeżeniem, że wszystkie kobiety są takie same. że choćby Diana wydawała się nieskończenie dobra i oddana, kiedy już osiągnie nad nim przewagę, również wykorzysta ją, by go torturować?

Nie chciał w to uwierzyć. Nie dostrzegł żadnych znaków, świadczących o tym, by chciała go nagiąć do swej woli, zranić lub zniszczyć bez powodu. Lękał się jednak, że jeśli się myli, dowie się o tym zbyt późno i nie zdoła uniknąć zapłacenia straszliwej ceny.

Zdecydował się na tę przedłużoną podróż pod wpływem impulsu, świadomy, że potrzebuje czasu na przemyślenia, ale nie zdawał sobie sprawy, że te refleksje będą aż tak ponure.

Gerwazy wrócił do Londynu wczesnym wieczorem. Przez ostatnie dni podróży zastanawiał się, czy nie powinien zaprzestać widywania Diany dla dobra własnego zdrowia psychicznego. Wiedział, że wystarczy mu na to siły woli, choć na myśl, że mógłby jej już nigdy nie zobaczyć, aż go skręcało. Jednak przed wyjazdem do Indii postanowił sobie, że nie będzie dłużej niewolnikiem przeszłości, a skoro tamte demony zdołał jakoś pokonać, powinien był poradzić sobie również z problemami grożącymi mu ze strony kochanki. A korzyści płynące z dalszego jej utrzymywania były nieskończenie kuszące.

Przybywszy do swego londyńskiego domu, zaraz posłał wiadomość do Diany, pytając, czy może ją później odwiedzić. Lokaj powrócił niemal natychmiast, przynosząc jej zgodę. Minął prawie miesiąc od ostatniego spotkania. Bez pośpiechu wykapał się i ogolił, przyjemnie ożywiony perspektywą spotkania, następnie pieszo pokonał niewielką odległość do jej domu. Londyn zastygł nieruchomo, spowity w opary słynnej gęstej mgły, która, zacierając kontury, nadawała otoczeniu wygląd miasta ze snu.

Pokojówka oznajmiła mu, że pani Lindsay jeszcze przez chwilę będzie zajęta synem, ale może na nią poczekać w jej apartamentach. Nagle, będąc tak blisko, stał się niecierpliw; wprowadzony przez służącą do saloniku, położył na stole przyniesiony ze sobą upominek i zaczął niespokojnie chodzić tam i z powrotem. Jeszcze nigdy nie był sam w jej mieszkaniu. Duże pomieszczenia miały wysokie sufity i klasyczne proporcje, a starannie dobrane meble podkreślały wrażenie przestronności. Ściany zdobiły gustowne sztukaterie, miękkie perskie

dywany wyścielały podłogi, co w połączeniu z harmonijną kolorystyką dawało efekt eleganckiego umiaru, jakże pasującego do Diany.

Przeszedł do sypialni, gdzie jego wzrok przykuł kryształowy puchar z perłami stojący na nocnym stoliku. Podszedł bliżej i wziął do ręki wypełnione do połowy naczynie. Podziwiając lśniące matowym blaskiem kule, dorzucił do środka jeszcze jedną. Nagle zeszywniał, zaciskając palce na pucharze. Pieniądze rzadko zaprzętały jego myśli, ale teraz zaczął się zastanawiać, jak Diana płaci za swoje codzienne wydatki. Perły były bardzo cenne, ale to nie gotówka. Pieniądze, które deponował dla niej co miesiąc, pozostawały nietknięte, poza tym nie był do końca pewien, czy w ogóle wiedziała o ich istnieniu. Miała oszczędności, czy też inni mężczyźni łożyli na ten wygodny, dostatni dom? Ta myśl zburzyła nienaturalny spokój, który towarzyszył mu przez ostatnich parę godzin.

Nieoczekiwany poryw zazdrości kazał mu się dowiedzieć, jakie sekrety kryje to miejsce. Podszedł do intarsjowanego biurka i zaczął je przeszukiwać, ale szuflady nie zawierały żadnych podejrzanych wiadomości ani wskazówek na temat jej życia przed przybyciem do Londynu. Rzucił się do wielkiej szafy pokrytej fornirem z drzewa czereśniowego i szarpnięciem otworzył drzwi. Miał przed sobą eleganckie stroje w ulubionych przez Dianę subtelnym odcieniach, a pod nimi ustawione rzędem pary skórzanych pantofli.

Wiszące suknie przypominały milczące cienie Diany. Wsunął ręce pomiędzy miękkie tkaniny i wdychając delikatny zapach bzu, odepchnął je niecierpliwie na bok. Cienki jak pajęczyna niebieski szal przetykany srebrną nitką musnął mu przegub spływając na podłogę. Odkładając szal na miejsce, natrafił dłonią na fałdy aksamitu. Odkrył płaszcz, który jej podarował. Ciemnoczerwone pokrycie dokładnie skrywało znajdujące się pod spodem pyszne sobolowe futro.

Nie wiedząc, czego właściwie szuka, sięgnął w głąb szafy, jakby w jej przepastnym wnętrzu miał znaleźć przewrotną, nieuchwytną istotę samej Diany. Jedyнным śladem męskiej obecności w jej domu był piękny niebieski szlafrok, który sama dla niego uszyła. Wpatrywał się weń przez chwilę zbity z tropu, po czym zaczął starannie poprawiać wiszące stroje. Zamknął drzwi dopiero, gdy był pewien, że żaden ślad nie zdradzi jego poszukiwań.

Niezadowolony otworzył górną szufladę komody stojącej obok szafy. W środku, starannie poukładana, leżała jej osobista bielizna, delikatnie haftowane halki i cienkie jedwabne pończochy. Nie było gorsetów, jako że Diana ich nie potrzebowała, ale znalazł parę dość wyzywających, lamowanych koronką pantalonów, których nigdy na niej nie widział. Na ten widok natychmiast poczuł ukłucie zazdrości i zaczął się zastanawiać, czy mógł je widzieć

ktoś inny.

Z sercem bijącym jak po biegu wyjął z szuflady piękną batystową koszulę i ukrył w niej twarz. Tym razem poczuł zapach potpourri z lawendą. Chłodny dotyk tkaniny przywołał go do rozsądku. Zadrżał, przymykając oczy. Gdyby Diana nagle weszła, pomyślałaby, że oszalał. Może rzeczywiście był szalony.

Poskładał koszulę i odłożył na miejsce, wygładzając pozostałe rzeczy. Własne palce wydały mu się dziwnie niezdarne i szorstkie na tle delikatnych materiałów. Ledwie zdążył zasunąć szufladę, gdy drzwi się otworzyły. Odwróciwszy się, ujrzał swoją kochankę w zielonej sukni, która podkreślała jej urodę, z błyszczącymi kasztanowymi włosami rozpuszczonymi na ramiona.

Kot wśliznął się do środka i zniknął pod krzesłem, kiedy Diana przystanęła i patrzyła na niego bez słowa. Zastanawiał się, czy widziała, co zrobił, a jeśli tak, co sądziła o naruszeniu swej prywatności.

Uniosła kąciki warg w niepewnym uśmiechu. Szybko podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Choć pożądał jej aż do bólu, w tym momencie przede wszystkim chciał ją obejmować, czując na sobie każdą wypukłość jej ciała. Błądził rękami po jej plecach, talii i biodrach, ocierał się policzkiem o jej jedwabiste włosy, napawając się ich słodkim aromatem.

Uniosła twarz do pocałunku, co przyjął z radosną skwapliwością, myśląc przy tym, że same jej usta potrafią go bardziej podniecić niż wszystkie wdzięki jakiegokolwiek innej kobiety. Po długiej chwili wzajemnych uścisków odsunął ją od siebie na odległość ramion.

- Tęskniłem za tobą.

- To dobrze! - Roześmiała się uszczęśliwiona. - Nie chciałabym myśleć, że tylko mnie czas okropnie się dłużył.

Gerwazy także się uśmiechnął, co sprawiło jej wyraźną przyjemność. Kiedy weszła, wydał jej się poważny i zamknięty w sobie. Przez moment była przerażona, że przyszedł jej oznajmić, iż z powodzeniem potrafi żyć bez niej. Potem dałby jej resztę naszyjnika z pereł jako prezent pożegnalny. Madeleine mówiła jej, że panowie zwykle tak robili. A on uznał za niebyłe to, co zaszło tamtej ostatniej nocy w ogrodzie. Wiedziała wprawdzie, że poruszona wówczas sprawa została odłożona, a nie rozwiązana, ale nie miała odwagi znów jej podnosić. Cóż, nigdy nie twierdziła, że jest bardzo odważna.

Gerwazy objął ją za ramiona i poprowadził do niewielkiej sofy. Nalał też brandy. Usiadł i przyciągnął ją do siebie. Tuląc się do jego boku, pomyślała, że czuje się przy nim cudownie bezpieczna, mimo tych wszystkich przeszkód, jakie ich dzieliły.

Podał jej kieliszek z alkoholem.

- Mam nadzieję, że to nie choroba zatrzymała cię przy Geoffreyu?

- Nie. Prawdę mówiąc, czytałam mu bajkę i oboje chcieliśmy wiedzieć, jakie będzie zakończenie. Przepraszam, że kazałam ci czekać.

- Nie szkodzi.

Pogładził wierzchem dłoni jej pierś i natychmiast fala ciepła rozeszła się po jej ciele. Wiedząc, że Gerwazy lubi pewną śmiałość, rozpięła dwa guziki jego koszuli i wsunęła do środka palce.

- Myślę o kupieniu mu kucyka - powiedziała trochę zduszonym głosem. - W zeszłym tygodniu miał urodziny, więc upiera się, że jest wystarczająco dorosły, żeby mieć własnego wierzchowca.

Gerwazy parsknął śmiechem.

- Rozumuje całkiem logicznie. Sprowadzę mu tego kuca, na którym jeździł w Aubynwood. To dobre zwierzę, a dzieci właściciela już z niego wyrosły.

Przesunęła dłonią po jego udzie, wyczuwając smukłe twarde mięśnie.

- Spodoba mu się ten pomysł. Ile to będzie kosztować?

Wicehrabia wzruszył ramionami.

- Ja pokryję koszty.

- Nie, ja zapłacę - powiedziała, spoglądając mu w oczy.

Popatrzył na nią z udawaną przyganą.

- Diano, nie przyswoiłaś sobie jeszcze odwiecznego zwyczaju kurtyzan. Powinnaś przyjmować każdy oferowany prezent i domagać się następnych.

- Wolałbyś mnie taką? - spytała cierpko.

Obwiodł palcem kontur jej ucha.

- Właściwie bardzo cię lubię taką, jaka jesteś.

- Więc pozwól mi zapłacić za kucyka. Ostatecznie ma być dla Geoffrey'a, nie dla mnie.

- Trudno jej było pamiętać o zasadach, kiedy rozpraszał ją tak miłą pieśczęcią.

- Chcesz powiedzieć, że mogę dawać prezenty tobie, ale nie twojemu synowi? -

Urwał, po czym dodał: - Wiesz, że bardzo lubię Geoffrey'a.

Ucieszyły ją te słowa. Przytuliła się do niego.

- W takim razie przyjmuję w imieniu mojego syna. Geoffrey będzie zachwycony, bo zakochał się w tym kucyku.

- Świetnie. Bo wątpię, czy spodoba mu się to, co przywiozłem dla ciebie. - Wziął ze stołu małą płaską paczuszkę. - Znalazłem to w Dublinie.

Wyprostowała się, żeby rozpakować prezent.

- Gerwazy, to cudowne! - krzyknęła z zachwytem na widok tego, co znalazła w środku. - Widziałam Księgę Godzin tylko raz jako dziecko i nigdy jej nie zapomniałam.

Trzymała w rękach średniowieczny modlitewnik, który oznaczał cykle dni i pór roku. Każda z Ksiąg była osobnym dziełem sztuki. z ręcznie pisanym tekstem i po mistrzowsku wykonanymi miniaturowymi ilustracjami. Otworzyła modlitewnik na scenie Zwiastowania w Godzinach Dziewicy Maryi i z czcią przesunęła palcami po stronicy, wyobrażając sobie, ile pobożności wzbudziła ta księga przez wieki.

- Cieszę się, że ci się podoba. Sprzedawca, od którego ją kupiłem, twierdził, że pochodzi z Flandrii, sprzed około czterystu lat. – Dokończył brandy i odstawił kieliszek na stół.

Diana spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem.

- Znalazłeś cudowną, niezwykłą rzecz. Nie wiem, jak ci dziękować.

Odpowiedział wiele mówiącym uśmiechem.

- Wymyślę jakiś sposób. - Podkładając jej rękę pod głowę, przyciągnął ją i pocałował. Niespieszny wstęp się skończył; teraz oboje byli gotowi na ciąg dalszy.

Kochali się z gwałtownością tropikalnej burzy. Potem leżeli, przyjemnie rozleniwieni, świadomi, że noc dopiero się zaczęła. Trzy świece rzucały łagodne światło, ponieważ Gerwazy uparł się, że musi ją widzieć. Diana w końcu zgodziła się z nim, że lepiej jest przy świetle, bo mogła podziwiać urodziwe ciało kochanka. Jego głos drżał lekko, a twarz robiła wrażenie odprężonej, co zdarzało mu się jedynie w jej obecności. Leżał z głową przytuloną do jej piersi, trzymając ją w ramionach, kołysany równym, spokojnym oddechem.

Ich absolutny błogostan zakłóciło drobne poruszenie na łóżku. Gerwazy natychmiast się poderwał, co przypomniało Dianie o jego żołnierskiej przeszłości. Odetchnął, ujrawszy burego kota kroczącego po posłaniu noga za nogą. Diana próbowała się podnieść, żeby przegonić zwierzę, ale Gerwazy ją powstrzymał.

- Wybacz - powiedziała ze skruchą. - Nie wiem, kiedy się tu wślizgnęła.

- Weszła razem z tobą. - Podrapał aksamitną główkę, na co odpowiedziało mu pełne zachwyty mruczenie. - Jeśli tobie nie przeszkadza, ja też nie mam nic przeciwko temu. Dostyc lubię koty. To przekorne zwierzaki. Pewnie dlatego nie śpi teraz z Geoffreyem.

Tygryska przewróciła się na grzbiet, wystawiając brzusek na pieszczoty, co było oznaką wyjątkowej łaskawości.

- Zwykle z nim sypia - powiedziała Diana - ale obawiam się, że sama ją zachęcałam do spania w moim łóżku, odkąd wróciliśmy z Aubynwood. Czułam się samotna.

Uśmiechając się z zadowoleniem, Gerwazy przeniósł dłoń z kotki na brzuch Diany,



nie przerywając głaskania. Zrozumiała zachowanie kocicy - gdyby potrafiła, sama zaczęłaby mruczeć.

- Co za matka odciąga od syna ulubione zwierzątko? - zażartował.

Diana zeszywniała.

- Proszę, nie mów tak, nawet w żartach. Cały czas się zastanawiam, czy dobrze go wychowuję.

- Przepraszam. Trudno żartować o tym, co jest dla nas najważniejsze. - Uniósł się na łokciu. - Z tego, co widzę, radzisz sobie doskonale. Geoffrey jest inteligentny, wesoły i ufny. - Po krótkiej chwili wahania dodał: - Nie boi się ciebie.

Uwaga wydała jej się nieco dziwna, ale postanowiła na razie się nad tym nie zastanawiać.

- Staram się, jak mogę, robić to, co dla niego najlepsze. Prawdę mówiąc, chyba za bardzo się staram. Było mi łatwiej, kiedy był mały, bo dorastając potrzebuje o wiele więcej, niż mogę mu dać. To był jeden z głównych powodów, dla których przybyłam do Londynu.

- A jakie były inne?

Spojrzała mu głęboko w oczy, które potrafiły być zimne jak lód lub gorące jak ogień.

- Cóż, znalezienie ciebie - powiedziała wolno - choć wówczas sobie tego nie uświadamiałam. - Jej wyznanie było bardziej prawdziwe, niż Gerwazy mógł sobie wyobrazić.

Obrażona brakiem zainteresowania kotka wskoczyła Dianie na pierś, przestępując z łapki na łapkę. Pogładziła miękkie futerko zwierzątka.

- Przyglądałeś się kiedyś uważniej kociej sierści, Gerwazy?

- Nie wydaje mi się. - Wprawdzie lubił koty, ale nie bardzo mu się podobało, że jeden z nich wchodzi pomiędzy niego i jego kochankę.

Diana podniosła do światła dwa długie włosy, które zostały jej w dłoni.

- Popatrz, jak się mienia różnymi kolorami.

Z ciekawością przyjrzał się kocim włosom. Na jednym widać było pięć różnych odcieni, od bladej nasady do ciemnego końca. Drugi był prawie cały ciemny, poza białą kropką przy samym końcu.

- Żeby powstały prążki, każdy włos na tym pulchnym kocim ciele musi być innego koloru - mruknęła. - Zastanawiałeś się kiedyś, jak Bóg pilnuje tego wszystkiego?

Parsknął śmiechem.

- Nie, nigdy nie myślałem o tym w taki sposób.

Spojrzała na niego całkiem poważnie.

- Wierzysz w przeznaczenie? Że nasze życie przebiega według z góry ustalonego

planu?

Podciągnął się wyżej na poduszkę, tak że ich głowy znalazły się na jednym poziomie.

- Zadajesz różne pytania, nad którymi nigdy się nie zastanawiałem.

Przyłapała jego wzrok.

- To się zastanów. Nigdy wcześniej nie byłam na spotkaniu u Harriette Wilson, podobnie jak ty. Nie sądzisz, że musiał być jakiś powód, dla którego znaleźliśmy się w tym samym miejscu o tym samym czasie?

Zawahał się, przypomniał sobie nieodparty pociąg, jaki poczuł do tej kobiety, kiedy ją ujrzał po raz pierwszy. Ale ostatecznie było to tylko pożądanie.

- Nie. To był wyłącznie zbieg okoliczności.

Przyłożyła mu lekko dłoń do serca.

- Ja myślę, że to się musiało stać.

Jej dotyk go podniecił, lecz nadal nie zgadzał się z tym, co powiedziała.

- Gdybyśmy się nie spotkali, znalazłbym sobie inną kochankę, a ty innego protektora. Dla mnie to byłaby strata, ale dla ciebie pewnie korzyść.

W głębi jej niebieskich oczu kryła się odwieczna kobieca tajemnica.

- Żaden inny mężczyzna nie byłby odpowiedni. To musiałeś być ty. - Uśmiechnęła się, widząc jego niepokój. - Kochany biedaku, znowu cię zaskakuję. Nie przejmuj się. Może kiedyś będziesz myślał inaczej. Dzisiejszej nocy nie będzie filozofowania.

Łagodnie, lecz stanowczo zepchnęła kota z łóżka, pochyliła się i zaczęła muskać pocałunkami tors Gerwazego. Wyprężony na poduszkach, oddychał coraz szybciej, w miarę jak jej miękkie usta przesuwwały się w dół do jego brzucha. Wierzył raczej w przypadek niż w przeznaczenie, ale musiał przyznać, że spotkanie Diany było jednym z najszcześniejszych przypadków w jego życiu.

Pozornie nic się nie zmieniło. Ponieważ trwała sesja Parlamentu, a Gerwazy zasiadał w Izbie Lordów, był zajęty bardziej niż zwykle, lecz odwiedzał Dianę dość często. Wychodził przed świtem, a ona żegnała go z bólem, ale żadne z nich nigdy nie zasugerowało, że mogłby zostać. Bariery, które szybko opadły w Aubynwood, znów mocno tkwiły na swoim miejscu.

Jeśli pogoda temu sprzyjała, rankiem jeździli konno, a Geoffrey dołączał do nich w dni wolne od lekcji. Czuli się razem jak rodzina. Diana była zachwycona łatwością, z jaką Geoffrey i Gerwazy znajdowali wspólny język, choć lękała się konsekwencji, jakie mogłoby mieć dla chłopca zniknięcie Gerwazego z ich życia.

Pod pozorami harmonii Diana wyczuwała narastające napięcie. Czasami, przekonany, że ona tego nie zauważa, Gerwazy obserwował ją z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Łącząca ich nić uczucia była mocno napięta. Diana czuła, że Gerwazy stacza jakąś poważną wewnętrzną walkę. Kochał się z nią gwałtownie i z zapamiętaniem, wciągając ją na takie wyżyny rozkoszy, że prawie zapominała, kim jest.

Prawie, ale nie do końca. Jakaś głęboko ukryta, pierwotna część jej istoty pragnęła się poddać, ulec jego woli, ale instynkt samozachowawczy okazywał się silniejszy. Nie śmiała mu zaufać, dopóki jej nie kochał, a on nie śmiał się przyznać do miłości.

Diana dryfowała, żyjąc z dnia na dzień, ceniąc sobie każdy moment spędzony z synem, kochankiem, przyjaciółmi. Wiedziała, że tchórzostwem jest odwlekanie kryzysu, który w końcu musiał nastąpić, lecz żywiła fatalistyczną wiarę w to, że problemy rozwiązują się w swoim własnym czasie. Mogła się tylko modlić, by po tym, jak narastające napięcie wybuchnie, oboje z Gerwazym byli wolni od mrocznej przeszłości, po to, żeby móc wzajemnie się kochać.

Wiosną 1809 roku na Półwyspie Iberyjskim pojawiły się pierwsze pęknięcia w napoleońskim imperium. Cesarz zmusił cieszącego się popularnością hiszpańskiego króla Ferdynanda VII do abdykacji i umieścił na tronie swego brata Józefa. Doprowadzona do wściekłości Hiszpania stanęła w ogniu powstania. Gerwazy w swoim niewielkim biurze w Whitehall gromadził i oceniał informacje, i cieszył się.

W kwietniu sir Arthur Wellesley został awansowany na generała porucznika i zbierał oddziały, żeby ruszyć na pomoc wenezuelskiemu rewolucjonście. Wówczas jednak Hiszpania i Portugalia przysłały do Anglii delegatów z prośbą o pomoc przeciwko Napoleonowi i Wellesleyowi zmieniono rozkazy - miał udać się na półwysep. Gerwazy użył w sprawie swego dawnego dowódcy wszelkich wpływów, jakie tylko posiadał. Nie miał wątpliwości, że generał doceni okazane poparcie.

Wellesley przebywał właśnie w Londynie i na ten wieczór wyznaczył prywatne spotkanie z wicehrabią, żeby omówić sprawę dotyczącą ich obu. Dla zachowania dyskrecji generał przybył do domu Gerwazego. Gospodarz przyjął gościa w bibliotece i poczęstował kieliszkiem porto. Kiedy usiedli i pociągnęli po łyku trunku, Wellesley od razu przeszedł do celu swej wizyty.

- Wiesz o markizie de la Romana?

Gerwazy przytaknął.

- To jeden z najbardziej szanowanych hiszpańskich generałów. Przebywa obecnie w Danii, wypełniając zadania organizacyjne dla Napoleona.

Pochylając się dla podkreślenia wagi sprawy, Wellesley zaczął:

- Romana jest hiszpańskim patriotą. Gdyby znał sytuację w Hiszpanii, nie służyłby dłużej cesarzowi, podobnie jak większość jego ludzi. - Generał był z natury powściągliwy, ale oczy mu błyszczały na myśl o perspektywie zbrojnej akcji. Wyglądał dużo młodziej niż wówczas w Dublinie. - Jeśli ktoś zdoła dotrzeć do Romany i powiedzieć mu, że Napoleon usunął hiszpańskiego króla, królewska flota przywiezie markiza i jego oddziały do domu, żeby walczyć z Francuzami.

Gerwazy skrzywił się z irytacją.

- Wiem o tym. Dokonywałem cudów, próbując przekazać wiadomość Romanie.

- Powinienem się domyślić, że już jesteś w to zaangażowany. - Wellesley zaśmiał się niewesoło. - Z jakim skutkiem?

- Czterech dobrych ludzi zginęło - odparł sucho Gerwazy. Znał wszystkich czterech

agentów i ich śmierć osobiście go dotknęła, chociaż wiedzieli o ryzyku i podjęli je z własnej woli.

- Przykro mi. - Wellesley zamilkł na chwilę, zasepiony. - Ale musimy spróbować znowu. Siły, którymi dowodzę, nie są na tyle duże, by bez wsparcia pokonać Francuzów na półwyspie. Romana ma dziesięć tysięcy wyszkolonych żołnierzy. Gdyby wrócili, razem moglibyśmy złamać francuską armię w Hiszpanii. A potem...

Nie musiał kończyć. Gdyby Francuzów udało się wyprzeć z półwyspu, impas zostałby przełamany. Wojna przeniosłaby się do Francji, do samego Napoleona. W Europie mógł zapanować pokój dopiero po pokonaniu cesarza.

- Wiem, jaka jest stawka w tej grze - rzekł Gerwazy. Popijał porto, odchylony na oparcie krzesła. Przez głowę przebiegały mu wciąż te same myśli. W ciągu ostatnich tygodni myślał tylko o dwóch sprawach: o sytuacji w Europie i możliwościach stojących przed Anglią oraz o Dianie. Zawsze i bez końca o Dianie. Z jej powodu ociągał się z podjęciem decyzji, która była nieunikniona od samego początku. Zawahał się, wiedząc, że kiedy słowa padną, nie będzie już odwrotu. - Pojadę do Romany osobiście.

Wellesley uniósł brwi w szczerym zdziwieniu.

- Myślisz, że masz więcej szans na powodzenie niż któryś z twoich agentów?

- Być może. Gorzej mi pójść nie może.

- Oficer musi się godzić z tym, że jego ludzie mogą zginąć - przypomniał mu Wellesley cierpko.

- Owszem, godziłem się z tym w Indiach. - Gerwazy zatrzymał wzrok na kieliszku z winem; jego krwistoczerwona barwa przypominała mu to, co widział w wojsku i o czym wolałby zapomnieć. - Ale nie jestem już oficerem. Nie będę wysyłał nikogo innego z misją, która zabiła już czterech ludzi.

Wellesley przyjrzał mu się z uwagą.

- Jak sobie życzysz. Masz jakiś plan? - Był zbyt doświadczonym żołnierzem, żeby się spierać z człowiekiem, który już podjął decyzję, zwłaszcza kiedy sukces mógł zmienić losy nadchodzącej bitwy o Półwysep Iberyjski.

- Łódź rybacka może mnie zabrać do Holandii. Później lądem przeprawię się do Danii. Robiłem już takie rzeczy, choć nie w tak dramatycznych okolicznościach. - Wzruszył ramionami. - Na tyle dobrze mówię po francusku, żeby się podawać za Francuza. Mam też niezbędne dokumenty.

- W twoich ustach brzmi to całkiem prosto - zauważył Wellesley. - Ale domyślam się, że tamci agenci byli równie dobrze przygotowani.

- Owszem, ale oprócz zręczności potrzebne jest szczęście. Może będę go miał więcej.

- Miejmy nadzieję. - Wellesley uniósł kieliszek w toaście. - Zrób wszystko, żebyś wrócił cały i zdrowy.

Gerwazy odpowiedział słabym uśmiechem.

- Możesz mi wierzyć, że jestem jeszcze bardziej od ciebie zainteresowany, by tak się stało.

Po wyjściu gościa wicehrabia siedział w bibliotece myśląc o tym, co musi zrobić przed wyjazdem na kontynent. Ponieważ na bieżąco dbał o swoje sprawy, niewiele obowiązków pozostało mu do dopatrzenia. Mógł wyruszyć na wybrzeże następnego dnia wieczorem.

Zatem ten wieczór miał być ostatnim spędzonym z Dianą. Jeszcze przed rokiem nie przejmował się zanadto niebezpiecznymi misjami, Jakich wymagała jego praca; zawsze miał nadzieję na sukces, ale też nie przerażała go perspektywa porażki. Teraz jego życie stało się o wiele pełniejsze, więc zależało mu na szczęśliwym powrocie. Myśl o opuszczeniu Diany przejmowała go bólem. Nie był pewien, co jest gorsze - sama rozłąka czy lęk, że pod jego nieobecność znajdzie sobie kogoś innego. Wystarczająco cierpiał, wyjeżdżając w styczniu do Irlandii, a ta podróż miała być dłuższa i nieporównanie bardziej niebezpieczna.

Niedorzecznością było aż tak przejmować się kochanką. Nim poznał Dianę, z pogardliwą wyższością traktował mężczyzn, którzy pozwalali, by kobiety wodziły ich na pasku. Teraz znacznie lepiej rozumiał, jak to jest możliwe. Nie można powiedzieć, żeby pozwalał jej robić z siebie głupca - gdyby tylko spróbowała, natychmiast zerwałby łączące ich więzy - ale jednym z nieodpartycho uroków Diany było to, że nigdy nie groziła i nie żądała. Była kobietą doskonałą, a przy tym tajemniczą.

Westchnął. W tym momencie lepiej było spędzić czas na wizycie u Diany niż na rozmyślaniach o tym, co też ona zrobi podczas jego nieobecności. Na takie rozważania będzie miał dość czasu w podróży.

Gerwazy zjawił się wcześniej niż zwykle; to odstępstwo od normy zaniepokoiło Dianę. Jej niepokój jeszcze się wzmógł, kiedy zeszła do saloniku, by się przywitać, i zobaczyła wyraz jego twarzy. Nauczyła się, że nawet kiedy był w najgorszym nastroju, jej czułość potrafiła go nieco rozbroidć, więc podbiegła, objęła go i nadstawiła usta do pocałunku. Przygarnął ją mocno do siebie i pocałował. Wyczuwała w nim dziwne napięcie, lecz wiedziała, że nie ona jest jego przyczyną.

- Czy coś się stało? - spytała z troską, odchylając się w jego ramionach.

Spojrzenie szarych oczu błądziło po jej twarzy, jakby starał się zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół.

- Chciałabyś gdzieś wyjść? Jest jeszcze wczesnie.

Propozycja była zaskakująca, jako że cenili sobie odosobnienie, które pozwalało dać wyraz namiętności i zapewniało spokój. Nie do końca pewna, jak ma rozumieć jego słowa, powiedziała:

- Jeśli masz ochotę, zrobię to z przyjemnością. Co proponujesz?

Zastanowił się przez moment.

- Co powiesz na Vauxhall? Dwa tygodnie temu otwarli ogrody i zawsze dzieje się tam coś zabawnego. Byłaś tam kiedyś?

- Nie. Mam się przebrać w inną suknię?

Przyjrzał się blad różowej muślinowej sukni, którą miała na sobie. Była prosta, ale elegancka w kroju.

- Weź tylko szal. Wieczór jest trochę chłodny.

Jego powóz czekał na zewnątrz, więc po paru minutach byli w drodze. Gerwazy niewiele się odzywał, ale trzymał ją za rękę. Ich ramiona przylegały do siebie na całej długości, a palce były mocno splecione. Wyraźnie coś się stało, lecz Diana jak zwykle wolała poczekać, aż Gerwazy sam zechce jej powiedzieć.

Vauxhall, ogród rozrywki położony na południe od rzeki, kwitł od prawie stu pięćdziesięciu lat. Przychodzili tam ludzie wszystkich stanów społecznych, żeby posłuchać muzyki, potańczyć, obejrzeć fajerwerki i przede wszystkim pooglądać innych ludzi.

Gerwazy nie miał ochoty na przeprawę łodzią przez rzekę, więc kazał woźnicy przejechać przez London Bridge. Zapłaciwszy kilka szylingów za wstęp, przechadzali się po alejkach oświetlonych latarniami. Diana, uczepiona ramienia Gerwazego, bawiła się doskonale. Chłodne wieczorne powietrze rozbrzmiewało muzyką; wokół panowała atmosfera beztróskiego pikniku. Pary zakochanych trzymały się za ręce, żądni zdobywcy dandysi lustrowali tłum przez monokle, a przejęte ekspedientki w odświętnych sukienkach ocierały się o obwieszane klejnotami damy oraz eleganckie kobiety, które damami nie były, tak samo jak Diana.

W końcu zajęli miejsca przy okrągłym stoliku osłoniętym przez wysokie krzewy. Podczas gdy Gerwazy udał się po napoje i przekąski, Diana z przyjemnością obserwowała defilujące przed nią postacie. Świetnie się bawiła, dopóki nie ujrzała nieruchomej sylwetki, zwracającej uwagę wśród ożywionego tłumu. Przyjrząwszy się uważniej, rozpoznała hrabiego de Veseul. Stał jakieś dwadzieścia stóp od niej i przyglądał się jej z wyraźnym rozbawieniem. Przyłapawszy jej spojrzenie, z obraźliwą miną zajrzał jej w głęboko wycięty dekolt, po czym uniósł laskę w żartobliwym salucie.

Diana aż się wzdrygnęła. Znajdowała się za daleko, żeby dokładnie widzieć laskę, ale dobrze pamiętała głowę węża i to, w jaki sposób jej użył tamtego wieczoru w teatrze. Nie widziała Veseula od miesiący i prawie zapomniała o jego istnieniu. Teraz złowieszczy błysk w jego oczach przypomniawszy jej ówczesny strach. Patrzyła na niego, niezdolna oderwać wzroku. Choć była bezpieczna w otoczeniu tłumu, poczuła się samotna i opuszczona bez Gerwazego u boku. Nie mogła się otrząsnąć z lęku. Zadrżała, zdjeta nagłym chłodem, i mocniej otuliła się szalem.

Czas zdawał się stać w miejscu, kiedy tak patrzyła na Veseula, pragnąc, by odszedł. Nagle pojawił się Gerwazy i mogła wreszcie oderwać wzrok od Francuza. Kiedy jej towarzysz ustawił na stoliku talerze i szklanki, chwyciła go za rękę i przyciągnęła do siebie. Od razu poczuła się lepiej.

- Tamten człowiek, znasz go?

Zaskoczony, podążył za jej wzrokiem. Veseul skłonił się ironicznie, dotykając kapelusza. W tym samym momencie dołączyła do niego kobieta, złotowłosa piękność ubrana według najnowszej mody. Obrzuciła Gerwazego, a potem Dianę zimnym spojrzeniem jasnych oczu. Po chwili para odwróciła się i odeszła, natychmiast wtapiając się w tłum.

- To hrabia de Veseul, francuski rojalista, który zbiegł do Anglii w czasach Terroru - odparł Gerwazy. - Często działa jako łącznik pomiędzy brytyjskim rządem a dworem Burbonów na wygnaniu. A co, podoba ci się? - W jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

- Nie! - zaprzeczyła Diana gwałtownie. - Przeraza mnie. Patrzył tak... - Urwała, potrząsając głową. Kiedy Gerwazy był przy niej lęk nagle osłabł i stał się niedorzeczny.

Zawstydzony okazaną zazdrością, Gerwazy nakrył dłonią jej zimną rękę.

- Przepraszam, nie powinienem był cię zostawiać. Samotna kobieta zwraca uwagę mężczyzn, zwłaszcza kobieta tak piękna jak ty.

Nieco uspokojona Diana nabrała na widelec cienki jak papier plaster szynki, z której słynął Vauxhall. Przełknąwszy słony kęs, spytała:

- Rozpoznałeś tę kobietę, która była z Veseulem?

- Owszem. To lady Haycroft, wdowa - odparł zwięźle.

- Dobrze ją znasz? - pytała dalej, wyczuwając w jego tonie zażenowanie.

Wzruszył ramionami.

- Spotkałem ją parę razy na tych rządowych przyjęciach, od których się nie mogę wymigać. Szuka bogatego męża. Pewnie dlatego kręci się tu z Veseulem. Niewielu pozostało bogaczy, z którymi by nie próbowała... bliżej się zapoznać.

Nie musiała być geniuszem, by czytać między wierszami. Ponieważ nikt nie wiedział,



czy Gerwazy jest żonaty, jego majątek i męska uroda musiały stanowić łakomy kąsek dla drapieżnych pań. Diana bezwiednie ściągnęła brwi. Widząc to, Gerwazy uśmiechnął się pod nosem.

- Tak. zarzuciła przynętę, ale nie, nie złapałem się na haczyk. Lady Haycroft jest bryłą lodu o ostrych krawędziach, a ja nie tego szukam u kochanki.

Najwyraźniej łącza pomagające Dianie odgadywać jego uczucia biegły w obie strony. Wydawał się zadowolony z jej reakcji, więc pewnie to nie było nic złego. Lekko zarumieniona, skupiła się na jedzeniu, popijając szynkę łykiem grzanego wina. Zmarszczyła nos. Napój był specjalnością Vauxhall, ale jego smak nie bardzo jej odpowiadał. W oddali ktoś zapowiedział rozpoczęcie pokazu sztucznych ogni; ludzie zaczęli się przemieszczać w poszukiwaniu dogodnych punktów obserwacyjnych.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwał się Gerwazy, odkładając widelec.

Przybrał tak poważny ton, że Diana spojrzała na niego przestraszona.

- Jesteś mną znużony i pragniesz nowej kochanki. Przyprowadziłeś mnie tutaj, sądząc, że w miejscu publicznym nie zrobię ci sceny.

- Dobry Boże, oczywiście, że nie. - Uścisnął jej dłoń pod stolikiem. - Naprawdę myślisz, że mógłbym cię tak po prostu porzucić?

Odwrociła głowę w obawie, że jeśli na niego spojrzy, nie zdoła powstrzymać łez czających się pod powiekami.

- Nie wiem. Nie rozumiem męskiego sposobu myślenia ani w ogóle, ani w twoim szczególnym przypadku.

Uścisnął ją mocniej.

- Cóż, ja także nie wiem, jakimi torami będą twoje myśli, ale przysięgam, że nigdy bym z tobą nie zerwał w miejscu publicznym, żeby sobie zaoszczędzić niewygody. Jeśli kiedyś do tego dojdzie, powiem ci to na osobności, żebyś mogła ciskać we mnie czym popadnie, jeśli tylko będziesz miała ochotę.

Donośne odgłosy wybuchów świadczyły, że zaczął się pokaz. Kuląc się w sobie przed hałasem, Diana powiedziała ze smutkiem, choć próbowała się uśmiechać:

- Obawiam się, że bliżej mi do płaczu niż do ciskania przedmiotami. A ty pewnie byś wolał ciskanie.

- Masz rację - przyznał miękko. - Ale to nie ma nic wspólnego z tym, co chcę ci powiedzieć. - Urwał, jakby się zastanawiał nad wyborem odpowiednich słów, po czym rzekł krótko: - Wyjeżdżam na jakiś czas.

- Tak jak wtedy do Irlandii?

Pokręcił głową przecząco.

- Niezupelnie. Nie będzie mnie dłużej i... istnieje możliwość, że już nie wrócę.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma, próbując zrozumieć to, co usłyszała.

- Jedziesz na kontynent w jakiejś tajnej misji? - spytała wreszcie zduszonym głosem.

W czerwonym blasku racy dostrzegła potwierdzające skinienie.

- Nie mogę z tobą o tym rozmawiać, Diano. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę za kilka tygodni.

- A jeśli nie pójdzie dobrze? - Zacisnęła kurczowo palce na jego dłoni, jakby to go mogło powstrzymać przed wyjazdem.

- Nie musisz się martwić. Rano wyślę polecenie do mojego prawnika. Jeśli nie wrócę, będziesz dobrze zabezpieczona.

- Nie o to mi chodzi - powiedziała ostro, z całych sił powstrzymując się od płaczu. - Nie możesz dać się zabić. Zbyt wiele rzeczy między nami pozostaje niewyjaśnionych.

Nieziemski rozbłysk fioletowego światła rozjaśnił ich zakątek; zdążyła dostrzec wzruszenie na jego twarzy, nim rzekł cicho:

- Więc będziesz czekała na mój powrót?

- Oczywiście. - Trzy race zagrzmiały jedna po drugiej, Diana próbowała przełknąć nieznośny ucisk w gardle.

- Dlaczego zabrałeś mnie do Vauxhall?

Zamyślił się, wodząc oczyma na boki.

- Może myślałem, że jeśli dzisiejszy wieczór będzie inny, lepiej mnie zapamiętasz.

- Czy to znaczy, że wyjeżdżasz już jutro?

Gdy przytaknął, poderwała się gwałtownie. Ledwie mogła oddychać.

Nie należał do ludzi, którzy by wspominali o drobnym niebezpieczeństwie. Skoro ostrzegął, że może nie wrócić, ryzyko musiało być ogromne.

- Więc po co tracimy tu czas? Proszę, zabierz mnie do domu. Znam lepszy sposób spędzania czasu, jeśli mamy go tak niewiele.

On także podniósł się z miejsca. Osłonięty zielenią zakątek dość skutecznie odgradzał ich od ludzkich spojrzeń. Gerwazy, z twarzą ukrytą w cieniu, przyglądał jej się przez chwilę, a potem przyciągnął ją do siebie w mocnym uścisku.

- O Boże, Diano, jesteś taka piękna, a ja tak bardzo cię pragnę... - szepnął, pochylając się do jej ust.

Nad ich głowami, z dudnieniem przypominającym armatnią salwę, wybuchła cała

seria fajerwerków, zalewając niebo plamami pomarańczy, zieleni i niesamowitego, rozbielnego błękitu. A ich ogarnęło pożądanie nie mniej gorące i dzikie niż niebo nad Vauxhallem. Tłum wiwatował i klaskał, ciesząc się z udanego pokazu, podczas gdy Diana z Gerwazym stali wtuleni w siebie, złączeni ustami, językami, rękami, wciąż niesyci bliskości, oddzieleni niemożliwą do pokonania barierą ubrań.

W końcu oderwali się od siebie bez tchu. Gerwazy wyjął chusteczkę, żeby delikatnie otrzeć łzy z jej policzków.

- Chodźmy, pora wracać do domu - rzekł głosem stłumionym ze wzruszenia. - Chcę się z tobą kochać przez cały ten czas, jaki nam pozostał.

Przymknęła oczy i pokiwała głową, potem uniosła rękę, żeby poprawić włosy, doprowadzając się do porządku. Gerwazy podał jej dłoń i poprowadził ją najkrótszą drogą do oczekującego powozu.

Na tyłach ławki, na której siedzieli, ukryty tuż za zasłoną krzewów, tak że mógł słyszeć każde wypowiedziane słowo, stał nieruchomo hrabia de Veseul, z dłońmi złożonymi na złotej główce laski. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, lecz w oczach naświetlonych światłami fajerwerków można się było dopatrzyć błysku zadowolenia. A więc St. Aubyn wyjeżdżał na kontynent w jakichś nikczemnych interesach. Bez wątpienia zamierzał przeprowić się przez kanał, korzystając z pomocy przemytników, i wylądować w północnej Francji albo w Holandii. Nie trzeba będzie wiele się zastanawiać, żeby odkryć, jakie to ważne europejskie sprawy mogą wymagać osobistej uwagi brytyjskiego szefa wywiadu. A potem wystarczy przekazać opis strażom i patrolom pilnującym imperium Bonapartego.

Wicehrabia był sprytny, ale sam spryt mu nie wystarczy, żeby się wymknąć z sieci, w którą wpadnie. Usunięcie go ułatwi Veseulowi jego własne działania, nie wspominając o dodatkowej korzyści, jaką będzie zdobycie urodziwej kochanki St. Aubyna.

Niedbale unosząc końcem laski rondo kapelusza, Francuz wolnym krokiem ruszył w stronę głównej rotundy. Czy jej się to spodoba, czy nie, będzie ją miał. Był cierpliwym człowiekiem, ale czekał już nazbyt długo i zmęczyło go to czekanie. Poza tym nie znalazł w Anglii drugiej kobiety, której by pożądał choć w połowie tak jak Diany Lindsay. Szkoda, żeby marnowała tę nieskazitelną urodę dla Anglika. Francuski agent ukryty w domu Diany Lindsay donosił, że ta ladacznica jest zdumiewająco wierna swemu kochankowi, ale jej wierność nie potrwa dłużej niż jego życie.

Kiedy ostatnie snopy iskier wybuchły nad jego głową, Veseul przystanął i rozejrzał się po rozświetlonej błyskami światła ciemności. Serce zabiło mu żywiej, gdy patrząc na niknące pasemka ognia myślał o Dianie Lindsay, o jej niezrównanej piękności i o pogardzie, jaką w

niej wzbudzał.

W nagłym przypiływie dzikości uderzył złotą głową węża w lewą dłoń.

Świtało, kiedy Gerwazy opuszczał Dianę. Miała rację, pobyt w Vauxhall był już prawie zapomniany, ale tę noc Gerwazy miał pamiętać do końca życia, niezależnie od tego, czy pożyje tydzień, czy sto lat. Diana zeszła na dół, żeby się pożegnać. Stali mocno objęci jej pachnące bzem kasztanowe włosy łaskotały go w nie ogolony policzek. Wreszcie odsunęła się od niego, z suchymi oczyma i uniesionym podbródkiem, nie próbując ani słowem go zatrzymać. Podziwiał ją za to. Gdyby w tym momencie poprosiła go o pozostanie, chyba by nie potrafił odmówić.

Przez całą noc nawet nie zmrużył oka, ale na szczęście jego wyjazd nie wymagał specjalnych przygotowań. Wydał rozporządzenia swemu osobistemu sekretarzowi i asystentowi w Whitehall. Napisał też do swego prawnika, polecając mu zabezpieczyć finansowo Dianę na wypadek, gdyby nie wrócił. Nie wiedział, dlaczego się tym przejmuje. Przecież gdyby mu się coś stało, w godzinę mogła sobie znaleźć innego protektora, może nawet takiego, który by się z nią ożenił. Nie, Diana nie potrzebowała pieniędzy, ale tym zapisem chciał zaświadczyć, ile dla niego znaczyła, nawet jeśli nie był w stanie wypowiedzieć słów, jakie chciała usłyszeć.

Po południu miał wolną godzinę i przez moment myślał o tym, żeby znów pójść do niej, ale nie chciał narażać ani jej, ani siebie na ból kolejnego pożegnania. Zamiast tego niemal wbrew swej woli, nienawidząc się za to, co robi, zrealizował pomysł, który go kusił od miesięcy.

Naprzeciw domu Diany, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się mała apteka - jedyny interes w tej części Charles Street. Gerwazy zasięgnął informacji o właścicielu i wiedział, że to człowiek dyskretny i bystry, chętny do świadczenia przysług za stosowną cenę. Aptekarz spędzał w pracy długie godziny i rozpoznał w wicehrabim regularnego gościa sąsiedniego domu. Nawet nie uniósł brwi, przyjmując pokaźną sumę pieniędzy za to, by zwracać uwagę na mężczyzn odwiedzających piękną panią Lindsay.

Gerwazego nie było od prawie trzech tygodni, a dla Diany każdy kolejny dzień był trudnym sprawdzianem wytrzymałości. Wcale nie pomagało to, że połowa rozmów z Geoffreyem dotyczyła lorda St. Aubyn. jazdy konnej i pytania, kiedy wicehrabia wróci. Wieczorami brała do ręki małą, wykonaną z brązu statuetkę Lakszmi, którą od niego dostała, i pocierając ją na szczęście, modliła się do każdego boga, skłonnego ją wysłuchać, o powrót Gerwazego.

Na szczęście był początek lata, co sprawiało, że samotność i niepokój stawały się lżejsze do zniesienia. W dzień świętego Jana skończyła dwadzieścia pięć lat i domownicy wydali na jej cześć przyjęcie. Edith upiekła rozplywające się w ustach ciasteczka, a Madeline podarowała jej pozytywkę w kształcie słowika, z której wydobywał się słodki śpiew. Od Geoffreya dostała chustkę tak piękną, że bez wątplenia Maddy musiała pomagać w dokonaniu wyboru, oraz bukiet kwiatów, których wygląd świadczył niezbicie, że syn wybierał je samodzielnie. Uściskała serdecznie całą trójkę, wdzięczna losowi za syna i wierne przyjaciółki.

Ranek następnego dnia po urodzinach wstał bezchmurny i cudownie słoneczny; takie nieskazitelnie pogodne letnie dni zdarzały się na wilgotnych Wyspach Brytyjskich tylko parę razy do roku. W taki dzień łatwo było uwierzyć, że Gerwazy wkrótce wróci, cały i zdrowy, namiętny i tak samo stęskniony za nią jak ona za nim. Geoffrey z zachwytem przyjął propozycję, by towarzyszyć matce na targ. Wyruszyli więc razem; Diana w jednej ręce trzymała koszyk, w drugiej listę sporządzoną przez Edith. (Jeśli znajdziesz maliny, kup kilka kwart, to zrobię przetwory. Upewnij się, czy kurczęta są młode). Choć mieli francuską kucharkę, w kuchni nadal królowała Edith.

Geoffreya rozpieszczał dobry humor, kiedy torował sobie drogę pomiędzy pieszymi i pojazdami ze zręcznością typowego mieszkańca miasta. Diana obserwowała syna z przyjemnością. Odnosiła wrażenie, że przez ostatnie pół roku miał znacznie mniej ataków. Czasami nawet pozwalała sobie marzyć, że w ogóle z nich wyrośnie, choć starała się ukrywać te nadzieje, żeby nie zapeszyć.

Przez całą drogę na targ Geoffrey zaśmiewał się i zagadywał, bezustannie wybiegając naprzód i zawracając, tak że pokonał dwukrotnie dłuższą trasę niż matka. Wreszcie, zwalniasz u jej boku, zadał pytanie, które zadawał co najmniej raz w tygodniu.

- Jak myślisz, czy lord St. Aubyn niedługo wróci?

- Przykro mi, Geoffrey, po prostu nie wiem. Może wrócić jutro albo za miesiąc, albo...

- Wzięła głęboki oddech, nim powiedziała to, przed czym wzdragała się aż do tej chwili. - Albo nigdy.

- Nigdy? - Geoffrey spojrział na nią z bezbrzeżnym zdumieniem w niebieskich oczach.

- Dlaczego miałby nie chcieć wrócić?

- Nie chodzi o to, żeby nie chciał, ale podróże bywają niebezpieczne. Czasami statki toną, zdarzają się różne wypadki. No i toczy się wojna. - Wykonała nieokreślony ruch wolną ręką.

Geoffrey przeszedł w milczeniu kilka kroków, nim zadał kolejne pytanie:

- Masz zamiar wyjść za niego?

- Czemu o to pytasz? - zdziwiła się, niepewna, co ma odpowiedzieć. Jeśli myślał o niej i Gerwazym w kategoriach męsko - damskich. kłopoty mogły się dopiero zacząć.

Geoffrey kopnął kamyczek po bruku.

- Kiedy byliśmy w Aubynwood cały czas przebywaliście razem. - Zerknęła na syna, zastanawiając się, czy wie, ile czasu naprawdę razem spędzali, ale wydawał się nie rozumieć, jak bardzo trafna jest jego uwaga. - Chyba się lubicie.

- Lubienie się nie zawsze prowadzi do małżeństwa. - Ostrożnie badała grunt; zależało jej na opinii syna. - Chciałbyś, żeby lord St. Aubyn był twoim ojcem?

Dziecięca buzia zmarszczyła się w wyrazie głębokiego namysłu.

- Nie wiem - odparł po chwili, wzruszając ramionami.

- Przecież go lubisz, prawda?

- Tak, ale... - Urwał i przystanął, żeby pogłaskać nieznanego, lecz przyjaźnie usposobionego kundla. Pies zaskomlał cicho, ocierając się o nogi Geoffreya. Chłopiec spojrział na matkę błagalnie, ale Diana oświadczyła stanowczo:

- Nie, nie potrzebujemy drugiego zwierzątka. Poza tym on jest dobrze odżywiony, więc musi mieć już jakiś dom.

Geoffrey poczochnął kłapciate psie uszy i ruszył dalej, a pies przysiadł na bruku i odprowadził ich wzrokiem pełnym żalu.

- Lord St. Aubyn jest bardzo miły, ale - podjął Geoffrey - kiedy jest z nami, poświęcasz mu zbyt dużo uwagi.

Westchnęła. Cóż, zawsze dopuszczała możliwość zazdrości, choć starała się, jak mogła, żeby syn nie czuł się zaniedbywany. Jednak kiedy jest się wychowywanym przez trzy kochające kobiety, wszystko poza całkowitym oddaniem wydaje się niewystarczające. Była zadowolona, że syn potrafi wyrazić swoje odczucia. Byłoby o wiele gorzej, gdyby zamykał się w sobie z poczuciem krzywdy.

Wzięła go za rękę i przystanęła na rogu, czekając, aż przejedzie ciężki wóz z beczkami, a potem przeszła na drugą stronę ulicy, nie wypuszczając dłoni syna.

- Przykro mi, że tak się czujesz, Geoffrey. Bardzo lubię lorda St. Aubyn, ale to nie ma nic wspólnego z tym, co czuję do ciebie. Choćby było tysiąc St. Aubynów, kochałabym cię tak samo. - Dochodząc do wniosku, że nadszedł odpowiedni czas, by poruszyć także inną sprawę, dodała: - Byłoby tak samo, gdybym kiedyś miała więcej dzieci. Jesteś moim pierworodnym i żaden inny syn ani córka nie zajmie twego miejsca.

Popatrzył na nią, mocno zaciskając palce na jej dłoni, ale nie odpowiedział. Miał wiele do przemyślenia, a był tylko małym chłopcem, choć wyjątkowo mądrym jak na swoje lata.

Rynek był tuż przed nimi; doszła ich wrzawa ożywionych głosów. Zadowolony z przerwy w rozmowie, Geoffrey wyrwał się matce i podbiegł do rosnącej grupy gapiów. W nagle sztywno wyprostowanej postawie syna było coś, co wzbudziło niepokój Diany; uniósłszy spódnicę, ruszyła szybko ku zbiegowisku.

Otoczona przez krąg gapiów kobieta w średnim wieku, właścicielka straganu z jajkami, miała atak epilepsji. Leżała na ziemi nienaturalnie wygięta, z wystającym z ust językiem, wydając nieludzkie, chrapliwe dźwięki. Podrzucone konwulsjami ramiona przewracały koszyki z jajkami, leżała pośród rozbitych skorupki, z jaskrawymi plamami żółtek na skromnej szarej sukience. Stojący w pobliżu mężczyzna próbował odganiać patrzących, mruczając przy tym:

- Zaraz jej przejdzie.

Twarze gapiów obserwujących scenę wyrażały głównie zaciekawienie, większość współczucie, a niektóre obrzydzenie.

Rzuciwszy jedno szybkie spojrzenie na kobietę, Diana przypadła do syna. Zobaczyła drżące wargi i niechęć na wykrzywionej strachem twarzy. Chłopiec nagle odwrócił się i rzucił na oślep w zatłoczoną ulicę. Właściwie spodziewała się tego, więc natychmiast ruszyła za nim w pogoń, ale dopadła go dopiero dwie przecznice dalej i tylko dlatego jej się udało, że rozpaczliwy szloch odebrał mu oddech. Zatrzymał się w końcu przy sklepie cukierniczym, łapiąc powietrze; miał policzki mokre od łez. Diana upuściła koszyk i objęła syna ramionami, jakby miał znacznie mniej niż osiem lat.

- Czy tak... dzieje się ze mną? - wykrztusił, choć wciąż brakowało mu tchu.

- Tak - przyznała po momencie wahania.

- To okropne, jakby się było zwierzęciem - powiedział wprost do jej ucha, potrząsając gwałtownie głową. - Nic dziwnego, że się gapią... - Próbował przełknąć łyżę, a potem ukrył twarz na jej szyi. - Co ja zrobiłem, że Bóg mnie stworzył takiego?

Trzymała go w mocnym uścisku, bolejąc, że nie może zrobić nic więcej. Ujrzenie po raz pierwszy ataku było wystarczającym wstrząsem, a świadomość, że samemu bywa się w tak przerażającej sytuacji, była znacznie gorsza. Nie zwracając uwagi na mijających ich ludzi, kołysała syna w ramionach, powtarzając śpiewnie:

- Już dobrze, kochanie, nie jest aż tak źle.

Drżenie ustawało, ale kiedy Geoffrey się odezwał, jego głos nie był już głosem dziecka.

- Jest aż tak źle. Coś jest ze mną nie tak i jestem inny. Już zawsze będę inny.

Diana przykucnęła i trzymając syna za ręce, patrzyła w mokrą od płaczu buzię.

- Tak, jesteś inny. To może się wydawać niesprawiedliwe, ale niełatwo jest zrozumieć wolę Boga. Każdy człowiek jest inny. czasami w dobry sposób, czasami w trudny, ale to właśnie dzięki naszej odmienności jesteśmy tym. kim jesteśmy.

Przeciągnął rękawem po oczach, dzielnie próbując opanować rozpacz.

- Ja... chyba nie rozumiem.

Myślała gorączkowo, szukając w głowie wyjaśnienia, które by mógł zrozumieć i przyjąć bez goryczy.

- Twój nauczyciel, pan Hardy, mówi, że zauważasz rzeczy, których większość innych chłopców nie widzi, i że zawsze jesteś miły dla tych, którzy są nowi i którym trudno jest znaleźć przyjaciół. Czy to prawda?

- T...tak.

- Jestem dumna, że jesteś właśnie taki - powiedziała. - Czy byłbyś taki, gdybyś nie wiedział, jak to jest być innym?

- Ja... nie wiem. - Zastanawiał się chwilę. - Pewnie nie.

- Więc sam widzisz, bycie innym może być czasem trudne, ale czy dzięki temu nie stałeś się lepszy?

- Rozumiem - przyznał ponuro. - Tak, może tak. Czy to znaczy, że powinienem być zadowolony, że mam napady?

Uśmiechnęła się, podając mu chusteczkę.

- Nie musisz być zadowolony, ale dobrze jest się z tym pogodzić i nie wpadać w złość. Złosczenie się na Boga i oskarżanie go o niesprawiedliwość wcale nie pomaga.

Geoffrey wytarł oczy, wydmuchał nos, po czym spojrział na matkę z zaciekawieniem.

- Złościłaś się kiedyś na Boga?

Pytanie było aż nazbyt celne.

- Owszem - odpowiedziała trochę niepewnie. - I też nic nie pomogło. Wcale nie



poczułam się szczęśliwsza, a to co było nie tak, wcale się nie zmieniło. Pomogło mi jedynie to, że sama się zmieniłam.

Przeczuwała, że chłopiec zaraz poprosi o wyjaśnienia, których wołała uniknąć. Podniosła się, wygładzając spódnice.

- Chcesz zobaczyć, co cukiernik ma dobrego? - zagadnęła wesoło. - Myślę, że oboje zasłużyliśmy na mały poczęstunek.

Geoffrey znów wyglądał jak mały chłopiec; podskoczywszy z radości, wbiegł do cukierni. Diana podążyła za nim, choć z nieco mniejszym entuzjazmem. Zawsze wiedziała, że któregoś dnia jej syn zda sobie sprawę, co się dzieje w tych momentach, kiedy traci przytomność i panowanie nad własnym ciałem. Była wdzięczna losowi, że mały przyjął to tak dobrze. Przyszło jej do głowy, że w gruncie rzeczy Geoffrey radzi sobie z niesprawiedliwościami życia znacznie lepiej niż ona.

Wpadając na francuskie oddziały zaraz po wylądowaniu w Holandii, Gerwazy pomyślał, że ma pecha. Z pierwszego spotkania wyszedł cało dzięki swym fałszywym papierom, stanowczej postawie i arystokratycznemu francuskiemu akcentowi, ale następnym razem miał już mniej szczęścia. Strażnicy porównali jego wygląd z opisem, doszli do wniosku, że mają do czynienia z wicehrabią St. Aubyn, znanym brytyjskim szpiegiem, i aresztowali go. Zdołał uciec z marnego lokalnego więzienia, doznając przy tym niegroźnego postrzału w ramię. Od tego zaczęło się istne polowanie, z którego nigdy nie udałooby mu się wyjść cało, gdyby nie znalazł bandy Cyganów. Gerwazy pracował już wcześniej z Cyganami i znał trochę ich język. Ten koczowniczy naród nienawidził Napoleona z powodu barier, jakimi ograniczał ich wolny sposób życia, więc za pewną, dość zresztą wygórowaną ilość złota chętnie przyjęli między siebie Anglika i ruszyli na północ w stronę Danii. Podróżowali wprawdzie wolniej, niżby sobie życzył, ale przynajmniej wzrosły jego szanse na dotarcie do generała Romany. A podczas podróży miał dość czasu na rozmyślanie o tym, który spośród garstki ludzi, znających cel jego misji, mógł go zdradzić.

Każdy kolejny tydzień dłużył się coraz bardziej. Minał najwcześniejszy możliwy termin powrotu Gerwazego i odtąd Diana nieustannie czuła w środku twardy węzeł niepokoju. Spędzała więcej czasu niż zwykle na rzucaniu nożem, nie dlatego, by potrzebowała ćwiczeń, lecz ponieważ wymagane przy tym zajęciu skupienie pomagało jej zapomnieć o lęku. Z przyjemnością ważyła w dłoni znajomy ciężar, mierzyła wzrokiem odległość do celu i wsłuchiwała się w gruchy stuk wbijającego się ostrza.

Tego nudnego lipcowego poranka rzucała już od mniej więcej pół godziny, podziwiana jedynie przez Tygryskę, kiedy przysłała Madeline i usiadła, żeby popatrzeć. Po

chwili przyjaciółka spytała:

- Lepiej się dzięki temu czujesz?

Diana uśmiechnęła się cierpko.

- Rzucanie nożem rozładowuje napięcie. - Przeszła przez wąskie pomieszczenie, żeby pozbiierać swoją broń.

- Nie chodzi tylko o to, że St. Aubyn wyjechał, prawda? - spytała Madeline z wahaniem. - Jesteś jakaś... spięta, niepewna od czasu pobytu w Aubynwood. Coś się między wami popsulo czy może nie powinnam pytać?

Diana próbowała wyszarpnąć mocno wbity nóż. Jak zwykle, gdy chodziło o najgłębsze uczucia, nie była w stanie o nich rozmawiać, nawet z najbliższą przyjaciółką, choć była jej winna wyjaśnienie.

- W Aubynwood wszystko było dobrze aż do końca - powiedziała dość ostrym głosem. - Wtedy poprosił mnie, żebym odprawiła wszystkich innych, a ja odmówiłam, wspomniałam o miłości, a on się zirytował. - Uwolniwszy ostrze, wróciła na miejsce, skąd rzucała. - Jak wiesz, wrócił, ale od lutego obserwował mnie tak, jak Tygryśka obserwuje ptaki w ogrodzie. Przez całe miesiące miałam wrażenie, że zaraz coś się stanie. A potem on wyjechał. - Z wachlarzem noży w prawej ręce, potrząsnęła głową. - Nie wiem co myśleć, Maddy. Wiem, że on mnie pragnie, i jestem pewna, że to coś więcej niż żądza, ale nie rozumiem ani jego, ani tego, co się między nami dzieje.

- Czasem mi się zdaje, że mężczyźni i kobiety to dwa całkowicie różne gatunki, które przypadkiem mogą się ze sobą łączyć i wydawać na świat potomstwo - wesoło stwierdziła Maddy.

Diana uśmiechnęła się kwaśno.

- Może masz rację. - Chwyciła nóż, rzuciła spod ręki i trafiła o dłoń od środka celu, co uznała za marny wynik.

Madeline westchnęła. Diana cierpiała i nawet najlepsza przyjaciółka niewiele mogła zrobić, żeby ją pocieszyć. Mogła najwyżej odwrócić jej uwagę od kłopotów.

- Słyszałaś kiedyś o Balu Pań Swawolnych?

- O czym? - zdumiała się Diana.

- Oczywiście, nigdy o nim nie wspominałam. Nazwa mówi sama za siebie - chodzi o bal wydawany przez kurtyzany dla ulubionych klientów. Sesja Parlamentu wkrótce dobiegnie końca i towarzystwo wybierze się do Brighton albo na wieś, więc to sposób na przypomnienie panom, czego im będzie brakowało.

- Zgromadzenie sławnych mężczyzn i niesławnych kobiet? - zauważyła Diana z

zaciekawieniem.

- Dobrze powiedziane - pochwaliła Madeline z uśmiechem. - Zwykle organizowany jest w Argyle Rooms. Tegoroczny bal odbędzie się jutro wieczorem i bardzo bym chciała wziąć w nim udział. Już tak dawno nigdzie nie byłam. Pójdiesz ze mną?

Diana zawahała się.

- Czego będą oczekiwać obecni tam mężczyźni?

- Och, nie będziesz zmuszona do niczego, na co nie miałabyś ochoty - zapewniła ją Madeline - choć może lepiej wyjść, nim będzie za późno, ponieważ niektórzy panowie zbyt dużo piją. - Nachyliła się do przyjaciółki. - Pójdiesz? Ja naprawdę chcę tam pójść, ale nie sama. a wątpię, czy Edith da się namówić.

- Jeśli chcesz, to oczywiście, że z tobą pójde - obiecała Diana. Zajęta myślami o Gerwazym, nie zdawała sobie sprawy, jak nudne musi być życie Maddy. A poza tym wyjście między ludzi było chyba lepsze niż zaszywanie się w domu i spędzanie kolejnego wieczoru na bezowocnych rozmyślaniach.

Przybytek o nazwie Argyle Rooms był niezwykle wytworny i na ogół uchodził za szacowny. Tego wieczoru jednak przyzwoite kobiety trzymały się od niego z daleka, żeby uniknąć strasznej możliwości ujrzenia własnych ojców, mężów lub synów w zażyłym towarzystwie modnych kurtyzan, „kompanii bardziej świetnej niż uczciwej”.

Madeline wyglądała prześlicznie w brązowej sukni o skromnym kroju, stosownym do jej wieku. Spragniona uznania Diana założyła niebieską jedwabną suknię, którą uważała za nieco wyzywającą. a która w tym towarzystwie okazała się wręcz pruderyjna, jako że najśmielsze damy bez najmniejszych oznak skrepowania pokazywały całe piersi. Przyszło wielu młodych kawalerów, którzy stanowili najlepszą klientelę Pań Swawolnych - nikt nie oczekiwał od mężczyzn wstrzemięźliwości seksualnej przed ślubem. Wszystkie kobiety obecne na przyjęciu odznaczały się urodą i nieskrywanym upodobaniem do zabawy. Tańce przebiegały w bardzo intymnej atmosferze, a na widok tego, co działo się po kątach, Diana szybko odwracała wzrok.

Maddy miała rację: dobrze było znów znaleźć się między ludźmi. Troska o Gerwazego wciąż przygniatała serce Diany, ale mimo to uległa czarowi muzyki, żywym rytmom i panującej wokół wesołości. Obie z Madeline szybko zostały otoczone przez gromadę wielbicieli, z których kilku poznała podczas swej poprzedniej wyprawy w świat lżejszych obyczajów. Naturalnie sama Harriette Wilson także była obecna; z zebranego wokół niej kręgu rozchodziły się fale pochlebnego śmiechu. Diana odprężyła się, rozmawiając, słuchając, nawet tańcząc z niektórymi mniej śmiałymi młodzieńcami, którzy wydawali się nie

oczekiwać niczego więcej. Widząc, że jej protegowana dobrze sobie radzi, Madeline w połowie wieczoru odeszła na pogawędkę ze starymi przyjaciółmi.

Bal trwał w najlepsze, kiedy Diana znalazła zaciszny kąt obok podestu dla orkiestry, żeby zaczerpnąć tchu i popatrzeć na tańczących. Po paru minutach w pobliżu zatrzymała się grupa młodych mężczyzn. Ich rubaszne zachowanie świadczyło o tym, że nie żalowali sobie trunków. Diana odsunęła się, nie chcąc przyciągać ich uwagi, i zauważyła w pobliżu eleganckiego młodzieńca o jasnych włosach. Już na pierwszy rzut oka wydał jej się znajomy, a po chwili rozpoznała w nim kuzyna Gerwazego, Francis Brandelina, którego poznała tego samego wieczoru co wicehrabiego. Tak jak ona trzymał się na uboczu, obserwując tancerzy.

Jeden z pijaków odezwał się głosem tak piskliwym, że przebijał przez muzykę.

- Spójrzcie! Kto by pomyślał, że będzie tu Brandelin? Z tego, co pamiętam z Eton, nigdy bym nie sądził, że lubi kobiety.

Uwaga została przyjęta grubiańskim rechotem. Diana zobaczyła, jak Francis Brandelin blednie, a jego usta zaciskają się w wąską linię. Inny pijacki głos dodał:

- Taki z niego ładny chłopak, że może chce rywalizować z naszą Harriette.

Diana aż wstrzymała oddech, porażona brutalnością oskarżenia. Pozwalali sobie na plugawe oszczerstwo, zarzucając mu zbrodnię karaną śmiercią. Cel ich ataku stał bezradnie, jakby się wahał, czy ma stawić czoło oszczercom, zignorować ich, czy po prostu odejść.

W odruchu współczucia Diana wyszła ze swego kąta i stanęła przed kuzynem Gerwazego. Kładąc mu dłoń na ramieniu, powiedziała gardłowym, uwodzicielskim głosem:

- Francis, kochanie, tak się cieszę, że przyszedłeś. Wszędzie cię szukałam.

Popatrzył na nią zmieszany i zaskoczony. Kiedy śmiechy i docinki zamarły, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Zanedbujesz mnie, kochanie - powiedziała z wymówką. - Minęły już trzy dni. - Westchnęła, dodając zmysłowym szeptem: - Ostatnim razem było tak cudownie. - Stanęła na palcach i dotknęła jego ust lekkim pocałunkiem. - Nie rób takiej zdziwionej miny - powiedziała cicho, kiedy cofnął głowę. - Udawaj, że się do mnie uśmiechasz, a potem będziemy mogli się od nich oddalić.

Z błyskiem zrozumienia w oczach uśmiechnął się i podał jej ramię.

- Tak, stanowczo zbyt długo - rzekł wyraźnie. - Rozumiem, że zarezerwowałaś dla mnie dzisiejszy wieczór? Przyłgnęła do niego, starając się, by wyglądało to jak najbardziej prowokująco.

- Oczywiście, kochany. Dzisiejszy i każdy inny, jeśli sobie tylko życzysz.

Oddalili się, zostawiając za sobą martwą ciszę. Gdy okrążywszy pół sali zniknęli z

oczku prześladowcom. Francis pociągnął ją do wolnej alkowy i przyjrzał jej się z ciekawością.

- Jesteś Diana Lindsay, prawda? Bogini Księżycy, która ukazała się tylko raz i od tamtej pory pozostaje w cieniu.

- Owszem. - Diana puściła jego ramię. - Przepraszam, mam nadzieję, że nie wprawiałam cię w zakłopotanie.

- Przeciwnie, pomogłaś mi wybrnąć z nie milej sytuacji. Dlaczego to zrobiłaś?

Diana rzuciła mu szybkie spojrzenie, a potem uciekła wzrokiem przysiadając na sofie. Łatwiej było działać, niż wyjaśniać.

- Chyba nie podobało mi się to, że ich jest sześciu, a ty jeden.

- Pomogłabyś mi gdyby to, co mówili, było prawdą, gdybym był winny tych „nieprzyzwoitych” rzeczy? - spytał głosem nabrzmiałym goryczą.

Zaskoczona podniosła na niego oczy. Madeline tłumaczyła jej kiedyś bez ogródek, że niektórzy mężczyźni wolą przedstawicieli własnej płci i są za to brutalnie prześladowani. Dianie wydawało się to dziwne i niepojęte: nie wiedziała, co ma myśleć. Teraz, patrząc na Francisa Brandelina wyczuwała jego strach.

- Kobieta mojej profesji nie powinna się wypowiadać na temat przyzwoitości - powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. - Na ogół nie wtrącam się w życie innych.

Wyraz napięcia zniknął z jego twarzy.

- Więc jesteś w tym niezwykła - rzekł z uznaniem, siadając obok niej. - Kiedy się pojawiłaś u Harriette, mój kuzyn St. Aubyn zachował się na twój widok jak... - urwał, szukając w myślach właściwego porównania - ...jak Galahad na widok świętego Graala. Kiedyś spytałem go, czy... widuje się z tobą, a on tylko na mnie spojrzał i zmienił temat.

Diana omal nie wybuchnęła śmiechem, słysząc nutę pytania w jego głosie. Wiedziała doskonale, jak Gerwazy potrafi spojrzeć. Pocieszające było to, że wobec najbliższego krewnego zachowywał się tak samo jak wobec niej.

- Oczekujesz, że będę mniej dyskretna? - spytała, potrząsając głową.

- Nie, chyba nie - przyznał z żalem. - Miałem nadzieję, że zawarł z tobą jakiś układ. Zbyt ciężko pracuje. Wolałbym myśleć, że znajduje też czas na trochę przyjemności.

- Jesteś blisko ze swoim kuzynem?

Wzruszył ramionami.

- Myślę, że jestem mu najbliższy ze wszystkich. Był dla mnie prawie jak brat. Kiedy rozpocząłem naukę w Eton, pilnował, żeby inni chłopcy za bardzo mi nie dokuczali. Po śmierci mojego ojca był moim opiekunem, dopóki nie dorosłem, chociaż przez większość czasu przebywał wtedy w Indiach.

- Odnoszę wrażenie, że go lubisz. - Diana wiedziała, że powinna zakończyć tę rozmowę, ale nie mogła się powstrzymać przed mówieniem o Gerwazym.

- O tak, to najlepszy człowiek na świecie - zapewnił Francis, nie kryjąc entuzjazmu. Potem nagle jego twarz znów ściągnął wyraz napięcia. Opuścił wzrok na swoje dłonie. - Kiedy się z nim spotkasz, nie powiesz mu, co się dziś stało? To znaczy, co o mnie mówili?

Serce Diany ścisnęło się ze współczucia. Jeśli ten młody człowiek rzeczywiście miał nietypowe upodobania, musiała go przerażać myśl, że jego najbliżsi o nich usłyszą i będą go potępiać.

- Oczywiście, że nie - zapewniła, dotykając łagodnie jego dłoni. - Kogo obchodzi gadanie pijanych głupców?

Ulga wygładziła mu rysy. Fizycznie niezbyt przypominał Gerwazego, ale był miły i atrakcyjny i miał w sobie bezbronność, która kojarzyła jej się z Geoffreyem. Choć Francis musiał być mniej więcej w jej wieku, czuła się od niego znacznie starsza. Patrzył na nią z nieśmiałym uśmiechem.

- Jesteś bardzo zrównoważoną kobietą. Czy miałabyś... Czy mogę cię czasem odwiedzić? Tylko po to, żeby porozmawiać?

Podejrzewała, że bardzo potrzebował rozmowy z życzliwą osobą.

- Oczywiście. Mieszkam na Charles Street 17. Późne przedpołudnie i wczesne popołudnie to najlepsze pory. - Podniosła się z uśmiechem. - Wydaje mi się, że powinniśmy razem wyjść, jeśli chcemy podtrzymać wrażenie, ale najpierw muszę znaleźć moją przyjaciółkę Madeline.

On także się podniósł, po raz pierwszy naprawdę rozbawiony.

- Wyjście nie z jedną, lecz dwiema pięknymi kobietami znakomicie poprawi moją reputację.

Madeline została szybko odnaleziona; była gotowa do wyjścia i chętnie zgodziła się na towarzystwo Francis Brandelina. Przedstawili ich sobie, Diana odeszła do pokoju wypoczynkowego dla pań na piętrze. Siedziały tam trzy kurtyzany zmęczone wcześniejszą zawodową aktywnością; zaczerwieniła się po uszy słysząc ich pozbawioną wszelkiej oględności rozmowę. Choć od miesięcy była kochanką, najwidoczniej mogłaby się jeszcze wiele nauczyć na temat tego, co się zdarza pomiędzy mężczyzną i kobietą. Nie dając niczego po sobie poznać, oddaliła się pośpiesznie.

Korytarz i schody prowadzące na niższe piętro były puste i ciemne; większość świec w kinkietach zgasła lub się dopalała. Znalazłszy się na dole w głównym holu, skierowała się z powrotem do sali balowej, nie zauważając mężczyzny zaczajonego pod schodami.

Dowiedziała się o jego obecności dopiero wtedy, gdy od tyłu chwycił ją silnymi męskimi ramionami i wciągnął pod schody. Nim zdążyła krzyknąć, miała związane ręce, a usta zatkane dłonią napastnika, który przyciskał ją mocno do siebie. Był wysoki i barczysty; rozpoznała go, zanim jeszcze usłyszała głos naznaczony francuskim akcentem.

- Cóż za miła niespodzianka, cherie - wysyczał. - Nie spodziewałem się, że wystąpisz publicznie wśród podobnych sobie dam.

Diana wyczuwała alkohol w oddechu Veseula, a w jego tonie nienawistną nutę, która budziła jeszcze większy lęk niż jego wcześniejsza zimna bezwzględność. Chwycił zębami koniuszek jej ucha. Szarpnęła się, żeby wyswobodzić ramię, ale była bezradna wobec jego rozmiarów i siły.

- O, żywotna z ciebie dziewczyna. Mój Boże, ty to potrafisz działać na mężczyzn - dodał chrapliwie; miał przyśpieszony oddech. - Jedź ze mną do domu, to ci pokażę, jak kochają Francuzi. - Czuli jego nabrzmiałą męskość napierającą na jej pośladki. Zaczął się o nią ocierać, poruszając przy tym rytmicznie biodrami i przesuwał ręką po całym jej ciele. Wreszcie zatrzymał dłoń przy głęboko wyciętym dekolcie, a potem wsunął ją pod suknię i zacisnął palce na piersi.

Aż się zachwiała, ogarnięta falą obrzydzenia. Bez zastanowienia ugryzła dłoń zamykającą jej usta. Udało jej się wbić zęby w jeden z jego palców tak głęboko, że aż poczuła trochę metaliczny smak krwi. Zaklął wściekle, mocniej naciskając skaleczoną dłonią jej twarz, a drugą boleśnie zgniatając sutek.

- Twój kochanek już nie wróci, jak wiesz - warknął. - St. Aubyn nigdy nie ucieknie z kontynentu żywy. Najprawdopodobniej już nie żyje.

Uszczypnął ją złośliwie w brodawkę, ale ten ból był niczym w porównaniu z cierpieniem wywołanym przez jego słowa. Diana na moment skamieniała, sparaliżowana szokiem. Nagle nad ich głowami rozległy się kroki. Diana oprzytomniała i wykorzystując zaskoczenie Veseula, zdołała się wyrwać. Mógłby ją z łatwością znowu schwytać, ale zawahał się, kiedy Panie Swawolne schodząc po schodach minęły ich w odległości trzech stóp. Diana podbiegła do nich, zastępując im drogę.

- Błagam, pomóżcie mi! - wykrzyknęła łamiącym się głosem. Jedna z kobiet parsknęła kpiącym, na wpół pijackim śmiechem.

- W czym problem, niezdaro? Jest dla ciebie za męski?

Diana potrząsnęła głową, niezdolna wydusić z siebie ani słowa, a potem uciekła, nie oglądając się na postać ukrytą w cieniu pod schodami. W progu sali balowej przystanąła na chwilę; odruchowo poprawiła suknię i włosy, próbując się uspokoić.

Czy ten francuski hrabia naprawdę wiedział, co się przytrafiło Gerwazemu? Nie mogła, nie chciała w to uwierzyć. Gdyby jej kochanka spotkało nieszczęście, z pewnością by o tym wiedziała, wyczułaby to dzięki uczuciowej więzi, która ich łączyła. Veseul wiedział tylko tyle, że wicehrabia wyjechał, i wykorzystał tę wiedzę, żeby ją wytrącić z równowagi, zapewne licząc na to, że przestraszona łatwiej da mu się zdobyć. Ale ona nie była już tak naiwna jak za pierwszym razem, gdy Francuz zaskoczył ją swymi żądaniami, i nie pozwoliła sobie teraz na załamanie.

Maddy i Francis Brandelin powitali ją zdumionymi spojrzeniami, ale nie czynili żadnych uwag na temat jej zaróżowionych policzków i przyśpieszonego oddechu. Francis podał każdej z pań jedno ramię i wyprowadził je z sali, starając się rozładować napiętą sytuację prawieniem dowcipnych uprzejmości.

Żadne z nich trojga nie zauważyło starszego mężczyzny, który przybył na bal mocno spóźniony. Przystanąwszy, śledził wzrokiem towarzystwo mijające go na schodach tak blisko, że nie mógł się pomylić rozpoznając osobę. Nie zabawił długo na balu, a wróciwszy do domu, przed położeniem się spać zapisał notatkę. Była krótka i zaczynała się od słów: *Czarna Róża powróciła.*

Doprowadzony do furii hrabia de Veseul opuścił Argyle Rooms i udał się do drogiego burdelu, który czasami odwiedzał. Choć pożądał Diany Lindsay od chwili, gdy ją ujrzał, nie spodziewał się, że poczuje tak dziką, nieopanowaną żądzę, trzymając ją w ramionach. Zrobiła z niego głupca. Z ponurą zawziętością przysiągł sobie, że kiedyś odplaci jej za to upokorzenie.

W burdelu zażyczył sobie, by właścicielka pokazała mu wszystkie dostępne dziewczyny, najatrakcyjniejszą gromadę prostytutek, jakie można było znaleźć w Londynie. Żadna nie posiadała wyrafinowania i urody Diany Lindsay, ale jedna, o imieniu Meggie, była odpowiedniego wzrostu, miała kasztanowe włosy i niebieskie oczy i w przyćmionym świetle wyglądała całkiem zadowalająco.

Wybrał ją niedbałym machnięciem dłoni. Na górze, w urzędzonej z przepychem, oświetlonej świecami sypialni, kazał dziewczynie rozebrać się i położyć. Zamknąwszy drzwi na klucz, zdjął krawat i użył go do przywiązania jej rąk do wezłowania łóżka.

- To będzie dodatkowo kosztowało, milordzie - oświadczyła Meggie, nie okazując najmniejszego zdziwienia. Miała szorstki londyński akcent, zupełnie niepodobny do melodyjnego głosu kobiety, która stała się jego obsesją.

Nie odrywając od Meggie beznamietnego spojrzenia, uniósł laskę i powiódł złotą głową węża po wypukłościach i wgłębieniach jej ciała, drażniąc je i uciskając z coraz większą



śmiałością. Doświadczona w postępowaniu z mężczyznami Meggie wydawała z siebie dobrze wypraktykowane jęki i pomruki rozkoszy, jakby całe życie czekała na mężczyznę, który będzie z nią współżył za pomocą laski.

Ale to nie było z jej strony współdziałanie, o jakie mu chodziło, tylko strach. Przeklinając z irytacją, cofnął laskę i odkręcił złotą główkę, odsłaniając lśniące ostrze szpady. Odbite światło świec zamigotało wzdłuż ostrej krawędzi.

- To też ci się spodoba, mała dziwko?

Oczy Meggie były szaroniebieskie, nie miały głębokiego, lazurowego odcienia oczu Diany Lindsay. Teraz otwały się szeroko, a miejsce znudzonego przyzwolenia zastąpiło przerażenie, kiedy przyłożył ostrze do jej piersi. Czubek szpady był tak ostry, że wystarczył najlżejszy nacisk, by przebić skórę i zrobić płytkie cięcie od brodawki do pępka. prostytutka wydała z siebie piskliwy krzyk, kiedy uniósł szpadę, odczekał chwilę, pozwalając jej w pełni zrozumieć niebezpieczeństwo, a potem rzucił się naprzód i wbił szpadę w materac, ledwie cal od jej szyi.

Lęk kobiety był jeszcze większy, niż sobie życzył. Z leniwą obojętnością Francuz rozpiął spodnie i posiadał ją, nie zważając na jej nieustający krzyk i odgłosy łomotania do drzwi. Poruszając się mocnymi rytmicznymi pchnięciami, wyobrażał sobie, że wijące się pod nim ciało i wykrzywiona łękiem twarz należą do Diany Lindsay. Brutalnie wyegzekwowana przyjemność częściowo złagodziła jego złość i rozczarowanie.

Uniesiony na wyprostowanych ramionach ponad krwawiącym ciałem prostytutki, wypływając z siebie francuskie bluźnierstwa osiągnął spełnienie. Zaraz potem wycofał się, wstał, wyciągnął szpadę z materaca i zakręcił główkę laski. Kończył się zapinać, znów całkiem opanowany, gdy drzwi otwały się z hukiem i do pokoju wpadł olbrzymi lokaj, a za nim rozsierdzona właścicielka z pistoletem w dłoni.

Jakby nie słysząc histerycznego szlochu Meggie, Veseul rzekł spokojnie:

- Twoja dziwka nie jest poważnie ranna. Szkoda na nią wysiłku. - Omijając pistolet wymierzony w jego serce, wyjął z portfela garść złotych monet i rzucił je niedbale na stół. - Za jej usługi i za czasową niezdolność do pracy.

Właścicielka zmierzyła go gniewnym spojrzeniem spod zmrużonych powiek. Bogaci panowie na wiele sobie mogli pozwalać, ale nawet w burdelu istniały pewne granice. Kiedy lokaj rozwiązywał płaczącą dziewczynę, kobieta zgarnęła ze stołu pieniądze i pistoletem pokazała Francuzowi drzwi.

- Niech się pan wynosi i nigdy tu nie wraca! Nie chcemy tu takich!

Wzruszając ramionami, opuścił sypialnię. Ten drobny epizod przywrócił mu zwykły

spokój, dając upust najgorszemu rozdrażnieniu. Był też miłą przymiarką do tego, co zamierzał zrobić Dianie Lindsay, kiedy już ją będzie miał w swej władzy.

Minął kolejny tydzień i nadal nie było wieści od Gerwazego. Żeby nie oszaleć. Diana wmawiała sobie, że Veseul chciał ją tylko przestraszyć. Madeline zgodziła się z nią, wysłuchawszy opowieści o wydarzeniu na balu. ale w jej brązowych oczach pojawiła się troska. Ostrzegła też młodszą przyjaciółkę, żeby bardzo uważała na Veseula. Ostrzeżenie było całkiem zbędne.

Francis Brandelin zaczął regularnie odwiedzać Dianę. Wyczuła jego niepewność i obawę, czy może jej zaufać. Nie wiedziała, co on zdecyduje, ale lubiła jego towarzystwo. Był zabawny, inteligentny i posiadał rzadką u mężczyzn wrażliwość. Poza tym, choć bardzo się różnił od swego kuzyna, rozmawiając z nim czuła się bliżej Gerwazego.

Tego wieczoru było zimno jak na lipiec i uporczywie padało. Dianę wyrwał z niespokojnego snu odgłos cichych kroków.

- Geoffrey? - spytała półprzytomnie.

- Nie, do licha, nie Geoffrey.

Odpowiedź była wypowiedziana ze złością, szorstkim, dorosłym głosem. Diana poderwała się na łóżku. Przed oczyma stanęła jej złowroga twarz Veseula. Zaczerpnęła tchu, żeby wołać o pomoc, ale intruz zatkał jej usta, przytrzymując drugą ręką za ramiona.

- To tylko ja. Człowiek, który dał ci ten dom. A może już zapomniałaś?

Diana pomyślała, że ma do czynienia z szaleńcem, co jeszcze bardziej ją przeraziło.

- Zapalę świecę - mówił dalej, trzymając szamoczącą się Dianę w żelaznym uścisku. - Nie krzycz, kiedy cię puszcze. Jeśli ktoś z tobą jest, radzę, żeby się wyniósł, gdy będę krzesał ogień, bo inaczej skrećę mu kark, choćby był ode mnie o połowę młodszy.

Kiedy ją puścił, odsunęła się na drugi koniec łóżka, sztywna ze strachu. Błyskawicznie poradził sobie z zapaleniem świecy i odwrócił się do niej. Był wysoki i chudy, miał około pięćdziesięciu lat, ogorzałą twarz, a mokre ciemne włosy przetykały srebrne nitki siwizny. Woda z jego przemoczonego płaszcza kapiała na pościel.

Spojrzał na Dianę, zaciskając kurczowo okrycie pod brodą i aż się cofnął; był tak samo zaskoczony jej widokiem jak ona jego wejściem do sypialni.

- Kim, u diabła, jesteś? - warknął.

Może był zły, ale nie wyglądał na szalonego. Jego zdumienie nieco zmniejszyło jej strach.

- To ja powinnam pana o to spytać - powiedziała, z trudem panując nad głosem.

- Gdzie jest Madeline?

- Tutaj, Nicholas. Nie śpiam już w tym pokoju. - Głos dobiegł od progu, gdzie stała Maddy, ledwie widoczna w słabym świetle. Była szczelnie owinięta w czerwony szlafrok; ciemne włosy miała splecione w gruby warkocz. - Słyszałam, jak krzyczałaś, Diano. Dobrze się czujesz?

- Dobrze - odpowiedziała Diana, siląc się na spokój.

Madeline w pełnej napięcia ciszy przyglądała się intruzowi. Zbliżył się do niej o krok.

- Więc jesteś... - zaczął głosem nabrzmiałym od emocji. Uniosła rękę, przerywając mu w pół zdania.

- Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, to nie jest odpowiednie miejsce.

- Jeśli chcę z tobą porozmawiać! - Podeszedł do niej szybko, jakby go nagle czymś rozgniewała.

Maddy zerknęła na łóżko.

- Śpij, Diano. Nie ma się czego obawiać - powiedziała i wyprowadziła mężczyznę z sypialni.

Siedząc na łóżku z podkulonymi nogami, Diana wpatrywała się w zamknięte drzwi. Głowę miała ciężką od myśli. „Kurtyzana nie Powinna się nigdy zakochać w swoim protektorze”. Przyjaciółka nigdy nie wspominała o mężczyźnie, do którego odnosiły się te słowa, ale kładąc się z powrotem na poduszce i próbując zasnąć, Diana była pewna, że ów tajemniczy protektor na powrót wszedł w życie swojej kochanki.

Pokój Madeline znajdował się niedaleko, po drugiej stronie korytarza. Kiedy weszli, wzięła od Nicholas'a świecę i zapaliła od niej lampę, a potem uklękła przy palenisku i dorzuciła węgla do ognia.

- Do licha, Madeline, spójrz na mnie! - zirytował się, gdy nie spieszenie poprawiała żarzącą się stertę.

Wciąż klęcząc, podniosła na niego wzrok. Wpatrywał się w nią ze złością. Ze złością i pożądaniem. Zawsze tak było między nimi. Musiała się bardzo wysilać, żeby jej głos brzmiał spokojnie.

- Jak mnie znalazłeś?

- Melton widział cię na balu Pań Swawolnych i napisał do mnie. Twierdzi, że wyszłaś z chłopcem, który mógłby być twoim synem. Wróciłem do Londynu zaraz po otrzymaniu listu. Nadal mam klucz od tego domu. - Po chwili milczenia dodał z gorzkim wyrzutem: - To jedyna rzecz, jaką mam od ciebie.

- Przestraszyłeś Dianę.

Przeszedł przez pokój, schylił się i pomógł jej wstać, podtrzymując za ramiona.

- Do licha z Dianą. Gdzie się podziewałaś przez te trzy lata?

Trzy długie, samotne lata... Próbowała się wyswobodzić, z lęku przed uczuciami, jakie wzbudzał jego dotyk, ale trzymał ją mocno obiema rękami. Jego uścisk był bolesny, lecz nawet w połowie nie mógł się równać z bólem, jaki czuła w sercu. Wciąż unikając jego wzroku, powiedziała cicho:

- Wyjechałam z Londynu. I nie wróciłabym zeszłej jesieni, gdybym nie słyszała, że już nigdy nie zawitasz do miasta.

Ujmując ją pod brodę, zmusił, by na niego spojrzała.

- Wszyscy mówili, żeby się nie zakochiwać w dziwce, ale ja zawsze twierdziłem, że ty jesteś inna. Nawet w to wierzyłem.

Nie mogła dłużej omijać wzrokiem jego zielonych oczu; serce jej się ścisnęło, kiedy dojrzała w nich cierpienie.

- Gdzie byłaś i z kim? - spytał szorstko. - A może było ich tylu, że trudno zliczyć?

- Nie, Nicholas, nie było żadnego innego mężczyzny.

Widać było, że jej nie wierzy, ale puścił ją, rozpiął mokry płaszcz i odrzucił na krzesło. Ostatnie lata musiały być trudne dla Nicholas, lorda Famswortha. Był chudszy i bardziej siwy, niż kiedy go ostatnio widziała, a czarne ubranie nadawało mu jeszcze mizerniejszy wygląd.

Madeline wiedziała, że Nicholas będzie się z nią kochać i sama bardzo tego pragnęła, choć nadal dzieliły ich nie rozwiązane problemy, a tylko częściowo zabliznione rany znów miały się rozjątrzyć. Stała nieruchomo, usiłując pozbierać myśli. Tak głęboko wierzyła, że na zawsze zniknął z jej życia, że nigdy nie wyobrażała sobie takiej sceny, nie odgrywała jej w myślach, więc teraz nie wiedziała, jak się zachować.

- Nie mogłem uwierzyć, że tak po prostu wyjechałaś nic mi nie mówiąc - rzekł wolno, nie odrywając od niej oczu. - Wróciłem z Hazeldown, a ciebie nie ma. Służba odprawiona, meble poprzykrywane, w domu żadnej twojej rzeczy. Człowiek, który prowadził twoje interesy, nie chciał mi nic powiedzieć, choć to ja mu ciebie poleciłem. - Złość mijała, zostawał tylko ból. - Dlaczego, Maddy?

Prawda była o wiele mniej bolesna, niż sobie wyobrażał, nie było też powodu, by ją dłużej ukrywać. Wzięła go za rękę i pociągnęła na kanapę, siadając daleko od niego.

- Wyjechałam, bo byłam umierająca, a nie chciałam, żebyś to oglądał.

Przyglądał jej się z nagle ściągniętą twarzą.

- Wyglądasz całkiem zdrowo.

- Bo teraz jestem zdrowa. - Przyłożyła dłoń do piersi swoim dawnym gestem. - Był

guz... szybko rosnący. Lekarz twierdził, że to kwestia miesięcy.

Gniew znowu dał o sobie znać.

- Tak mało mi ufałaś? Sądziłaś, że cię porzucę i będziesz umierać samotnie?

- Nie, kochany, wiedziałam, że tak byś nie zrobił - powiedziała łagodnie, kręcąc głową. - I właśnie dlatego wyjechałam.

- Nie rozumiem. - Mówił normalnie, ale był wyraźnie zagubiony.

- Zapomniałeś, co się wówczas działo? Bałam się, że jeśli mnie nie rzucisz, ona cię zrujnuje.

- Oczywiście, że pamiętam. - Nicholas wydawał się bardzo zafrasowany. - Ale wybrałam cię. Byłam przygotowany na najgorsze ze strony Vivian.

Madeline odchyliła głowę na oparcie sofy.

- Właśnie, najgorsze - powtórzyła ze smutkiem. - Twoje dzieci musiałyby wybierać pomiędzy lojalnością wobec niej lub ciebie, rodzina byłaby rozdarta, twoja reputacja zrujnowana. Nawet Hazeldown byłoby zagrożone. - Sięgnęła do jego ręki, leżącej na poduszce sofy. - To za wysoka cena, żeby ją płacić za parę miesięcy z umierającą kobietą.

Chwycił jej dłoń i zamknął w mocnym uścisku.

- Powinnaś pozwolić, bym to ja podjął decyzję.

Przyjrzała się ukochanej twarzy. Nie mógłby uchodzić za przystojnego, ale w jego ostrych rysach było dostojenie i coś niewypowiedziane jej drogiego.

- Możesz uczciwie powiedzieć, że nie poczułeś ulgi, kiedy wyjechałam?

Zawahał się, nie mogąc zaprzeczyć jej słowom.

- Wtedy myślałem, że wyjechałaś pod wpływem odruchu źle pojętej szlachetności - odparł po dłuższej chwili milczenia. - Robiłem wszystko, żeby cię odnaleźć, ale ty jakbyś się zapadła pod ziemię. Dokąd wyjechałaś?

- Do Yorkshire, do wioski, w której się urodziłam. - Uśmiechnęła się z goryczą. - Moja siostra nie wpuściła mnie pod swój dach. - Zaklął cicho, ale nie dawała sobie przerwać.

- Diana, ta kobieta, którą przestraszyłeś w mojej dawnej sypialni, uratowała mnie podczas burzy i dała mi schronienie w swoim domu. Co więcej, przyjęła mnie do swojej rodziny. Prowadziłam spokojne życie i dobrze się czułam, bo mnie tam akceptowano i nie potępiano. - Madeline przymknęła oczy. - Wzmocniłam się, a guz powoli zaczął zanikać. Po powrocie do Londynu poszłam do lekarza, który mnie leczył. Powiedział, że tego rodzaju guzy są nieprzewidywalne, zwykle zabijają, ale czasem, z niewytłumaczalnych powodów, znikają. - Znow otworzyła oczy. - I to wszystko. Nic więcej się nie działo.

- Dlaczego wróciłaś do Londynu?

- Diana chciała tu zamieszkać. - Wstrzymała oddech, kiedy puścił jej dłoń i zaczął pieścić ramię pod rękawem szlafroka. Lekkie, czułe muśnięcia palców wzbudzały cudowne ciepło rozlewające się po całym ciele.

Oboje wiedzieli, że należy do niego, przynajmniej na tę noc. Przesunął się na sofie, ujął w dłonie jej twarz. Gniew odszedł na dobre, pozostała tylko czułość i namiętność.

- Dlaczego nie dałaś mi znać, że wróciłaś?

Krew coraz żywiej pulsowała jej w skroniach; wyjaśnienia przychodziły z trudem.

- Wróciłam do zdrowia, ale twoja żona nadal ma władzę, która może cię zniszczyć. I minęło tyle czasu... dość, żebyś o mnie zapomniał.

- Myślisz, że tylko kobiety potrafią kochać? - spytał patrząc na nią tkliwie. Nachylił się, żeby ją pocałować.

Jęknęła, spragniona znajomego dotyku, smaku, ciężaru. Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła go do siebie. Zawsze łączyła ich gorąca namiętność, ale lata rozłąki doprowadziły ją niemal do wrzenia. Kiedy przeniósł usta na jej szyję, rozwiązując pasek szlafroka. Madeline rozplakała się.

- Och. Nicholas, tak cię Kocham - szepnęła przez łzy. - Twoja żona w końcu się dowie i znów będziemy się musieli rozstać. Ale wykorzystajmy jak najlepiej te dni czy tygodnie, które nam pozostały.

Nie powiedział jej dotąd najważniejszego.

- Vivian nie żyje.

Madeline wstrzymała oddech, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Nie patrz tak, przecież jej nie zamordowałem - powiedział z cierpkim uśmiechem. Wsunął rękę pod szlafrok i objął jej pierś, jakby do niego należała. - To zemsta losu, że umarła pół roku temu na tę samą chorobę, którą ty miałaś. Nie zauważyłaś, że noszę żałobę?

Potrząsnęła głową, wciąż oniemiała z zaskoczenia. Jako człowiek honoru, wcześniej nie opowiadał kochance zbyt wiele o żonie, ale teraz chciał, żeby Madeline go zrozumiała.

- Kiedy zmarł mój ojciec, posiadłość była na skraju bankructwa. Ożeniłem się z Vivian dla jej posagu, a ona w zamian została lady Farnsworth. Często spotykany układ. - Bezwiednie zacisnął dłoń na piersi Madeline. - Nie przypuszczałem, że zapłacę za Hazeldown aż tak wysoką cenę. Traktowałem Vivian z szacunkiem należnym żonie, dałem jej pozycję, jakiej nigdy by nie zdobyła jako córka kupca, dałem jej dzieci, ale to wciąż nie wystarczało. Chciała zawładnąć mną, moim ciałem i duszą, a kiedy jej się nie udało, zamieniła moje życie w piekło. Nie dlatego, że mnie kochała, lecz dlatego, że miała potrzebę dominacji. Chciała, żebym cię porzucił, bo nie mogła znieść myśli, że znalazłem trochę szczęścia.

Madeline dotknęła jego ręki. posyłając mu ciepłe, pełne współczucia spojrzenie piwnych oczu.

- Przez osiem lat dzięki tobie miałem po co żyć - powiedział, ostrożnie dobierając słowa. - Źle zrobiłaś, wyjeżdżając bez uprzedzenia, ale... to było takie do ciebie podobne. Szlachetne. - Czuł pod dłonią równe bicie jej serca. - Już nigdy mnie nie opuszczaj w taki sposób.

Pocałował ją, a ona tym razem nawet nie próbowała się opierać fali pożądania. Z pasją odwzajemniła pocałunek. Choć nadal nie mogła uwierzyć, że znowu są razem, w radosnym uniesieniu ponownie odkrywała ukochane ciało. Gdyby rano miała zginąć razona piorunem, umarłaby szczęśliwa, że jeszcze raz kochała się z Nicholasem.

Później, gdy zaspokojone pragnienie dało im nieco odpocząć, leżeli objęci, rozmawiając tak jak dawniej. Opowiadała mu o Dianie i Geoffreyu, o Edith, i o tym, jak znów nauczyła się skubać kurczaki. On mówił o Hazeldown i swoich dzieciach. Jego oczyma widziała ich dorastanie, z radością przyjęła wiadomość, że córka wyszła za mąż i obdarowała go wnukiem, że młodszy syn z powodzeniem służy w wojsku, a pierworodny jest zdolnym i pracowitym rolnikiem.

Drzemała już z głową opartą na ramieniu Nicholasa, kiedy padło pytanie:

- To kiedy się pobierzemy?

Spojrzała mu w oczy.

- Wcale nie musisz się ze mną żenić. Zważywszy na moją przeszłość, z pewnością wywołałoby to skandal. Wystarczy mi rola twojej kochanki.

- Cóż, ale mnie nie wystarczy. - Jej rozpleciony w ferworze miłosnego zespolenia warkocz łaskotał go w nagą pierś. Poglądził gęste ciemne kędziory, a potem nachylił się, żeby musnąć pocałunkiem jej czoło. Tak samo jak on, Maddy miała młodość za sobą, ale z siateczką zmarszczek na twarzy była mu jeszcze droższa. - Przez całe życie wypełniałem obowiązki wobec Hazeldown i rodu Farnsworthów. Teraz zamierzam zrobić coś dla siebie.

Zachichotała, przytulając się do niego mocniej.

- Jeśli nie zmienisz zdania po zakończeniu żałoby, będziemy mogli wrócić do tej rozmowy. - Zasypiając, starała się pamiętać, by nazajutrz powiedzieć Dianie, że miłość do protektora nie zawsze musi się źle kończyć.

Diana już tyle lat znała Madeline, że widziała, jak przyjaciółka stopniowo przechodzi od rozpacz, przez rezygnację, do niezmaconego spokoju. Teraz, po raz pierwszy, widziała ją promieniającą szczęściem. Przez następny tydzień lord Farnsworth prawie nie opuszczał ich domu. Ponieważ sam był zarządcą swojego majątku, w lecie nie mógł zbyt długo przebywać



poza posiadłością, więc starał się jak najpełniej wykorzystać czas przed powrotem na wieś. Farnsworth był porywczym typem, skorym do mówienia i śmiechu, czasem zniecierpliwienia, a patrzył na Madeline w taki sposób, że Diana mogła tylko zazdrościć. Wolałaby, żeby Gerwazy patrzył na nią tak samo, wyzbywając się swych ponurych, nieodgadnionych spojrzeń.

Po wyjeździe lorda Farnswortha dom wydawał się pusty, więc z tym większą radością Diana powitała wizytę Francisa Brandelina. Choć zachowywał się uprzejmie i czarująco jak zwykle, był dziwnie rozdrażniony. Diana domyśliła się, że pił. Może dla dodania sobie odwagi? Rozmawiali przy herbacie o różnych błahostkach; Francis kruszył wyborne ciasteczka upieczone przez kucharkę, prawie wcale ich nie jedząc. Przypominał jej Geoffreya, który zachowywał się podobnie, gdy miał coś na sumieniu.

Uznawszy, że czas na przełamanie lodów, Diana dołała sobie herbaty.

- Chciałbyś może o czymś porozmawiać, Francis? - Sadowiąc się wygodniej na krześle, dodała poważnie: - Wiesz, że wszystko, co mi powiesz, zachowam dla siebie.

Ostrożnie odstawił filiżankę na środek stolika.

- Wiem - rzekł cicho. - Ale... mimo to trudno mi o tym mówić.

- Bo słowa mają swoją moc i boisz się, że kiedy padną, to, czego się obawiasz, stanie się faktem?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem posłał jej niepewny uśmiech.

- Chyba tak. Jesteś bardzo domyślna.

- To nie to - sprostowała z żalem. - Po prostu sama nie potrafię powiedzieć tego, co powinno zostać powiedziane.

Spojrzał zaciekawiony, ale tego dnia nie mieli poruszać jej problemów.

- Ponieważ słowa mają moc, czasem wypowiadając je, zyskujemy wolność.

Wstał i zaczął przemierzać pokój szybkimi, nerwowymi krokami; zatrzymał się w końcu przy oknie, z rękami założonymi na plecach.

- Wiem o tym, Diano. I chyba dlatego chcę ci powiedzieć o... o mojej słabości. Ponieważ mam nadzieję, że rozmowa z tobą przyniesie mi wolność.

Podniosła się z miejsca i podeszła do okna, stając z boku, żeby móc widzieć jego profil.

- To, co ci ludzie mówili o tobie na balu Pań Swawolnych... było prawdą?

- I tak, i nie. - Francis z trudem przełknął ślinę; widziała wyraźnie napięte ścięgna na jego szyi. - Młodzi chłopcy są oddzielani od wszystkiego, co jest im znane, i posyłani do szkół, łączeni w grupy z innymi chłopcami, pozbawiani wszelkiej prywatności, torturowani

przez starszych kolegów. Mogą nawiązywać bliskie przyjaźnie. Czasami zachowują się w taki sposób, który świat uważa za... nienaturalny. - Odwrócił się do niej przodem; jego oczy miały barwę pogodnego nieba. - Większość mężczyzn wyrasta z takich rzeczy, udaje, że się nigdy nie zdarzyły. Pogardza nimi, pogardza tymi, którzy tak się zachowują.

- Ale ty nie? - podsunęła miękko.

- Ja nie - odpowiedział głucho. - Miałem nadzieję, modliłem się, by wyrosnąć z moich... nienaturalnych pragnień. Jako dorosły człowiek nigdy się im nie poddawałem. Ale one tkwią we mnie. - Francis wzruszył ramionami, umykając przed nią wzrokiem. - Wiesz, to ironia losu, bo jestem dokładnym przeciwieństwem większości mężczyzn. Lubię kobiety, naprawdę.

Popatrzył na nią jakby nieco zawstydzony.

- Bardzo cię lubię. - Znów uciekł spojrzeniem. - Ale nie mam ochoty... kochać się z kobietami. Nie chodzi tylko o Eton... Myślę, że taki się urodziłem... i nigdy nie będę tym, co ludzie uważają za normalne.

Diana doznała olśnienia.

- Ostatnio coś się zmieniło, prawda?

- Ty naprawdę jesteś domyślna. - Powrócił wzrokiem za okno, bez zainteresowania obserwując przejeżdżający powóz. - Odkąd wróciłem z uniwersytetu, zachowywałem się jak przystało na młodego dżentelmena, spełniając wszystkie towarzyskie obowiązki. Chodziłem na bale, gdzie poznawałem młode panny, zawsze uważając, by nie wzbudzać płonnych nadziei. Miałem nadzieję, że spotkam dziewczynę, w której się zakocham po uszy i wszystko będzie jak trzeba, ale tak się nie stało.

- I co? - naciskała Diana łagodnie.

- Zakochałem się po uszy. - Zacisnął szczęki. - Ale... nie w kobiecie.

Wszystko, co mówił, było bardzo dalekie od doświadczeń Diany. Wyczuwając głębokie cierpienie Francisa, tym bardziej bała się, by go nie urazić.

- Czy on... odwzajemnia twoje uczucia?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. - Bawił się brzegiem brokatowej zasłony. - Jest o kilka lat starszy ode mnie, bardziej doświadczony. Myślę, że jesteśmy... podobni. Kiedy jesteśmy razem... nie dzieje się nic, czego by nie mogli zobaczyć świadkowie. Ale to, co czuję... i co widzę w jego oczach... - Głos mu się załamał.

W tym momencie naprawdę zrozumiała. Miłość, wyczuwalna w głosie Francisa, nie różniła się od jej miłości do Gerwazego czy miłości Maddy do Nicholas'a. Diana nie potrafiła tego potępić.

- To okropne, że żaden z was nie może mówić z obawy, że się myli, że ten drugi przeklnie go i znienawidzi - powiedziała.

Francis zacisnął na draperii szczupłe palce.

- To nawet gorsze niż nienawiść i przekleństwo. Mówimy o najcięższej zbrodni. Co roku kogoś za to wieszają. Samo oskarżenie może złamać człowiekowi życie.

Tak mało wiedziała o świecie...

- Czy w innych krajach jest tak samo? - spytała niepewnie.

Francis nieco się odprężył.

- Nie, Anglia jest chyba najmniej tolerancyjnym miejscem na świecie. Starożytni wcale nie uważali miłości pomiędzy mężczyznami grzeszną. Nawet dzisiaj mówi się, że we Włoszech i w Grecji panuje większa tolerancja. Słyszałem o Anglikach, którzy skazali się tam na wygnanie, i zastanawiam się, czy to mogłoby być rozwiązanie dla mnie.

- Może powinieneś zapytać swego... przyjaciela, czy nie chciałby pojechać z tobą na wycieczkę - zasugerowała. - Do Włoch albo do Grecji.

Wydał z siebie przeciągłe westchnienie, w którym był zarazem żal i ulga.

- Może powinienem. - Odwrócił się do niej z oczyma zasnutymi smutkiem. - To mogłoby rozwiązać parę problemów. Nie wszystkie. Myślę, że z czasem nauczę się akceptować samego siebie.

- Jeśli ci się uda, najcięższa bitwa będzie wygrana. - Diana zamilkła, podziwiając jego z takim trudem zdobytą mądrość. Po chwili jednak, patrząc mu w oczy, zapytała: - Dlaczego chciałeś porozmawiać o tym właśnie ze mną? Przecież ledwie mnie znasz.

- Między innymi dlatego - rzekł wolno. - Łatwiej rozmawiać z kimś, kto nie zna mnie od lat. Poza tym... przypominasz mi madonnę, ciepłą i wyrozumiałą. Pomyślałem, że jeśli ktoś może mnie zaakceptować, to właśnie ty. - Znowu ból ściągnął mu rysy. - A co z moją rodziną? Z moją matką i młodszą siostrą, moim kuzynem Gerwazym. Jeśli się dowiedzą, czy będą mną pogardzali? - Potrząsnął głową, jakby próbował zaprzeczyć rzeczywistości, a potem zawołał z rozpaczą, bliski całkowitego załamania: - Jesteś matką, Diano. Powiedz mi, co byś czuła, dowiedziawszy się, że twój syn jest... taki jak ja?

Diana zamknęła oczy, żeby ukryć łzy. Nietrudno było żywić współczucie dla nowego przyjaciela, ale tym głębiej pojęła jego tragedię, wyobrażając sobie, co by czuła, gdyby zamiast Francisa stał przed nią dorosły Geoffrey. Odetchnęła głęboko i otworzyła oczy.

Francis stał na tle okna; jego jasne włosy lśniły w ostrych promieniach popołudniowego słońca. Przystojna młoda twarz zdradzała całą bezradność i rozpacz, kiedy czekał na jej wyrok, bez nadziei.

- Nie mogę się wypowiadać za twoją matkę ani za nikogo innego - zaczęła miękko. - Mogę cię tylko zapewnić, że nic nie jest w stanie pomniejszyć mojej miłości do Geoffreya. A mojego syna mogą spotkać znacznie gorsze rzeczy niż bycie takim jak ty.

Podeszła bliżej i położyła mu ręce na ramionach, obdarowując go lekkim, serdecznym pocałunkiem, który miał być dowodem, że nie czuje do niego odrazy. Francis objął ją gwałtownie, tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Czuła, jak drży od zbyt długo powstrzymanego szlochu. Odwzajemniła uścisk, dodając mu otuchy, jakby był Geoffreym, choć w istocie był od niej wyższy o pół głowy. Kiedy burza uczuć ucichła, puścił ją, szepcząc z wdzięcznością:

- Dziękuję ci, Diano. Za to, że jesteś taka, jaka jesteś i pozwalasz mi być takim, jaki jestem.

Opuściwszy Cyganów, Gerwazy torował sobie drogę przez szeregi francuskiej armii, udając handlarza cygar i czekolady. Kiedy wreszcie dotarł do generała Romany na duńskiej wyspie Funen, sporo czasu stracił na przekonywanie Hiszpana, że naprawdę jest przedstawicielem brytyjskiego rządu.

W końcu powiadomiony o sytuacji w jego rodzinnym kraju Romana, nie marnując ani chwili, przyjął propozycję królewskiej marynarki, która miała przewieźć jego wojska z powrotem do Hiszpanii. Udział w tym przedsięwzięciu dał Gerwazemu poczucie głębokiej satysfakcji: w istocie to wydarzenie było jego największym życiowym sukcesem. W głębi duszy wiedział, że półwysep jest piętą achillesową Napoleona. I że choć francuskiego cesarza od upadku mogły dzielić jeszcze długie lata, już nastąpił początek jego końca.

Wicehrabia mógł się przyłączyć do wojsk Romany, zmierzających do Hiszpanii, ale wolał powrócić tą samą drogą, którą przybył. Tak było szybciej, a w swojej podróży dowiedział się różnych rzeczy, które jak najszybciej powinny dotrzeć do Whitehall. Poza tym miał osobiste powody, żeby pragnąć powrotu do domu. Widok, głos i dotyk Diany prześladowały go na jawie i we śnie. Kiedyś, podróżując ciemną, niebezpieczną nocą, zatrzymał się jak wryty parę jardów od francuskiego patrolu, sparaliżowany nagłym przyływem uczuć. Nie od razu do niego dotarło, że krzak, za którym się ukrył, to bez, a jego zapach nieodparcie kojarzy mu się z osobą kochanki.

Z każdą rozłąką pragnął jej coraz bardziej. Jednak tym razem jego pragnienie i tęsknota zaprawione były goryczą podejrzania. Francuzi wyraźnie się go spodziewali, a Diana była jedną z czterech osób, które wiedziały o jego wyprawie. Trzy pozostałe były członkami rządu. I choć trudno było pogodzić jej słodkie oddanie ze zdradą, w tej szczególnej sprawie uczucia nie mogły mu mącić jasności osądu.

Obawiając się najgorszego, próbował sobie przypomnieć, co jej mówił na temat swojej pracy, choć jednocześnie wątpił, by było to coś istotnego. Ostatecznie trudno się dziwić, że kobieta sprzedająca swoje ciało sprzeda również informacje, jeśli cena będzie odpowiednia. Jeżeli to zrobiła, dowie się od niej prawdy. Nie wiedział tylko jeszcze, jak wówczas postąpi.

Przeprawa przez kanał łodzią wyładowaną brandy podczas ciężkiego letniego sztormu była powolna i niebezpieczna. Gerwazy padał ze zmęczenia, kiedy o świcie wyładowali w Harwich, ale natychmiast wynajął powóz i ruszył do Londynu, nie zważając na deszcz, rozmiękłe drogi i inne niedogodności. Podróż przebiegała wolno, a pod koniec był już tak

wyczerpany, że wolał nająć woźnicę, niż samodzielnie powozić przez ostatni odcinek trasy.

Dotarli do Londynu późnym wieczorem i Gerwazy zamierzał udać się prosto do swego zimnego, lecz wygodnego domu. Jednakże niemożliwy do odparcia impuls kazał mu jechać do domu Diany, choć w ten sposób sam prosił się o kłopoty, łamiąc zasadę, by zawsze prosić o pozwolenie na odwiedzinę.

Wygrzebawszy się ciężko z powozu, z niewielkim tobołkiem, który stanowił jego cały bagaż, zapłacił i odprawił woźnicę. Deszcz prawie ustał, zamieniając się w lepką mgłę, przenikającą ubranie i ciało aż do kości. Pogoda przypominała bardziej listopad niż sierpień, nic więc dziwnego, że ulice Mayfair były prawie puste. W oknie Diany paliło się światło. Przyszło mu do głowy, że może zabawia innego mężczyznę. Jeśli tak, to co wtedy miałby zrobić?

Powoli wszedł na marmurowe schody z nadzieją, że jednak jest sama, bo nawet odległość paru przecznic do własnego domu wydawała mu się zbyt daleka do pokonania pieszo. Pokojówka, która w końcu otworzyła drzwi, kazała mu poczekać w saloniku, a sama poszła spytać, czy pani zgodzi się przyjąć gościa. Rzuciwszy tobolek przy drzwiach, przechadzał się w kółko bez celu; nie usiadł, wiedząc, że zbyt trudno byłoby mu wstać.

A potem Diana stanęła w progu, opierając się dłonią o framugę, patrząc na niego szeroko otwartymi lazurowymi oczyma. Wyglądała krucho i uroczo w niebieskim szlafroku, z włosami rozpuszczonymi, jakby szykowała się do snu. Czyżby widział na jej twarzy zdziwienie, zaskoczenie, że wrócił żywy? Może nawet rozczarowanie?

Nim te rozpaczliwie myśli zdążyły na dobre zagościć w jego głowie, ona już była przy nim, obejmowała go z taką siłą, że aż się zachwiał, odwzajemniając uścisk. Diana była samą miękkością, ciepłem i czystością; świeża i pachnąca jak wiosenny poranek, chciała go zagarnąć całego w swe drobne ramiona. Zmęczenie i napięcie przygniatające go coraz mocniej od chwili, gdy opuścił Anglię, zaczęły ustępować, kiedy dotknął policzkiem jej gładkich włosów. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy miał ochotę się uśmiechnąć.

- Ostrożnie, Diano, bo mogę się na ciebie przewrócić.

Uniosła ku niemu twarz. Był wstrząśnięty, widząc łzy spływające jej obficie po policzkach.

- Tak się martwiłam - szepnęła. - Minęło tyle czasu, odkąd wyjechałeś... Bałam się, że coś ci się stało.

Kiedy ostatnio ktoś aż tak się przejmował jego losem? Nawet płacząc, wyglądała tak pięknie, że aż serce mu się ścisnęło. Wszelkie słowa uleciały mu z głowy; wystarczyło, że może na nią patrzeć i czuć bliskość jej giętkiego ciała. Była taka ciepła...

- Nic ci nie przywiozłem - rzekł przepaszająco.

- Wariat - rzuciła karcąco. Łzy obeschły, patrzyła na niego promiennymi oczyma. - Chyba udzielę ci kredytu na dzisiejszą noc - dodała z zalotnym uśmiechem. - Ale muszę dostać całusa jako gwarancję.

Nawet dla bardzo zmęczonego mężczyzny była to oferta nie do odrzucenia. Napawał się znajomym kształtem i smakiem. Kiedy uległa i oddana wydała z siebie cichy gardłowy jęk, przestał dla niego istnieć cały świat poza kobietą, którą trzymał w ramionach. Nie było przeszłości ani przyszłości, nie liczyło się nic poza Dianą, a ona wystarczała mu za wszystko.

W jej obecności powracały mu siły i kiedy przeciągły pocałunek wreszcie dobiegł końca, Gerwazy cofnął się o krok.

- Wybacz, że zjawiłem się w tak pożałowania godnym stanie. Podróżowałem bez przerwy przez kilka tygodni i od niepamiętnych czasów mam na sobie to ubranie.

Przyjęła jego uwagę bez słowa, ale zaraz zadzwoniła na służbę, a potem objęła go w pasie i pociągnęła za sobą. Gerwazy chętnie dał się prowadzić. Diana kazała pokojówce przynieść jedzenie i wino do jej sypialni. Weszli na schody ciasno objęci, co nie było zbyt wygodne, ale jakże miłe.

- Masz szczęście - odezwała się już na górze. - Właśnie miałam zamiar się kąpać, więc wanna z gorącą wodą jest już przygotowana.

- To brzmi bardzo zachęcająco, ale ostrzegam cię, że mogę zasnąć w wodzie.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Już ja zadbam, żebyś przypadkiem nie utonął.

Apartament Diany składał się z kilku pomieszczeń, w tym niewielkiej izby z wbudowaną wanną, jakiej Gerwazy jeszcze nigdy nie widział. Długa, głęboka wanna, mogąca z łatwością pomieścić postawnego mężczyznę, była napełniona parującą wodą o lekko kwiatowym zapachu.

Z wprawą, której nabyła wychowując syna, Diana zaczęła rozbierać Gerwazego. Poddał się rozbawiony, nie próbując jej przeszkadzać.

- Schudłeś - zauważyła, dotykając jego żeber przy rozpinaniu brudnej koszuli.

- Posiłki nie zawsze były regularne.

Wstrzymała oddech, natrafiając palcami na świeżą, ledwie zagojoną ranę na jego lewym ramieniu.

- Twoja podróż rzeczywiście musiała być tak niebezpieczna, jak się spodziewałeś - powiedziała przejęta.

- Była.

Dotknęła blizny ustami, leciutko, żeby go przypadkiem nie urazić. Zauważył, że znowu oczy szklą jej się od łez. W milczeniu sam dokończył rozbieranie, wzruszony jej czułością, czując, jak mimo zmęczenia wzbiera w nim pożądanie.

Żaden z domów Gerwazego nie opływał w takie luksusy jak wbudowana wanna; zanurzył się w gorącej wodzie z błogą przyjemnością. Pokojówka zastukała do drzwi, więc Diana wyszła, żeby wymienić jego brudne ubranie na tacę z jedzeniem i butelką wina.

Napełniła kieliszek i podała mu do wanny, co przyjął z niekłamanym zachwytem.

- Wydaje mi się, że umarłem i poszedłem do nieba.

- Twoje ciało zachowuje się w zupełnie nieanielski sposób - zauważyła ze śmiechem.

W odpowiedzi delikatnie dotknął jej policzka, a potem oparł głowę o ścianę, pociągając łyk wina. Gorąca woda rozluźniła napięcie w mięśniach, z którego nawet nie zdawał sobie sprawy. Poczul się słaby jak niemowlę. Postanowił odłożyć do jutra służbowe i osobiste powinności oraz pytanie, kto ostrzegł Francuzów o jego przybyciu, a na razie całkowicie poddać się opiekuńczym zabiegom Diany.

Zdjęła szlafrok, pozostając jedynie w półprzezroczystej, głęboko wyciętej bawełnianej koszuli bez rękawów. Uzbrojona w ściereczkę i mydło, ukłękła obok wanny i zaczęła go myć. Lekko szorstki dotyk grubego materiału działał jak masaż. Nie starała się go świadomie pobudzać, ale jej delikatne ruchy i tak wywołały odpowiedni skutek.

Dodatkowo rozgrzany od środka winem, stwierdził, że w każdej sytuacji, przy każdym ruchu jego kochanka zachowuje się z niewysłowionym wdziękiem.

- Nie czułem się tak dobrze od czasu, gdy w maju opuszczałem twój dom - odezwał się, kiedy z rękami zanurzonymi w wodzie szorowała mu nogi. - Świadomy, że te słowa nie oddają w pełni wszystkiego, co chciał wyrazić, dodał:

- Choć nawet wtedy nie było mi tak dobrze, bo cię opuszczałem. - Wyciągnął rękę, żeby przejechać palcem po jej smukłej szyi. - Jesteś bezcenną perłą - szepnął.

Podniosła głowę, jakby zawstydzona, wyraźnie ucieszona pochwałą, lecz zaraz znów zabrała się za mycie. Dopił wino, odstawił kieliszek do kąta pomiędzy wanną a ścianą i zamknął oczy, chłonąc przyjemność kąpieli. Uznawszy mycie za zakończone, Diana przesunęła się, żeby namydlić mu włosy. Delikatny, lecz zarazem energiczny ruch jej mocnych palców masujących mu czaszkę był niewypowiedzianie miły. Cudownie pełne piersi Diany prześwitywały przez zachlapaną wodą koszulę. Kiedy się pochyliła, Gerwazy uległ pokusie i chwycił ustami brodawkę. Natychmiast poczuł przez cienką tkaninę, jak robi się twarda i stercząca.

Kiedy poruszył ustami, Diana znieruchomiała, zaciskając kurczowo palce w jego



włosach. Potem opuściła ręce na jego ramiona i przymknęła oczy, drżąc, z przyspieszonym oddechem. Obejmując ją, przesunął ustami wzdłuż wycięcia koszuli, zatrzymując się na dłużej w słodkim zagłębieniu między piersiami. Ciepłe, nasycone parą powietrze sprawiło, że jej skóra stała się lekko wilgotna i jeszcze bardziej gładka. Erotyczne napięcie, towarzyszące im od początku kąpieli, wybuchło mocnym płomieniem. Kiedy ich usta się spotkały. Gerwazy przesunął dłonią po jej kształtnej nodze, unosząc cienki materiał. Musiał przerwać pocałunek, żeby mogła ściągnąć koszulę przez głowę, ale widok Diany w pełnej krasie wynagrodził mu zawiązką tę niedogodność. Bujne kasztanowe włosy spływały jej z ramion swobodnymi falami, a szczupła kibić podkreślała bogactwo kobiecych krągłości. Wyciągnął ręce, żeby obdarzyć pieszczotą każdy najmniejszy kawałeczek jej cudownie jedwabistego ciała. W końcu zagarnął ją w ramiona i pociągnął do siebie.

- Naprawdę myślisz, że ta wanna jest wystarczająco duża dla dwóch osób? - W śmiechu, który towarzyszył pytaniu, było tyle samo rozbawienia co namiętej gotowości.

- Warto sprawdzić - odparł Gerwazy, układając ją na sobie. Zrozumiał, dlaczego marynarze marzą o syrenach.

Kiedy pocałunki i poczucie bliskości przestało im wystarczać, chwycił ją za pośladki i posadził na sobie, zanurzając się w niej głęboko, Wstrzymała oddech, opadając miękko na jego pierś. Jej długie włosy unosiły się wachlarzem na powierzchni wody, kiedy złączone ciała pulsowały w wolnym podwodnym tańcu, dotąd Gerwazemu nieznanym, Stopieni w jedno, nie tylko cielesnie, równocześnie osiągnęli spełnienie. Dochodzili do siebie powoli; ich urywane oddechy marszczyły powierzchnię wody. To, co czuł Gerwazy, nie było jedynie rozkoszą czy nawet ekstazą; miał wrażenie, że wraz z Dianą wkroczył do jakiejś nieznanej krainy, a jego uczucia były zbyt nowe i głębokie, by mógł je od razu zrozumieć. Chcąc rozładować napięcie, powiedział:

- Aż dziw, że woda się nie zagotowała. - Delikatnie odgarnął jej z czoła mokre włosy.  
- Mam zamiar zainstalować takie wanny we wszystkich moich domach.

Leżeli piersią przy piersi, więc poczuł drżenie, kiedy się roześmiała.

- Nie miałam pojęcia, że kąpiel może być aż tak przyjemna - powiedziała unosząc głowę. Następnie wstała ostrożnie, wyszła z wanny i owinęła się jednym z olbrzymich ręczników przygotowanych w pobliżu. - Na podłodze jest prawie tyle samo wody co w wannie. Bez niej zrobiło mu się zimno i samotnie, więc zanurzył się, spłukał włosy i także zakończył kąpiel. Śmiejąc się, pomagali sobie nawzajem przy wycieraniu. Zaspokojony uczuciowo i fizycznie, stał się prawie nieprzytomny ze zmęczenia. Przed zapadnięciem w najgłębszy, najspokojniejszy sen w swoim życiu pamiętał tylko o tym, by objąć Dianę i

trzymać ją przy sercu przez całą noc.

Kiedy młoda pani i jej kochanek spali, francuska kucharka doświadczonym okiem wprawnie przejrzała zawartość bagażu wicehrabiego, starannie przepisując tajne notatki, a potem odłożyła wszystko na miejsce. Po miesiącach marnowania czasu w tym domu miała wreszcie coś ważnego do doniesienia. Większość z tego, co przepisała, była dla niej całkiem niezrozumiała, lecz nie miała wątpliwości, że dla hrabiego de Veseul wszystko będzie oczywiste.

Kiedy Diana się obudziła, było wcześniej rano a Gerwazy dalej smacznie spał. Szara maska zmęczenia, jaką miał na twarzy, gdy go zobaczyła, zniknęła jeszcze wczoraj wieczorem i teraz wyglądał młodo i pogodnie. Bardzo ją to ucieszyło. Nie miała serca go budzić, więc złamała kolejną zasadę, pozwalając mu spać, podczas gdy ona jadła śniadanie z Geoffreyem.

Po wyjściu syna wróciła do sypialni i zobaczyła, że Gerwazy się poruszył. Kiedy podeszła blisko, żeby sprawdzić, czy się obudził, znenacka chwycił ją i wciągnął do łóżka na poranne pieszczoty, po których oboje zarumienieni zaśmiewali się serdecznie. Później leżeli z twarzą przy twarzy, ciasno objęci. Zapadający znów w drzemkę. Gerwazy nagle otworzył oczy.

- Która godzina? - spytał trzeźwo.

- Dochodzi dziesiąta.

- Dobry Boże, minęło pół dnia. - Usiadł na łóżku, przesuwając ręką po ciemnych włosach, które stanowczo wymagały przycięcia. Wysunął się z pościeli i odnalazł wzrokiem swoje ubrania, wyprane, wyprasowane, poukładane schludnie na krześle.

Diana westchnęła i również wstała. Powinna była wiedzieć, że to nie potrwa wiecznie. Doprowadziła do jakiegoś takiego porządku wymięta suknię, po czym dwukrotnie szarpnęła dzwonkiem, co stanowiło dla służby sygnał, że należy podać śniadanie. Z przyjemnością obserwowała, jak Gerwazy się ubiera. Nawet nędzne ubranie nie mogło skryć urody szczupłego męskiego ciała. Szerokie ramiona, wąskie biodra, długie muskularne nogi i ten cudownie zręczny sposób poruszania się... Jeszcze raz westchnęła, tym razem z rozmarzeniem.

- Czemu się uśmiechasz? - spytał, zapinając koszulę.

- Nie uśmiecham się - sprostowała poważnie. - Podziwiałam tylko twoje ciało.

Przewrócił oczami.

- Niepotrzebnie zadałem to pytanie.

Zachichotała, ucieszona, że wreszcie widzi go w doskonałym nastroju. Założył

znoszony surdut, w którym wyglądał bardzo dostojnie. Domyślała się, że wędrując w tajnej misji po Europie musiał zmieniać swój sposób zachowania, ale teraz z całą pewnością był na własnej ziemi. Przyniesiono śniadanie. Gdy Gerwazy poczuł zapach gorących wiejskich kiełbasek, postanowił jednak zostać jeszcze chwilę i się posilić. Dosłownie rzucił się na jedzenie i pochłaniał je łapczywie, ponieważ był zbyt zmęczony... lub zajęty, żeby cokolwiek zjeść poprzedniego wieczoru. Po śniadaniu z synem Diana nie była już głodna, ale napiła się herbaty, żeby dotrzymać Gerwazemu towarzystwa.

Po skończonym posiłku żartobliwie przesadnym ruchem przygarnął ją do siebie, aż straciła grunt pod nogami. Odpowiedziała szczerym rozbawieniem.

- Przykro mi, że muszę uciekać, ale jak się zapewne domyślasz, po tak długiej nieobecności mam mnóstwo rzeczy do załatwienia.

- Żałujesz, że tak długo tu zabawieś? - spytała z nadzieją, że zaprzeczy.

- Powinienem, ale nie żałuję - zapewnił i uśmiechnął się szczerze.

- Przyjdiesz wieczorem?

- Tak. Późno, ale przyjdę. - Położył jej ręce na ramionach i przyciągnął ją do siebie na krótki pożegnalny pocałunek, który natychmiast miał ochotę przedłużyć w nieskończoność, więc oderwał się od niej i szybko wyszedł.

Dianę czekały różne codzienne obowiązki, ale z błogim uśmiechem na parę minut zaszyła się w głębokim fotelu. Niezależnie od tego, co Gerwazy powiedział i czego nie powiedział, tego ranka czuła się jak kobieta kochana.

Dobre samopoczucie Gerwazego nie trwało długo. Miał zamiar od razu udać się do Whitehall i odszukać ministra spraw zagranicznych, ale jego wzrok mimochodem padł na aptekę, której właściciel obserwował dom Diany. Po jej gorącym powitaniu wydało mu się niedorzecznością kazać ją szpiegować, więc uznał, że czas zapłacić temu człowiekowi i zrezygnować z jego dalszych usług.

O tej porze w aptecce nie było klientów, a aptekarz, drobny zasuszony mężczyzna, przywitał Gerwazego bez zdziwienia.

- Dzień dobry, milordzie. Mam nadzieję, że dopisuje panu zdrowie. - Popatrzył na przybysza znacząco i dodał: - Pańska gołąbeczka cieszy się dużą popularnością.

Jego słowa podziałały jak potężny cios; w jednej chwili zmiotły z twarzy Gerwazego wszelką radość.

- Doprawdy? - spytał, usiłując przybrać obojętną minę.

- A jakże. Proszę pamiętać, że w nocy mnie tu nie ma, więc nie mogę nic powiedzieć.

W ciągu dnia z początku był spokój, ale przez ostatnie parę tygodni miała sporo gości. - W

bezbarwnych oczach zamigotała złośliwość. - Panów, oczywiście.

Gerwazy starał się pamiętać, że wybrał aptekarza na szpiega z powodu jego upodobania do plotek o sąsiadach oraz położenia apteki. Nie bez znaczenia był też fakt, że aptekarz znał co ważniejszych mieszkańców Londynu. A gość nie musiał być od razu kochankiem.

- Rozpoznał pan któregoś z nich?

- Ależ tak. Dżentelmena, którego ostatnio rzadko widzujemy w Londynie, lorda Farnswortha. Prawie nie opuszczał tego domu przez tydzień lub dłużej. I jeszcze młody chłopak, zachodzi popołudniami. Sam widziałem, jak się całowali w oknie.

Gerwazy poczuł mdłości. Wzięła sobie innych kochanków z nudów czy dlatego, bo miała powody przypuszczać, że on już nie wróci? Nie miało to większego znaczenia.

- Wie pan. kim był ten młodzieniec?

- Owszem. To młody chłopiec, niejaki Francis Brandelin. - Aptekarz wpatrywał się w Gerwazego namolnie, ciekawy reakcji. Najwyraźniej lubił żerować na zmartwieniach bliźnich. Gerwazy wprawdzie nie przedstawiał mu się z nazwiska, ale nie wątpił, że Soames wie, z kim ma do czynienia, i wie także, że Francis jest jego kuzynem. Wolałby raczej paść trupem, niż zdradzić się z uczuciami przed tym starym sędzią.

- Przychodził ktoś jeszcze? Soames podrapał się po głowie.

- W pewnym sensie.

- Co to znaczy?

- Wychodząc wieczorem do domu, widziałem, jak kręcił się tu jakiś człowiek, Francuz.

- Więc dlaczego tylko „w pewnym sensie”? - naciskał Gerwazy, niezdolny zaprzestać torturowania samego siebie.

- Właściwie nigdy nie widziałem, żeby wchodził do środka. Pewnie czekał, chcąc mieć pewność, że będzie sama. Chciał ją mieć tylko dla siebie. - Soames zachichotał oblesnie.

- Mówię o hrabim de Veseul.

Gerwazy sądził dotąd, że nic nie może być gorsze od wiadomości, że jego najlepszy przyjaciel jest jednym z kochanków Diany, ale się mylił. Domyślał się, że hrabia de Veseul jest francuskim szpiegiem znanym jako Feniks, człowiekiem zdeprawowanym i dysponującym władzą. Więc i on odwiedzał Dianę. Przychodził jako kochanek czy jako francuski agent kupujący informacje o Gerwazym? A może jedno i drugie? Jeśli powiedziała Veseulowi, że Gerwazy wybiera się na kontynent, to nic dziwnego, że była zdziwiona, kiedy ją odwiedził.

Gerwazy na ślepo sięgnął do portfela, wyjął ostatnie złote monety i położył na kontuarze. Był wdzięczny losowi, że akurat zesłał jakiegoś klienta, bo wybawiło go to od dalszej rozmowy.

Idąc w stronę Whitehall, zastanawiał się, co powinien zrobić w sprawie Diany.

Gerwazy zapowiadał, że przyjdzie późno, więc cały dom już spał, tylko Diana czekała w saloniku. Miała dziwne przeczucie, że coś jest nie w porządku, choć gdyby nie mógł przybyć, z pewnością przysłałby wiadomość. Gdy wreszcie rozległo się pukanie do drzwi, odłożyła Książkę i skwapliwie podbiegła otworzyć. Na widok miny Gerwazego powitalny uśmiech zamarł jej na ustach. Patrzyła na niego pytająco, starając się odgadnąć przyczynę zmiany. Zniknęło wyczerpanie z poprzedniego wieczoru, podobnie jak uleciał gdzieś bez śladu dobry nastrój z poranka. Twarz Gerwazego wyrażała chłodną niedostępność, dobrze jej znaną z czasów, kiedy między nimi nie najlepiej się układało.

- Mogę wejść?

Uświadomiła sobie, że gapi się na niego, stojąc w progu.

- Oczywiście.

Usunęła się na bok, a on minął ją obojętnie. Miał na sobie normalne, dobrze skrojone ubranie; znów był w każdym calu londyńskim dżentelmenem.

- Jadłeś już? - Głos trochę jej drżał, ale starała się zachowywać tak jak zawsze.

- Dziękuję, nie jestem głodny. - Przeszedł do saloniku, a ona podążyła za nim.

- Więc może... chcesz iść do mojego pokoju? - spytała niepewnie. W ciągu tych miesięcy, odkąd byli razem, czasami odmawiał poczęstunku, ale łóżka nigdy.

- Także nie, dziękuję. Chcę z tobą porozmawiać, a łóżko może nam w tym przeszkadzać. - Nie usiadł, przechadzał się niespokojnie, jakby skorzystanie z krzesła było jakimś zobowiązaniem.

- Gerwazy, co się dzieje? Czy ja coś zrobiłam? - Z narastającym gwałtownie lękiem Diana zastanawiała się, czy właśnie nadszedł kryzys, którego się spodziewała.

- Być może. - Oparł się o ciężki mahoniowy stół. Stał z rękami spoczywającymi na krawędzi blatu i wysuniętą jedną nogą, w pozycji, która zaprzeczała bijącemu od niego napięciu.

Mimo ściskającego serce strachu, Diana poczuła irytację.

- Jest późno - powiedziała, zajmując miejsce na krześle. - Jeśli chcesz się kłócić, proszę, zaczynaj, nim zrobi się jeszcze później.

- Nie chodzi o kłótnię. Po prostu... - Urwał, szukając właściwych słów. - Nie może dalej być tak jak dotychczas. Ilekroć prosiłem, żebyś przyjęła moją opiekę, zawsze

odmawiałaś, więc nie miałem prawa narzekać, że widujesz się z innymi mężczyznami. Potrafiłem żyć z myślą o... dzieleniu się tobą. dopóki to była tylko możliwość. Teraz, kiedy wiem, że tak jest naprawdę, nie mogę się z tym pogodzić. W przeszłości to ty stawiałaś warunki, a ja po odpowiednim rozważeniu sprawy zawsze je przyjmowałem. Ale tym razem ja stawiam warunek: jeśli nie obiecasz mi wierności, będę musiał zerwać nasz układ.

Takimi zimnymi słowami określił to, co dawało jej tyle ciepła. Dopiero zajrzawszy głębiej w ziejące chłodem szare oczy, dostrzegła namiętność i ból pod skorupą opanowania.

- Jesteś pewien, że spotykałam się z innymi mężczyznami? - spytała niepewnie, zaplatając drżące dłonie.

Wzruszył ramionami.

- Pod moją nieobecność byłaś obserwowana.

- Co takiego?! - Niepewność i żal przemieniły się w wybuch gniewu. - Nasłałeś na mnie szpiegów?

- Nie w taki sposób, jak bym to zrobił, gdybyś była obcym agentem. - Wciąż zachowywał nienaturalny spokój. - Po prostu obserwacja, która ujawniła kilku mężczyzn, choć równie dobrze mogło ich być znacznie więcej, ponieważ nie byłaś obserwowana w nocy. Zważywszy na to, jak długo mnie nie było, trudno się dziwić, że kobieta o tak namiętnej naturze potrzebowała... odmiany. Może powinienem się cieszyć, że sypiałaś z kilkoma, bo byłoby jeszcze gorzej, gdybyś się głębiej zaangażowała w związek z jednym, ale jakoś się nie cieszę. - Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała nuta cierpienia. - Nie ukrywałaś, że pragniesz czegoś, czego ja nie mogę ci dać, więc nie mogę ci mieć za złe, że dążyłaś do swego celu. Ponieważ żona lorda Farnswortha niedawno zmarła, a świeżo owdowiali mężczyźni są podatni na wpływy, więc mogłaś zostać lady Farnsworth. Plusem byłaby szybkość, ale minusem to, że on już ma potomstwo, więc twoje dziecko raczej nie miałoby szans na dziedziczenie. - Podniósł ze stolika porcelanową pasterkę i przyglądał się jej z udawanym zainteresowaniem. - Dlatego mój kuzyn Francis jest znacznie lepszym kandydatem. Jest atrakcyjny i na tyle młody, że możesz liczyć na romantyczne uniesienia, przystojniejszy ode mnie, no i jest moim spadkobiercą. Ale możliwe, że będziesz musiała poczekać jakieś trzydzieści lub czterdzieści lat, żeby zostać lady St. Aubyn, a nigdy nią nie zostaniesz, jeśli on umrze przede mną. - Odstawił figurkę z powrotem na stół. - Właściwie nigdy do końca nie rozumiałem, co ty we mnie widzisz. Mam pieniądze, oczywiście, ale nigdy się nimi specjalnie nie interesowałaś, zwłaszcza jak na kobietę twojej profesji. Jest też seks, który najwyraźniej sprawia ci przyjemność, bo chyba nie da się tak przekonująco udawać, ale każdy mężczyzna byłby zachwycony mogąc ci zapewnić tyle seksu, ile tylko

zapragniesz. Oczywiście, sama o tym dobrze wiesz.

- Dosty! - Diana gwałtownie poderwała się z krzesła. - Gerwazy, czyś ty oszalał?

Wygadujesz takie bzdury, że nawet nie wiem, co odpowiedzieć.

Wymownie uniósł brwi.

- Czyżby? Sądziłem, że mówię całkiem rozsądnie.

Miała ochotę przeklinać, ale brakowało jej odpowiedniego słownictwa.

- I w tym cały problem! Mówisz o sprawach dotyczących uczuć tak beznamiętnie, jakbyś był... stróżem odliczającym godziny. Co więcej, prawie we wszystkim się mylisz.

- Czyżby? Chętnie posłucham sprostowania.

Zacisnęła pięści w bezradnej złości.

- Na początek, ani lord Farnsworth ani Francis nie są moimi kochankami. Farnsworth był z Madeline.

- Naprawdę? - Po pierwszym odruchu zdziwienia przyznał ostrożnie: - To chyba możliwe. Jest atrakcyjną kobietą.

- „Możliwość” nie ma tu nic do rzeczy - warknęła. - To prawda. Kochają się od wielu lat. Musieli się rozstać, ale teraz, kiedy jego żona umarła, nie sądzę, by cokolwiek prócz śmierci mogło ich rozdzielić.

Zdobył się na słaby uśmiech.

- To pewnie pasuje do twoich romantycznych wyobrażeń.

- Owszem, do diabła, pasuje!

- Dlaczego jesteś taka zła? - spytał szczerze zaciekawiony.

Potrząsnęła głową, odwróciła się na pięcie i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Jak miała mu dać do zrozumienia, że każdym słowem ośmieszał to, co dla niej było najważniejsze? Jak bardzo pogwałcił jej prywatność swoim szpiegowaniem. I jak mocno jego chłodne, beznamiętne rozumowanie ugodziło w jej uczuciową naturę.

Przystanąła, ściskając palcami skronie. Gerwazy nie mógł przestać być chłodnym, tak jak ona nie mogła przestać kierować się uczuciami. No i Boże dopomóż, przecież go kochała, choć akurat w tym momencie nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego.

Stojąc po drugiej stronie saloniku, odwróciła się do niego, usiłując także zachować spokój.

- Żartowaliśmy sobie, że stanowimy przeciwieństwo, milordzie, ale to jest prawda. Mówimy różnymi językami, nawet wypowiadając te same słowa, więc nie sądzę, bym potrafiła wyjaśnić moją złość. Musiałabym najpierw przez kilka tygodni nad tym myśleć, a potem przetłumaczyć moje myśli na słowa, które byłbyś w stanie zrozumieć. Skoro jednak

wolisz fakty, to do nich się ograniczymy. Lord Farnsworth nie jest moim kochankiem i Francis tak samo. Jesteśmy tylko przyjaciółmi, niczym więcej.

Widząc jego niedowierzanie, znów poczuła wzbierający gniew.

- Zakładasz, że nie mogę zainteresować sobą żadnego mężczyzny, jeśli się przed nim nie kładę? Nie sądz wszystkich według siebie.

Zacisnęła usta.

- Nie wątpię, że istnieją mężczyźni, którzy chcą z tobą tylko rozmawiać. Ale skoro ty i Francis obejmujecie się, stojąc w oknie, w środku dnia, można mi chyba wybaczyć, że uważam waszą przyjaźń za wyjątkowo serdeczną.

Aż podskoczyła. A więc ktoś widział ich uścisk, ten niewinny gest pocieszenia. Niełatwo jednak było wyjaśnić tę sprawę, biorąc pod uwagę sytuację Francis'a.

- Czyżbym miał nieprawdziwe informacje? - naciskał.

- Nie są nieprawdziwe, tylko... mylące. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj swego kuzyna. Bez wątpienia jemu uwierzysz prędzej niż nie.

- Naprawdę chciałbym ci wierzyć - rzekł cicho, z nieukrywaną tęsknotą w głosie.

Uniosła ręce w geście bezradności.

- Czy kiedykolwiek zrobiłam coś, co kazałoby ci wątpić w moje słowa?

- O niczym takim mi nie wiadomo. - Mogłaby odebrać to jako obelgę, ale Gerwazy był po prostu rzeczowy. - Właśnie to mnie powstrzymywało za każdym razem, kiedy myślałem o rozstaniu z tobą. Wiedziałem, że pragnę cię bardziej niż dopuszcza rozum, ale ty zawsze byłaś taka słodka, nie żądałaś niczego oprócz miłości. I umiarkowanej zapłaty, rzecz jasna. Ilekroć się wycofywałem, przypominałem sobie, że nie dałaś mi żadnych dowodów nieszczerości, i wracałem jeszcze bardziej spragniony. Ale jest jeszcze inna sprawa, która wzbudziła we mnie parę pytań. Wiedziałaś, że jadę na kontynent. Sprzedałaś tę informację francuskiemu szpiegowi, czy tylko wspomniałaś o tym innemu kochankowi, nie wiedząc, że jest szpiegiem?

Diana zastygła z otwartymi ustami.

- O czym ty na litość boską mówisz? - wydusiła z siebie w końcu. - Choć zastrzegłam sobie prawo do przyjmowania innych kochanków, nie robiłam tego pod twoją nieobecność. I nie znam żadnych francuskich szpiegów. Nikomu nie mówiłam, dokąd wyjeżdżasz, choć Madeline i Edith mogły się tego domyślić.

Przechylił głowę na bok, zastanawiając się nad jej słowami.

- To chyba możliwe... że któraś z nich wygadała się przed kimś niechcący. Wciąż nie mogę się nadziwić, jak szybko informacje potrafią się przenosić. - Ich spojrzenia się spotkały;



miał oczy czyste i chłodne jak zimowe niebo. - Wolę myśleć, że ta wiadomość rozniosła się przypadkiem, niż że mnie sprzedałaś po tym wzruszającym pożegnaniu, wiedząc, że wyprawiasz mnie na pewną śmierć. Gdyby nie łut szczęścia, już bym nie wrócił. I wówczas odpowiednio zabiegając o Francisa mogłabyś zostać lady St. Aubyn. - Zamilkł na chwilę, by znaczenie jego słów w pełni do niej dotarło. - Może to tylko moja wyobraźnia, ale sprawiałaś wrażenie zaskoczonej, widząc mnie żywego wczoraj wieczorem, choć przyznaję, że później skutecznie rozwiałaś wszelkie moje podejrzenia.

Diana miała poczucie, że śni jakiś koszmarny sen; cynizm Gerwazego nie mieścił jej się w głowie.

- Naprawdę myślisz, że mogłabym się z tobą kochać, a potem sprzedać twoje życie? - spytała drżącym głosem. - Że wysławszy cię na śmierć, mogłabym uwieść twojego kuzyna w nadziei na uzyskanie tytułu?

Wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że nie, ale mogą to być tylko moje pobożne życzenia. Naprawdę nie wiem.

Było dla niej niepojęte, jak mógł stać przed nią i spokojnie mówić takie straszne rzeczy. Kolana się pod nią ugięły; opadła na krzesło, zaciskając zdrętwiałe palce na poręczach.

- Jeśli wierzysz, że jestem zdolna do takiej podłości, jak możesz być taki spokojny? Jak możesz przebywać ze mną pod jednym dachem?

- Nie wiem, w co wierzę. Dlatego tu jestem. Więc słucham, Diano, jak wygląda prawda?

Ukryła twarz w dłoniach.

- Po co mam cokolwiek mówić? Jeśli mogłam cię zdradzić, wszelkie moje protesty i zapewnienia o uczciwości nie są nic warte. A jeśli nie, masz na to tylko moje słowo, którego nie cenisz zbyt wysoko.

- Spróbuję uznać wątpliwości na twoją korzyść.

- Cóż za wielkoduszność, milordzie - powiedziała, nie podnosząc głowy. Chciała, żeby już sobie poszedł, ale jeszcze gorszy od bólu jego obecności i jego oskarżeń był lęk, że jeśli teraz wyjdzie, to już nigdy nie wróci.

Nie słyszała jego kroków, więc zdziwiła się, czując ciepły dotyk na swych drżących dłoniach.

- Diano, przepraszam - powiedział cicho, klękając przed nią. - Nie miałem zamiaru cię ranić, chciałem jedynie poznać prawdę. Czy w przeszłości miałaś innych kochanków, jak

Francuzi dowiedzieli się o mojej wyprawie... jest dla mnie mniej ważne od tego, czy obiecasz mi, że nie będziesz się więcej spotykała z innymi mężczyznami.

Uniosła w końcu głowę i spojrzała na niego z rezygnacją. Miała jego twarz na wyciągnięcie ręki, regularne rysy, które tak dobrze знаła. W pewien sposób znała go lepiej niż siebie, ale pod innymi względami pozostawał obcy i niezrozumiały.

- Dlaczego to takie ważne? Dlatego, że masz duszę posiadacza i nie możesz ścierpieć myśli, że inny mężczyzna bawi się twoimi zabawkami?

Zacisnął palce na jej dłoni, ale nie spuścił oczu.

- Jest ważne, bo... - Odetchnął z widocznym wysiłkiem. - Bo cię kocham.

Kiedyś rozpaczliwie pragnęła usłyszeć te słowa, a teraz nie była pewna, czy rozumie ich znaczenie.

- Jak możesz mnie kochać, skoro mi nie ufasz? - szepnęła, połykając łzy.

Był tak blisko, że nie mogła się mylić, dostrzegając w jego oczach udękę.

- Nie wiedziałem, że miłość i zaufanie mają ze sobą coś wspólnego - odezwał się po długiej chwili milczenia.

- Dla mnie mają. - Wyprostowała się, delikatnie uwalniając ręce. - Naprawdę to czujesz, czy tylko mówisz, że mnie kochasz, żebym spełniła twoje życzenie?

Twarz mu pociemniała.

- Chyba na to zasłużyłem - powiedział po chwili.

Nie chciała go ranić, tak jak on nie chciał ranić jej. Jednak to, że żadne z nich nie miało złych intencji, wcale nie zmniejszyło rozmiaru zniszczeń.

- Mówiłem prawdę, Diano. Kocham cię tak, jak nie kochałem w życiu żadnej innej kobiety. - Jego szczerość była zbyt surowa, by mogła być udawana. - Gdybym mógł, to bym się z tobą ożenił. Ale ponieważ nie mogę, mam nadzieję, że miłość wystarczy, by cię przy mnie zatrzymać, bo to wszystko, co mogę ci ofiarować.

Zapadła martwa cisza. Diana czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Zrobił to, czego pragnęła, a ona nie wiedziała, jak się zachować. W końcu powiedziała niepewnie:

- Pochlebiasz mi, biorąc pod uwagę małżeństwo, ale oczywiście człowiek o twojej pozycji i znaczeniu nie mógłby sobie wziąć za żonę kurtyzany.

Wstał, pochylił się i zmusił ją, żeby na niego spojrzała.

- Do diabła z pozycją! Nie o to chodzi. Diano, gdybym mógł, ożeniłbym się z tobą choćby jutro - przysiągł, patrząc na nią płonąącym wzrokiem.

Madeline twierdziła, że namiętność jest niebezpieczną, obosieczną bronią, nieprzewidywalną w skutkach. Diana zawsze chciała przebić tę grubą skorupę

powściągliwości Gerwazego. Teraz jej się udało i była przerażona. Dawniej cechowała go łagodność i wielka ostrożność, mimo bijącej z niego ogromnej siły. Teraz lękała się jego porywczosci. Czyste szare oczy nie przypominały już tafli lodu, lecz były oknem, przez które widziała płonące w nim uczucia.

- Ożeniłbym się z tobą na pewno. - Ścisnął jej rękę. Chwilę odczekał, nim dodał: - Ponieważ to by mi dało prawo zabić każdego mężczyznę, który by cię dotknął.

Gerwazy wypowiedział te aż za wiele mówiące słowa bezwiednie ściskając podbródek Diany. Przymknęła na chwilę oczy. Gęste ciemne rzęsy rzuciły cień na delikatną skórę. Dotąd była oszołomiona i wystraszona, teraz zakiełkował w niej bunt.

- Skro twoje uczucia są tak silne, dlaczego się ze mną nie ożenisz? - spytała trochę zaczepnie. - Żona przysięga mężowi wierność, a ja dotrzymałabym przysięgi.

Puścił ją i odwrócił się tyłem. Już dziewięć lat temu wiedział, że któregoś dnia przyjdzie mu zapłacić za swą niewybaczalną zbrodnię, popełnioną na niewinnej dziewczynie, i właśnie nadeszła godzina zapłaty. Nadal stał odwrócony do Diany plecami, żeby ukryć, jak trudna jest dla niego odpowiedź na to pytanie. Wreszcie, zaczerpnąwszy głęboko powietrza, wyznał:

- Nie mogę się z tobą ożenić, ponieważ już mam żonę.

Cisza przedłużała się w nieskończoność, nieznośna i pusta, aż wreszcie Gerwazy znów się do niej odwrócił. Siedziała skulona na krześle, z podwiniętymi pod siebie nogami i nieodgadnionym wyrazem twarzy, napięta i daleka.

- Zatem plotki o szalonej żonie w Szkocji są prawdziwe?

Poza najbardziej zwięzłym wyjaśnieniem złożonym swojemu prawnikowi, nigdy nie rozmawiał z nikim na temat owej czarnej nocy na Hebrydach, ale był winien Dianie prawdę o tym, dlaczego nie może jej uczynić swoją żoną. Poza tym w głębi duszy miał poczucie, że konieczność wyznania winy przed osobą, która była mu najdroższa, stanowi część zasłużonej kary.

- Ona jest w Szkocji, ale nie jest szalona. Jest... prosta.

Piękne oczy Diany zaokrągliły się ze zdumienia.

- Chcesz powiedzieć... że ożeniłeś się z dziewczyną niedorozwiniętą umysłowo? - Przytaknął skinieniem, więc spytała: - Czemu, u licha, to zrobiłeś?

Przejechał palcami po ciemnych włosach, a potem usiadł naprzeciwko Diany; wiedział, że musi jej opowiedzieć tę przekłętą historię od początku do końca.

- Ożeniłem się z nią, trzymany na muszce pistoletu.

Czekała w milczeniu. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach, opuścił głowę i wbił wzrok w swe splecione kurczowo palce.

- To się stało dziewięć lat temu. Podróżowałem po Hebrydach i zatrzymałem się w gospodzie na wyspie Muli. Udało mi się bez trudu namówić jedną z barmanek, żeby mnie odwiedziła po skończonej pracy. - Zacisnął palce jeszcze mocniej. - Wypiłem za dużo i

wróciwszy do pokoju nie zorientowałem się, że kobieta w moim łóżku to wcale nie ta barmanka. Dziewczyna, która tam była, zaczęła krzyczeć i wtedy wpadł jej ojciec. Oszalały na punkcie seksu pastor o nazwisku Hamilton, który wmawiał mi, że skompromitowałem jego córkę i muszę się z nią ożenić.

- Przypuszczam, że stąd się wziął pistolet - wtrąciła Diana z udawaną obojętnością.

- Owszem, chociaż byłem na tyle pijany i tak wściekły, że zabrałem mu ten pistolet. - Wicehrabia wpatrywał się w swe dłonie, wspominając chrapliwy głos i pałające oczy szalonego pastora, który wierzył, że jego nierozgarnięta córka jest rozpasaną uwodzicielką, nakłaniającą mężczyzn do grzechu. Ten szalony pastor był jego teściem przez te wszystkie lata.

- Dlaczego powiedziałeś, że dziewczyna była prosta? - spytała Diana, nie mogąc opanować ciekawości.

- Ledwie umiała mówić. Trudno było zrozumieć tych parę słów, które z siebie wydusiła. Jej oczy i twarz były... dziwne. Puste. Jakby za nimi nikogo nie było.

Znów zapanowała długa pauza, a potem padło pytanie:

- Czemu w takich okolicznościach zgodziłeś się na to małżeństwo?

Gerwazy potrząsnął głową.

- Właściwie nie wiem. Nie zdawałem sobie sprawy, że coś z nią jest nie tak, dopóki nie było za późno. Z początku sądziłem, że Hamilton i jego córka zaaranżowali to wszystko, żeby mnie złapać, i może rzeczywiście tak było... dalej tego nie wiem. Potem jednak odkryłem, że on jest duchownym, odpowiedniego pochodzenia, więc jego córka mogła uchodzić za dziewczynę z dobrego domu. - Wzruszył bezradnie ramionami. - Chociaż to było całkiem niezamierzone, to jednak ją skompromitowałem. A ponieważ byłem skołowany, niepewny, jak się zachować, wychowany na „dżentelmena”, więc się z nią ożeniłem. Od tamtej pory już nigdy się nie upiłem - dodał z gorzkim humorem.

Diana nadal siedziała zwinięta w kłębek; jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Była jakaś ironia w tym odwróceniu ról: teraz ona zachowywała chłodny spokój, a on się miotał.

- A kiedy już miałeś dość czasu, żeby jasno pomyśleć, czemu nie wystąpiłeś o anulowanie małżeństwa? - spytała, obrzucając go dziwnie uważnym spojrzeniem. - Ostatecznie zostało zawarte pod przymusem. Pokręcił głową, powracając wzrokiem do swoich dłoni.

- Nie sądziłem, że zechcę się jeszcze kiedyś ożenić, więc nie zależało mi na unieważnieniu. - Uśmiechnął się niewesoło. - Nawet mi się nie śniło, że może gdzieś istnieć kobieta taka jak ty. Ale gdybym chciał, unieważnienie było niemożliwe.

- Dlaczego? - naciskała nieubłaganie.

- Ponieważ... małżeństwo zostało skonsumowane.

- Więc uwiodłeś tę słabującą na umyśle dziewczynę? Domyślam się, że nie sprawiło ci to większych trudności. - Jej chłodny głos miał ostrość brzytwy. - Niewiele kobiet potrafi ci się oprzeć, kiedy się postarasz.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że coś z nią jest nie w porządku. - Przed oczyma stanęła mu naiwna dziecinna twarzyczka opuchnięta od płaczu. Poczucie winy kazało mu dodać: - I wcale jej nie uwiodłem.

- O, ona uwiodła ciebie? - wtrąciła Diana cierpko.

- Nie, stało się coś innego. - Gerwazy nie był w stanie dłużej usiedzieć na miejscu, więc wstał i zaczął się przechadzać, żeby rozładować fizyczne napięcie. - Byłem wściekły, ona była moją żoną... więc ją zmusiłem. - Odwrócił się do Diany, pragnąc, żeby zrozumiała, żeby mu pomogła, okazując choć odrobinę swego niezmiernego współczucia, ale ona tylko na niego patrzyła, ukryta za ślepa maską sprawiedliwości.

- Była jeszcze prawie dzieckiem, nie bardzo rozumiała, co się dzieje, a ja ją zgwałciłem - wyznał z udręką. - Gniew, zraniona duma i pijaństwo doprowadziły do tego, że skrzywdziłem bezbronną, niewinną istotę. - Zamknął oczy, próbując odegnać wspomnienie bólu i lęku tamtej dziewczyny. - Nic nie mów - wykrztusił cichym, schrypniętym głosem. - Sam już to sobie powiedziałem tysiące razy.

Cały czas krążył po pokoju długimi, niespokojnymi krokami. I tym razem, jak wiele razy przedtem, żałował, że nie może wykreślić tamtej chwili ze swego życia, że nie zostawił dziewczyny nietkniętej, że musi się przyznać do tak nikczemnego postępu kobiecie, którą kocha.

- Jakież to szlachetne, że cierpisz za swoje grzechy. - Głos Diany zabrzmiał niezwykle szorstko. - Jestem pewna, że dla dziecka, które wykorzystałeś i porzuciłeś, twoje poczucie winy stanowi wielką pociechę.

Gerwazy obrócił się gwałtownie, ugodzony wyraźną nutą potępienia w jej głosie.

- Nie mogę cofnąć tego, co zrobiłem - próbował się bronić. - Ale ustanowiłem dla niej zabezpieczenie, odpowiednią sumę na godziwe utrzymanie. Nic więcej nie mogłem zrobić.

- Czyżby? - spytała Diana z ironią. - Odwiedziłeś ją? Sprawdziłeś, czy niczego jej nie brakuje? Upewniłeś się, czy szalony ojciec jej nie krzywdzi?

Zaczerwienił się po uszy.

- Dwa tygodnie później wyjechałem do Indii. Mój prawnik zajął się wszystkim. Powiadomiłby mnie, gdyby coś było nie w porządku.

- Oczywiście, nie chciałeś o niczym więcej wiedzieć. Zapisaleś jej trochę pieniędzy, a potem zostawiłeś ją, żeby szczała. - Te słowa zabolaly niczym smagnięcie batem. - A może twój prawnik ją odwiedzał, żeby sprawdzić, czy jest dobrze traktowana?

- Nie sądzę, żeby się kiedyś wybrał osobiście - przyznał z ociąganiem.

- Całe to twoje poczucie winy i żal dotyczą wyłącznie ciebie. Jesteś nieszczęśliwy, bo nie możesz żyć zgodnie ze swoim pojęciem honoru. - Diana zerwała się z krzesła; jej szczupłe ciało dosłownie promieniowało gniewem. - W tym wszystkim, co powiedziałaś, nie ma krzty troski o dziewczynę, z którą się ożeniłeś. Nic! Szalony ojciec może ją trzymać zamkniętą w jakiejś cuchnącej komórce. Mógł ją sprzedać do burdelu. Może ona już nie żyje? Skąd ty albo twój prawnik mielibyście to wiedzieć?

- Czemu, u diabła, jesteś aż tak wściekła? - spytał Gerwazy z niedowierzaniem. Podszedł do niej, zatrzymując się na odległość wyciągniętego ramienia. - Spodziewałbym się raczej, że będziesz się modlić o jej śmierć. Mogłabyś wówczas zostać wicehrabiną. Czyż nie tego pragniesz? Pozycji, bezpieczeństwa, wygody?

Przez te wszystkie miesiące, kiedy byli razem, nigdy nie widział jej naprawdę rozniewanej i był wstrząśnięty wybuchem furii kobiety, która podbiła jego serce łagodnością.

- W świecie, gdzie mężczyźni gwałcą niewinne dziewczęta i porzucają je, nie zaprzatając sobie więcej głowy ich losem, dziwisz się, czemu jestem wściekła? Spytaj kobiety, która była ofiarą męskiej przemocy i niegodziwości, dlaczego jest zła. Spytaj Madeline. Spytaj Edith. Spytaj tego dziecka, z którym się ożeniłeś.

Gerwazy zastanawiał się czasami, co kobietę taką jak Diana mogło pchnąć na drogę nierządu. Teraz już wiedział; nie znał szczegółów, ale zgłębił istotę problemu. Ona także musiała doznać głębokiej krzywdy, a żal i współczucie czyniły z niej orędowniczkę wszystkich udęczonych kobiet. Jej gniew rodził się ze studni cierpienia, ukrytej gdzieś w środku. Zrozumiawszy to, poczuł, że nie może odpowiedzieć gniewem.

Ponadto oskarżenia Diany były słuszne. Myśl o tym, co zrobił Mary Hamilton, była dla niego torturą, ale bardziej dlatego, że dowodziła jego występnej natury, niż z powodu wyrzutów sumienia wobec ofiary. Uczyniwszy w swoim mniemaniu zadość krzywdzie, przez wydzielenie nieznaczej dla jego majątku sumy pieniędzy, nie myślał więcej o losie swej nieszczęsnej żony.

Niezależnie od sposobu zawarcia małżeństwa, ponosił odpowiedzialność za tę dziewczynę, ale nie wywiązał się z tego obowiązku należycie. Zadrżał, opuszczając powieki. W istocie potraktował ją nieludzko, co było zbrodnią nie mniej podłą niż sam akt przemocy.

Bóg jeden wie, jak wyglądało jej życie u boku niedobrego ojca.

Gerwazemu już wcześniej zdarzało się stawiać czoło ciemnym prawdom o sobie, więc i przed tą nie pozwolił sobie na ucieczkę.

Zaczerpnął powietrza.

- Masz rację. Przez te wszystkie lata małżeństwa zachowywałem się tak samo nikczemnie jak na samym początku.

Diana patrzyła na niego z rękami zaciśniętymi w pięści, ale ostatnie słowa nieco ostudziły jej gniew.

- Masz zamiar zrobić coś w tej sprawie? - spytała już nieco łagodniej.

- Dowiem się przez mojego prawnika, gdzie ona teraz mieszka i sam ją odwiedzę. Chyba będę wiedział, co zrobić, kiedy zobaczę, jak żyje. - Zastanowił się przez moment. - Im szybciej to zrobię, tym lepiej. Mogę wyjechać pojutrze. Przypuszczam, że zajmie mi to jakieś dwa tygodnie.

Choć już wyraźnie opanowana, Diana nadal sprawiała wrażenie dalekiej i niedostępnej. Gerwazy bardziej niż kiedykolwiek dotąd pragnął ją przytulić, zapomnieć o swoich grzechach, wtulając się w jej słodkie ciało, ale w powietrzu wisiało jeszcze zbyt wiele złości. Miał też świadomość, że nie zasługuje na pociechę czy nagrodę, dopóki w pełni nie spłaci długów z przeszłości.

Wziął kapelusz i wyszedł. Przekraczając próg, uśmiechnął się niewesoło, uświadomiwszy sobie ironię sytuacji - jego kochanka martwiła się niedolą jego żony.

Kiedy drzwi się zamknęły, Diana opadła z powrotem na krzesło i skuliwszy się, objęta ciasno ramionami, odtwarzała w myślach rozmowę z Gerwazym. „Byłaś obserwowana pod moją nieobecność... Sprzedałaś informacje francuskiemu szpiegowi, czy przypadkiem wygadałaś się przed którymś ze swoich kochanków?” Naprawdę sądził, że potrafiłaby go zdradzić? Albo oddać się innemu mężczyźnie, kiedy tak wiele ich łączyło?

„Mam żonę... jest prosta... Była prawie dzieckiem, a ja ją zgwałciłem”. Diana wiedziała, że nadchodzi nieunikniony kryzys, że długo ukrywane sekrety w końcu wypłyną na powierzchnię jak lawa. a mimo to jego słowa wprawiły ją w osłupienie. Nigdy by się nie spodziewała takiego wyznania, tak jak nie spodziewała się, że ogarnie ją straszny gniew.

„Ponieważ cię kocham.., ponieważ cię kocham”. Słowa, na które wyczekiwała z nadzieją i niepewnością, odbijały się echem w jej głowie. Wreszcie łyzy, tłumione dotąd rozpaczliwie, popłynęły swobodnym strumieniem. Kryzys jeszcze nie minął, jeszcze wiele spraw wymagało rozwiązania... ale ją kochał tak, jak ona go kochała. A to z pewnością wystarczy, by poradzili sobie z tym, co ich czeka.



Choć wyczerpana przebytą burzą uczuć, powróciwszy do swej sypialni, Diana zabrała się do pakowania.

Gerwazy nawet nie próbował spać tej nocy, wiedząc, że napięte nerwy nie pozwolą mu na odpoczynek, a poza tym miał wiele do zrobienia przed wyprawą na północ. Napisał krótką wiadomość do swojego prawnika, prosząc go o aktualny adres żony. Nie prosił o żadne inne informacje, uznawszy, że lepiej będzie dowiedzieć się wszystkiego na miejscu.

Przez resztę nocy i następny dzień uporał się z najpilniejszymi sprawami. Choć wszystkie były w jakiś sposób ważne, nic nieoczekiwanego nie wydarzyło się aż do późnego popołudnia, gdy otrzymał przesyłkę od jednego ze swych agentów. Zawierała dokumenty odebrane wrogiemu kurierowi, którego złapano w Kent przy próbie wejścia na statek płynący do Francji. Pod pieczęcią Feniksa Gerwazy znalazł starannie zakodowany skrót informacji, które sam przywiózł z kontyentu.

Patrzył na drobne literki pokrywające niewielkie arkusiki papieru i nagle porwała go fala mdłości. Przebywał w Anglii od niespełna trzech dni, a Feniks już zdążył się dowiedzieć o jego odkryciach i zaalarmował swych zwierzchników. Może informacje zostały sprzedane przez kogoś z Whitehall, jednak Gerwazy z bezlitosną jasnością przypomniał sobie, że zostawił swój bagaż w saloniku Diany. Następnego ranka długo spał, a kiedy się obudził, jego wyprane ubrania i plecak leżały przy łóżku.

Miała dość czasu, żeby dokładnie przejrzeć jego rzeczy i skopiować spiski. „Kręci się tu jakiś człowiek, francuski arystokrata, hrabia de Veseul”. Pytał ją o Farnswortha i Francisa, ale nie rozmawiali o Veseulu. Zapewniała, że nie sprzedała informacji i nie brała sobie nowych kochanków pod jego nieobecność, ale przecież de Veseul mógł być starym kochankiem. A może po prostu kłamała, od początku do końca, a on był łatwowiernym, ogłupionym z miłości durniem.

Gerwazy usiadł przy biurku, ukrywając twarz w dłoniach. Od długich tygodni tylko raz porządnie się wyspał, a ostatniej nocy w ogóle nie zmrużył oka. Nie był w stanie ocenić, czy Diana mówi prawdę, czy kłamie. Mógł jedynie po kolei zmierzyć się ze swoimi problemami.

Na początek czekała go wyprawa na północ, żeby znaleźć żonę i zabezpieczyć ją finansowo. Gniew Diany uświadomił mu, że musi dopełnić tego obowiązku dla samej przyzwoitości, a także po to, by okazać skruchę i dobrą wolę przed Dianą. Musiał się upewnić, że Mary Hamilton żyje, jest dobrze traktowana i nie cierpi niedostatku.

Musi także porozmawiać z szalonym pastorem. Nie wspomniał wprawdzie o tym Dianie, ale istniała możliwość przekupienia Hamiltona i odzyskania w ten sposób wolności,

tylko że nie chciał zrobić tego kosztem tej nieszczęsnej dziewczyny. Nie mógł jej skrzywdzić powtórnie. Małżeństwo formalnie nie kwalifikowało się do unieważnienia, ale przecież wystarczyłoby jedno kłamstwo, że nie zostało skonsumowane.

Miał zamiar nadal wspierać finansowo Mary Hamilton, żeby nie poniosła uszczerbku przez fakt unieważnienia związku. A kłamstwo, które nikogo nie krzywdzi, stanowiło niewysoką cenę za możliwość poślubienia Diany. Byłaby zawsze u jego boku, zawsze w jego ramionach, zawsze... zakładając, że była taką kobietą, za jaką ja. uważał, a nie zdradliwą suką, na co zdawały się wskazywać poszlaki.

Wicehrabia przetarł oczy i wstał, próbując zwalczyć zmęczenie. Praca, którą wykonywał dla kraju, była o wiele ważniejsza niż jego poplątane sprawy osobiste. Teraz kiedy brytyjskie oddziały stacjonowały na Półwyspie Iberyjskim, wojna z Francją wchodziła w nową fazę i jeśli Veseul był Feniksem, należało go powstrzymać raz na zawsze.

Gerwazy na chwilę pogрузił się w myślach, a potem jego usta wykrzywił złośliwy uśmiech zadowolenia. Istniał sposób na zebranie wszystkich części układanki. Nadchodził czas wielkiego przyjęć w Aubynwood. Raz do roku zapraszał sporą liczbę urzędników rządowych i innych ważnych osobistości do swojego majątku. gdzie w atmosferze relaksu, z dala od londyńskiego zgiełku, dyskutowano o polityce i ustalano plany działania. Tego roku na liście gości miał się pojawić hrabia de Veseul. Gerwazy zamierzał zaprosić także Dianę.

Zaczął spisywać nazwiska osób, które jego sekretarz miał powiadomić listownie. Jeśli Diana była niewinna i szczerze go kochała, najwyższy czas, żeby zaczął się z nią pokazywać i wprowadził ją do towarzystwa. Natomiast jeśli była oszustką, może zdradzi się przy Veseulu.

Zastygł z uniesioną ręką; kropla atramentu zebrała się na czubku pióra, po czym skapnęła na papier czarną, rozlewającą się plamą. Gdyby Diana zawiodła jego zaufanie, chyba tego nie zniósł.

Następnego ranka Gerwazy wyruszył na północ. Towarzyszył mu jedynie Bonnier, spełniający zarówno funkcję kamerdynera, jak i stangreta. Adres podany przez prawnika trochę Gerwazego zaskoczył, ale przecież Hamiltonowie nie mieszkaliby w gospodzie, gdyby ich dom znajdował się na Mull. Dzięki temu podróż zapowiadała się krótsza, niż oczekiwał. Jechali szybko, pokonując długie odcinki trasy, zmieniając konie na każdym postoju i powożąc na zmianę. W podróży Gerwazy miał dużo czasu na myślenie o Dianie i zastanawianie się, co przyniesie przyszłość. Im dalej się posuwali, tym więcej Gerwazy nabierał optymizmu. Po prostu nie mógł uwierzyć w nieuczciwość swojej kochanki. Widywał ją z synem i przyjaciółkami, nie tylko sam na sam, i nabrał przekonania, że żadna aktorka nie umiałaby udawać takiego ciepła i dobroci przez tyle miesięcy. Poza tym nie było przecież

niezbitych dowodów, że kłamie. Nie widziano, by Veseul wchodził do jej domu. a zresztą ten szelma aptekarz mógł się mylić. Skradzione notatki zostały prawdopodobnie skopiowane w Whitehall przez słabo opłacanego urzędnika, który szukał dodatkowego zarobku. Jak można było sądzić inaczej? Pozwolił sobie nawet na snucie wyobrażeń o tym, jak wyglądałoby jego życie, gdyby się wykupił z nieszczęsnego małżeństwa. Chociaż Diana była kurtyzaną, nigdy nie obnosiła się z tym publicznie jak Harnette Wilson i powinna zostać zaakceptowana przez większość ludzi z towarzystwa. Dla Gerwazego nie miało to wprawdzie większego znaczenia, ale pragnął, by Diana była traktowana z całym szacunkiem należnym jego żonie. Mogliby mieć dzieci. Bardzo lubił Geoffreya i zamierzał dopilnować, żeby chłopiec otrzymał stosowne zabezpieczenie. Jednak zastanawiał również jak by to było mieć własne dzieci, synów i córki podobne do Diany, którym mógłby zapewnić miłość i duchowe wsparcie, jakiego sam nigdy nie miał.

Promienne marzenia w ciągu trzech dni podróży rosły i rozwijały się.

Dom jego żony znajdował się poza wsią. Gerwazego skierowano wąską, pełną kolein drogą wiodącą ostro pod górę. kończącą się przy samotnej chacie. Zastanawiając się, jaki diabeł skłonił Hamiltona do umieszczenia córki w takiej zapadłej dziurze, oddał lejce Bonnerowi i zastukał do ciężkich dębowych drzwi.

Czekając, aż ktoś otworzy, wsłuchiwał się w szum wiatru przeczesującego janowce i wrzosy. Miejsce wydawało się spokojne, było schludnie utrzymane i obrosnięte masą wesołych kolorowych kwiatów. Może Mary Hamilton była tu całkiem szczęśliwa? Jeśli tak, nie miał zamiaru jej stąd zabierać, tylko dopilnować, by niczego jej nie brakowało. Był ciekaw, czy go rozpozna. Miał nadzieję, że nie wzbudzi w niej lęku; sytuacja i bez tego nie należała do łatwych.

Drzwi otworzyła mu ładna wiejska dziewczyna o ciemnych włosach. Jej twarz zdradzała skłonność do śmiechu, choć w tym momencie ze zmarszczonym poważnie czołem przyglądała się przybyszowi. Kiedy spytał o Mary Hamilton, skinęła głową i wprowadziła go do środka. Już na pierwszy rzut oka zauważył, że wnętrze urządzone jest w prostym wiejskim stylu - surowe drewno i barwne tkaniny - przytulnie i bezpretensjonalnie. Jednak jego uwagę przyciągnęła kobieta stojąca przy oknie, odwrócona do niego plecami. Ostre światło padające z zewnątrz zacierało szczegóły, ukazując jedynie wyprostowaną smukłą sylwetkę.

Na odgłos jego kroków odwróciła się powoli. Chwilę trwało, nim jego wzrok przyzwyczaił się do półmroku i ujrzał ją na tyle wyraźnie, by potwierdziło się pierwsze, nieprawdopodobne wrażenie.

To była Diana.

Gerwazy wpatrywał się w nią ze zdumieniem i nie ukrywaną złością.

- Na litość boską, Diano, co ty tutaj robisz? Wyłudziłaś adres od mojego prawnika i przyjechałaś sprawdzić, czy naprawdę zamierzam zrobić to, co obiecałem?

Jej twarz wydawała się dziwnie blada. Diana nosiła brązową suknię, której prostota uwydatniała wdzięk sylwetki i podkreślała bujną urodę. Pokręciła głową.

- Nie, Gerwazy. Jestem tu, ponieważ to mój dom. Mieszkałam w nim przez osiem lat i nadal do mnie należy.

Próbował zebrać myśli.

- Więc... znasz Mary Hamilton? To ty się nią opiekowałaś?

- Nie. - Zwilżyła językiem wysuszone wargi, a potem powiedziała tak cicho, że ledwie ją słyszał. - Otrzymałam na chrzcie imiona Mary Elizabeth Diana Lindsay Hamilton. Jestem twoją żoną, dziewczyną, z którą się ożeniłeś pod przymusem.

Zapadła głucha cisza.

- Niemożliwe - odezwał się wreszcie, wciąż oszołomiony. - Jesteś inteligentna. normalna. W niczym jej nie przypominasz.

- Naprawdę pamiętasz, jak wyglądała tamta dziewczyna, z którą się ożeniłeś? Pomyśl, a potem powiedz, czy to nie mogłam być ja? - Diana mówiła spokojnie, ale opierała się o okno, zaciskając palce na parapecie tak mocno, aż zbieleły jej kostki.

Kiedy tak stali oddzieleni od siebie w tym miłym kolorowym wnętrzu, próbował dopasować swoje wspomnienia do kobiety, którą znał tak dobrze. Sądził, że dziewczyna w gospodzie miała ciemne włosy i ciemne oczy, lecz kasztanowe włosy Diany i jej niebieskie oczy w półmroku także wydawały się ciemne. Ale przecież musiałby zapamiętać piękne rysy Diany, owal jej twarzy? Tylko że twarz tamtej dziewczyny zasłaniały potargane włosy, wykrzywił strach i płacz. Nie miała ponętnych kształtów Diany, ale była jeszcze prawie dzieckiem, jej ciało dopiero zaczynało dojrzewać.

Dalej próbował zaprzeczać, ale czuł w głębi duszy, jak zaczynało w nim kiełkować przerażenie.

- Była niedorozwinięta umysłowo. Prawie nie mówiła. Miała dziwny wyraz twarzy. Nie mogłabyś tak wyglądać.

- Nie? - powtórzyła Diana z gorzką ironią. - To nietrudne, kiedy człowiek jest otumaniony lekami. Myliłeś się co do mnie, ale miałeś rację co do mego ojca. Był szalony. Podróżując, zabierał mnie ze sobą z obawy, że pod jego nieobecność pójde do łóżka z poławą

parafii. Kiedy zatrzymywaliśmy się na noc w gospodzie, zmuszał mnie do przyjmowania laudanum i zawsze sprawdzał, czy wszystko przełknęłam. Potem zamykał drzwi od zewnątrz, żeby mieć pewność, że się nie wydostanę. - Zaczekała na ślad zrozumienia na jego twarzy, a potem mówiła dalej: - Chyba wiem. dlaczego uznałeś, że coś jest ze mną nie w porządku. Nie mogłam się obudzić, a kiedy już mi się udało, z początku pomyślałam, że to wszystko jest sennym koszmarem, jakie zdarzają się po laudanum. Nie mogłam zrozumieć, co się dzieje.

Diana zamilkła, przypomniawszy sobie tamtą noc ze wszystkimi potwornymi szczegółami. Najście intruza, nieprzyzwoitą radość ojca, że wreszcie pozbędzie się swojej przeklętej córki, dziwną, nierealną ceremonię zaślubin. A potem wściekłość świeżo poślubionego męża. jego siłę i brutalność, z jaką potraktował jej ciało.

Zadrżała, jakby chciała się otrząsnąć ze strasznych wspomnień.

- Cóż, jeśli ma się być zgwałconą, to chyba dobrze nafaszerować się wcześniej laudanum - stwierdziła z ironią.

Przeżycia były okropne, ale to wszystko było bardzo dawno i miało znacznie mniejszą wagę niż terażniejszość i przyszłość. Świadomie uspokoiła oddech, przyspieszony strasznymi wspomnieniami.

- Kiedy nasze drogi przecięły się w Londynie, byłam przerażona, że mnie rozpoznasz, bo przyglądałeś mi się, a potem podszedłeś i zabrałeś mnie z tamtej grupy. Nic nie wskazywało na to, że wiesz, kim jestem. Sądziłeś przecież, że ożeniłeś się z prostytutką.

- A ty mnie rozpoznałaś? - spytał pustym głosem.

- O tak, milordzie mężu - powiedziała cicho. - Rozpoznałam cię natychmiast, jak tylko cię zobaczyłam. - Rozwścieczona twarz mężczyzny, który poślubił ją tak niechętnie, wypaliła się niezatartym piętnem w jej mózgu. Wystające kości policzkowe, jasne oczy, ładnie wykrojone usta zaciśnięte w wąską linię. Poznałaby go wszędzie, choćby minęło pół wieku.

W przeszłości Gerwazy wydawał jej się czasem zamknięty w sobie i niedostępny, ale dopiero teraz odniosła wrażenie, że dzieli ich nieprzebyty dystans.

- Zatem wynalazłaś zemstę doskonałą - powiedział bardziej do siebie niż do niej. - Przeszłaś szkołę nierządu i odszukałaś mnie, wiedząc, że żaden mężczyzna ci się nie oprze. - Patrzył na nią. jakby ją widział po raz pierwszy, jakby była jakąś niemą istotą nie z tej planety. - Ile czasu zajęło ci odkrycie najlepszej, najbardziej okrutnej metody, żeby mnie zranić? Znałaś ją wcześniej, czy wybrałaś ją dopiero poznawszy mnie bliżej?

- Ani jedno, ani drugie! - Diana nagle się przestraszyła. - Nie szukałam cię dla zemsty. Przyjeżdżając do Londynu nie miałam zamiaru... nie chciałam cię spotkać. Ale potem tak się stało, a skoro mnie pragnąłeś, to wydawało mi się, że Bóg dał mi szansę, byśmy się poznali,

żebym się dowiedziała, jakiego człowieka poślubiłam. A kiedy cię lepiej poznałam... - Głos jej się załamał. Widziała na jego twarzy odrazę. - Kiedy cię poznałam... zakochałam się w tobie.

- Kłamiesz, fałszywa suko. - Jego głos dosłownie tryskał jadem. - Stoisz tu i odgrywasz niewinną po tych wszystkich kłamstwach. - Podszedł o kilka kroków bliżej, aż trzęsąc się ze złości. - A ja myślałem, że twój ojciec jest szalony, bo przypisywał ci występłą naturę. Powiedz mi, Diano, z iloma mężczyznami spałaś, chyba że było ich zbyt wielu, żebyś umiała ich zliczyć? Ile razy zaśmiewałaś się ze swoimi przyjaciółmi z mojej niewiarygodnej głupoty? Cały czas współpracowałaś z hrabią de Veseul? A może to on zwrócił się do ciebie, a wtedy uznałaś, że skompromitowanie dodatkowo mojej pracy sprawi ci przyjemność i da przy tym zarobić?

- Nic podobnego! - wykrzyknęła. - Nikt, nawet Madeline i Edith, nikt nie wie, że jesteśmy małżeństwem. Nigdy nie oddałam się ani Veseulowi, ani żadnemu innemu mężczyźnie. Tylko tobie, mój mężu. A za pierwszym razem wcale ci się nie oddałam. Wzięłaś mnie wbrew mej woli. - Mimo obawy, dokąd zaprowadzi ich ta rozmowa, nie mogła się powstrzymać od uszczypliwości.

- Naprawdę wierzysz, że zaufam choćby jednemu twojemu słowu skoro oszukiwałaś mnie od dnia, gdy cię poznałem? - spytał z niedowierzaniem. - Ślepa żądza zaćmiła mi umysł i nie pozwoliła cię przejrzeć. Zawsze wydawałaś się zbyt doskonała, żeby to mogło być szczere, ale ja tak bardzo chciałem ci wierzyć. - Głos rwał mu się z bólu. - Boże, jak ja chciałem ci wierzyć.

- Oczywiście, że z początku cię oszukiwałam - powiedziała z rezygnacją. - Nie pamiętasz, jak mówiłeś, że jeśli kiedyś zbliżę się do ciebie albo do którejś z twoich posiadłości lub użyję twojego nazwiska, wycofasz zapis i zostawisz mnie bez środków do życia?

- No tak, powinienem się domyślić, że u podstaw tego wszystkiego leżą pieniądze, chociaż świetnie ci szło udawanie, że jesteś mniej pazerna niż inne kobiety twojego pokroju.

- Właśnie dlatego nie chciałam, żebyś mi wyznaczał stały dochód - przypomniała mu Diana, z nadzieją, że uzna to za dowód jej szczerości. - Nie chciałam brać od ciebie podwójnej sumy na utrzymanie, zwłaszcza że nie wiedziałeś, kim jestem.

- Zamiast prosić o więcej, zrzuciłaś to na swoją przyjaciółkę Madeline, zachowując pozory świętej niewinności.

- O czym ty mówisz?

Uśmiechnął się cynicznie.

- Przestań udawać. To już nie działa.

- Gerwazy, jedyne pieniądze, jakie posiadam, to ten tysiąc funtów rocznie zapisany przez ciebie - powiedziała Diana z naciskiem - Zaoszczędziłam z tego, ile się dało, na zapewnienie przyszłości Geoffreyowi.

- No tak, Geoffrey - rzekł dziwnie ściszym głosem. - Wiesz chociaż, kto jest ojcem tego małego bękarta?

Uderzyła go, nim zdążyła pomyśleć. Dłoń dotknęła policzka z głośnym plaśnięciem i z taką siłą, że Gerwazy aż się zachwiał. Wstrzymała oddech, przerażona nie tyle złością w jego oczach, lecz tym, że potrafiła zadać fizyczny ból komuś, kogo kocha. Przez sekundę obawiała się, że Gerwazy odpowie jej tym samym, ale opanował się, choć z widocznym wysiłkiem.

- Opada kolejna zasłona - powiedział drwiąco. Ślad po jej dłoni robił się coraz bardziej czerwony. - Uważałem cię za osobę uczciwą, łagodną, inteligentną, dobrą. Niewiele zostało z moich złudzeń.

- Gerwazy, naprawdę mi przykro - szepnęła zawstydzona. - Ale jak możesz mówić takie rzeczy o własnym synu?

Uniósł brwi z niedowierzaniem.

- Chcesz mi wmówić, że ten bękart jest moim synem? Czemu nie spróbować... jest tak podobny do ciebie, że każdy mógłby być jego ojcem. I pewnie tak jest w rzeczywistości... każdy może być jego ojcem.

- Czy ty nigdy na nikogo nie patrzysz? - wykrzyknęła ze złością. - Gdybyś się lepiej przyjrzał Geoffreyowi, dostrzegłbyś, jak bardzo przypomina ciebie. Między innymi dlatego nie chciałam, żebyś go poznał. Ale nie rozpoznałeś go, tak samo jak mnie.

Zamyślił się, próbując znaleźć owe podobieństwa.

- Jest za młody. Moje dziecko miałoby teraz osiem lat, a Geoffrey ma ile... sześć? Najwyżej siedem?

- Urodził się dziesiątego lutego tysiąc osiemsetnego roku. Równe dziewięć miesięcy po naszym groteskowym ślubie - oznajmiła rzeczowo, na przemian zaciskając i prostując palce, co miało jej pomóc w zachowaniu spokoju. - Jest mały jak na swój wiek, ale ma w tej chwili osiem i pół roku. Nie mogłam mu dać imienia ojca, więc wybrałam Geoffreya, ponieważ ma ten sam inicjał co Gerwazy. Mam ci pokazać jego akt urodzenia?

Sprawił wrażenie rozdartego wewnątrz. Wiedziała, jak bardzo pragnął syna, choć uważał, że nie zasługuje na dzieci.

- To by niczego nie dowiodło. Mogłaś urodzić dziecko, które zmarło w niemowlęctwie, a Geoffreya mieć z jakiegoś późniejszego związku.

Zażłamana porażką Diana ukryła twarz w dłoniach. Wiedziała, że jej tożsamość będzie dla Gerwazego szokiem, ale nie wyobrażała sobie, że całkowicie się jej wyprze. Skoro nie chciał jej uwierzyć, wszelkie dowody nie miały znaczenia.

Jakby nie widząc jej rezygnacji, spytał:

- Powiedz, zapłaciłaś barmance, żeby móc zająć jej miejsce? zawsze mnie męczyło pytanie, do jakiego stopnia okazałem się głupcem tamtej nocy.

Opuściła rękę.

- Więc nie wiesz? Wszedłeś do mojego pokoju. Byłeś pijany, więc musiałeś się pogubić w tych wąskich korytarzach.

- Powinienem był wiedzieć, że szkoda czasu na wypytywanie cię jak było naprawdę - rzucił zniechęcony. - To nie mógł być twój pokój, bo otworzyłem drzwi moim kluczem.

Za Dianą stało krzesło; opadła na nie zbyt wyczerpana, by dalej ustać na nogach. Kiedy Geoffrey był maleńki, siadała na tym krześle i tu go karmiła.

- To były stare, przerdzewiałe zamki. Pewnie jednym kluczem można było otworzyć wszystkie drzwi.

- Jesteś sprytną kłamczuchą, wiesz, jak wzbudzać wątpliwości - odezwał się po chwili milczenia. - Popełniłem błąd, ufając ci tak długo.

Patrzyła na niego, zastanawiając się, czy istnieje jakiś sposób przedarcia się przez jego gniew, do ukrytej pod spodem szlachetności. Może było za wcześnie, żeby oczekiwać zrozumienia. A może za późno.

- A gdzie był twój bagaż? W moim pokoju go nie było.

Obrzucił ją beznamiętnym spojrzeniem, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia. Poderwała się z miejsca, żeby go zatrzymać.

- Gerwazy, zaczekaj! Co zamierzasz zrobić?

Miał taki wyraz twarzy, że nie śmiała do niego podejść.

- Wyjdę stąd, wsiądę do mojego powozu i wrócę do Londynu. Jeśli będę miał szczęście, już nigdy cię nie zobaczę.

Uniosła rękę, żeby go dotknąć, ale zaraz opuściła ją bezradnie.

- Jak możesz tak po prostu wyjść? Jesteśmy małżeństwem, mamy syna.

Zaśmiał się z goryczą.

- Ty rzeczywiście jesteś niezwykłą kobietą. Naprawdę sądziłaś, że po tym, co powiedziałaś, po tym, jak zrobiłaś ze mnie głupca, a nasz związek okazał się kłamstwem od początku do końca... naprawdę sądziłaś, że przyjmę cię jako swoją żonę i pokażę światu jako lady St. Aubyn? - Grymas pogardy wykrzywił mu usta. - Nie podobałaby ci się ta zmiana



statusu. Panowie, którzy teraz płacą za twoje względy oczekiwali ich odtąd za darmo, gdybyś należała do ich sfery.

- Może przestaniesz mówić tak, jakbym była babilońską wszetecznicą! - wykrzyknęła.

- Nie powiedziałam ci całej prawdy, ale też nigdy cię nie okłamałam, ani razu.

Milczał, tylko drżały mu zaciśnięte mocno szczęki.

- Całe twoje życie było kłamstwem - rzekł w końcu.

W jego głosie zabrzmiał żal tak głęboki, że nie potrafiła dłużej powstrzymać łez cisnących się do oczu. Zapłakana, podjęła ostatnią rozpaczliwą próbę przypomnienia mu tego, co ich łączyło.

- Kocham cię, a ty mówiłeś, że mnie kochasz. Czy to nic nie znaczy?

- O tak, znaczyło bardzo wiele - odpowiedział cicho. - Ale najwyraźniej kobieta, którą kochałem, nigdy nie istniała.

- Gerwazy, błagam cię! - Krzyk pochodził prosto z serca.

Położył rękę na klamce, odwrócił się i spojrzał na nią z obojętnością, która nie pozostawiała żadnej nadziei.

- Dziwne. Chciałem uczynić nierządnicę moją żoną, ale nie mogę pogodzić się z tym, że moja żona jest nierządnicą. Żegnaj, Diano.

Cichy stuk zamykanych drzwi zabrzmiał jak podzwonne.

Diana stała na środku pokoju skamieniała, świadoma, że kiedy minie odrętwienie, jego miejsce wypełni ból. Na zewnątrz rozległy się odgłosy ruszającego powozu - brzęk uprzęży, stukot kopyt. Gerwazy opuszczał ją na zawsze.

Często zastanawiała się, jak mógłby zareagować na wiadomość o tym, że jest jego żoną. Bez wątplenia musiał przeżyć szok. Mógł być trochę zły, ale równie prawdopodobne wydawało się, że będzie rozbawiony, że myśl o wzięciu sobie żony na kochankę może połaskotać jego szczególne poczucie humoru.

Ale przede wszystkim Diana spodziewała się, że poczuje ulgę. Kiedy się pobrali, popełnił niewybaczalną zbrodnię, lecz później, gdy gniew już wygasł, okazał skruchę i obchodził się z nią łagodnie. Kiedy go poznała w Londynie, przekonała się, jaki jest honorowy i jak mało czuje się warty. Myślała, że ucieszy się na wiadomość, że żona mu wybaczyła i że mimo wszystkich przeciwności losu byli prawdziwym małżeństwem.

Nigdy jednak nie sądziła, że wyjawienie prawdy z przeszłości zniszczy ich obecny związek. Dlaczego, skoro się kochali? Zawsze uważała go za myślącego logicznie człowieka o szerokich horyzontach i nawet jej się nie śniło, że przyjmie jej wyznanie z tak gwałtownym potępieniem.

Kiedy turkot kół na drodze całkiem umilkł, wyszła z saloniku. Czekwała na nią zatroskana Annie, siostrzenica Madeline. Annie była najstarszym dzieckiem Isabel Wolfe i zakochała się w młodym człowieku, nie dość pobożnym jak na gust jej matki. Madeline i Diana z przyjemnością użyczyły High Tor Cottage, żeby dziewczyna mogła poślubić swego ukochanego.

Annie coś mówiła, bo jej wargi się poruszały, ale Diana nic nie słyszała. Potrząsając głową na znak, że chce zostać sama, wyszła z domu i ruszyła drogą prowadzącą w dół, w stronę strumienia.

Usiadła na trawiastym brzegu, ściągnęła pantofle i pończochy. Wciąż zachowując nienaturalny spokój, zanurzyła stopy w małej sadzawce, w której Geoffrey omal nie utonął, kiedy był małym dzieckiem. W szczęśliwszych czasach przychodzili tutaj się bawić, a jej syn okazywał powszechne u dzieci zamiłowanie do błota.

Gerwazy odszedł. Był mężczyzną, który nie zakochiwał się łatwo i łatwo nie odchodził. I nie zmieniał zdania, kiedy już podjął decyzję. Wiedziała, że stanowią swoje przeciwieństwo jeśli chodzi o temperament, ale nie zdawała sobie sprawy, co z tego wynika. Jej miłość wystarczała i zawsze miała wystarczać. Myślała, że skoro Gerwazy ją pokochał, łącząca ich więź jest nierozzerwalna.

Mylila się. Zraniła go ciężko, zniszczyła jego miłość i zaufanie, być może na zawsze, zadała mu cios, po którym mógł się już nigdy nie podźwignąć.

Gdzie popełniła błąd? Przebiegła w pamięci ostatnie miesiące. Może w Aubynwood, gdzie zaczął się kryzys? Instynkt podpowiadał jej, żeby wtedy wyznać Gerwazemu prawdę, ale tego nie zrobiła. Wygodniej było pozostawić sprawy ich własnemu biegowi. Uznała, że lepiej poczekać, aż Gerwazy przyzna, że ją kocha. Sądziła, że wówczas łatwiej przyjmie prawdę.

Stało się inaczej. Kochając ją, był o wiele bardziej bezbronny niż wtedy w Aubynwood, a w rezultacie nabrał przekonania, że został zdradzony. Myśl o jego cierpieniu była tak samo nieznośna jak własny ból. Może nawet gorsza, ponieważ czuła się winna.

Zgarbiła się, schowała głowę w ramiona i bez reszty pograżyła się w smutku.

Powrót do Londynu przebiegał w grobowej ciszy. Poza zdawkową wymianą uwag przy zmianie koni i postojach na nocleg, Gerwazy odezwał się do Bonnera tylko raz - zapytał kamerdynera, co znalazł w pokoju, gdy pakował rzeczy swego pana tamtej fatalnej nocy na Mull.

Nie okazawszy najmniejszego zdziwienia tym pytaniem. Bonner odparł:

- Była tam jedna z dziewcząt z tawerny. Czekwała od dłuższego czasu i czuła się

urazona, że pan jej zaniechał. Pozwoliłem sobie wręczyć jej mały datek jako wynagrodzenie za zawód z funduszy, które miałem na wydatki podróże.

- Był tam mój bagaż? - Gerwazy ściągnął lejce, omijając głębokie koleiny. Powoził przez cały czas, ponieważ skupienie na tej czynności pozwalało mu nie dopuszczać do siebie niechcianych myśli.

Bonner potwierdził skinieniem głowy.

- Pewnie. Wyglądał na nietknięty. Nawet nie sprawdzałem, bo ci Szkoci to uczciwy naród. Brakowało czegoś? - Kamerdyner zachowywał się tak, jakby rozmawiali o poprzedniej nocy, a nie o wydarzeniu sprzed dziewięciu lat. Tyle że owa noc nie należała do takich, które się szybko zapomina.

- Nie, niczego nie brakowało. - Poza jego żoną, która jak się okazało, wcale nie była w pokoju Gerwazego, tylko w swoim własnym.

Pomyślał o miesiącach ich miłosnych schadzki i uświadomił sobie, że choć Diana zawsze była cudownie chętna do zbliżenia, nigdy nie czuł u niej zawodowej rutyny, typowej dla prawdziwej kurtyzany.

Był tak głupi, że wcześniej to do niego nie dotarło. Naprawdę mogła być tak niewinna, jak twierdziła... albo mógł to być jeszcze jeden dowód jej wyjątkowego talentu do udawania.

Wizyta w Aubynwood wymagała niewielkiego zбочenia z trasy, zbliżając się przyjęcie stanowiło wygodny pretekst do zatrzymania się tam na krótko. Wydanie niezbędnych poleceń nie zajęło dużo czasu. Potem wicehrabia spytał ochmistrzynię, gdzie wisi portret jego matki. Malowidło zdobiło ścianę korytarza dla służby, gdzie cieszyło się wielkim poważaniem. Sir Joshua Reynolds pewnie by się uśmieł, dowiedziawszy się, gdzie w końcu wylądowało jego arcydzieło.

Gerwazy ominął wzrokiem piękną, amoralną twarz matki i skupił całą uwagę na ciemnowłosym chłopcu, który wpatrywał się w nią z zadumą. Przystudiował profil, kształt ucha, linię nosa i szczęki i doszedł do jednoznacznego wniosku: portret równie dobrze mógłby przedstawiać Geoffreya. Wicehrabia przypomniał sobie dzierżawcę, którego odwiedził w Aubynwood z Geoffreym, i to, jak ów farmer przyglądał się najpierw chłopcu, a potem jemu.

Choć prawie o tym zapominał. Gerwazy także jako dziecko był mały na swój wiek. Zaczął rosnać dopiero gdy skończył dwanaście lat, dorównując, a potem przewyższając wzrostem swoich rówieśników.

No i ataki epilepsji. Miał ich kilka. Geoffrey miał więcej. Czy takie rzeczy były dziedziczne? Całkiem możliwe.

Zatem Geoffrey, inteligentny, odważny i pogodny z natury, był jego synem. Uznając swoją żonę za nienormalną, nie całkiem ludzką istotę, Gerwazy nigdy nie brał pod uwagę możliwości, że ten jeden krótki, gwałtowny akt cielesnego zbliżenia może zaowocować dzieckiem. Odepchnął od siebie tę myśl, nie potrafiąc stawić jej czoła. To, że Geoffrey był jego synem, w niczym nie zmieniało faktu, że Diana kłamała i trudniła się nierządem... ale stanowiło jeszcze jedną komplikację w ich małżeńskim piekle.

Diana wróciła do domu późnym wieczorem, wyczerpana długą podróżą. Po scenie z Gerwazym spędziła ponad tydzień w High Tor Cottage, szukając spokoju i pociechy w swym nieszczęściu. Teraz cieszyła się z powrotu na łono rodziny. Geoffrey był już w łóżku, ale Madeline i Edith, widząc, jak marnie Diana wygląda, pośpieszyły z serdecznymi objęciami. Nie mówiła przyjaciółkom, po co wybiera się na północ, a one nie pytały, ale w końcu nadszedł czas na wyjaśnienia.

Po kąpieli i posiłku wszystkie trzy zasiadły w saloniku Maddy. Przy niezliczonych filiżankach herbaty zaprawionej brandy, Diana w długim monologu opowiedziała im o swojej przeszłości, od dzieciństwa w Szkocji po dziwne, wymuszone zaślubiny. Wspomniała też, jak ojciec zostawił ją na łasce nieistniejącej opieki męża. Zakończyła opowieścią o nieudanej rozmowie z Gerwazym.

Kiedy już brakło jej słów, Madeline powiedziała ze współczuciem:

- Wiedziałam, że nosisz w sobie jakąś tajemnicę, ale to przerosło moje oczekiwania. Mogę cię o coś spytać?

Diana westchnęła. Siedziała skulona w rogu sofy, otulona szkockim pledem, który miał ją nie tyle chronić przed chłodem, co poprawie samopoczucie swą miękką przytulnością.

- Pytaj, o co tylko zechcesz. Zawsze miałam trudności z mówieniem o tym, co mnie najgłębiej dotyka, ale niemówienie sprowadzało jeszcze gorsze problemy.

- Co się stało z twoją matką?

Filiżanka zadzwoniła głośno o zęby Diany. Odstawiła ją ostrożnie na stół.

- Zabiła się, kiedy miałam jedenaście lat.

- Och, moje drogie dziecko. - Madeline westchnęła, a potem szybko zmieniła temat. - Trudno uwierzyć, że ojciec porzucił cię z gospodzie nazajutrz po twoim ślubie.

- Gdybyś знаła mojego ojca, wiedziałabyś, że to do niego podobne. Był święcie przekonany, że wszystkie kobiety są wcieleniem zła, a zwłaszcza jego córka. - Niebieskie oczy Diany pociemniały tak, że stały się prawie czarne. - Sądził, że im szybciej się mnie pozbędzie, tym lepiej dla jego nieśmiertelnej duszy.

Podczas opowieści Diany w głowie Madeline zaświtała pewna myśl. Zawahała się,

niepewna, czy ma prawo się wypowiadać.

- Diano, czy to możliwe, że twój ojciec czuł... nienaturalną skłonność do ciebie? I przeklinał siebie za te niegodne uczucia, a ciebie za to, że byłaś ich obiektem?

Twarz Diany zastygła w wyrazie zastanowienia.

- To by wiele tłumaczyło. Czasami wpatrywał się we mnie nienawistnie. I to jego ciągle powtarzanie, że budzę w mężczyznach lubieżne myśli... Zupełnie bez sensu. Chyba byłam ładnym dzieckiem, ale nie na tyle dojrzałym, żeby zwracać uwagę normalnych mężczyzn. Modlił się za mnie całymi nocami, prosząc Boga, żeby oczyścił moją grzeszną naturę. Kiedy indziej próbował biciem wypędzić ze mnie diabła. - Drząc, otuliła się mocniej pledem.

- Przepraszam, moja droga. Może nie powinnam się odzywać.

- Ależ nie, dobrze, że poruszyłaś ten temat - uspokoiła ją Diana. - Chociaż ten pomysł wydaje się odrażający, przynajmniej stanowi jakieś wytłumaczenie. Ojciec zawsze wydawał mi się... żywołem, tajemniczym i nieujarzmionym. Wolę myśleć, że istniały powody, dla których mną pogardzał, coś, czemu nie byłam winna.

- Czy on nadal żyje? - spytała Edith.

Diana odpowiedziała wzruszeniem ramion.

- Nie mam pojęcia. Od czasu jak zostawił mnie w gospodzie, nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu.

Madeline nie mogła wyjść ze zdumienia, że jakiś człowiek, w dodatku duchowny, mógł tak bezdusznie potraktować własną córkę. Bez wątpienia musiał być szalony. Zdecydowała się poruszyć temat, który zawsze budził jej ciekawość.

- Jak poznałyście się z Edith? Nigdy o tym nie wspominałaś.

- Moja siostra Jane Hayes i jej mąż są właścicielami gospody, w której odbył się ślub - odpowiedziała Edith swoim charakterystycznym akcentem z Yorkshire. - Wyszłam za brutalnego pijaka. Obaj moi chłopcy dorośli i wyjechali, jeden do wojska, drugi do Ameryki. Jane uważała, że powinnam opuścić męża, zanim mnie zabije, ale ja nie wiedziałam, jak to zrobić i dokąd się udać. - Odruchowo dotknęła sonej blizny na lewym policzku. - Pewnie mogłabym pojechać do Jane, ale nie miałam pieniędzy na podróż. W dodatku po dwudziestu latach maltretowania nie miałam już na nic siły.

Madeline spojrzała na Edith ze zrozumieniem. Wiedziała, że ma synów, którzy regularnie pisywali do matki, ale nigdy dotąd nie słyszała o mężu. Okazało się, że Edith zawdzięczała swój spokój i siłę twardej szkole życia.

Diana podjęła opowieść:

- Pani Hayes uznała, że jeśli Edith będzie się miała kim opiekować, to odzyska chęć do życia i opuści męża. Ja akurat skończyłam szesnaście lat, byłam w ciąży i wszystkiego się bałam, ale dzięki Gerwazemu i jego prawnikowi miałam pieniądze. Tak więc pani Hayes spakowała mnie i wysłała do Yorkshire. Razem z Edith znalazłyśmy High Tor Cottage. Obie pragnęłyśmy być same, w miarę możliwości z dala od innych ludzi, zwłaszcza od mężczyzn. I od tego czasu Edith się mną opiekuje. - Uśmiechnęła się ciepło do kobiety, która pomogła jej przetrwać najcięższe chwile w życiu.

- To działało w obie strony, moja droga - Edith uśmiechnęła się, patrząc na Dianę z czułością.

- Po tym wszystkim, co ci się przydarzyło, dlaczego chciałaś przyjechać do Londynu i zostać kurtyzaną? - zdumiała się Madeline. - Już prędzej widziałabym cię w klasztorze.

Diana dołączyła brandy do herbaty we wszystkich trzech filiżankach.

- Wiem, że to się musi wydawać dziwne, ale czułam, że to właśnie powinnam zrobić - powiedziała. - Pomimo tego, co zrobił mój ojciec... i mój mąż, wiedziałam, że nie wszyscy mężczyźni są tacy. We wsi, gdzie dorastałam, widziałam szczęśliwe małżeństwa i dobrych, łagodnych mężczyzn. Ponieważ byłam mężatką, nie mogłam wyjść za mąż, ale... pragnęłam znaleźć człowieka, który by mnie kochał. - Zamyśliła się, wolno sącząc herbatę, a potem dodała, wzruszając ramionami - Muszę przyznać, że podobało mi się to, co mówiłaś o urodzie, dającej kobiecie władzę nad mężczyznami. Pomyślałam, że byłoby miłą odmianą posiadać trochę tej władzy, móc samej wybierać, brać i dawać.

- Mówiłam też, że to niebezpieczne - przypomniała jej Madeline.

- Wiem - szepnęła Diana. Przymknęła powieki, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. - Nie miałam pojęcia, na co się porywam. Chyba się nie nadaję na kurtyzane.

- Nie, moja droga, nie nadajesz się. Nadajesz się na kochającą żonę, matkę i przyjaciółkę.

Intencją Madeline było dodanie Dianie otuchy, ale ją te słowa jeszcze mocniej przygnębiły.

- Co ja teraz zrobię? - Chlipnęła, kryjąc twarz w fałdach miękkiego pledu. - On mnie nienawidzi. Powiedział, że nie chce mnie więcej widzieć.

Po dłuższej chwili milczenia Edith odezwała się pierwsza:

- Ty jesteś znawczynią mężczyzn, Maddy, więc ty odpowiedz.

Madeline usiadła obok przyjaciółki i objęła ją serdecznie.

- Może i St. Aubyn w pewien sposób cię nienawidzi, ale jego uczucia wobec ciebie są z pewnością bardziej złożone. Miłość, nienawiść, pożądanie, złość... wszystko to musi mu się

teraz kłębić w duszy. Byłoby o wiele gorzej, gdyby pozostawał obojętny.

- Myślisz, że jest jakaś szansa, że zmieni zdanie? - spytała Diana niewyraźnie, z twarzą wciąż wtuloną w pled.

- Sądzę, że tak, jeśli wygrzebiesz się z tego koca i zaczniesz walczyć jak kobieta - odparła Madeline zaczepnie. Poskutkowało, bo Diana podniosła zapłakaną twarz.

- Co to znaczy: walczyć jak kobieta?

- Zastanów się, co on w tobie lubił i wykorzystaj to. Miłość, namiętność, śmiech... sama wiesz najlepiej. Postaraj się też zrozumieć powody jego gniewu.

Z oblicza Diany zniknęła poprzednia bezradność. Podniosła do ust filizankę.

- Myślisz, że odwrócił się ode mnie, bo zraniłam jego dumę? Bo jest przekonany, że zrobiłam to umyślnie, żeby go upokorzyć?

Madeline zamyśliła się, porównując to, co wiedziała o wicehrabim St. Aubyn, ze swą wiedzą na temat mężczyzn jako takich.

- Na pewno chodzi także o dumę, ale nie tylko - powiedziała w końcu wolno. - Z tego, co mówiłaś, on uważa, że zawiodłaś jego zaufanie. To jedna z najgorszych rzeczy, jakie się mogą zdarzyć pomiędzy mężczyzną i kobietą, a St. Aubyn nie wygląda mi na kogoś, kto łatwo ufa bliźnim. Co więcej, już raz wytłumaczył sobie wątpliwości na twoją korzyść, więc jawna zdrada wydaje mu się tym bardziej niewybaczalna.

- Masz rację, jak zawsze, Maddy - przyznała Diana. - Nadal nie wiem, co z tym zrobić, ale to już coś na początek. - Przypomniała sobie niezrozumiałą uwagę Gerwazego. - Zarzucił mi, że nakłoniłam moją przyjaciółkę Madeline, by w moim imieniu prosiła o pieniądze. Wiesz, o co mu chodziło?

- Owszem - przyznała Madeline. - Poprosiłam St. Aubyna o regularne wpłaty na twój rachunek. Był bardzo chętny, więc od września jesteś bogatsza o dwieście funtów miesięcznie. - Widząc zmienioną twarz Diany, Maddy spytała zaniepokojona: - Czy to stanowi jakiś problem?

- Obawiam się, że tak. On uznał, że ja za tym stałam i tylko udawałam nieświadomość.

- O nie, Diano, tak mi przykro! - wykrzyknęła skruszona Madeline. - Życie jest ciężkie, a skoro St. Aubyn był gotów okazać szczodrość, wydawało mi się głupotą nie zaoszczędzić trochę na twoją przyszłość. Martwiłam się, że tak beztrąsko traktujesz sprawy finansowe. A teraz on oskarża cię za to, co zrobiłam?

Maddy musiała sama ciężko zapracować na swoje zabezpieczenie, więc nic dziwnego, że troszczyła się o mniej doświadczoną przyjaciółkę. Teraz jej dobre intencje okazały się

jeszcze jednym powodem, dla którego Gerwazy uważał swoją żonę za oszustkę.

- To nie ma większego znaczenia - powiedziała Diana z rezygnacją, dopijając resztki herbaty. - Mam dość innych grzechów, żeby zostać potępioną. - Zamieszała fusy i przez chwilę, zamknąwszy oczy, trzymała filiżankę w obu dłoniach, nim podała ją Edith. - Proszę, powiedz mi... czy wszystko między mną i Gerwazym już skończone?

Edith miała niepewną minę.

- Lepiej nie zaglądać w sprawy, które leżą głęboko w sercu. Za bardzo się przejmujesz - odpowiedziała wymijająco.

- Proszę - nalegała Diana. - Muszę wiedzieć, czy jest jakaś nadzieja. Edith wahała się jeszcze, ale w końcu wzięła od Diany filiżankę i spojrzała na fusy zaścielające dno.

- Nie skończyło się - powiedziała głuchym, jakby nieswoim głosem - Między wami jest jeszcze wiele dobrego i złego. -Zmarszczyła brwi - Koniec waszej historii jeszcze nie został napisany. Istnieje niebezpieczeństwo, nie tylko dla ciebie. Zagraża wam ciemność, Ciemność, śmierć i pożądanie - zakończyła tajemniczo.

Diana westchnęła głośno, wrywając Edith z transu.

- Lepiej wykorzystasz tę filiżankę, napełniając ją herbatą, moja droga - odezwała się już normalnym, żywym tonem. Nalała resztki herbaty z dzbanka i sięgnęła po brandy.

- Raczej już nie powinnam - zaproponowała Diana. - Chyba zaraz zasnę, tu na kanapie Maddy.

- Jesteś wyczerpana, a my cię jeszcze męczymy naszymi pytaniami - zmitygowała się Madeline. Pomogła Dianie wstać i odprowadziła do sypialni, ściskając serdecznie na dobranoc.

Kiedy wróciła do saloniku, Edith siedziała z wyrazem zadumy na zeszpeconej blizną twarzy.

- Wiesz, chyba nadszedł czas, żebym odwiedziła moją siostrę Jane na Mull. Zbyt długo jej nie widziałam.

Przyzwyczajona do trochę dziwnego sposobu wyrażania myśli przez starszą kobietę, Madeline nalała po sporej porcji brandy do obu filiżanek.

- Oczywiście to tylko zbieg okoliczności, że droga na Mull przebiega w pobliżu Niziny Szkoockiej, gdzie Diana się wychowała - zauważyła spokojnie.

- Owszem, tylko przypadek. - Edith pociągnęła brandy. - Spodziewam się, że wszyscy w sąsiedztwie znają szalonego pastora.

- To bardzo prawdopodobne - zgodziła się z nią Maddy, podciągając nogi pod siebie. - Pewnie nie ma to większego znaczenia, ale ciekawie byłoby dowiedzieć się o nim czegoś



więcej. Chociażby tego, czy jeszcze żyje. - Posłała przyjaciółce surowe spojrzenie. - Jeśli nadal podąża ziemską ścieżką, ufam, że nie pomożesz mu z niej zstąpić na niebiańskie pastwiska?

- Oczywiście, że nie - obruszyła się dumnie Edith. - Nigdy na nikogo nie podniosłam ręki... od czasu jak na odchodnym przeczesałam mojego męża pogrzebaczem. - Urwała, a po chwili dodała tonem wyjaśnienia: - Ten tyran nie chciał mnie puścić.

- Naprawdę to zrobiłaś? - zdumiała się szczerze Madeline i wybuchnęła śmiechem. - Chyba wypiłam za dużo brandy, bo wydaje mi się to bardzo zabawne. Zabiłaś go?

- Nie - odparła Edith z nieukrywanym żalem. - To nie był porządny, ciężki pogrzebacz.

- Więc on nadal żyje?

- Nie. Po moim wyjeździe znalazł sobie inną kobietę, żeby mu usługiwała. Którejś nocy pobił ją na śmierć, więc go powiesili.

Maddy głośno przełknęła ślinę, nagle otrzeźwiona beznamiętnym wyznaniem Edith.

- Wszystkie trzy nosiliśmy w duszach tajemnice dotyczące mężczyzn. Czy to nie dziwne, że wszystkie wyszły na jaw w tym samym czasie?

- Owszem. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się dla Diany pomyślnie, tak jak dla ciebie i dla mnie.

Po wyjściu Maddy Diana całkiem opadła z sił. Próbowwała nad sobą panować, ale i tak płakała prawie nieustannie w Yorkshire i przez całą drogę do domu. Tak jak powiedziała kiedyś Gerwazemu, była bardziej skłonna do płaczu niż do scen złości. Byłoby jej lepiej, gdyby mogła wyładować się w gniewie, ale nie potrafiła. Deklaracja uczuć, której tak pragnęła, uczyniła go bezbronnym wobec tego, co odebrał jako jej zdradę, a te wszystkie straszne rzeczy, które jej powiedział, zrodziły się z jego cierpienia. Patrząc wstecz zrozumiała, że przyjąłby jej wyznania o wiele lepiej, gdyby mu się zwierzyła, zanim sam się przed nią otworzył. Ale łatwo było być mądra po szkodzie.

Znów ogarnął ją dławiący żal. Zdecydowana za wszelką cenę powstrzymać się od łez, usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać pocztę, która nadeszła pod jej nieobecność. Były tam rachunki za materiały i buty, za czesne Geoffreya oraz wiadomość od Francisa Brandelina, że wyjeżdża z miasta, ale odwiedzi ją po powrocie.

Była też niewielka paczka zaadresowana nieznanym jej charakterem pisma. Myśląc, że to coś, co sama zamówiła, a potem zapomniała. Diana rozwinęła papier. Na widok zawartości poczuła zawrót głowy i nieznośny ucisk w sercu.

W wyścielonym aksamitem pudełeczku znajdowała się reszta pereł z naszyjnika, które

dotąd otrzymywała po jednej. Nie było żadnego bileciku, żadnej wiadomości, choćby nawet obraźliwej. Zastanawiała się, czy przesyłka miała wyrażać pogardę czy obojętność.

Nie chciała o tym myśleć. Drżącą ręką zamknęła pudełeczko, odstawiała na brzeg biurka i sięgnęła po ostatni list. Na kremowej kopercie odcisnięta była pieczęć wicehrabiego St. Aubyn. Z bijącym sercem wzięła głęboki oddech, nim ją otwarła. Doznała gorzkiego rozczarowania na widok obcego pisma, tego samego, które widniało na paczuszce z perłami. Zapewne należało do sekretarza Gerwazego. Dawniej Gerwazy zawsze pisał do niej własnoręcznie, z zapytaniem, kiedy może złożyć wizytę.

Wyjęła z koperty zaproszenie na przyjęcie w Aubynwood, wysłane przed jej spotkaniem z Gerwazym w Yorkshire, zanim powiedział, że nie chce jej więcej widzieć. Czekano na nią w domu, jak bolesne przypomnienie, że mogło być inaczej. Diana już miała zmiąć ozdobny kartonik, ale coś ją powstrzymało. Przyjęcie wydawane w domu oznaczało dużą liczbę gości, prawdopodobnie związanych z rządem, ponieważ Gerwazy miał zwyczaj zapraszać do Aubynwood swoich znajomych ze świata polityki.

Sprawdziła datę - impreza miała się odbyć pod koniec następnego tygodnia. W zamyśleniu pogładziła elegancki gruby papier. W świetle prawa była wicehrabiną St. Aubyn. Czy Gerwazy mógłby ją wyprosić, gdyby się tam zjawiała? Owszem, gdyby się spotkali sam na sam, ale biorąc pod uwagę jego poczucie przyzwoitości, było mało prawdopodobne, by to uczynił przy swoich gościach. Gdyby przyjechała dzień później, kiedy wszyscy będą już na miejscu...

Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, rozdarta między pokusą a strachem. Chciała walczyć o Gerwazego, za wszelką cenę przekonać go, że jej uczucia są szczerze, ale żeby to zrobić, musiała się z nim spotkać. A mogła już nigdy nie mieć okazji zbliżyć się do niego.

Nie było się więc nad czym zastanawiać. Postanowiła, że pojedzie do Aubynwood.

Wiedząc, że musi poświęcić synowi więcej uwagi, by osłodzić mu nieco fakt, że znowu miała wyjechać, następnego ranka zjadła z Geoffreyem śniadanie, a potem pojechała z nim na przejażdżkę po parku. Zachwycony jej towarzystwem, paplał bezustannie, opowiadając jej o przeczytanych ostatnio książkach i demonstrując postępy jeździeckie. Siedząc na koniu, czy raczej kucyku, w pełni przypominał swego ojca; choć dosiadał wierzchowca dopiero od niespełna roku, trzymał się w siodle ze swobodą urodzonego jeźdźca.

Po powrocie z przejażdżki, oddając wodze stajennemu. Diana przyjrzała się Geoffreyowi uważnie. Była ciekawa, co Gerwazy czuje, wiedząc, że chłopiec jest jego synem. Choć ją odtrącił, była przekonana, że zaakceptuje syna, kiedy się dobrze zastanowi nad całą sprawą. Obserwowała ich rosnącą zażyłość z drżeniem serca i nadzieją, pragnąc, by się umieli porozumieć, i równocześnie obawiając się, że im się to nie uda.

Wicehrabia wydawał się lubić Geoffreya. a chłopiec był jego dziedzicem. Czy wykorzysta przekonanie o perfidii Diany przeciwko swemu synowi? Znając głęboką uczciwość Gerwazego, wątpiła w to, ale jego gorycz była tak wielka, że Diana postanowiła nie dopuszczać do kontaktu męża z Geoffreyem, dopóki nie będzie pewna, że niczym to chłopcu nie grozi. Miała wobec syna wielkie ambicje, chciała, żeby miał tytuł, majątek i władzę, które mu się należały i z których, jej zdaniem, zrobiłby właściwy użytek. Nie zamierzała pozwolić, by stał się pionkiem w grze pomiędzy rodzicami. Wolałaby raczej zabrać go do kolonii i wychować samotnie, niż pozwolić, by cierpiał.

Geoffrey zazwyczaj sam czyścił swego kucyka, ale tego dnia Diana poleciła mu. by przekazał te obowiązki stajennemu, bo chciała porozmawiać. Spoglądając na matkę z zaciekawieniem, posłusznie wszedł z nią do domu.

- W przyszłym tygodniu znowu wyjeżdżam na kilka dni. Geoffreyu - oznajmiła synowi, ściągając rękawiczki. - Przykro mi, ale nie mogę tego uniknąć.

Chłopiec zrobił smutną minę.

- Mógłbym pojechać z tobą?

Pokręciła przecząco głową.

- Obawiam się, że nie. - Odmówiła, bo uważała, że wszystko się może zdarzyć pomiędzy nią a ojcem chłopca.

- Dlaczego?

Jak miała odpowiedzieć na to odwieczne dziecięce pytanie? Nie doczekawszy się

odpowiedzi, Geoffrey naciskał:

- Jedziesz z wizytą do lorda St. Aubyn, prawda?

Domyślała się, że bałwochwalczy podziw, jaki Geoffrey żywi dla wicehrabiego, walczy o lepsze z zazdrością o to, że zabiera on matce tak dużo czasu. Mina Geoffreya potwierdzała jej przypuszczenia. Diana zdjęła kapelusz i zakiet.

- Owszem. Przykro mi, że tak szybko znów muszę cię opuścić, ale ten wyjazd jest konieczny - zaczęła, starając się utrzymać lekki ton.

Widziała, że w jej synu starannie wyuczone dobre maniery walczą z chęcią urządzenia sceny. Diana wyciągnęła rękę, chcąc go do siebie przyciągnąć, żeby usiadł i spokojnie z nią porozmawiał, lecz w tym momencie jego głowa zaczęła odskakiwać do tyłu jak zwykle w pierwszej fazie konwulsji. Upadł na podłogę, wyprężony, z językiem na wierzchu. Diana przypadła do syna zdjęta trwogą, która ogarniała ją zawsze podczas jego ataków.

Pochylała się już, żeby go objąć, ale coś kazało jej się powstrzymać. Widziała w życiu wiele ataków epilepsji, a ten wyglądał wyjątkowo groźnie. Świszczący odgłos wciągane powietrza i drgawki były trochę inne niż zazwyczaj. Zastygła bez ruchu, spięta nagłym podejrzeniem, a potem chwyciła chłopca za ramiona i niemal podnosząc go z podłogi, krzyknęła:

- Geoffrey, ty udajesz?!

Niebieskie oczy wywrócone do góry spojrzały na nią ze skruchą; ciało chłopca natychmiast się rozluźniło. Zła na syna, jak jeszcze nigdy w życiu, Diana przełożyła go sobie przez kolano i wymierzyła mu kilka szybkich, mocnych klapsów. Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się uderzyć Geoffreya; zaskoczony, zareagował dzikim wrzaskiem i złością.

Jednak już po chwili, zgodnie pochlipując, padli sobie w ramiona.

- Przepraszam, nie powinnam była cię uderzyć, ale nigdy więcej tego nie rób - wyszeptała Diana, kołysząc syna w objęciach. - Krzycz na mnie, rzucaj przedmiotami, jeśli musisz, ale nigdy, nigdy nie udawaj, że masz atak. Nie wiesz, co to dla mnie znaczy. To... nie w porządku.

Geoffrey wyjął z kieszeni chusteczkę, wysiakał nos, a potem mokrą zwinął w dłoni.

- Ja wiedziałem - wyznał ze skruchą. - I dlatego to zrobiłem. - Z trudem przełknął ślinę. - Przepraszam, mamu. To było okropne z mojej strony.

- Rzeczywiście, było okropne. - Diana otarła oczy i próbowała się uśmiechnąć. - Ale podejrzewam, że gdybyśmy nie robili czasem okropnych rzeczy, bylibyśmy aniołami, fruwającymi w niebie z harfami i skrzydłami.

- Skrzydła by mi się chyba spodobały, ale w niebie nie ma koni, prawda? -

zainteresował się Geoffrey z błyskiem w już obeschłych oczach.

- Obawiam się, że nie ma.

- No to wolę zostać tutaj.

Chwila odprężenia minęła. Widząc, jak syn nerwowo mnie chusteczkę, Diana podjęła decyzję. Wcześniej czy później musiała powiedzieć chłopcu, że Gerwazy jest jego ojcem. Zamierzała to zrobić później, ale może teraz była odpowiednia chwila. Poznanie prawdy mogło mu pomóc łatwiej znieść sytuację. Otoczyła syna ramieniem i usadziła go przy sobie na kanapie.

- Muszę ci o czymś powiedzieć.

Choć powzięła decyzję, wcale nie było jej łatwo znaleźć właściwe słowa; zawsze unikała tego tematu.

- Lubisz lorda St. Aubyn, prawda? - zaczęła ostrożnie.

Geoffrey przytaknął, nie patrząc na nią. Diana odetchnęła głęboko wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- St. Aubyn jest twoim ojcem.

Geoffrey gwałtownym ruchem odwrócił głowę i wpatrywał się nią szeroko otwartymi oczyma. Zapadła cisza.

- Więc jestem bękartem? - zapytał wreszcie zdrętwiałymi ustami.

- Nie! - wykrzyknęła zaskoczona. Najwyraźniej syn uczył się w szkole nie tylko łaciny i literatury. - Nie, jesteśmy małżeństwem, A ty jesteś tak samo ślubnym dzieckiem jak każdy inny chłopiec w Anglii.

- To dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś? Dlaczego nie mieszkacie razem? I dlaczego on się nie zachowuje jak ojciec? - Pierwszy szok minął i natychmiast pojawiła się ciekawość. Diana objęła syna mocniej.

- To długa historia, kochanie. - Przez chwilę zastanawiała się, jak przedstawić prawdę ośmiolatki. - Zatrzymaliśmy się w tej samej gospodzie w Szkocji. Twój ojciec przez pomyłkę wszedł do mojego pokoju. To było bardzo nieprzyzwoite, więc... uznał, że musi się zachować jak przystało na dżentelmena i ożenić się ze mną. Tylko że wcale nie miał ochoty mieć żony, więc wyjechał, upewniwszy się, że mam dość pieniędzy na dostatnie życie.

- Dlaczego nie chciał być twoim mężem? - dociekał Geoffrey.

- Nie chodziło o mnie. Po prostu nie chciał być niczym mężem - wyjaśniła ostrożnie, nie chcąc, by Geoffrey winił za wszystko Gerwazego. - Twój ojciec zamierzał wyjechać do Indii i wstąpić do wojska. Nie planował założenia rodziny.

Chłopiec pokiwał głową, przyjmując wyjaśnienie bez zastrzeżeń. Diana omal nie

parsknęła śmiechem, rozbawiona powagą małego mężczyzny.

- Pojechałam do Yorkshire i spotkałam Edith. Wiesz, jak wyglądało tam nasze życie. Z początku było świetnie, ale kiedy dorosłeś do wieku szkolnego, nadszedł czas, by się przenieść do Londynu, żebyśmy oboje mogli zobaczyć kawałek świata. - Czuła coraz większą potrzebę wyznań. Była gotowa powiedzieć mu wiele, ale nie to, że wybrała życie kurtyzany, choć w istocie nigdy nią nie była. Starannie dobierając słowa, mówiła dalej: - Pewnego wieczoru, kiedy byliśmy z wizytą u cioci Maddy, przypadkiem spotkałam lorda St. Aubyn. Zapomniał już, jak wyglądam, a ponieważ nie używałam nazwiska Brandelin, więc mnie nie poznał.

- Czemu wtedy od razu mu nie powiedziałaś, kim jesteś?

Nawet w tym przypominał ojca.

- Nie chciałam. Nie interesował się nami. Nie wiedział nawet, że ty się urodziłeś.

- I byłaś na niego zła?

- Obawiam się, że tak - przyznała. - Chciałam go lepiej poznać, więc się nie ujawniłam. Ale ponieważ zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, w zeszłym tygodniu powiedziałam mu, kim jestem.

Geoffrey obrócił się do niej, oplatając ramionami podciągnięte pod brodę kolana.

- A on się rozzłościł, bo mu nie powiedziałaś wcześniej, że jesteś jego żoną?

Diana był zaskoczona celnością tych spostrzeżeń. Czyżby wszyscy mężczyźni rozumieli to, co kobietom wydawało się czasem niepojęte? Przytaknęła.

- Tak, jest na mnie zły. - Choć bardzo się pilnowała, żeby zachować spokój, głos trząsł jej się niebezpiecznie. - Nawet nie chce się ze mną spotkać. Dlatego właśnie jadę do Aubynwood. Wydaje tam przyjęcie, a ponieważ wcześniej zostałam na nie zaproszona, więc postanowiłam pojechać, żeby go przeprosić.

- Jesteś przez niego nieszczęśliwa - stwierdził Geoffrey zaczepnie.

- Tak, ale nie obwiniaj go za bardzo - powiedziała szybko. - On też przeze mnie cierpiał, chociaż wcale tego nie chciałam.

Syn patrzył na nią rozumnymi niebieskimi oczyma.

- Sama mi zawsze mówisz, że dobre intencje nie wystarczą.

- No właśnie - przyznała.

- Co... co on powiedział, kiedy się dowiedział, że jestem jego synem? - Geoffrey znów wyglądał na małego chłopca.

Mając świadomość, jak ważna jest dla chłopca odpowiedź, Diana postanowiła opowiedzieć o tym, czego była świadkiem, dodając to, czego się domyślała.

- Był zaskoczony, ma się rozumieć, a ponieważ był przy tym bardzo rozgniewany, chyba nie do końca mi uwierzył. - Przyparta do muru spojrzeniem syna, dodała gorliwie: - Ale chciał... i to bardzo chciał wierzyć, że jesteś jego synem.

Znowu zapadła cisza.

- Jeśli ty i St. Aubyn znowu zostaniecie przyjaciółmi, czy to znaczy, że będziemy rodziną?

Nieukrywana tęsknota w głosie syna ścisnęła Dianę za serce.

- Mam taką nadzieję, skarbie - powiedziała niepewnie. - Mam nadzieję.

Geoffrey ścisnął brwi w wyrazie głębokiego namysłu.

- Skoro jedziesz z wizytą do mojego ojca, to czemu nie mogę pojechać z tobą? - Już nie był zazdrosny, teraz i on czuł się związany z St. Aubynem i potrzebował go nie mniej niż Diana.

Przez moment pożałowała swoich wyznań.

- Lord St. Aubyn jest na mnie bardzo, bardzo zły. Może być bardzo nieprzyjemnie.

Geoffrey zacisnął szczęki.

- Jest moim ojcem, więc chcę go zobaczyć.

- To nie jest odpowiednia pora, Geoffreyu. Lepiej poczekać, aż wróci do równowagi.

Chłopiec siedział naburmuszony.

- Może nie będzie taki zły, jeśli ja tam będę - podjął jeszcze jedną próbę.

Diana westchnęła. Może znowu była nadopiekuńcza. Geoffrey był inteligentny i zrównoważony, no i rzeczywiście miał prawo znać i widywać swojego ojca. I choć wyglądało to na chłodną kalkulację, obecność Geoffreya mogła złagodzić gniew Gerwazego.

- Dobrze, możesz pojechać, ale musisz mi obiecać, że będziesz uprzejmy dla lorda St. Aubyn. Nie będziesz się na niego złościł z mojego powodu. Stosunki między nami są bardzo skomplikowane, bo oboje popełniliśmy różne błędy. - Ponieważ chłopiec nie wyglądał na przekonanego, powtórzyła z naciskiem: - Musisz mi to obiecać, Geoffreyu.

- Dobrze, mamo. Postaram się dobrze zachowywać. - Forma obietnicy nie do końca ją zadowoliła, ale nim zdążyła zaprotestować, Geoffrey dodał z namysłem: - Skoro on jest lordem St. Aubyn, to ty musisz być lady St. Aubyn. - A kiedy przytaknęła, zainteresował się: - A ja mam jakiś tytuł?

- Dopóki żyje twój ojciec, nie, ale jesteś przyszłym wicehrabią Geoffreym Lindsay Brandelin - podsunęła.

Trochę rozczarowany, stwierdził filozoficznie:

- Nikt w mojej szkole nie jest nawet przyszłym wicehrabią. Ojciec Jamiego Woodlowa

jest rycerzem, ale to nie to samo co wicehrabia.

- Geoffreya, nie możesz tak poważnie brać sprawy tytułu - ostrzegła Diana. - Czy dziś jesteś inny niż wczoraj, kiedy nie wiedziałeś, kto jest twoim ojcem?

Po krótkim namyśle chłopiec rozpromienił się w uśmiechu.

- Wczoraj byłem jedynie epileptykiem. Dziś jestem przyszłym wicehrabią epileptykiem. - Własny pomysł bardzo mu się spodobał, bo roześmiał się serdecznie. Dianie udzieliła się jego wesołość.

Pochyliła się do syna i mocno go uściśnęła. Pragnęła nade wszystko w świecie pogodzenia ze swoim mężem, nie tylko dla siebie i dla Geoffreya, ale i dlatego, że Gerwazy przez zbyt wiele lat pozbawiony był radości posiadania syna.

Ponieważ Edith wyjechała do Szkocji, żeby odwiedzić siostrę, Madeline chętnie zgodziła się towarzyszyć Dianie jako niańka i pokojówka. Diana miała opory przed traktowaniem najbliższej przyjaciółki jak służącej, ale Maddy zwróciła jej uwagę, że i tak zawsze pomagają sobie wzajemnie przy czesaniu włosów i ubieraniu, a czyż Dianie nie przyda się w Aubynwood jakiś oddany sprzymierzeniec? Poza tym Madeline nie mogła sobie znaleźć miejsca, ponieważ Nicholas od kilku tygodni nie wracał do Londynu.

W obliczu takiej liczby argumentów, popartych własnym pragnieniem posiadania duchowego wsparcia. Diana wreszcie się zgodziła. Uszczęśliwiona Maddy upięła włosy w kok i wyciągnęła z szafy najbardziej konserwatywny strój, jaki posiadała; mimo wysiłków nie zdołała się wyzbyć atrakcyjności, ale przynajmniej nie powinna była przyciągać zbyt natarczywych spojrzeń.

Zamiast odbyć całą drogę jednego dnia, wołały się zatrzymać na noc w gospodzie o dwie godziny drogi od Aubynwood. Diana wyliczyła, że jeśli zjawi się w posiadłości około południa, będzie tam już sporo gości, co utrudni Gerwazemu odmówienie jej prawa wstępu. Pomysł narzucenia mu swojej obecności był sam w sobie okropny; nie dość, że mogły ją spotkać z jego strony nowe przykrości, to w dodatku musiała raz jeszcze stawić czoło krzywdzie, którą mu wyrządziła. Niewiele się odzywała podczas tej podróży. Następnego ranka Diana ubrała się starannie w elegancką, skromną muślinową suknię z niebieską lamówką, dobrze dobraną do koloru jej oczu. Maddy ściągnęła jej włosy z tyłu głowy w miękki gruby węzeł, zostawiając drobne loczki na szyi i skroniach dla złagodzenia efektu. Diana wyglądała jak urodzona wicehrabina. Nie wiedzieć kiedy przejechali bramę Aubynwood i znaleźli się na podjeździe przed głównym wejściem. Madeline z Geoffreym mieli czekać w powozie, dopóki Diana się nie upewni, czy mogą wejść do środka. Zanim wciągnęła rękawiczki, otarła spoczone dłonie o spódnicę.



- Życie mi szczęścia - powiedziała z udawaną pewnością siebie. Maddy tylko pokiwała głową. Geoffrey, nie całkiem świadomy, jak wysoką stawkę toczy się gra, był radosny i podniecony. Diana wysiadła z powozu i weszła na schody domu swego męża.

Gerwazy był za bardzo nieszczęśliwy, żeby dobrze pełnić obowiązki gospodarza, lecz na szczęście ostatnie wydarzenia na półwyspie dawały gościom temat do ożywionych rozmów. Zaledwie parę dni po wylądowaniu w Portugalii generał sir Arthur Wellesley wygrał wielką bitwę z Francuzami pod Vimeiro, bez pomocy dwóch ograniczonych starszych oficerów, którzy według hierarchii byli jego zwierzchnikami.

Anglia przyjęła zwycięstwo z radością, a potem przeżyła wstrząs, gdy wyszły na jaw szczegóły układu pokojowego. Układ ten wprawdzie nakazywał Francuzom opuścić Portugalię, ale zakładał przewiezienie francuskiej armii brytyjskimi statkami i pozwalał wrogom na zabranie ze sobą wszystkich łupów wojennych.

Błyskotliwe osiągnięcie Wellesleya zostało zagłuszone publicznym potępieniem warunków traktatu. Wszystkich trzech brytyjskich dowódców wezwano na wojskowe śledztwo. W miarę rozwoju wypadków Gerwazy coraz bardziej przeklinał. Jako najmłodszy z dowódców Wellesley osobiście nie brał udziału w negocjacjach, choć podpisał układ. A teraz, jak na ironię, kariera generała mogła przepaść z powodu politycznego zamieszania, któremu wcale nie był winien.

W Aubynwood sprawy wcale nie miały się lepiej. Goście Gerwazego jedli, pili, flirtowali i jeździli konno, zażywając uroków wiejskiego życia przy okazji stanowienia o ważnych sprawach państwowych. Hrabia de Veseul kręcił się tu i tam, skrywając zadowolenie. W odruchu przekory Gerwazy zaprosił piękną i drapieżną lady Haycroft, jako że potrzebował nowej kochanki. Niestety, szybko się przekonał, że mierzą go jej nachalne, wyuczone zaloty. Zaprosił także Francisę Brandelina, ponieważ chciał mieć u boku przyjazną osobę, ale i to posunięcie okazało się dość niefortunne, bo patrząc na kuzyna, zadawał sobie wciąż pytanie, czy i on był jednym z kochanków Diany. Mógł go wprawdzie zapytać wprost, ale tego nie zrobił, obawiając się odpowiedzi.

Wicehrabia stał z George'em Canningiem na górnej galerii, u wylotu schodów; rozmawiali o ewentualnych politycznych następstwach fatalnego traktatu. Na dole, w wysokim na dwa piętra holu wejściowym, kręciło się kilkanaście osób wybierających się na wspólny spacer po ogrodach.

Gerwazy nie usłyszał pukania ani odgłosu otwierania drzwi. Znienacka dobiegł go znajomy głos, mówiący cicho, lecz wyraźnie:

- Dzień dobry, Hollins. Proszę, powiedz mojemu mężowi, że przybyła lady St. Aubyn.

Choć ton Diany brzmiał całkiem melodyjnie, na Gerwazego podziałał jak armatnia salwa. Przez moment zastanawiał się, czy przypadkiem nie ma halucynacji, bo ostatnio za dużo myślał o Dianie, ale na dole wszyscy gapili się na nowo przybyłą, więc widać tam stała.

- No, no... - mruknął Canning, nie kryjąc uznania.

Diana stała spokojnie, jakby zupełnie niewzruszona efektem, który wywołała; promień słońca rozpałał złote błyski w jej włosach, a piękną twarz dodatkowo ozdobił lekki, swobodny uśmiech. Gerwazy wpatrywał się w nią osłupiały. Czuł jednocześnie dziką furję, że miała czelność zjawić się w jego domu, mimowolny podziw dla jej odwagi i pożądanie, jakie zawsze w nim budziła.

Hollins pamiętał ją z bożonarodzeniowej wizyty i teraz zaniemówił, próbując oswoić się z tym, co usłyszał. Wszyscy domownicy wiedzieli, jakie stosunki łączą ich pana z piękną panią Lindsay i większość była im przychylna. Było całkiem prawdopodobne, że słynący z powściągliwości wicehrabia ożenił się ze swoją kochanką, nie wspominając o niczym służbie.

- Poinformuję jego lordowską mość - powiedział w końcu ostrożnie, skłonił się i zniknął z pola widzenia.

Lady Haycroft znajdowała się w grupie gości zebranych w holu. Jej wymyślna blond fryzura wydała się nagle dziwnie wulgarna przy delikatnej urodzie Diany.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła ze zdumieniem. - St. Aubyn nie jest żonaty.

- Pytała go pani kiedyś o to? - zwróciła się do niej spokojnie Diana.

- No... cóż... oczywiście, że nie. - Lady Haycroft zabrakło słów. - pobraliście się ostatnio?

- Bynajmniej - odparła Diana swobodnie. - Jesteśmy małżeństwem od dziewięciu lat, chociaż większość tego czasu spędziłam na północy kraju. Wymagało tego słabe zdrowie naszego syna. Obecnie Geoffrey ma się znacznie lepiej, więc w końcu mogę dołączyć do męża.

A więc był także syn.

- Chodziły słuchy, że St. Aubyn ma szaloną żonę, żyjącą w zamknięciu gdzieś w Szkocji - powiedziała lady Haycroft głosem ciężkim od jadu.

Diana roześmiała się perliście. Gerwazy widział, jak otaczający ją mężczyźni odwracają się do niej niczym kwiaty do słońca.

- Wielkie nieba, naprawdę tak mówią? - Potrząsnęła głową rozbawiona. - Nie mogę się nadziwić, jak bardzo plotki mogą odbiegać od faktów. Rzeczywiście dorastałam w Szkocji, ale nigdy nie byłam szalona, a tym bardziej nie żyłam w zamknięciu. - I przybierając znaczący ton, dodała: - Mój mąż często powtarzał, że chce mnie mieć tylko dla siebie. Może

stąd wzięły się te dziwne pogłoski. - Diana uśmiechnęła się wdzięcznie do oniemiałej lady Haycroft. - Żałuję, że nie było mnie tu, bym mogła powitać naszych gości, ale pewne sprawy zatrzymały mnie w Yorkshire. Mam nadzieję, że państwo mi wybaczą. Pani zapewne jest lady Haycroft? Mąż wspominał mi o pani, a domyślam się, że nie ma wśród nas drugiego tak pięknego jasnowłosego gościa.

Zbita z tropu lady Haycroft skinęła głową. Musiała ukrywać swą wrogość, żeby nie wyjść na osobę nieokrzesaną. Gerwazy pewnie by się uśmiechnął z podziwem dla zręczności, z jaką Diana radzi sobie w tej sytuacji, gdyby nie był tak wściekły. Jeśli potrzebował jeszcze jednego dowodu, że jego żona umie mijać się z prawdą, sama mu go właśnie dostarczyła.

Zapominając o swoim rozmówcy, ruszył po schodach na dół. W tym samym czasie w holu pojawił się Francis. Musiał słyszeć większą część przemowy, bo podszedł do Diany i cmoknął ją z kuzynowską serdecznością.

- Diano, jakże miło cię widzieć. Gerwazy nie był pewien, kiedy przyjedziesz.

Takie powitanie przez członka rodziny St. Aubyn ostatecznie przekonało wszystkich. Goście zaczęli się cisnąć wokół Diany, chętni bliżej ją poznać i zachwyceni perspektywą smakowitych plotek. Gerwazy dotarł do końca schodów i także zbliżył się do ożywionej gromady, budząc zainteresowanie i nadzieję na jeszcze ciekawsze wydarzenia towarzyskie. Przeliczyli się jednak, ponieważ Gerwazy wolałby raczej umrzeć, niż publicznie prać swoje brudy. Skinąwszy żonie głową, rzekł chłodno:

- Mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż, moja droga.

Na dźwięk jego głosu Diana szybko odwróciła głowę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, natychmiast zapomniał o otaczających ich ludziach i o jej oszustwach. Zapragnął wziąć ją w ramiona, dotknąć jej ust, rozpuścić jej piękne włosy i kochać się z nią do utraty tchu. Wykonała ruch, jakby chciała do niego podejść, lecz w ostatniej chwili znieruchomiała, niepewna przyjęcia.

Gerwazy ścisnął ją za rękę i odprowadził na stronę. Obserwujący ich goście, widząc spokojne oblicze Gerwazego, mogli sądzić, że są świadkami normalnego, niezbyt wylewnego powitania małżonków.

- Co ty, u diabła, próbujesz osiągnąć takim zachowaniem? – spytał ostro, kiedy już nikt nie mógł ich usłyszeć. - Cokolwiek to jest, nie uda ci się.

Diana spojrzała na niego zarazem przepraszająco i błagalnie, ale nim zdążyła się odezwać, drzwi stanęły otworem i na scenę wkroczył Geoffrey. Oczy wszystkich spoczęły na ciemnowłosym chłopcu, a potem, jak na komendę, przeniosły się na wicehrabiego. Jeśli nawet mogli mieć wątpliwości co do Diany, to nie było ich wcale w stosunku do dziecka.

Geoffrey swobodnie i z wdziękiem przeszedł między gośćmi do Gerwazego i wyciągnął do niego rękę.

- Dzień dobry, sir. Miło mi cię znowu widzieć. - Powitanie nie nazbyt serdeczne, lecz całkiem stosowne dla dobrze wychowanego syna arystokraty.

Geoffrey miał oczy matki; miały ten sam lazurowy odcień i ten sam pytający, jakby nieco zatroskany wyraz. Patrząc na ciemne włosy chłopca, zarys szczek i wydatne kości policzkowe, Gerwazy zdumiewał się swoją dotychczasową ślepotą. Miał wiele do powiedzenia, ale nie przy tych wszystkich ludziach.

- Dzień dobry, Geoffreju. Mam nadzieję, że pilnie pracowałeś nad łaciną. - Słowa brzmiały zdawkowo, ale uścisk dłoni, którym powitał syna w Aubynwood, wyrażał bardzo wiele.

Odpowiadając bardziej na spojrzenie ojca, niż na jego pytanie, Geoffrey rzekł radośnie:

- Owszem, sir. Nad greką również.

Hollins wrócił wraz z drugim lokajem. Być może podsłuchiwał pod drzwiami i wiedział, skąd wieje wiatr.

- Przynies bagaże z powozu - polecił młodszemu lokajowi.

Diana spojrzała na męża ze skruchą.

- Proszę, wybacz mi. Podróż była długa, więc jestem trochę zmęczona. Zobaczymy się później. - Posłała w stronę gości czarujący uśmiech.

Gerwazy zauważył, że rozglądając się po zebranych, Diana na moment stężała w napięciu. Podążając za jej wzrokiem, dostrzegł hrabiego de Veseul, który właśnie wszedł do holu i przyglądał się Dianie z drwiącym uśmieszkiem. Veseul, prawie na pewno szpieg, a prawdopodobnie również kochanek jego żony. Jednym z powodów, dla których Gerwazy wysłał zaproszenia Francuzowi i Dianie, była chęć sprawdzenia, czy ci dwoje mają ze sobą coś wspólnego. Teraz widział, że jego plan może się powieść.

Całkowicie opanowany Gerwazy patrzył, jak Diana wchodzi po schodach za Hollinsem. Dopiero po chwili rozpoznał w towarzyszącej jej w milczeniu pokojówce Madeline Gainford. A więc Diana przybyła w asyście swoich poplecniczek. Edith Brown prawdopodobnie zasiadała na koźle powozu.

Gerwazy miał ochotę pójść za Dianą do jej pokoju i urządzić dziką awanturę, o którą sama się dopraszała, ale powstrzymał się, wiedząc, że potrzebuje więcej czasu na ochłonięcie, nim rozmówi się z żoną i zmusi ją do wyjazdu.

Odwrócił się, przyciągnięty oskarżycielskim wzrokiem lady Haycroft, drapieżnej

wdowy, która odebrała zaproszenie do Aubynwood jako zachętę do zacieśnienia z nim znajomości.

- Jak miło, że twoja śliczna żonka mogła do nas dołączyć, St. Aubyn - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Mam nadzieję, że towarzystwo zbytnio ją nie zmęczy po życiu na prowincji.

- Lady St. Aubyn łatwo się adaptuje - poinformował ją beznamietnie, po czym przeprosił gości i poszedł do stajni. Nie zważając na nieodpowiedni do jazdy strój, wziął najszybszego konia i pognął galopem przez Aubynwood. Fizyczny wysiłek trochę mu pomógł, ale nie ugasił kipiącego gniewu i rozpacz. Cierpiał katusze na myśl, że Diana znajduje się pośród gości i będzie musiał traktować ją uprzejmie. W ogóle był zły, że będzie spała pod jego dachem.

Pozwalając wreszcie spienionemu koniowi na zwolnienie kroku, Gerwazy jechał powoli i zastanawiał się, do czego dąży jego żona.

Hollins zaprowadził Dianę do apartamentów przeznaczonych dla pani domu, tych samych, które zajmowała poprzednio, z tajemnym przejściem do pokoju Gerwazego. Po jego wyjściu zdjęła kapelusz i drżąc z wyczerpania, opadła na łóżko. Odegrała scenę na dole całkiem zadowolająco, dopóki nie zjawił się Gerwazy i nie wbił w nią oczu przypominających kłujące bryły lodu. Czy słyszał wszystko, co powiedziała? I czy bardzo go uraziła?

Masując sobie skronie, próbowała się pocieszać, że wzięła pierwszą przeszkodę i zdobyła przyczółek w Aubynwood, ale najgorsze było jeszcze przed nią. Tak jak się spodziewała, Gerwazy wołał uniknąć publicznej sceny, ale przecież mógł nakazać służbie, by ją wy - j ekspediowano potajemnie. Może jednak uzna to za zbyt tchórzliwe posunięcie i będzie chciał osobiście się z nią rozmówić?

Przewidywała jego gniew i nie zawiodła się, ale wyczuła w nim także pożądanie. Nie myliła się, a namietność mogła pomóc zbudować między nimi mosty, po których nie przechodzi się publicznie.

Obecność Veseula niemile ją zaskoczyła. Wprawdzie teraz, gdy okazała się żoną Gerwazego, powinien był zostawić ją w spokoju, ale nadal się go bała. Wspomnienie jego obscenicznych zalotów i zachowania na Balu Pań Swawolnych były tak żywe, że aż zadrżała, bezwiednie dotykając rękojeści noża, umieszczonego w pokrowcu na jej nodze. Zabrała ze sobą nóż ze względu na podróż, w normalnych warunkach nie pojawiłaby się w Aubynwood uzbrojona. Jednakże widząc tu Veseula, postanowiła nosić broń przy sobie przez cały czas, a na noc chować ją pod poduszkę. Miała też zamiar zamykać drzwi na klucz, ilekroć znajdzie się sama w pokoju. Podniosła się z posłania. Gdyby nagle wszedł Gerwazy, zastałby ją całkiem nieprzygotowaną do walki. Przeszła do sąsiedniego pokoju, by pomóc Geoffreyowi i

Maddy w rozpakowaniu bagażu. Z przyjemnością poddała się pozorom normalności. Chłopiec cieszył się z pobytu w Aubynwood, zadowolony z przywitania z wicehrabią, i wkrótce wymknął się do stajni. Madeline naląła Dianie herbaty i odbyła z nią krótką pokrzepiającą pogawędkę, a potem, traktując serio swą rolę pokojówki, poszła się upewnić, czy stroje Diany zostały odpowiednio rozpakowane i odświeżone.

Diana wpadła na pomysł, by wezwać lokaja i kazać mu odszukać Francisa, ale kuzyn Gerwazego odnalazł ją pierwszy. Omal nie rzuciła mu się na szyję z wdzięczności za pomoc, jaką okazał jej podczas sceny w holu na dole, ale poprzestała na uściśnięciu mu dłoni.

- Francis, tak się cieszę, że tu jesteś!

- Ja także - zapewnił i uśmiechnął się ciepło. - Najwyraźniej potrzebujesz sprzymierzeńców. - Opiekuńczym gestem wziął ją pod ramię. - Trudno w tym domu o odrobinę prywatności. Może się przejdziemy i wyjaśnisz mi, co się dzieje?

Unikając najbardziej uczęszczanych części ogrodu, wybrali krętą dróżkę prowadzącą do ozdobnej sadzawki. Choć znali się od niedawna, to co między nimi zaszło, wytworzyło niezwykłą więź. Diana z nieopisaną ulgą przyjęła możliwość porozmawiania z kimś życzliwym zarówno jej, jak i Gerwazemu. Powtórzyła Francisowi wszystko, co wcześniej powiedziała Geoffreyowi, dodając tylko pewne szczegóły.

Francis był dorosły i potrafił czytać między wierszami. Słuchał w milczeniu, dopóki nie skończyła.

- Więc rzeczywiście jesteś żoną Gerwazego, kochasz go, a on nie może ci wybaczyć, że go oszukałaś. Cóż za tragiczna, złośliwa pomyłka losu.

Na brzegu sadzawki znajdowała się mała drewniana ławeczka.

Francis podprowadził tam Dianę, wciąż trzymając jej rękę w pokrzepiającym uścisku. Spojrzała w jego niebieskie oczy, ale zaraz spuściła wzrok, przestraszona widocznym w nich współczuciem. Bała się że może się załamać.

- Francis, znasz go całe życie. Dlaczego jest taki zacięty? Rozumiem jego gniew, ale nie spodziewałam się aż takiej ślepej furii.

- Nie wiem, Diano. - Francis bezradnie potrząsnął głową. - Zawsze był dobrym kuzynem i przyjacielem, ale w pewien sposób wciąż pozostaje dla mnie tajemnicą. Większość angielskich dżentelmenów nie zdradza się ze swymi uczuciami, ale Gerwazy wykracza daleko poza tę normę. - Wyrwał z ziemi źdźbło trawy i zamyślony obracał je w palcach. - Pomimo sukcesów i powodzenia Gerwazy ma w sobie jakiś tragizm. Zawsze służył innym, zarówno w drobnych sprawach, jak i wielkich, i nigdy nie oczekiwał wdzięczności. Właściwie on nawet nie potrafi przyjąć podziękowania. Odnoszę wrażenie, że nie czuje się wart cudzego uznania.

- Ja też mam takie wrażenie - powiedziała wolno Diana. - Wiesz może, co sprawiło, że jest właśnie taki?

- Mogę się tylko domyślać. - Spojrzał na nią z kwaśnym uśmiechem. - Ostatnio dużo rozmyślałem o różnych rodzajach miłości. I doszedłem do wniosku, że dziecko, które nie jest kochane od samego początku, może mieć później problemy z rozumieniem i akceptowaniem każdego przejawu miłości. - Przywołał w pamięci fragmenty rodzinnych plotek, które przez lata docierały do jego uszu. - Ojciec Gerwazego był wyjątkowo powściągliwym człowiekiem. Wypełniał swoje obowiązki, ale na tym poprzestawał. Obowiązek wymagał, by spłodził dziedzica dla tytułu i majątku St. Aubyn, więc się ożenił i spłodził syna. A właściwie dwóch, bo Gerwazy miał starszego brata, który zmarł w wieku sześciu lub siedmiu lat. To było, zanim się urodziłem, ale moja matka wspomniała kiedyś, że jego rodzice żalowali, że to Gerwazy zostanie dziedzicem. Był drobny, nadmiernie spokojny i miewał ataki. Uważali, że jest nieudanym dzieckiem.

- Jaka była jego matka? - po chwili namysłu spytała Diana.

- Ach, wspaniała Medora. - Francis westchnął, patrząc gdzieś w dal ponad sadzawką. - Najpiękniejsza i najbardziej amoralna kobieta, jaka kiedykolwiek stąpała po tej ziemi. Potrafiła owijać sobie ludzi wokół palca, by potem w mgnieniu oka zapominać o ich istnieniu. Fascynowała i zrażała sobie wszystkich, którzy stanęli na jej drodze.

- Chyba niełatwo mieć taką matkę.

- Rzeczywiście, chyba niełatwo - przyznał Francis. - Byłoby prościej, gdyby miała trudny charakter, albo była umyślnie okrutna. Ale nie, ona była... całkowicie skupiona na sobie. Tak bardzo zaprzętała ją spełnianie własnych pragnień, że reszta ludzi praktycznie dla niej nie istniała. Nie można było jej oceniać miarą zwykłych śmiertelników, tak jak nie można sądzić jastrzębia czy kobry.

- Co się z nią stało?

- Zginęła w pożarze, kiedy Gerwazy miał jakieś siedemnaście lat. Przebywała wówczas w domku myśliwskim z jednym ze swoich kochanków. Ten człowiek także zginął. Pamiętam, że to był spory skandal. Kochankowie są tolerowani pod warunkiem zachowania dyskrecji, ale śmierć w towarzystwie kochanka uznano za niewybaczalne złamanie zasad.

A więc matka Gerwazego była płochą, samolubną istotą, na przemian uroczą i odpychającą, a do tego zmarła w atmosferze niesławy. Nic dziwnego, że Gerwazy tak gorąco bronił swej prywatności i nie chciał uwierzyć w stałość kobiecych uczuć. Diana zaczynała pojmować pewne rzeczy, choć jeszcze nie była pewna, jak mogłaby wykorzystać nowo nabytą wiedzę. Ale skoro już poznała źródło rozterek Gerwazego, może potrafi jakoś mu

pomóc.

- Dziękuję ci. Francis, że mi o tym wszystkim powiedziałaś.

Zwrócił ku niej zatroskaną twarz.

- Gerwazy cię potrzebuje, Diano, bardziej, niż sobie uświadamia. Możesz kochać i być kochaną przez wielu innych mężczyzn, ale Gerwazy jest inny. Jeśli nie zdoła ci wybaczyć i cię kochać, obawiam się, że zaniknie się w sobie do tego stopnia, że już nikt do niego nie dotrze. Dla jego dobra chciałbym, żebyś nie ustąpiła.

Zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy.

- Spróbuję - szepnęła. - Ale nie wiem, jak długo wytrzymam - dodała jeszcze ciszej.

Tym razem powrót do równowagi zabrał jej więcej czasu; coraz trudniej było trzymać na wodzy wzburzone uczucia. W końcu jednak podniosła głowę, ocierając oczy podaną przez Francisa chusteczką.

- Czy twoje sprawy sercowe mają się choć trochę lepiej niż moje? - odezwała się z niepewnym uśmiechem.

Ożywił się, rozpromieniony.

- Owszem. Po rozmowie z tobą było mi o wiele łatwiej porozumieć się z moim... przyjacielem. Odkryliśmy, że łączy nas nie tylko sposób myślenia i poglądy, lecz... nieskończenie więcej. Za parę tygodni wsiadamy na statek płynący na Morze Śródziemne. I minie wiele czasu, nim stamtąd wrócimy.

- A twoja rodzina? - spytała z wahaniem.

- Nie rozmawialiśmy o tym otwarcie, ale matka chyba się domyśla. I przebacza mi tak samo jak ty.

Diana nachyliła się, żeby pocałować Francisa w policzek.

- Nie ma czego wybaczać, można się tylko pogodzić. Bardzo się cieszę.

Francis uściskał ją serdecznie.

- Kiedyś myślałem, że nigdy nie znajdę takiej miłości, jakiej pragnę, ale się myliłem. Nawet na tym niedoskonałym świecie czasami udaje się znaleźć szczęście. Może teraz widzisz wszystko w czarnych kolorach, ale jeśli w ogóle jakaś kobieta jest w stanie dotrzeć do Gerwazego i zdobyć uczucie, do którego bez wątpienia jest zdolny, możesz nią być tylko ty.

- Modlę się, żebyś miał rację - szepnęła.

Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, jak wyraźnie są widoczni dla jeźdźca na wzgórzu.

Hrabia de Veseul towarzyszył wzburzonej lady Haycroft w drodze do altany. Szli przez ogród, unikając spotkania z innymi spacerowiczami. Byli kiedyś kochankami, a



ponadto mieli podobne, zimne i samolubne charaktery. Obecnie uchodzili za parę przyjaciół. Wysłuchawszy wściekłej tyrady na temat perfidii St. Aubyna, który wprowadza ludzi w błąd, udając, że jest wolny i do wzięcia, oraz ociekających złością przytyków do bezbarwnej urody jego żony, Veseul rzekł wolno:

- Ta mała flądra może wcale nie być jego żoną. A nawet jeśli jest, nie mogą być małżeństwem od dziewięciu lat.

- Co takiego? - Lady Haycroft aż przystanąła z wrażenia. - Przecież St. Aubyn nie zaprzeczył. Poza tym chłopiec jest podobny do nich obojga, a musi mieć jakieś sześć lub siedem lat.

- Och, jak najbardziej może być ich dzieckiem - ciągnął leniwie Veseul - ale niekoniecznie ślubnym. Musiała być jego kochanką, zanim wyjechał do Indii. Ostatnio rzekoma wicehrabina mieszkała w Londynie i wiodła żywot kurtyzany, używając nazwiska Lindsay. Sam ją widziałem na ostatnim Balu Pań Swawolnych. Nawiasem mówiąc, ty też ją widziałaś z St. Aubynem pewnego wieczoru w Vauxhall. Siedzieli wówczas w jednym z tych ciemnych zakątków, więc wcale się nie dziwię, że jej dziś nie rozpoznałaś.

Lady Haycroft aż zbladła, do głębi wstrząśnięta nowiną. Veseul przystanął, żeby zerwać herbacianą różę. Powąchał kwiat, a potem podarował go swej towarzysze.

- W swoim środowisku była znana jako Bogini Księżycy. Słyszałem, że St. Aubyn był jej kochankiem, między innymi. Wieloma innymi. Może jej cielesne uroki działają aż tak mocno, że się z nią ożenił, a może potrzebował dziedzica i doszedł do wniosku, że łatwiej uznać nieślubnego syna, niż starać się o nowego w małżeństwie. Kto wie? To zimny, wyrachowany typ. Gdyby nie jego majątek, wcale byś się nim nie zainteresowała.

- Rzeczywiście - przyznała niechętnie - ale przy takim majątku można przymknąć oko na pewne ułomności. Jest świetną partią na męża: bogaty, wpływowy, nie ulega modom i raczej obojętnie patrzy na poczynania żony, kiedy już otrzyma potomka. Już zaczynał się rozgrzewać, gdy przyjechała ta dziwka - mruknęła bardziej do siebie niż do Veseula. - Jeśli naprawdę są małżeństwem, będę musiała z niego zrezygnować. Nie ma sensu brać go sobie na kochanka, skoro małżeństwo nie wchodzi w rachubę. - Zacisnęła usta, co nadało jej skądinąd urodziwej twarzy nieprzyjemnie zacięty wyraz. Szybkimi, pełnymi złości ruchami palców wyskubała różane płatki. - Ale po tym, co mi powiedziałaś, mogę ją zniszczyć raz na zawsze i wystawić lorda St. Aubyn na pośmiewisko. Nasza złotousta wicehrabina jest jedynie drogą londyńską prostytutką! Kiedy to się rozniesie, będzie musiała wrócić do Yorkshire lub do Szkocji czy do jakiejś innej dziury, z której pochodzi.

Veseul z przyjemnością obserwował, jak kielkuje zasiane przez niego ziarno intrygi.

Kiedy lady Haycroft uruchomi swój jadowity język, zarówno St. Aubyn, jak i jego kobieta znajdą się w pożałowania godnej sytuacji, prawdopodobnie całkowicie do siebie zrażeni. Wicehrabia był zbyt dumny, żeby wybaczyć żonie śmieszność, na jaką naraziła go swą niechlubną przeszłością. A jeśli się z nią rozwiedzie, Diana Lindsay może z czystej zemsty pójść do łóżka z jednym z wrogów swego męża, co zapowiadało wiele rozkosznych możliwości.

Przywołał się do porządku. Nieważne, czy będzie chętna czy nie. I tak mu się nie wymknie, skoro spędzą następny tydzień pod jednym dachem. A gdyby się opierała, spotka ją coś gorszego niż zwykły gwałt. Paskudny uśmiezek wykrzywił mu usta, kiedy pogładził złotą główkę laski. Miał nadzieję, że będzie się opierać, bo już sama myśl o jej sprzeciwie wystarczyła, żeby się podniecił.

Nawet z dużej odległości łatwo było rozpoznać parę obejmującą się nad sadzawką - to była Diana z Francisem. Czyżby przyjechała tu w pogoni za jego kuzynem? Jeśli tak, łatwo udało jej się dopaść łupu. Choć na ich widok Gerwazemu zrobiło się niedobrze ze złości, nie potrafił obwinać Francisca. Zmysłowa uroda Diany i jej udawana słodycz wystarczały, by zbałamucić każdego mężczyznę.

Stał na wzgórzu, dopóki wściekłość nie stopniała, przechodząc w tępe, bolesne zmęczenie. Miał nadzieję, że on i jego strudzony wierzchowiec zdołają się przemknąć do stajni nie zauważeni przez gości. Czekало go rozczarowanie; wjeżdżając na plac przed zabudowaniami, Gerwazy dostrzegł swego syna wychylonego z jednego z boksów. Zsiadając z konia, wicehrabia czuł na sobie wzrok Geoffreya, ale domyślił się, że chłopiec nie podejdzie bliżej, dopóki nie da mu jakiegoś znaku.

W pewien sposób to spotkanie było równie trudne jak spotkanie z Dianą, ale przynajmniej miało swoje dobre strony. Odprawiwszy machnięciem nadchodzącego stajennego. Gerwazy sam rozsiadł konia, a potem poprowadził go w stronę Geoffreya.

- Chciałbyś mi pomóc przy czyszczeniu Świetlika?

Chłopiec skwapliwie pokiwał głową i ruszył za ojcem. Przywiązawszy konia, Gerwazy wziął do ręki wiecheć siana i zaczął wycierać kurz i pot z końskiej sierści, a Geoffrey robił to samo na drugim boku zwierzęcia. Przez chwilę pracowali w milczeniu.

- Nie bardzo wiem, co się mówi w takiej sytuacji - odezwał się Gerwazy.

Geoffrey zachichotał.

- Ja też nie. - Nie sięgał głową do końskiego grzbietu.

Gerwazy wpadł na pomysł, żeby spytać o kucyka, co dało początek ożywionej konwersacji. Nim skończyli czyszczenie Świetlika, czuli się ze sobą tak swobodnie, jak podczas gwiazdkowej wizyty. Choć Geoffrey był drobnej postury, przyjrząwszy mu się uważniej Gerwazy przyznał w duchu, że chłopiec musi mieć więcej niż sześć lat. Świadomość, że ta mała bystra osóbką o silnie rozwiniętej indywidualności jest jego rodzonym synem, napawała wicehrabiego dumą, choć nie mógł sobie przypisywać w tej kwestii żadnych zasług. Bez względu na to, jak wielkie były grzechy Diany, musiał przyznać, że jest dobrą matką dla ich wspólnego dziecka.

W końcu Geoffrey mimochodem poruszył sprawę stosunków rodzinnych. Nie zważając na niebezpieczne sąsiedztwo tylnych kopyt, zawzięcie szczotkował ogon Świetlika.

- Często się zastanawiałem, jaki jest mój ojciec. Mama nigdy mi nic nie mówiła.

- Pewnie trudno jest nic nie wiedzieć. - Nic lepszego nie przyszło Gerwazemu do głowy.

- Czasami. Ale za to mogłem myśleć, że jest taki jak lord Nelson albo doktor Johnson czy Richard Trevithick albo Beethoven.

Lista była mocno zróżnicowana.

- Rzeczywistość nigdy nie jest aż tak ciekawa jak wyobraźnia - zauważył Gerwazy niepewnie.

Duże niebieskie oczy zmierzyły go czujnym spojrzeniem.

- Rzeczywistość wcale nie jest taka zła.

Odpowiedź sprawiła Gerwazemu przyjemność.

- Jak się czujesz w Aubynwood teraz, gdy wiesz, że kiedyś ta posiadłość będzie należała do ciebie?

Zaskoczony Geoffrey aż przerwał szczotkowanie.

- Aż tak daleko nie wybiegałem myślami - odparł zdławionym głosem. - Jest bardzo duża, prawda?

- Owszem, oprócz niej są też inne dobra - powiedział wicehrabia - ale będziesz miał wiele lat na oswojenie się z tą myślą i nauczenie się wszystkiego co trzeba. - Widząc wciąż niepewną minę chłopca dodał: - Pomyśl tylko o tych wszystkich koniach, które będą należały do ciebie.

Trafił w dziesiątkę. Chłopiec z uśmiechem powrócił do przerwanej zajęcia. Już prawie kończyli, kiedy Geoffrey rzekł ostrożnie:

- Mama mówiła, że jesteś na nią bardzo zły.

Beztraski nastrój przysł. Gerwazy czyścił właśnie prawe kopyto Świetlika; koń wyczuł jego nagłe zdenerwowanie i zaczął się niespokojnie kręcić.

- Czy mama cię prosiła, żebyś ze mną porozmawiał?

- Nie, kazała mi nic nie mówić. Ale ja chcę wiedzieć, co jest nie tak. Dlaczego w ogóle się nami nie interesowałaś?

Gerwazy odetchnął głęboko, dokończył czyszczenie kopyta, po czym uwolnił nogę konia.

- Nie wiedziałem, że mam syna. Twoja matka nigdy mi tego nie powiedziała. Wspomniała ci o tym?

Geoffrey wysunął nieco dolną szczękę w wyrazie uporu.

- Tak, ale wiedziałeś, że masz żonę. Jak mogłeś porzucić mamę?

Gerwazy miał świadomość, że chłopiec nie przyjmie łatwo zarzutów wobec matki, ale

nie potrafił mówić o niej spokojnie.

- Co ci mówiła na ten temat? - spytał, omijając istotę pytania.

- Ze w ogóle nie chciałeś mieć żadnej żony. - Potem dodał oskarżycielskim tonem: - Powiedziała, że każdy popełnia błędy i żeby cię nie winić. Więc dlaczego ty ją winisz?

Gerwazy chciał odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Oczywiście Geoffrey był lojalny wobec matki, w końcu od urodzenia była najważniejszą osobą w jego życiu. Diana była za mądra, żeby nastawiać syna przeciw ojcu; poza długo ciemionej niewinności była znacznie subtelniejsza i trudniejsza do obalenia.

- Nie będziemy rozmawiali o twojej matce - powiedział, starając się by jego głos zabrzmiał stanowczo.

Kiedy Geoffrey otworzył usta, Gerwazy po raz pierwszy w życiu zachował się jak prawdziwy ojciec.

- Nie - powiedział ostro. Geoffrey usłuchał, choć z błyskiem buntu w oczach. Gerwazy zarzucił Świetlikowi na grzbiet derkę i zaczął związywać troki. - Muszę wracać do gości. Chciałbyś pojeździć konno jutro rano? Jest tu nowy kucyk, którego mógłbyś wypróbować.

- Tak, sir, bardzo bym chciał - odpowiedział chłopiec grzecznie, nawet z radością, ale kiedy wychodzili ze stajni, Gerwazy czuł, że syn trzyma stronę matki. Nic dziwnego; mając osiem lat, Gerwazy także uwielbiał swoją matkę. Nie wiedział wówczas jeszcze, a może nie rozumiał, że jego matka jest potworem. Teraz modlił się, by kiedy przyjdzie czas wyzbywania się złudzeń, jego syn nie ucierpiał tak bardzo jak on wtedy.

Diana bardzo starannie wybierała strój do kolacji. Kiedy Madeline pomagała jej założyć blad różową jedwabną suknię, Diana zauważyła, że jej piersi są nienaturalnie wrażliwe, ale wolała się nie zastanawiać, co to może oznaczać. Na razie miała pod dostatkiem innych problemów.

Zdecydowały się na dość wymyślną fryzurę, upinając lśniące kasztanowe loki wysoko na czubku głowy, by w ten sposób podkreślić nienaganną harmonię rysów twarzy. Zamiast piór czy wstążek, Maddy wplotła Dianie we włosy maleńkie pączki ciemnoczerwonych róż. Jubiler połączył perły od Gerwazego w piękny naszyjnik, który Diana postanowiła założyć na tę okazję. Szlachetny połysk pereł współgrał ze srebrzystą bielą halki i przyciągał wzrok do miękkich wypukłości widocznych ponad głębokim wycięciem dekoltu.

Kiedy Diana weszła do salonu, odwrócone głowy i zamierające rozmowy upewniły ją, że wygląda doskonale, lecz mimo to zatrzymała się w progu, wystraszona tak wielką liczbą obcych zaciekawionych twarzy. Na szczęście pojawił się niezawodny Francis Brandelin. Z uśmiechem zachęty podał jej ramię i zaczął ją przedstawiać po kolei gościom, oczekującym

przy kieliszku sherry na podanie kolacji. Było tam więcej mężczyzn niż kobiet, wielu o znanych nazwiskach, jak Castlereagh czy Canning, a sądząc po spojrzeniach i ukłonach, była wśród nich mile widziana.

Jedyny nieprzyjemny incydent zdarzył się za sprawą hrabiego de Veseula, który przyjął wzajemną prezentację z drwiącym uśmiechem, a potem złożył na jej dłoni przeciągły pocałunek, aż skóra zaczęła ją palić z obrzydzenia. Próbowwała wyrwać rękę z jego uścisku, ale trzymał tak mocno, że zabolęły ją palce.

- Cóż za piękna ladacznica z ciebie - szepnął tak cicho, że nikt poza Dianą nie mógł go usłyszeć. Wiedziała, że bawi się jej kosztem, pragnąc ujrzeć jej zakłopotanie lub strach. Zawiodła go, nie okazując żadnych emocji i wytrzymując bez mrugnięcia jego natargliwe spojrzenie.

Veseul puścił w końcu jej rękę, nie chcąc ryzykować, że jego zachowanie wzbudzi komentarze. Oburzony bezczelnością hrabiego Francis szybko poprowadził Dianę dalej, ostrzegając ją ściszym głosem o fatalnej reputacji Veseula. Nie musiał nic mówić, Diana aż za dobrze знаła podły charakter Francuza.

Równie ciężką próbą było spotkanie z kobietami; żony towarzyszące mężom przyglądały się jej z czujną obojętnością, ale spojrzenie lady Haycroft ociekało trucizną. Lord St. Aubyn ignorował ją całkowicie; na jej widok nawet nie drgnęła mu powieka. Ponieważ jednak hołdujące modzie pary dawały sobie dużą swobodę, mógł jej unikać przez cały wieczór, nie wzbudzając swym zachowaniem żadnych podejrzeń.

Niechęć Gerwazego była jak lodowaty wiatr z północy; Diana całą siłą woli powstrzymywała się przed ucieczką w jakieś odosobnione miejsce, gdzie mogłaby się wypłakać. Patrzenie na jakże jej bliską twarz i znajome, pełne skrywanej siły ruchy poprzez dzielącą ich barierę obcości było dla niej nieskończenie trudne do zniesienia.

Przy kolacji zajęła miejsce na jednym końcu stołu, przynależne jej jako gospodyni. Gerwazemu zapewne to odpowiadało, ponieważ w ten sposób dzieliła ich cała długość błyszczącego mahoniowego blatu. Posiłek zdawał się nie mieć końca, na stole pojawiały się i znikwały najróżniejsze potrawy, lokaje wnosili kolejne niezliczone butelki wina, a siedzący po obu jej stronach panowie rywalizowali o jej uwagę. Diana niewiele się odzywała, ale przecież zawsze bardziej odpowiadało jej słuchanie, co obu jej towarzyszących przy stole wyraźnie się podobało. Parokrotnie zdawało jej się, że czuje na sobie wzrok Gerwazego, ale ilekroć na niego patrzyła, miał zawsze oczy skierowane w inną stronę.

Kolacja przebiegła całkiem znośnie w porównaniu z późniejszym odpoczynkiem w gronie pań, podczas gdy panowie oddawali się męskim dyskusjom przy kieliszku porto.

Nawet najbardziej dbałe o maniery kobiety były ciekawe i mniej skłonne do przyjęcia jej z sympatią. Większości dobre wychowanie nie pozwalało zadawać bezpośrednich pytań o jej pochodzenie, lecz Diana czuła na sobie ich zaciekawione spojrzenia.

O dziwo, lady Haycroft nic nie mówiła, tylko siedziała z wyrazem otwartej wrogości na twarzy, jakby przyczołbiona. Spragniona jak największej publiczności, postanowiła nie wytaczać broni, dopóki panowie nie dołączą do towarzystwa. Kiedy to nastąpiło, przystąpiła do ataku.

- Proszę mi powiedzieć, lady St. Aubyn - zaczęła donośnym głosem - czy to prawda, że była pani w Londynie kurtyzana?

Gdy jej słowa przebiły się przez gwar rozmów, zapadła absolutna cisza. Przestraszona, choć nie zaskoczona Diana zacisnęła dłonie na oparciu krzesła, zbierając w sobie siły do obrony. Domyśliła się, że Veseul może ją wydać, znajdując w osobie lady Haycroft gorliwego sojusznika. Inne kobiety odwróciły głowy, a wszyscy obecni zastrzygli uszami. Gerwazy stał nieopodal w grupie mężczyzn i natychmiast przyłgnęły do niego zaciekawione spojrzenia. Diana widziała, jak sztywnieją mu ramiona. Wiedziała, że jeśli nie udzieli zadowolającej odpowiedzi, jej niesława dotknie także i jego, a z pewnością nie wybaczyłby jej łatwo, gdyby go okryła wstydem w obecności przyjaciół i znajomych.

Humor wydawał się najlepszą obroną. Gdyby okazała strach lub poczucie winy, te zacne damy rozszarpałyby ją na strzępy. Unosząc podbródek, roześmiała się beztrudnie.

- A gdzież to pani słyszała te bzdurne opowieści? Jeszcze bardziej absurdalne od plotek, jakobym była szalona i zamknięta gdzieś w Szkocji. - Zerknawszy na męża, mówiła dalej: - Miałaś rację, mój drogi, powinnam była wcześniej do ciebie dołączyć. Rozniosły się w istocie niedorzeczne historie.

Lady Haycroft zmrużyła oczy.

- Zaprzecza pani, że mieszkała w Londynie pod nazwiskiem Lindsay i zyskała przydomek Bogini Księżycy? Że gościła u Hariette Wilson i tańczyła na Balu Pań Swawolnych?

Diana otworzyła szeroko oczy.

- Ach, rozumiem - powiedziała bez chwili wahania. - Współczuję pani, lady Haycroft. Jakaś skłonna do intryg osoba podsunęła pani kilka prawdziwych informacji, tak dobranych, by przywieść panią do fałszywych wniosków. - Uniosła jedwabny wachlarz i pomachała nim lekko, chłodząc rozgrzaną emocjami twarz. Oczy wciąż promieniały jej szczerością. - Zrobiłam błąd, pokazując się w takich miejscach. Dorastając na wsi często słyszałam, że kobiety w Londynie cieszą się większą swobodą, więc postanowiłam się o tym przekonać na

własne oczy, ot tak, dla zaspokojenia ciekawości. - Westchnęła, trzepocząc niewinnie długimi rękami. - Jednak na Balu Pań Swawolnych zdałam sobie sprawę, że się myliłam i że przekroczyłam granicę dobrego smaku. - Ze skruszoną miną rozejrzała się po innych kobietach, na których zdaniu naprawdę jej zależało. - Muszę wyznać, że jak każda kobieta byłam ciekawa naszych rywalek. Z pewnością niektóre z was miały podobne odczucia?

Lady Castlereagh, wielce konserwatywna matrona posiadająca nadzwyczaj oddanego męża, zachichotała pod nosem.

- Która z przyzwoitych kobiet nie miała? Słyszysz się takie rzeczy... - Potrząsając głową, dodała tonem ostrzeżenia, choć nie bez pobłażliwości: - Jednakże bywanie w takich miejscach jest niedopuszczalne, moja droga.

Diana uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

- Ma pani całkowitą rację. Już nigdy nie zrobię podobnego głupstwa.

Inna kobieta, której nazwiska Diana nie pamiętała, pochyliła się do niej z przejęciem.

- Rozpoznała tam pani może któregoś z panów z towarzystwa? - spytała bez ogródek.

Tym razem wielu panów poczuło się nieswojo i miało ku temu ważny powód. Nie odrywając oczu od swej rozmówczynie, Diana zapewniła szybko:

- Obawiam się, że nie jestem zbyt dobrze zorientowana w kręgach towarzyskich. Wydaje mi się jednak, że większość panów na balu stanowili młodzi kawalerowie. - Miała wrażenie, że powietrze zafalowało od westchnień ulgi.

- Jak udało się pani tam dostać? Poszła pani sama?

- Poszłam z kuzynem mego męża. - Posłała przepaszające spojrzenie Francisowi, który obserwował ją z podziwem i rozbawieniem zarazem. - Francis był wprawdzie przeciwny tej wyprawie, ale w końcu zgodził się mi towarzyszyć. - Tu nastąpiło niespokojne zerknięcie na męża. - Szybko jednak zrozumiałam niestosowność mojego pomysłu i wkrótce wyszliśmy. St. Aubyn był wówczas w podróży i o niczym nie wiedział. Obawiam się, że przez panią, lady Haycroft, naraziłam się na niezadowolenie męża.

Gerwazy obserwował ją z twarzą zastygłą w maskę, pod którą bez wątpienia kipiała wściekłość.

- A ukrywanie się pod nazwiskiem Lindsay? - Lady Haycroft nie poddawała się. - Można by oczekiwać, że skoro już wtedy była pani lady St. Aubyn, będzie pani używać tytułu.

Diana wybuchnęła śmiechem, w którym dzwięczała nuta lekkiego zakłopotania.

- Obawiam się, że pani nas rozszyfrowała. Po prostu bawiło nas, mnie i mego męża, udawanie... tego, co pani sugeruje. - I przybierając znaczący ton, ciągnęła: - Z pewnością



sama pani zna te odwieczne gry zakochanych, lady Haycroft, w udawanie kogoś innego, ot, dla czystej zabawy.

Większość ze słuchaczy dobrze wiedziała, o co jej chodzi; na niektórych twarzach pojawiły się uśmiechy na wspomnienie własnych rozrywek inspirowanych miłością. Wyczuwając odpowiedni moment, Diana przeszła do ofensywy. Nadszedł czas, by wytoczyć najcięższą broń w tej towarzyskiej batalii.

- Przybrałam nazwisko Lindsay, ponieważ to nazwisko mojej matki i w przeciwieństwie do nazwiska Brandelin jest na tyle powszechne, by nie budzić niepożądanego zainteresowania. Moja matka była jedyną córką generała lorda Lindsaya.

Wzmianka o generale miała efekt gromu z jasnego nieba. Alisdair Lindsay był największym żołnierzem swego pokolenia, obdarzonym przez Koronę tytułem za zasługi, uwielbianym przez podwładnych wojownikiem, który poległ wygrawszy swą największą bitwę przeciw Francuzom w wojnie siedmioletniej. Był młodszym synem starego rodu. On i jego czyny przeszły do legendy. Diana rzuciła szybkie spojrzenie na Gerwazego, ale nie dostrzegła zdumienia na jego kamiennej twarzy; nikt by się nie domyślił, że pochodzenie Diany było dla niego taką samą niespodzianką jak dla jego gości.

- Zatem musimy być spokrewnione, moja droga - odezwała się jedna ze starszych dam, pani Oliphant. - Mój kuzyn wzenił się w tę gałąź Lindsayów. Kim był twój ojciec?

- James Hamilton, duchowny z Lanarkshire - odparła Diana. Ta informacja wzbudziła jeszcze większe zainteresowanie.

- Był krewnym księcia Arran? - spytał któryś z panów. Diana skromnie pokręciła głową.

- Bardzo dalekim. Mój ojciec pochodził z linii młodszego brata, z Hamiltonów ze Strathaven.

- Strathaven! - ożywiła się pani Oliphant. Chyba spotkałam tam kiedyś pani ojca, kiedy byłam młoda. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu?

Diana przytaknęła.

- Tak właśnie wyglądał. Niestety, sama niewiele pamiętam ze Strathaven, chociaż bywałam tam jako dziecko. Później mój ojciec odsunął się od rodziny. Bardzo żałuję, ale nie znam nikogo z moich kuzynów.

Kryzys został zażegnany. Diana przetrwała próbę i została przyjęta na pełnoprawną członkinię towarzystwa. Udział w Balu Pań Swawolnych niechybnie zniszczyłby reputację niezamężnej kobiety, ale mężatkom przyznawano więcej wolności, a dzięki wyrażeniu skruchy Diana otrzymała przebaczenie za niestosowne postęпки. Nie bez znaczenia był też

fakt, że żadna z obecnych tam kobiet nie darzyła sympatią lady Haycroft, więc złośliwość pięknej wdowy podziałała na korzyść atakowanej Diany.

Kiedy lady Haycroft wyszła, wściekła z powodu przegranej, goście podzielili się na mniejsze grupki. Kobiety otoczyły Dianę, żeby ją wypytać o to, co widziała na balu i o to, czy Hariette Wilson rzeczywiście jest tak wulgarna, jak głoszą plotki. Lady St. Aubyn błyskawicznie zyskała popularność.

Diana z ulgą powitała podanie herbaty, po której mogła, nie naruszając zasad uprzejmości, opuścić towarzystwo. Niektórzy goście wcale nie zamierzali się jeszcze kłaść, chętni do gry w karty i dyskusji o polityce, ale ona wolała pójść do swego pokoju, żeby odzyskać nadwątlone siły. Pamiętając o swoim postanowieniu, zamknęła drzwi na klucz, broniąc dostępu Veseulowi czy jakiemuś innemu śmiałkowi, który by uznał, że warto zabiegać o względy tak żadnej przygód kobiety. Rozebrała się, rozpuściła włosy i weszła do łóżka. Leżała z otwartymi oczyma, zastanawiając się, czy Gerwazy do niej przyjdzie, czy też ona będzie musiała pójść do niego.

Minęła północ, gdy pogodziła się z myślą, że jednak nie przyjdzie. Był jak twierdza, niedostępna i mroczna, a ona musiała ją zdobyć. Musiała do niego pójść.

Ubrana w niebieski jedwabny szlafrok, ani specjalnie skromny, ani wyzywający, z włosami rozpuszczonymi na ramiona, wzięła świecę i weszła do korytarza prowadzącego do pokoju Gerwazego. Było cicho, w powietrzu unosił się kurz i duchy szczęśliwszych czasów.

Brała pod uwagę możliwość, że zamknął się przed nią na klucz albo że nie ma go w pokoju, ale coś jej mówiło, że Gerwazy na nią czeka. I rzeczywiście czekał, zagłębiony w fotelu obok łóżka, z nogami wspartymi na podnóżku, bez fraka tylko w śnieżnobiałej koszuli opinającej szerokie ramiona. Nawet światło świecy, muskające blaskiem jego ciemne włosy, nie wygładziło ostrych rysów zaciętej twarzy.

Wcale się nie zdziwił jej przybyciem.

- Dobry wieczór. Dianu. Spodziewałem się ciebie. Pozwól, że ci pogratuluję dzisiejszego wspaniałego występu. Jestem pewien, że opowieści o twoim wysokim urodzeniu są prawdziwe... bo jesteś za mądra, żeby kłamać w sprawach, które łatwo można sprawdzić. - Miał koszulę rozpiętą pod szyją i widziała ciemny trójkąt włosów na jego piersi. - Kolejny fragment układanki znalazł się na swoim miejscu i zostałaś uznana za damę, którą wcale nie jesteś.

W zasięgu jego ręki stała prawie pusta karafka brandy; dostrzegła ją, kiedy podniósł do ust kieliszek i pociągnął głęboki łyk.

- Nie piłem tyle od czasu tamtej żalostnej nocy, kiedy cię poznałem - mówił wyraźnie,

ale w jego oczach tlił się groźny, nieznanym jej dotąd błysk.

Zesztywniała. Czasami zdarzały się między nimi nieporozumienia, ale tylko raz widziała go w takim stanie - tamtej strasznej nocy na Mull. Był wtedy pijany i uciekł się do przemocy, a teraz ryzykowała, zostając z nim sam na sam. Ale musiała z nim porozmawiać. Nie zniosłaby jeszcze jednego takiego dnia jak miniony, kiedy Gerwazy całkowicie ją ignorował.

Usiadła w sąsiednim fotelu, odstawiając świecę na stolik. Szlafrok ułożył się w miękkie fałdy.

- Dobry wieczór, Gerwazy. Dziękuję, że nie naraziłeś mnie na potępienie ze strony swoich gości.

Uniósł kpiąco brwi.

- Jak miałbym to zrobić, nie wychodząc przy tym na głupca? Jesteś najsprytniejszą czarownicą, jaką znam, Diano. Znalazłaś takie otchłanie zemsty, o jakich nawet mi się nie śniło.

Musiała zachować spokój, choćby nie wiadomo ile ją to kosztowało.

- Mówiłam ci już, że nie pragnę zemsty.

- A ja już mówiłem, że ci nie wierzę. - Przyglądał się przez chwilę załamaniom światła w kryształowym kielichu, a potem rzekł, nie podnosząc oczu: - Czego chcesz, Diano? Dlaczego mi po prostu nie powiesz, żebyśmy mogli zakończyć tę farsę?

- Chcę być twoją żoną.

- Jesteś moją żoną, czyżbyś zapomniała? W tym cały problem. - W jego głosie brzmiała z trudem poskramiana dzikość. - Chcę legalnej separacji. Moje dochody nie są nieograniczone, ale dam ci dość pieniędzy na dostatnie życie i wszelkie rozrywki poza hazardem. Mam nadzieję, że nie zrobisz niczego, co by okryło hańbą moje nazwisko, ale poza morderstwem nie ma sposobu, żebym cię powstrzymał, więc muszę polegać na twoim nieistniejącym poczuciu honoru.

Odetchnęła głęboko, starając się puścić w niepamięć ostatnie, obraźliwe zdanie.

- Nie chcę twoich pieniędzy i nie chcę separacji. - Popatrzyła mu w oczy. - Wolałabym być twoją kochanką i mieć twoją miłość, niż być twoją żoną i żyć z dala od ciebie.

Zachnął się wyraźnie.

- Z pewnością sytuacja była lepsza, kiedy odgrywałaś rolę kochanki, zanim ujawniłaś się jako moja żona - przyznał spokojnym tonem, który pozostawał w dziwnej sprzeczności z napięciem widocznym na twarzy. - Niestety, nie mogę powrócić do tamtego błędnego stanu

niewiedzy. Jeśli nie brak ci rozumu, zgodzisz się na separację, bo to moja najlepsza oferta. Jeśli będziesz się opierać, mogę wystąpić o rozwód. Bez wątpienia znajdzie się dość dowodów twojego cudzołóstwa, ale wolałbym nie narażać na to Geoffreya, ciebie ani siebie. Szczególnie Geoffreya.

- Nie ma żadnych dowodów niewierności, Gerwazy. Nigdy nie spałam z żadnym innym mężczyzną. - Diana zacisnęła dłonie na kolanach, aż paznokcie wbiły się w skórę.

- Nie dalej jak wczoraj po południu widziałem ciebie i Francisa w ogrodzie. Obejmowaliście się. Mój własny kuzyn w moim własnym domu. A ty oczekujesz, że będę wierzył w twoje kłamstwa? - Odchylił głowę na oparcie fotela, jakby nie mógł utrzymać jej ciężaru.

- To był jedynie przyjacielski uścisk. Czemu nie spytasz Francisa, jak było naprawdę, mój mężu? - Postanowienie, by nie dać się wyprowadzić z równowagi, nie wytrzymało próby.

- Nie chciałem usłyszeć potwierdzenia, że jesteście kochankami. - Dopił resztkę brandy. - Chociaż bardzo lubię Francisa, nie sądzę, żebym mógł mu wybaczyć, a nie mogę sobie pozwolić na stratę przyjaciół.

Uniosła ręce w geście zniecierpliwienia.

- Czemu jesteś taki pewien, że potwierdzi twoje podejrzenia?

Ich oczy wreszcie się spotkały; zwykle czystą szarość teraz maćił ból.

- Jeśli nie potwierdzi, to będzie znaczyło, że omotałaś go swymi kłamstwami, co byłoby jeszcze gorsze.

- A więc już mnie osądziłaś i skazałaś - rzuciła drżącym głosem, bliska całkowitego załamania. - W twoich oczach już jestem potępiona.

- Bez wątpienia - przyznał, dolewając sobie brandy. - Kiedy cię spotkałem po raz pierwszy, pomyślałem, że wyglądasz jak anioł niewinności, ale teraz wiem, że pochodzisz z przeciwnej strony. - Opróżnił pół kieliszka jednym haustem. Widziała falowanie grdyki, gdy przełykał ognisty trunek. - Wiedziałem, że jestem potępiony już mając trzynaście lat, ale z wiekiem ta wiedza jakoś się rozmyła. Zacząłem myśleć, że może istnieje zbawienie nawet dla najgorszych grzeszników. Więc piekło przysłało ciebie, żebyś znów ściągnęła mnie w dół. A ja... - Wykrzywił usta. - Jestem skończonym głupcem, bo nawet teraz mimo wszystko cię pożądam.

Wpatrywała się w niego przerażona.

- Niech ci Bóg dopomoże - szepnęła, zmrożona jego słowami. - Mówisz zupełnie jak mój ojciec.

- Nic dziwnego. Zacny pastor uważał, że kobiety są źródłem zła i cierpienia, a ja zaczynam wierzyć, że miał rację.

- Przestań! - Jej głos był bliski krzyku. - Nie mogę znieść, jak tak mówisz. Co ja zrobiłam, że aż tak mną pogardzasz? Na początku nie powiedziałam ci, kim jestem, bo się bałam i chciałam cię lepiej poznać. Co w tym takiego strasznego? Nigdy nie miałam zamiaru cię skrzywdzić - mówiła błagalnie i zarazem ze złością. - Dlaczego proszę cię o przebaczenie, skoro to ty mnie skrzywdziłeś i to tak strasznie?

- Żadne z nas chyba nie potrafi wybaczyć drugiemu - rzekł sucho. - Ty mi nie możesz wybaczyć przemocy, ja tobie dwulicowości. A sądząc po tym wspaniałym przedstawieniu, nie potrafisz być uczciwa także wobec siebie, nie tylko wobec mnie.

- Nie wiem, o czym mówisz! - krzyknęła wyprowadzona z równowagi.

Gerwazy odstawił kieliszek tak gwałtownie, że brandy ochlapała mu rękę. Pochylił się ku Dianie z twarzą wykrzywioną bólem i wycodził jej prosto w twarz:

- Znalazłaś człowieka, który miał wszelkie powody nie ufać żadnej kobiecie, uwiodłaś go słodkimi kłamstwami, doprowadzając do tego, że takie zaufanie wydało mu się możliwe. I wówczas, kiedy był zupełnie bezbronny, zdradziłaś go. - Oddychał ciężko. - Tylko kobieta potrafi zdradzić tak całkowicie i bezwzględnie. Żaden mężczyzna nie umiałby być tak subtelnie, podstępnie okrutny jak ty.

Diana zauważyła, że nawet teraz nie potrafi nazwać rzeczy po imieniu, przyznać, że to on jest tym zdradzonym. Domyśliła się, że w ten sposób broni się przed jeszcze większym cierpieniem. Mogła jedynie powtórzyć:

- Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Nie mówiłam ci prawdy, ponieważ im dłużej to trwało, tym trudniej mi było wyjaśnić, dlaczego nic nie powiedziałam ci wcześniej. Łatwiej było milczeć, poddając się biegowi wydarzeń. - Urwała, próbując ocenić swoje argumenty i znaleźć słowa na określenie tego, co zrobiła instynktownie. - Myślałam, że jeśli mnie pokochasz, będziemy mogli zapomnieć o przeszłości, o tym, jak zaczęło się nasze małżeństwo, bo ważniejsze będzie to, co do siebie czujemy. - Rozpostarła bezradnie ręce. - Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że pomyślisz, że cię schwytałam w pułapkę i zdradziłam, bo chciałam zemsty. To prawda, że się myliłam, ale czy to aż tak niewybaczalne? Nigdy nie twierdziłam, że jestem doskonała.

Odchylił się do tyłu; jego twarz tonęła w cieniu, ale w głosie brzmiała tragiczna nuta.

- Ale ja myślałem, że jesteś.

W pierwszej chwili zaskoczył ją i wzruszył tym wyznaniem. Potem jednak przyszła złość.

- Nic na to nie poradzę! Nie moja wina, że mnie przeceniałeś. Kochać to znaczy akceptować człowieka razem z jego niedoskonałościami. - Próbowała przeniknąć wzrokiem cień. - Dlaczego nie możesz przyjąć tego, że cię kocham mimo moich pomyłek? Wiem, że nie jesteś doskonały, że potrafisz być zimny i podejrzliwy, nawet gwałtowny, ale i tak cię kocham.

- Więc jesteś tym bardziej głupia, Diano. - Pociągnął kolejny łyk brandy. - Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego twierdzisz, że mnie kochasz. Bóg jeden wie, że na to nie zasługuję, ale chciałem ci wierzyć, a ty byłaś taka przekonująca. O wiele łatwiej mi wierzyć, że jesteś kłamczuchą, niż w to, że kiedykolwiek naprawdę mnie kochałaś - zakończył z rezygnacją.

Diana miała wrażenie, że oszaleje z rozpacz. Jeśli on naprawdę sądził, że nie jest godny uczucia, to jak mogła go przekonać o swej szczerości? Słowa nie wystarczały i wiedziała, że nigdy nie wystarczą.

Gerwazy wzruszył ramionami.

- Ponieważ jesteś istotą kierującą się uczuciami, nie rozumem, może wierzysz we własne kłamstwa. Może powinienem to wykorzystać i zatrzymać cię jako kochankę.

Widziała w jego oczach pragnienie i tęsknotę, wyczuwała namiętność, nad którą z trudem panował, ale jego głos pozostawał nieludzko obojętny.

- Jesteś bardzo piękną kobietą, obdarzoną miłosnymi talentami, i potrafisz sprawić, by mężczyzna zapomniał o własnej duszy. Szkoda byłoby zmarnować taki talent, zwłaszcza że go już kupiłem i zapłaciłem za niego kilka razy. Byłaś niezrównaną kochanką. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, obraźliwie zatrzymując spojrzenie w pewnych miejscach. - A łóżko zawsze było między nami najważniejsze. Co powiesz na to, Diano, bym nadal odwiedzał cię kilka razy w tygodniu i rozkoszował się twym cudownym ciałem?

- I ty twierdzisz, że ja potrafię być okrutna! Dotąd jeszcze nigdy nie czułam się prostytutką. Dopiero teraz się nią poczułam, kiedy mi proponujesz coś takiego. - Skuliła się w fotelu, poniżona do głębi. - Wszystkiego, co wiem o okrucieństwie, nauczyłam się od ciebie - dokończyła z goryczą.

- Znacznie lepiej - pochwalił. - Nie mamy już złudzeń co do siebie nawzajem. Czyż sama nie wspominałaś, że powinniśmy być świadomi naszych niedoskonałości? Prawda wygląda tak, że ja jestem gwałcicielem, a ty prostytutką. W pewien sposób tworzymy małżeństwo doskonałe.

Jego ostatnie słowa wyzwoliły w niej furję, jakiej nie czuła jeszcze nigdy w życiu.

- Niech cię diabli! - krzyknęła. - Mów o sobie, co chcesz, ale nie ściągaj mnie do

swego poziomu, bo wcale taka nie jestem! Próbowałam ci przebaczyć, odpowiedzieć miłością na zło, ale ty nie jesteś tego wart! - Łzy spłynęły jej po policzkach. - Z początku cię nienawidziłam. Bardziej nienawidziłam tylko Boga. bo pozwolił, by coś takiego się zdarzyło. Kiedy cię pierwszy raz spotkałam w Londynie, byłam przerażona. Gdyby mi nie wpojono, że żona musi być poddana mężowi, gdybym nie miała poczucia, że powinnam cię bliżej poznać, nigdy nie pozwoliłabym ci się dotknąć. A potem cię pokochałam, mimo twojej nieufności, mimo tego, że próbowałeś mnie zdominować i mną zawładnąć. - Głos jej się łamał. - A teraz, ponieważ czujesz się niewart miłości, zniszczyłeś to wszystko, co do ciebie czułam. Pozostała jedynie nienawiść i możesz za to winić tylko siebie.

Mimo że ciskała w niego słowami jak bronią, wiedziała, że nadal go kocha, choć w jej sercu była także nienawiść.

- Tamtego ranka, po naszym piekielnym ślubie, ojciec zostawił mnie w tej gospodzie, zachwycony, że może się mnie pozbyć, i nawet się nie obejrzał. Miałam piętnaście lat, Gerwazy, byłam zgwałcona, oszołomiona i przerażona, a on zostawił mnie bez grosza, tak jak stałam, mówiąc, że teraz mąż za mnie odpowiada. Gdyby się nade mną nie zlitowała żona właściciela, nie dała mi pracy w kuchni i nie opłaciła listu do twojego prawnika w Londynie, Bóg jeden wie, co by się ze mną stało. - W jej głosie słychać było dalekie echo rozpaczliwego porzuconego dziecka. - Ponieważ nie byłam całkiem dojrzała, omal nie umarłam rodząc Geoffreya - mówiła dalej. - Poród trwał dwa dni i dwie noce, a ja krzyczałam, dopóki nie zabrakło mi tchu. - Skoro już raz zaczęła, nie mogła przestać mówić, choć wiedziała, że żadne słowa nie oddadzą potworności jej przeżyć. - Nigdy nie pragnęłam bogactwa, pozycji czy sławy. Moje jedyne marzenie było bardzo zwyczajne: chciałam mieć męża, który by mnie kochał, i dzieci, o które mogłabym się troszczyć. W jednym pijackim akcie zapomnienia wydarłeś mi to marzenie razem z moją niewinnością. Potem mnie zostawiłeś, ani żonę, ani pannę, zakazując mi się do siebie zbliżać. Miałam do wyboru albo samotność do końca życia, albo cudzołożny związek. W końcu, odwracając się od wszystkiego, co mi wpojono, wybrałam to drugie i przyjechałam do Londynu z nadzieją, że znajdę mężczyznę, który mnie pokocha mimo mojej przeszłości. I złośliwy diabeł zesłał mi ciebie, mojego męża, a ja byłam na tyle głupia, że cię pokochałam.

Doznała dziwnej satysfakcji, widząc, że jej słowa podziałały na niego jak uderzenie, że poczuł cień jej cierpienia. Z pogardą akcentując każdą sylabę, zakończyła:

- Jakby twoja przeklęta fortuna mogła wynagrodzić to, co mi zrobiłeś! Na świecie nie ma dość pieniędzy, byś mógł za nie kupić czyste sumienie.

- Wiem o tym. Gdyby istniało coś, co mógłbym zrobić, żeby ci zadośćuczynić,

zrobiłbym to. Jesteś zła i masz do tego prawo. - Rysy Gerwazego ściągnęło bolesne poczucie winy. Pod oczyma miał sine kręgi. Odetchnął z wysiłkiem. - Czy słysząc teraz siebie, nadal możesz zaprzeczać, że pragnęłaś zemsty?

Pytanie podziało ją jak chluśnięcie lodowatej wody na jej wrzącą furię. Słyszając własny głos, Diana była wstrząśnięta, że aż tyle w nim goryczy. Ukryła twarz w dłoniach; opadające włosy odgrodziły ją od niego, pozostawiając ją jak za zasłoni sam na sam z myślami. Zdawało jej się, że już dawno wyzbyła się gniewu z powodu krzywdzącego małżeństwa, że stała się kochającą, zdolną do wybaczenia kobietą, a teraz własnymi słowami zaświadczyła, że tak nie jest.

Przerażona, że nie jest tą osobą, za jaką się uważała, Diana przeszukiwała najciemniejsze zakamarki swego serca z gwałtowną, bezlitosną wolą, by dowiedzieć się, czy w istocie kierowała nią zemsta. To było jedno z najtrudniejszych doświadczeń w jej życiu. Znalazła złość podzieloną między Gerwazego, matkę i ojca. Znalazła winę, dawne bolesne wątpliwości, czy powinna zabierać Geoffreya do Londynu, skoro wybiera życie w niesławie. Ale nie znalazła złych zamiarów wobec kogokolwiek ani pragnienia, by zranić i zniszczyć swego męża.

Kiedy już była pewna, co czuje, uniosła głowę i powiedziała ze spokojem, jaki nastaje po burzy:

- Przez lata dzielące nasz ślub od naszego spotkania w Londynie pogardałam tobą i nie chciałam cię więcej widzieć. - Potem dodała z niezłomnym przekonaniem: - Ale zemstę pozostawiłam Bogu.

Potrząsnął głową; był w stanie uwierzyć w jej gniew, ale nie w ostatnie zapewnienie.

- W końcu wyszła na jaw brzydka prawda leżąca na samym dnie studni, wściekłość, którą ukrywałaś nawet przed sobą. Powinnaś mi być wdzięczna, że pomogłem ci ją wydobyć. Nienawidziłaś mnie i pragnęłaś zemsty. I udało ci się to ponad najśmielsze marzenia.

- Mylisz się, Gerwazy. - Zmęczona, odgarnęła włosy z twarzy. - Owszem, był gniew, dopiero teraz widzę, jak wielki, ale to tylko część prawdy. Chociaż z początku cię nienawidziłam, potem to minęło. Przysięgam na Boga, że nigdy w żaden sposób nie chciałam cię zranić. Chciałam, żeby ci było przykro, żebyś żałował tego, co się stało, ale to wszystko jest dalekie od mściwości, o jaką mnie posądzasz.

- Nie można mieć jednego bez drugiego, Diano. Jak miałbym w pełni pojąć krzywdę, którą ci wyrządziłem, nie cierpiąc równocześnie z tego powodu? Zasiałaś ziarno swojej nienawiści, a ja będę zbierał żniwo do końca moich dni. - Zamknął oczy i zaraz znów je otworzył; szare źrenice w świetle świecy wydawały się przeźrocyste. - Pragnęłaś dostać swój



kąsek i dostałaś go, ale okazał się trudny do przełknięcia.

Z początku chciała zaprzeczyć, ale nagle poraziła ją prawda zawarta w jego słowach. Istotnie, nie mogła mieć jednego i drugiego. Człowiek tak honorowy jak Gerwazy nie mógł się odwrócić od konsekwencji swoich czynów. Ponieważ był silny i uczciwy, tym bardziej cierpiał z powodu złamania swych podstawowych zasad. Choć niechętnie, musiała przyznać, że w głębi duszy pragnęła go zranić, choć nie aż tak mocno. A potem, wzbudziwszy w nim stosowne wyrzuty sumienia, miała mu łaskawie wybaczyć, by mogli żyć razem długo i szczęśliwie, połączeni miłością. A ona czerpałaby w dodatku satysfakcję z tego, że okazała się tak wielkoduszna.

Jednakże jego dusza była już wcześniej mocno nadwreżona, dlatego zraniła go znacznie głębiej, niż zamierzała, i teraz musiała ponieść konsekwencje. Żałowała, że do niego przyszła, że otworzyła tę puszkę Pandory, ale za wiele zostało powiedziane, żeby się wycofać. Mogła tylko iść dalej. Przeszłość i teraźniejszość były nie do zniesienia, tylko przyszłość niosła jakąś nadzieję, a to oznaczało, że muszą rozwiać wszystkie mroczne cienie.

Nagle zrozumiała, co należy zrobić.

- Jaka prawda leży na dnie twojej studni, Gerwazy? – spytała cicho. - Kto cię przekonał, że nie jesteś wart miłości, przez kogo łatwiej ci wierzyć, że jestem kłamczuchą, niż że mogę cię kochać? - Wstała i podeszła do niego, mając w pamięci to, co powiedział jej Francis. - Twój ojciec, który cię zaniedbywał, uważając, że nie jesteś dobrym następcą? Czy może matka? Nigdy o niej nie wspominasz. - Głos jej się rwał, ale nie przestawała mówić: - Moja matka odebrała sobie życie, więc czułam się przez nią zdradzona. Co zrobiła twoja matka, raniąc cię tak głęboko, że nie potrafisz zaufać innej kobiecie? - Odruchowo uniosła rękę, ale zaraz ją opuściła. Nie odważyła się go dotknąć. - Czym jesteś taki przerażony, że wolisz mnie odepchnąć, niż ryzykować miłość?

- Mój Boże, jesteś czarownicą. - Odwrócił twarz, tak napiętą, że każdy mięsień rysował się wyraźnie pod skórą, i zaczął mówić, niechętnie cedząc słowa, dokładnie potwierdzające jej domysły. - Zanim cię poznałem, moja matka była jedyną kobietą, którą kochałem, ale dla niej znaczyło to tyle co nic. Mniej niż nic. - Gwałtownym ruchem zakrył twarz rękami. - Ja mogę tylko żałować, że się nie zabiła - wyrzucił z siebie. - Tak byłoby znacznie lepiej.

- Co ona ci zrobiła? - naciskała Diana nieubłaganie, stając tak blisko, że miękkie fałdy szlafroka otarły się o jego nogę. - Sam mi przed chwilą dowiodłeś, że rany skrywane przed dziennym światłem stają się trujące.

Wciągał powietrze krótkimi, głośnymi haustami, jak po wyczerpującym biegu. Nadal

nie odrywał rąk od twarzy.

- Nie chcesz tego wiedzieć. Przysięgam na Boga, Diano, nie... chcesz... wiedzieć.

Chwyliła jego dłonie i delikatnie, lecz stanowczo, odciągnęła w dół. Próbował się uchylić, ale zdołała ujrzeć łzy na jego twarzy, wykrzywionej strasznymi wspomnieniami. Doznała wstrząsu. Miała przed sobą dorosłego mężczyznę, który wyglądał jak zmalretowane dziecko.

- Co ona ci zrobiła, Gerwazy? Dlaczego pozwalasz, żeby to niszczyło całe twoje życie? - spytała cicho.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, moja kochanko? - Odepchnął jej rękę. Jakby chciał złością przesłonić rozpacz. - Ostrzegałem cię, ale uparłaś się, żeby poznać najbardziej mroczną tajemnicę mojej duszy, więc dam ci ją w prezencie. - Nie patrząc jej w oczy, chrapliwie, z największym wysiłkiem powiedział: - Pierwszą kobietą, z którą spałem, była moja matka.

Diana patrzyła na niego z przerażeniem. Na coś takiego nie była przygotowana. Dosłownie oniemiała.

On natomiast nie mógł przestać mówić, kiedy raz zaczął; słowa wypływały z niego chaotycznym, lecz niepowstrzymanym strumieniem.

- Myślisz, że tylko kobiety mogą być gwałcone? Mylisz się. Moja matka mnie zgwałciła, choć bez użycia siły. Zrobiła to od niechcienia, bo wydało jej się zabawne. Bo była nieszczęśliwa po stracie kochanka. Bo wypila za dużo wina. Bo nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby sobie czegośkolwiek odmawiać. - Potrząsnął mocno głową, jakby chciał wyrzucić z niej koszmarne wspomnienia. - Miałem wtedy trzynaście lat. Z początku nie rozumiałem, potem nie wierzyłem, a w końcu nie potrafiłem zapanować nad swoim ciałem, chociaż miałem świadomość, jak bardzo to jest złe. - Poderwał się nagle z fotela, zawahał przez moment, a potem chwycił karafkę i jednym wściekłym ruchem cisnął ją w drugi koniec pokoju, gdzie głośno rozbiła się o ścianę. Kryształowe odłamki zagrzechotały na lśniącej parkiecie, a ostry zapach brandy wypełnił pokój. - Masz dosyć? - ryknął. - Czy to wystarczająco ważny powód, żeby nie ufać kobietom?

Dotąd unikał jej wzroku, ale teraz w końcu na nią spojrział. Z powściągliwości i opanowania nic już nie pozostało.

- Brzydzi cię to, co? Twój mąż popełnił kazirodztwo z własną matką. Kazirodztwo jest najohydniejszym, najbardziej zakazanym ze wszystkich przestępstw. Edypa zrzucano za to z tronu, oślepieno i wygnano. - Półprzytomny ze wzburzenia, dokończył świszczącym szeptem: - To więcej niż przestępstwo, to najpodlejsza nikczemność, najcięższy grzech. I nic, nic mnie

nie rozgrzeszy.

Jego gniew był w istocie jedną wielką rozpaczą, na widok której Dianie ścisnęło się serce. Nie mogła uwierzyć, że matka może zrobić coś takiego synowi, że człowiek, którego kochała, przeżył większą część życia, nosząc w sobie tak wielki, że aż trudny do udźwignięcia żal i wstyd, ale straszliwa prawda była wypisana na jego umęczonej twarzy.

- To nie była twoja wina! - wykrzyknęła, pragnąc nade wszystko go pocieszyć. - Ona była dorosłą kobietą, a ty jeszcze dzieckiem. To okropne, że kobieta może tak skrzywdzić swoje dziecko, ale ty byłeś jedynie ofiarą. Nie pozwól, żeby poczucie winy cię zniszczyło. I nie karz mnie za grzechy swojej matki - dodała błagalnie.

Spojrzał na nią dzikim, niewidzącym wzrokiem. Stał tuż obok, od jego szczupłego ciała bił żar, jakby miał wysoką gorączkę.

- Może i byłem tylko ofiarą w wieku trzynastu lat, ale nic nie zmieni faktu, że jestem bardziej jej dzieckiem niż dzieckiem mego ojca. - Skrzywił się. - Mój ojciec był suchy i nieczuły. Odziedziczyłem namiętą, rozwiązlą naturę matki, wcale nie jestem od niej lepszy. Sama wiesz najlepiej, do czego jestem zdolny. Próbowałem nad sobą panować, dawać upust żądzy tam, gdzie to nikomu nie szkodzi, odpokutować za grzechy, poświęcając się wielkim celom. - Uniósł ramiona w geście bezradnej rozpacz. - Próbowałem wierzyć, że nie jestem gorszy od innych, ale mimo to nie byłem w stanie uciec przed prawdą: nie ma dla mnie zbawienia.

- To nieprawda! Każdy może być zbawiony. Nie jesteś gorszy od innych śmiertelników. - Pragnąc z całego serca bronić go przed nim samym, chwyciła go za ramię, starając się przedrzeć przez skorupę winy i nienawiści.

Natychmiast spostrzegła, że popełniła straszny błąd. Jej dotyk, jak dotknięcie różdżki, zniweczył kruchą warstwę samokontroli, utrzymującą w ryzach wzburzone emocje Gerwazego; poczuła, jak jego mięśnie napinają się niczym postronki. Porwał ją w gwałtowny, bolesny uścisk, przywierając wargami do jej ust, zgniatając ją sobą. Nie czuła nawet cienia miłości czy czułości, jedynie pełne goryczy pragnienie, by uderzyć na oślep w mrok oblepiający mu duszę.

W dwóch krokach zaciągnął ją na łóżko i rzucił na posłanie, przygniatając ją swym ciężarem, miażdżąc jej usta, wdzierając się językiem. Szarpnięciem rozchylił poły szlafroka, odsłaniając jej piersi.

Diana broniła się rozpaczliwie, napinała mięśnie rąk i nóg, żeby go od siebie odepchnąć, ale niewiele mogła zdziałać wobec jego przeważającej siły i dzikiego zapamiętania. Gdyby chciał ją pojąć w inny sposób, uległaby z ochotą, ale nie tak, nie w

akcie przemocy, który zadałby im obojgu rany niemożliwe do zagojenia.

Kiedy uniósł się nieco, żeby do reszty ją obnażyć, wykorzystwała okazję i sięgnęła po nóż ukryty w pokrowcu na udzie. Zamroczony żądzą Gerwazy nawet nie zauważył błysku ostrza, kiedy uniosła nóż i smagnęła go po lewym ramieniu.

Ból przedarł się przez opary szaleństwa, czego słowa z pewnością nie zdołałyby dokonać. Na widok krwi skapującej na jej nagie piersi.

Gerwazy nagle się opamiętał. Przerażony opadł na łóżko obok niej i ukrył twarz w pościeli, kurczowo zaciskając dłonie na grubej narzucie. Choć nie doszło do najgorszego, już sama próba stanowiła gorzkie potwierdzenie jego najgorszych przeczuć co do własnej natury.

Diana wsparta na łokciu patrzyła na Gerwazego w milczeniu, zbyt wstrząśnięta, żeby wiedzieć, jak powinna się zachować lub co powiedzieć. Drżąc na całym ciele, położyła na pościeli zakrwawiony nóż, drugą ręką usiłując narzucić na siebie szlafrok. Z trudem wciągała do płuc powietrze, ciężkie od napięcia i emocji, zastanawiając się bezradnie, jak to możliwe, że ludzie, którzy się kochali, potrafili się nawzajem aż tak boleśnie ranić.

Po długim jak wieczność czasie Gerwazy w końcu odezwał się pierwszy. Jego głos był martwy, pozbawiony nawet bólu.

- Nie mów mi o zbawieniu. Niektóre dusze nie mogą doznać przebaczenia. Teraz z pewnością nawet ty to przyznasz.

W przeszłości, kiedy język zawodził, zawsze uciekała się do dotyku, żeby przekazać to, czego nie mogły oddać słowa. Lecz gdy teraz położyła współczująco dłoń na jego ramieniu, natychmiast się od niej odsunął.

- Nie dotykaj mnie. Na litość boską, nie dotykaj mnie!

Przestraszona, cofnęła rękę, kuląc się na krawędzi łóżka. Starając się utrzymać rzeczowy ton, wyrwać go z koszmaru i sprowadzić z powrotem do normalności, powiedziała:

- Trzeba ci opatrzyć ramię.

Odwrócił się na plecy, zdrową ręką zasłaniając górną połowę twarzy.

- Nie ty. Idź stąd, Diano. Po prostu wyjdź - powiedział głucho, nie zostawiając jej ani krzty nadziei.

Wstała i owinęła się ciasno rozdartym szlafrokiem. Patrząc na Gerwazego, uświadomiła sobie, jak wiele w nim siły, nawet w tej chwili, gdy znajdował się na krawędzi załamania. Sama aż za dobrze wiedziała, co to cierpienie, ale poznała też w życiu miłość, dzięki matce, nawet ojcu, gdy była całkiem mała. Później Edith. Geoffrey i Madeline otaczali ją ciepłymi uczuciami. A mimo to, zaznawszy jak wiele miłości, nie zdołała się do końca otrząsnąć ze swych bolesnych doświadczeń.

Gerwazy nigdy nie miał nikogo. Ojciec był nieobecny, a matka skrzywdziła go w najbardziej niewyobrażalny, zatruwający duszę sposób. A jednak nie stał się okrutny. Posiadał bogactwo, władzę i inteligencję, które mogły wyrządzić wielkie zło, a mimo to był uczciwy i honorowy wobec tych, którzy na nim polegali. Jako kochanek był hojny i delikatny, nawet czuły. Niejednokrotnie ryzykował życie dla wyższego dobra, zarówno w armii, jak i w swej tajemniczej, niewdzięcznej pracy na rzecz kraju.

Nie zaznał nigdy prawdziwego ciepła i miłości, nic więc dziwnego, że się ich bał, podobnie jak władzy, którą Diana mogłaby nad nim zyskać za ich sprawą. Rozpaczliwie pragnął bliskości, więc nic dziwnego, że był zazdrosny i zaborczy i nie potrafił uwierzyć w jej stałość. Nic dziwnego, że jej oczywista zdrada załamała go. Nie tylko wierzył w jej przewrotność; swym postępowaniem rozjątrzyła nigdy do końca nie zagojoną ranę w jego duszy.

Teraz, znając pełny wymiar jego szlachetności, kochała go jeszcze bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Nietrudno jest być dobrym, kiedy okoliczności temu sprzyjają. O ileż trudniej musiało to przychodzić Gerwazemu, który dorastał pośród niezliczonych przykładów egoizmu i zaniedbania. A jednak udało mu się zostać zycznym człowiekiem, znacznie lepszym, niż zapowiadało jego wychowanie. Jeśli nawet nie był szczęśliwy, miał powody do zadowolenia, znał swoje miejsce w świecie i wiódł życie człowieka honoru.

A ona w swym nierozważnym dążeniu do sprawiedliwości, w nieświadomym pragnieniu wyrównania rachunków z przeszłości, doprowadziła go do takiego stanu. Przypomniała sobie słowa Madeline, wypowiedziane dawno temu w ogrodzie skąpanym w słońcu: „Niektórzy ludzie... zostają rzućeni na kolana, a ich duma i honor złamane przez tych, których kochają”.

Diana z goryczą i wstydem musiała przyznać, że wykorzystała niepewność Gerwazego. Zaspokajając własne pragnienie władzy, nie zgodziła się obiecać mu wierności, kiedy jej tak bardzo potrzebował. Owszem, kiedyś on ją zranił, ale powinna była wykazać się mądrością i nie odpowiadać mu pięknym za nadobne.

Wyczuwała, że Gerwazy pograżył się w jakiejś czarnej otchłani, gdzie nie docierało nawet najśłabsze światło nadziei; bała się, że nie może nic zrobić ani powiedzieć, żeby mu pomóc się stamtąd wydostać - Musiała jednak próbować.

- Niezależnie od tego, co zrobiłeś i jak bardzo siebie nienawidzisz, kocham cię, bo jesteś wart miłości - powiedziała cichym, drżącym głosem. Z trudem szukała słów w dziwnie otepiałym umyśle. - Myślę, że połączyło nas przeznaczenie. Oboje odnieśliśmy rany, ale razem, jeśli się postaramy, możemy się nawzajem uleczyć. Jesteś częścią mnie i będę cię

kochała do końca życia, a nawet dłużej.

Dostrzegła przelotny skurcz na odsłoniętej części jego twarzy, ale jedyną odpowiedzią był ciężki, chrapliwy oddech. Dzielała ich przepaść była zbyt głęboka, by połączyć jej brzegi mostem porozumienia. A Diana lękała się, że nigdy nie da się naprawić tego, co zostało zniszczone. Nie pozostało też już nic więcej do powiedzenia, więc wzięła ze stołu dopalającą się świecę. Zabrała również swój nóż. Wiedziała wprawdzie, że jeśli będzie wołał się zabić, niż żyć pogrążony w bólu, i tak znajdzie sposób, ale nie chciała mu tego ułatwić.

Wiedząc, że jej obecność pogłębia jego cierpienia, wyszła i zostawiła go samego.

Dla Gerwazego noc nie miała końca. Po założeniu prowizorycznego opatrunku dla powstrzymania krwawienia, leżał pośród cieni, niezdolny znieść całkowitej ciemności. Fakt uwiedzenia przez matkę pozostawił zbyt głębokie blizny, by mógł o tym zapomnieć, ale przez lata udało mu się zepchnąć straszne wspomnienia w najdalszy zakamarek umysłu. Teraz wydostały się stamtąd i wirowały mu w głowie: piękna, zepsuta twarz matki, jej pomruki rozbawienia, kpiące niezrozumienie dla jego lęku. Medora była jedną z form imienia Medea. Medea, czarodziejka, która zamordowała własne dzieci. Czasami się zastanawiał, czy byłaby inna, gdyby nosiła inne imię.

Od czasu tamtego popołudnia już nigdy jej nie widział. Uciekł, na oślep, bezpowrotnie. Kiedy ludzie wysłani przez ojca znaleźli go po kilku tygodniach, odmówił powrotu, dając jasno do zrozumienia, że jego noga więcej nie postanie tam, gdzie mieszka matka. Ojciec uniósł brew w wyrazie zdziwienia, ale nie chciał wiedzieć nic więcej. Nie widział problemu w pozostawieniu syna w szkole z internatem lub wysłaniu go do jednej z odległych posiadłości, w której lady St. Aubyn nigdy się nie pojawiała.

Gerwazy miał siedemnaście lat, kiedy matka umarła. Osiągnął wiek, gdy młodzi ludzie są najbardziej zafascynowani wszystkim, co się wiąże z seksem. Stoczył dwa pojedynki, nim jego szkolni koledzy zrozumieli, jak niezdrowe jest wspomnianie zmarłej wicehrabiny w zasięgu słuchu jej syna. Gerwazy uważał, żeby nikogo nie zabić, jako że cokolwiek mówiono o jego matce, i tak nic nie mogło być bardziej obraźliwe niż prawda, ale owe pojedynki jeszcze wzmogły gniew i ból zatruwające mu duszę.

Koszmarne małżeństwo utwierdziło go w przekonaniu, że nie zasługuje na normalne życie. Wygodnie mu było wierzyć, że jest związany z istotą upośledzoną umysłowo, choć to w niczym nie umniejszało poczucia winy, że tak źle ją potraktował. Jednak, mimo wyrzutów sumienia, nigdy nie myślał o swojej żonie jak o osobie z krwi i kości. Teraz, po nocy spędzonej w czyścicu, stała mu przed oczyma twarz dziewczyny, którą znał jako Mary Hamilton, twarz o zdumionych, jakby otępiałych, wreszcie przerażonych oczach. I pod tą maską strachu coraz wyraźniej rozpoznawał delikatne, słodkie rysy Diany.

Trudne warunki życia i dzikie piękno Indii zatarły obraz przeżyć z młodości; służba w armii hartowała i nieco stępiała wrażliwość, co w przypadku Gerwazego okazało się błogosławieństwem. Po powrocie do Anglii stworzył sobie całkiem znośne życie, wywiązując się z obowiązków i znajdując satysfakcję w pracy wywiadowczej. Wszystko układało się dobrze, dopóki nie zjawiała się Diana, omotując go złudzeniami ciepła i szczęścia, a potem

brutalnie go z nich odzierając. Jego żona, którą zgwałcił i porzucił, a która wróciła, by stać się miłością jego życia, która nawet teraz, choć wydawało się to niewiarygodne, twierdziła, że go kocha.

Jeszcze nigdy tak się nie cieszył ze świtu, choć nadchodził z ociężałą powolnością, dając obietnicę światła na długo przed tym, nim się wreszcie spełniła. Wkrótce pojawił się Bonner: opatrzył Gerwazemu ramię z wojskową fachowością, bez żadnych uwag czy zbędnych pytań. Diana spisała się znakomicie - cięcie było długie, lecz płytkie, robiło odpowiednie wrażenie sporą ilością krwi, ale w istocie wcale nie było groźne. Zaciekawilo go na moment, gdzie się nauczyła tak władać nożem, ale zaraz wzruszył ramionami, uświadomiwszy sobie, że wielu rzeczy już się nie dowie o kobiecie, którą poślubił. Wykąpał się, jakby gorąca woda mogła zmyć z niego ślady zła z przeszłości, a potem napisał do Geoffreya, odwołując przejażdżkę ze stosownymi przeprosinami. Tego ranka nie był w stanie stanąć twarzą w twarz z niewinnym dzieckiem.

Tym razem reputacja milczka bardzo mu się przydała, bo nikt nie zauważył zmiany w jego nastroju. Poza Francisem, który przyglądał mu się spod ściągniętych brwi. Diana, dzięki Bogu, trzymała się na uboczu. Gerwazy nie byłby w stanie przebywać z nią w jednym pomieszczeniu.

Wspólne śniadanie w dzieciennym pokoju pewnie i tym razem, jak zwykle, byłoby miłym przeżyciem, gdyby Diana nie sprawiała wrażenia tak wyczerpanej. Widząc jej podkrążone oczy, Madeline od razu się domyśliła, że doszło do decydującego spotkania i zastanawiała się, jak też jego lordowska mość prezentuje się tego ranka.

Maddy z Geoffreym zawiązali milczące porozumienie, mające na celu poprawienie Dianie humoru, i próbowali ją wciągnąć w wesołą pogawędkę. Po śniadaniu Geoffrey wymknął się w odwiedziny do mieszkających na terenie posiadłości rówieśników, których poznał w czasie bożonarodzeniowego pobytu. Madeline była ciekawa, jak przyjmą go teraz, kiedy było wiadomo, że jest dziedzicem Aubynwood. Jakkolwiek by patrzeć, stanowiło to znaczącą różnicę. Wzruszając ramionami, wzięła się za czytanie dwóch listów, które właśnie dostarczono, podczas gdy Diana siedziała zapatrzona przed siebie, ściskając w dłoniach filizankę.

Pierwszy list był od Nicholasa i oprócz całego mnóstwa cudownie niestosownych propozycji zawierał radosną nowinę, że autor będzie mógł powrócić do Londynu wcześniej, niż się spodziewał. Naciskał na ustalenie ostatecznej daty ślubu, a Madeline była skłonna pozostawić mu decyzję. Może dzień po pierwszej rocznicy śmierci... skromnie i bez rozgłosu. Przeczytała list trzykrotnie, nim w końcu odłożyła go na bok.



Drugi list przysłała Edith, która dyliżansem pocztowym udała się w szybką podróż do Szkocji. Mocnym, niezbyt wyrobionym pismem donosiła o swoich odkryciach:

*Droga Maddy!*

*Wysłałam ten list do Ciebie, ponieważ znasz sytuację i możesz osądzić, kiedy będzie najlepiej powiedzieć Dianie. Zasięgnięcie wiadomości o jej ojcu nie przedstawiało trudności - miejscowy lekarz o nazwisku Abernathy był chętny do rozmowy, kiedy mu powiedziałam, że jestem przyjaciółką Diany. Dobrze ją pamiętał i z przyjemnością wspominał, jaką była słodką dziewczynką.*

*Po pierwsze, James Hamilton zmarł w zeszłym roku, na tę samą chorobę, która przyprawiła go o szaleństwo. Chodzi o francuską chorobę (nazywaną też syfilisem). Abernathy twierdzi, że w młodości pastor lubił używać życia, popijał, zadawał się z ladacznicami i tym podobne. Nawet po ślubie nie do końca się ustatkował - zaraził się syfilisem już po narodzinach Diany.*

*Abernathy mówi, że matka Diany zabiła się dzień po tym, jak lekarz potwierdził, że znowu jest w ciąży. Biedaczka wiedziała, że zaraziła się od męża tą straszną chorobą i nie mogła znieść myśli o wydaniu na świat chorego dziecka, a pewnie też o szaleństwie, które musiało ją z czasem ogarnąć tak jak jej męża. Utopiła się więc. Nawet ci surowi Szkoci współczuli nieszczęsnej kobiecie, zgodnie potępiając jej męża.*

*Po śmierci żony pastor zachowywał się coraz dziwniej. Jego córka zawsze była nazywana Dianą, ale on zaczął do niej mówić Mary, ponieważ, jak twierdził, imię Diana było pogańskie. Kiedy wrócił z Hebrydów bez Diany i plótł niestworzone rzeczy o jej ślubie, obawiano się, że zrobił jej coś złego, ale ponieważ wszyscy się go bali, nie podjęto żadnych kroków, żeby to wyjaśnić. Pod koniec życia Hamilton przebywał w zamknięciu całkiem szalony, a wszystkie obowiązki duchowne przejął wikary.*

*Abernathy bardzo się ucieszył, słysząc, że Diana żyje i ma się dobrze, i zaprasza ją w odwiedziny z mężem i dzieckiem. A jeśli nie może przyjechać, to żeby do niego napisała, bo jako jedyna spadkobierczyni swojego ojca dziedziczy sporą fortunę. Im bardziej Hamilton był szalony, tym mniej wydawał pieniędzy. Najwyraźniej rodzice Diany byli dobrze urodzeni, czego zresztą obie się domyślałyśmy.*

*Jadę teraz na Mull, do mojej siostry Jane. Pozdrów ode mnie Dianę i Geoffreya.*

*Szczerze Ci oddana Edith*

Madeline przeczytała list dwa razy, nim wreszcie niepewnie spojrzała na Dianę. Uznała, że przyjaciółce przyda się jakaś odmiana, choćby nawet tak melodramatyczna.

- Mam tu list od Edith - zaczęła. - Była w twojej rodzinnej wiosce w Lanarkshire.

Pewnie chcesz sama przeczytać.

Diana ocknęła się z zamyślenia i wyciągnęła rękę po list. W miarę czytania robiła się coraz bledsza, a potem siedziała w milczeniu tak długo, że Madeline w końcu spytała ją, czy dobrze się czuje.

- Nic mi nie jest, Maddy - zapewniła ją Diana. Na chwilę ukryła twarz w dłoniach, ale nie płakała. Wreszcie uniosła głowę z wyrazem smutku i rezygnacji na twarzy. - Więc przez te wszystkie lata mój ojciec cierpiał na chorobę weneryczną. Nic dziwnego, że wyklinał rozwiązłość i uważał kobiety za źródło zarazy.

- Musiało go też zżerać poczucie winy - wtrąciła nieśmiało Madeline. - Za to, że nabawił się choroby przez cudzołóstwo, że przekazał ją twojej matce i był powodem jej samobójstwa.

Diana wolno pokiwała głową, zapatrzona w dal niewidzącym wzrokiem.

- Samo to już by wystarczyło, żeby go przywieść do szaleństwa. Po śmierci matki zamęczał mnie swymi wywodami na temat grzechu, zepsucia i zła czyhającego w świecie. A sam, jak wynika z listu, w młodości niczego sobie nie żałował. Po wstąpieniu w stan duchowny wyrzekł się jedwabiu, aksamitów i innych atrybutów bogactwa, poza pistoletem, który nosił dla obrony. - Westchnęła ciężko. - Łatwo mu przychodziło potępiać innych, ale sam ulegał pokusom. Dla kilku chwil cielesnej przyjemności zniszczył siebie i swoją rodzinę. Cóż za tragiczna strata. - Głos jej się łamał, ale mówiła dalej: - Musiał bardzo cierpieć z powodu poczucia winy. I musiał wiedzieć, że pogrąży się w szaleństwie.

- Jesteś bardzo wielkoduszna, współczując mi po tym wszystkim. co ci wyrządził - zauważyła Madeline.

Diana uśmiechnęła się kwaśno.

- O wiele łatwiej współczuć mi teraz, kiedy nie żyje. Poza tym, to się zdarzyło dawno temu. Wiele lat minęło, odkąd go ostatnio widziałam, a przez cały ten czas moje życie było znacznie lepsze. - Poskładała list w równy prostokąt. - Kiedy byłam mała, wcale nie był dla mnie złym ojcem, był surowy, ale nie zły. Czasami nawet okazywał mi uczucie. Postaram się go zapamiętać właśnie takim - Mam nadzieję, że spoczywa w pokoju.

- A twoja matka?

Diana przymknęła oczy, jej rysy ściągnął ból.

- Teraz rozumiem, dlaczego była taka zrozpaczona przed... końcem. Nie zostawiła żadnej wiadomości. Sądzę, że musiała podjąć decyzję pod wpływem impulsu. Weszła do stawu, bojąc się zmierzyć z przyszłością. Miała na sobie ciężkie zimowe ubranie, więc to nie trwało długo. - Zadrzała. - Oficjalnie uznano jej śmierć za wypadek, więc mogła być

pochowana w poświęconej ziemi, ale wszyscy wiedzieli, że nie mogłaby się tam utopić, gdyby tego nie chciała.

- Potrafisz jej wybaczyć to, że cię opuściła?

Diana pokiwała głową, zagryzając wargę.

- Mama umiała kochać, szlachetnie i mądrze. Nauczyła mnie czytać, rozmiłowała w muzyce i książkach. Co najważniejsze, obdarzyła mnie duchowością zupełnie różną od twardej, potępiającej religii ojca. Od niej się nauczyłam, że miłość jest ważniejsza od nienawiści czy zemsty. Dzięki niej byłam w stanie przeżyć moje tragiczne małżeństwo. - Uśmiechnęła się smutno. - Co nie znaczy, że byłam bez zarzutu. Przeciwnie, targała mną złość. Ale to nie gniew, nienawiść czy żądza zemsty kierowały moim życiem, chociaż tak właśnie sądzi mój mąż. - Ukryła arkusik listu w złożonych dłoniach. Patrzyła gdzieś przed siebie. - Nie wyrosłabym z mojego dzieciństwa, zachowując zdrowie na ciele i umyśle, gdyby nie moja matka. Ty mi ją przypominasz. - Podczas gdy Madeline chłoneła komplement, Diana westchnęła, by zakończyć trochę niepewnym tonem: - Dlatego tak trudno mi było zrozumieć, dlaczego mama się zabiła. Po tym, co napisała Edith, wreszcie rozumiem. Niech Bóg się zlituje nad duszami ich obojga. - Rozplakała się gorącymi łzami, które miały jej przynieść ukojenie.

Hrabia de Veseul odczytał list z mieszanymi uczuciami. zaproponował swoim zwierzchnikom plan tak przebiegły i subtelny, że miał zamiar wprowadzić go w czyn niezależnie od tego, czy zostanie zaaprobowany, po prostu dla samej przyjemności osiągnięcia celu. Tylko ci idioci z konnej gwardii mogli tak długo marnować talenty Arthura Wellesleya i tylko ci sami idioci mogli postawić zwycięzcę spod Vimeiro przed sądem za układ pokojowy, którego generał wcale nie negocjował. Ci durnie nie zasługiwali na Wellesleya; we Francji już byłby marszałkiem.

Veseul szczerze podziwiał Wellesleya. Zasługi generała w Indiach zapierały dech w piersiach. Prawdopodobnie był jedynym żołnierzem w Anglii, który mógł poważnie zagrozić samemu cesarzowi, a ta świadomość sprawiała, że tym przyjemniej było dążyć do jego upadku. Szczegóły sprawy trochę się zacierały w umyśle hrabiego, ale przecież nie stanowiło trudności spreparowanie dowodów, które by splamiły imię generała na tyle, by nigdy więcej nie otrzymał dowództwa. Wellesley był w tym momencie bezbronny, więc wystarczyłby taki skandal. A kiedy spełni się dzieło Veseula, generał w najlepszym wypadku będzie mógł mieć nadzieję na dożywotnie wygnanie w Irlandii i udział w miejscowych wojnach ziemniaczanych.

Z jednej strony Veseul był zadowolony, że jego propozycja wywarła na

zwierzchnikach odpowiednie wrażenie, z drugiej jednak ich entuzjazm oznaczał dla niego konieczność wcześniejszego powrotu do Londynu... i to już następnego dnia. Pozostało mu zatem ledwie kilka godzin, by odszukać nieuchwytną lady St. Aubyn i zaznać od niej długo oczekiwanej przyjemności.

Veseul wiedział, że powinien był zająć się Dianą Lindsay poprzedniego wieczoru, ale lady Haycroft zawitała do jego sypialni i noc zleciała niepostrzeżenie. Lady Haycroft lubiła mocne wrażenia jak mało która z kobiet, co było szczególnie przyjemne, ale jej skwapliwość całkowicie odebrała hrabiemu radości płynące ze zdobywania.

Tego ranka, kiedy był wyjątkowo gotowy przystąpić do szturm, przekłeta wicehrabina stroniła od gości, wymawiając się niedyspozycją, choć w istocie unikała swego ponurego męża. Hrabia wiedział, że nie przebywała w swoich pokojach, ponieważ włamał się tam ukradkiem. Niestety, nikogo nie zastał.

Konieczność poszukania jej trochę mieszała mu szyki; zaplanował bowiem wyrafinowaną kampanię, która miała polegać na oplataniu jej delikatną siecią, widoczną tylko dla niej, a w tej sytuacji musiał się pośpieszyć. Działanie bezpośrednio kłóciło się wprawdzie z jego zmysłem estetyki, ale musiał przyznać, że otwierało pole dla innych, wcale miłych doznań.

Kiedy Francis wszedł do gabinetu, Gerwazy niechętnie uniósł głowę znad papierów. Zajmował się codziennymi sprawami posiadłości, które z powodzeniem mógł powierzyć zarządcy, ale wykorzystał je jako dogodną wymówkę przed gośćmi, którzy i tak świetnie się bawili bez niego.

Francisa nie było jednak łatwo się pozbyć. Przystawił sobie krzesło do biurka i usiadł naprzeciw kuzyna.

- Dzień dobry, Gerwazy. Masz chwilę czasu, żeby ze mną porozmawiać?
- Jeśli powiem, że nie, zostawisz mnie w spokoju? - odpowiedział cierpko Gerwazy.
- Nie - zapewnił Francis bez urazy.

Przybrawszy nieco pogodniejszą minę, wicehrabia rozsiadł się wygodniej, gotowy wysłuchać, co Francis ma mu do powiedzenia. Dopiero teraz zauważył, że kuzyn ma w sposobie bycia coś, co przypominało mu Dianę. Szybko przywołał się do porządku; wszelka myśl o żonie wydawała mu się nie do zniesienia.

- Cieszę się, że mogłeś przyjechać do Aubynwood. Nie jestem zbyt towarzysko usposobiony, więc doceniam, że pod moją nieobecność wśród gości pełnisz rolę gospodarza.

- W porządku. - Francis zbył podziękowania niedbałym machnięciem ręki. - Wiem, że masz inne rzeczy na głowie, choćby pierwsze oficjalne zaprezentowanie żony i syna.

Gerwazy zeszywniał.

- Nie życzę sobie rozmowy o mojej rodzinie.

- Nie patrz na mnie w taki sposób, kuzynie. Zamierzam powiedzieć to, co mam do powiedzenia, i musisz tego wysłuchać, chyba że uciekniesz tak szybko, że cię nie dogonię. - Francis przybrał zartobliwy ton, ale jego niebieskie oczy patrzyły całkiem poważnie. - Znam i cenię was oboje, ciebie i Dianę. A ponieważ widzę, że oboje jesteście nieszczęśliwi, chcę zaoferować swoje usługi w charakterze mediatora. Czasami pośrednictwo osoby trzeciej pomaga. Ona cię bardzo kocha. Ty też nie wyglądasz na obojętnego, więc bez względu na to, jaki jest wasz problem, powinien dać się rozwiązać.

Wicehrabia odsunął się od biurka, jakby chciał się zdystansować od słów kuzyna.

- Opowiedziała ci o tym do poduszki? - wycedził jadowicie.

- Dobry Boże. nie! Chyba nie myślisz, że ja i Diana jesteśmy kochankami? - Francis sprawiał wrażenie szczerze zdumionego podejrzeniem.

Gerwazy skrzywił się mimowolnie. Nie chciał zaczynać tej rozmowy, przeczuwał, że nic dobrego nie może z niej wyniknąć, ale skoro zaczął, nie mógł się powstrzymać.

- To całkiem logiczne założenie. Wiem, że ją odwiedzałeś pod moją nieobecność i śmiało sobie poczynaliście.

Francis nie od razu pojął aluzje.

- Dobry Boże, czyżbyś kazał ją śledzić? - spytał marszcząc brwi. - Co cię, u diabła, do tego skłoniło?

- Ta kobieta uprawia zawód prostytutki, czyżbyś zapomniał? Chciałem się przekonać, jak jej idą interesy. - Gerwazy gardził sobą za te słowa, ale nie był w stanie zapanować nad językiem.

- Nie wyrażaj się w taki sposób o swojej żonie - warknął Francis. - Nic ci nie daje takiego prawa. Poza tym, to przecież wierutna bzdura. Poza kilkoma wizytami w miejscach, które każdy mężczyzna może odwiedzić, nie narażając się na żadne uwagi, prowadziła w Londynie spokojne i godne szacunku życie. Nie ma nic niestosownego w przyjmowaniu wizyt zaprzyjaźnionych mężczyzn.

- Zanim się wdasz w jeszcze bardziej pokrętnie wyjaśnienia, muszę cię ostrzec, że widziałem was wczoraj nad stawem.

Francis spojrział na kuzyna zmrużonymi oczyma. Gerwazy jeszcze nie widział w jego oczach tyle chłodu.

- Była zdenerwowana, z twojego powodu, więc starałem się w miarę swoich możliwości dodać jej otuchy. Jako przyjaciel. Ni mniej, ni więcej.

- Oczekujesz, że w to uwierzę?

- Nie pozwolę nikomu, by nazwał mnie kłamcą, Gerwazy, nawet tobie - odparł Francis z lodowatym spokojem.

- Och, nie mam ci za złe, że uległeś jej czarowi - rzekł wicehrabia zmęczonym głosem.

- Któryż mężczyzna by się oparł? Mogłaby skusić mnicha do zerwania ślubów samym pojawieniem się w pobliżu, a młodzi mężczyźni rzadko posiadają tak silną wolę. Po prostu mnie nie okłamuj.

Francis uderzył dłonią w blat biurka tak mocno, że aż podskoczyły leżące tam pióra i ołówki.

- Do licha, Gerwazy, obrzucasz oszczerstwami zarówno Dianę, jak i mnie. Ona jest dobrą, kochającą i piękną kobietą, a ty na nią nie zasługujesz. Gdybym mógł kochać kobietę, to tylko ją – dodał zduszonym głosem. - Ale przysięgam przed Bogiem, że między nami nie zaszło nic niestosownego. Jesteś zbyt zaślepiiony zazdrością, żeby mi uwierzyć?

Gerwazy wpatrywał się w swego kuzyna z narastającym bólem.

Francis był jego najbliższym przyjacielem, zawsze uczciwym i oddanym bez reszty. Czy naprawdę mógłby go okłamywać? Co więcej, czy on sam potrafił naprawdę uwierzyć, że Diana kłamie, czy też czarna rozpacz zacierała mu jej prawdziwy obraz? Nie było żadnych dowodów na jej nieszczerłość, poza jego własnym przekonaniem, że każda kobieta, na której mu zależy, musi go w końcu zdradzić.

Wsparłszy łokcie na biurku, masował sobie skronie, próbując pogodzić nieznośne świdrowanie w mózgu. Starał się unikać myślenia o Dianie, ale dopiero rozmowa z Francisem uświadomiła mu dlaczego.

Łatwiej mu było uwierzyć w jej kłamstwo niż w miłość. Łatwiej było potępić, niż uwierzyć, że naprawdę szczerze go kocha, tylko on na nią nie zasługuje.

Teraz już nie mógł zaprzeczyć, że Francis ma całkowitą rację, mówiąc, iż Gerwazy nie zasługuje na kobietę, którą poślubił. W głębi duszy zawsze o tym wiedział, ale to w niczym nie umniejszało rozpacz, z jaką teraz musiał się do tego przyznać.

Pogrążony w rozpamiętywaniu własnej niedoli, Gerwazy nie od razu pojął w pełni znaczenie wszystkich słów wypowiedzianych przez Francisca. Inaczej bowiem nigdy by nie zadał pytania:

- Co to znaczy, gdybyś mógł pokochać kobietę?

Nastąpiła długa, niepokojąca cisza. Gerwazy widział, jak twarz Francisca blednie, przybierając odcień popiołu.

- Znaczy dokładnie to, co powiedziałem. - Francis patrzył na kuzyna nieugiętym

spojrzeniem. - Wkrótce wyjeżdżam z Anglii z... przyjacielem. Sądzę, że w przyszłości ułożę sobie życie we Włoszech, może w Grecji. Świat antyczny jest bardziej wyrozumiały dla ludzi takich jak ja.

Gerwazy przeżył wstrząs, zdumiewająco mocny, jeśli wziąć pod uwagę jego wyczerpanie ostatnimi przeżyciami. Wstrząs i odruch wstrętu. Wiedział, że istnieli mężczyźni gustujący w osobnikach własnej płci, ale jeśli nawet zdarzyło mu się o nich myśleć, to jako o zdeprawowanych istotach zepchniętych gdzieś na obrzeża społeczeństwa. O ludziach, którzy mieli perwersje niemal wypisaną na twarzach.

Nie mogli w niczym przypominać Francisa, inteligentnego i honorowego. Nie mogli być jego przyjaciółmi.

- Nie - wydusił z siebie chrapliwie, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co usłyszał.  
- To niemożliwe.

- Nie tylko możliwe... lecz pewne. Gdybym mógł być inny, byłbym bardzo chętnie, ale nie mam wyboru. - Choć głos Francisa brzmiał spokojnie, na jego szyi pokazała się wyraźnie pulsująca żyła. - Jesteś nie tylko moim przyjacielem, ale i głową rodziny. Uznałem, że powinienes wiedzieć, że nie możesz na mnie liczyć w kwestii potomków.

Gerwazy zdał sobie sprawę, że kurczowo zaciska w dłoni przycisk do papieru; z trudem zmusił się do rozluźnienia sztywnych palców i odłożenia go na biurko. Miał w głowie całkowity chaos.

- Jeśli ośmielisz się dotknąć mojego syna, zabiję cię – wyrzucił z siebie, nim zdążył pomyśleć.

Francis najpierw poczerwieniał, a potem krew odpłynęła mu z twarzy. Poderwał się od biurka tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło.

- Wiem, że potrafisz być ślepy i nieczuły - powiedział złowrogo ściszonego głosem. - Ale nie sądziłem, że jesteś aż takim głupcem.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Echo jego słów ciężko zawisło w powietrzu.

Gerwazy uniósł się na krześle, wyciągając rękę za odchodzącym kuzynem, jakby chciał cofnąć to, co mu się nieopatrznie wyrwało, a potem znów opadł na miejsce. Poczł tak straszny ucisk na sercu, jakby zaraz miało mu odmówić posłuszeństwa, zgniecione nadmiarem trosk. Ale jego serce wciąż biło, krew płynęła w żyłach, a płuca wciągały i wydychały powietrze. Ciało Gerwazego nadal funkcjonowało jakby nigdy nic, chociaż jego życie legło w gruzach.

Raz jeszcze ukrył twarz w dłoniach, tym razem próbując się pogodzić z niespodziewanym wyznaniem swego kuzyna. Francis się nie zmienił, tylko on inaczej go

teraz odbierał. Kuzyn zaufał mu na tyle, by się zwierzyć, a on go zawiódł, obrażając, zamiast zrozumieć. Pożądanie innych mężczyzn to nie to samo, co odczuwanie pożądania w stosunku do dzieci. Tylko własne doświadczenie Gerwazego, to że był molestowany przez dorosłą osobę, której ufał, mogło go skłonić do wyrażenia tak niewybaczalnego podejrzenia.

Zawiódł Francisa, tak jak wcześniej zawiódł Dianę. Ona także mu zaufała, oczekując zrozumienia, a on zachował się niegodziwie, oskarżając ją o zdradę i nieuczciwość. „Niezależnie od tego, co zrobiłeś i jak bardzo siebie nienawidzisz, kocham cię. bo jesteś wart miłości”.

Gerwazy nade wszystko pragnął jej uwierzyć, pragnął pójść do niej i błagać o przebaczenie, złożyć głowę na jej piersi i chłonąć bijące od niej ciepło, dopóki nie uśmierzy jego bólu, ale dzieląca ich przepaść była zbyt głęboka, padło za wiele niewybaczalnych słów. Ostatniej nocy w odruchu litości chciała go pocieszyć, lecz jej gniew i nienawiść były prawdziwe, podobnie jak odraza, którą wzbudził w niej opowieścią o uwiedzeniu przez matkę. Nie zdołała ukryć swego obrzydzenia i ono także miało ich dzielić w przyszłości.

Gorączkowo poszukiwał w myślach możliwych rozwiązań. Zaproponował jej separację, ale skoro ich małżeństwo było zawarte pod przymusem, mogła istnieć szansa na uzyskanie unieważnienia. Majątek i wpływy były w tym przypadku wielce pomocne. Jak powiedziała z pogardą Diana, nie było w świecie dość pieniędzy, żeby mógł kupić za nie czyste sumienie, więc jedynym prezentem, jaki mógł jej dać, czyniąc zadość za doznane krzywdy, była wolność. Bez piętna rozvodu mogła znaleźć zanego, kochającego męża, o jakim marzyła, będąc dzieckiem. Człowieka godnego siebie.

Gerwazy porzucił wszelką nadzieję i pogodził się z tym, że już zawsze będzie samotny.

Diana spędziła dzień w pokoju dziecięcym, szyjąc koszulki dla Geoffreya. Monotonne zajęcie uspokajało ją, podobnie jak milczące towarzystwo Madeline. Czowała się zawieszona w czasie; nie wiedziała, co robić dalej, lecz równocześnie miała świadomość, że nie może się cofnąć. Odczuwała ból dręczący Gerwazego, mimo bariery, którą się od niej szczerze odgradził. Nie mogła mu w żaden sposób pomóc. Wiedziała, że z czasem Gerwazy znów pogrzebie straszne wspomnienia na dnie studni i jakoś ułoży sobie życie. Musiał mieć w sobie niewiarygodną siłę. skoro przetrwał to, co go spotkało, i Diana nie wątpiła, że ta siła pomoże mu pokonać także obecny kryzys.

Niestety, nie była już taka pewna, czy kiedykolwiek Gerwazy będzie mógł na nią patrzeć, nie wzbudzając przy tym dawnych cierpień. Musiał ją nienawidzić, bo go zmusiła do wyznania tego, co chciał ukryć nawet przed sobą. Żałowała, że nie może cofnąć wszystkich



swoich rzuconych w gniewie oskarżeń. Owszem, była zła i miała do tego prawo. Nic nie mogło usprawiedliwić gwałtu. Ale jej ojciec był większym winowajcą, bo to on zmusił Gerwazego do ślubu, a potem zostawił córkę na pastwę losu, wiedząc, że mąż ją porzucił i wyniósł się z gospody.

Jej intencje też nie były całkiem czyste; gdyby była choć w połowie tak święta, jak sądzili ludzie, nie pragnęłaby widzieć, jak jej mąż płaci za swoje winy. Może nie chciała go ukrzyżować, ale różnica polegała jedynie na stopniu surowości kary. A gdyby nie jej tchórzostwo, nie znaleźliby się w takim położeniu.

Siedziała zamyślona, z robótką na kolanach. Z ulgą powitała wczesną kolację w pokoju dziecięcym, a kiedy Geoffrey zaproponował przechadzkę po ogrodzie, zgodziła się z nadzieją, że paplanina syna każe jej choć na chwilę zapomnieć o troskach.

Świeże wieczorne powietrze było miłą odmianą po dniu spędzonym w czterech ścianach. Goście Gerwazego zwykle o tej porze gromadzili się w salonie, popijając sherry, więc na zewnątrz nie było nikogo, przed kim musiałaby udawać czarującą gospodynię. A nie była pewna, czy stać ją choćby na zwykłą uprzejmość.

Wysoko nad nią para ciemnych przenikliwych oczu obserwowała ogród z okna domu. Hrabia de Veseul nie zauważył chłopca wyprzedzającego matkę; widział tylko kobietę o kuszącej smukłej sylwetce, poruszającą się z niewymuszoną gracją. Rozległy ogród był pusty, więc Diana, lady St. Aubyn, nie mogła mu tym razem uciec. Musiał się jednak pośpieszyć, jako że należało dołączyć do reszty gości, zanim jego nieobecność zostanie dostrzeżona.

Musiał się także upewnić, że nie będzie mogła nikogo zawiadomić o gwałcie; St. Aubyn mógł obojętnie traktować żonę, ale bez wątplenia nie spodoba mu się, że ktoś narusza jego własność. Veseul bezwiednie pogłodził główkę węża. Perspektywa była zaiste podniecająca. Posiądzie i zniszczy żonę lorda St. Aubyn, a potem uda się do Londynu i unicestwi człowieka, którego wicehrabia uważa za bohatera. A St. Aubyn nie będzie mógł niczemu zapobiec ani się zemścić.

Geoffrey zachowywał się jak psotny szczeniak, wybiegał naprzód i wracał, wskazując matce różne ciekawe rzeczy. Ogrody Aubynwood rozwijały się przez wieki i było w nich wszystko, począwszy od zielnych rabat, przez rzadkie okazy roślin, po labirynt. Geoffrey prowadził ją właśnie do labiryntu.

- Cheslow, naczelny ogrodnik, mówi, że nasz labirynt jest najlepszy w całej Anglii - zachwalał matce z dumą. - Nawet lepszy od tego w Hampton Court.

Zaskoczył ją, używając słowa „nasz”. Pomyślała ze smutkiem, że rzeczywiście posiadłość należy do jej męża, a kiedyś będzie własnością syna, ale dla niej nie ma miejsca w

Aubynwood. Tak naprawdę była bardziej kochanką niż żoną.

Ponieważ nie było także miejsca na uzalanie się nad sobą, więc na chwilę zaniechała ponurych rozważań.

- Czy Cheslow mówił, jak stary jest ten labirynt?

- Został założony w czasach królowej Elżbiety. Z zewnątrz ma kształt kwadratu, ale wewnątrz jest cały poplątany. Do środka prowadzi tylko jedna droga, a do wyjścia inna, krótsza. Wiedziałaś, że można znaleźć przejście, cały czas dotykając ręką ściany po lewej stronie i zawsze skręcając w lewo? Można też iść w prawo - dodał skrupulatnie. - Tylko wtedy trzeba skręcać w tę samą stronę.

- Naprawdę? - zainteresowała się szczerze. - Rozumiem. Przechodzi się wtedy wszystkimi ślepymi alejkami i zaułkami, ale nie ma możliwości, żeby się zgubić i w końcu znajduje się wyjście. Jak w zabawie z żółciem i zajacem.

Stali właśnie przed wejściem do labiryntu: widok był zaiste wspaniały. Cisowe zarośla były niesamowicie gęste, przycięte z matematyczną dokładnością i wznosiły się dobrze ponad głowę dorosłego mężczyzny. Po obu stronach wejścia stały posągi greckiego boga i bogini. Diana przypomniała sobie, że czytała gdzieś, jakoby antyczne labirynty były związane z płodnością, co zapewne tłumaczyło wyraz oczekiwania na twarzy kamiennego Apolla.

- Byłeś już kiedyś w tym labiryncie?

- O tak, wiele razy. - Geoffreyowi zabłyśły oczy. - Chciałabyś spróbować złapać mnie w środku?

- Chcesz wykorzystać moją niewiedzę - oburzyła się żartobliwie.

Geoffrey uśmiechnął się tylko łobuzersko, bo wiedział, że nie musi potwierdzać jej przypuszczeń.

- No dobrze - zgodziła się z udawaną rezygnacją. - Żartuj sobie z matki. Ale jeśli nie będę umiała się wydostać, musisz wrócić i mnie uratować.

- Nie martw się, poczekam na ciebie w środku, a później cię wyprowadzę - obiecał wielkodusznie. A potem wbiegł pomiędzy zielone ściany, popiskując z uciechy, dopóki sobie nie uświadomił, że głos może zdradzić jego położenie.

Diana postanowiła dać mu minutę wyprzedzenia i zaczęła odliczanie, przyglądając się uważnie rzeźbom. Sprawiły wrażenie oryginalnych antyków; miała zatem przed sobą kolejne okazy bezcennych skarbów Aubynwood. Pograżona w myślach, nie usłyszała cichych kroków na trawie. Nie miała pojęcia, że nie jest sama, dopóki na jej szyi nie spoczęła silna męska ręka. Długie mocne palce gładziły jej skórę z obraźliwą poufałością. Diana skamieniała, poznawszy natychmiast, że to nie Gerwazy jej dotyka.

Odwróciwszy się gwałtownie, stanęła twarzą w twarz z hrabią de Veseul. Był ubrany na czarno i wyglądał jak wytworne wcielenie zła. Zmartwiała ze strachu. Jednakże teraz była panią Aubynwood, nie byle kim, więc uznała, że Veseul nie ośmieli się jej napastować.

- Dobry wieczór, monsieur le comte - odezwała się, przybierając najbardziej wyniosły ton, na jaki było ją stać. - Nie je pan kolacji razem z resztą gości?

- Później do nich dołączę - odparł niedbale. - Zobaczyłem panią idącą w tę stronę i postanowiłem... złożyć uszanowanie. Wzywają mnie interesy, więc rano muszę wyjechać.

- Jaka szkoda. Mam nadzieję, że dobrze się pan bawił. - Stali zbyt blisko siebie, co wprawiało ją w zakłopotanie, więc cofnęła się nieznacznie.

- Najlepsze dopiero przede mną. - Unosząc laskę, z którą się nigdy nie rozstawał, dotknął złotą główką jej policzka.

Wzdrygnęła się.

- Monsieur, pozwala pan sobie na zbyt wiele. Proszę tego więcej nie robić.

- Będę robił, co tylko mi się spodoba. - Roześmiał się swobodnie; świdrujący wyraz ciemnych oczu złowrogo kontrastował z lekkim tonem. - Wezmę to, czego pragnąłem od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem w teatrze. Jesteś dziełem sztuki, ma petite, a wielka sztuka nie powinna się marnować, dając przyjemność tylko jednemu człowiekowi.

Znów się cofnęła, tym razem już poważnie wystraszona jego zuchwałością.

- Mojemu mężowi tak samo jak mnie nie spodoba się pańska impertynencja - rzuciła ostro. - Jeśli pan natychmiast nie wyjedzie, powiem mu o pańskim karygodnym zachowaniu. Człowiek rozsądny nie chciałby się narażać na niezadowolenie lorda St. Aubyn.

- Nic mu nie powiesz, ma petite. - Resztki uprzejmości znikły bez śladu. - Zabawię się z tobą, a kiedy skończę, już nikt nigdy nie będzie cię miał.

Wyciągnął rękę i położył dłoń na jej obojczyku, ostrzegawczo przesuwając kciukiem po gardle. W drugiej ręce trzymał uniesioną w górę laskę. Jego siła fizyczna z tak bliskiej odległości wydała się jeszcze potężniejsza. Diana stała jak sparaliżowana. Zło, które zawsze w nim wyczuwała, teraz objawiło się w pełni; nie miała wątpliwości, że hrabia jest zdolny ją zgwałcić i zamordować, a potem wraz z resztą gości posilać się kolacją. Następna myśl była jeszcze potworniejsza; jeśli Geoffrey wróci, żeby sprawdzić, co zatrzymało matkę, także zostanie zamordowany.

Przerażenie wróciło jej siły. Wywinęła się spod ręki Veseula, nim zdążył wzmocnić uchwyt. Myśli przebiegały jej przez głowę z prędkością błyskawicy. Wiedziała, że nie zdoła mu uciec przez trawnik, a był tak blisko, że gdyby sięgnęła po nóż, bez trudu by jej go odebrał. Diana wydała z siebie jeden krzyk w nadziei, że ktoś może się znajdować w pobliżu,

a potem bez namysłu wbiegła do labiryntu.

Gerwazy krążył między gośćmi, wykorzystując konieczność pełnienia obowiązków gospodarza do unikania dłuższych rozmów. Zauważył, że w tłumie brakuje Veseula; hrabia przysłał mu wcześniej uprzejmy liścik, w którym przepraszał, że musi wyjechać zaraz z rana. Gerwazy chętnie by się go pozbył choćby natychmiast, tyle że nie posunął się wiele w wyjaśnieniu oszustwa, o które go podejrzewał. Przez ostatnie kilka dni Veseul zachowywał się tak, jakby wiedział, że ciąży na nim podejrzenie, i grał na nosie człowiekowi, próbującemu go zdemaskować. W takich momentach Gerwazy doceniał francuski system policyjny; z największą przyjemnością wtrąciłby Veseula do więzienia. W Wielkiej Brytanii nie było to jednak takie proste, zwłaszcza kiedy podejrzany dysponował majątkiem i szerokimi koneksjami.

Uśmiechnął się bezwiednie do pani Oliphant, która wyrażała nadzieję, że droga lady St. Aubyn, uroczą młodą gospodyni, ma się już lepiej. Mrucząc pod nosem jakąś stosowną formułkę, oddalił się czym prędzej. W istocie Gerwazy był zadowolony, że żona nadal nie wchodzi mu w drogę. Pomysł anulowania małżeństwa był najrozsądniejszym wyjściem z sytuacji, ale gdyby znów zobaczył Dianę, trudno by mu było trzymać się swego postanowienia.

Skoro już zdecydował, jak postąpić wobec żony, nadszedł czas, żeby przeprosić Francisca. Zaczął się przeciskać przez tłum w kierunku swego kuzyna. Widząc go, Francis skrzywił się i odwrócił plecami, nawiązując dyskusję z jakimś człowiekiem z ministerstwa spraw zagranicznych. Gerwazy niecierpliwie czekał na przerwę w ich rozmowie, a kiedy wreszcie nastąpiła, odezwał się cicho:

- Mógłbyś na moment wyjść do holu?

Francis zmroził go spojrzeniem.

- Boisz się, że pozarażam ci gości?

- Nie! Proszę, wyjdź. - Przeprosiny były wystarczająco trudne nawet na osobności.

Razem skierowali się do wyjścia, opuszczając żywy, pogodnie usposobiony tłum.

Alejka wejściowa była krótka, prawie natychmiast skręcała w prawo i rozwidlała się na dwie ścieżki prowadzące w przeciwnych kierunkach. Diana bez zastanowienia rzuciła się w lewo. Biegła przed siebie po krótko przyciętej trawie z nadzieją, że uda jej się zniknąć Veseulowi z oczu. Na kolejnym rozwidleniu znów skręciła w lewo. Znalazła się w ślepych zaułku, więc zawróciła tą samą drogą. Krzyknęła cicho, licząc, że jej głos przyciągnie uwagę Geoffreya, nie zdradzając przy tym Veseulowi, że w labiryncie znajduje się trzecia osoba. Kiedy była w połowie alejki, przy jej końcu ukazał się Geoffrey. Rzucił się biegiem ku matce

i już miał coś zawołać, ale powstrzymała go, dając mu znak palcem przyłożonym do ust. Zdziwił się, ale usłuchał. Po chwili Diana znalazła się obok niego i przyklękawszy zbliżyła usta do jego ucha.

- Geoffreyu, w labiryncie jest pewien bardzo zły człowiek - szepnęła bez tchu. - Znasz drogę na tyle dobrze, żeby bez błędzenia wyprowadzić nas stąd na drugą stronę?

Zastanowił się, a potem odparł również szeptem:

- Nie. - Był zaciekawiony, ale jeszcze się nie bał.

Diana biła się z myślami. Jeśli ona i Geoffrey zostaną razem, prawdopodobnie oboje wpadną na Veseula i żadne z nich nie ujdzie z życiem. Natrafiła wzrokiem na podstawę gęstego zielonego płotu. Ciężkie gałęzie cisu sięgały niemal do ziemi, ale przy samym podłożu było trochę miejsca. Nie dość, by dorosła osoba mogła się tamtędy przecisnąć, ale wystarczająco dużo dla małego dziecka. Pomodliła się szybko w duchu, żeby Veseul nagle się nie zjawił.

- Mógłbyś się prześliznąć pod żywoplotem i wydostać się z labiryntu najkrótszą, najszybszą drogą? - spytała niecierpliwie.

Geoffrey przyjrzał się wąskiej szparze i przytaknął.

- Tak, ale zniszczę sobie ubranie.

- To nie ma znaczenia! - Diana usiłowała stłumić nuty paniki w głosie, nie chcąc przstraszyć syna. - Śpiesz się, jak tylko możesz i uważaj, żeby Veseul cię nie widział. To bardzo niegodziwy człowiek. Gdyby przypadkiem cię złapał, krzycz, to do ciebie przybiegnę. Kiedy się znajdziesz na zewnątrz, pędź do domu i sprowadź pomoc. Rozumiesz wszystko, co mówię?

Geoffrey pokiwał głową. Wyczuwając niebezpieczeństwo, spojrzał na matkę z niepokojem, a potem uścisnął ją szybko i zniknął pod najbliższym krzewem.

Diana zatrzymała się tylko na moment, by posłać za synem znak błogosławieństwa, a potem uniosła spódnicę nad kostki i pobiegła. Cienkie skórzane pantofelki dotykały trawy bezszelestnie. Na następnym skrzyżowaniu znowu skręciła w lewo. Słońce chyliło się już ku zachodowi, więc choć niebo w górze wciąż było jasne i czyste, pomiędzy rzędami cisów panował chłodny cień. Nie widziała Francuza, ale przy końcu alejki po prawej stronie rozległ się szelest gałęzi. Pewny zdobyczy hrabia posuwał się bez pośpiechu, nie dbając nawet o zachowanie ciszy.

Chcąc przyciągnąć jego uwagę, by przypadkiem nie usłyszał Geoffreya, Diana westchnęła niezbyt głośno, lecz tak, żeby ją usłyszał, nim skręciła w nową ścieżkę. W odpowiedzi dobiegł ją złośliwy chichot.

- Bardzo się cieszę, że próbujesz uciekać, ma petite, bo tak jest jeszcze bardziej podniecająco. - Zabrzmiało to jak syczenie, jakby złoty wąż z laski nagle ożył. - Nie uda ci się. Jeszcze chwila i kolejny zakręt wprowadzi cię prosto w moje ramiona.

Wyrwał jej się cichutki pisk strachu. Nie wiedziała, czy Geoffrey już wydostał się z pułapki. Daj Boże, żeby nie wrócił, powodowany ciekawością. Znow natrafiła na nieprzebytą zieloną przeszkodę - ślepy zaułek. Odwróciła się i pobiegła z powrotem.

Na następnym rozwidleniu przystanąła, nasłuchując. Usłyszała ciężki oddech i szelest liści ocierających się o ubranie, ale w plątaninie ścieżek nie sposób było ustalić, skąd dobiegają odgłosy. Veseul mógł być dosłownie wszędzie. Mógł ją wyprzedzić i teraz spokojnie czekać, mógł się czaić tuż obok, za zasłoną żywopłotu. Niepewność była równie przerażająca jak jego obecność.

Przebiegła następną alejkę. Labirynt od środka wydawał się znacznie większy niż z zewnątrz, a słodkie ogrodowe zapachy późnego lata jakby sobie drwiły z ich upiornej zabawy w kotka i myszkę. Ile czasu jeszcze zabierze jej odnalezienie drogi do wyjścia? Gdyby jej się udało uciec z labiryntu choćby minutę przed Francuzem, miałyby szansę uwolnić się od niego.

Stała na kolejnym skrzyżowaniu ścieżek, zasłuchana, z trudem łapiąc oddech. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, z ciemnej ściany zieleni wyłoniła się odziana na czarno ręka i złapała ją za ramię żelaznym uściskiem. Tym razem jej krzyk był całkowicie spontaniczny.

Geoffrey wygrzebał się spod zewnętrznej ściany żywopłotu, zostawiając potarganą kurtkę na cisowych gałęziach. Podnosząc się na nogi, usłyszał przeraźliwy krzyk matki i odruchowo ruszył w stronę wejścia do labiryntu. Zaraz jednak znow przystanął. Nie mógł sobie poradzić w pojedynkę z tym złym człowiekiem, musiał biec po pomoc, tak jak kazała mu mama.

Gnając, ile sił w nogach, przeciął różane rabaty, zdążając w kierunku domu. Ogród wydawał mu się nieznośnie wielki, a dom niemożliwie odległy. Zakłuło go w boku, miał trudności z chwytniem powietrza, ale nie zwalniał. I nagle, już na skraju ogrodu, poczuł znajome szarpanie w głowie, jakby jakaś niewidzialna lina wciągała go w atak epilepsji.

Chwył Francuza był brutalny i bolesny. Z żywopłotu wysunęła się druga ręka i zaczęła po omacku błądzić po ciele Diany, by wreszcie natrafić na pierś i zacisnąć się mocno. Zrobiło jej się niedobrze z obrzydzenia i bólu. Jedyłą pociechę stanowił fakt, że napastnik znajdował się po drugiej stronie żywopłotu. Mógł ją jednak unieruchomić, a następnie dojść do miejsca, gdzie się znajdowała. Ta myśl dodała jej sił do walki.

- Najpierw zedre z ciebie ubranie, żeby sprawdzić, czy cała jesteś tak doskonała jak to,

co widać. - Veseul cedził groźby niskim, niemal śpiewnym głosem. - A potem cię posiadę, na wszystkie możliwe sposoby, podczas gdy ty będziesz się bronić. - Dyszał ciężko z podniecenia. Perwersyjne wizje wytrąciły go z jego zwykłego sposobu bycia. - Szczęśliwie się składa, że nikogo nie ma w pobliżu, więc nie będę musiał tłumić twoich krzyków.

Obrzydliwe uwagi doprowadziły Dianę do furii. Udało jej się pochylić głowę i z całej siły wbić zęby w nadgarstek prześladowcy. Pod wpływem bólu rozluźnił na moment palce, co natychmiast wykorzystała, by mu się wyrwać. Pobiegła przed siebie najbliższą alejką.

- Nie powinnaś była tego robić, ma petite. - Jego syczący głos i chrapliwy oddech wypełniały cały labirynt, dobiegały równocześnie ze wszystkich stron. Słyszała też jego ciężkie kroki, już nie tak powolne jak wcześniej.

Następne skrzyżowanie. Kolejny zakręt w lewo. I, o zgrozo, znowu ślepy zaułek i Veseul tuż za nią, w odległości niespełna dwudziestu stóp. Lubieżny uśmiech rozciągnął mu rysy. Wszelkie ślady męskiej urody zniknęły z niczemnej twarzy, zastąpione wyrazem szaleństwa. Z przerażeniem zaszczutego zająca Diana dostrzegła szerszą niż w innych miejscach szparę pod żywopłotem. Natychmiast padła na ziemię i w dzikim pośpiechu wśliznęła się pod gałęzie.

Jakimś cudem udało jej się przecisnąć na drugą stronę. Stare zgrubiałe szpilki cisu drapały ją po plecach, drąc cienki muślin sukni. Zgubiła jeden pantofel, ale zyskała moment oddechu; człowiek rozmiarów Veseula nie mógł się zmieścić w szczelinie. Słyszała tylko jego wściekłe przekleństwa.

Poderwała się na nogi i pobiegła w lewo. Serce waliło jej w piersi, jakby zaraz miało wyskoczyć. Traciła siły, a wraz z nimi nadzieję, że uda jej się uciec. Zastanawiała się, czy nie lepiej stanąć i czekać na prześladowcę z nożem w dłoni, ale nie była pewna, czy potrafi zabić człowieka, nawet w obronie własnego życia. A nie miała odwagi się przekonać.

Geoffrey starał się powstrzymać atak, wkładając w walkę całą siłę woli i umiejętności nabyte podczas trudnego dorostania z chorobą.

- Nie! - krzyknął, zginając się wpół i mocno uciskając rękami skronie. - Nie!

Podsycana rozpaczą wola zwyciężyła. Szarpanie w głowie ustąpiło, choć nie odeszło daleko. Wyprostował się i chwiejnie ruszył przez podjazd w stronę domu, czując jak atak czai się na granicy jego świadomości, niczym drapieżnik czekający na chwilę nieuwagi upatrzonej ofiary.

Słyszała za plecami dyszenie Veseula. Już nie był spokojny. Groźby ustąpiły miejsca strumieniowi francuskich przekleństw, których na szczęście nie rozumiała. Jeszcze jeden zakręt i znalazła się w okrągłym sercu labiryntu.

Ożywiona nową nadzieją, której towarzyszył przyływ nowych sił, wbiegła na niewielką polankę. Kiedy była w połowie drogi, dopadł ją świszczący głos:

- Nareszcie cię mam, mała dziwko.

Przyśpieszyła, ale kiedy już miała wbiec na ścieżkę prowadzącą ku wolności, mocne uderzenie pomiędzy łopatkami rzuciło ją na kolana, a ból zaparł jej dech w piersi. Veseul rzucił w nią laską. Kątem oka widziała złotą główkę węża błyszczącą złowrogo na tle zielonej trawy. Odretwiała ze strachu i zmęczenia, pozbierała się na nogi.

Nim poderwała się do ucieczki, nim zdążyła sięgnąć po nóż, Veseul przebiegł przez polankę i ją dopadł.



Francis, pochmurny i nieugięty, czekał, aż Gerwazy się odezwie. Choć zza drzwi do salonu dobiegał ich gwar rozmów, tu, w wysokim na dwa piętra holu wejściowym, byli sami, połączeni krwią i rozdzieleni napięciem.

Nie wiedząc, jak zacząć, Gerwazy przyglądał się czternastowiecznej zbroi stojącej pod ścianą, dziwiąc się przy tym, dlaczego, u diabła, właśnie tam ją umieszczono. Widocznie podobała się jego dziadkowi. A może pradziadkowi. Położywszy jedną rękę na przyłbicy, wykrztusił w końcu, nie patrząc na Francisca:

- Przepraszam za to... co powiedziałem wcześniej. To było niewybaczalne.

- Owszem, było.

Francis nie zamierzał niczego mu ułatwiać. Gerwazy śledził rozbłyśki światła na wypolerowanym hełmie.

- To, co powiedziałem... - dukał z wysiłkiem - ...nie miało nic wspólnego z tobą ani z Geoffreyem. Chodziło wyłącznie o mnie.

Zaniepokojony przedłużającym się milczeniem kuzyna, Gerwazy odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

Francis patrzył na niego z trochę niepokojącą uwagą, ale w jego oczach było już mniej wrogości. Z pewnością dostrzegał więcej, niż Gerwazy by sobie życzył.

- Dobrze - rzekł krótko. - Uznajmy sprawę za zapomnianą. To, co ci powiedziałem, każdego by zszokowało. Ale z pewnością wiesz... - ściszył głos, rozglądając się dookoła, żeby sprawdzić, czy są sami - że nie napastowałbym młodego chłopca, tak samo jak ty nie zgwałciłbyś młodej dziewczyny.

Wicehrabia aż się wzdrygnął. Nie wątpił, że Geoffrey byłby znacznie bezpieczniejszy przy Francisie niż młoda Diana przy nim. Próbował ukryć swoje zmieszanie przed czujnym spojrzeniem niebieskich oczu.

- Wątpię, byś kiedykolwiek zdołał mi dorównać, jeśli chodzi o naganne prowadzenie się.

Francis zaśmiał się, ocieplając tym nieco atmosferę.

- Będziemy się musieli wybrać razem do mojego klubu jeszcze przed moim wyjazdem, żeby sprawdzić plotki o twojej rozwiązłości.

Gerwazy był zadowolony, że zdołał naprawić przynajmniej tę sprawę. Wyciągnął rękę do kuzyna.

- Będzie mi ciebie brakowało.

- Mnie także będzie ciebie brakowało. Będę czasami zaglądał do Anglii. A ty też możesz mnie odwiedzić, kiedy już się gdzieś urządzimy. - Francis ujął oburącz dłoń Gerwazego. Przez chwilę stali złączeni nie tylko uściskiem i krwią, ale też szczęśliwymi wspomnieniami z czasów, kiedy Francis we wszystkim naśladował starszego kuzyna, czcząc go i podziwiając.

W tym momencie do holu wpadł Geoffrey, przebiegł po marmurowej posadzce i zatrzymał się dopiero wpadając na ojca. Chłopiec był bez okrycia, brudny, miał krwawiące zadrapanie na policzku i przerażenie w oczach.

- Proszę, musisz pomóc mamie! - wyrzucił z siebie bez tchu. - Jest w labiryncie i goni ją zły człowiek!

Gerwazy w pierwszej chwili zeszywniał; zazdrość podpowiadała mu że żona spotkała się z kochankiem, a chłopiec opacznie zrozumiał sytuację. Podejrzenie natychmiast się rozwiało, kiedy Geoffrey chwycił go za rękę i zaczął nią gwałtownie potrząsać.

- Powiedziała, że to Veseul! Wysłała mnie po pomoc! Mama krzyczała! On chce ją skrzywdzić!

Nagle, ku przerażeniu obu mężczyzn, chłopiec wywrócił oczyma i upadł na posadzkę, wyprężony w pierwszej fazie ataku. Jego chrapliwy oddech odbijał się echem w pustym holu.

Przeklinając. Gerwazy uklęknął przy synu, równocześnie ściągając z siebie frak i wkładając pod głowę chłopca. Miał świadomość, że choć atak wygląda groźnie. Geoffrey potrzebuje go w tej chwili znacznie mniej niż Diana. Zdjęty lodowatym strachem wicehrabia nagle poczuł, jak w jego głowie fragmenty informacji układają się w całkiem nowy wzór. To nie szpiegostwo kazało Veseulowi krążyć wokół domu Diany, lecz jej uroda i bliski związek z Gerwazym. Francuz miał zakaz wstępu do londyńskich domów publicznych z powodu swego okrucieństwa. I nie odważyłby się zaatakować Diany w Aubynwood, gdyby nie miał pewności, że nie będzie żadnych świadków jego zbrodni. Gerwazy poderwał się na nogi.

- Atak ustąpi za minutę lub dwie. Przypilnuj, żeby sobie nie zrobił krzywdy - mówił tonem wojskowego rozkazu. - Sprowadź jego opiekunkę. Madeline, ona będzie wiedziała, co robić. A potem wyślij kogoś za mną do labiryntu. Veseul jest niebezpieczny.

Kiedy wicehrabia biegiem ruszył do drzwi, Francis zajął jego miejsce przy wijącym się w konwulsjach dziecku, kładąc mu delikatnie rękę na czole. Mimo przykrych okoliczności, poczuł wokół serca miłe ciepło. Powierzając mu los syna, Gerwazy zatarał wcześniejsze oszczerstwo znacznie skuteczniej, niż mogłyby to zrobić najbardziej wylewne słowne przeprosiny.

Veseul trzymał Dianę jedną ręką, pochylając się nad nią całym swym muskularnym

ciałem. Dyszał głośno, a z jego oczu wyzierała bestia, która zawsze czaiła się pod maską ugrzecznienia. Bez pośpiechu, dobrze mierząc, zamachnął się drugą ręką i wymierzył Dianie mocny cios w bok głowy.

- To cię powinno trochę ostudzić, mała dziwko.

Diana omal nie zemdląła; głowa odskoczyła jej bezwładnie. Leżała bezradna niczym lalka, kiedy usiadł na niej okrakiem, zgniatając jej uda swym ciężarem. Była całkowicie unieruchomiona. Veseul znowu się nieco uspokoił. Nie zwracając najmniejszej uwagi na słabe ruchy jej rąk, przyłożył ciężką dłoń do jej policzka.

- Wspaniała, absolutnie doskonała - rzekł przeciągłym, jakby śpiewnym tonem. - Gdybyś tylko okazała trochę dobrej woli, mógłbym ci pokazać rozkosze, jakich nigdy nie zaznałaś z żadnym Anglikiem. Ci Anglicy, o zimnych sercach i zimnych rękach.

Wsunął palce w jej włosy, drugą rękę zaciskając na piersi.

- Jedwab i miękkość... wszystko, co powinna mieć kobieta. Właściwie szkoda, że muszę cię zabić, ale niszczenie piękna jest aktem najwyższej sztuki, więc da mi siłę i władzę. Nikt nigdy się o tym nie dowie, co da mi jeszcze większą władzę.

Jego oczywiste szaleństwo paraliżowało ją nie mniej niż fizyczna przemoc. Niedbałym szarpnięciem Veseul rozdarł stanik sukni, obnażając jej piersi. Wodząc dłonią po jej nagim ciele westchnął lubieżnie i zaczął powoli, rytmicznie ocierać się o nią.

- Szkoda, że mamy tak mało czasu, ale wystarczy – powiedział zadziwiająco obojętnym tonem. - Jestem artystą zniszczenia. Dziś zniszczę cię, najczystsze wcielenie kobiecości, jakie w życiu widziałem. Potem pojedę do Londynu i rozsnuję pajęczynę błyskotliwych kłamstw, żeby zniszczyć Wellesleya, najświetniejszego żołnierza naszego wieku po samym Bonapartem. A zniszczenie tych dwóch osób spowoduje zniszczenie twojego męża, najczystszej postaci zimnego, twardego Anglika.

Przez całe życie Diany jej uroda przyciągała niepożądaną uwagę i przemoc, ale jeszcze nigdy nie czuła się aż tak bezbronną ofiarą. Próbowała się bronić, ale Veseul bez wysiłku jedną ręką złapał oba jej nadgarstki i przygwoździł do ziemi nad jej głową. Używał ostrej wody kolońskiej, której zapach przyprawiał Dianę o mdłości, a kiedy wysuwał koniuszek języka, żeby zwilżyć wargi, przypominał węża. Czuła jak pod jego ciężarem drętwieją jej nogi.

- A kiedy dokonam już tego wszystkiego, być może zniszczę również siebie - rzekł z zadumą, przesywając ją świdrującym spojrzeniem. - Ponieważ reszta mojego życia byłaby rozczarowaniem, a ja nienawidzę rozczarowań.

Diana zaczęła krzyżeć w nadziei, że ktoś może się znajdować w pobliżu.

Natychmiast ją powstrzymał przywierając mięsistymi wargami do jej otwartych ust. Jakikolwiek protesty nie miały najmniejszych szans powodzenia, równie dobrze mogła się po prostu poddać. Czowała, jak demon przemocy, który prześladował ją przez całe życie, zbliża się, by zadać ostateczny cios.

Labirynt był miejscem jego zabaw i schronieniem w dzieciństwie. Gerwazy zmusił się do zwolnienia kroku na tyle, by sobie przypomnieć trasę i nie marnować potem bezcennych sekund na błędzenie po ślepych zaułkach. Przez cały czas swego związku z Dianą wybierał niewłaściwe drogi, z lękiem uciekając przed tym, co dawano mu chętnie i szczerze. Teraz, w chwili najcięższego kryzysu, nie mógł sobie pozwolić na powtórzenie tego błędu.

Chociaż znał właściwą ścieżkę, wydawało mu się, że porusza się zbyt wolno, gdy w istocie gnał pomiędzy wysokimi ścianami, ledwie zwalniając na zakrętach. Był w połowie drogi, kiedy usłyszał krzyk Diany, urwany przerażająco gwałtownie.

Gerwazy skamieniał, przekonany, że się spóźnił. Samolubnie zasklepiony w swym poczuciu winy, odrzucał możliwość wybawienia i teraz jedyne światło jego życia zgasło. Zawiódł Dianę, siebie, ich syna i był skazany za swoje grzechy na spędzenie wieczności w mroku.

Po katastrofie została pustka wypełniona jedynie pragnieniem, żeby pomścić Dianę.

Kiedy w gęstniejącym zmierzchu Gerwazy wpadł na polankę w środku labiryntu, ujrzał masywne ciało hrabiego de Veseula przygniatające Dianę do ziemi. Był tak głęboko przekonany, że jego żona nie żyje, że w pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom. Nie dotarło do niego, że ona jednak żyje i walczy z napastnikiem. Dostrzegłszy, że się poruszyła, doznał nieopisanej radości, bo to znaczyło, że tym razem nie zawiódł, że wybawienie wciąż jest możliwe.

Nie było jednak czasu na przeżywanie ulgi. Rzucił się przed siebie bez zastanowienia, powodowany żołnierskim instynktem. Trzema krokami przebył polankę, wydając z siebie głuchy ryk.

Francuz wiedział, kto przyszedł; nie potrzebował się nawet oglądać. Ze zręcznością wilka skoczył na równe nogi. Na wszelki wypadek kopnął Dianę w bok, żeby nie miała siły wtrącać się do walki. Potem stanął twarzą do Gerwazego, przybierając pozę doświadczonego zapaśnika.

Gerwazy zorientował się w mocy przeciwnika; wiedział, że nieprzemyślany atak może go narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo. Doskonalił swe umiejętności walki wręcz w twardej żołnierskiej szkole i na polu bitwy, więc teraz zbliżył się do Veseula i zaczął go okręzać, wypatrując słabego punktu. Wyprowadził na próbę pojedynczy cios lewą ręką.

Veseul zρέcznie się osłonił, odpowiadając podobnym uderzeniem.

Leżąca na trawie, oszołomiona i obolała Diana patrzyła, jak Gerwazy i Veseul krązą wokół siebie w milczeniu, jakby tańczyli jakiś makabryczny taniec. Każdy z nich chciał sprawdzić obronę rywala przed rozpoczęciem otwartego ataku. Nagle szybki cios trafił Veseula w policzek, wytrącając go z równowagi, ale nim Gerwazy zdążył wykorzystać swą przewagę, Francuz odpowiedział celnym kopniakiem w kolano, po którym Gerwazy aż się zachwiał.

W miarę jak mrok gęstniał, zbliżali się do siebie, a kolejne ciosy pozostawiały coraz poważniejsze skutki. Gerwazy był lżejszy i szybszy, ale Veseul ze swą niedźwiedzią posturą byłby nie do pokonania, gdyby zdołał chwycić przeciwnika i w pełni użyć swej siły.

Zginając się wpół po uderzeniu w żebra, Gerwazy opuścił ramię, na co Veseul rzucił się naprzód, mierząc granitową pięścią w jego szczękę. Jednakże słabość Gerwazego była udawana. Chwyając wyciągniętą do ciosu rękę Veseula, wykręcił ją i równocześnie szarpnął. Veseul ciężko zwałił się na ziemię.

Widząc Francuza leżącego bez ruchu. Diana pozbierała się na nogi, ostrożnie dotykając obolałego boku. Gerwazy odwrócił się do niej. wciąż napięty i czujny. Mimo iż dzieliła ich cała szerokość polany, widziała w jego szarych oczach miłość i troskę.

Ich spojrzenia się spotkały i Diana poczuła, jak zasklepia się dzieląca ich przepaść. Niczym tęcza miłości, łącząca ich więź znów zabłysła żywym blaskiem.

- Nic ci się nie stało? - spytał z niepokojem. Miał potargane włosy, pierś falowała mu w ciężkim oddechu.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko pokiwała głową. Nagle kątem oka zobaczyła, że Veseul upadł koło swojej laski. Wykorzystując moment, gdy uwaga Gerwazego zwrócona była na Dianę, hrabia odkręcił główkę węża, odsłaniając długie śmiercionośne ostrze, połyskujące złowrogo w gasnącym świetle dnia. Diana krzyknęła ostrzegawczo, widząc, jak Veseul rzuca się na Gerwazego, mierząc prosto w jego serce.

Gerwazy odskoczył, ale znajdował się za blisko ściany żywopłotu, żeby się bezpiecznie wycofać. Próbował uniknąć trafienia, wychylając się na boki, lecz szpada Veseula podążała w ślad za nim. Diana aż wstrzymała oddech, uświadomiwszy sobie, że nieszczęście jest nieuniknione.

Nie było czasu na myślenie, więc zdała się na instynkt. Z szybkością wypracowaną długimi godzinami ćwiczeń, uniosła spódnice, wyjęła nóż z pokrowca na udzie i cisnęła nim przez polanę, wkładając w rzut całą siłę, jaka jej pozostała. Nóż wzleciał w powietrze i w okamgnieniu wylądował w celu z morderczą dokładnością.

Wysiłek rzucił Dianę na kolana. Sparaliżowana ze strachu patrzyła, jak ostrze wbija się w szyję Veseula. z przeciętej tętnicy chlusta strumień krwi, a bezwładne ciało hrabiego osuwa się na Gerwazego, pociągając go za sobą na ziemię.

Gerwazy padł bez tchu, przygnieciony ciężarem Veseula, ostra jak brzytwa krawędź szabli przejechała mu po żebrach, a krew hrabiego zachlapała mu ubranie. Szalone czarne oczy Veseula wciąż błyszczały niepokojąco, choć szybko uchodziło z nich życie. Przez rozplątane gardło nie mogły już przejść żadne słowa. Gerwazy przez dłuższą chwilę leżał oniemiały, jakby nie mógł uwierzyć, że wciąż żyje. W końcu z obrzydzeniem zepchnął z siebie zwłoki Francuza. Veseul był już nieważny, liczyła się tylko Diana.

Podniósł się z wysiłkiem i chwiejnie pobiegł na drugi koniec polany, gdzie żona klęczała skulona bez ruchu, patrząc w jego stronę przerażonymi oczyma. Opadł przy niej na kolana i objął ją mocnym uściskiem. Drżąc na całym ciele, przyłgnęła do niego, raz po raz powtarzając jego imię. Czuł na piersi gwałtowne trzepotanie jej serca.

- Już po wszystkim, kochanie, już po wszystkim - szeptał rwącym się głosem. - Jesteś już bezpieczna.

Otrząsnąwszy się nieco z szoku po walce, Gerwazy gorączkowo powtarzał w myślach dziękczynną modlitwę. Choć trzymał Dianę w ramionach, wciąż nie do końca mógł uwierzyć, że ona jest przy nim, żyje, nie odniosła poważniejszych obrażeń i tak samo jak on dziękuje Bogu za ocalenie.

Jakiś ostatni zabłąkany w jego duszy demon szepnął, że tak samo lgnęłaby do każdego innego wybawcy, ale Gerwazy nie chciał go słuchać. Nie miał zamiaru dłużej pozwalać, by jego życiem rządziły wątpliwości i nienawiść. Czytał kiedyś, że być kochanym mimo grzechów i słabości jest łaską. Gerwazy wówczas tego nie rozumiał, ale zrozumiał teraz. Diana ofiarowała mu właśnie ten rodzaj miłości, a on zamierzał go przyjąć, uznając to za cud łaski.

Kiedy ją przyciskał do serca, przez głowę przelatywały mu ciągi obrazów: pierwsze spotkanie z Dianą u Henriette Wilson, pierwszy raz, kiedy się kochali, kiedy go uczyła na nowo odzyskiwać niewinność, ich wzajemna bliskość, narastająca zawsze, gdy byli razem. Nawet gorzka rozłąka ostatnich dni miała swoje znaczenie, bo pozwoliła im ujrzeć się naprawdę, bez osłony kłamstw i sekretów.

Dianie było zimno po przebytych wstrząsach. Trzymała się kurczowo męża, rozpaczliwie próbując wyrzucić z umysłu scenę przemocy. Tak ich zastał Francis, kiedy po paru minutach wbiegł na polanę w asyście dwóch potężnie zbudowanych lokai. Nie puszczając Diany, Gerwazy uniół głowę i spojrzał na kuzyna.

- Veseul próbował ją zabić. Sprowadź kogoś... Zajmij się ciałem. Możesz mi pożyczyć swój frak?

Francis bez słowa zdjął elegancki wełniany frak i podał Gerwazemu, który otulił nim żonę. Następnie wziął ją na ręce i wstał. Wydawała mu się niesamowicie lekka i krucha. Miała zamknięte oczy. Kiedy oparła głowę na jego ramieniu, rozpuszczone włosy zakryły jej twarz.

- Zabiorę ją do domu - powiedział do Francisa. - Proszę, zajmij się gośćmi, przeproś ich w moim imieniu... powiedz im cokolwiek, byle nie prawdę. Niech jedzą i piją. Później zajmę się prawną stroną całej tej sprawy.

- Oczywiście. - Po odejściu wicehrabiego z Dianą, Francis wydał lokajom kilka suchych poleceń.

Gerwazy wybrał boczne wejście, gdzie nikt nie mógł ich widzieć i zadawać pytań. Dotarł już do korytarza na piętrze, kiedy zatrzymała go wystraszona Madeline z przejętym Geoffreyem uczeponym jej sukni. Rozumiejąc niepokój chłopca, Gerwazy przyklęknął, nie wypuszczając z objęć Diany. Geoffrey niepewnie wyciągnął rękę do matki.

- Mamo? - Dotknął jej włosów. Wielkie niebieskie oczy mącił lęk.

Dziecięcy głosik przedarł się do skołowanego umysłu Diany.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, zaciskając palce na dłoni syna.

- Nic... mi się nie stało. Świetnie... się spisałeś.

Geoffrey pogłaskał ją po twarzy, a potem zwrócił pytające spojrzenie na ojca.

- Nic jej się nie stało, jest tylko wyczerpana - zapewnił go Gerwazy. - Wszystko będzie dobrze. To krew Veseula, nie jej ani nie moja. Podnosząc się dodał z powagą: - Gdyby nie ty, z pewnością by zginęła.

Uwolniony od ciężaru lęku Geoffrey zachwiał się, szukając oparcia u Madeline.

- Nie martw się, Madeline. Ja się nią zaopiekuję – powiedział Gerwazy do przyjaciółki żony.

Madeline uważnie spojrzała mu w oczy, po czym najwyraźniej zadowolona z tego, co zobaczyła, pokiwała głową i odprowadziła Geoffreya do dzieciennego pokoju.

Gerwazy zabrał Dianę nie do swego pokoju, który był niemym świadkiem gorzkiej sceny między nimi, lecz do jej sypialni, gdzie spędzili razem wiele radosnych godzin. Położył ją na łóżku i zamierzał wstać, ale go powstrzymała.

- Nie! - Objęła go mocno za szyję, nie godząc się nawet na moment rozłąki.

Oboje byli ochlapani krwią Veseula, ale kąpiel i zmiana ubrań zdawała się trywialnie nieważna wobec potrzeby ciepła i bezpieczeństwa. Poza tym Gerwazy tak samo jak Diana

odczuwał pierwotne pragnienie fizycznej bliskości. Trzymając żonę na rękach, usiadł w głębokim bujanym fotelu i zaczął ją delikatnie gładzić po plecach i smukłej szyi. W coraz ciemniejszym pokoju czuł, jak stopniowo ustępuje z niej napięcie.

Gerwazy miał dwadzieścia pięć lat, kiedy po raz pierwszy w bitwie zabił człowieka. Przeciwnik był nieznanym mu osobiście wrogiem, gotowym unicestwić każdego Anglika, a mimo to Gerwazy dostał torsji i długo nawiedzały go koszmary. Choć i dla niego było to trudne doświadczenie, nie był w stanie wyobrazić sobie wstrząsu, jaki przeżyła Diana. Z natury była samą słodyczą i łagodnością, wobec syna, przyjaciół, męża. Widział, jak kiedyś wypuszczała na wolność złapanego w siatkę motyla. A tego wieczoru zabiła człowieka.

Zaczął do niej mówić; otaczał ją dźwiękiem, powtarzał, że niebezpieczeństwo minęło, że Geoffrey ma się dobrze, że on, Gerwazy, bardzo ją kocha. W końcu się poruszyła, zaczęła szybciej oddychać. Wciąż miała pociemniałe tęczęwki, ale już patrzyła przytomnie.

- Zabiłam go?

Wiedział, że musi powiedzieć prawdę.

- Tak. Przykro mi, że tak się musiało stać. - Dotknął jej czoła czułym pocałunkiem. - Wiele mnie nauczyłaś o przebaczeniu, Diano, zarówno słowami, jak i przykładem. Płacz, przeklinaj, cierp, jeśli musisz, ale na koniec sobie wybac. Tragedią jest odbieranie życia, ale w ten sposób uratowałaś życie mnie i sobie. To nie może być złe.

Zacząła szlochać, trzęsąc się gwałtownie, z twarzą wtuloną w jego pobrudzoną krwią koszulę. Paroksyzm żalu, choć gwałtowny, szybko minął: szloch przeszedł w ciche pochlipywanie, a potem całkiem ustał. Siedzieli w milczeniu, ciasno spleceni; jej kasztanowe włosy spływały mu po piersi. W końcu Diana uniosła twarz mokrą od łez.

- Chcę, żebyś się ze mną kochał.

Gerwazy zawahał się, niepewny, czy Diana naprawdę wie, czego pragnie. Była posiniaczona i umazana krwią, a przez ostatnie dni spotkało ją stanowczo zbyt wiele przemocy, nie tylko od Veseula, ale też od niego.

- Proszę, kochany - ponagliła zduszonym szeptem. - Tak bardzo cię potrzebuję.

Zagładając jej głęboko w oczy, Gerwazy zrozumiał i serce mu podskoczyło. Chciała zapomnieć. Oboje potrzebowali złączenia w miłosnym akcie, który by przypieczętował ich pojednanie w ten najgłębszy, najbardziej prawdziwy sposób. Podniósł się z fotela i przeniósł ją do łóżka. Odsunął narzutę i dopiero wtedy położył Dianę na gładkim, chłodnym prześcieradle. Zapalił świecę, żeby mogli się nawzajem widzieć.

- Nic nie uzdrawia tak szybko jak miłość i nikt, nawet bliscy sercu przyjaciele czy dziecko zrodzone z twojej krwi i kości nie może cię kochać tak bardzo, jak ja cię Kocham -



powiedział, patrząc jej w oczy. - Jesteś moim zbawieniem, a w twojej miłości widzę odbicie kochającego Boga, w którego nigdy nie wierzyłem.

Ściągnął z siebie ubranie, uważając by przez cały czas ją dotykać, by nie czuła się opuszczona nawet przez moment. Potem, bezbronny w swej nagości, zdjął z niej zakrwawioną suknię, przez cały czas przemawiając do niej czule. Nieważne były słowa, tylko tkliwy ton, jakim je wypowiadał. Jedwabista skóra na jej żebrach brzydko ściemniała w miejscu, gdzie dosięgnął ją kopniak Veseula. Ukazywały się też inne sińce i zadrapania, każde dostrzeżone przez Gerwazego i potraktowane delikatnym jak muśnięcie pocałunkiem.

Z początku zachowywała się biernie, obserwując go tylko, chłonąc czule słowa niczym uzdrawiający lek. Nie kochali się od prawie trzech miesięcy, nie licząc radosnego wieczoru, kiedy wrócił z Francji zgłodniały jej ciała. Tym razem jednak nie odczuwał tej budzącej lęk niecierpliwości, jaka towarzyszyła mu zawsze przy spotkaniach z Dianą po drugiej rozłące. Teraz, kiedy wreszcie przyjął jej miłość, jego pożądania nie zatruwała gorycz rozpaczy.

Gerwazy położył się obok Diany, sycąc oczy niezrównanym pięknem jej smukłego ciała, harmonią krągłości i cieni wydobywanych przez miękkie światło świecy.

- Jesteś piękna, ale dopiero teraz naprawdę widzę, jak bardzo piękna - szepnął. - Doskonałość rysów twarzy i kształtów to dopiero początek. Posiadasz piękno duszy, które nie przemienie, lecz będzie rosnać z biegiem lat.

Pochylił głowę, żeby ją pocałować; w dotyku jego warg nie było cienia natarczywości, jedynie czułość. Odpowiedziała najpierw słodkim poddaniem, potem z coraz większą skwapliwością, stopniowo wyzbywając się bierności.

Wyciągnawszy rękę, zaczęła go gładzić po plecach i ramionach, pragnąc czuć jego ciepło i krzepiącą siłę. Gerwazy kochał się z nią niespiesznie, z wielką delikatnością, świadomie wykorzystując całą swoją wiedzę o jej intymnych upodobaniach. Diana czuła i doceniała ostrożność jego ruchów, to, że starał się nie przygniatać jej swoim ciężarem, by nic nie przypominało jej strasznych przeżyć związanych z Veseulem.

Z naturalną zręcznością i swobodą przesuwiał wargi po jej ciele, pobudzając brodawki piersi, wytyczając pocałunkami wilgotny ślad na miękkiej płaszczyźnie brzucha. Po mistrzowsku operując samymi wargami i językiem, doprowadził ją na skraj rozkoszy, ale nie chciała podążać dalej samotnie; pragnęła poczuć Gerwazego głęboko w sobie, wiedzieć, że przeżywa to samo co ona.

Odczytawszy jej wyrażone bez słów pragnienie, przewrócił się na plecy i wciągnął ją na siebie. Bezwiednie jęknęła, kiedy w nią wszedł. Ich zespolenie było tak doskonałe, że aż

ły napłynęły jej do oczu. Sprężyste włosy na jego klatce piersiowej leciutko łaskotały jej skórę, twarde mięśnie emanowały siłą, obietnicą niezłomnego oparcia.

Mimo dobrze wyćwiczonej umiejętności panowania nad sobą, był tak samo jak ona bliski przekroczenia granicy; poznała to po napięciu spinającym jego ciało i przyspieszonym oddechu. Przedłużając cudowne oczekiwanie na spełnienie, leżeli ciasno ze sobą spleceni, niemal bez ruchu, zawieszani w przestworzach rozkoszy i tak blisko siebie, jakby bilo w nich jedno wspólne serce.

Ona pierwsza zaczęła poruszać biodrami, chcąc poczuć go jeszcze głębiej. To ona prowadziła, nadawała rytm i czuła się z tym wspaniale. Nie mogła się nadziwić, że ktoś, kto tak długo nie radził sobie z własnymi emocjami, potrafi tak nieomylnie zrozumieć i uszanować jej uczucia.

A potem wszelkie myśli uleciały jej z głowy i pozostał tylko pierwotny taniec miłości, coraz szybszy, wznoszący ich coraz wyżej, by w końcu sięgnęli gwiazd. Dotąd tylko raz czuła, jak ich dusze na krótko się zetknęły, a ta noc zaprowadziła ich znacznie dalej. Połączeni w doskonałej harmonii dusz i ciał, odkrywali szczyty rozkoszy, o jakich żadnemu z nich wcześniej się nie śniło.

Spełnienie uwolniło Dianę od strasznych wspomnień z labiryntu, od lęków i napięć ostatnich dni. Liczyło się tylko to, że wreszcie są razem. Wiedziała z całą pewnością, że już nic nigdy nie rozdzieli jej z Gerwazym.

Czuła się wspaniale leżąc na nim, wtulona w mocne rozgrzane mięśnie, chroniona czułym objęciem. Uniosła głowę, opierając podbródek na ramieniu. Gerwazy otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

Diana aż wstrzymała oddech z wrażenia. Z jego twarzy, z czystych szarych oczu promieniował spokój.

- Kocham cię - szepnęła. Wiedziała, że te słowa nie oddają wszystkiego, ale żadne inne nie przychodziły jej do głowy.

Gerwazy złączył dłonie na jej plecach i uniósł się lekko, żeby ją pocałować.

- Nigdy nie będę wiedział dlaczego - rzekł zduszonym głosem. - Ale nie będę o to pytał, tak jak nie pyta się słońca, morza czy wiatru, dlaczego istnieją. - Opuściwszy głowę z powrotem na poduszkę, zaczął się cicho śmiać. - Mimo tego, co właśnie powiedziałem, jednak chciałbym zapytać. Żądza rozumienia wszystkiego to jeden z moich najcięższych grzechów.

Zawtórowała mu śmiechem, wyciągając się wygodnie obok niego na posianiu.

- Pytaj, kochany, chociaż nie obiecuję jasnej odpowiedzi.

Spoważniał.

- Powiedziałaś, że... po naszym ślubie nienawidziłaś mnie, a potem przestałaś. Potrafię zrozumieć nienawiść. Miałaś do niej pełne prawo. Nie mogę zrozumieć, dlaczego przestałaś mnie nienawidzić. Zamknęła oczy, próbując przywołać wspomnienie tamtych czasów.

- Na to akurat odpowiedź jest całkiem prosta, przynajmniej dla kobiety. Nienawidziłam cię, dopóki nie poczułam, jak porusza się we mnie moje dziecko. To było tak cudowne i wielkie uczucie, że nie pozostawiało już miejsca na nienawiść. - Westchnęła, otwierając oczy. - A trzymanie syna w ramionach... było prawdziwym cudem. Doszłam wówczas do wniosku, że mężczyzna, który jest ojcem tak słodkiej istoty, nie może być do końca zły. Że choć zachowałeś się niegodziwie, to nie znaczy, że jesteś niegodziwym człowiekiem. - Zapatrzona gdzieś przed siebie, szukała odpowiednich słów. – Przyjechałam do Londynu z pragnieniem znalezienia mężczyzny, którego mogłabym kochać. W istocie oznaczało to, że będę cudzołożnicą, ale przecież nie czułam się żoną. I wtedy spotkałam i rozpoznałam ciebie. Wiedziałam, że muszę cię lepiej poznać, że nie mogę szukać kogoś innego, dopóki się nie upewnię, że moje małżeństwo naprawdę nic nie znaczy. A kiedy poznałam cię bliżej... - uśmiechnęła się ciepło - ...to się zakochałam.

Podciągnął kołdrę i otulił nią Dianę troskliwie.

- Nadal tego nie rozumiem.

Może gdyby miał jakieś pojęcie, co w nim kochała, łatwiej by mu było przyjąć jej uczucie. Ale Diana nigdy nie próbowała określić powodów, nawet przed sobą.

- Przy tobie czuję się... bezpieczna i chroniona - powiedziała po chwili zastanowienia. - Wiedziałam, że jeśli kiedyś mnie pokochasz, to już nigdy nie przestaniesz. Że w przyszłości już zawsze będziesz przy mnie. Że zawsze będę mogła na tobie polegać.

Wyraz jego oczu zdradzał, że myśli o tym, co się zdarzyło na Mull i o niewybaczalnym postępku, jakiego dopuścił się poprzedniej nocy. Przyłożyła mu dłoń do policzka i poczuła leciutkie kłucie zarostu.

- Zdolność do przemocy w szczególnych warunkach jest ludzka - powiedziała smutno. - Ja też nie jestem święta. Nie znoszę przemocy i jestem tchórzem. Wątpię, czy mogłabym zabić Veseula dla ratowania własnego życia... ale potrafiłam zabić, broniąc życia kogoś, kogo kocham. Tak, była między nami przemoc, ale to już przeszłość. - Diana głośno wciągnęła powietrze, uderzona nagłą myślą. – Nigdy dotąd nie myślałam o tym w taki sposób, ale nie zmieniłabym tego, co się stało na Mull, nawet gdybym mogła. Gdyby to się nie stało, nie miałabym Geoffreya i nie miałabym ciebie. Nikt dobrowolnie nie wybiera bólu i gniewu, ale dzięki nim zdobyłam miłość i życie, o jakim marzyłam, będąc dzieckiem. - Obdarzyła

Gerwazego najśladszym uśmiechem. - Zawsze wiedziałam, że jeśli mnie wpuścisz za mury, już zawsze będziesz mnie w nich chronił. Poruszył głowę, ocierając się policzkiem o jej dłoń.

- Miałaś rację. Wiedziałaś znacznie lepiej, co się dzieje w mojej głowie, niż ja sam.

- Nie w głowie - sprostowała miękko. - W sercu.

Przyjrzał się jej w zamyśleniu.

- Znowu masz rację. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że myślę żądzą z miłością. - Bawił się jej włosami, nawijając sobie na palec kasztanowy kosmyk. - Stałaś się moją obsesją. To mnie przerażało, bo czułem, że tracę panowanie nad swoim życiem, że będę zdany na twoją łaskę. I ten strach zaowocował zazdrością i zaborczością. - Odgarnął jej włosy do tyłu, odsłaniając smukłą szyję. - Masz niebezpieczną urodę, Diano. W twojej obecności żaden mężczyzna nie jest w stanie jasno myśleć. Przez całe miesiące wmawiałem sobie, że to, co czuję, to tylko cielesne pożądanie. A tak naprawdę... przyciągało mnie twoje ciepło. To cudowne ciepło, jak życiodajny ogień w wiecznej nocy ciemności i chłodu. Nawet teraz, kiedy pragnienie jest chwilowo zaspokojone, potrzebuję cię tak samo jak zawsze. To nie ma nic wspólnego z żądzą, to jest miłość.

- Twoja siła i moje ciepło. - Wyciągnęła rękę i leciutko dotknęła śladu po szpadzie Veseula, Tak, Gerwazy był silny, choć nie zdawał sobie sprawy z własnej siły. Ale ona była jej świadoma i czuła się dzięki niej jeszcze bardziej bezpieczna. - Dzisiaj uratowaliśmy się nawzajem. Czy teraz wierzysz w to, co mówiłam o przeznaczeniu? Że choć zważywszy na nasze pierwsze spotkanie wydawało się to mało prawdopodobne, jednak byliśmy sobie przeznaczeni?

- To zbyt nieprawdopodobne, żeby mogło być przypadkiem, więc chyba muszę ci wierzyć - stwierdził z cierpkim humorem. Potem dodał poważniej: - Kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz w Londynie, trafiłaś mi do serca, ale musiałem nazwać to inaczej. Ślub na Muli mógł być wynikiem przypadku, ale tylko cudowne zrządzenie losu mogło nas połączyć w prawdziwe małżeństwo po takim nieszczęśliwym początku.

Obejmując go i przywierając od jego piersi jeszcze mocniej, powiedziała to, co pragnął usłyszeć już dawno.

- Nigdy nie miałaś powodów być o mnie zazdrosnym, Gerwazy. Przyjechałam do Londynu w poszukiwaniu mężczyzny, a kiedy się spotkaliśmy, od razu wiedziałam, że to ty jesteś tym mężczyzną. Nigdy nie było nikogo innego i nigdy nie będzie.

- A ponieważ wreszcie w to uwierzyłem - wyznał zduszonym głosem - obsesja minęła. Zazdrość brała się z lęku, że mogę cię utracić. I rozwiązała się, wyparta przez miłość i zaufanie.

Diana nadstawiła twarz do kolejnego pocałunku, a potem znów ułożyła się wygodnie

na jego piersi. Przypomniała sobie nagle słowa Veseula i przyszło jej na myśl, że mogą być ważne.

- Nie wiem, o co mu właściwie chodziło, ale Veseul odgrażał się, że zniszczy Wellesleya. - Starła się jak najdokładniej powtórzyć wszystko, co na ten temat usłyszała, kończąc pytaniem: - Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

Gerwazy zastanawiał się przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Nie mam wprawdzie żadnych dowodów, ale jestem od dawna przekonany, że Veseul był jednym z najbardziej niebezpiecznych francuskich szpiegów w Anglii. Człowiekiem, który nazywał się Feniks. Był inteligentny i miał dostęp do wszystkich kręgów. Całkiem możliwe, że spiskował przeciwko Wellesleyowi. Generał jest w tej chwili wyjątkowo podatny na ciosy. Myślę, że wojskowe dochodzenie oczyści go z zarzutów i że otrzyma nowe dowództwo, ale Veseul z łatwością mógł sfabrykować jakiś skandal, który by na dobre zdyskredytował Wellesleya. - W jego tonie zabrzmiały ostre nuty. - Od tej strony nic już nie zagraża. Podejrzewam, że Veseul podsłuchiwał nas tamtego wieczoru w Vauxhall, przed moim wyjazdem, i stąd Francuzi wiedzieli, kiedy się mnie spodziewać. A co do tych zapisków, które zostawiłem na noc w twoim salonie... czy ktoś spośród twojej służby mógłby być informatorem Veseula?

Mówiąc to, Gerwazy delikatnie wodził dłonią po jej piersi. Ogarniętej falą miłych doznań Dianie trudno było skupić się na myśleniu o szpiegostwie, ale wiedziała, że odpowiedź jest dla Gerwazego ważna.

- Mamy francuską kucharkę. Bardzo się wpraszała na tę posadę, co trochę mnie dziwiło, bo ze swoimi umiejętnościami mogłaby znaleźć znacznie lepiej płatne miejsce.

- Może właśnie to stanowi wytłumaczenie - zgodził się z nią Gerwazy, jakby od niechcienia przesuwając dłoń niżej. - Teraz, kiedy Veseul nie żyje, pewnie to nie ma znaczenia, zwłaszcza że opuścisz dom przy Charles Street.

Przewróciła się na plecy, ułatwiając Gerwazemu swobodny dostęp.

- Czy to znaczy, że chcesz, bym wprowadziła się do ciebie?

- Masz jakieś wątpliwości? - zdziwił się. - Zakładałem, że zamieszkas z Geoffreyem i Edith w St. Aubyn House. Przyda się tam trochę życia i radości. - Uśmiechnął się pod nosem. - Domyślałam się, że dla Madeline lord Farnsworth ma inne plany.

- Chciałam to usłyszeć od ciebie - powiedziała ze śmiechem. - Lubiłam rolę twojej kochanki, ale z jeszcze większą radością będę twoją żoną.

- Nic nie może się równać mojej radości z tego powodu - wyznał, nie kryjąc szczęścia.

- Nie chcę już spędzić ani jednej nocy w życiu z dala od ciebie.

Nachylił się do jej ust, równocześnie trafiając dłonią do gorącego, wilgotnego celu. Wydała z siebie cichy jęk, gotowa dać się ponieść namiętności, ale miała świadomość, że wcześniej musi wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

- Muszę ci coś powiedzieć. Ręka Gerwazego znieruchomiała. Otworzywszy oczy, Diana napotkała jego uważne spojrzenie. Nie czekając, aż wyobraźnia podsunie mu jakieś ponure obrazy, wyznała trochę onieśmielona:

- Chyba... znów jestem w ciąży. Wiem, że to za wcześnie, by mieć pewność... - Odruchowo dotknęła nabrzmiącej piersi. - ...ale tak samo się czułam przy Geoffreyu. Myślała, że będzie zadowolony, ale zaskoczył ją nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Przykro mi - szepnęła niepewnie. - To się stało tamtej nocy, kiedy wróciłeś z Francji. Nie spodziewałam się ciebie, więc nie byłam przygotowana. Gniewasz się?

- Jakie miałbym prawo do gniewu? Jesteśmy jednakowo odpowiedzialni. - Mówił lekkim tonem, ale kiedy dotknął jej policzka, miał zimne palce i lęk w oczach. - Mówiłaś, że omal nie umarłaś przy narodzinach Geoffreya.

Zrozumiawszy jego obawy, odetchnęła z ulgą.

- To dlatego, że byłam bardzo młoda i niewyrośnięta jak na swój wiek, nadal się rozwijałam. Tym razem będzie inaczej. Położna twierdziła, że skoro miałam dość siły, by przetrwać ten pierwszy poród, nie powinnam mieć żadnych problemów w przyszłości. - Widząc, że cień lęku nadal czai się w jego oczach, pogłaskała go uspokajająco po ramieniu. - Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Wreszcie się rozpogodził.

- Mam przeczucie, że ta ciąża będzie o wiele trudniejsza dla mnie niż dla ciebie. Ale tym razem będę przy tobie od początku do końca.

- Rozmawiałam z lekarzem Geoffreya o tym, czy inne nasze dzieci mogą być chore.

- I...?

Wzruszyła ramionami.

- Twierdzi, że to możliwe. Mało prawdopodobne, ale nie można wykluczyć takiej możliwości.

- Jeśli nowe dziecko okaże się choć w połowie tak udane jak Geoffrey, będę zadowolony, niezależnie od tego czy będzie miało ataki, czy nie - zapewnił ją z całkowitym spokojem. - Cokolwiek będzie, razem sobie z tym poradzimy. - Wyzbywszy się obaw, nabrał entuzjazmu. - Miło byłoby tym razem mieć dziewczynkę. Z niebieskimi oczyma i wdziękiem, rzucającym na kolana wszystkich mężczyzn wokoło.

Diana zarzuciła mu rękę na szyję, przyciągnęła go do siebie i pocałowała.

- Albo uparciucha z szarymi oczyma. Albo bliźnięta. Wszystko jedno. - Wsunąwszy rękę pod koldrę, znalazła to, czego się spodziewała. - W tej chwili bardziej mnie interesuje terażniejszość niż przyszłość. A ciebie?

Rano dołączyli do Geoffreya, żeby w pokoju dzieciennym razem zjeść śniadanie. Ich syn promieniał dumą, jakby sam wynalazł instytucję rodziny. Rozjaśnił się jeszcze bardziej, dowiedziawszy się, że już niedługo przestanie być najmłodszym Brandelinem.

Mając pod swoim dachem połowę rządu i szerokie wpływy zdobyte dzięki swym licznym zasługom. Gerwazy bez trudu przekonał wszystkich, że znany francuski rojalista, hrabia de Veseul, zmarł na skutek niespodziewanego ataku serca. Nikomu z obecnych nie zależało na ujawnieniu wiadomości, że jakiś szpieg obracał się swobodnie w kręgu tak wielu znanych osobistości. W sekretnych korytarzach władzy zapanowała niekłamana radość, że Feniks na dobre zniknął ze sceny. Usłyszawszy nowinę, francuska kucharka czym prędzej spakowała manatki i chyłkiem wyniosła się z domu przy Charles Street 17.

Francis Brandelin i jego przyjaciel opuścili Anglię niesplamieni żadnym skandalem. Choć listy z Grecji opisywały cuda antyku i inne turystyczne atrakcje, między wierszami czuło się szczęście.

Późną jesienią podczas cichej ceremonii, w obecności wicehrabiny St. Aubyn, Madeline została żoną lorda Farnswortha. I choć przeszłość nowej lady Farnsworth była nie całkiem świetlana, Madeline pełniła swą nową rolę tak czarująco, że spotykała się z rezerwą tylko u najbardziej zagorzałych snobów, czym zresztą ani ona, ani Nicholas w ogóle się nie przejmowali.

Generał sir Arthur Wellesley został w listopadzie oczyszczony ze wszystkich zarzutów i wysłany z powrotem na półwysep. Po wspaniałym zwycięstwie w bitwie pod Talaverą w lipcu 1809 roku otrzymał tytuł lorda Wellington.

Gerwazy dał Dianie wolną rękę w urządzeniu na nowo St. Aubyn House, z czego wywiązała się w jego odczuciu więcej niż zadowolająco. Jednym z pierwszych przedsięwzięć było zainstalowanie wygodnej, obszernej wanny w apartamencie gospodarzy.

Kilka miesięcy później szperając w bibliotece Diana trafiła na wierszyk autorstwa Jonathana Swifta. Napisany był na akcie ślubu, którego udzielił dziekan Swift, i wydał się Dianie tak nieodparcie zabawny, że kazała go wygrawerować na wieczku srebrnej szkatułki, którą podarowała Gerwazemu na drugą wspólną Gwiazdkę.

*Pod dębem giętym nawałnicą,  
Złączyłem łotra z nierządnicą;  
I tylko władny gromy strącić*

*Mógłby tę parę znów rozłączyć.*